



Sto lat temu mnisi z tajemniczego klasztoru ukrytego przed światem w tybetańskiej dolinie przepowiedzieli koniec świata. Teraz ich następcy zrobią wszystko, by nic nie przeszkodziło spełnieniu się przepowiedni...

Kiedy na wodach południowego Pacyfiku pojawiają się góry lodowe, a rajska wyspa u wybrzeży Afryki może stać się obiektem nuklearnego ataku, Armagedon wydaje się nieunikniony. Tylko Phillip Mercer może zapobiec kataklizmowi. Ale najpierw musi rozwikłać szokującą zagadkę osławionej Strefy 51. I ująć z życiem z niezwyklej podwodnej jaskini, która kryje klucz do uratowania świata przed apokalipsą...

JACK Du BRUL

PRZEPOWIEDNIA OGNIA

Philip Mercer, tom 6

Jackowi D., Toddowi M. i Bobowi D. – pierwszym trzem ogniom w łańcuchu mojej kariery Jack Du Brul

Cieśnina Sundajska, Indonezja 26 sierpnia 1883

Mężczyzna wychylił się nad relingiem parowca pocztowego „Loudon”, splunął w fale i przeklinając swoją głupotę spojrzął na znikające za rufą tropikalne miasto Anjer. Po krótkiej chwili latarnia morska Fourth Point przypominała zaledwie drzazgę na tle nieba.

Nie powinien był ryzykować. Mógł przecież zostać na lądzie, kiedy w drodze ze stolicy holenderskich kolonii w Indiach, Batawii, do Padang na zachodnim wybrzeżu Sumatry, kapitan niespodziewanie zatrzymał się na Jawie. Teraz było już za późno, bo z sześcioma setkami innych podróżnych przemierzał właśnie Cieśninę Sundajską – i jako jedyny wiedział, co ma się wydarzyć i co przyniosą kłębiące się czarne chmury.

Gdyby zszedł na ląd na Jawie, mógłby powędrować w głąb wyspy na tyle daleko, żeby przetrwać nadchodzące dni. Ale zdecydował się pozostać na pokładzie statku, który ruszył w stronę miasta Telok Betong nad zatoką Lampong. Przez ostatnich kilka tygodni gromadził na otaczających ją wzgórzach wodę i pożywienie, by móc obserwować zbliżający się kataklizm. Obserwacja – to było jego zadanie. Został wysłany do holenderskich wschodnich Indii, by prowadzić kronikę zdarzenia, które miało się okazać największą katastrofą naturalną w historii ludzkości. I on o tym wiedział.

Mężczyzna podróżujący jako Han miał na sobie wełniane spodnie i grubą koszulę, stosowną raczej w jego górskiej ojczyźnie niż tropikalnych upałach. Cholewy sięgających kolan butów pokrywały pozostałości usuniętego futra z jaka. Do prostej torby na ramię przytroczył skórzaną pelerynę, którą żona wiele lat temu przyozdobiła haftami.

Był niższy niż Europejczycy na pokładzie osiemdziesięcymetrowego parowca, ale też wyższy od każdego z trzystu skażalców skutych łańcuchami w nadbudówce, których dzień i noc strzegło stu sześćdziesięciu holenderskich żołnierzy. Był krępy i szerszy w ramionach niż chińscy najemni robotnicy, którzy grupą wsiedli w Anjer. Głęboko osadzone ciemne oczy, zmarszczki wokół nich i orzechowa cera częściowo zdradzały jego azjatyckie pochodzenie.

Z kieszeni spodni wyjął najcenniejszą rzecz, jaką posiadał – złoty zegarek na ozdobnym łańcuszku. Rano ustawił go zgodnie z oficjalnym zegarem w Batawii. Była trzecia. Za cztery godziny powinni dobijać do nabrzeża w Telok Betong.

Wiedział, że nigdy tam nie dotrą.

Oderwał wzrok od miejsca, gdzie za horyzontem zniknęła Jawa, i wyjrzał nad lewą burtą. Na zachodzie zbierały się czarne chmury; piętrzyły się i wznosiły coraz wyżej, spłaszczone na szczycie jak kowadło. Nawet z tej odległości ciemna masa niczym płonąca kolumna przysłaniała większość nieba... nie widział jeszcze niczego równie przerażającego. Wyglądała, jakby przez dziurę w ścianie oddzielającą noc od dnia przelewała się ciemność. Ledwie dwie godziny minęły od kiedy się pojawiła,

a już sięgała kilka razy wyżej niż Czomolungma, najwyższy szczyt jego rodzinnych Himalajów. I zaczynała opadać na ziemię.

Przesunął palcem po wypolerowanej poręczu z drewna tekowego. Pod opuszkami wyczuł warstewkę drobnego pyłu. Nie przypominał ziarnistej sadzy z komina – był tak lekki, że unosił go pęd powietrza omiatającego statek, poruszający się z prędkością sześciu węzłów.

Kapitan T. H. Lindemann musiał zauważyć, co się święci, bo wydał rozkaz, żeby postawić żagle na obu masztach i wspomóc pojedynczą śrubę. Po krótkiej chwili przyspieszyli do budzących szacunek ośmiu węzłów. Szybciej już się nie dało.

Na początku lata „Loudon” woził turystów, którzy chcieli zobaczyć, jak jedna z wysp w Cieśninie Sundajskiej powoli zamienia się w słupek popiołu. Potem, ledwie kilka tygodni temu, Lindemann powrócił tam z grupą naukowców. Na próżno jednak, gdyż popiół i niesamowite gorąco buchające z wnętrza ziemi nie pozwoliło im nawet zejść na brzeg. Mimo to zapewnili kapitana, że wulkan lada dzień się uspokoi.

Lindemann uznał, że przy stu czynnych w okolicy wulkanach wiedzą, co mówią. Jednak dziś, podobnie jak tajemniczy obserwator uczepiony relingu, pomyślał, że mogli się mylić. Na wszelki wypadek postanowił ominąć wyspę szerokim łukiem.

W zatoce Lampong ich sytuacja się nie poprawiła. Popiół sypał się z nieba, choć „Loudon” znajdował się ponad czterdzieści kilometrów od wulkanu. Członkowie załogi, którzy nie obsługiwali żagli, zostali odesłani do zgarniania delikatnego pyłu za burtę. Lindemann rozkazał też swojemu stewardowi, staremu

Chińczykowi imieniem Ping, by miękką szmatką przecierał okna mostka. Wystarczyła chwila, by nic nie było przez nie widać.

Pod ciężarem opadającego popiołu morze stawało się prze-rażająco spokojne, jakby przygniecione ciężkim gęstym kożuchem. Lepka breja niechętnie rozstępowała się pod naciskiem stalowego kadłuba, by zaraz za rufą znów się zamknąć. Kożuch miał przynajmniej pół metra grubości i wciąż rósł jak pierzyna śniegu w czasie śnieżycy. Tyle że zamiast białego puchu na wodę opadała spieniona skała, która nie tonęła i nie stygła jeszcze długo po tym, jak została wypluta z wnętrzości Ziemi.

Więżniowie w nadbudówce jęczeli żałośnie za każdym razem, kiedy pokład zakrywała kolejna fala pyłu, a w ściany uderzały bryły pumeksu wielkości pięści.

O piątej po południu wydawało się, że niebo zniknęło. Parowiec pogrążył się w mroku. Nie docierały do niego promienie zachodzącego słońca ani później poświata księżyca, który poprzedniej nocy był niemal w pełni. Nie było też widać gwiazd. Nietypowe warunki atmosferyczne sprawiły, że przestał działać nowiutki telegraf radiowy. „Loudon” został sam.

Dwie godziny później statek zbliżył się do Telok Betong. Marynarz trzymający wachtę na pierwszym maszcie nie mógł nic dostrzec. Popiół przykrył szczelnym kocem domostwa i ulice, gasząc światła i pogrążając w mroku miasto, w którym mieszkało pięć tysięcy ludzi. Lindemann rzucił kotwicę w wodę głęboką na kilkanaście metrów. Niedaleko zatrzymał się parowiec z bocznymi kołami, „Berouw”, niewielka kanonierka regularnie patrolująca okoliczne akweny i wypatrująca piratów. Lindemann

rozkazał opuścić żagle, ale głównemu mechanikowi polecił, by cały czas trzymał kocioł pod parą. Godzinę musiał czekać na lżejsze łodzie z portu, by odbierały z pokładu chińskich pracowników, którzy wsiedli w Anjer.

Kiedy Han opuszczał swoją rodzinną wioskę, otrzymał wytyczne dotyczące miejsca i czasu, ale nie wiedział, po co to robi. Powiedziano mu tylko, że ma znaleźć sobie punkt obserwacyjny gdzieś wysoko nad zatoką Lampong i czekać, co się wydarzy rankiem dwudziestego siódmego sierpnia. Otrzymał też staroświecki dziennik w którym miał zapisywać wszystko, co zobaczy.

W lipcu, krótko po przybyciu do holenderskich Indii Wschodnich, zrozumiał, po co został tam wysłany – miał obserwować śmierć i zniszczenie. Od ranka dwudziestego maja wyrastający pośrodku Cieśniny Sundajskiej wulkan nieprzerwanie wyrzucał z siebie lawę i popiół. To było jego pierwsze odkrycie, odkąd opuścił rodzinne strony. Jednak prawdziwy szok przyszedł, kiedy uświadomił sobie, że wyruszył dokładnie tydzień, zanim wulkan się przebudził. Kapłani wyjaśnili mu, że są strażnikami potężnej Wyroczeni, lecz on i tak nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, by przepowiednia dotycząca miejsca oddalonego o kilka tysięcy kilometrów była tak dokładna! Ale to nie koniec, bo kapłani najwyraźniej oczekiwali jeszcze jednego wybuchu, tym razem – sprawdził zegarek – za siedem godzin.

Kapłani kategorycznie zakazali mu ingerować w naturalny przebieg wydarzeń. Miał być jedynie świadkiem, obserwatorem, któremu nie wolno nikogo ostrzec o zbliżającej się katastrofie. Dotychczas Han nie złamał tej zasady. Teraz niebezpieczeństwo,

w jakim się znalazł, zwolniło go z obowiązku posłuszeństwa. Źle, że nikt nie przygotował go na to, co miał zobaczyć. Bał się, że sam zginie. Kiedy kupował bilet z Batawii do Lampong, nie miał pojęcia, że „Loudon” popłynie okrężną drogą przez Anjer, dłuższą o pięć godzin. Jeśli nie zareaguje, to spóźnienie może kosztować go życie.

Han nie był fanatykiem, jak niektórzy starsi obserwatorzy. Gdy w grę wchodziło jego bezpieczeństwo, miał gdzieś zasady. Mimo to starał się usprawiedliwić podjętą decyzję, tłumacząc sobie, że zagłada statku nie była przesądzona. Całkiem możliwe, że nawet bez jego ostrzeżenia parowiec przetrwałby nadchodzący kataklizm, jednak wolał nie ryzykować. Musiał ostrzec kapitana. Jeśli mieli choć cień szansy, musieli uciekać jak najdalej od brzegu.

Han zmrużył oczy, chroniąc je przed opadającymi płatkami popiołu. Nie mówił po holendersku, więc nikt z załogi parowca go nie rozumiał. Ale nie pierwszy raz płynął tym statkiem i podczas kilku wcześniejszych rejsów, kiedy poszukiwał miejsca do obserwacji, poznał Pinga, stewarda kapitana. Niemal płynnie władał kantońskim, więc mogli dość swobodnie rozmawiać. Rozejrzał się w poszukiwaniu starego marynarza i po chwili wypatrzył jego szczupłą sylwetkę na mostku, gdzie ze ścierką w dłoni walczył z popiołem.

Stanął dokładnie poniżej i odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę. Ping zignorował jego starania i dalej wycierał szyby.

– Ojciec – Han odezwał się z szacunkiem należnym starszemu – gdybym nie miał nic ważnego do powiedzenia, nie zwracałbym ci głowy.

– Miejsce pasażerów jest dziś pod pokładem – odezwał się starsuszek z lekką obawą. Wiedział, że tajemniczy podróżny pochodzi z Tybetu, kraju zamieszkanego przez czarowników.

– Rozmawialiśmy już kilka razy, ale nigdy nie powiedziałem, co mnie tu sprowadza. Teraz nie mam innego wyjścia. Jestem tu, by obserwować, co się niedługo wydarzy.

Ping zaśmiał się nerwowo.

– Niedługo? Rozejrzyj się, człowieku! To już się dzieje!

– To dopiero początek. – Han mówił spokojnie, żeby Ping nie pomyślał, że panikuje jak inni. – Niedługo nastąpi kolejny wybuch, znacznie mocniejszy od poprzedniego.

Ping przestał wycierać okno. Słyszał, że mieszkańcy Himalajów mieli szczególne zdolności, bez których nie przeżyliby w trudnych górskich warunkach. Nie miał powodów, by w to nie wierzyć, bo poza opowieściami widział w swoim czasie różne dziwy, których nikt nie potrafił wytłumaczyć. Tybetańczyk stał pośród wirującego popiołu i wydawał się tak pewny swoich słów, że Ping nie byłby zdziwiony, gdyby się okazało, że naprawdę posiada wiedzę niedostępną dla zwykłych ludzi. Poza tym sam miał przeczucie, że wulkan na horyzoncie jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

– Jutro o poranku góra znów przemówi – kontynuował Han. – I zniszczy wszystko w Cieśninie Sundajskiej.

– A jak się o tym dowiedziałeś? – Ping ukrył zaskoczenie za pełnym sceptycyzmu tonem.

– Tak samo, jak dowiedziałem się, że w ogóle się przebudzi. Właśnie dlatego tu jestem.

– Wulkan nie śpi już od wielu miesięcy – powiedział Ping.
– Może usłyszałeś o tym i dopiero wtedy przyjechałeś?

Obserwator ostrożnie strzepnął popiół z torby, jakby się bał, że może uszkodzić jej zawartość, a potem coś z niej wyjął. W słabym świetle pokładowych lamp Ping dojrzał starą księgę. Niegdyś krwistoczerwona okładka po latach stała się niemal czarna, a mosiężne okucia, które ją spinały, pokryła patyna.

– W tej księdze jest zapisane, że opuściłem swoją wioskę tydzień przed pierwszą erupcją, żeby dotrzeć tu na czas.

Han nie powiedział, od jak dawna Wyrocznia wiedziała o nadchodzącej katastrofie. Wystarczy, że ostrzegął ludzi z parowca, by ratować własne życie. Nie zamierzał zdradzać nic poza tym, co było konieczne.

– Pewnie słyszałeś, że w mojej ojczyźnie rozumiemy mowę skał – kontynuował, podsycając niepewność przesądnego staruszka. – Wielkagóra przekazała nam, że jedna z jej siostr wpadła w gniew i przemówi w następnym weekend. Mam wysłuchać, co ma do powiedzenia, i przywieźć tę wiadomość z powrotem. – W pewnym sensie nie skłamał, choć tym nie wiedział. Skały naprawdę przemawiały do Wyroczni, choć inaczej niż wyobrażali to sobie on i stary marynarz. – Jeśli nie przekonasz kapitana, żeby odpłynął jak najdalej od brzegu, wszyscy zginiemy, a Himalaje nigdy się nie dowiedzą, co tak bardzo zdenerwowało ich siostrę.

Han dostrzegł zmianę na twarzy stewarda. Początkowe niedowierzanie ustąpiło zainteresowaniu. Nieważne, czy wierzył w bajki o gadających skałach, czy raczej jego marynarska intuicja podpowiadała mu, że najgorsze było nadal przed nimi.

– Musisz przekonać kapitana, żebyśmy przybili do brzegu – przekonywał Han – albo wypłynęli jak najdalej w morze, by uniknąć tego, co ma nadejść.

Zwinnie jak małpka steward ominął barierkę przed mostkiem, zsunął się po wąskiej drabince na pokład i stanął obok Hana. Mężczyźni zmierzli się wzrokiem, co pewien czas mrużąc, by strzepnąć lepiący się do rzęs popiół. Ping wymownym gestem dotknął rękojęści sztyletu wetkniętego za kawałek liny, którą się przepasał.

– Jeśli się mylisz, czarowniku z gór, wypatroszę cię jak rybę.

Han zignorował groźbę, bo świadczyła jedynie o strachu marynarza.

– Myślisz, że nie mam racji?

Ping wyjrzał ponad relingiem. Zasłona popiołu przerzedziła się na tyle, że widział niesamowity pomarańczowy blask, rozświetlający horyzont wiele kilometrów za nimi.

– Nie. Chodź ze mną, kapitan może zechce cię o coś zapytać. Lindemann właśnie wyszedł z toalety. Przemył twarz wodą, która skapując, zostawiła brudne ślady na klapach munduru. Znieruchomiał, widząc w progu pomocnika z pasażerem.

– Ping, ty leniwy idioto, wynocha na zewnątrz czyścić szybę!

– Kapitanie – odezwał się Chińczyk łamanym holenderskim, wskazując dłonią na Hana. – Ten człowiek to wielki naukowiec

z Chin. W moim kraju jest sławny, bo wiele wie o zwyczajach Ziemi. Podróżował...

– Masz coś mądrego do powiedzenia? – warknął Lindemann.

– Morze robi się niespokojne, a jeśli wiatr jeszcze przybierze, pójdziemy na dno pod ciężarem samego popiołu.

– Tak, kapitanie! – Ping pospieszył z zapewnieniami. – Ten naukowiec przybył, żeby badać wulkan, i w jego uczonej opinii góra niedługo znów przemówi. Twierdzi, że musimy wysadzić wszystkich na brzeg. – Ping spojrzął na swojego towarzysza. – Powiedz coś, żebym mógł udawać, że tłumaczę. I udawaj, że wiesz, co mówisz.

– Nie muszę udawać. Czy kapitan ci wierzy?

– Co on mówi, Ping? – przerwał im Lindemann.

– Mówi, że po wschodzie słońca góra wybuchnie jak milion armat. – Ping postanowił nieco ubarwić wiadomości. – I że fale wypełnią zatokę Lampong. Wie nawet, jak nazywają je Japończycy. Tsunami.

– Takie fale nie istnieją, tak samo jak krakeny i węże morskie. Starzy marynarze opowiadają młodym niestworzone historie, żeby napędzić im stracha. Przecież sam w to nie wierzysz, prawda?

– Kapitanie – odezwał się pierwszy oficer, który przysłuchiwał się tej niecodziennej rozmowie. Na plecach miał świeży bandaż, w miejscu, w którym uderzyła go bryła rozgrzanego pumeksu. – Ja też nie wierzę w tsunami, ale nie zaszkodzi, jeśli się trochę wycofamy. Pogoda jest coraz gorsza, a za kilka godzin zacznie się przyplływ.

Doświadczony kapitan popatrzył na Hana, potem na swojego oficera, a w końcu na Pinga i już chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo zatoką Lampong zakołysała fala największa od początku rejsu. Mężczyźni rzucili się do uchwytów, a lampa uderzyła z rozmachem o sufit i rozpadła na kawałki. Sternik ściągnął przez głowę koszulę i skoczył gasić kałużę płonącej nafty, zanim wywołałaby pożar.

Tymczasem Lindemann podjął decyzję:

– Przygotować się do podniesienia kotwicy – rozkazał, a następnie szarpnął rączkę dzwonka do maszynowni, by dać znać mechanikom, że zaraz ruszają. – Panie Van Den Bosch – miody oficer się wyprostował – do lampy sygnałowej. Ostrzec kapitana kanonierki i przekazać, że zalecamy większe oddalenie od lądu i innych jednostek.

– Tak jest, sir.

– Ping, ty odprowadzisz pasażera do nadbudówki na dziobie, a potem zabierzesz się wreszcie do tej szyby.

Han zatrzymał się w przejściu. Kapitan Lindemann spojrzał na niego dziwnym wzrokiem, a potem kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć, że jego ostrzeżenie tylko przeważało szalę.

Przerażone głosy z zamkniętej nadbudówki utonęły w metalicznym szczęku łańcucha kotwicy w masywnych prowadnicach, a gęsty popiół zasłonił kłęby dymu z komina. Podróżny postanowił zostać przy relingach, żeby zobaczyć, czy kapitan kanonierki posłucha ostrzeżenia. W ciemności nie dostrzegł niewielkiego okrętu, a przez padający pył nie widział też mi-

gania lamp. Światło z pokładu „Loudona” ginęło w zamieci już kilkadziesiąt metrów za burzą.

Kilka minut później parowiec rozpoczął szeroki nawrót. Wiatr szarpał takielunkiem, a kocioł popęczał śrubę z brązu, która z trudem obracała się w gęstej brei.

Resztę nocy „Loudon” spędził kilka kilometrów od miasta. Pod kilem miał dwadzieścia pięć metrów wody. Szarpał się na kotwicznym łańcuchu, a załoga maszynowni pracowała bez przerwy, by utrzymać kocioł pod parą. Wiatr wzmagał się z minuty na minutę, podrywając z powierzchni morza warstwę popiołu jak tumany piachu z pustynnych wydm.

Poranek powitał marynarzy i pasażerów słabym światłem, które z trudem przebijało się przez zamieć popiołu i sadzy. Han spędził męczącą noc, zwinięty w kłębek między przerażonymi więźniami i równie wystraszonymi holenderskimi strażnikami. Europejczycy zamknięci w kabinach pierwszej klasy w nadbudowie na środku okrętu wcale nie czuli się lepiej. Tamtej nocy jeszcze cztery potężne fale wstrząsały parowcem, za każdym razem tak brutalnie, że kto nie zdążył się czegoś chwycić, wylatywał w powietrze, kiedy statek opadał w dół.

Mimo wszechobecnego zapachu siarki i bladego światła poranek przyniósł ulgę, bo w ciasnej nadbudówce cuchnęło już wymiotami i moczem.

Han był pierwszym pasażerem na pokładzie. Natychmiast poczuł, że temperatura spadła w nocy o kilkanaście stopni. Kapitan Lindemann stał na niewielkim pomoście sterczącym z mostka i spoglądał przez długą lunetę. Obserwator przed misją

otrzymał mniejszy składany teleskop, który teraz wyjął z torby. Nie zwracał już uwagi na kilkanaście centymetrów popiołu, w którym tonęły mu nogi. Spojrzał w tym samym kierunku, co kapitan.

Z początku nie był pewien, na co patrzy. A potem nagle zrozumiał. Kanonierka nie stała już na kotwicy. Nigdzie nie mógł jej dojrzeć. Przesunął lunetę, by przyjrzeć się miastu Telok Betong. Wszystko zniknęło pod grubą warstwą wulkanicznego popiołu, zmieniając budynki w szare nieokreślone bryły, pozbawione życia jak powierzchnia Księżyca. Wiele chat na obrzeżach, zamieszkałych głównie przez miejscowych, zawaliło się pod ciężarem pyłu. Wśród ruin można było dostrzec ledwie kilka postaci.

Przyglądając się niegdyś kwitnącemu miastu, Han przesunął lunetę raz w jedną, raz w drugą stronę. Naraz dostrzegł kanonierkę i nie mógł opanować drżenia rąk. Uniósł głowę. Kapitan patrzył prosto na niego. Ich spojrzenia spotkały się, a wymowne miny oznaczały jedno -dostrzegli to samo.

Na końcu jednej z ulic, której Han nie przypominał sobie z wcześniejszych wizyt, znalazł się „Berouw”. To, co Tybetańczyk wziął początkowo za uliczkę, było w rzeczywistości śladem, jaki w budynkach wybił tysiactonowy okręt, pchany w głąb lądu potężną siłą wody. Kilkanaście kamiennych domów zostało zrównanych z ziemią, podobnie jak niezliczona liczba rattanowych i trzciniowych chat. Potężna fala, równie niebezpieczna podczas cofania, zabrała ze sobą większość szczątków, także ciała zmarłych.

Han sięgnął do kieszeni po zegarek. Wielokrotnie przeczytane zdania z prastarej kroniki nie pozostawiały złudzeń – góra wkrótce odezwie się ponownie. Słowa w księdze były zapisane archaicznym językiem, którego nie potrafił odczytać, lecz na marginesie ktoś atramentem umieścił tłumaczenie najważniejszych informacji. Porównując godzinę na zegarku z godziną zapisaną w księdze, szybko obliczył, po jakim czasie dźwięk wybuchu dotrze do zatoki. Miał jeszcze kilka minut. Zaczął się modlić, by choć tym razem Wyrocznia się pomyliła.

Oparł księgę na relingu, a z torby wyjął kałamarz i gęsie pióro. Skrybowie w Tybecie podali dokładne położenie wyspy – sześć stopni i dziesięć sekund szerokości południowej i sto pięć stopni czterdzieści dwie sekundy długości wschodniej. Wiele lat temu, kiedy zapisywali wskazówki, nie mogli jeszcze wiedzieć, jaką nazwę nosić będzie wulkan w miejscowym języku. Chwilę zajęło mu dopisanie pojedynczego słowa.

Krakatoa.

Mniejsza erupcja z poprzedniego dnia wyrzuciła w powietrze kilkanaście kilometrów sześciennych pyłu i naruszyła podziemną strukturę skał, które kilka minut po siódmej, rankiem dwudziestego siódmego, zapadły się gigantyczną lawiną w głąb ziemi. Miliardy ton wody runęły na płynną lawę i w ułamku sekundy zamieniły w parę, rozdzierając powietrze hukami tak potężnym, że było go słychać niemal cztery tysiące kilometrów dalej, w Australii. Był to najgłośniejszy dźwięk w całej historii ludzkości. Kilkusettonowe gązdy zostały odrzucone na sześćdziesiąt kilometrów od wyspy, wywołując pożary, które miały płonąć

przez wiele dni. Erupcja wyniosła w górne warstwy atmosfery gazy i popioły, gdzie unosiły się przez dekadę, okrążając całą Ziemię i obniżając na kilka lat średnie temperatury w Europie i Ameryce. Wstrząs wywołany wybuchem siedem razy okrążył planetę, zanim w końcu stał się niewyczuwalny.

Choć pomiary siły wstrząsów zaczęto prowadzić wiele lat później, naukowcy obliczyli, że wybuch mógł osiągnąć wiele tysięcy megaton. Wyspa rozpadła się na trzy części, a jej znaczne fragmenty zniknęły.

Erupcja była niewiarygodnie potężna, lecz to nie ona zabrała ponad trzydzieści sześć tysięcy ofiar. Prawdziwie śmiertelna siła nadeszła chwilę po fali uderzeniowej i poruszała się w polowie tak szybko jak dźwięk.

Przez pełną minutę po eksplozji obserwator nie ruszał się z pokładu; nie mógł nawet drgnąć. Miał wrażenie, że znalazł się w samym środku najpotężniejszego dzwonu, jaki kiedykolwiek stworzono, a nieludscy giganci tłukli w niego młotami. Załoga w panice rzuciła się do podnoszenia kotwicy, lecz ich głosy zniknęły w echu grzmiącym w jego głowie. Nie czuł wibracji silnika, bo dreszcze, które nim wstrząsały, były znacznie silniejsze.

Zdawał sobie sprawę, że kiedy tsunami uderzy w statek, żadne miejsce nie będzie bezpieczne. Albo wszyscy zginą, albo wszyscy przeżyją. Uznał, że nie ma sensu się chować. Pozostał na pokładzie i czekał na falę, która, był pewien, zaraz uderzy w zatokę Lampong. Słup dymu zmieszanego z pyłem dzielił horyzont na dwoje. Chwilę później kolejne niezwykle zjawisko rozmyło linię łączącą niebo z morzem.

Fala tsunami pędziła w kierunku parowca z prędkością siedmiuset kilometrów na godzinę i piętrzyła się, wpływając na płycizny. Z początku wyglądała jak niewielkie wybrzuszenie na powierzchni wody, lecz z każdym metrem unosiła się niczym wąż kołyszący głową na długim tułowiu. Naraz jej korona eksplodowała gejzerami białej piany, choć do parowca pozostawały wciąż kilometry. Czaszkę Hana wypełniał ryk tysiąca huraganów.

W ostatniej chwili zawiodła go odwaga. Czmychnął do nadbudówki, a kilka sekund później cały „Loudon” wzniósł się dziesięć metrów w górę, podrzucony jak zabawka. Kiedy fala minęła, statek brutalnie opadł. Dziób momentalnie znalazł się pod wodą i gdyby kapitan chwilę wcześniej nie wydał rozkazu, by całą naprzód ruszyć na spotkanie fali, pograżyliby się w odmętach.

Obserwator wyczołgał się z kryjówki i stanął na drżących kolanach, by obserwować dalszy pochód niszczycielskiego tsunami.

Ściana wody miała ponad dziesięć metrów wysokości w chwili, kiedy Han dotarł do relingu. Kilka chwil później, sekundy przed uderzeniem w brzeg, urosła dwukrotnie, podbita długą płycizną przy plaży. Z pokładu wydawało się, że fala połknęła ląd. Zanim się złamała w pół, całkowicie zasłoniła pagórki nad Telok Betong.

Impet wody był tak potężny, że fala nie zwalniała, zalewając miasto. Równała z ziemią wszystko na swojej drodze, łamała drzewa i wrywała domy z fundamentami. Zwały szczątków znalazły się niemal półtora kilometra dalej, by pozostać już u stóp wzniesień. Fala zniweczyła dwieście lat wysiłków kolonistów i zniszczyła setki hektarów upraw. Starła z powierzchni ziemi

kilka wzgórz i usypała kilka nowych. Z holenderskiego cmentarza wymyła niezliczone trumny i zabrała do zatoki ich ponurą zawartość. W ułamku chwili pięć tysięcy ludzi straciło życie.

Jak diabeł odbierający swoją własność, cofając się, zabrała ze sobą niemal każdy ślad świadczący o tym, że kiedykolwiek istniało tu miasto. Zmyła wszystko, z wyjątkiem kanonierki „Berouw”. Niewielki okręt utknął w piasku, przy brzegu rzeki, trzy kilometry w głąb lądu.

Widok miasta nie pozostawiał nadziei, że ktokolwiek ocalał. Kapitan Lindemann wydał rozkaz powrotu do Anjer; uznał, że jego obowiązkiem jest jak najszybciej złożyć raport z wydarzeń, których był świadkiem. Parowiec z trudem wydostał się z zatoki Lampong, rozcinając dziobem kozuch popiołu, wyrwanych drzew, pozostałości chat i tysięcy straszliwie okaleczonych ciał.

Erupcja wulkanu nadała wiatrom pęd huraganu, a popiół sypał się z nieba tak gęsto, że Lindemann rozkazał żołnierzom rozkuć więźniów i zagnać ich do czyszczenia pokładu. Gdyby tego nie zrobił, statkowi groziłby kapotaż. Wkrótce zaczął padać słaby deszcz, zmieniając pył w szarobiałą lepłą masę. Jasny kleisty szlam zwisał z takielunku i kapał ze spływników. „Loudon” przypominał statek widmo, przybrany pogrzebowymi wieńcami.

Pierwsza błyskawica uderzyła i rozszczępiła się na kilkanaście niebieskich płomieni skaczących po takielunku. Wyładowanie zrzuciło z lin placki mokrego popiołu, zasypując nimi pokład i pracujących ludzi. Więźniowie zawyli z przerażenia, widząc nad głowami tańczące ognie świętego Elma. Byli skuci po dziesięciu, żeby mogli wyjść na pokład. Elektryczny łuk sięgnął łańcucha

jednej z grup, zabijając na miejscu dwóch mężczyzn i ośmiu parząc tak dotkliwie, że żaden z nich nie przeżył godziny.

O wpół do jedenastej rano światło dnia zniknęło za gęstymi chmurami popiołu, a mimo wysiłków załogi i więźniów pokład „Loudona” pokrywała pięćdziesięciocentymetrowa warstwa mazi. Wszyscy pracowali, nie zważając na deszcz i bezustanne bombardowanie bryłami pumeksu.

W południe morze było zbyt wzburzone, by przebywać na pokładzie. Lindemann rozkazał wszystkim schronić się w nadbudówkach, a włazy zamknąć i zabezpieczyć. Nie miał innego wyjścia, jak zaryzykować kapotaż pod ciężarem popiołowej brei. Sam przypiął się do koła sterowego i nakazał głównemu mechanikowi uczynić to samo.

„Loudon” powoli opuszczał zatokę Lampong jak lodołamacz rozbijający pokrywą lodu. Przy wyjściu na otwarte wody kozuch miał grubość dwóch metrów – zbyt wiele dla przeciążonego już kotła parowca. Statek niemal stał w miejscu, lecz kapitan bał się, że jeśli się poddadzą i znieruchomieją, pójdą na dno.

Wycofywali się na zachód, okrążając wyspę Sebesi, by znaleźć się jak najdalej od plującego lawą wulkanu. Przez kolejnych osiemnaście godzin umęczony statek walczył z morzem, wiatrem, falami tsunami, które wciąż rodziły się w epicentrum eksplozji, i z popiołem, który sypał się z nieba kaskadami.

Słońce nawet na chwilę nie wyjrzało zza gęstej zasłony. Panowały ciemności jak w bezksiężycową i bezgwiezdą noc. Jak w odciętej od światła jaskini. Zupełnie, jakby w Cieśninie

Sundajskiej nigdy nie nadszedł poniedziałek, dwudziestego siódmego sierpnia 1883 roku.

Jeszcze sześć razy szalejące pioruny atakowały statek i raz uderzyła weń mordercza fala – kiedy wulkan na Krakatoa wydał z siebie ostatnie westchnienie. Wtedy właśnie stożek krateru runął z wysokości niemal kilometra, by w końcu zaczipować wejście do gorących wnętrzności ziemi.

Dzień wcześniej podróż z Anjer do Telok Betong zabrała im cztery godziny. Dziś, w odwrotną stronę, trwała ponad dwadzieścia. Zbliżając się do Jawy, na południe od miasta Anjer, parowiec obrał kurs wzdłuż wybrzeża, przebijając się przez gęsty kożuch unoszących się na wodzie popiołów, połamanych drzew i niezliczonych ludzkich zwłok. Wybrzeże, jeszcze wczoraj porośnięte gęstą dżunglą i płodnymi plantacjami, teraz przypominało pustynię. Rozrzucone tu i tam wioski zostały zmyte do morza, a nieliczni, którym udało się przeżyć atak żywiołu, wracali niepewnie ze wzniesień, na których znaleźli schronienie.

Jeśli można by porównać potworność zniszczeń i śmierci, Jawę spotkał straszniejszy los niż Sumatrę. Miasto Anjer, dom dla dziesięciu tysięcy mieszkańców, zniknęło.

Pióro Hana z furią przesuwano się po pergaminie, a parowiec mozolnie pokonywał zanieczyszczone wody. Gdziekolwiek spojrział, spod grubego dywanu namokniętego popiołu wyzierały ciała. Większość trupów była odarta z odzienia, część przerażająco poparzona przez wrzącą lawę.

Przy zdrowych zmysłach trzymała go prosta czynność pisania. Końcówka pióra poruszała się z taką prędkością, jakby

obrazy rejestrowane przez oczy miały zamienić się w słowa, nie pozostawiając śladu w pamięci. Mimo to, kiedy przymknął powieki, z ciemności natychmiast wychynęła gigantyczna ściana wody, by go pochłoniąć.

Han nigdy nie widział Wyroczni – ten zaszczyt spotykał tylko najwyższych kapłanów. Nie miał więc pojęcia, jak to możliwe, by przepowiednia sprawdziła się tak niewiarygodnie dokładnie. Niektórzy obserwatorzy, już zbyt starzy na podróż, twierdzili, że Wyrocnią była dwustuletnia kobieta. Inni obstawali, że Wyrocznia to wyrafinowana maszyna, która potrafi odczytać najdrobniejsze drżenie ziemi. Kapłani natomiast posiadali wiedzę i umiejętności, by te informacje interpretować i przepowiadać przyszłość. Niektórzy z kolei wierzyli, że widzenie to dar, który przechodzi na dzieci, będące reinkarnacją najwyższego lamy.

Han miał gdzieś, jak było naprawdę. Widział, jak sprawdza się przepowiednia, i nie chciał już nigdy być tego świadkiem. Znał ludzką naturę i wiedział, że gdyby ostrzegł mieszkańców cieśniny, tylko nieliczni by go posłuchali. Mimo to ciężar śmierci i zniszczenia, które zobaczył, był nie do zniesienia. Niech ktoś inny dokończy kronikę, którą miał uzupełnić.

Księga nosiła tytuł *Region Pacyfiku 1850-1910*. Sama myślała, że już ponad trzydzieści lat temu Wyrocznia wiedziała, co się wydarzy, przyprowadzała go o zimne dreszcze. Modlił się, by to była anomalia, by tylko ten jeden, jedyny raz proroctwo Wyroczni się spełniło. I że miał pecha, iż na niego trafiło. To wszystko. Kolejna przepowiednia na pewno będzie błędna. Nie może się sprawdzić.

Na pierwszej stronie umieszczono kilka listów zamkniętych woskowymi pieczęciami. Dziewięć z nich zostało już otwartych – sam złamał ostatnią pieczęć, kiedy cztery miesiące temu opuszczał Batawię. A to oznaczało, że w ciągu następnych dwudziestu trzech lat wydarzy się jeszcze jedna straszliwa katastrofa.

Obserwatorom nie wolno było złamać pieczęci z datą i miejscem kolejnej katastrofy. Mogli otwierać jedynie koperty z informacjami o wydarzeniach, które mieli dokumentować. Zgodnie z inskrypcją czas złamania ostatniej pieczęci przypadał na pierwszego stycznia 1906 roku, czyli najpewniej na tyle wcześnie, by przed katastrofą dotrzeć na miejsce. Wzruszając ramionami, złamał pieczęć i przebiegł wzrokiem po żółtym tekście.

Data nic mu nie mówiła. Dzień, miesiąc i rok. Osiemnasty kwietnia 1906. Współrzędne geograficzne też nic nie wyjaśniały. Cyfry. Ale ktoś, kto zapisywał te informacje, znał się na mapach, bo obok umieścił nazwę miasta, które miało się znaleźć w epicentrum najpotężniejszego trzęsienia ziemi w historii ludzkości – dopisek brzmiał: San Francisco, Kalifornia.

Arlington, Wirginia, Współcześnie

Mercer obudził się z jedną myślą w głowie: siedem dni wolnego, jeden po drugim. Ostatnie sześć i pół tygodnia pracował bez przerwy, a przez kilka miesięcy udało mu się wygospodarować ledwie czterodniowy weekend i kilka razy wolny dzień. Nadchodzący tydzień miał być pierwszym od roku prawdziwym urlopem. Po chwili pojawiła się druga myśl – kiedy skończy wypoczywać, będzie musiał wrócić na kanadyjską Arktykę, gdzie od półtora miesiąca pracował na kontrakcie. Czekał go tam jeszcze przynajmniej miesiąc, w zamkniętym ośrodku wydobywczym, dwa tysiące kilometrów na północ od Montany. Koncern De Beers rozważał inwestycję niemal pół miliarda dolarów w nowo odkryte złoża diamentów. Czekali już tylko na jego ostateczny raport geologiczny.

Udało mu się wyrwać na ten krótki odpoczynek tylko dlatego, że siarczyste mrozy uszkodziły wieżę wiertniczą, której potrzebował do pobierania próbek, i firma Ingersoll-Rand przysłała swój zespół mechaników. W trudnych arktycznych warunkach, podczas gdy człowiek mógł odpowiednio się ubrać i zabezpieczyć przed mrozem, stal stawała się krucha jak szło. I tak mieli szczęście, że nikt nie został ranny, kiedy główne łożysko eksplodowało niczym granat.

Mercer zdążył się już przyzwyczaić do wielomiesięcznych podróży na zlecenia różnych firm górniczych. Latał po całym

globie, poszukiwał, oceniał i rozwiązywał problemy. Jego wiedza i profesjonalizm przyniosły mu wielkie pieniądze, choć nie miał czasu z nich korzystać. Kiedy więc udawało się wywalczyć kilka wolnych dni, starał się wykorzystać każdą chwilę. Mimo to przeleżał jeszcze pół godziny w wygodnym łóżku, pod kołdrą z pierza.

Po opaleniznie, którą zdobył rok wcześniej, nurkując na Bahamach, nie było już śladu. Miał skórę białą jak marmurowe posagi, a dwudziestodwugodzinne arktyczne noce nie wpływały dobrze na jego samopoczucie. Podobnie jak wyczerpujące piętnastogodzinne zmiany. Jedyne dłonie i przedramiona miał ciemniejsze, lecz nie od słońca, a od ostrych drobinek zmielonej świdrem skały, które weszły głęboko w skórę i nie dawały się zmyć. No i na ramieniu, gdzie uderzyła go siedmiometrowa rura doprowadzająca ciecz do głowicy świdra, miał potężnego siniaka.

Mercer mieszkał w trzypiętrowym segmencie z cegły w jednej z niewielu dzielnic Arlington, które oparły się inwazji nowoczesnych biurowców. Kiedy kupił go przed trzema laty, natychmiast zabrał się do przebudowy i połączył sześć mieszkań w jeden lokal. Z zewnątrz trudno było zauważyć zmianę, bo mimo potężnej pracy wewnątrz fasadę pozostawił nietkniętą. Na trzecim piętrze znajdowała się jego sypialnia z widokiem na wysokie atrium zajmujące frontową część budynku. Piętro niżej znalazły się dwie sypialnie dla gości, pokój dzienny urządzone w stylu angielskiego klubu dla dżentelmenów i otwarta na schody oraz atrium przestrzeń, która służyła za bibliotekę. Parter zajmowała niewielka kuchnia, salon ze stołem bilardowym

i gabinet. Wszystkie trzy poziomy łączyły zabytkowe kręcone schody kupione gdzieś w Connecticut za cenę złomu.

Eklektyczny styl miejskiego domu i wystrój wnętrza odzwierciedlały charakter właściciela. Ponieważ tak dużo podróżował, potrzebował bezpiecznego portu. Ten dom uważał za swoją jedyną słabość.

Z Kanady wrócił o czwartej nad ranem, od razu położył się spać i nie wstawał z łóżka przez bite dziesięć godzin. Jasne światło wpadało do sypialni przez okno w dachu nad jego głową i przeszkłone drzwi balkonowe przy antresoli. W końcu wstał, włożył czyste dżinsy i wciągnął przez głowę spraną koszulkę szkoły górniczej w Kolorado. W nogach łóżka czekała spakowana walizka.

Kiedy się kładł, pamiętał, by zaprogramować ekspres do kawy, ale wtedy myślał, że wstanie w południe. Podgrzewany przez dwie godziny napój smakował smolą. Doskonale.

Ponieważ rzadko korzystał z kuchni na parterze, zawsze miał coś do jedzenia w szafkach za barem. Zdecydował się na płatki z mlekiem. Nie zaprzętał sobie głowy datą przydatności mleka, dopóki z kartonika nie wypadł gęsty glut przypominający kawał oślizgłego twarogu. Powstrzymując mdłości, wrzucił zawartość miski do zlewu i głośno przeklął osobę, która miała zajmować się domem w czasie jego nieobecności. W odrestaurowanej lodówce z lat sześćdziesiątych, zaopatrzonej w piwo i gotowe drinki, znalazł jeszcze sok pomarańczowy, podobnie jak mleko przeterminowany.

Harry White, osiemdziesięcioletek i najlepszy przyjaciel Mercera, który bezustannie przyprawiał go o ból głowy, doskonale wiedział, kiedy powinien zrobić zakupy na powrót gospodarza. Staruszek przyzwyczyił się traktować dom przyjaciela jak własny, co nie oznaczało bynajmniej, że zamierzał o niego dbać. Jego zdolność utrzymania jakiegokolwiek miejsca w porządku i czystości upodobała go do niedźwiedzia demolującego gawrę. W koszu na śmieci leżało kilkanaście pustych butelek po jacku danielsie i tyle niedopałków, jakby Harry wypalił dziesięć kartonów.

Mercer nie pierwszy raz przebywał kilka tygodni poza domem i doświadczenie podpowiadało mu, że mogło być znacznie gorzej. Zauważył z uznaniem, że tym razem White przynajmniej wyjmował pocztę ze skrzynki i odbierał telefony, bo na automatycznej sekretarce nagrana była tylko jedna wiadomość. Włączył odtwarzanie.

– Doktorze Mercer, mówi Cindy z gabinetu doktora Cryana – dentysty Mercera. – Dzwonię, żeby przypomnieć o oczyszczaniu zębów. Jesteśmy umówieni na dziesiątą w środę.

Odruchowo przesunął językiem po zębach i uznał, że nie grozi mu nagła utrata uzębienia.

Zabieg może więc poczekać, aż na dobre wróci z ekspedycji.

Popijając kawę, przeglądał stopy poczty i w duchu dziękował Bogu, że Harry nie powtórzył numeru z zeszłego roku, kiedy podał jego adres na kilku pornograficznych listach korespondencyjnych. Dopóki Mercer się z tym nie uporał, nie potrafił spojrzeć listonoszowi w oczy. Przerzucając kolejne koperty, uświadomił

sobie, że zwichrowane poczucie humoru przyjaciela i tym razem go nie opuściło.

Harry White nie tylko zebrał wśród znajomych sterty poczty reklamowej, ale też starannie wymieszał ważne przesyłki z ulotkami dotyczącymi usług kredytowych i innymi śmieciami, a gazety branżowe powtykał w katalogi firm, o których Mercer nigdy wcześniej nie słyszał. Minie godzina, zanim oddzieli ziarna od plew.

Zadzwoił telefon.

– Słucham?

– Cześć, Mercer. W końcu wstałeś. – Głos Harry'ego po sześćdziesięciu latach nałogowego palenia i picia brzmiał jak warkot starego diesla na mrozie.

– Wróciłem o czwartej nad ranem. Ale zaraz, skąd wiedziałeś, że już nie śpię? Gdzie jesteś, do cholery?

– Wpadłem kilka godzin temu, jak drzemałeś – sapnął Harry i wypuścił z płuc chmurę dymu. – Wróciłem tuż po południu. A teraz siedzę w twoim biurze i dzwonię z drugiego numeru.

Mercer spojrział na telefon. Rzeczywiście, lampka sygnalizująca użycie faksu była zapalona.

– Powiniennem zadzwonić po gliny, żeby cię aresztowali za podglądanie. Dlaczego nie kupiłeś mleka, draniu? Wiedziałeś, że dzisiaj wracam!

– Przecież kupiłem! – Zaprotestował Harry. – Żeby nie zapomnieć, kupiłem je dwa tygodnie temu i wczoraj przyniosłem. Jest w lodówce, razem z sokiem pomarańczowym, o który prosiłeś.

– Jest gęste jak zupa!

– Chryste, jak tu takiemu dogodzić... – Harry starał się mówić wysokim głosem, ale i tak brzmiał jak doker. – Mleko jest za kwaśne albo za gęste. Kaprysisz jak rozpuszczona panienka. Poczekaj, zaraz będę u ciebie. Nie dam rady cię słuchać, jak nie wypiję.

Mercer uśmiechnął się i odłożył telefon na bar. O ile dobrze pamiętał, przez dziesięć lat, od kiedy się poznali, nie padło między nimi jedno miłe słowo. Ale też nie pamiętał, by kiedykolwiek odmówili sobie pomocy. Oprócz domu Harry był drugą ostoją w koczowniczym życiu Mercera. Choć ich przyjaźń przeczyła wszelkiemu prawdopodobieństwu, staruszek stał się dla niego ważniejszy niż ktokolwiek inny. Był od niego dwa razy starszy, ale różnica wieku nie ciążyła na ich relacji. Obaj dość szybko zrozumieli, że podobieństwo między nimi przenika pokolenia. Mercer bardzo przypominał Harry’ego czterdzieści lat wcześniej i obawiał się, że za kilkadziesiąt lat stanie się taki sam jak przyjaciel.

Kiedy Harry wspinał się kręconymi schodami, Mercer przygotował jacka danielsa z piwem korzennym.

Obaj mężczyźni byli niemal tego samego wzrostu i prawie tej samej budowy ciała, choć siła ciężenia odebrała Harry’emu szerokie ramiona, wyrósł mu za to wydatny brzuch. Oczy Mercera miały intensywny szary kolor, a Harry’ego błyszcząły żywym błękitem. Jego twarz była poznaczona zmarszczkami jak mapa topograficzna, a siwe włosy pozostawały sztywne i gęste jak szczotka.

Harry jak zawsze miał na sobie luźne spodnie i białą koszulę z kołnierzykiem, tak spraną, że spod spodu prześwitywała biała koszulka, a do tego sportowe buty. Chłodna aura połowy marca zmusiła go do narzucenia lekkiej wiatrówki.

– Witaj w domu – powitał przyjaciela, sadowiąc się przy drinku i odwiesił laskę z ukrytą szpadą, ostatni urodzinowy prezent od Mercera, na mosiężnym relingu. Chociaż wiele lat wcześniej stracił nogę, laskę nosił raczej dla ozdoby niż z konieczności. – Chryste, wyglądasz jak główne danie na zjeździe wampirów. Kiedy ostatnio widziałeś słońce?

– Wiedziałem, że zamiast wracać do domu i znosić twoje obelgi, powinienem być polecieć ponurkować – Mercer zamilkł. Ze schodów dobiegały dziwne dźwięki i zbliżały się. Jakby cykanie, szuranie i sapanie.

Cykanie ustało, ale sapanie nie. Coś musiało dotrzeć na szczyt schodów i teraz powoli sunęło po dywanie w bibliotece. Mercer spojrział na przyjaciela, a ten odwrócił się na stołku i wyjrzał przez przeszkłone drzwi.

– No chodź, mały – wysapał. – Wszystko w porządku. Po chwili Mercer wytrzeszczył oczy.

– Co to jest, do cholery?

– Pies, do diabła. A co myślałeś?

– Zgadywałbym, że gigantyczna parówka?

Basset zdawał się rozumieć, że znalazł się w centrum zainteresowania. Zamachał ogonem i leniwie opadł na podłogę. Był długi i okrągły jak stary odkurzacz. Miał przy tym tak koślawe łapy, że szurał brzuchem po podłodze. Długie, postrzępione

uszy zwisały jak wymięte pranie, jego oczy były przekrwione, futro na pysku siwe, a pomiędzy obwisłych warg ciekła srebrzysta strużka śliny. Według Mercera mógł mieć piętnaście albo pięćdziesiąt lat.

– Mówi się, Harry, że ludzie wybierają zwierzęta podobne do nich samych. Jeśli tak, to ten biedak będzie musiał jeszcze solidnie zbrzydnąć. Skąd go wytrzasnąłeś?

– Grzebał w śmietniku za barem u Tiny’ego. – Pub należał do byłego dżokeja, Paula Gordona, Harry zaś był tam częścią wystroju wnętrza tak jak zdjęcia z konnych wyścigów. – Nie miał obroży ani plakietki. Tiny chciał zadzwonić do ochrony zwierząt, ale przecież nikt by go potem nie przygarnął. Więc się nim zająłem. Zaraz jak poleciałeś do Kanady.

– Co za miły gest. Z twojej strony...

– Na zdrowie! – mruknął Harry, wyraźnie zadowolony z siebie.

– Nazwałeś go? – Pies tymczasem wdrapywał się na skórzaną sofę.

– Tak, wabi się Drag [* *Drag* – ciągnąć (przyp. red.)]. Nie chce się ruszać, trzeba go ciągnąć na spacer.

Basset usłyszał swoje imię, więc powłóczył wzrokiem spojrzał na pana, machnął raz ogonem i całkowicie wyczerpany padł na miękką kanapę. Niemal w tej samej chwili zaczął chrapać.

Mercer się uśmiechnął. Na tej samej sofie Harry spędził niejedną noc zalany w trupa.

– Wiesz co, jesteście do siebie bardziej podobni, niż przypuszczałem.

– Ja przynajmniej mam jaja.

– Chociaż ich nie potrzebujesz – zakpił Mercer. Harry wychylił resztkę alkoholu i zapalił papierosa.

– Viagra, kochany. Viagra.

Mercer poczuł zimny dreszcz, więc przyrządził Harry'emu kolejnego drinka z whisky. Sam był na nogach dopiero od godziny, lecz skoro czekało go kilka dni wolnego, przygotował sobie wódkę z limonką, a potem włączył wentylację, bo dym tytoniowy utworzył już gęstą chmurę.

– Na pewno nie chcesz jechać ponurkować?

– Nie, zostanę tutaj – odpowiedział podejrzliwie, bo ton Harry'ego wzbudził jego czujność.

– W takim razie muszę cię zaprosić na imprezę, którą urządzam tu w sobotę.

– Rany, dzięki. To miło z twojej strony.

– E, nie ma o czym mówić – mruknął Harry. – To drobiazg. Godzinę później, kiedy Mercer kończył drugą wódkę, Harry wysączył resztkę czwartego drinka i wstał.

– Muszę odcedzić kartofelki. Drag pewnie też. – Z kieszeni kurtki wyciągnął smycz, przypiął karabińczyk do obroży psa i spróbował delikatnie go zbudzić. Basset dalej chrapał. – No dalej, wstawaj bestio.

Skóra na grzbiecie Draga zadrżała jak u konia, który odpędza gzy. Pies sapnął niezadowolony. Minęła minuta, zanim Harry zwłókł go ze schodów. Mercer wyszedł za nimi do biblioteki, żeby z góry obserwować walkę. Drag położył się na brzuchu, gdy tylko dotarł do płytek w holu, i Harry musiał go ciągnąć

po podłodze. Wreszcie pies zrozumiał, że upór nie uchroni go przed spacerem.

Staruszek spojrział w górę.

– Ma charakter – powiedział i złapał za klamkę. W tej samej chwili zadźwięczał dzwonek.

W progu stało dwóch mężczyzn ubranych w nowiutkie czarne garnitury, które zdradzały, że obaj pracują dla rządu. Muskularni, ostrzyżeni na jeża, z twarzami pozbawionymi emocji. Typowy wygląd żołnierzy oddziałów specjalnych. Zaskoczeni nagle otwartymi drzwiami, sięgnęli odruchowo pod marynarki, ale zamarli w ostatniej chwili, nim zdążyli wyciągnąć broń. Nikt nie miał jednak wątpliwości, co zamierzali.

– Doktor Philip Mercer? – zapytał wyższy oskarżycielskim tonem.

– We własnej osobie – odpowiedział Harry.

Niższy ruszył przed siebie, zmuszając staruszka do zrobienia kilku kroków w tył. Miał kilka lat więcej od atletycznego kolegi i wydawało się, że jest jego szefem. Spojrział Harry'emu w oczy, żeby nie było żadnych wątpliwości i powiedział:

– Omega dziewięćdziesiąt dziewięć świątynia. Pionek?

W czasie II wojny światowej Harry był marynarzem floty handlowej, więc kiedy słyszał tajny kod, umiał go rozpoznać. Odpowiedział pierwszymi słowami, jakie przyszły mu do głowy.

– Deszcz w Hiszpanii pada na matadora na bani.

Mercer stał kilka metrów nad nimi, więc nie słyszał rozmowy ani nie widział twarzy gości, u których początkowe zaskoczenie zmieniło się w złość. Nie miał pojęcia ani kim są, ani czego chcą.

Zresztą zupełnie go to nie interesowało. Był na wakacjach. A potem rozległ się głos Harry'ego:

– Hej, czy omega dziewięćdziesiąt dziewięć świątynia, pionek cości mówi?

Gwałtowna fala adrenaliny podziałała na niego jak porażenie prądem. To był kod identyfikacyjny ustalony na spotkaniu w Białym Domu trzy miesiące wcześniej przez Irę Lasko, doradcę sekretarza bezpieczeństwa narodowego, emerytowanego admirała Marynarki Stanów Zjednoczonych. A tamci dwaj byli funkcjonariuszami Secret Service, z prezydenckiej ochrony. Odpowiedź na kod automatycznie pojawiła się w jego głowie.

– Karawan jedenaście przesilenie.

Agent wyższy rangą rzucił mu wściekłe spojrzenie.

– Philip Mercer?

– Tak.

Mercer nie znał szczegółów, ale wiedział, w jakim celu tu przyjechali. I wiedział, że sam jest sobie winien. Dobrowolnie się na to zgodził.

Dawno temu doszedł do przekonania, że na rozkład zasobów naturalnych na ziemi można patrzeć w dwójnasób. Albo matka natura celowo ukryła swoje najcenniejsze skarby w najbardziej niebezpiecznych i niestabilnych politycznie miejscach, co było raczej mało prawdopodobne, albo obecność bogactw mineralnych nastawiała miejscowych przeciwko sobie. Wiedział, że ta druga odpowiedź była prawdziwa. Zbyt wiele razy to widział, by mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

Handel krwawymi diamentami i pragnienia kontroli nad miejscami, gdzie się je wydobywa, to podstawowe przyczyny wojen domowych w całej Afryce. Kolumbijska partyzantka, FARC i inne ugrupowania z Ameryki Łacińskiej trzydzieści lat walki opłacały pieniędzmi pochodzącymi z handlu nielegalnie wydobywanymi szmaragdami. A Bliski Wschód bez ogromnych złóż ropy naftowej i pieniędzy z jej sprzedaży nie miałby za co eksportować wyjątkowo agresywnego fundamentalizmu. Z tego powodu zupełnie nie zaskoczył go gwałtowny wzrost aktywności partyzantki w Indonezji, który zgrał się z uruchomieniem gigantycznej kopalni złota na wyspie Irian Jaya.

Uniwersalna prawda była taka, że bogactwo rodziło chciwość w jednych i zazdrość w innych, a potem wystarczyło poczekać, aż obie strony zaczną walczyć o dominację. Flagi, pod którymi wojowali, i powody, na które się powoływali, były zasłoną dymną ukrywającą nieprzyjemną prawdę o prymitywnych przyczynach konfliktów między ludźmi.

Zawód Mercera sprawił, że był świadkiem tego wszystkiego – terroru, masakr i nieludzkiego okrucieństwa. Wykonując zlecenia, znalazł się w sercu kilku mniejszych wojen domowych, konfliktów etnicznych i przewrotów oraz powstań. Nie potrafił pozostać bierny wobec tych wydarzeń ani wzorem innych pracowników z zagranicy podwinąć ogon i uciec. Często zostawał i się angażował, przyczyniając się do ocalenia wielu istnień.

Ponieważ osiągał kolejne sukcesy, szybko zainteresowały się nim wysoko postawione osobistości, pracujące dla wywiadu i wojska. One bowiem, jak nikt inny, potrafiły docenić wyjąt-

kowe umiejętności i doświadczenie w rejonach zagrożonych rozruchami i terroryzmem. W zeszłym roku skontaktował się z nim Ira Lasko i zaproponował dołączenie do zespołu. Obiecał utworzyć stanowisko specjalnego doradcy naukowego, na którym przydatne byłyby zdolności Mercera. Zakres obowiązków miał wykraczać daleko poza zwykły nadzór nad badaniami, bo priorytetem było kształtowanie polityki bezpieczeństwa państwa. Mercer zgodził się i został doradcą, a kiedy dochodziło do konfliktu między światem nauki i terroryzmu, pracował też jako agent w miejscach, w których trwały tarcia. Ze swoim doświadczeniem oferował świeże spojrzenie na problemy, których nikt inny nie potrafił rozwiązać.

Mercer zbiegł schodami do holu. Swobodny nastrój kilku wcześniejszych godzin zniknął w okamgnieniu, a szansa na pierwszy od roku urlop odeszła w niepamięć. Ira nie wysłałby po niego dwóch agentów, jeśli nie miałby powodów. Coś było na rzeczy. I to coś poważnego.

– Zapraszam do środka – powiedział. – Harry, nie spiesz się z powrotem.

– Jak tam chcesz. – Osiemdziesięciolatek uśmiechnął się do agentów. – Przepraszam za żarcik. Bez urazy, nie?

Niższy agent zignorował staruszkę i machnął Mercerowi przed nosem legitymacją Secret Service. Agent specjalny Michael Thayer.

– Kim był ten człowiek?

– Przyjaciel. Wie o mojej współpracy z admirałem Lasko. Spokojnie.

Thayer pozostał sztywny.

– Admirał Lasko wysłał nas z zadaniem zorganizowania transportu dostarczenia pana do bazy sił powietrznych Andrews. Tam czeka jużna pana samolot. Proszę spakować się na tydzień.

Przynajmniej Ira zakłada, że w ogóle wrócę, pomyślał Mercer.

– Dokąd lecę? Muszę wiedzieć, co ze sobą wziąć – zadał najpraktyczniejsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy.

– Ta informacja nie została nam ujawniona – wyjaśnił drugi agent.

– No dobra. Dajcie mi kilka minut.

Powiedziawszy to, wbiegł na schody. Kiedy na górze się obejrzał, agenci stali w tym samym miejscu przy drzwiach.

– Staruszek będzie za chwilę z powrotem. Powiedzcie mu, że poszedłem się pakować.

Po powrocie z Kanady nie zdążył się jeszcze rozpakować, więc wrzucił wszystkie brudne ubrania prosto do kosza na pranie, a pusty bagaż położył na łóżku. Samolot na lotnisku mógł oznaczać zarówno niewielką awionetkę i pół godziny lotu, jak i C-5 galaxy, wojskowy transportowiec, którym można dotrzeć na drugą stronę globu. Nie ma co zgadywać, pomyślał. Spakował bieliznę na tydzień, kosmetyki, parę czystych dżinsów, kilka codziennych koszul, luźne spodnie i sportową marynarkę. Po namyśle wybrał jeszcze elegancką koszulę, krawat i dwa bardzo wytrzymałe kombinezony górnicze ze wzmocnionymi plastikami kolanami i łokciami.

Zanim wepchnął do walizki metalowy kask, z szafki nocnej wyjął jeszcze półautomatyczną berettę 92. Broń odciskała się

znajomym, chłodnym kształtem w jego dłoni. Nie musiał sprawdzać, czy magazynek jest naładowany – doskonale wyczuwał jej wagę z nabojami w kolbie i bez nich. Wsunął pistolet do wyściełanego wnętrza kasku, całość umieścił w skórzanej walizce i zapiął zamek. Do zewnętrznych kieszeni trafiła para ciężkich roboczych butów i eleganckie mokasy.

Spojrzał na zegarek. Trzy minuty czterdzieści sekund od chwili, kiedy walizka trafiła na łóżko. Całkiem nieźle.

Z holu usłyszał Harry'ego, więc zawołał w stronę schodów:

– Nie musisz się do mnie wspinać. Wyjeżdżam.

– Serio myślałeś, że interesują mnie twoje plany? – Harry uniósł ze zdziwienia brwi. – Zostawiłem niedopity drink.

Spotkali się w pół drogi, w bibliotece. Mercer wszedł za przyjacielem do pokoju barowego i wychylił resztkę swojej wódki z limonką.

– Nie będzie mnie jakiś tydzień. Tak przynajmniej twierdzą ci smutni panowie. Ale kto ich tam wie. – Mercer wyciągnął z portfela dwie studolarówki. – Masz, na imprezkę.

– Dzięki. – Harry nie dotknął pieniędzy.

– Jak skończycie, zapłać komuś, żeby posprzątał. Ostatnim razem zostawiliście tyle kartonów po pizzy, że jak je wyrzuciłem, tapnęły światowe giełdy makulatury. – Mercer się zaśmiał. – Na razie, Harry.

– Na razie. – Harry zrobił dobrotliwą minę, która miała ukryć rozczarowanie.

Drag odwdzięczył się za pożegnalne podrapanie lepkiem liźnięciem w dłoń, a potem przewrócił się na bok i zasnął u stóp swojego pana.

Z szafy przy drzwiach wejściowych Mercer wyjął skórzaną kurtkę ze ściągaczem i wyszedł za Thayerem i jego partnerem. Przy krawężniku naprzeciwko domu parkował ciemny chevy suburban. Ruch w kierunku bazy lotniczej w Andrews był dość duży, więc droga zajęła im przeszło godzinę. W samochodzie panowała całkowita cisza; nikt się do niego nie odezwał, co Mercerowi całkiem odpowiadało.

Dopiero teraz miał czas, żeby przemyśleć wydarzenia ostatnich dwóch godzin. Żałował całej tej wymuszonej tajemniczości. Przecież Ira mógł po prostu zadzwonić i powiedzieć, dlaczego go potrzebuje. I tak by pojechał. Lasko nie musiał wysyłać dwóch służbistów, żeby go porwać z domu, zapakować do samolotu i wysłać w jakiś tajny lot. Jak zwykle przesada. Rząd nie znoślił pytać nikogo o zdanie, a on tego nie lubił.

Po serii posterunków kontrolnych Thayer wjechał potężnym wozem na teren bazy, a potem drogą wewnętrzną potoczył się do pasa startowego. Lotnisko opuszczała właśnie podniebna cysterna KC-135. Ryk czterech potężnych silników był ogłuszający, a czarne smugi spalin wyglądały jak ślady pazurów na błękitnym niebie. Suburban zwolnił przy ogromnym hangarze i wjechał powoli do środka. Wewnątrz stał tylko jeden samolot, Gulfstream IV w wersji biznesowej, w barwach Sił Powietrznych USA. Zatrzymali się tuż obok niego. Przy trapie czekał żoł-

nierz w moro. Ciemne insygnia na kołnierzu bluzy informowały o randze kapitana.

Bez żadnego wstępu potężny Afroamerykanin zwrócił się do Thayera:

– Przywiozłeś mojego pasażera?

Mercer wy dostał się z samochodu i chwycił walizkę. Żołnierz spojrział na niego.

– Philip Mercer? – zapytał po prostu. Geolog kiwnął głową.

– Witam. Jestem Sykes. Omega dziewięćdziesiąt dziewięć świątynia.

– Karawan jedenaście przesilenie.

– Dobra, zapraszam na pokład.

Jeszcze zanim Mercer zapiął pasy, silniki odrzutowca ożyły i smukły kształt ruszył w kierunku pasa startowego. Wszystkie okna były szczelnie zasłonięte, sięgnął więc do najbliższej żaluzji i spróbował ją unieść. Kapitan Sykes nachylił się szybko i opuścił ją z powrotem.

– Przykro mi, doktorze. Rozkazy – wyjaśnił i wpakował do ust zwitek tytoniu. Wydawało się, że łyka wyżuty sok.

– Wiadomo, jak długo potrwa lot?

– Dość długo, żeby opróżnić kilka szklaneczek dżinu. Wspañiale.

– Znasz admirała Lasko?

– On autoryzował ten lot – odparł Sykes. – Ale nigdy go nie widziałem. Za wysokie progi.

– Jeśli jakimś cudem zobaczysz się z nim, zanim ja go spotkam. – Mercer rozsiadł się w fotelu, wyciągnął nogi i zamknął oczy. – To mu powiedz, że już nie żyje.

– To może partyjka?

– Odpada. Ale polecam pasjansa.

Kilka minut później Mercer poczuł, jak samolot odrywa się od pasa startowego. Nie było najmniejszego sensu zastanawiać się, dokąd lecą. To samo zresztą dotyczyło powodów, dla których był potrzebny Irze. Zamiast się denerwować i zamęczać umysłową ekwilibrystką, odpłynął w półsen. Jeśli lot potrwa długo, przynajmniej go prześpi.

Gnać w nieznanne. Kiedy w jego głowie pojawiły się te słowa, natychmiast przypomniał sobie o pierwszym zleceniu. Miał ratować ludzi uwięzionych w zawałonej kopalni. Rozmyte jak we śnie obrazy zaczęły przesuwać się przed jego oczyma, jakby był nieruchomym obserwatorem, a rzeczywistość pędziła dookoła niego. Miał wtedy dwadzieścia siedem lat i mierzył się z jednym z pierwszych zleceń. W kopalni węgla w Wirginii Zachodniej, w której miał opracować najlepszą technologię eksploatacji złoża, czterysta metrów pod ziemią wybuchł pożar. Jako jedyna osoba, która przeszła szkolenie i trening ze sławną i najlepszą na świecie grupą ratownictwa podziemnego Proto Team z RPA, Mercer pierwszy zgłosił się na ochotnika do akcji ratowniczej. Wkrótce przyszła wiadomość, że nie wszyscy górnicy zdołali się ewakuować. I tak Mercer poprowadził zespół czterech mężczyzn do windy.

Na windzie umieszczona była tabliczka z napisem:

„W naszej kopalni przez 203 dni nie wydarzył się żaden wypadek” Trzeba zresetować licznik, pomyślał.

Dym szczelnie wypełniał szyb. Był tak gęsty, że lampki innych górników zamieniły się w słabe punkciki. Sadza grubą warstwą zalepiała szyby masek tlenowych, a każda próba jej usunięcia kończyła się niepowodzeniem. Przerazenie zmieniło oddech Mercera w paniczne spazmy.

Winda ruszyła – gnała w nieznane. Minęli dziesięć poziomów i opadali dalej, w coraz gęstszy dym. Im bliżej byli poziomu jedenastego, tym robiło się goręcej. Skały promieniowały ciepłem jak rozgrzany piec hutniczy. Ale nikt nie chciał się wycofać. Dopóki nie będzie wiadomo, co stało się z dwudziestoma sześcioma zaginionymi, którzy zostali uwięzieni w pożarze.

Po otwarciu drzwi oczom Mercera ukazał się widok straszniejszy niż najgorsza wizja Hadesu. Ściany, sufit i podłoga płonęły po potężnym podmuchu pierwszej eksplozji. Cokolwiek tylko mogło zapłonąć – buchało ogniem. Większość pozostałych na dole mężczyzn zginęła; ich zwłoki były powykręcane i zwęglone. Ale znacznie gorsze było to, że kilkoro jeszcze żyło. Ratownicy użyli ręcznych gaśnic, by przytłumić czerwone jęzory ognia. Kiedy ryk pożaru nieco ucichł, korytarz wypełniły przerażające jęki umierających.

Pierwsza eksplozja wyssała większość tlenu w podziemnych wyrobiskach, lecz rozszalałe płomienie czerpały go coraz więcej z góry, choć przemysłowe wentylatory zostały wyłączone. Mercer wiedział, że kiedy w kopalni pojawi się dość tlenu, zapali się pył węglowy w powietrzu. Mieli zaledwie kilka minut. Przenieśli

rannych do windy i sami wsiadli do środka. Dwóch ratowników chciało zostać i szukać dalej, ale Mercer kategorycznie im tego zabronił. Było zbyt gorąco. Zbyt duże ryzyko, graniczące niemal z samobójstwem.

Podmuch drugiej eksplozji, równie silnej jak pierwsza, zatrząsał windą, kiedy od powierzchni dzieliło ich dwadzieścia metrów. Spłonęliby żywcem, gdyby nie chroniły ich ognioodporne kombinezony. Mimo zagrożenia wykorzystali swoje ciała jak tarcze, by zasłonić rannych górników. Kiedy winda się zatrzymała, po omacku wynieśli siedmiu poparzonych towarzyszy na zewnątrz. Robotnicy i ratownicy na powierzchni zorganizowali tymczasem polowy punkt opatrunkowy, do którego natychmiast trafili ranni. Mercer i pozostali ratownicy zaczęli zdejmować nadpalone kombinezony. Kiedy, kulejąc, dotarł do lazaretu, tylko jeden z wyniesionych mężczyzn jeszcze żył, ale i on zmarł, zanim udało się go przewieźć do najbliższego szpitala. Kopalnia płonąła jeszcze przez dwanaście dni. Kiedy pożar uspokoił się na tyle, że można było ponownie zejść na dół, ratownicy wydobyli resztę spalonych ciał, a poziom jedenasty został zamknięty, by nigdy nikt już do niego nie wchodził.

Ze wszystkich akcji ratunkowych ta jedna zapadła Mercerowi najgłębiej w pamięci. I to nie dlatego, że była pierwsza, ale dlatego, że była dotychczas jedyna, w której nie udało się uratować żadnego z górników, którzy żyli, kiedy ich wyciągano. 33 Mercer pokręcił głową, żeby odpędzić natarczywe obrazy. Jego pamięć przepełniały tak przerażające wspomnienia i wizje z przeszłości, że starał się je odpychać. Ponury nastrój, zupełnie mu obcy,

przypisywał tajemniczości, z jaką go potraktowano. Nieznane zawsze wydawało się najgroźniejsze. Wiedział, że kiedy tylko się wyjaśni, po co i gdzie go potrzebowano, samopoczucie zaraz mu się poprawi.

Cztery godziny później nieustanny ryk silników nagle się wzmógł i zmienił natężenie. Zaczynali schodzić do lądowania. Zakładając, że samolot leciał około siedmuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, Mercer obliczył w myślach, że przebyli mniej więcej trzy tysiące osiemset, może cztery tysiące kilometrów. Problem w tym, że nie miał pojęcia, w jakim kierunku lecieli. Mogli być właśnie w Ameryce Południowej, na Azorach, Grenlandii albo na zachodzie, w okolicach...

Nie, to niemożliwe...

A może jednak? Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć. Sykes nie spał, ale przez ostatnich piętnaście minut nie przewrócił strony książki, którą wcześniej czytał. Zanim komandos się zorientował, że obniżają lot, Mercer uniósł o kilka centymetrów żaluzję. Ciemność na zewnątrz była nieprzenikniona. Mogli być nad Atlantykiem, ale bardzo w to wątpił.

Księżycowa poświata odbijała się od chmur powyżej gulfstreama. Przycisnął dłoń do szyby, żeby nie przeszkadzały mu światła z kabiny. Po chwili dostrzegł zarys pasma gór na horyzoncie.

Samolot delikatnie skręcił i nagle ziemia rozbłysła feerią kolorowych światel. Widok był niesamowity i jedyny w swoim rodzaju. Lecieli nad Las Vegas.

A w okolicach Las Vegas było tylko jedno miejsce tak tajne, by uzasadniało procedury bezpieczeństwa, jakim go poddano. Był

to oddalony od siedzib ludzkich fragment pustyni, eufemistycznie zwany Krainą Marzeń, choć znacznie szerzej znana była jego nazwa pochodząca ze starych map Departamentu Energii USA.

Strefa 51.

Strefa 51, Nevada

Odkrycie celu, do którego zmierzał, niczego nie wyjaśniło, zagęściło tylko aurę tajemnicy otaczającej rządową misję.

Wszystko, co wiedział o Strefie 51, pochodziło z telewizji. Odosobniony ośrodek wojskowy z bazą lotniczą Nellis Air Force i poligonem atomowym Yucca Flats, zajmujący powierzchnię większą niż Szwajcaria. To tutaj, w latach pięćdziesiątych zeszłego wieku odbywały się pierwsze próbné loty szpiegowskich U-2. Od tamtego czasu większość amerykańskich samolotów przechodziła testy nad potężnym wyschniętym jeziorem Groom, na którym znajdowała się większość instalacji Strefy 51. SR-71, F-117 Stealth, bombowiec B-2 Spirit i myśliwiec F-22 Raptor właśnie tu po raz pierwszy wzbily się w powietrze. Mówiono, że obecnie inżynierowie pracują nad hipersonicznym samolotem szpiegowskim o roboczej nazwie Aurora, który miałby zastąpić słynnego blackbirda. Telewizyjne wiadomości były znane wszystkim Amerykanom, choć wojskowi cały czas uparcie zaprzeczali istnieniu bazy na terenie Strefy 51.

Jednak legenda Strefy miała swoje korzenie przede wszystkim w pogłoskach o latającym spodku, który miał się rozbić w Roswell, w Nowym Meksyku, w 1947, a potem zostać zbzdany w tajnych laboratoriach armii Stanów Zjednoczonych. Wyznawcy teorii spiskowych każde dementi rządu odczytywali jako potwierdzenie swoich domysłów. Szybko zaczęli gromadzić

doniesienia o niewyjaśnionych światłach, zeznania oszołomów i narkomanów i przenieśli swoją paranoiczną obsesję na kolejny poziom, dowodząc, że na przechwyconym statku kosmicznym prowadzone są prace z zakresu inżynierii wstecznej i dziwaczne eksperymenty na jego załodze.

Mercer nie wierzył w ani jedno ich słowo. Strefa 51 była po prostu bazą, w której wojskowi w spokoju pracowali nad najnowocześniejszymi modelami samolotów. Pomijając absurdalność pomysłu, że przedstawiciele pozaziemskiej cywilizacji byli tak głupi, by rozbić się na naszej planecie, utrzymywanie ich istnienia przeszło pół wieku w tajemnicy kłóciło się ze zdrowym rozsądkiem.

Jedynym szczegółem opowieści o Strefie 51, w który Mercer nie wątpił, były nadzwyczajne siły bezpieczeństwa uprawnione do używania ostrej amunicji. Nie wiedział co prawda, czy kiedykolwiek korzystali z tego prawa, ale znane były sytuacje, w których nieostrożni podróżni i miłośnicy samolotów wracali z tamtych okolic w eskorcie uzbrojonych mężczyzn.

Żaluzja opadła gwałtownie jak ostrze gilotyny. Kiedy Mercer uniósł głowę, napotkał wzrok kapitana Sykesa, który wyrażał jednocześnie niezadowolenie i rezygnację.

– Doktorze, mówiłem, że nie wolno.

Zanim zdążył dodać choćby słowo, z kokpitu wychylił się drugi pilot i go zawołał.

– Kapitanie, poproszę na słówko.

Sykes podszedł do niego, stanął przy drzwiach do kabiny i przez kilkanaście sekund uważnie słuchał, co tamten miał mu

do przekazania. W końcu pokiwał głową i wrócił do swojego fotela. Drugi pilot zniknął w kokpicie i zamknął za sobą drzwi.

Zanim Sykes usiadł, sięgnął do schowka nad głową, wyjął coś z niego i rzucił Mercerowi. Na kolanach geologa wylądował przedmiot przypominający maskę spawalniczą, lecz z całkowicie nieprzejrzyistą szybką. Gdyby założył ją na głowę, nie widziałby nawet cieni.

– Kiedy wylądujemy, załóż ją pan – powiedział komandos.

– Czy to konieczne? Przecież już wiem, gdzie jesteśmy.

– Jeśli będzie pan udawał, że nie wie, gdzie lądujemy, ja nie będę musiał udawać, że wypełniam tonę bezsensownych formularzy i raportów. To przysługa. Wygląda na to, że lecieliśmy pod wiatr, bo inaczej zostałby pan przetransportowany z samolotu do furgonetki bez okien. Ale nie jesteśmy na czas i za dziesięć minut będziemy mieli rosyjskiego satelitę szpiegowskiego nad głowami. Wylądujemy normalnie, ale nie zatrzymamy się na lotnisku, tylko wkołujemy prosto do hangaru. – Głos Sykesa stał się poważniejszy. – Bezpieczeństwo w tej bazie jest na najwyższym poziomie na świecie, doktorze. Wartownicy mają rozkaz najpierw strzelać, a potem nie zadawać pytań. Zrozumiał mnie pan?

– Tak.

– Mówię to, żeby ocalić panu życie. Kiedy wysiądziemy z samolotu, poprowadzę pana za rękę. Proszę nie zdejmować maski. Jeśli ją pan ściągnie, nikt nie będzie oddawał strzałów ostrzegawczych. Pierwszy wystrzelony będzie dla pana ostatnim.

Mercer uśmiechnął się kwaśno. Sykes najwyraźniej naprawdę martwił się o jego bezpieczeństwo. Spojrzał na dziwaczny hełm na swoich kolanach.

– Dobra. Proszę dać mi znać, kiedy mam to założyć.

Samolot był coraz niżej, Las Vegas zostawało w tyle. Zniżali się w kierunku najdłuższego pasa startowego na świecie, dwukrotnie dłuższego niż potrzeba promom kosmicznym. Gulfstream opadł na płytę lotniska delikatniej i płynniej niż jakikolwiek samolot, którym Mercer leciał wcześniej. Pilot tak się spieszył, by uniknąć obiektywów rosyjskiego satelity, że niemal nie zwalniał, kiedy kołowali do hangaru.

Nagłe hamowanie tuż przed celem podróży wyrwało kawałki gumy z opon i wbiło pasażerów w fotele. Odrzutowiec zakołysał się, gdy zgasły silniki.

– Dobra, może się pan przygotować – oznajmił Sykes, wskazująca maskę. – O bagaż niech się pan nie martwi. Ja się nim zajmę.

Mercer włożył kurtkę i wsunął maskę na głowę. Pogrążył się w ciemności. W pierwszej chwili poczuł się zdezorientowany. Dopiero kiedy poruszył szyją, dostrzegł czubki swoich butów i kawałek miękkiej wykładziny.

– Zupełnie, jakbyśmy się bawili w ciuciubabkę.

– Lepsza ciuciubabka ze mną niż zabawa ze strażnikami w „kto pierwszy trafi geologa”. – Sykes się roześmiał. – Proszę iść zgodnie ze wskazówkami. Nie trzeba będzie się schylać. Dobrze. Teraz proszę skrócić. Już prawie jesteśmy na schodkach. Cztery stopnie i asfalt.

Kiedy Mercer zbliżył się do wyjścia i poczuł, że zmienia się oświetlenie, zatrzymał się i, dając Sykesowi ledwie pół sekundy na reakcję, zdjął hełm z maską.

Widok zapierał dech w piersiach.

Hala hangaru była kilkanaście razy większa niż ta, do której Mercer trafił w bazie Andrews. Oświetlenie pochodziło z kilku wyjątkowo mocnych lamp, zawieszonych jakieś dziesięć piętér nad jego głową. Potężne skrzydła bramy, dość duże, by do środka wprowadzić pasażerski odrzutowiec, zdążyły się już zamknąć za ogonem gulfstreama. Ale to nie wymiary budynku zrobiły na nim takie wrażenie – tak naprawdę ledwie zwrócił na nie uwagę. Podobnie nie zainteresował go matowy czarny dziób bombowca B-2 Stealth, który przyciął się z boku, niczym potwór z koszmaru. Jego obłą sylwetkę naruszały jedynie kokony silników i dwuosobowa kabina.

Mercer nie mógł oderwać wzroku od samolotu w kształcie latającego spodka. Maszyna nieopodal unosiła się bezgłośnie półtora metra nad ziemią. Miała może dziesięć metrów średnicy, trzy wysokości i zbudowana była z połyskującego srebrno materiału.

Mercer spojrział z niedowierzaniem, a potem wybuchnął śmiechem, jeszcze zanim Sykes zdążył zareagować na jego nie-subordynację. To, co początkowo wziął za statek powietrzny Obcych, było po prostu dużą makietą reklamową producenta talerzy. Unoszący się nad ziemią dysk okazał się modelem, dopracowanym dowcipem któregoś z zatrudnionych tu techników.

Liny, na których zwiisał z sufitu, były widoczne tylko dla tego, kto ich wypatrywał.

Jak okiem sięgnąć, nie było śladu uzbrojonych strażników, przed którymi ostrzegał kapitan.

Kolejnym zaskoczeniem był komitet powitalny. Nieco z boku stał Ira Lasko w towarzystwie kobiety w białym kitlu laboratoryjnym. Oboje byli pogrążeni w poufalej rozmowie, więc Mercer odwrócił się i spojrzał na Sykesa.

– Głowę bym dał, że słyszałem, że nigdy się nie spotkaliście?

– Wie pan, jak jest. – Sykes wzruszył ramionami. – Mała ścierna. Tak naprawdę nie byłem nawet pana obstawą. Wczoraj admirał Lasko wysłał mnie na chwilę do Waszyngtonu i tak się złożyło, że załapałem się na powrotny lot.

Mercer pokonał schody i podszedł do Iry. Zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego miał ponad pięćdziesiąt lat i był chorobliwie chudy, choć emanowała z niego niesamowita siła nieadekwatna do wzrostu. Żeby nie dać się pokonać łysieniu, zastosował taktyczne uderzenie wyprzedzające i golił głowę. Dodawało to jego twarzy zdecydowania i podkreślało mocno zarysowaną szczękę i przenikliwe brązowe oczy pod przyprószonymi siwizną brwiami. Miał poniżej metra siedemdziesięciu i nie należał do wysokich mężczyzn, lecz aura szacunku i poważania była wyczuwalna z daleka.

Ira miał na sobie spodnie khaki, koszulę w tym samym kolorze i skórzaną pilotkę. Temperatura w hangarze wynosiła kilkanaście stopni – Strefa 51 znajdowała się wprawdzie na

pustyni, ale na wysokości ponad półtora tysiąca metrów nad poziomem morza.

– Powiedziałem szefowi ochrony, że jeśli wysiadziecie w hangarze, nie dasz sobie zakryć oczu – wyjaśnił Ira i wskazał dłonią drugi koniec, gdzie pod wielkimi pokrowcami ukryto, bez wątplenia, samoloty futurystycznych kształtach. – Dlatego najciekawsze rzeczy zostały schowane.

Początkowa złość wywołana sposobem, w jaki go tu sprowadzono, stopniowo ustępowała miejsca zadowoleniu. Przynajmniej miał okazję rzucić okiem na projekty zazdrośnie strzeżone przez rząd. Jeśli zwolennicy teorii spiskowych mieli rację, w Strefie 51 działy się rzeczy, o których nawet prezydent nie miał zielonego pojęcia. Mimo to postanowił, że nie da Irze satysfakcji i nie okaże, pod jakim jest wrażeniem kształtów otaczających go maszyn.

– Zamierzasz mi wyjaśnić, co może być tak ważne, żeby porwać mnie z domu? – Ujął wyciągniętą dłoń admirała. – Telefon i bilet do Vegas by wystarczyły.

– Od dwóch dni usiłowałem się do ciebie dodzwonić – odparł Ira. – Ale nie mogłem się nagrać, bo za każdym razem Harry podnosił słuchawkę. – Mercer pamiętał, że Ira i Harry raczyli się parę razy opowieściami z wojny. Admirał swoją służbę w marynarce rozpoczął na okrętach podwodnych, tymczasem starszerek uciekał przed nimi po całym Pacyfiku. – Przecież gdybym mu powiedział, że masz się tutaj stawić, szybciej niż ty zarezerwowałby bilet do Vegas.

Mercer nie mógł temu zaprzeczyć. Nie, to byłoby rzeczywiście nieuniknione.

– Ale to chyba nic złego? W końcu zeszłej jesieni w Panamie uratował mi tyłek.

– A potem w kasynach przepuścił sześć tysięcy z twojej karty kredytowej.

Tym razem Mercer się nie uśmiechnął. Nie chciał poprawiać admirała, ale dziesięć tysięcy było sumą znacznie bliższą prawdy.

– Poza tym – kontynuował Ira – tym razem nie będziesz go potrzebował jako niańki. Ściągnąłem cię tutaj do prostej pracy. Nic wyrafinowanego, za to wreszcie coś zgodnego z twoim zawodem. Ale to dla nasważne zadanie.

Mercer uniósł brew.

– Dla nas?

Ira spojrzał na kobietę obok.

– Pozwól, że przedstawię ci doktor Brianę Marie. Jest szefem projektu. Wszystko ci wytłumaczy.

– Bardzo mi miło. – Mercer potrząsnął dłonią delikatnej brunetki.

Kobieta nie miała makijażu, ale nie potrzebowała go, bo emanowała z niej młodzieńcza naturalność. Uśmiechnął się delikatnie, kiedy doktor Marie przesunęła dłonią po białym kitlu, celowo prezentując błyszczącą złotą obrączkę. Po chwili jednak się zastanowił i ocenił sytuację z jej perspektywy. Na każdą kobietę z personelu bazy przypadało kilkuset mężczyzn, więc mimowolna manifestacja stanu cywilnego weszła jej pewnie w krew.

– Medycyna?

– Nie, fizyka nuklearna – odpowiedziała nadzwyczaj głębokim głosem.

Jej słowa zaskoczyły Mercera. Spojrzał na Irę.

– Testowanie nowych samolotów to tylko część naszych projektów – wyjaśnił admirał. – Ale co ja mogę wiedzieć... każdy oddział ma swoje zadania, a ja jestem tylko urzędnikiem prezydenta.

– Typowe... prawa ręka nie ma pojęcia, co robi lewa? – żartował Mercer.

– Gorzej. Ludzie tutaj nie wiedzą nawet, że ta lewa ręka istnieje! – spuentowała doktor Marie.

– Chociaż masz dostęp do tajemnic – kontynuował Ira – musiałem uderzyć do wyżej postawionych znajomych, żebyś mógł poznać szczegóły operacji, w której weźmiesz udział. Pozostali z twojego zespołu nie mają o niczym pojęcia.

Mercer poczuł zimny dreszcz, który nie miał nic wspólnego z pogodą. Dość dobrze znał Irę, by odczytać jego prawdziwy nastrój. Kiedy ostatnio siedzieli razem w barze i popijali drinki, nie zauważył zmarszczek okalających oczy admirała i głębokich bruzd na jego czole. Nie, zdecydowanie nie był to stres meteopaty wywołany zmianą pogody.

– Dobrze, Ira, więc słucham. O co chodzi? Briana Marie odpowiedziała pierwsza.

– Mieliśmy wypadek. Zginęli ludzie. Potrzebujemy pana pomocy, żeby posunąć pracę naprzód.

Gwizd wiatru za drzwiami hangaru przypominał żałobne zawodzenie.

Mercer dowiedział się jeszcze, że tę noc spędzi na terenie głównego kompleksu, a następnego ranka zostanie przewieziony w miejsce otoczone jeszcze większą tajemnicą niż sama Strefa 51 – na teren o nazwie DS-Dwa. Ira poprosił kapitana Sykesa o wskazanie drogi do pokoju w budynku za hangarem. Nad chodnikiem na zewnątrz zbudowany był metalowy dach, pewnie po to, żeby ukryć ruch przed obiektami satelitów szpiegowskich.

Pokój nie różnił się niczym od pokoi w hotelach, w których Mercer sypiał dotychczas, z wyjątkiem jednego drobiazgu – zamka umieszczonego tylko na zewnątrz. Żeby wyjść na korytarz, musiał uruchomić brzęczyk, którym przywoływał umundurowanego recepcjonistę. Po raz pierwszy od wylotu z Kanady, czyli od trzydziestu sześciu godzin, w czasie których pokonał kilka tysięcy kilometrów, wreszcie wziął prysznic. Pomyślał, że ma szczęście, bo dzięki podróży na zachód całkowicie ominął go problem zmiany stref czasowych. Kiedy tak stał pod strumieniem lodowatej wody, przypomniał sobie dowcip o turyście na wycieczce objazdowej – „hm, dziś poniedziałek... więc to musi być Rzym”.

Zanim zdążył się wytrzeć, domyślił się, nad czym pracuje doktor Marie. Biorąc pod uwagę bliskość gór Yucca, nietrudno było to odgadnąć.

W recepcji, dokąd został odeskortowany przez umundurowanego kaprała, czekał Sykes.

– Na stałe tutaj? – zapytał Mercer, kiedy szedł za potężnym żołnierzem.

– Nie. – Sykes ziewnął. – Ja i mój oddział stacjonujemy w bazie dopiero od miesiąca.

– Oddział?

– Siły specjalne Delta Force. – Nie było chyba nikogo, kto by nie wiedział, że to najlepsze jednostki antyterrorystyczne w armii. – I jeszcze jedna ważna sprawa, doktorze. Przez tych kilka tygodni nauczyłem się, że tutaj lepiej nie zadawać zbyt wielu pytań.

Mimo nietypowych okoliczności, w jakich się poznali, Mercer zaczynał lubić potężnego komandosa. Rozumiał już, że jego flegma nie wynikała w żadnym razie z lenistwa. Sykes po prostu spokojnie oceniał sytuację, zupełnie jakby już z rana wiedział, jakie ruchy wykona jego ciało i jakie wypowie słowa, a jego zadanie polegało na wybraniu właściwego momentu.

– Niech zgadnę. – Mercer się uśmiechnął. – Jedno pytanie to o jedno za dużo?

– Widzisz, doktorze, to całkiem proste. – Sykes wyszczerzył zęby.

Komandos przyprowadził go do nieoznaczonego budynku, typowego kanciastego biurowca, przypominającego blok mieszkalny z czasów sowieckich. Większość obiektów w bazie powstała w latach sześćdziesiątych, a najpoważniejszej rozbudowy dokonano dwadzieścia lat później, więc estetyka ośrodka niewiele się zmieniła od zimnej wojny. Budynki rozmieszczono geometrycznie, a przestrzenie pomiędzy nimi pozostały puste, bez kwietników, ozdób i z całą pewnością bez latarni.

Nie zauważył nigdzie żywej duszy. Miał przez to wrażenie, że wędruje przez opuszczone miasto po apokalipsie nuklearnej.

– Aż ciarki przechodzą, co? – odezwał się Sykes, jakby czytał w jego myślach. – Izolacja niektórym tutaj chyba naprawdę rzuciła się na głowę. Całe życie w tajemnicy... kilka dni po tym, jak tu trafiłem, grupka młodych żołnierzy dostała pozwolenie na mały show dla chińskiego satelity szpiegowskiego.

– Co wykombinowali? – Mercer wszedł za komandosem na schody. Budynek wewnątrz był równie surowy, jak na zewnątrz.

– Położyli się na pasie startowym w strojach Adama. Ułożyli ze swoich ciał napis „Pieprz się, Mao”.

– Myślisz, że Chińczycy to zobaczyli? – Mercer się roześmiał.

– Cholera, ukradli dość naszej technologii, żeby zauważyć, który z nich był obrzezany!

Na szczycie schodów Sykes otworzył podwójne drzwi do sali konferencyjnej i pożegnał się, mówiąc, że do pokoju odprowadzi go Ira. Potem podali sobie dłonie i potężny komandos poszedł w swoją stronę.

Okna okrywały ciężkie zasłony, od wypolerowanych stołów odbijało się światło zielonych lampek i tworzyło wiśniowe plamy. Jedną ze ścian w całości pokrywały zdjęcia samolotu szpiegowskiego U-2. U szczytu głównego stołu siedział Ira. Był w samej koszuli, a marynarkę przewiesił przez oparcie krzesła. Przewidująco zadbał o butelkę whisky i kubetek z lodem.

Mercer z wdzięcznością przyjął drinka. Nie był namiętym fanem szkockiej, jednak miał wrażenie, że zbliża się jedna z tych chwil, kiedy lepiej mieć pod ręką coś mocniejszego. Po lewej

stronie admirała doktor Marie piła wodę mineralną wprost z butelki.

Siadając naprzeciwko nich, geolog uniósł swoją szklankę w niemym toaście, opróżnił jej zawartość dwoma dużymi łykami, a potem podzielił się z nimi swoimi domysłami.

– Tworzycie tutaj podziemne składowisko na nieudokumentowane odpady nuklearne, podobne do tego, które Departament Energii zaczął budować pod górą Yucca.

Cisza w pomieszczeniu stała się gęsta jak ołów. Pierwsza ze zdumienia otrząsnęła się doktor Marie.

– Jak... skąd... – zdołała wyjąkać, zanim ponownie zamilkła. Ira zaśmiał się cierpko.

Przez ponad pięćdziesiąt lat amerykańskie elektrownie jądrowe rozszczepiały niewyobrażalne ilości materiału radioaktywnego, wykorzystywanego do produkcji energii. W trakcie tego procesu powstawał produkt znacznie bardziej skoncentrowany niż materiał wprowadzany do reaktorów – śmiertelnie niebezpieczny odpad, który przez tysiące lat nie straci swoich zabójczych właściwości. Doraźnie odpady radioaktywne składowano w chłodzonych basenach na terenie elektrowni, lecz nie było to rozwiązanie ostateczne. Żeby na dobre pozbyć się odpadów, należało znaleźć odpowiednie miejsce i je zakopać, a potem modlić się do Boga, by inżynierom udało się znaleźć odpowiednio ciężki korek, który zatrzyma radioaktywnego dzina.

Obecnie trwały prace nad budową dwóch dwudziestokilometrowych tuneli kilkaset metrów pod górami Yucca. Odpady radioaktywne miały być składowane w bocznych komorach,

a chociaż poziom wód gruntowych był kilkaset metrów niższy niż najniższy punkt składowiska, i tak podjęto nadzwyczajne środki, mające zapobiec wyciekom lub infiltracji miejsc z niebezpiecznymi materiałami.

W ciągu najbliższych dwudziestu lat miało trafić tam ponad czterdzieści tysięcy ton odpadów, a potem, kiedy ich łączna waga przekroczy siedemdziesiąt siedem tysięcy ton, instalacja zostanie zamknięta. Mimo to ostateczne zaplombowanie wejść mogłoby nastąpić najwcześniej po stu latach wnikliwej obserwacji.

Mercer uśmiechnął się ironicznie.

– Odpowiadając na pytanie, które prawie udało się pani postawić, jest to jedyne sensowne wyjaśnienie faktów, o których już wiem. Jesteśmy niecałe osiemdziesiąt kilometrów od kompleksu w Yucca, panizajmuje się fizyką nuklearną, a ja drażeniem tuneli pod ziemią. Z tego wynika tylko jedno. A jeśli wziąć pod uwagę obecność Iry, sprawa zaczyna mi wyglądać na spisek.

– Nie zgadzam się na utożsamianie mnie ze spiskami. – Ira wykrzywił usta w kwaśnym uśmiechu. – A poza tym nie do końca masz rację. Odpady, które zamierzamy tu składować, są udokumentowane. Chcemy po prostu przenieść większość tego paskudztwa, zanim ktokolwiek się zorientuje, że coś z nim robimy.

– Paskudztwo to odpady po waszych badaniach nad nową bronią, a ktokolwiek to terroryści, tak?

– Dokładnie tak. – Ira ponownie napełnił mu szklanekę. – Chcemy zastosować tę samą sztuczkę, którą wykorzystano przy transporcie diamentu Hope.

Mercer doskonale znał tę historię. Ostatnim razem, kiedy sławny klejnot opuścił swoje stałe miejsce w Instytucie Smithsonian i trafił do Nowego Jorku na czyszczenie, zapewniono bezprecedensowe środki bezpieczeństwa – opancerzone samochody, eskortę policji i licznych ochroniarzy. Lecz kiedy transport dotarł na Manhattan, do zakładu sławnego jubilera, Harry'ego Winstona, szkatuła była pusta. Nikt – ani ochrona, ani opinia publiczna – nie miał pojęcia, że konwój i środki bezpieczeństwa miały tylko przyciągnąć uwagę i zniechęcić potencjalnych złodziei, a sam klejnot został wysłany zwykłą pocztą, w nieopisanej paczce.

Doktor Marie opadła na oparcie krzesła.

– Skorzystamy ze zwyczajnych pojemników transportowych i zapewnimy pełną ochronę, ale chcemy też uniknąć zainteresowania mediów, które mogłoby skłonić terrorystów i innych wrogów, żeby nam przeszkodzić. Przeniesiemy odpady w tajemnicy i wyeliminujemy potencjalną pokusę.

– Jak długo chcecie je tu trzymać? – zapytał Mercer.

– Jak najkrócej. Regularnie będziemy przenosili kolejne porcje do komór, kiedy będą już gotowe. Akurat te odpady wytwarzają dużo ciepła, więc będzie trzeba je rozmieścić po trochu w całym kompleksie w Yucca.

– Chcemy tu zbudować – przerwał jej Ira – tymczasowy magazyn, ukryty przed mediami i całkowicie niedostępny dla terrorystów. Do czasu zamknięcia głównego składowiska, tutaj nie zostanie zupełnie nic.

Mercer oparł się wygodnie i zaczął myśleć o tym, co właśnie usłyszał. Szybko zrozumiał, po co Ira go sprowadził. Zdawał sobie sprawę, że polityka dotycząca spraw nuklearnych w dużej mierze jest prowadzona tak, by uspokajać emocje, a nie zgodnie z faktami naukowymi. Mimo *to* nie zaprzeczał, że wciąż istnieje ryzyko katastrofy – jeśli nie gigantycznej, to nawet niewielka byłaby wystarczająco tragiczna. Przenosząc większość odpadów do właściwego składowiska bez informowania o tym opinii publicznej, doktor Marie chciała zapewnić spokój i zwiększyć bezpieczeństwo. I miało to sens, bo tak czy inaczej odpady zostałyby w końcu przeniesione.

Rozumiał potrzebę, by zachować transport w tajemnicy. Nie miał tylko pojęcia, skąd brał się taki pośpiech, ale był gotów długo czekać z tym pytaniem. Ira z natury nie lubił ujawniać więcej niż to niezbędne, a on nie zamierzał współpracować, dopóki nie pozna całej prawdy. Nie traktował tego osobiście. Ot, cena za przyjaźń z zawodowym agentem wywiadu.

Ani Mercer, ani Ira nie czuli się nieswojo, siedząc obok siebie w milczeniu, jednak doktor Marie miała potrzebę wypełnienia pustki.

– Dwa dni temu wydarzył się wypadek. Pod ziemią. Pracowaliśmy dwadzieścia cztery godziny na dobę na trzy zmiany, w zespołach po dziesięciu górników. Tąpnęło, gdy się zmieniali. Zginęło piętnastu pracowników, w tym dwóch brygadierów.

– A pozostała piątka? – zapytał Mercer.

– Nic im się nie stało – odpowiedziała. – Dla bezpieczeństwa zamknęliśmy wyrobisko. Potrzebujemy drugiego inżyniera, żeby

ocenił sytuację i poprowadził prace. Kiedy nasza prośba trafiła do admirała Lasko, powiedział, że zna właściwą osobę. A pan, nie dość, że jest doświadczonym górnikiem, to ma jeszcze pozwolenie na dostęp do niejawnych informacji. Dzięki którym może pan z nami pracować.

Mercer zauważył, że znów nie padło słowo na temat pośpiechu.

– Słuchaj, Mercer – Ira odezwał się poważniejszym głosem.

– Mamy już dwa miesiące spóźnienia. Tunel dawno temu powinien być gotowy i otwarty dla ekip zabezpieczających przed wyciekami. Pierwsza partia odpadów trafi tu za sto dwadzieścia jeden dni.

– Skąd taka dokładność?

– Bo tymczasowe składowisko w Oak Ridge jest już i tak przepełnione i nie przyjmie więcej zużytych prętów paliwowych, a elektrownia ma wymieniać zapasy paliwa do eksperymentalnego reaktora. Dokładnie za sto dwadzieścia jeden dni. Wolimy przenieść wszystko naraz, niż na siłę upychać gdzie indziej.

Odpowiedź zadowoliła Mercera na tyle, że zdecydował się przejść do następnego pytania, które nie dawało mu spokoju.

– Powiedziano mi, że spędzę tutaj około tygodnia, a wydaje się, żeznacznie dłużej. Wiesz przecież, że realizuję kontrakt z De Beers. Naile będę musiał go przerwać? Z tego, co mówiłeś, macie dwa miesięcespóźnienia. Tyle chcesz mnie tu przetrzymać?

Marie pokręciła głową.

– Jedyne pozostały przy życiu brygadier twierdzi, że nie więcej niżza dwa tygodnie przebijecie się do podziemnej komo-

ry, którą chcemy wykorzystać. W skałach znajduje się potężna jaskinia. Nasi geolodzy mówią, że powstała po cofnięciu się intruzji magmowej.

I zdaje się mają tam pracować zespoły od odcieków, o których wspomniał Ira, pomyślał Mercer. Choć to bardzo rzadkie, dajka, czyli wstrzyknięty pod wielkim ciśnieniem jezor płynnej skały, mógł się cofnąć do głównej komory z lawą. Powstała pusta przestrzeń w masywie skalnym, którą zazwyczaj wypełnia woda. Jeśli uda im się z tym uporać, urządzenie w opróżnionej komorze przejściowego magazynu było bardzo rozsądnym pomysłem.

– Kto wykonał analizę geologiczną? – zapytał.

– Gregor Hood.

– Znam go. – Mercer pokiwał głową. – Nie spieszy się, ale jest dobry. A brygadier? Kogo tam macie?

– Donalda Randalla, zawodowego górnik z Kentucky.

– Donny Randall...? – Musiała minąć chwila, zanim dotarło do niego, o kim mówią.

– Woli, żeby zwracać się do niego Donald – poprawiła go doktor Marie cierpkim głosem, jakby zachowanie konwenansów mogło w jakiś sposób zmniejszyć aurę nienawiści, którą roztaczał Randall.

Mercer wbił wzrok w Ire, a potem odezwał się oskarżycielsko.

– Zatrudniłeś Randalla Trzonka? Nie wiesz, że to popieprzony psychopata?

Ira odwrócił wzrok.

– Owszem, było na niego kilka skarg, ale teraz nie mamy już wyjścia. Został, bo jest na miejscu i nie da się go wymienić na nikogo innego.

Donny Randall, zwany Trzonkiem, zyskał przezwisko w Republice Południowej Afryki jeszcze przed upadkiem apartheidu. Trafił tam, bo jego skłonność do przemocy zamknęła przed nim drzwi wszystkich kopalń, w których działał związek zawodowy United Mine Workers, co równało się zakazowi pracy w Stanach Zjednoczonych. RPA okazała się dla Randalla doskonałym miejscem, ale nie z powodu jego rasizmu, lecz sadyzmu. Czarni robotnicy nie mieli właściwie żadnych praw, więc mógł folgować swojej brutalności i nie przejmować się sankcjami.

Przy niemal dwóch metrach wzrostu i muskulaturze kulturyisty Randall uwielbiał prowokować i szukać przeciwnika, kto spróbowałby stawić mu czoło. Rzadko jednak rozprawiał się z wrogiem gołymi pięściami. Najczęściej korzystał z trzonka od łopaty lub styliska siekiery – w taki sposób zyskał przydomek. Mercer słyszał, że w kopalniach pod Johannesburgiem zabił przynajmniej sześciu górników, a dwunastu okaleczył. Tam też wymyślił nowe zastosowanie dla drewnianego trzonka, z którym się nie rozstawał. Oszlifowany kawałek orzesznika wykorzystywał do gwałcenia młodych chłopców i mężczyzn zbyt drobnych i słabych, by mu się przeciwstawić. A z powodu milczącego przyzwolenia sądów Randall nie został ukarany za swoje przewinienia. Opuścił kraj, kiedy Nelson Mandela został prezydentem. I choć krążyły plotki, że został zmuszony do wyjazdu, Mercer wierzył w inną pogłoskę, że musiał uciekać przez

rozwścieczonym tłumem czarnych górników, którzy chcieli za wszelką cenę założyć mu na szyję tak zwany gumowy kołnierzyk, czyli płonącą oponę.

Potem jeszcze kilka razy o nim słyszał, ale nie miał pojęcia, że wrócił do Stanów. Przypomniawszy sobie, że ostatnia wiadomość o Donnym dotyczyła jego pobytu w więzieniu w Rosji po próbie kradzieży diamentów z kopalni Mir na Syberii.

W końcu Mercer oderwał wzrok od czubka łysej głowy Iry i spojrzał na doktor Marie. Jeśli myślała, że wszyscy górnicy są tacy jak Randall, nic dziwnego, że zachowywała się wobec niego chłodno.

– Pomogę wam w tym projekcie. – Kiedy się odezwał, Ira podniósł głowę. – Ale pod warunkiem że dogadam się z De Beers...

– Zajmę się tym.

– ... i wyjaśnisz Randallowi, że to ja jestem szefem. Macie dość ludzi, żeby pracować na dwie zmiany po osiem do dziesięciu godzin. Kiedy ustalę najważniejsze sprawy i plan działania, nie chcę nawet mijać tego skurwysyna.

Ira i Briana Marie czuli, że napięcie w jego głosie, kiedy mówił o Randallu, nie wynikało ze strachu przed nim. Mercer obawiał się, że może go zabić.

– Dziękuję, doktorze – powiedziała Briana. – Nie ma pan pojęcia, ile to dla nas znaczy.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć – dodał Ira, a kilka zmarszczek na jego czole zniknęło wraz z opuszczającym go na-

pięciem. Tym razem szkocka zachlupotała w trzech szklankach, kiedy wzniesli toast za powodzenie swoich planów.

Następnego ranka Mercer i Ira wsiedli do wielkiego chevroleta suburban, takiego jak ten, którym przyjechał do bazy wojskowej Andrews. Przy takich zakupach rząd USA powinien mieć sporą zniżkę na ten model, pomyślał geolog.

Kiedy wszedł do środka, natychmiast zauważył jedną znaczną różnicę – okna samochodu szczelnie zasłaniały nieprzejrzyste rolety, a szyba oddzielająca pasażerów od kierowcy nie pozwalała zobaczyć nic z przodu. Chociaż poprzedniego dnia widział kilka interesujących rzeczy, jego certyfikat nie dawał prawa do zwiedzania pozostałej części Strefy 51. Przyszło mu do głowy, że może nawet Ira nie miał do tego wystarczających uprawnień. Interesujące...

Zapytany o doktor Marie, Ira wyjaśnił, że kobieta na co dzień pracuje w Waszyngtonie, a do Strefy 51 przyleciała dzień wcześniej, na spotkanie z nim. I nie będzie potrzebna na terenie kopalni, dopóki tunel nie zostanie ukończony. Dalszą drogę umilali sobie kawą popijaną z termosu i wspomnieniami swojego pierwszego spotkania na Grenlandii, niemal rok wcześniej.

Kiedy wyjechali poza teren bazy Groom Lake, niewidoczny dotychczas kierowca opuścił przegrodę oddzielającą go od pasażerów i odsłonił widok za przednią szybą. Ira od razu podniósł żaluzje.

Góry na horyzoncie sprawiały, że w powietrzu czuło się chłód, choć ostatnia noc nie była zimna. Nieliczne rośliny, głównie kaktusy, juki i szafwia, były karłowate i powyginane, jakby

życie w nieurodzajnej ziemi okazało się nieudanym eksperymentem. Wokół rozpościerały się skały w tysiącach odmian, które zmieniały się wraz z ruchem słońca. Niebo nad ich głowami rozciągało się aż po horyzont ukryty za wierzchołkami wzgórz.

Miejsce, do którego zmierzali, znajdowało się dwie godziny jazdy od głównej bazy, na samym końcu wąskiego kanionu. Mercer okiem fachowca od razu zauważył, że cały urobek z kopalni był starannie rozprowadzany na większej przestrzeni, żeby obce satelity nie zauważyły trwających prac. Górniczy obóz składał się z kilku wysłużonych przyczep kempingowych, ustawionych pod pionowymi ścianami kanionu. Nawis skalny wysoko nad ich głowami utrzymywał miniaturową osadę w cieniu i skrywał przed czujną obserwacją z kosmosu.

Obóz robił równie żałosne wrażenie, jak ubogie obozowiska przyczep kempingowych w zachodnim Teksasie, pomyślał Mercer... ale zdarzało mu się przecież pracować w znacznie gorszych warunkach. Spomiędzy przyczep wytoczyły się kule pustynnego zielska, popychane podmuchami zimnego wiatru.

Na końcu kanionu Mercer zauważył jaskinię. Miała przynajmniej piętnaście metrów szerokości i około siedmiu metrów wysokości. Wydawało się, że wrzyna się na kilkadziesiąt metrów w głąb. Potężne reflektory na wysięgnikach oświetlały mocnym światłem maszyny górnicze zgromadzone wokół otworu wydrążonego w skalnej podłodze. Pas transmisyjny umieszczony na dwukondygnacyjnym rusztowaniu pozwalał wysypywać pokruszoną skałę wprost na ciężarówkę. Niedaleko znajdowała się stacja wentylatorów tłoczących świeże powietrze pod ziemię

i kilka kontenerów magazynowych. Poza tym, przy samym wejściu do jaskini, zainstalowano dwa potężne generatory prądu i zespół pompowy do ewentualnych przecieków.

Mercer był pod wielkim wrażeniem zastosowanych środków bezpieczeństwa i organizacji całego projektu, za który odpowiadał Ira.

– Zbuduj tu jeszcze pole golfowe i kilka domków i na emeryturze założysz komunę.

– Dom Spokojnej Starości Piekielna Rozpadlina?

Mercer roześmiał się, bo admirał coraz bardziej przypominał siebie.

– Albo Zapadła Dziura dla Umierających. Harry mógłby być rzecznikiem prasowym.

Chevrolet zatrzymał się przy jednej z przyczep. Ira wysiadł pierwszy i gdy stanął na pylistej drodze, drzwi się otworzyły, a w progu pojawił się mężczyzna w dżinsach, kowbojkach i białej koszulce. Pasował do tego miejsca jak kula zielska, która potoczyła się drogą. Ogorzały i wyschnięty jak kawał suszonej wołowiny mężczyzna spojrzał na Mercera, a potem skinął Irze.

– Witam, admirale. To nowy szef?

– Cześć, Red. – Górnik dotknął dłonią kapelusza. – Philip Mercer. Poznajcie się.

– t Przepowiednia ognia – Słyszałem o tobie. – Red mówił głosem zachrypniętym jak dźwięknienastrojonej gitary. – To ty kilka lat temu znalazłeś złoża diamentów w Afryce.

Uścisnęli sobie dłonie, a Ira kontynuował.

– Red Harding to druga osoba z zespołu, który stracił połowę ludzi w czasie tąpnięcia.

– Nie chciałeś przejąć pałeczki? – zapytał Mercer, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zyskał wroga, zajmując miejsce, na które tamten mógł w swoim mniemaniu zasługiwać.

– Do diabła, synu. – Red był około piętnastu lat starszy od Mercera, ale nikogo by nie zdziwiło, gdyby okazało się, że już jako nastolatek spłodził potomstwo. – W życiu przychodzi taki czas, kiedy człowiek męczy się wydawaniem rozkazów. Łatwiej robić, co każą.

– Opowiesz, co tu się stało? – poprosił Mercer.

Red przerwał na chwilę, jakby zastanawiał się, co odpowiedzieć, choć przecież przez ostatnich kilka dni nie myślał o niczym innym.

– Kawał skały z sufitu, który nie miał prawa odpaść, odpadł. Płaski jak stół, miał ze dwa i pół metra grubości. Zabił wszystkich, którzy podnim stali. Piętnastu ludzi.

Mercer zauważył, że Red nie czuł się komfortowo, opisując to wydarzenie. Nie żeby cokolwiek ukrywał – po prostu było w wypadku coś, czego nie potrafił zrozumieć.

– Nie stemplowaliście? – Stemplowanie polegało na podparciu niebezpiecznych partii tunelu grubymi palami. Stosowano też inną technikę – wkręcano w sufit bardzo długie śruby, które pomagały stabilizować skałę.

– Nie było sensu. Drażymy w bardzo twardej i litej skale. Żadnych przecieków, pęknięć... skała.

– Ale teraz już stemplują – wtrącił się Ira. Tego akurat Mercer się domyślił.

Następnie Red zaprowadził go do pustej przyczepy, w której miał mieszkać. Tam Ira przebrał się w zapasowe ciuchy robocze Hardinga, a Mercer włożył swój kombinezon. Nie znalazł miejsca, w którym mógłby schować pistolet, więc postanowił wziąć go ze sobą. Wsunął berettę za pasek na plecach, a na głowę założył hełm.

Ira musiał pozostawić na głowie czapkę z daszkiem, bo inaczej zbyt duży kask, który dostał od Reda, spadłby mu na oczy. Z godnością i w milczeniu znosił tę kłopotliwą sytuację.

Wewnątrz jaskini było dużo chłodniej niż w kanionie na zewnątrz, choć przecież generatory prądu emitowały sporo ciepła.

Czekając na windę, która miała ich zwieźć na dół, Mercer sięgnął po bryłkę pokruszonej skały z urobku. Za każdym razem, kiedy brał w dłoń świeżo wydobyty kamień, zdumieniem i zachwytem przepełniała go świadomość, że jest pierwszym i jedynym człowiekiem, który go dotykał, od kiedy płynna magma zastygła i uformowała skałę – czyli od miliardów lat. Był pierwszą istotą, która temu kamieniowi poświęca myśl. Czuł się jak odkrywca, który na horyzoncie widzi zbliżający się brzeg nieznanego kontynentu. Choć pracował w kopalniach, odkąd był nastolatkiem, ten zachwyty nigdy go nie opuszczał.

Winda wyjechała z szybu, a kiedy się zatrzymała, trójka mężczyzn przy akompaniamencie dzwonek ostrzegawczych weszła do środka. Kopalnia nie była duża, więc jeden szyb był wykorzystywany zarówno do transportu rozkruszonej skały na

powierzchnię, jak i pracowników. Na jednej ze ścian zamontowano potężne dukty powietrzne, by umożliwić wentylację wyrobisk.

Dzwonki zawyły po raz ostatni i kratownica bez ostrzeżenia uciekła im spod nóg.

Ira nerwowo uczeplił się uchwyty, a Mercer i Red wymienili dyskretne uśmiechy doświadczonych, dla których taka podróż to nic nowego. Pierwszy zjazd kopalnianym szybem do wyrobiska to trudne przeżycie, które nie każdy chce powtórzyć. Lasko w końcu zwolnił uścisk.

– A ja myślałem, że dojazd do pracy w Waszyngtonie jest kiepski... – powiedział, żeby ukryć lęk. – Zawsze tak pędzi?

Red pokręcił głową.

– Nie, często znacznie prędzej. Tutaj poziomy tunel odchodzi od głównego szybu na trzystu metrach. W RPA są kopalnie, gdzie pracuje się dziesięć razy głębiej. Żeby w miarę sprawnie przewozić ludzi, na początku winda po prostu spada.

– Trudny kawałek chleba... – zauważył Ira, kiedy opadali w nieprzeniknioną ciemność.

– Żebyś wiedział – potwierdził Mercer.

Siedem minut później winda ze stukotem zwolniła, a z ciemnego szybu zaczęło się sączyć żółtawe światło. Zbliżali się do miejsca, gdzie górnicy drążyli litą skałę, by dostać się do podziemnej jaskini, którą Departament Energii zamierzał wykorzystać jako tymczasowy magazyn.

Kiedy się zatrzymali, Red, otworzył drzwi, całkowicie ignorując kołysanie kilkusetmetrowych lin, na których wisiała kabina. Znaleźli się w komorze o wysokości i kształcie tunelu kolej-

wego; mocne lampy dawały dużo światła. Byli teraz kilkaset metrów bliżej jądra Ziemi, więc temperatura wzrosła, choć nie radykalnie. W najgłębszych kopalniach powietrze było tłoczone przez potężne chłodnice, żeby temperatura w wyrobiskach nie przekraczała trzydziestu pięciu stopni Celsjusza. Tunel zastawiony był ogromnymi kompresorami do napędu świdrów, mechanicznymi zgarniaczami, kruszarkami i innymi urządzeniami zaprojektowanymi tak, by móc pracować w ciasnej przestrzeni pod ziemią.

Na końcu komory znajdowało się wejście do głównego chodnika. Pod sufitem wisiała długa wstęga żarówek, które nikięły w oddali.

– Jak długi jest ten korytarz? – zapytał Mercer.

– Czterysta metrów – odpowiedział Red, przechodząc nad zwojem przewodów ciśnieniowych i zasilających. Niektóre miały grubość nadgarstka. – Naziemni, którzy pokazali nam, gdzie mamy drążyć, chcieli, żeby główny szyb znalazł się jakieś pięćset metrów od głównej komory.

– A co ze zbiornikiem pod szybem?

– Szyb schodzi jeszcze na ponad sto metrów.

To oznaczało, że można zmieścić w nim około trzech tysięcy metrów sześciennych wody.

– Po co aż tyle?

– To był pomysł mądrali z góry. Uważają, że zbliżamy się do podziemnego jeziora. Jak się przebijemy, chcą zatrzymać tyle wody, ile tylko się uda. To jakiś projekt irygacyjny, prawda, panie Lasko?

– Dokładnie tak, Red. – Ira spojrział znacząco na Mercera. Red najwyraźniej nie znał szczegółów dotyczących swojej pracy.

Po chwili cała trójka opuściła rozświetloną komorę przy szybie i, włączynywszy latarki, ruszyła drażonym chodnikiem. Korytarz miał wysokość trzech metrów i szerokość pięciu. Mercer domyślił się, że takich wymiarów wymagały pojemniki z odpadami radioaktywnymi. Skała miała jednolity szary kolor.

Po chwili marszu Ira zainteresował się brudnymi kałużami na podłodze.

– Wodę wykorzystuje się do chłodzenia i oczyszczania głowic świdrów. To normalne, nie ma czym się denerwować – wyjaśnił Mercer, a potem dodał: – Martwić się trzeba dopiero wtedy, kiedy kałuże są czyste. Zanim woda dotrze na tę głębokość, wszystkie zanieczyszczenia zostaną zatrzymane przez kolejne warstwy skały, więc czysta woda oznacza przeciek.

Trzysta metrów dalej dotarli do miejsca, w którym zapadło się sklepienie. Skałę i ciała usunięto, więc po tragedii nie zostało śladu. Tylko sufit na kilku metrach był tu dwa razy wyższy. Miejsce, z którego oderwał się nawis, było gładkie i czyste, jakby dokładnie ten fragment od milionów lat czekał na swoje przeznaczenie.

Mercer spojrział na Reda.

– Mówiłem – mruknął Teksańczyk. – W życiu czegoś takiego nie widziałem.

Główki prętów stabilizujących sklepienie połyskiwały srebrno.

Ruszyli dalej. Ciężkie belki stropowe wsparte na drewnianych stemplach były rozmieszczone co sześć metrów. W kopalniach nadal stosuje się drewniane pale, bo na długo zanim pękną, słychać głośne trzeszczenie włókien wewnątrz, a robotnicy zyskują czas, żeby wzmocnić podparcia albo uciec z zagrożonej strefy.

Im bliżej byli czoła wyrobiska, tym więcej mijali urządzeń, sprzętu, belek i skruszonej skały. Napotkali kilka niewielkich ładowarek i kolejkę wagoników do wywozu urobku. Od strony głównego szybu stał podczepiony ciągnik elektryczny, a całość wyglądała niczym podziemna odmiana gigantycznej stonogi. Niedaleko zobaczyli jeszcze dziwniejszą maszynę – cztero-głowicowy świder, umieszczony na samobieżnym podwoziu wyposażonym w gaśienice, dzięki czemu można było go bardzo precyzyjnie ustawiać w czasie pracy. Cztery świdry były wielkości ciężkich karabinów maszynowych i wyglądały podobnie niebezpiecznie.

Górnicy na czole wyrobiska pracowali parami, wykorzystując mniejsze świdry do wiercenia otworów w skale. Narzędzia ważące po kilkadziesiąt kilogramów wyrzucały z siebie mieszaninę wody z kawałkami rozkruszonej skały. Światło załamywało się na drobinkach wody w powietrzu i tworzyło tęczę, nadając temu miejscu pod ziemią nierzeczywistą atmosferę.

Technika kopalniana przeszła długą drogę od czasów, kiedy górnicy gołymi rękoma drążyli otwory, które następnie wypełniali dynamitem, a potem modlili się o odrobinę szczęścia. Zaawansowane rozwiązania pozwalały drążyć skalę z precyzją chirurga. Za pomocą świdrów wiercono otwory w centrum

spiralnego wzoru, a potem górnicy nawiercali mniejsze otwory, o których rozmieszczeniu i głębokości decydował szef zmiany. Wybuch w centrum robił wyrwę w ścianie. Kolejne eksplozje, opóźnione o ułamki sekund, następowały coraz dalej od tego punktu, poszerzając wyłom. Otwór powiększał się spiralnie jak rozkwitający kwiat, dając górnikom kontrolę nad ilością usuwanego przez wybuch materiału.

Red zostawił Mercera i Irę, a sam podszedł do szefa zmiany i klepnął go w ramię. Przy pracujących świdrach nie było możliwości, by sam ich zauważył.

Jeszcze zanim mężczyzna się odwrócił, Mercer wiedział, że to Donny Randall – ponadprzeciętny wzrost i szerokie bary nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Nawet głowę miał tak wielką, że hełm wyglądał na niej jak miska.

Spotkali się kiedyś w Botswanie, na imprezie pożegnalnej dla jednego z szefów podziemnych zespołów w kopalni Orapa, który przechodził na emeryturę. Donny też znalazł się na liście gości, lecz tylko dlatego, że jego zespół wygrał w poprzednim miesiącu konkurs na największą ilość wydobytej rudy. Nie trzeba dodawać, w jaki sposób Randall zmusił swoich ludzi do zwycięstwa – kiedy on bawił się na przyjęciu, jeden z jego pracowników leżał w szpitalu, gdzie usunięto mu pękniętą śledzionę, a drugi uczył się jeść bez siekaczy: obrażenia obydwu powstały po spotkaniu z pałką szefa.

O tym i o niektórych wcześniejszych wybrykach Donny'ego Mercer dowiedział się dopiero później, lecz już wtedy, w Botswanie, wyczuwał w nim brutalność, głupotę i bezwzględność.

Na imprezie byli jednymi Amerykanami, więc Randall usiłował nawiązać z nim rozmowę, ale przyszedł tak pijany, że nie potrafił wymówić jednego zrozumiałego słowa.

Tamte wydarzenia były jednymi z niewielu, przy których Mercera zawodziła pamięć i był za to wdzięczny. Nie mógł sobie przypomnieć, jakie słowa padły podczas minutowej konwersacji – pamiętał za to, że chwilę później Donny został wyrzucony z hotelu przez sześciu ochroniarzy, a większość z nich wróciła do domu z siniakami i podbitymi oczami.

Randall miał brutalną twarz, grube brwi, a z ust nie schodził mu złośliwy uśmiezek. Nos musiał mieć tyle razy złamany i nastawiany, że nie było w nim już chyba kości. Włosy farbował na czarno, podobnie jak bokobrody, które przycinał jak Elvis pod koniec życia. Miał ciemne niepokojące oczy – nie chodziło jednak o zaburzający je cień, lecz o nieustanny ruch. Zerkał od jednej osoby do drugiej jak zwierzę zagonione w róg, z którego nie ma ucieczki, albo kłamca, który czeka, aż jego kłamstwo się wyda.

Mercer wiedział, że był i zwierzęciem, i kłamcą.

Randall rozejrzał się i zauważył Iry i Mercera, po czym lekceważąco zaszalutował. Fakt, że pod czekami z wypłatą widniał podpis admirała Lasko, nie robił na nim wrażenia. Red dał mu znak, żeby poszedł za nim w miejsce, gdzie mogliby porozmawiać.

– Co pan tu robi? – Donny odezwał się do Iry, jakby karmił podwładnego. Jak większość paranoików nie rozumiał, że jego

wieczna podejrzliwość zwiększała tylko antypatię, jaką budził w ludziach.

Ira celowo odpuścił mu brak szacunku.

– Przyszedłem przedstawić nowego szefa, który zastąpi Gordonai Kadanskiego. Philip Mercer, poznajcie się.

Donny nie wyciągnął ręki na powitanie. Nie sprawiał też wrażenia, jakby go sobie przypominał.

– Razem z nim mamy tylko szesnastu ludzi – warknął, wskazując głową na Mercera. W jego głosie brzmiała dziwaczna mieszanka groźby i obrazy. – Jak nie dacie mi więcej górników, to zapomnijcie o terminie.

– Widziałem raporty – odparł spokojnie Ira. – Nawet kiedy miałeś trzy pełne ekipy, nie dawaliście rady odpalić trzy razy dziennie.

– To akurat nie była moja wina. Gordon i Kadanski nie mieli pojęcia o tej robocie. Cholera, gdybym nie wziął ich w obroty, byłibyśmy dopiero dziesięć metrów od szybu!

Red Harding kaszlnął znacząco, ale niepotrzebnie. Mercer znał Donny'ego na tyle, żeby wiedzieć, że winę za swoje błędy zwała teraz na martwych.

Wystarczyła chwila takiej rozmowy, by Ira miał dość. Randall miał po prostu dar zrażania do siebie ludzi. Ira stęzał i przemówił głosem weterana z trzydziestoletnim stażem na okręcie, który strofuje podwładnego.

– Od teraz Mercer jest tu szefem, więc możesz nie martwić się harmonogram. To już nie twoja sprawa. Twoim jedynym zadaniem będzie wykonywanie jego poleceń. Zrozumiano?

Donny Randall mruknął coś niezrozumiałego.

– Co to miało znaczyć? – warknął Ira.

– Powiedziałem, że tak.

– To w przyszłości mów. tak jest, sir!

Donny przez chwilę się zawahał. W jego ciemnych oczach błysnęła mordercza iskierka, znak prymitywnej skłonności do furii, ale natychmiast zgasła. Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Tak jest, sir. – Podeszedł bliżej Mercera i podał mu rękę. – Witam w ekipie. Miło cię poznać.

– Mnie również – odparł sucho Mercer.

Piętnaście godzin później Ira wrócił do głównego kompleksu Strefy 51, gdzie czekał na niego samolot do Waszyngtonu. Mercer wybrał nocną zmianę, zostawiając dzień dla ekipy Donny'ego.

Nocne niebo było ciężkie od gwiazd, które wisały niemal tuż nad ich głowami. Powietrze było nieruchome. Księżycowa poświata zalewała ziemię elektrycznym błękitem, podkreślając kształty skał i krajobrazu i pogłębiając nieprzenikniony mrok ciemnych zakamarków.

Don Randall nie zauważał niesamowitego piękna nocy. Co więcej, nie wydawało się, by w ogóle był do tego zdolny. Maszerował pustynią z miną wyrażającą determinację migrującego zwierzęcia, którym kieruje instynkt, a nie intelekt.

Dla wielogodzinnych pieszych wycieczek, które odbywał regularnie co kilka nocy, wynajdował najdziwniejsze uzasadnienia, chociaż nikt nie interesował się tym, co robi. Milczenie innych traktował jako wyraz szacunku dla jego prywatności i nawet

nie przyszło mu do głowy, że wszyscy byli wdzięczni za każdą chwilę, kiedy nie było go w pobliżu.

Ciężkie buty zapadały się głęboko w rumosz skalny zmieszany z piaskiem, kiedy wspinał się na wzniesienia trzy kilometry od obozowiska. Na szczycie podszedł do sterty głazów, w których miał kryjówkę. Ostatnim razem pozostawił kilka kamieni, by sprawdzić, czy nikt nie interesował się tym miejscem – żaden nie został poruszony. Na piasku też nie było żadnych odcisków butów poza jego własnymi. Mruknął z zadowoleniem i zaczął odrzucać trzydziestokilogramowe głazy, jakby to były cegły.

Dziesięć minut później dotarł do rączki pancерnej walizki. Mocnym szarpnięciem wyrwał ją spod piasku i starannie otrzepał z brudu, a potem położył płasko i otworzył wieko.

Elektronika była supernowoczesna i zminiaturyzowana, lecz potężne baterie nie pozwalały bardziej zmniejszyć urządzenia. Wewnątrz znajdował się też kompas. Randall obrócił walizkę w taki sposób, by skierować antenę dziesięć stopni na południowy wschód. Tak mu kazano. Potem uruchomił sprzęt, a na wyświetlaczu zamigotały zielone światełka. W końcu rozległ się wysoki pisk. Telefon namierzył satelitę na orbicie, ponad trzydzieści pięć tysięcy kilometrów nad poziomem morza.

Kodowanie i łączność przez szpiegowski telefon satelitarny były całkowicie poza jego zdolnością pojmwania. Wiedział jedynie, że ma go ustawić w określonym kierunku i włączyć. Kiedyś spróbował dodzwonić się na sekslinię, ale bez powodzenia. Telefon rozpoznawał tylko numer ludzi, którzy mu płacili za informacje o kopalni.

Podniósł słuchawkę, uruchomił wybieranie numeru i oczekiwał chwilę, zanim w głośniczku nie odezwał zniekształcony elektronicznie głos.

– Mów.

Donny oblizał suche wargi. Za każdym razem, kiedy go słyszał, czuł się nieswojo, jakby rozmawiał nie z człowiekiem, tylko z maszyną, która na dodatek wydaje mu rozkazy.

– Mamy problem.

– Jaki?

– Przyjechał facet, który ma zastąpić Gordona i Kadanskiego.

– Tak jak się spodziewaliśmy. Wiesz, co robić.

– Tylko że to nie będzie łatwe. Ten nowy... to Philip Mercer.

Po raz pierwszy odkąd nawiązał kontakt z człowiekiem maszyną, głos zamilkł, bez gotowej odpowiedzi.

– No cóż... na razie nic nie rób. Zajmiemy się nim, kiedy przyjdzie czas.

– Dobrze – potwierdził Donny, ale połączenie zostało chwilę wcześniej przerwane.

Kopalnia DS-Dwa, Nevada

Dno wąskiego kanionu na długo przed zachodem słońca pogrążało się w ciemnościach, dzięki czemu Mercer znacznie łatwiej przestawił się na nocną pracę. Był to trik, który stosował już nieraz: wyobrażał sobie, że to nie zbliżająca się noc, tylko ostatnie chwile ciemności przed nadejściem poranka. Stosował jeszcze kilka innych sztuczek, żeby ułatwić sobie życie, ale żadna z nich nie mogła przynieść ukojenia jego napiętym plecom, zmniejszyć bólu krzyża czy złagodzić pieczenia czerwonych oczu. Był tu nowy, ale pracował za dwóch, ciągnąc za sobą resztę. Narzucał mordercze tempo, choć wciąż czuł skutki przepracowania w Kanadzie.

W przyczepie, w której znajdowało się centrum sterowania, stał sejsmograf. Mercer przystanął przy nim i przyjrzał się wąskiej kresce granatowego atramentu, pozostawionego przez igły na grubej rolce papieru. Na razie linie były gładkie, lecz wiedział, że już niedługo. Chociaż wydłużył swoją zmianę o ponad godzinę, przyzwyczał się wcześniej przychodzić do centrum i obserwować na sejsmografie odczyty eksplozji ładunków umieszczanych w skale przez Donny'ego Randalla.

Red Harding wszedł do przyczepy z sejsmografem i kilkoma innymi urządzeniami pomiarowymi i postawił na stole kubek gorącej kawy. Mercer podziękował kiwnięciem głowy. Obserwacja skaczącej igły sejsmografu była dla obu codziennym rytuałem.

– Ciągłe łamiesz sobie nad tym głowę, co? – Red pociągnął łyk pepsi, z której czerpał swoją dawkę kofeiny.

Na zewnątrz słychać było ludzi Donny'ego, jak mijają przy-
czepę i idą w kierunku pryszniców. Potem zwykle coś jedli
w stołówce i zasypiali w swoich łózkach. Napięty plan pracy
i opóźnienia sprawiały, że nikt nie miał sił na telewizję, bilard
czy inne rozrywki, które czekały w świetlicy.

– Nie, jeszcze nie – odparł Mercer nieobecny tonem.
Zgodnie z dużym zegarem na ścianie do detonacji ładunków
w wyrobisku pozostała jeszcze minuta. Za kilkadziesiąt sekund
Donny odpali ładunki, które umieścili jego ludzie.

Harding podrapał się po łysej opalanej głowie.

– Stosuje inną technikę, to wszystko.

Mercer spędził tu dopiero dziesięć dni, lecz dość szybko
zauważył tę anomalię: eksplozje przygotowywane przez obie
zmiany kruszyły podobną ilość skały, choć Donny zużywał nieco
więcej ładunku. Ale nie to niepokoiło Mercera. Odczyty poka-
zywały, że mimo większej ilości materiału wybuchy Donny'ego
były nieco słabsze niż jego. W jakiś dziwny sposób Randallowi
udawało się osłabić falę sejsmiczną, zmniejszając napięcia w ot-
aczającej ich skale. Wszyscy górnicy marzą o takich wynikach.
Mercer uważnie obserwował jego pracę, ale nie udało mu się
dojść, jak to robi.

Ego zmuszało go jednak do znalezienia odpowiedzi – zdawał
sobie sprawę, że chodzi mu o własną dumę. Nie chciał, ba, nie
mógł przyznać, że Randall Trzonek był w czymś lepszy.

– Jeśli sprawdzisz statystyki dla naszych zmian – dodał Red – to zobaczysz, że wydrążyliśmy o dwa metry więcej niż oni. Randall wcale nie jest lepszy. Po umieszczeniu ładunków blokuje otwory strzelnicze i to nieco łagodzi falę uderzeniową, i tyle.

– Pewnie masz rację – odpowiedział Mercer, choć nie uważał, by było to właściwe wyjaśnienie. Ale nie potrafił znaleźć innego.

Nagle zatrzęsa się ziemia i jednocześnie ożyła głowica sejsmografu. Kołysanie pod stopami nie zachwiało ich równowagą, ale wprawiło wskazówkę maszyny w szaleńczy taniec. Stalowa igła znaczyła ciemnym atramentem poszarpaną linię. Wykres przypominał EKG pacjenta z zawałem serca. Chwilę później fale sejsmiczne osłabły, a maszyna ponownie zaczęła kreślić prostą linię, jakby pacjent zmarł. Na podłączonym do urządzenia pomiarowego komputerze Mercer uruchomił program, w którym mógł od razu porównać charakterystykę tego wybuchu z poprzednimi. I znów Donny uzyskał o dwa procent mniejszą falę uderzeniową niż on. Dwa metry chodnika więcej nie wyjaśniały aż takiej różnicy.

Mercer wykrzywił usta.

Pchnięte z zewnątrz drzwi przyczepy gwałtownie gruchnęły o ścianę. W progu stanął Randall, z twarzą i ubraniem zasypanym pyłem skalnym. Brylantyna i kurz zamieniły jego włosy w przyklepiony do czaszki lśniący hełm. Środek, którego używał do farbowania włosów na nienaturalny czarny kolor, spływał mu wraz z potem po czole.

– Jak było? – zapytał niepotrzebnie głośno.

– Trzy przecinek dwa – mruknął Red, jakby sama odpowiedź była oznaką braku lojalności wobec szefa.

– Ha! – Donny uśmiechnął się szyderczo. – A użyłem dziesięciu dodatkowych ładunków toveksu! Gdybyście to wy zakładali ładunki, odczyt pokazałby minimum cztery zero! – zakpił, a potem, nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i odszedł.

– On myśli, że jeszcze nas nie przekonał, że jest dupkiem.
– Red spojrzał na Mercera.

Mercer nie odpowiedział. Sprawdził tylko odczyty z czujników wentylacyjnych dotyczące stężenia spalin i koncentracji pyłu w powietrzu. Wiedział, że potężne wyciągi jeszcze będą pracować minimum pół godziny, zanim atmosfera na dole będzie dość czysta, żeby mogli zejść. Potem uruchomił kamerę zainstalowaną na wzmocnionych wysięgnikach niedaleko przodka.

Przez kilka minut nic nie widział, bo wirujący kurz całkowicie zasłaniał obiektyw. Obraz na ekranie wyglądał jak transmisja silnej burzy piaskowej. Spokojnie popijał kawę, czekając, aż wentylatory wykonają swoją robotę. Po dłuższej chwili dostrzegł stertę pokruszonej skały na podłodze tunelu – urobek po detonacji ładunków założonych przez Randalla. Po kolejnych kilku minutach powietrze stało się na tyle czyste, że dostrzegł przednią ścianę wyrobiska. Skała była nadzwyczaj spójna i równa, biorąc pod uwagę wybuch, jaki ją przed chwilą pokruszył. Praca Donny'ego przebiegła wyjątkowo czysto.

Mercer już się odwracał, gotów ruszyć na swoją zmianę, kiedy drobny szczegół przyciągnął jego uwagę. Na ścianie wyrobiska dostrzegł cień. Już był gotów go zignorować i uznać, że to wina

niedoskonałego sprzętu transmitującego, jednak przyjrzał się podejrzanemu punktowi.

Red wyczuł jego napięcie.

– Co to?

– Nie jestem pewien – odpowiedział. – Ale pewnie nic takiego. Potem jeszcze przez minutę wpatrywał się ciemniejsze miejsce.

Cień pozostawał bez zmian. A mimo to czuł, że coś jest nie tak. Według raportów geologicznych byli dziesięć metrów od podziemnej jaskini, więc to nie mogła być woda. Co w takim razie?

Szybko podjął decyzję. Z szafki na ścianie zdjął butlę ze sprężonym powietrzem do oddychania i maskę z wbudowanym radiem.

– Zostań tu i pilnuj obrazu. Schodzę.

– Może powinienem pójść z tobą?

– Nie, lepiej nie. Jeśli cokolwiek się zmieni, natychmiast daj mi znać.

– Podejrzewasz coś?

– Może jakaś intruzja... ale nie chcę nikogo na dole, dopóki nie będę miał pewności – powiedział, po czym założył kask i wybiegł z przyczepy.

Operator dźwigu wychodził właśnie ze swojej kabiny, kiedy do jaskini wbiegł Mercer.

– Mike, uruchom windę i nie ruszaj się stąd. Może się zdarzyć, że będziesz musiał mnie wyciągać w trybie awaryjnym.

– Co się dzieje? – zapytał górnik, zajmując miejsce za stołem z przyciskami.

– Niebezpieczeństwo przecieku. – Mercer zatrzasnął za sobą drzwi i ledwie usłyszał dzwonki ostrzegawcze, już leciał w dół. W drodze włożył na plecy butlę z tlenem i sprawdził połączenie z Hardingiem.

– Red? Słyszysz mnie?

– Głośno i wyraźnie.

– Jakież zmiany?

– Nie, żadnych. Boisz się, że geolog się pomylił i jesteśmy bliżej?

– Może... – Pył wirujący w świetle jego czołówki przypominał płatki śniegu i był coraz gęstszy. Widoczność spadała, a w końcu, kiedy zatrzymał się przy właściwym korytarzu, nie przekraczała dziesięciu metrów.

Z raportów geologicznych wynikało, że byli jeszcze kawał drogi od podziemnego jeziora, ale nie mógł wykluczyć, że mimo wszystko woda jakoś do nich docierała i przesączała się przez skały. Musiałaby być pod niewiarygodnym ciśnieniem, a skały między tunelem a jeziorem mogłyby go nie wytrzymać. Jeśli to była woda, każdy następny otwór naruszyłby stabilność zapory i spowodował katastrofę. Nawet teraz istniało niebezpieczeństwo, że skała pęknie i wyrobisko zostanie zalane.

Mercer nie mógł ryzykować bezpieczeństwa swoich ludzi. Musiał się upewnić, że nic im nie grozi. Strach przed przebicciem się do nieznanego zbiornika wody był na górze listy zagrożeń pod ziemią. I bardzo niewielu przeżyło takie spotkanie, żeby

opowiadać, jak to jest... Górnicy boją się zalania znacznie bardziej niż tąpnięcia czy pożarów. Przypomniawszy sobie trzy długie dni, które spędził w hrabstwie Somerset, w Pensylwanii, gdzie doradzał w akcji ratunkowej. Sześciu górników zostało uwięzionych pod ziemią, gdy niespodziewanie kopalnia została zalana. Nie przypominał sobie innej akcji ratunkowej, w której granica między sukcesem a porażką byłaby tak ulotna.

Miotają nim dwa sprzeczne uczucia – pośpiech i ostrożność. Zagryzł zęby i pozwolił kierować swoimi ruchami doświadczeniu i odpowiedzialności. Wyszedł z windy i ruszył przed siebie, rozpryskując kałuże. W masce słyszał wyraźnie świst swojego oddechu. Strumień światła z latarki na hełmie tańczył przed nim po ścianach.

Jeśli dotarli do wody, będzie musiał trzymać ludzi na powierzchni przez minimum dwie doby, żeby rzetelnie ocenić wielkość przesięku. Potem trzeba by opracować nową technikę strażówką. Przesięk na tym etapie niewyobrażalnie spowolni pracę.

Wentylatory cały czas pracowały na pełnych obrotach. W miarę jak zbliżał się do czoła wyrobiska, miał coraz lepszą widoczność. Zatrzymał się, minąwszy kamerę.

– Widzę cię – poinformował go Red.

– Szczupło wyglądam w tym kombinezonie? – zażartował, żeby Teksańczyk się rozluźnił.

– Masz grube dupsko – drażnił się Red. – A plama bez zmian.

– Dobra, podchodzę.

Ze skrzynki z narzędziami, zamocowanej na jednej z maszyn do ładowania urobku, Mercer wyjął metrowy łom. Podłogę pokrywała rozkruszona skała, a niektóre fragmenty miały wielkość silnika samochodu. Mimo że sufit wyglądał stabilnie, stuknął kilka razy stalową sztabą w nawisy, by mieć pewność, że nie runą mu na głowę. Na ziemię spadło parę mniejszych okruchów. Kilka minut posuwał się ostrożnie naprzód, by dotrzeć do ściany strzałowej. Red dał mu tymczasem znać, że powietrze było już dość czyste, by nim oddychać. Mercer zdjął maskę i zsunął z ramion aparat do oddychania.

Światło lampki przesunęło się po skale. Plama wyglądała tak, jakby woda rzeczywiście przesączała się do wnętrza wyrobiska.

Mercer podszedł jeszcze bliżej i wysunął dłoń. Przebarwienie nie było wilgotne, choć miał wrażenie, jakby dotykał skóry węża. Wrócił do skrzynki, wziął kredę i zakreślił dokładnie krawędzie plamy. Jeśli to przeciek i woda będzie się dalej sączyła, oceni na monitorze.

Przykucnął i zaczął spokojnie przyglądać się plamie. Oddychał powoli przez usta, bo wentylatory wciąż chłoneły duże ilości pyłu. Przez pięć minut nie odrywał oczu od okręgu na ścianie, żeby się przekonać, czy zachodzą w nim jakieś zmiany. Gdyby plama wyszła za linię o milimetr, wiałby z kopalni najszybciej, jak potrafił. W końcu z zamyślenia wyrwał go głos Reda.

– To woda, prawda?

– Tak, ale przesięk jest stabilny – odpowiedział, wstając. – Najwyraźniej się nie powiększa.

– Potrzebujesz nas na dole?

– Nie, jeszcze nie. Daj mi kilka minut.

Mercer przyjrzał się zwałom odłamków skalnych pokruszonych ostatnią eksplozją. Mokra plama znajdowała się na dole, po lewej stronie ściany, więc zaczął przeglądać rumowisko w tamtych okolicach; łomem przesuwiał co większe fragmenty. Szukał informacji, jak głęboko weszli w skalę nasączoną wodą. Nie chciał ryzykować bezpieczeństwa pozostałych, więc nawet największe odłamki skały przesuwiał sam. Szybko poczuł, jak czoło i plecy spływają mu potem.

Pierwszy fragment ze śladami wilgoci znalazł dopiero po dziesięciu minutach. Miał ciemniejszą barwę i był niemal śliski w dotyku. Kiedy zorientował się, jak wygląda mokra skała, bez problemu znalazł jeszcze kilka odłamków. Nie miał wątpliwości, że kiedy Randall wiercił otwory pod ładunki, zignorował ewidentne oznaki przesięku. Przy trzech strzałach dziennie musiał nieraz narażać swoich ludzi, żeby tylko podnieść wydajność. Mercer wolał nie myśleć, co się mogło stać.

Poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

– Red – wywołał współpracownika przez radio. – Wygląda na to, że Donny ostatnie otwory wiercił z pełną świadomością, co się dzieje. Zbierz zespół i każ im przejrzeć materiał wydobyty na powierzchnię. Chcę wiedzieć, czy tam też są fragmenty nasączone wodą.

– Przyjąłem. Coś jeszcze?

– Tak. Bez wyraźnego polecenia nie wolno nikomu schodzić na dół. Załatw przenośny sejsmograf. Potrzebuję stałych odczy-

tów sytuacji na przodku. Wygląda na to, że ściana jest stabilna, ale mogę nie wyczuwać wstrząsów.

– Przyjąłem.

– I znajdź Trzonka. – Mercer wrócił do przodka, żeby przybliżyć kamerę.

Plama wciąż pozostawała wewnątrz kredowego okręgu, który wcześniej narysował. Mimo cieńszej warstwy skały, która powstrzymywała ciśnienie, nie przesączało się więcej wody. Mercer poczuł ulgę. Schylił się i przysunął twarz do błyszczącej powierzchni, a potem wyciągnął język i polizał chropowatą skałę.

I natychmiast poczuł alkaliczny posmak w ustach.

– Co to ma... ? – Znów polizał plamę, ale w innym miejscu. I przekonał się, że to nie pomyłka. Przesączająca się z głębin ziemi woda była słona. A przecież po przefiltrowaniu przez setki metrów skał powinna być czysta jak górskie źródło!

– I to nie tylko słona... – powiedział do siebie na głos. – Smakuje jak woda morska.

Ludzie Mercera pracowali bez przerwy przez następne trzy godziny. Ignorując zalecenie Iry, by pod żadnym pozorem nie zwracać na siebie uwagi pod gołym niebem, użył wszystkich reflektorów, jakie znalazł w obozie, do oświetlania ziemi, kiedy górnicy tyralierą przeczesywali wywieziony spod ziemi urobek. Z każdym odcinkiem bez mokrej skały jego gniew minimalnie słabł.

Zaspany i wściekły, że ktoś ośmiela się wrywać go z łóżka, Donny Randall zarzekał się, że kiedy jego ludzie wiercili otwory pod ładunki, nie widział ani centymetra wilgotnej skały, a brak

dowodów na powierzchni wydawał się potwierdzać jego wersję. Wśród urobku z wcześniejszych eksplozji nie było śladów po przesięku. W końcu, kiedy Mercer przyznał, że nie powinien był oskarżać go o narażanie ludzi na niebezpieczeństwo, Randall przestał przeklinać i rzucił tylko jakąś pogardliwą uwagę.

Donny siedział na krześle w przyczepie, z której kierowano pracami. Miał na sobie spodnie od dresu, ciężkie buty i skórzaną kurtkę zarzuconą na gołe ciało. W środku było tylko trochę cieplej niż na dworze. Czekanie na Mercera umilał sobie wydłubywaniem brudu spod paznokci szczyrykiem. Włosy pokryte brylantyną błyszcząły w świetle jarzeniówek jak mokre od oleju. Kiedy zobaczył przełożonego, szybko zdjął nogi ze stołu.

– Gównu znalazłeś, więc idę do łóżka – oznajmił i stanął naprzeciwko Mercera, żeby go onieśmielić swoją posturą. – Zdaje się, że nie pomogły ci doktorat, tysiąc dolarów za godzinę ani Ira, który myśli, że zjadłeś wszystkie rozumy.

Mercer stężał. Nie spodziewał się, że Randall wiedział, kim naprawdę jest.

Donny zaśmiał się, błędnie oceniając jego reakcję.

– Następnym razem jak będziesz chciał się czegoś nauczyć o górnictwie, to prostu zapytaj, a ja ci pokażę, jak to się robi. – W jego oczach błysnęła zwierzęca nienawiść. Wyprężonym palcem dźgnął Merceraw pierś. – I jeśli jeszcze raz zakwestionujesz moje kompetencje, lepiej, żebyś miał rację, bo jeśli znów się pomylisz, skopię ci dupsko. Słyszysz?

Mercer nie myślał o czterdziestu kilogramach mniej czy dwudziestu centymetrach, o które Randall go przewyższał – wzrost

ani waga nie miały znaczenia. Jediną rzeczą, która powstrzymała go przed złamaniem dźgającego go palca, była świadomość, że późniejsza bójka nieuchronnie obróci przyczepę w perzynę.

– Nigdy nie wierzyłem w to, co mówili, jaki to jesteś twardy. – Donny lekceważąco pokręcił głową. Był już prawie przy drzwiach, kiedy zatrzymały go słowa Mercera.

– Myliłem się co do ciebie, Donny. Przepraszam.

– Od razu lepiej. – Randall się zaśmiał. Mercer mówił dalej z kamienną twarzą.

– Jesteś nie tylko najgłupszym skurwielem, jakiego znałem... Widziałem, jak patrzysz na górników, i już wiem, że tych chłopców w RPAmęczyłeś swoim trzonkiem dlatego, że masz w dodatku spory problemz własną seksualnością.

Randall zamrugał i przez kilka sekund stał nieruchomo, bo nie od razu zrozumiał naturę obrazy. Mercer miał wrażenie, że widzi wyraźnie, jak w jego głowie zaczynają krążyć pojedyncze myśli, zupełnie jak kulka w automacie do gry. Nagle oczy sadysty zabłyśły złym światłem. Dotarło do niego. Red Harding i sześciu górników weszli do przyczepy. Właśnie skończyli przeglądać urobek i nie mieli pojęcia, co się przed chwilą wydarzyło.

Randall jeszcze chwilę myślał i dopiero po kilkudziesięciu sekundach opanował się i postanowił zignorować obrazę. Na odchodnym rzucił jeszcze Mercerowi mordercze spojrzenie. Jakby chciał dać do zrozumienia, że to nie koniec. Mercer niemal się uśmiechnął, kiedy pomyślał, jaki Donny jest przewidywalny.

– O co wam poszło? – zapytał Red, kiedy Randall zniknął w ciemności nocy.

– Donny starał się wyrazić swoje rozczarowanie, że ośmieliłem się napiętnować jego charakter.

– Co takiego? Mercer zachichotał.

– Randall chciał mi udowodnić, że wygrałby ze mną w szczątku na odległość.

– Teraz chwytam. – Teksańczyk się uśmiechnął. – Jesteśmy gotowi do umieszczenia przenośnego sejsmografu. Pomyślałem, że będziesz potrzebował pomocy. – Wskazał na monitor, który pokazywał obraz z kamery przed ścianą z przesięciem. – A plama nie zmieniła się ani o jotę, od kiedy zaczęliśmy ją obserwować, więc myślę, że nic nam nie popsuje wycieczki na dół.

Wiadomość, że woda nie przesączała się dalej przez skalną ścianę, tylko trochę zmniejszyła niepokój Mercera. Teraz bardziej martwił się tym, co to za woda – choć nie wspomniał nikomu o swoich przemyśleniach. Nie zamierzał też zmieniać swojej decyzji, żeby przez przynajmniej dobę nie wpuszczać nikogo na dół.

– Super. Też idziesz?

– No pewnie.

Mercer pokiwał z uznaniem głową.

– Weź jeszcze jedną osobę. Spotykamy się przy szybie za dziesięć minut.

– Będziesz dzwonił do admirała?

Mercer sięgnął po szyfrujący telefon satelitarny ustawiony na biurku.

– Tak – potwierdził i poczekał, aż wszyscy wyjdą z przyczepy.

– Lasko.

– Ira, tu Mercer. Trafiliśmy na wodę. Przez chwilę panowała cisza.

– Poważna sprawa?

– Na razie wygląda to na przesiek. Nie zmienia się, nie kapie... mokra plama na ścianie.

Nagle zastępca doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego zrozumiał powagę sytuacji.

– Ale chyba nie przebiliście się do komory?

– Nie. Wygląda na to, że brakuje nam jeszcze kilku metrów, ale woda musi się jakoś przesączać przez skały.

– Czy to normalne?

– Trudno powiedzieć – Mercer odpowiedział po chwili milczenia. – To zależy od ciśnienia wody, przepuszczalności skał, czasu, jaki tam spędziła...

– Czasu? A jaki to może mieć wpływ? – przerwał mu Ira ostro.

– Jeśli dasz wodzie kilka milionów lat, to przesączy się przez wszystko, na każdą odległość. Gdybym wiedział na przykład, kiedy komora wypełniła się wodą, miałbym przynajmniej jakieś pojęcie, jak szybko się przemieszcza.

– Okej, rozumiem.

– Ustawiłem kamerę naprzeciwko plamy i monitorujemy ją. Zaraz na dole umieszczę jeszcze przenośny sejsmograf, żeby sprawdzić stabilność skał.

– Dobry pomysł. Ilu masz ludzi na dole?

– Żadnego – odpowiedział Mercer. – Między innymi dlatego dzwonię. Dopóki nie będę wiedział, co się tam dzieje, nie chcę ich narażać.

Mercer spodziewał się gwałtownego protestu, ale Ira pochwalił jego podejście.

– Świetna robota. Na jak długo wstrzymujesz pracę? Na kilka dni?

– Przynajmniej. Skała między komorą a szybem jest jak korek, na który z jednej strony działa duże ciśnienie. Dopóki nie będę miał pewności, że nic nie grozi górnikom, nikt nie będzie schodził na dół.

– Mercer, poczekaj. – Ira zakrył dłonią słuchawkę i w głośniczku słychać było jedynie przytłumiony szum rozmowy.

W Waszyngtonie była już dziewiąta wieczorem. Ciekawe, dlaczego Ira tak długo pracował?

– Dobra, już jestem. Nie ma sensu, żebyście się snuli bezczynnie w pustyni, jak macie dwa albo trzy dni wolnego. Właśnie organizuję wam przelot śmigłowcami do głównej bazy w Strefie, a tam przesiądziecie się do samolotu do Las Vegas. Zaraz każę komuś załatwić wammiejsca w hotelach.

Mercer był mu wdzięczny, ale też zaskoczony, bo Ira wpadł na ten sam pomysł, który nieco wcześniej przemknął mu przez myśl. Ale z drugiej strony Ira był doskonałym organizatorem i wiedział, jak zmotywować podwładnych do maksymalnego wysiłku. Czterdzieści osiem godzin w Las Vegas to coś, co należało się chłopakom po miesiącu pracy bez przerwy. Roześmiał się.

– Kilka minut temu chłopaki nosili mnie na rękach, bo dałem im dwa dni wolnego, a teraz ty mnie przebijaszesz wycieczką do miasta grzechu...

– To w Vegas postaw im wizytę w lokalu ze striptizem – doradził Ira.

Mercer spoważniał.

– Tyle że ja zostaję. Ktoś musi obserwować sytuację w kopalni. Ira odpowiedział równie poważnym tonem.

– Polecisz z nimi.

– Zapomnij – sprzeciwił się Mercer. – Bez urazy dla twoich hydrologów, ale to ja jestem odpowiedzialny za pracę i muszę mieć pewność, że tunel jest bezpieczny.

Ira najwyraźniej się uśmiechał, bo słychać było delikatniejszy ton w jego głosie.

– Właśnie dlatego jesteśmy przyjaciółmi, Mercer. Bierzesz na siebie odpowiedzialność, nawet jak nie ma takiej potrzeby. Ja też tak robiłem przez całe życie. Jedź do Vegas, do ciężkiej cholery. Poczytasz raporty hydrologów, jak wrócisz. Zatrudniliśmy cię do drażenia tunelu, a nie kierowania całym projektem. Poza tym nie ściągnę doktora Hooda i doktor Marie wcześniej niż za dwa dni.

– Nie chcę, żeby schodzili na dół – powiedział Mercer. Lata pracy w kopalniach dały mu dużą wiedzę o hydrologii, ale i tak nie mógł równać się z Gregorym Hoodem. Lepiej jednak, żeby nie ryzykował, tylko obserwował korytarz przez kamerę, bo jeśli skała jest niestabilna, to nikt nie zdoła zapobiec zalaniu wyrobiska.

– Wezwę strażników i każę im pilnować wejścia. Nikt nie zjedzie na dół. A ty weź trochę wolnego. Jeśli jesteście blisko naszej komory, to zasłużyliście sobie na to.

– No dobra. – Mercer się odprężył. – Przekonałeś mnie.

– Helikoptery będą po was za pół godziny. Potem kwadrans i jesteście w Las Vegas. Poczekaj jeszcze chwilę... – Ira zakrył dłonią słuchawkę i znów zaczął z kimś rozmawiać. – Dobra, dzięki, Mercer. Macie miejsca w Luxorze. Wybacz, że nie dostaniesz apartamentu, ale rząd płaci. Kiedy przyleci Hood i Marie, postaram się też być na miejscu.

– Dobra, widzimy się za kilka dni – przerwał. – A jeśli powiesz Harry’emu, że jestem w Vegas, zabiję cię. – W hierarchii Harry’ego White’a hazard znajdował się co prawda poniżej palenia i picia, ale za to wyżej niż jedzenie czy higiena osobista. Mercer chciał sam do niego zadzwonić, żeby się podroczyć.

Ira zachichotał.

– Odróżniam żart od zwykłego okrucieństwa. Twoja obecność w mieście rozpusty to tajemnica państwowa. Jesteś bezpieczny.

Mercer wstał, wyszedł z przyczepy i ruszył do wejścia do kopalni. Wcześniej chciał powiedzieć Irze o słonej wodzie, ale w trakcie rozmowy doszedł do wniosku, że powinien z tym poczekać na przyjazd Hooda. Najpewniej nie miało to żadnego znaczenia i był gotów pójść o zakład, że hydrolog już nieraz spotkał się z takimi abberacjami.

Red i drugi górnik, Ken Porter, czekali przy windzie. Na ziemi leżało trzydziestopięciokilogramowe pudło z sejsmografem i zestawem baterii. Mężczyźni złapali je za ręczki i cała trójka

weszła do kabiny. W drodze na dół nikt nic nie mówił. Zazwyczaj górnicy żartowali. Tym razem ze względu na niebezpieczeństwo woleli milczeć.

Kiedy dotarli na właściwy poziom, Red i Ken wyjęli sejsmograf, położyli go na wózku akumulatorowym i sami wsiedli na pakę. Mercer zajął miejsce za kierownicą i uruchomił silnik. Cały czas miał kontakt z górnikiem, który obserwował obraz mokrej plamy na skale. Zatrzymał traktor spory kawałek przed wyrobiskiem, bo nawet najłżejsze wibracje mogły spowodować katastrofę. Dalej poruszali się piechotą, stawiając nogi ostrożnie jak saperzy rozminowujący teren.

Red i Ken nieśli sejsmograf, uginając się pod jego ciężarem. Mercer uważnie się rozglądał, omiatając snopem światła podłogę, sklepienie i ściany. Pod podeszwami skrzypiała pokruszona skała.

Kiedy dotarli na miejsce, od razu podszedł do przesięku. Kamera nie kłamała – plama nie wyszła za zakreślone kredą granice.

– Montujemy sejsmograf i spadamy – powiedział, wskazując, gdzie mają umieścić ciężką maszynę.

Razem z Redem zaczął kalibrować urządzenie i podłączać je do tej samej wiązki, którą na górę wędrował obraz z kamery. Ken Porter miał w tym czasie wyszukiwać odłamki nasączonej skały, które Mercer przeoczył w czasie poszukiwań.

– Kurwa! – krzyknął górnik, gwałtownie odskakując od przodka. Mercer podniósł głowę.

– Co się dzieje?

– NWB.

Mercer poczuł zimny dreszcz. NWB było starym skrótem od słowa „niewybuch”. Ken znalazł ładunek, który nie eksplodował z pozostałymi. Wskazał na jeden z pięciocentymetrowych otworów wywierconych przez zespół Donny’ego Randalla. Mercer nie mógł zajrzeć do środka, więc nie miał pojęcia, że sięgał na głębokość trzech metrów. Ken podszedł i zaśwycił latarką do środka. Niebieskie opakowanie ładunku z tovekssem było nienaruszone.

– Wycofujemy się. Spokojnie i ostrożnie – Mercer mówił cichym głosem. Tovex był jednym z najstabilniejszych materiałów wybuchowych na rynku, ale lepiej nie ryzykować.

Ken cofnął się kilka kroków, szary na twarzy i z szeroko otwartymi oczyma, którymi bał się nawet mrugać. Był trzy metry od otworu, lekko z boku, żeby uniknąć głównej fali uderzeniowej, gdyby ładunek eksplodował.

Z otworu, który nie został zaczipowany, żeby ukierunkować eksplozję, wystrzelił słup ognia. Rozgrzane gazy i płomień sięgnęły daleko w tunel. Ken był już dość daleko, ale i tak przeleciał kilka metrów w powietrzu.

Mercer i Red też potoczyli się w tył. Nie słyszeli swoich krzyków, bo huk ich ogłuszył. Geolog pierwszy zerwał się na nogi i trzęsącymi się rękoma zasłonił uszy. Błyskawicznie skoczył w kierunku Kena, który leżał na ziemi zwinięty jak szmaciana lalka. To, co zobaczył w świetle latarki, przyjęło go grozą.

Skąła wokół dymiącej jeszcze dziury pociemniała, jakby ktoś polał ją atramentem. Woda wypełniała pory w kamieniu i pod gigantycznym ciśnieniem przesiąkała do tunelu jak pot przez

skórę. Z początku zmieniał się tylko kolor skały, lecz szybko pojawiło się lśnienie. Po kilku sekundach uformowały się krople i spłynęły w dół.

Najbardziej prymitywna część mózgu kazała mu uciekać i martwić się tylko o swoją skórę, lecz nie uległ pokusie. Kątem oka obserwując rozpoczynającą się powódź, sięgnął po Kena Portera i złapał go pod ramiona. Red Harding wstał o własnych siłach i z niedowierzaniem wpatrywał się w wodę przeciekającą przez skałę.

– Uciekamy! – ryknął Mercer z całych sił.

Red w końcu go zauważył i skoczył przed siebie. Obaj gnali w stronę wejścia do windy, a woda szukała najłatwiejszej drogi do kopalni. W końcu trafiła na najniższy punkt skały... Jak promień lasera strumień wybił dziurę w kamieniu i wystrzelił do wnętrza. Pięciodziesięcymetrowa struga trafiła na opancerzoną skrzynkę sejsmografu. Przez chwilę rozbijała się o nią, tworząc roziskrzoną chmurę, lecz miała taką moc, że nic nie mogło jej zatrzymać. Ciężkie urządzenie zaczęło się przesuwać, z początku powoli, a potem coraz szybciej. Red miał dwadzieścia metrów przewagi nad metalową skrzynką, ale ta i tak go dogoniła i niemal powaliła na ziemię.

W miarę jak woda wrywała coraz szerszy otwór, jej ryk narastał. Był głośniejszy niż strumień wypływający z uszkodzonego hydrantu. Gdyby struga trafiła kogoś z nich, najmniejszą szkodą, jaką mogła wyrządzić, byłoby połamanie kilku kości. Znacznie bardziej prawdopodobne, że rozerwałaby ich ciała na strzępy.

Gnali przed siebie gonieni przez bezwzględną powódź. Poziom wody rósł z każdą chwilą i przesuwał się naprzód, więc osiemdziesiąt metrów do przodka pokonali zanurzeni po kostki. Czterdzieści metrów dalej woda sięgała im do kolan. Red spojrział na przełożonego i zobaczył w jego oczach wolę walki mimo zmniejszających się szans na przeżycie.

Za plecami słyszeli ryk milionów metrów sześciennych wody, która w końcu znalazła ujście ze swojego więzienia. Otwór się powiększał, a ciśnienie było tak potężne, że strumień dopiero dwadzieścia metrów dalej rozbijał się o podłogę. Kipiel gotowała się wokół czterotonowego ciągnika elektrycznego, aż w końcu i jego masa nie wystarczyła: pojazd runął naprzód porwany silnym prądem.

Mercer ledwo nadązał za Redem, przyciskany do ziemi bezwładnym ciałem Kena, którego wciąż niósł na ramionach, ale lojalny Teksasńczyk nie zostawił towarzyszy samych. Woda sięgała im już pasa i z coraz większym wysiłkiem posuwali się przed siebie. Siła prądu była tak wielka, że w każdej chwili mogli upaść, a obaj wiedzieli, że to oznaczałoby śmierć.

Po ośmiu minutach, choć zdawało im się, że minęła godzina, zobaczyli światła windy. Mercer słyszał nawet ryk wody, która spadała głębiej, do szybu. Jej grzmot wstrząsał całą górą. W jego głowie zabłysnął delikatny promyk nadziei. Gdyby udało im się dotrzeć do windy, zanim skała powstrzymująca wodę rozsypie się ostatecznie, może zdążą uciec na górę...

Nie zdążyli.

Na skałę działała zbyt wielka siła. Zamiast odpadać po kawałku, ściana na całym przekroju tunelu zapadła się w jednej chwili. Woda runęła chodnikiem, wypełniając każdy centymetr wolnej przestrzeni. Była jak spychacz pędzący sześćdziesiątką. Wody nie da się sprężyć, więc fala ciśnienia pognąła przez powódź. Mercer i Red nie wiedzieli, co się zbliża.

W plecy uderzyła ich ściana sprężonego powietrza, twar-
da, jakby z betonu, i rzuciła nimi naprzód. Mercer nie zdołał utrzymać Kena, bo sam wyrznął w bok tunelu, a siła uderzenia wycisnęła mu resztki cennego powietrza z płuc.

Jakimś cudem udało mu się podnieść. Staął, prychając, bo woda tymczasem odrobinę opadła – choć wiedział, że potężne uderzenie to tylko zapowiedź... Red pojawił się na powierzchni kilka metrów dalej. Ciężko oddychał i nie mógł skupić wzroku. Tym razem Mercer musiał zaufać pierwotnemu instynktowi: szukanie Kena oznaczało pozostawienie Reda na śmierć.

W biegu złapał go za kołnierz kombinezonu i jak ogarnięte paniką zwierzę rzucił się w kierunku windy. Woda zabiła już jednego z jego ludzi, ale drugiego jej nie odda. W kipieli stracił kask i lampę, więc skupił się na światłach stacji przesiadkowej. Na plecach czuł wiatr, kiedy wypełniająca wolną przestrzeń woda wypychała powietrze.

Gdyby podłoga i ściany windy nie były zrobione z kratownicy, które nie zatrzymywały wody, ta wypełniłaby już cały tunel. Jednak miało to też swoje złe strony. Jeśli główna fala dotrze do nich, kiedy będą w windzie, kratownica zadziała jak tarka do sera, i zamieni ich ciała w miazgę.

Ostatkiem sił wpadł do komory stacji windy i przewrócił się do wody, pozwalając silnemu prądowi zanieść siebie i Reda wprost do kabiny. Tam, chwyciwszy barierkę, podniósł się na kolana. Gardło piekło go od połkniętej wody, a oczy paliły od soli. Jedynie siłą woli uderzył dłonią w przycisk i padł na podłogę, twarzą w kierunku chodnika. Winda ruszyła. Mercer ledwie zwrócił na to uwagę. W głębi chodnika pojawiła się pędząca masa wody. Była już blisko... Siedemdziesiąt metrów, trzydzieści metrów. Piętnaście.

Winda dotarła zaledwie kilka metrów nad poziom podłogi.

Do komory stacji wpadła woda, w jednej chwili rozlewając się szeroko. Jakby wyczuwając, że więcej miejsca znajdzie gdzie indziej, biała ściana wody popędziła w kierunku szybu windy. Kabina minęła poziom sufitu, kiedy fala wyrznęła w tylną ścianę szybu i przez kratownicę dostała się do środka. Mercer i Red zostali uniesieni, wbici z ogromną siłą w sufit kabiny. Trwali tak kilka długich sekund, aż w końcu znaleźli się na tyle wysoko, że woda osłabła. Upadli na podłogę, nie mogąc uwierzyć, że żyją.

Pod nimi w głąb szybu spadała potężna kaskada. Zielona podziemna Niagara.

– Nic ci się nie stało? – wystękał Mercer.

Red potrzebował dłuższej chwili, żeby odpowiedzieć.

– Walnąłem się w głowę, połamałem zębra i rozwalilem nadgarstek. Czyli nic mi nie jest. A Ken?

Mercer nie potrafił pogodzić się ze świadomością, że stracił jednego ze swoich ludzi. Ale niezależnie od tego, jak bardzo chciał temu zaprzeczyć, Ken Porter nie był pierwszym, którego

stracił pod ziemią. I jeśli Mercer zostanie w tym biznesie, nie będzie też ostatnim. Nic nie mógł na to poradzić.

– Jego już nie zobaczymy.

Red podniósł dwa palce, potem trzy, a potem uniósł kciuki. Dwóch z trzech to i tak cholernie dobry wynik.

– Mam jeszcze pytanie – powiedział, wycierając wodę z twarzy. – Poczujesz dziwny smak? Jak byśmy przebili się do oceanu.

Mercer pokiwał głową, a kiedy uświadomił sobie, że Red nie mógł tego zauważyć, odpowiedział na głos:

– Tak, zauważyłem.

– I co? Domyślasz się, dlaczego?

Tym razem tylko pokręcił głową w milczeniu.

Hotel Luxor, Las Vegas, Nevada

Do obozu górników wszystko dowożono ciężarówkami, również wodę do picia i do toalet. Czas prysznicza został ograniczony regulaminem do pięciu minut. Mercer po raz pierwszy od niemal dwóch tygodni mógł się odprężyć pod strumieniem ciepłej wody. Delikatny masaż pleców powoli rozluźniał napięte mięśnie i przywracał właściwe krążenie. Wcześniej szybko wtarł szampon we włosy i namydlił się, zużywając cały płyn z buteleczek przygotowanych przez obsługę.

W lustrze po drugiej stronie łazienki widział swoje odbicie: zarys postaci spowity kłębamii pary.

Zgodnie z obietnicą Iry godzinę po ucieczce z zalanej kopalni pojawiły się helikoptery. Jeden zabrał Reda Hardinga i natychmiast wystartował. Obrażenia twardego Teksańczyka okazały się znacznie poważniejsze, niż obaj przypuszczali. Uderzenie w głowę pozostawiło w jego czaszce wgłębienie wielkości pięści. Gdy Mercer i jego ludzie zapinali pasy na pokładzie boeinga 737-200s, którym mieli polecieć do Las Vegas, szefostwo wysłało dwa dodatkowe blackhawki na poszukiwanie Donny'ego Randalla. Kiedy Mercer, Red i Ken zeszli pod ziemię, żeby zamontować sejsmograf, on wrócił do przyczepy z centrum zarządzania, a potem zniknął. Od tego czasu nikt go nie widział. W przyczepie została większość jego rzeczy, ale też części brakowało – można było od razu przyjąć hipotezę o ucieczce. Ale

Mercer nie potrzebował więcej dowodów, żeby mieć pewność, że między niewypałem a Randallem istniał logiczny związek, a eksplozja, która zalała kopalnię, nie była przypadkowa. Zrozumiał też, dlaczego Donny zawsze używał nieco więcej ładunku. Gromadził go, żeby zalać kopalnię.

Ira musiał znów zadzwonić do obozu i kazać Mercerowi, żeby poleciał z górnikami do Las Vegas. Mercer uparł się, żeby zostać i pomóc w poszukiwaniach. Ira zapewnił go, że czujniki podczerwieni rozmieszczone wokół Strefy 51 wyłapią każdego człowieka, który się do nich zbliży. A Randall znajdzie się pod strażą najdalej za osiem godzin.

Mercer nie był zadowolony, ale nie miał wyjścia. Zgodził się więc, ale wymusił na nim obietnicę, że będzie obecny przy pierwszym przesłuchaniu. Admirał przystał na taki układ i przyrzekł, że sam dotrze na miejsce w ciągu trzydziestu sześciu godzin i razem przesłuchają Donny'ego Trzonka.

Mercer siedział samotnie i przez cały lot łamał sobie głowę, dlaczego Randall tak postąpił. Nic nie wskazywało, żeby Donny planował morderstwo i zniszczenie kopalni, więc przestał się obwiniać, że niczego nie zauważył. Teraz skupił się na swoim gniewie. Podróż do miasta grzechu była zbyt krótka, żeby zdążyć znaleźć odpowiedzi. Potem też nie miał wiele czasu, bo terminal wykorzystywany przez wojsko na lotnisku McCarrana znajdował się rzut kamieniem od zainspirowanego egipskimi piramidami hotelu Luxor.

Ostatnim razem, kiedy Mercer odwiedził Las Vegas, był na pierwszym roku studiów w szkole górniczej w Kolorado.

Wiedział, że przez te wszystkie lata miasto znacznie się rozrosło, ale nie był przygotowany na skalę zmian. Wszystkie hotele rozbudowano do gigantycznych rozmiarów i zaprojektowano tematycznie, by przyciągnąć uwagę graczy i ich rodzin. Widział zamki przeniesione z powieści fantasy, namioty cyrkowe, miniaturowy Nowego Jorku i Wenecji. Luxor z czterema tysiącami pokoi należał do największych hoteli na świecie, a kształt piramidy uczynił go jednym z najbardziej rozpoznawanych budynków miasta. Ponadstudziesięciometrowy budynek z czarnego szkła został zwieńczony najjaśniejszym reflektorem na świecie, o mocy trzystu tysięcy watów i jasności czterdziestu milionów kandel.

Choć w rzeczywistości był mniejszy od piramid w Egipcie, zapierał dech w piersiach. Kiedy Mercer wszedł do środka, znalazł się pod jeszcze większym wrażeniem budowli, pokoje hotelowe przylegały bowiem do zewnętrznych ścian, a pośrodku znajdowało się gigantyczne atrium, w którym można było ustawić dziesięć pasażerskich odrzutowców.

Posągi, freski i kolumny przyciągały uwagę, ale nie absorbowały na tyle, żeby odciągnąć gości od głównej atrakcji – kasyna. Staccato monet wrzucanych do jednoręki bandytów, dzwonienie automatów i przytłumione głosy tysięcy graczy zagłuszały inne dźwięki.

Część górników od razu umówiła się przy karcianych stołach, kiedy tylko zostawią w pokojach swój skromny bagaż. Za to Mercer postanowił najpierw spróbować drinków serwowanych przez obsługę i wziąć półgodzinny prysznic. A najlepiej połączyć jedno z drugim.

Sięgnął po wódkę z sokiem z limonki, którą ustawił na półeczce na kosmetyki. To był jego drugi drink, a trzeci czekał na szafce nocnej przy łóżku, gdzie miał się przebrać po kąpieli. Sprawdził na swoim TAG heuerze godzinę, przyjrzał się pomarszczonej skórze palców i stwierdził, że jeszcze pięć minut pod prysznicem mu nie zaszkodzi.

Owinięty ręcznikiem podszedł do telefonu i wykręcił numer do domu. Wyrzwał przez okno, za którym uwagę przyciągały podświetlone lazurowe baseny trzydzieści metrów w dół. Dwóch pracowników hotelu czyściło tarasy i ustawiało leżaki. Za nimi, po horyzont ciągnęło się miasto błyszczące tysiącami neonów. Po czterech sygnałach włączyła się sekretarka. Rozłączył się i wybrał numer baru Tiny'ego.

– Odwal się! – burknął ktoś do słuchawki.

– Ale miłe powitanie – powiedział do Paula Gordona.

– Mercer, witaj! Wybacz, ale mam włączoną identyfikację numeru – wyjaśnił Tiny. – Rozpoznałem kierunkowy, więc pomyślałem, że któryś z bywalców chce pożyczki. – Oprócz baru Gordon prowadził nielegalne zakłady sportowe, które przynosiły mu całkiem przyzwoity dochód. – A tak w ogóle, co ty tam robisz? Harry twierdzi, że porwali cię jacyś smutni panowie na usługach rządu i zmuszają do niewolniczej pracy?

– Bo to prawda. – Mercer się zaśmiał. – Jest gdzieś w pobliżu? Rozmowa z Harrym zawsze podnosiła go na duchu i pomagała uwolnić się od stresu.

– Jak zawsze. Poczekaj, zaraz ci go dam.

Mercer usłyszał, jak Tiny woła Harry'ego i mówi mu, kto i skąd dzwoni.

– Ty mały skurczybyku! – syknął Harry do słuchawki. – Dlaczego mi nie powiedziałaś, dokąd cię wysłali?

– Bo sam nie miałem pojęcia – usprawiedliwił się szybko.

– Jak długo jeszcze tam będziesz?

Mercer wiedział, że Harry zaczyna kombinować, jak do niego dołączyć.

– Tylko tę jedną noc – skłamał, bo zdawał sobie sprawę, że starszerek wyczarowałby miejsce w najbliższym samolocie do Las Vegas. Rozmawiając, włożył czarne spodnie, białą koszulę i sportową marynarkę.

– A niech cię... zadzwoniłeś tylko po to, żeby mnie wkurzyć, tak?

– Harry, nie wierzę, że w ogóle mogłeś tak pomyśleć – powiedział Mercer niewinnie. – Dzwonię, bo pomyślałem, że się o mnie martwisz.

– Wal się, nic mnie nie obchodzi, jak się masz. Zadzwoniłeś, żeby się pochwalić, że jesteś w Vegas.

– Zadzwoniłbym, nawet gdyby Ira wysłał mnie na bagna na Florydzie.

– A ja bym ci powiedział, że zasłużyłeś sobie na to, ty draniu.

– Harry zaczął mięknać. – Gdzie mieszkasz?

– W Luxorze.

– Zrobisz coś dla mnie?

– Mam wypić za twoje zdrowie?

– O to się nie martw, ja piję za swoje i twoje. Z korytarza widać kasyno. Może uda ci się wyjść ze słuchawką, żebyśmy chociaż usłyszeli ten gwar.

Mercer się zaśmiał.

– Jesteś aż tak zdesperowany?

– Nie obstawiałem, od kiedy Tiny zwinął twojego jaguara na wycieczkę do Atlantic City.

– Czyli od ostatnich wakacji. Zapomniałeś już, że nie mogłem cię oderwać od stołów do gry, kiedy byliśmy w Panamie?

Harry się zakrztusił.

– Jakie ostatnie wakacje? Rąbnęliśmy ci wóz, jak byłeś w Kanadzie! Mercer pokręcił głową. Powinien był się domyślić.

– Dobra, poczekaj. Zobaczę, czy starczy kabla – mówiąc to, wsunął stopy w mokasyny na gumowej podeszwie. – Ale pamiętaj, że mieszkam na jedenastym piętrze, więc nie wiem, czy cokolwiek usłyszysz.

Kiedy uporał się z kablem, upchniętym między łóżkiem a ścianą, podszedł do drzwi.

– No, Harry, już prawie.

Drzwi do pokoi w Luxorze były dźwiękoszczelne, bo korytarze miały formę balkonów zawieszonych nad głośnym kasynem. Wewnątrz panowała cisza, ale wystarczyło wyjść na balkon, żeby kakofonia dźwięków tysięcy maszyn i dwóch tysięcy graczy stała się ogłuszająca.

– No to masz, coś chciał, staruszkule! – krzyknął do słuchawki i wysunął ją nad poręczą.

Hałas powinien być dochodzić z dołu, bo to tam można było zostać szczęśliwym zwycięzcą w ruletkę, ale najgłośniejszy krzyk rozległ się po prawej stronie, przy końcu korytarza, w pobliżu wind. A na dodatek nie wyrażał radości, tylko przerażenie.

Z holu wypadło biegiem trzech mężczyzn w identycznych ciemnych garniturach. Kobieta, która krzyczała, próbowała uciec, ale była w szpilkach i już po kilku krokach napastnicy ją dopadli. Dwóch trzymało w dłoniach karabiny maszynowe z zaokrąglonymi magazynkami i długimi tłumikami. Trzeci, który nie miał broni, sięgnął w jej kierunku i, jakby nigdy nic, wypchnął ją ponad wysoką poręczą. Przerażliwy krzyk stawał się coraz wyższy, aż w końcu był nie do wytrzymania.

Mercer odwrócił się i chciał uciekać, ale z drugiej strony korytarza, z holu z windami, wynurzyło się dwóch kolejnych mężczyzn. W słuchawce słyszał zachrypnięty głos Harry'ego.

Kobieta nagle ucichła.

Nie miał pojęcia skąd, ale wiedział. Nie przyszli tu po nią, tylko po niego. Mieli dokończyć to, co nie udało się Donny'emu Randallowi.

Wskoczył do swojego pokoju, bo nie miał innej drogi ucieczki. Zyskał w ten sposób trochę czasu, ale też znalazł się w pułapce bez wyjścia. Między pokojami nie było drzwi.

Rzucił telefon na łóżko i podbiegł do otwartej walizki. Wśród koszulek polo leżała jego beretta 92. Chwycił ją, wyciągnął zapasowy magazynek z kabury i przeładował.

W lobby musiała zapanować histeria. Przeważenie makabryczną śmiercią kobiety na pewno udzieli się wszystkim w ka-

synie, ale ochrona straci przez to kilka minut, bo w chaosie nie będą mogli dojść, skąd spadła. Mercer miał kilka sekund, nim zamachowcy dopadną jego pokoju i siłą wejdą do środka. Nawet najwytrzymalsze dźwiękoszczelne drzwi w końcu się poddadzą, jeśli zasypie je grad pocisków z karabinów maszynowych. Poczul obrzydzenie na myśl o tym, z jaką obojętnością tamten mężczyzna zamordował niewinną kobietę. Nie zauważył, że odruchowo zacisnął dłoń na kolbie pistoletu, aż pobieleły mu kostki i zaczął drżeć nadgarstek.

Telefon nie był dobrym wyjściem. Zanim dodzwoni się do kogoś, kto mógłby mu pomóc, tamci wejdą do środka. Recepcjoniści byli szkoleni, jak pomagać gościom, którzy zgubili bagaż, a nie atakowanym przez oddział zamachowców z karabinami maszynowymi. Mercer rozejrzał się po pokoju. Przeanalizował wszystkie możliwości, rozważył za i przeciw i został z jednym rozwiązaniem.

Wziął zapałki i wskoczył na łóżko. Mimo szaleńczego bicia serca sprawiał wrażenie spokojnego. Zapalił jedną zapałkę i włożył ją do pudełka, a obłok dymu dotarł szybko do czujnika przeciwpożarowego. Urządzenie momentalnie zaczęło piszczeć.

Potem sięgnął do dyszy zraszacza, która wystawała ze ściany. Domyślał się, że jest zabezpieczony, żeby nie włączył się bez alarmu -w końcu mogło się zdarzyć, że jakiś splukany hazardzista w złości zechciałby go zniszczyć. Uruchamiając wcześniej system przeciwpożarowy, chciał zmusić komputer do otwarcia głównego zaworu. Kiedy z dyszy polecą woda, ochrona zostanie automatycznie powiadomiona, w którym pokoju powstało zagrożenie.

Upewnił się, że broń była zabezpieczona przed wystrzałem, i kolbą uderzył w głowicę zraszacza. Mechanizm musiał puścić, bo rozległ się syk powietrza pod ciśnieniem. Kolejne uderzenie urwało głowicę do końca. Sekundę później z otworu wystrzelił strumień zastanej, rudej od rdzy wody, niemal sięgając okna po drugiej stronie pokoju.

Od chwili, kiedy zatrzasnął za sobą drzwi, minęło może dwadzieścia sekund. Pomyślał, że napastnicy mieli już dość czasu, żeby...

Serie z karabinów maszynowych przytłumione tłumikami i dźwiękoszczelnymi drzwiami nie brzmiały groźnie – co innego kule, które bez problemu przebiły się do środka.

Mercer padł na podłogę i dwukrotnie pociągnął za spust, celując starannie po obu stronach drzwi; założył, że jeden stał pośrodku, a pozostali ubezpieczali go po prawej i lewej. W porównaniu z szumem wyciszonej broni maszynowej jego dziewiątka zagrzmiała jak armata, a otwory po dziewięciomilimetrowych pociskach robiły większe wrażenie. Na korytarzu rozległy się krzyki bólu, więc strzelił jeszcze dwa razy, ale niżej – spodziewał się, że ranni upadną na podłogę.

Serie z karabinu uciły na chwilę.

Mercer wycelował nieco dalej od drzwi i cztery razy pod rząd pociągnął za spust, wybijając w ścianie kolejne dziury, jedna obok drugiej, coraz dalej od wejścia. Chciał w ten sposób odpędzić napastników.

Schylony ruszył przez pokój, wymieniając w biegu pusty magazynek na jedyny zapasowy. Wyjrzał przez okno, gorączkowo

przypominając sobie przeczytane gdzieś cyfry. Hotel miał ponad sto dwadzieścia metrów wysokości i trzysta szerokości u podstawy. Jego pokój znajdował się na jedenastym piętrze, a więc czterdzieści metrów nad ziemią i pięćdziesiąt pięć nad dolną krawędzią ściany, nachylonej pod kątem trzydziestu dziewięciu stopni; zbyt dużo, żeby zjechać po niej jak po zjeżdżalni, a nie miał sprzętu, który by to ułatwił.

Zanim napastnicy zdołali się przegrupować, Mercer strzelił kilka razy w środek drzwi, licząc na to, że jeszcze na chwilę ich odpędzi i tak prędko nie zniszczą zamka kolejnymi seriami z karabinów. Środkowe okno po zachodniej stronie miało delikatną fakturę i informację, że jest wykonane z bezpiecznego szkła i w razie niebezpieczeństwa wolno je wybić tylko strażakom. Bez celowania dwukrotnie strzelił, lecz wybił jedynie niewielkie dziury, a reszta szyby pozostała na miejscu – w każdym razie do czasu, kiedy złapał ciężkie krzesło i dokończył dzieła zniszczenia. Natychmiast do pokoju wdarł się duszący, pustynny upał, przierzędzając gryzący dym spalonego prochu i zapach strachu. Daleko poniżej znajdował się oświetlony basen i parking. Mercer nie miał lęku wysokości, jednak na myśl o tym, co postanowił, zakręciło mu się w głowie. Znów strzelił w ścianę przy drzwiach.

Z uszkodzonego spryskiwacza przeciwpożarowego do pokoju dostało się kilkaset litrów wody. Mercer zdarł z łóżka narzutę i pościel. Jeden z napastników natarł całym ciałem na zniszczone drzwi. Dwa strzały z beretty zniechęciły go na chwilę. Od huku Mercera rozboleły uszy. Jak praczka złapał za rogi mokrą narzutę z łóżka, wychylił się przez rozbite okno i energicznie strzepnął

materiał, a potem starannie położył płasko na szybie. Z dolnej krawędzi sączyły się strumyki wody.

Żeby przeżyć upadek z piramidy, nie miał innego wyjścia, jak spowolnić spadanie. Podeszwy butów miały zbyt małą powierzchnię, by zapewnić dostateczne opóźnienie, musiał więc improwizować. Jego desperacki plan polegał na wykorzystaniu efektu, jaki zna każde dziecko, które nasącza wodą materiał i przykleja go do brzegu wanny. Ciśnienie powstające między dwiema płaszczyznami jest tak duże, że czasem trudno rozdzielić gładkie powierzchnie. Jeśli narzuta, którą rozłożył, była dość duża, istniała szansa, że powstrzyma go przed upadkiem i pewną śmiercią, spowalniając zjazd.

Stojąc przy wybitym oknie, pociągnął kilka razy za spust, wystrzeliwując ostatnie naboje, by opóźnić wkroczenie wroga. Chciał zdobyć dość czasu, by uciec przed ostrzałem.

Kim, do diabła, byli? Pokręcił głową, bo nie znał odpowiedzi. Zresztą to na razie bez znaczenia. I tak pozostanie, jeśli nie uda mu się uciec z hotelu.

Osiem, dziewięć, dziesięć. Odczekał jeszcze kilka sekund, nabrał powietrza i wystrzelił ostatni nabój.

Odrzucił berettę i wskoczył na parapet. Musiał przytrzymać się aluminiowej ramy, bo miał wrażenie, że traci równowagę. Cały przemoczony, natychmiast poczuł chłodny powiew wiatru. Ziemia, która wydawała się wyrazista i bezpieczna, kiedy okno było całe, nagle stała się rozmyta i przerażająca. Czterdzieści metrów to niewielka odległość, jeśli oceniać ją w poziomie. Te same czterdzieści metrów w pionie oznaczały pewną śmierć.

Gigantyczny basen na dole wyglądał jak niebieskie pudełko po butach, a samochody na najwyższym poziomie parkingu jak zabawkowe autka.

Mercer pokręcił głową, żeby pozbyć się rozprasających go myśli. Musiał się mocno wychylić, żeby chwycić bliższy róg narzuty. Drugi, po przeciwnej stronie, znajdował się prawie dwa metry dalej. Trzymając w jednym ręku zwinięty brzeg materiału, wyskoczył przez okno. Z korytarza rozległ się jazgot broni maszynowej i pistoletów bez tłumików, najwyraźniej ochrona już tu dotarła. Mercer obrócił się w locie i wylądował na plecach. Natychmiast zaczął się ześlizgiwać. Gorączkowo szukał palcami najdrobniejszej choćby fałdki, żeby zacisnąć na niej drugą dłoń. Kiedy centymetry dzieliły go od ześlizgnięcia się z mokrego materiału, złapał jego brzeg.

I nic się nie stało.

Mercer kołysał się, podwieszony na szklanej ścianie najszynniejszego hotelu w Las Vegas i rozłożonymi ramionami trzymał mokrą tkaninę za brzegi. Wyglądał jak ukrzyżowany. Mimo jego wagi narzuta nie chciała się odkleić od szyby. Choć miała go tylko spowolnić, utknął na dobre. Poniżej butów widział prawie pięćdziesięciometrowy zjazd.

– Co do diabła...

Z wnętrza hotelu dobiegło kilka kolejnych wystrzałów z broni bez tłumików, po których wybuchła kanonada z broni zamachowców. Korytarz przed jego pokojem zamienił się w pole bitewne, a on wisiał rozplaszczony na szklanej ścianie budynku jak komar na zderzaku. Nie łudził się nawet, że strażnicy mieli

jakiegokolwiek szanse, by powstrzymać napastników i wciągnąć go bezpiecznie do środka.

Szarpnął ramionami, by nieco oderwać materiał od szkła i zmniejszyć powierzchnię, która była przyklejona. Ześliznął się kilkanaście centymetrów i stanął w miejscu. Napięte mięśnie paliły żywym ogniem. Nie miał sił, by ponownie odkleić fragment materiału, więc zaczął wykręcać się na boki. Ruszył i bardzo powoli sunął w dół.

Jęknął zawiedziony. Szarpnął raz jeszcze i w tym samym momencie zawiął wiatr. Podmuch powietrza znalazł jakąś drobną fałdkę i dostał się pod spód, odklejając kawałek tkaniny od szyby. Mercer przyspieszył, a po chwili jego tempo jeszcze bardziej wzrosło. Przestraszył się, że impet może całkiem oderwać narzutę od szkła, więc spróbował nieco wyhamować podszwami. Obcasem zahaczył o gumowy łącznik między dwoma panelami. Sekundę później wiatr zamarł, narzuta opadła, a ruch ustał. Spojrzał w górę. Ześliznął się niecałe trzy metry.

Od jakichś dziesięciu sekund milczały też pistolety strażników.

Mimo że sam pomysł był wariacki, a wykonanie szaleńcze, wiedział, że to za mało. Był bezbronny, a napastnicy wedrą się do pokoju lada chwila. Bez żadnego problemu domyślał się, którądy chciał uciec, a potem zasypią gradem kul.

Istniał tylko jeden sposób, by zwiększyć prędkość – musiał zmniejszyć siłę, która wiązała mokrą tkaninę ze szkłem. Nie mógł zwiększyć swojej wagi, musiał więc częściowo oderwać materiał od szyby. Ale wiedział, że to droga bez powrotu.

– Jakbym mógł się rozmyślić – mruknął i szarpnął za brzegi, odrywając od szkła jedną trzecią narzuty.

Runął w dół jak saneczkarz. Po sekundzie wiedział, że nie wyhamuje. Miał wrażenie, że pędzi zbyt szybko, a z każdym kolejnym metrem przyspieszał coraz bardziej.

Pęd powietrza szumiał mu w uszach, kiedy starał się z powrotem przykleić materiał do szyby, ale bez widocznego efektu. Rozłożył szeroko nogi i docisnął podeszwy, żeby odzyskać choć trochę kontroli. Miał serce w przetyku i nie mógł nabrać tchu.

Początkowo nie odważył się spojrzeć w dół, ale w końcu uniósł głowę. Minął już osiem z jedenastu pięter, jakie dzieliły go od ziemi, a z min dwóch pracowników czyszczących basen wywnioskował, że wygląda przynajmniej niecodziennie. Im był bliżej nich, tym szerzej rozdziawiali usta. Może jednak nie zsuwał się aż tak szybko? Może zwolnił i lądowanie nie będzie aż takie...

Okno po prawej stronie eksplodowało, zasypując go gradem ostrych jak brzytwa odłamków. Kolejna seria trafiła okno nad nim, topiąc go w lawinie kaleczących drobinek. Nie musiał patrzeć w górę, żeby wiedzieć, co się dzieje. Następny strzał roztrzaska mu głowę.

Półtora piętra nad ziemią puścił narzutę.

Sekundę przed upadkiem podkurczył nogi i odbił się najmocniej jak umiał od budynku. Ten ruch zmienił nieco trajektorię lotu, posyłając go na miękką trawę z niewielkimi krzakami. Potoczył się ciężko po ziemi i wpadł w stertę leżaków. Szok po uderzeniu darował mu jedną sekundę otumanienia, po czym ból

ekspłodował w każdej części jego ciała, szczególnie w ramionach i prawej nodze.

– Człowieku, zawsze chciałem coś takiego zrobić! – Nastoletni pracownik hotelu skoczył w jego kierunku.

– Niesamowite – powiedział drugi. – Jak było?

Z wybitego okna na jedenastym piętrze posypały się kule. Pierwszy chłopak padł na ziemię ze zranioną łydką. Drugiego pocisk trafił w ramię i odrzucił w tył, niemal odrywając rękę od ciała.

Mercer zerwał się na nogi, by odciągnąć ogień od nastolatków i nie zostać postrzelonym. Taras dookoła basenu zasypały kule z broni maszynowej, wyrzucając w powietrze fragmenty pokruszonego betonu i wodę. Obolały uciekał przed nimi, lawirując między palmami a jaskrawymi rzeźbami. Ściana hotelu była wykonana z ciemnego szkła, więc z łatwością znalazł jasny punkt na jedenastym piętrze. Strzelec z karabinem stał w wybitym oknie i nerwowo wodził lufą świadom, że oto uciekła mu zwierzyna. W świetle zachodzącego słońca nie mógł dostrzec twarzy mężczyzny, lecz miał nadzieję, że się jeszcze spotkają, w bardziej sprzyjających mu okolicznościach.

Pomachał mu z ironią i był pewien, że tamten to zobaczył.

Kiedy wdrapał się na mur oddzielający teren hotelu od parkingu, w tylnym wyjściu pojawiła się grupa mężczyzn w takich samych garniturach, jak jego prześladowcy. Pierwszy z nich krzyknął coś niezrozumiałego i sięgnął pod marynarkę po broń. Mercer spiął się, najszybciej jak potrafił przechylił się na drugą stronę i spadł na chodnik poniżej.

Na dwupasmówce, przy której wylądował, nie było samochodów, a od bezpiecznego wnętrza parkingu dzieliła go zbyt duża odległość. Spojrzał w dół i w górę ulicy. Był w potrzasku. Tak samo, jak w pokoju, nie miał dokąd uciekać. Ale tym razem naprawdę nie miał już drogi ucieczki. Napastnicy widzieli go i zanim przebiegnie dwadzieścia metrów, oni staną przy murze. Bez zastanowienia wybrał lewą stronę i ruszył biegiem, sycząc z bólu, kiedy opierał się na kontuzjowanej nodze.

Nagle oślepiły go reflektory samochodu i ogłuszył nienaturalnie głośny pisk hamulców. Samochód, który się przy nim zatrzymał, należał do najtrudniej dostępnych w wypożyczalniach w Las Vegas – BMW Z3. Kierowca wszedł w kontrolowany poślizg, obracając auto o sto osiemdziesiąt stopni. Silnik zaryczał. Choć bmw miało podniesiony dach, obie szyby były opuszczone. Ciemne wnętrze skrywało twarz kierowcy.

– Panie doktorze – rozległ się kobiecy głos. W środku dostrzegł błysk obsydianowych włosów. – Proszę wsiadać, jeśli chce pan przeżyć.

Mercer z wahaniem podszedł do samochodu, a kobieta przechyliła się i otworzyła mu drzwi.

– Zawsze chciałam pana poznać – powiedziała, wciskając pedał gazu, jeszcze zanim zdążył za sobą zamknąć. – Wielka szkoda, że się spóźniłam.

– Wręcz przeciwnie, jest pani w samą pozę.

– Proszę mi wybaczyć moje słowa, ale niestety nie. Bo widzi pan, tak czy inaczej musi pan umrzeć.

Las Vegas, Nevada

Zanim Mercer zdążył zareagować, kobieta skręciła w Mandalay Bay Road, a potem w Las Vegas Boulevard, będący fragmentem wielopasmowej drogi szybkiego ruchu, przy której gęsto wyrastały kasyna. Nie zatrzymali się na czerwonym świetle, zmusili kilka samochodów do gwałtownego hamowania i, wciąż przyspieszając, zostawili całe zamieszanie za sobą.

– Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

Po wydarzeniach ostatnich kilkunastu minut Mercer nie odzyskał jeszcze równowagi. Adrenalina powoli opadała, ramiona i nogi przeszywały fale bólu, a serce waliło jak szalone. Dyszał.

– A jak inaczej może zabrzmieć: „tak czy inaczej pan umrze”?

– Miałam tylko na myśli, że oni nie odpuszczą – wyjaśniła, nie odwracając głowy. – Chcą pana śmierci.

Kiedy mijali wyjątkowo jasny neon z reklamą jakiegoś hotelu, jego różowo-niebieskie światło zalało na chwilę wnętrze auta. Mercer w końcu mógł zobaczyć, komu zawdzięcza ocalenie.

Widział tylko jej profil. Miała zamknięte usta, skoncentrowaną twarz, a kolorowe światło padało na jej gładką skórę, tworząc delikatne refleksy. Była jednocześnie piękna i demoniczna. Czarne jak węgiel błyszczące włosy opadały delikatnymi lokami na ramiona. Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

Miała czarne markowe okulary, które nadawały jej poważny wygląd. Duże, szeroko osadzone oczy w kształcie migdałów

zdradzały azjatyckie pochodzenie. Wyregulowane ciemne brwi idealnie pasowały do jej twarzy. Gdyby nie to, że w ciągu czterech godzin przeżył dwa zamachy, uznałby, że jest wyjątkowo atrakcyjna. Właściwie to nawet oszałamiająca.

Potem ich spojrzania się spotkały, a Mercer natychmiast zrozumiał, co robiło na nim takie wrażenie: jej oczy. Takie oczy, których nigdy się nie zapomina. Dostrzegł w nich ból, którego nie rozumiał. Zauważył też rozpacz, która nie mogła znaleźć ukojenia, jakby kobieta widziała rzeczy tak straszne, że żaden człowiek nie powinien być ich świadkiem. Miał wrażenie, że patrzy w oczy cierpiącego dziecka, które ucieka przed wojną, głodem czy prześladowaniami. Albo w oczy matki, która straciła syna. Cokolwiek sprawiło, że się tu znalazła, przepełniało ją winą i żalem, jakby wiedziała, że nie ma już do czego wracać.

Wiele wysiłku kosztowało Mercera odrzucenie empatii i współczucia, które w nim wzbierały, i skupienie się na ostatnich wydarzeniach. Zadał najbardziej oczywiste pytanie, jakie przyszło mu do głowy.

– Nie chodzi o to, że nie jestem wdzięczny, ale domyślam się, że pani wóz nie znalazł się tam przez przypadek... chciałbym wiedzieć, kim pani jest, kim są ludzie, którzy chcieli mnie zabić, i dlaczego w ogóle mieliby chcieć mnie zabijać?

– Nazywam się Tisa Nguyen. – Jej nazwisko było popularne w Wietnamie, ale imię słyszał po raz pierwszy. – A pan miał zginąć z powodu tego, co pan robi w Strefie 51.

Nie zdziwiło go, że użyła nazwy tajnego ośrodka. W końcu to jedna z najbardziej znanych na świecie tajemnic. Zaskoczyło

go natomiast, że nagle tylu ludzi wie, że on tam pracuje. Jeśli uda mu się przeżyć dostatecznie długo, by powiedzieć o tym Irze, admirał chyba nie uwierzy.

Zauważył, że nie powiedziała mu, kto chciał go zabić.

Skręciła, a po jakimś czasie wjechała na autostradę 1-15 w kierunku północnym. Na drodze było sporo samochodów, ale kobieta zdawała się nie zwracać na nie uwagi. Bez wysiłku wjeżdżała w luki między nimi, gwałtownie przyspieszała i ostro hamowała, wykorzystując każdą okazję, by pędzić dalej naprzód. Niemal nie schodziła poniżej stu trzydziestu na godzinę. Radziła sobie z wozem jak profesjonalny kierowca rajdowy.

– Nie mogę tego powiedzieć. Przykro mi. I proszę pamiętać, że to, że pana uratowałam, jest dowodem mojej uczciwości i czystych zamiarów – przerwała. – Nie uważam po prostu, żeby ktoś miał cierpieć za coś, na co nie ma wpływu.

– Niech to szlag. – Mercer się zdenerwował. – Na ostatnie dwadzieścia minut rzeczywiście nie miałem wpływu. Bo gdybym miał, nie wiedzielibyście ani gdzie się zatrzymałem, ani gdzie pracuję. Poza tym, po co ta cała akcja? Przecież wystarczyłby jeden telefon! – Tisa chciała mu przerwać, ale Mercer nie zwrócił na to uwagi. – Więc dzięki za pomoc, ale dalej poradzę sobie sam. Mogę wysiąść?

– Staralam się dodzwonić – w końcu kobiecie udało się dojść dogłosu. Mówiła z lekkim akcentem, być może francuskim. – I to kilkanaście razy, ale najpierw nie podnosił pan słuchawki, a potem, na chwilę przed atakiem, było już zajęte.

Mercer otworzył usta, ale szybko je zamknął. Mogła mówić prawdę. Najpierw przez pół godziny siedział pod prysznicem, a kiedy tylko wyszedł, od razu zadzwonił do Harry'ego. Może rzeczywiście próbowała go ostrzec? Mimo wszystko znała dokładną godzinę i miejsce ataku. Co to oznaczało? Że albo ich śledziła, albo należała do ich drużyny.

– Zabili przynajmniej jedną niewinną kobietę – powiedział ostrożnie, starannie dobierając słowa. – A potem na pewno jeszcze kilkuochroniarzy.

Miał nadzieję, że zobaczy w jej oczach poczucie winy, ale się rozczarował. Tisie nawet nie drgnęła powieka.

– Mogło być znacznie gorzej – stwierdziła.

– Gorzej? ! Ja mówię, że zginęli niewinni ludzie, a pani, że mogło być gorzej? Przecież można było ich ocalić! Ostrzec ochronę hotelu albo zadzwonić na policję. Nie rozumie pani tego? Ma pani na rękach ich krew!

– Nie tylko ich – powiedziała sucho, jakby mówiła o liście zakupów. – I z całą pewnością będzie jej więcej.

W samochodzie zapanowała napięta atmosfera. Mercer nie mógł oderwać wzroku od jej profilu, zafascynowany połączeniem piękna i obojętności.

– Było już za późno, żeby powstrzymać atak na pański pokój -kontynuowała po chwili. – Ale mogłam spróbować pana ocalić, jeśli jakimś cudem udałoby się panu im wymknąć. Zaryzykowałam życie, żeby panu pomóc... ale to bez znaczenia.

– A co ma znaczenie? To, że niewinni ludzie stracili życie, czy że pani może stracić swoje?

– Ani jedno, ani drugie.

Ruch na ulicy był mniejszy, więc przyspieszyli do stu pięćdziesięciu.

Mercer miał już dość. Nie potrzebował Tisy, żeby wiedzieć, że atak był powiązany ze Strefą 51. Owszem, czuł wdzięczność za ratunek, ale nie zamierzał się godzić na jej brak odpowiedzi. I nie wątpił, że wiele się wyjaśni, kiedy dopadną Randalla i go przesłuchają. Domyślał się już, że historyjka Iry była od początku do końca zmyślona. Terrorysty nie napadają na górników, którzy mają wydrążyć podziemny śmietnik. Ich celem byłyby materiały radioaktywne w trakcie transportu ewentualnie jakiś zamach na instalację, kiedy będzie już gotowa.

– Za dziesięć sekund wrzucę luz – oznajmił, kładąc dłoń na gałcezmiany biegów.

Tisa popatrzyła na niego, by po chwili znów skupić się na drodze.

– Jeśli nie ma pani broni, to i tak mnie pani nie powstrzyma, więc może lepiej będzie po prostu się zatrzymać.

– Nie, nie mam broni – przyznała.

– To zatrzymaj ten pieprzony samochód!

Tisa zlekceważyła jego żądanie, a potem odezwała się spokojnym głosem:

– Cztery miesiące temu doszło do niewielkiego trzęsienia ziemi z epicentrum pod Strefą 51.

– Raz.

– Dokładnie trzysta metrów pod powierzchnią ziemi. Dokładnie na tej głębokości, na której drążyli tunel.

– Dwa.

– Analiza danych geologicznych nie wykazała nic, co by uzasadniało trzęsienie ziemi. Poza tym nigdy wcześniej nic takiego się nie zdarzyło.

Ta część Nevady była poryta mikrouskokami, spośród których wiele nie zostało jeszcze opisanych. Takie wyjaśnienie mu nie wystarczało.

– Trzy.

– Problem w tym, że to nie było trzęsienie ziemi.

Tisa przerwała, a Mercer dopiero po chwili przypomniał sobie o odliczaniu.

– Cztery.

– To, co tam się wydarzyło, to jakby pęknięcie balonika wewnątrz skały. Wszystko było w porządku, potem w jednej sekundzie sejsmografy pokazały jednoczesne przemieszczenie się fal pierwotnych i wtórnych. A potem nagle wszystko ustało, tak samo szybko, jak się zaczęło. To była jakby podziemna eksplozja nuklearna, tyle że trwająca ledwie sekundę.

– Jaka siła? – Mercer spytał wbrew sobie.

– Pięć.

– W skali Richtera?

– Nie, pana odliczanie. Teraz kolej na pięć. A w skali Richtera pojedynczy wstrząs o sile trzy przecinek jeden.

– Jak długo trwał?

– Już mówiłam, tylko jedną sekundę.

– To niemożliwe – stwierdził. – A co z wstrząsami przepowiadającymi i wtórnymi?

– Tylko jeden jedyny wstrząs.

Mercer nigdy o czymś takim nie słyszał, ale niecodzienne trzęsienie ziemi nie było jeszcze powodem, żeby go zabijać. Jeszcze raz spytał, dlaczego.

– A co z odliczaniem? – Tisa uśmiechnęła się delikatnie. Chociaż był wściekły, drażniła się z nim.

– Liczę w myślach – warknął, ale jego kąciki ust same powędrowały w górę. – Dobra, a dlaczego ktokolwiek miałby mnie zabijać za pracę w pobliżu nieznanego uskoku?

– Bo to nie był uskok. Oni uważają, że to był test nowego rodzaju broni. Nie znam szczegółów. Ja... ja nie należę do grupy, która wydała rozkaz, żeby pana zabić. Kiedy dowiedziałam się, co zamierzają, natychmiast przyleciałam do Vegas, żeby pana ochronić. W tej rozgrywce jest pan tylko pionkiem. Jest pan niewinny. Nie chciałam, żeby cokolwiek się panu stało.

– Niby dlaczego?

Spojrzała w jego stronę, po raz pierwszy od kilkunastu kilometrów. Jej wzrok stał się miękki, ale usta pozostały prowokujące. Szok po zamachu zelżał na tyle, że Mercer musiał przyznać, że kobieta była nadzwyczajnie piękna.

– Mam swoje powody. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Jeszcze jedno pytanie. Skąd wiedzieliście, że pracuję w Strefie 51? – W końcu sam nie miał pojęcia o tym projekcie, dopóki nie znalazł się na miejscu.

Roześmiała się.

– Nie sądziłam, że jest pan tak skromny. To czarujące.

– Nie jestem skromny – powiedział Mercer.

– W niektórych kręgach jest pan jednym z najbardziej znanych ludzi na świecie. Pewnie też najlepszym czynnym geologiem. Zakładał pan dziesiątki kopalni na całej kuli ziemskiej albo doradzał przy ich zakładaniu. Opale w Australii, diamenty w Kanadzie i Afryce, rubiny w Indiach... szacuje się, że jest pan odpowiedzialny za przemieszczenie ponad stu milionów metrów sześciennych ziemi w ciągu ostatnich kilku lat.

Wtedy Mercer zrozumiał. Sposób, w jaki mówiła, ton nieuchronności w jej głosie – od razu powinien był się domyślić. Bez wątpienia należała do jakiejś organizacji ekologicznej, której radykalne skrzydło uznało protest za nieefektywny i wybrało przemoc. Tak jak radykalne grupy antyaborcyjne, których członkowie od jakiegoś czasu mordowali lekarzy przerywających ciąży. Ekstremiści ekologiczni postanowili działać w ten sam sposób i na cel wybrali ludzi, którzy ich zdaniem byli największymi wrogami przyrody. Podobna, choć nie tak radykalna, grupa działała na Alasce. Mercer do dziś miał kilka blizn po spotkaniu z nimi.

– A więc uważacie, że jestem wrogiem matki ziemi i wyeliminowanie mnie ocali kilka hektarów pustyni albo innego pustkowia, żeby przyszłe pokolenia mogły je ignorować podobnie jak obecne?

Tisa myślała chwilę.

– Wręcz przeciwnie. Należę do grupy zwanej Zakonem. Naszym celem jest ochrona ziemi, ale nie w taki sposób, jak pan wydedukował. Nie przykuwamy się do drzew i nie ścigamy statków wielorybniczych na pontonach. Nasze działania są

bardziej... – przerwała w poszukiwaniu odpowiednich słów – ...
brzemienne w skutki.

Mercer zmarszczył czoło.

– Na przykład mordowanie?

– Ja byłam przeciwna zabijaniu pana – zaprotestowała
gwałtownie. – Ale inni chcieli.

– Bo jestem wziętym górnikiem – przerwał jej. – A wy
uwazacie, że moje działania niszczą środowisko?

Tisa spojrzała na niego przelotnie.

– Poza kilkoma wyjątkami, jedna osoba nie może wpły-
nąć na środowisko w sposób globalny. Powinien pan dalej grać
skromnego. Znacznie lepiej to do pana pasuje. Bardzo niewiele
pańskich posunięć wymagało z naszej strony jakichkolwiek dzia-
łań naprawczych.

Mercer nie miał pojęcia, co to były za działania. Nie zdążył
jednak zapytać, bo Tisa mówiła dalej.

– Wzięli pana na celownik, bo przeszkodził pan kilku oso-
bomw znalezieniu odpowiedzi na pytanie, co wydarzyło się
w Strefie 51 cztery miesiące temu. Dopóki im się nie uda... nie,
powinno przeciwmy, bo do nich należę... zatem dopóki
nie uda nam się ustalić przebiegu wydarzeń w Strefie, Zakon
będzie traktował pana jako zagrożenie.

– Nic już z tego nie rozumiem.

– Nawet nie ma pan pojęcia, ilu rzeczy pan nie rozumie. –
Pokiwała głową. – I obawiam się, że nie mam teraz czasu, żeby
choć częściowo to panu wytłumaczyć. No dobrze, czas by się
znalazł, ale i tak by mi pan nie uwierzył.

Mercer zaczynał wątpić, czy jego wybawicielka nie była szalona. To, co mówiła, nie miało sensu.

– A ja chcę, żeby mi pan uwierzył – powiedziała, spoglądając w jego kierunku. W delikatnym świetle bijącym od deski rozdzielczej zobaczył jej oczy. Zniknęło z nich udręczenie, ale pozostał smutek, melancholia, która łagodziła rysy jej twarzy. Mercer wiedział, że mówiła szczerze. – Ratując pana, chciałam udowodnić, że można mi ufać... przynajmniej trochę. Ostrzegłabym pana, gdybym wcześniej znała ich zamiary. I naprawdę mi przykro z powodu tej kobiety w hotelu. Która godzina?

– Słucham?

– Godzina?

– A, godzina... – Mercer spojrział na zegarek, choć na desce rozdzielczej był umieszczony elektroniczny. – Ósma trzydzieści. Dlaczego pani pyta? Coś się szykuje?

– Nie – zaprzeczyła nieobecny głosem. – Nie noszę zegarka, to wszystko. Uratowałam pana, bo myślałam, że najwyższy czas, żeby ktoś im się przeciwstawił. Nasza organizacja nigdy nie działała w taki sposób. Chodzi mi o stosowanie przemocy. Takie metody pojawiły się całkiem niedawno, ale obawiam się, że teraz będzie już tylko gorzej.

– Dlaczego w takim razie gdzieś pani tego nie zgłosi?

– Właśnie to robię. Mówię panu o wszystkim. Pan ma doświadczenie i zrozumie, co chcę panu pokazać, i ma pan, tak sądzę, dość znajomości, żeby temu zapobiec.

Mercer stał się czujny.

– Zapobiec? Ale czemu? Szykują jakiś duży zamach?

– Nie... to nie takie proste. Obawiam się, że przynajmniej na początku będzie pan musiał mi zaufać. Nie mogę powiedzieć wszystkiego, ale chciałabym pokazać panu coś, co powinno pana ostatecznie przekonać – dodała poważnie, spoglądając w jego stronę. – Ale proszę też pamiętać, że zdradzę tajemnicę, która ma ponad sto pięćdziesiąt lat.

Tisa nabrała głęboko powietrza. Mercer nie miał pojęcia ani kim była, ani do jakiej organizacji należała, ale widział, że walczy z samą sobą. Bardziej bała się złamać wiążącą ją tajemnicę, niż zaryzykować swoje życie, by go uratować.

– Czy moglibyśmy się spotkać na greckiej wyspie Santorini dwudziestego siódmego?

– Raczej tak – zgodził się ostrożnie.

– Z portu do miasta kursuje tramwaj. Będę czekała na głównym peronie, o piątej po południu.

– Proszę wybaczyć, ale na razie nie dała mi pani żadnego powodu, żebym nie podejrzewał wyrafinowanej pułapki.

– I do dwudziestego siódmego nic się nie zmieni – odpowiedziała, a potem zastanowiła się. – Nie, chwileczkę. Powiem coś, żeby pana przekonać.

Zmiana, jaka zaszła na jej twarzy, była tak wyraźna, że Mercer miał wrażenie, jakby ktoś całkiem inny prowadził teraz samochód. Oczy Tisy ożyły.

– Za kilka dni coś się wydarzy na Pacyfiku. Nie wiem dokładnie, co. Ma to być jakieś zjawisko, które jeszcze nigdy nie zostało zaobserwowane. Kiedy nastąpi, na pewno pan go nie

przeoczy. Jeśli mam rację, spotkamy się w Grecji? – zapytała niemal błagalnie.

– A czy to, co ma się wydarzyć, ma związek z waszą grupą? Z Zakonem?

– W pewien sposób tak.

– Ale czy pani też jest w to zaangażowana?

– Nie. To... zajmuje się tym ten sam odłam, z którym miał pan dzisiaj styczność.

– Jeśli się spotkamy, powie mi pani prawdę, kim jest?

– Kiedy zobaczy pan to, co chcę panu pokazać, sam pan zrozumie – przerwała, nadal enigmatyczna i pociągająca w sposób, którego Mercer się obawiał. – Wszyscy mówią panu Mercer, prawda? Nie Philip ani Phil?

– Tak.

– Mogę też tak do pana mówić?

– Jeśli następnym razem mamy spotkać się na najromantyczniej-szej wyspie świata, możemy przynajmniej przejść na ty.

Zadrżały jej mięśnie twarzy, jakby siłą powstrzymała uśmiech.

– Mercer – powiedziała delikatnie, jak gdyby smakując językiem słowo.

Nagle zahamowała.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła, kiedy samochód stanął.

Zjechali z autostrady przynajmniej godzinę wcześniej. Mleczny księżyc oświetlał góry na horyzoncie na wschodzie, a niebo nad ich głowami znaczyły niezliczone gwiazdy. Wzdłuż drogi ciągnął się rząd słupów energetycznych, przywodząc na myśl szereg wyprężonych na baczność żołnierzy. Jak okiem

sięgnąć, nie było widać żadnych świateł, budynków ani innych śladów ludzkiej działalności.

– Ty to nazywasz miejscem?

– Może to nie Piąta Aleja w godzinach szczytu, ale co zrobić, tutaj wysiadasz. – Tisa zauważyła, że Mercer nagle stężał, więc uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu. Miała długie i szczupłe palce. Przez chwilę milczała, wpatrując się w zarys swojej dłoni na jego marynarce. – Spokojnie. Jesteśmy na drodze do Strefy 51. Za jakieś sto metrów zaczyna się strefa ochronna. Kiedy tylko miniesz czujnik podczerwieni, kamery będą śledziły każdy twój krok. Za kilka minut pojawią się strażnicy. Nieco dłużej będą sprawdzali, czy jesteś tym, za kogo się podajesz, ale w końcu wszystko będzie dobrze.

– A co z tobą? – zapytał z troską w głosie... znacznie większą, niż chciał okazać. – Jesteś bezpieczna?

– Jeśli spotkamy się na Santorini, wszystko będzie dobrze.

– A co...

– Co z radykalnym skrzydłem w Zakonie? Nie odważą się mnie tknąć. Nie przejmuj się.

Wysiadł z samochodu i zamknął za sobą drzwi, nie rozumiejąc do końca, co się właściwie wydarzyło. Gdyby ktoś go poprosił, żeby opowiedział o kilku ostatnich godzinach, nie potrafiłby składnie złożyć relacji. Po chwili tylne światła bmw zniknęły za zakrętem, a on uświadomił sobie, że powinien skupić się na dwóch sprawach. Bo pierwsze na rozmowie z Irawą, który powinien mieć przekonujące odpowiedzi na pytania, jakie mu zada.

A po drugie, niezależnie ile sceptycyzmu okazywał w stosunku do słów Tisy, nie wątpił w jej prawdomówność i rozsądek. Wydarzyło się zbyt wiele, żeby zignorował przeczucie, że kroi się coś naprawdę dużego. Najpierw eksplozja w kopalni, potem zniknięcie Randalla i w końcu zamach w Luxorze. Między tymi wydarzeniami istniało połączenie, którego na razie nie rozumiał i nie chciał zgadywać. Później będzie na to czas. Postawił kołnierz i ruszył drogą. Nagle przyszła mu do głowy trzecia myśl i odwrócił się, by spojrzeć w kierunku, w którym zniknęła Tisa. Miał pewność, że cokolwiek wiedziała albo wydawało jej się, że wiedziała, warto było to sprawdzić.

Strefa 51, Nevada

Dwadzieścia nerwowych minut zajęło Mercerowi przekonanie dwóch strażników w moro, że jest osobą, za którą się podaje, i nie ma powodu, żeby odwozić go do miejscowego aresztu za wtargnięcie. Wsiadli do wojskowego dżipa i dwie godziny jechali do strażnicy. Tam czekały go kolejne godziny w pustym pomieszczeniu, bo ochrona Strefy potrzebowała czasu na zweryfikowanie jego słów. W końcu wsadzono go do czarnego helikoptera bez okien i dostarczono do głównego kompleksu bazy.

Na miejscu został odprowadzony do tego samego spartańsko wyposażonego pokoju, w którym spędził pierwszą noc w Strefie 51. Pięć minut po tym, jak wyszedł spod prysznica i przebrał się w suche ubrania dostarczone przez żołnierza z recepcji, ktoś zapukał do drzwi.

– Omega dziewięćdziesiąt dziewięć świątynia. – Mercer natychmiast rozpoznał głos i odpowiedział odzewem:

– Karawan jedenaście przesilenie.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął kapitan Booker T. Sykes, który towarzyszył mu w czasie pierwszego lotu z Waszyngtonu. Potężny czarny mężczyzna w jednym ręku trzymał sześciopak piwa, a w drugim talię kart. Miał na sobie spodnie z pustynnym kamuflażem i czarną koszulkę, która opinała jego pierś. Między zębami trzymał zgaszonego papierosa.

– Słyszałem, że wpadłeś w odwiedziny. Mercer wyszczerzył zęby.

– Mają tu lepszy szampan niż w Las Vegas. Sykes wyjął dwie puszki i podał mu jedną.

– Ale obsługa jest gorsza. – Usiadł na krześle przy niewielkim stoliku pod oknem i zaczął tasować karty. – Słyszałem plotkę, że ochronabazy złapała cię, jak sobie spacerowałeś przy drodze 375, niedaleko Rachel?

– Szukałem stołu do blackjacka i się zgubiłem. Sykes pokręcił głową.

– A ja sądziłem, że będziesz zmyślał. Admirał Lasko przyjedzie dopiero za kilka godzin, więc pomyślałem, że parę piw przed snem dobrze ci zrobi.

– Dobrze pomyślałeś. – Mercer pociągnął duży łyk z puszki i sprawdził karty, jakie dostał do Sykesa. – Skoro słuchasz plotek, to może wiesz coś o Donnym Randallu, tym gościu, który zniknął z obozu dla górników? Złapali go?

– Nie, rozpułnął się w powietrzu. Ochrona wiedziała, że mój oddział jest na miejscu, więc jak nie mogli sobie poradzić, to wezwali nas na pomoc. I nic. Opuścił obóz, ale po piętnastu kilometrach ślady się urywają. Nie lądował tam helikopter, bo sprawdziliśmy wszystko dokładnie. Nic, jakby przestał istnieć.

– Odczyty z czujników termicznych?

– Mnóstwo królików, kilka kojotów, ale ani śladu po zaginionym górniku. Gdyby nawet gdzieś tam wykitował, to zwłoki pozostają ciepłe dość długo, żebyśmy je wykryli kamerami ter-

mowizyjnymi. Moi ludzie wciąż szukają, a ja, kiedy usłyszałem, że jesteś tutaj, natychmiast wpadłem. Mogłeś coś wiedzieć.

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób zniknął. Nie wiem nawet, dlaczego, chociaż podejrzewam, że ktoś musiał go kupić. Wybuch w kopalni nie był wypadkiem. Usiłował zabić mnie i kilku moich ludzi. Moim zdaniem odpowiada też za wcześniejsze łąpienie, to, które zabiło kilkunastu górników.

– Założę się, że przestałeś też wierzyć w oficjalną wersję admirała, co?

– O składowisku odpadów radioaktywnych? Owszem, to zbyt naciągane. Ale zaraz, myślałem, że tutaj każdy odpowiada tylko za swoje poletko. Skąd tyle wiesz o naszym projekcie?

– Od Lasko. Rozmawialiśmy wczoraj po waszym wylocie do Las Vegas. Mój oddział został przydzielony jako specjalne wsparcie. Ira jest bystry, domyślił się od razu, że Randall stoi za tą eksplozją i że szykuje się coś znacznie poważniejszego.

– Też na to wpadłem – zgodził się Mercer, kładąc na stół karty, które dawały mu zwycięstwo w pierwszym rozdaniu. – Skoro mamy spędzić razem trochę czasu, to może mi zdradzisz, co was w ogóle sprowadziło do Strefy?

– Pewnie. – Sykes otworzył złotą zapalniczkę Zippo i zapalił papierosa. – Projekt Szalonej Bomby.

Trzy godziny i kilkanaście partii później rozmowę przerwał im dzwonek telefonu.

– Cześć, Ira – powiedział Mercer, podnosząc słuchawkę, bo nie miał wątpliwości, kto jest po drugiej stronie. Na zewnątrz powoli wstawało słońce.

– Powiedz Sykesowi, żeby za pięć minut odstawił cię do sali konferencyjnej – oznajmił Ira i się rozłączył.

Zaskoczony oschłością w głosie przyjaciela Mercer odłożył słuchawkę i, unosząc brwi, spojrział na komandosa.

– Chyba mam przesrane.

– Tak, chyba tak. – Kapitan wstał.

Ira miał na sobie garnitur tylko trochę ciemniejszy niż sińce pod oczami. Musiał się golić w pośpiechu, pewnie nawet na pokładzie samolotu, bo nie stał dokładnie resztek pianki, a w niektórych miejscach widać było skaleczenia. Na stole konferencyjnym stał dzbanek z kawą i cztery filiżanki. Doktor Briana Marie siedziała po jego lewej stronie, ubrana jak zwykle w nieskazitelnie biały kitel laboratoryjny i czerwoną bluzkę pod spodem. Kiedy Mercer i Sykes weszli do sali, admirał nie podniósł nawet głowy znad teczki, którą przeglądał, więc nalali sobie kawy.

Mercer odsunął krzesło, usiadł i przez minutę pił ciepły napój. Nikt nic nie mówił, nikt się nie poruszał. Doktor Marie wyglądała, jakby nawet nie oddychała. Ira w końcu zamknął teczkę i zdjął okulary, które nosił tylko do czytania. Spojrział na Mercera, jakby patrzył na nieznanego. Albo wroga.

– Jak dotarłeś z Luxoru do miejsca, w którym przejęli cię strażnicy?

Mercer nie wiedział, dlaczego skłamał, ale zadziałał instynktownie.

– Autostopem. Miałem szczęście. Jakieś dzieciaki z college'u mnie podrzuciły. Jechali do Rachel, bo słyszeli, że UFO lata

najczęściej przed wschodem słońca, więc chcieli dojechać do punktu widokowego na Freedom Ridge.

– Tyle że on jest nieczynny od 1995 – przerwała mu ostro doktor Marie.

– Mówiłem, że to studenci. Pewnie nie mieli o tym pojęcia. Sam nigdy wcześniej nie słyszałem, że takie miejsce w ogóle istniało. – Tak naprawdę dowiedział się o nim z telewizji.

– Co się wydarzyło w Luxorze? – Ira otworzył teczkę. – To jest wstępny raport policji z Las Vegas. Jedna osoba martwa, jeden ochroniarz ranny, dwóch poważnie rannych czyścili basenu i dwa niezidentyfikowane ciała przy twoim pokoju. Ochrona przegoniła pozostałą trójkę.

Mercer był zaskoczony. I pod wrażeniem. Miał, co prawda, nadzieję, że wystrzelone na ślepo pociski raniły choćby jednego, ale nie przypuszczał, że uda mu się zabić dwóch. Trzeba by to raczej przypisać szczęściu, bo strzelania przez ścianę nie da się nauczyć. Opowiedział całą historię tak dokładnie, jak ją pamiętał. Mówił o swojej rozmowie z Harrym, o kobiecie wyrzuconej przez barierki i o zjeździe po szklanej ścianie. Z tamtych wydarzeń nie pominął żadnego szczegółu, lecz nie wspomniał o Tisie Nguyen i o ich rozmowie. Nie zamierzał nikogo o tym informować, dopóki nie dowie się, co Ira i doktor Marie naprawdę robią w Strefie 51.

– A Donny Randall i eksplozja w kopalni? – naciskał Ira. – Jakieś domysły?

– Takie same, jak twoje – odpowiedział Mercer. – Myślę, że pierwszy wybuch, w którym zginęło kilkanaście osób, też

nie był wypadkiem. Donny podłożył ładunki, bo liczył, że jak wyeliminuje pozostałych, uczynicie go szefem całego projektu i dowie się od ciebie, co tu się naprawdę dzieje. Kiedy zdecydowałeś inaczej, ktoś, kto wydaje mu polecenia, uznał, że nie warto dłużej ryzykować. Randall dostał rozkaz, by mnie zabić i zniknąć. Gdyby Ken nie znalazł ładunku, odniósłby sukces. Donny siedział w przyczepie z centrum zarządzania i obserwował nas na monitorze. Zdalnie zdetonował ładunek, ale dzięki Kenowi mieliśmy kilka sekund na reakcję. Nie został dość długo, by się przekonać, że przeżyliśmy. Ktoś musiał mu pomóc w ucieczce ze Strefy. Ludzie Sykesa nie znaleźli śladów opon, a radary wykryłyby helikopter, nawet gdyby leciał kilka metrów nad ziemią. Możemy więc przyjąć, że ktoś przyjechał po niego poduszkowcem. W obozie górniczym każdy wiedział, że jedziemy do Vegas i będziemy mieszkać w Luxorze, więc zamachowcy skorzystali ze wsparcia, bo mieli też plan B, gdyby Randall zawiódł. Podobnie to widzisz?

Ira nabrał głęboko powietrza.

– Tak... – przyznał. – Ale nie pomyślałem o poduszkowcu.

– No dobrze, ja byłem z wami szczerzy – Mercer z trudem ukrywał gniew. – Nie sądzisz, że należy mi się kilka słów prawdy? Co tu się dzieje, Ira? Zginęło już zbyt wielu ludzi i nie wierzę, żeby mordowano ich z powodu jakiegoś tajnego składowiska na odpady radioaktywne!

– Masz rację... ale nie mogę ci nic więcej powiedzieć. Wybacz. Zrozumiem, jeśli wycofasz się z projektu, ale będziesz musiał

przrzec, że nikomu nie powiesz o wydarzeniach ostatnich dwóch tygodni.

– I tak bym nie mówił, bo nie mam pojęcia, co się działo! – Mercer był wściekły.

– I niech tak zostanie – powiedziała ponuro Briana.

Mercer mógł przyjąć propozycję admirała i odejść bez żadnych konsekwencji. Nikt nie miałby do niego o to żalu i pewnie zachowałby stanowisko specjalnego doradcy. Ale nie poznałby wtedy prawdy, więc takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Ira skrywał jakąś tajemnicę, wabił go nią, kusił szczątkowymi informacjami – w sam raz, żeby zainteresować, a jednocześnie nie zdradzić. Robił to celowo. Mercer o tym wiedział i Ira też. I obaj wiedzieli, że Mercer się nie wycofa. Propozycja odejścia była jedynie pretekstem, by zachować tajemnicę.

– Zostanę, jeśli mi obiecacie dziesięć minut sam na sam z Trzonkiem, kiedy go w końcu złapiecie.

Ira uśmiechnął się znacząco.

– Przytrzymam tego skurwysyna, jak będziesz z nim rozmawiał.

– W takim razie co wiecie o napastnikach?

– Nie mieli żadnych dokumentów, a z ubrań usunięto wszystkie metki. Zresztą wyglądały, jakby mogły je kupić w każdym centrum handlowym w kraju. Policja sprawdza wszystkie wozy na okolicznych parkingach. Ale sam wiesz, że przy setkach tysięcy turystów w mieście są marne szanse, żeby cokolwiek znaleźli. Broń jedzie do laboratoriów FBI, tyle że już domyślam się, jakie będą wyniki badania. Karabiny kupił jakiś przeciętny gość, który

źle się wyrażał o rządzie, a sprzedawca ma bardzo słabą pamięć. Sprawdziliśmy w bazie danych przestępców kryminalnych i nic na nich nie mamy. Pozostałe bazy też przeszukamy, ale to zajmie trochę czasu. Nie jestem optymistą.

– Więc to nie miejscowi najemnicy? Nie, chyba że mafia z Vegas zaczęła zatrudniać Tajów do mokrej roboty.

– Tajów? – Mercer nie miał czasu, by przyjrzeć się ich twarzom, więc słowa Iry go zaskoczyły. Natychmiast pomyślał o Tisie Nguyen. I o organizacji, do której należała.

– Tajlandia, Laos, Kambodża... jeszcze nie mamy pewności. Ściągnęliśmy antropologa, żeby pomógł w ustaleniach.

– Mój pokój zaatakowała grupka pięciu mężczyzn, a potem na dworze było jeszcze kilku. Macie coś na nich?

– Nic o trójce, która związała. Strażnicy byli zbyt daleko. Zamachowcy wykorzystali chaos, zbiegli schodami przeciwpożarowymi i wmieszali się w tłum gości. Zgodnie z zeznaniami świadków, którzy widzieli, jak wybiegali na taras kąpielowy, wszyscy byli wysocy, niscy, czarni, biali, żółci, dobrze ubrani, w łachmanach, z karabinami, pistoletami i przynajmniej jeden ze świadków był gotów zeznać pod przysięgą, że któryś z nich wymachiwał mieczem. Czyli typowe zeznania spanikowanych ludzi.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Zamachowcy byli, bez dwóch zdań, profesjonalistami. Ślady, jakie pozostawili na miejscu, prowadziły w ślepe zaułki. Jedyne, co udało się ustalić, to fakt, że zbiegli. Podobnie jak Donny Randall. A całe mnóstwo pytań pozostało bez odpowiedzi.

– Co się dzieje w kopalni? – zapytał Mercer.

– Ustawiliśmy pompy o dużej wydajności, żeby opróżniły szyb – odpowiedziała doktor Marie. – To może potrwać jeszcze kilka dni.

Mercer przypomniał sobie, z jaką siłą woda wdarła się do chodnika, i od razu wiedział, że kilka dni to za mało. Przypomniał sobie też niezwykle zasolenie wody, jak smakowała i jak się pieniła. Zupełnie jak woda morska. Postanowił jednak o to nie pytać. Podobnie jak istnienie Tisy, te fakty chciał na razie zachować dla siebie.

– W takim razie nie zostaje mi nic innego, jak poczekać, aż pompy skończą pracę.

– I poszukać porzuconego poduszkowca – dodał Sykes.

Pompy pracowały pełną parą, wypompowując z kopalni trzysta tysięcy litrów wody na godzinę, kiedy strażnik w wojskowym dżipie znalazł poduszkowiec wielkości samochodu. Pojazd został porzucony sto pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od kopalni, obok przyczepy samochodowej. Zbiornik paliwa był niemal pusty, a na plastikowych częściach otwartego nadwozia od strony pasażera znaleziono odciski palców Randalla. Dalej prowadziły już tylko ślady opon identycznych z tymi w pojazdach strażników. Wskazówki pozwoliły bez trudu ustalić, jak wyglądała ucieczka Donny'ego. Zespół ewakuacyjny wjechał na teren Strefy 51 takim samym dżipem, jakim jeździli wartownicy, holując za sobą przyczepę z poduszkowcem. Rozładowali go w najbardziej oddalonym punkcie, do którego mogli wrócić bez tankowania, i pojechali po Randalla, który czekał w umówionym

miejscu. Potem wrócili do dżipa, porzucili niepotrzebny poduszkowiec i przyczepę i odjechali. Profesjonalnie przeprowadzona, doskonale zaplanowana akcja.

Znalezienie producenta pojazdu zajęło sześć godzin. Właściciel firmy z Kalifornii zeznał, że poduszkowiec został skradziony tydzień wcześniej z magazynu. W tym miejscu trop się urywał.

Zgodnie z zaleceniem Mercera połowa górników została odprawiona do domu z sową premią za zerwanie kontraktu na pocieszenie. Druga połowa, pracownicy jego zespołu, pozostali w Las Vegas, żeby przeczekać tam czas potrzebny na osuszenie kopalni. W obozie górniczym pracowali jedynie inżynierowie obsługujący pompy i Mercer. Ira i doktor Marie pozostali w głównym kompleksie Strefy 51 i codziennie sprawdzali postępy.

Mercer siedział akurat w przyczepie z centrum zarządzania kopalnią i ze znużeniem przeglądał ostatni numer jakiegoś kolorowego tygodnika, popijając zimną kawę. Rozważał zrobienie sobie przerwy na lunch, kiedy usłyszał coś dziwnego. Właściwie to nie usłyszał niczego i to właśnie było niezwykle. Przez ostatnie cztery dni bez przerwy słyszał szum wody wydobywanej z zalanego szybu, którą pompy tłoczyły przez trzydziestocentymetrowe rury wprost na pustynię. Przyzwyczyił się do tego szumu jak mieszkaniec centrum miasta do ruchu ulicznego – żeby go usłyszeć, musiał się skupić. Nagła cisza wywołała w nim niepokój, tym bardziej że nie wiedział, co się stało.

Kilku techników minęło biegiem przyczepę. Mercer wyskoczył na zewnątrz i pobiegł za nimi, w kierunku wejścia do

kopalni. Mężczyźni zatrzymali się przy potężnych pompach, które po uruchomieniu zabezpieczeń antyprzeciążeniowych spokojnie terkotały na wolnych obrotach.

– Co się dzieje? – wysapał Mercer, odruchowo przejmując dowodzenie.

– Coś zatkało otwór zasysający pompy numer dwa – wyjaśnił jeden z techników.

– Zwiększony poziom zanieczyszczeń w wodzie?

– Nie, sir. Ilość stałych zanieczyszczeń w spuszczonej wodzie pozostaje cały czas bez zmian. Nie ma w niej mułu.

Czyli pułdo. Pompa nie zatkała się rozpuszczoną gliną ani odłamkami skał.

– Próbowaliście przełączyć na wsteczny, żeby oczyścić ssak?

– To automat. Komputer przełącza kierunek za każdym razem, kiedy dochodzi do wzrostu ciśnienia. Ale teraz coś utknęło w nim na dobre.

Mercer zamilkł na chwilę.

– Dobra, z jakiej głębokości czerpiemy wodę? Sierżant spojrział na monitor.

– Około czterdziestu metrów.

Nie na tyle głęboko, żeby nie mógł zanurkować. Z rozmowy z Sykesem wiedział, że jego oddział miał ze sobą pełne wyposażenie taktyczne, w tym kontener ze sprzętem do nurkowania i akcji podwodnych. Zejście i oczyszczenie ujęcia było znacznie szybszym i wygodniejszym rozwiązaniem niż sprowadzenie kamery przystosowanej do takich prac i zdalnie sterowanych robotów.

– Dobra, mam pomysł – powiedział Mercer. – Wyłączcie silniki i nie uruchamiajcie żadnej pompy. Nie możemy ryzykować zniszczenia wirników, jeśli wciągniemy to coś w rury. Jak wyłączycie silniki, zróbcie szybko przegląd drugiej pompy, czy wszystko z nią w porządku. Komputer wyłączył ją przy przeciążeniu, ale nie wiemy, czy wcześniej się na przykład nie przegrzała.

– Tak jest, sir. Coś jeszcze?

– Nie, to na razie tyle. – Mercer wrócił do przyczepy i z bezpiecznego telefonu zadzwonił do Iry. – Admirale, znów mamy problem.

– Co tym razem?

– Pompa się zatkała i nie możemy jej oczyścić z powierzchni. Chciałbym wziąć Sykesa, zejść pod wodę i sprawdzić, co się stało. Możesz go tutaj przysłać? Niech weźmie sprzęt dla nas obu.

– Dobra, poczekaj sekundę. – Ira musiał zasłonić słuchawkę dłonią, bo Mercer nie słyszał nic poza szumem. Sekunda zmieniła się w minutę. – Doktor Marie pyta o głębokość.

– Niecałe czterdzieści metrów. Da się zejść bez specjalnego sprzętu.

– Okej, to jeszcze sekunda. – Tym razem sekunda trwała trzy minuty. – Już wszystko wiem. Zaraz wysyłam Sykesa i sam też przyjeżdżam. Muszę z tobą o czymś porozmawiać. Za godzinę powinniśmy być na miejscu.

Czterdzieści osiem minut później obok tymczasowej osady górniczej, na brzegu niewielkiego jeziora z wypompowanej wody, wylądował czarny blackhawk. Jezioro okalał pas błota, bo

temperatura sprawiała, że sporo wody parowało w dzień, a nocą, kiedy było chłodniej, poziom znów się podnosił. Mercer od razu wysłał hummera, do którego zapakowali sprzęt do nurkowania. Potem wyprosił wszystkich z kopalni. Domyślał się, że skoro Ira przyleciał osobiście, żeby z nim porozmawiać, na pewno będzie mówił o tajnych sprawach.

Wojskowy wóz wjechał do jaskini i zatrzymał się niedaleko windy. Sykes wysiadł i od razu zabrał się do rozpakowywania ciężkich worów i skrzyń z paki hummera. Potężny komandos podnosił je bez wysiłku jak siatki z zakupami. Mercer razem z kierowcą pomogli wyjąć butle ze sprężonym powietrzem, a Ira stanął z boku i czekał, aż uporają się z bagażem. W powietrzu unosił się słony posmak wody morskiej, jakby byli na plaży nad oceanem.

– Starłem się wybrać twój rozmiar – odezwał się Booker Sykes, otwierając pierwszą torbę. Wewnątrz znajdował się złożony czarny kombinezon.

Mercer obejmował go. Będzie w sam raz, ocenił.

– Nie wiedziałem, że tak uważnie mi się przyglądałeś.

– Nawyki zawodowe. Jak dostaniemy się na dół?

– Windą zjedziemy do poziomu wody. W podłodze jest kłapa. Potem prosto w dół do ujęcia wody. To jakieś dziesięć metrów poniżej wejścia do głównego chodnika.

– Jakies znane zagrożenia? – Sykes rozpakowywał sprzęt: reflektory, reduktory, pasy balastowe.

– Wątpię. Nic nie powinno tarasować przejścia, bo woda miała taką siłę, że cały ciężki sprzęt zmyło do szybu.

Sykes myślał przez chwilę, wizualizując sobie wygląd kopalni. W końcu kiwnął głową.

– A co z tobą? Dasz sobie radę z nurkowaniem?

– Nie mam takiego doświadczenia jak ty, ale powinienem sobie poradzić. To nie jest przecież zejście do nieznanej jaskini, tylko do kopalni, a w dodatku nie ma potrzeby wpływać do bocznego chodnika.

– Bez dwóch zdań – wtrącił Ira.

Obaj mężczyźni podnieśli zdziwieni głowy.

– Pod żadnym pozorem nie wolno żadnemu z was wpływać do tunelu – Ira mówił bardzo ostrym, nieprzyjemnym tonem.

Mercer chciał zapytać dlaczego, ale w oczach przyjaciela dostrzegł błysk, który sprawił, że słowa zamarły mu na ustach. Znał Irgę i wiedział, że ma wielkie poczucie humoru i nadzwyczajne zdolności przywódcze. Bardzo rzadko używał bezpośrednich, wręcz brutalnych rozkazów. Wyłącznie wtedy, kiedy miał poważny powód. Mercer na tyle dobrze poznał świat, w którym żył admirał, by rozumieć, że nigdy tego powodu nie pozna. Ira przez chwilę patrzył mu w oczy, a potem to Mercer odwrócił głowę. Nie musiał w inny sposób potwierdzać, że zrozumiał.

– Mercer, to jest rozkaz – dodał Ira. – Wiesz, że rzadko uciekam się do rozkazów, ale kiedy już je wydaję, lepiej być posłusznym. Pamiętaj, że to dla twojego bezpieczeństwa, nie mojego. Nie wolno wam opuszczać głównego szybu.

– Dobrze – powiedział w końcu Mercer.

– Kapitanie Sykes? – Ira spojrzał poważnie na dowódcę oddziału komandosów.

– Tak jest, sir.

– Mercerowi nie wolno się od pana oddalać i żaden z was nie może wpłynąć do bocznego tunelu. Zejść na dół, oczyścić ujęcie i wracać prosto na górę. Zrozumiano?

Mimo że Sykes na kolanach rozpakowywał sprzęt, wyprężył się i zameldował.

– Tak jest, panie admirale.

On się czegoś boi, pomyślał Mercer. Cokolwiek czekało na końcu wyrobiska, musiało go przerażać. Co oni kombinowali z doktor Marie? Zaraz, zaraz... czy to ma związek ze słowami Tisy? Pojedynczy wstrząs sejsmiczny jak pęknięcie balonika w środku skały? Powiedziała chyba, że to było jak podziemna eksplozja nuklearna. Może rzeczywiście ktoś testował tam nową broń? I sytuacja wymknęła się spod kontroli?

Z miejsca, w którym pracował, widział ziejący ciemny otwór głównego szybu. Był idealnie kwadratowy. Czarny i nagle bardzo obcy. Wilgotne powietrze zrobiło się nieprzyjemnie chłodne.

Piętnaście minut później, kiedy Sykes przeszedł przez wszystkie procedury bezpieczeństwa poprzedzające nurkowanie, byli gotowi zejść pod wodę. Ira posłał w tym czasie po operatora windy, a obaj mężczyźni weszli do kabiny i usiedli na podłodze. Zjazd na stojąco byłby dość niewygodny, bo na plecach mieli po trzydzieści kilogramów sprzętu i balastu, a przy pasach dodatkowo przytoczyli narzędzia, które mogły się im przydać przy odytkaniu ujęcia.

– Na dół i z powrotem – powtórzył Ira, zatraskując bramkę kabiny.

– Na dół i z powrotem – potwierdził Mercer. Winda runęła w czeluść.

– Zapomniałem ci o czymś powiedzieć, Booker. – Mercer mówił tak głośno, żeby przekrzyczeć stukot i skrzypienie metalowej klatki. – Ta woda jest zasolona.

– Wszyscy mówią do mnie Doc. Bardzo zasolone? – Z ciemności dobiegł głos Sykesa. Na razie nie włączali podwodnych reflektorów ani czołówek.

– Jak woda w oceanie.

– To nie powinno mieć wpływu na naszą wyporność. Wystarczy, że za bardzo nie nadmuchasz kamizelki.

Gdy zjeżdżali niżej, robiło się coraz zimniej, bo woda schłodziła gorące wcześniej skały. Na głębokości dwustu trzydziestu metrów winda stanęła. Mercer uniósł klapę w podłodze i zapalił reflektor. Woda poniżej odbijała światło jak czarna powierzchnia lustra. Przez mikrofon umieszczony z boku kabiny poprosił o spuszczenie ich o kolejne dwa metry. Tym razem zatrzymali się kilka centymetrów nad powierzchnią.

Doc Sykes nabrał wody w dłoń i uniósł ją do ust, ale natychmiast wypluł.

– Cholera, co za paskudztwo. Rzeczywiście smakuje jak morska.

– Mówiłem. – Mercer uważniej przyjrzał się wodzie. Na powierzchni unosiły się zanieczyszczenia. Wyłowił je łomem i wciągnął do kabiny. Na podłodze wylądowała zielona masa jak płatanina wodorostów. Pociągnął nosem. Zielona breja śmierdziała zepsutą rybą. Ale to niemożliwe, pomyślał. Podziemny

zbiornik musiał zostać odcięty od świata zewnętrznego przed dziesiątkami albo milionami lat. Nie było szans, żeby wodorosty przetrwały i ewoluowały w całkowitej ciemności i z dala od oceanu. Pokazał znalezisko Sykesowi. Miał równie zagubione spojrzenie jak on.

– Po prostu odetkajmy tę rurę, dobra?

Mercer strząsnął zielsko z łomu i przypiął narzędzie do pasa.

– No, dobra – powiedział bez przekonania.

Sykes ruszył pierwszy. Złapał zębami ustnik, odetchnął kilka razy głęboko i zsunął się do wody, a potem poczekał na Mercera. Minutę zajęło im ustawienie właściwej wyporności. W końcu Sykes uniósł kciuk i z gracją zniknął pod powierzchnią.

Mercer zanurzył się trochę bardziej niezdarnie, ale gdy tylko znalazł się pod wodą, poczuł się, jakby nic nie ważył. Gdyby nie mieli ze sobą silnych reflektorów, bez trudu mogliby sobie wyobrazić, że unoszą się w przestrzeni kosmicznej.

Sykes płynął powoli, przesuwając dłońią po trzydziestocentymetrowej rurze, która kilkadziesiąt metrów poniżej była zatkana. Spokojnie poruszał płetwami, jakby tylko nimi sterował. Jak każdy doświadczony nurek, umiejętnie korzystał z pasa balastowego, by schodzić niżej. Kiedy mijali wejście do bocznego chodnika, Booker nawet nie skierował w jego stronę reflektora.

Mercer płynął dwa metry za komandosem, oświetlając potężną postać pod sobą. Woda nie była zupełnie klarowna. Unosiło się w niej wiele drobinek, zbyt małych, żeby domyślić się, czym były, i zbyt dużych na muł. Nigdy jeszcze nie widział tak zanieczysz-

czoney wody ze źródeł artezyjskich. Z doświadczenia wiedział, że powinna być kryształowo czysta. Sykes wydawał się niczym nie przejmować, ale Mercer nie potrafił się z tym pogodzić. Coś było bardzo, ale to bardzo nie tak. Chciał nawet się zatrzymać, wyjechać na powierzchnię i zażądać jednoznacznych odpowiedzi od Iry, ale zanim podjął decyzję, Booker zwolnił.

Mercer spojrział na głębokościomierz. Trzydzieści cztery metry. Sykes unosił się tuż nad zablokowanym ujęciem, więc nie było go widać. Mercer poruszył płetwami i zszedł niżej, żeby spojrzeć na wlot rury.

Otwór blokował okrągły kawał białego plastiku o średnicy stu dwudziestu centymetrów, a Mercer mimo starań nie mógł sobie przypomnieć, żeby widział go w kopalni przed zalaniem. Potężne ciśnienie pompy sprawiło, że plastik wbił się w siatkę zabezpieczającą wirniki przed zassaniem fragmentów, które mogłyby je uszkodzić. Odwrócenie biegu pompy nie przyniosło efektu, tylko jeszcze bardziej zakleszczyło plastik.

Sykes wyciągnął tabliczkę i podwodny ołówek i narysował duży znak zapytania.

Mercer pokręcił głową. Nie miał pojęcia, na co patrzą. Niemal równocześnie sięgnęli łomami do wlotu rury i zaczęli podważać przeszkodę. Centymetr po centymetrze, na całym obwodzie odrywali od siatki kolejne fragmenty, jakby otwierali konserwę. Metalowe zabezpieczenie rury wbiło się w plastik na tyle głęboko, że mieli wrażenie, jakby odrywali rzepy. Dopiero po kilkunastu minutach nieprzerwanej pracy udało im się odblokować otwór. Plastik unosił się lekko w wodzie, kołysany prądami

wywołanymi przez ich ruchy. Obracał się powoli, aż w końcu w świetle reflektorów znalazła się płaszczyzna, która wbiła się w siatkę. Na zewnętrznej krawędzi widniały duże i wyraźne litery: „Wycieczkowe Linie Oceaniczne. Szczęśliwy Rejs”.

Tajemniczy przedmiot okazał się plastikowym stołem bez nóg, takim, jakie zazwyczaj stoją na tarasach wokół basenów na każdym pasażerskim statku wycieczkowym. Śmieć, na który nikt pewnie nie zwracał uwagi, bo w czasie jednego rejsu wiatr porwał ich dziesiątki z pokładu. Tylko że tym razem z niewiadomych przyczyn stolik znalazł się kilkaset metrów pod ziemią, w sztolni wykutej w litej skale dobrych sześćset kilometrów od morza!

Sykes nie musiał ponownie rysować znaku zapytania. Jego wzrok mówił, że jest zaskoczony.

Mercer sięgnął po swoją tabliczkę i coś na niej pisał, a potem podsunął ją Bookerowi pod nos.

„Płyniemy do chodnika, na sam koniec. Ile mamy jeszcze powietrza?” Sykes pokręcił głową. Mercer ponownie pokazał mu tabliczkę, a komandos znów pokręcił głową. Mercer zmasał wcześniejszy komunikat i napisał nowy.

„Płynę i tak. Jak nie chcesz, to płynę sam”.

Sykes nie odpowiedział. Po chwili wahania sprawdził manometry na butlach Mercera, potem swoje i w końcu wprowadził odczytane wartości do komputera nurkowego, który miał przypięty na przedramieniu.

„Jeszcze czterdzieści minut na tej głębokości. W tunelu jest płycej, więc nieco więcej”.

Mercer przyczepił blat stolika do worka wypornościowego i uruchomił zawór, który napełnił go powietrzem. Plastikowy okrąg popędził w górę. Kiedy się wynurzą, wciągną go do windy. Potem popłynęli w kierunku chodnika, który zaczynał się nad ich głowami. Kilkanaście metrów wyżej znaleźli wejście. Mercer wpłynął do korytarza i, nie zatrzymując się, zwinnie posuwał się naprzód. Podekscytowany nawet nie pomyślał, że kiedy był tu po raz ostatni, woda zabiła Kena Portera. Myślał tylko o tym, co znajdzie w jaskini, do której się przebili. Wcześniej nie mogło tu być podziemnego jeziora – przynajmniej jeszcze przed czterema miesiącami. Woda wyglądała i smakowała jak morska, bo pochodziła z morza. A odpowiedź na pytanie, jak znalazła się nagle pośrodku pustyni w Nevadzie, leżała czterysta metrów przed nim.

Musiał się powstrzymać, by nie pędzić na łeb na szyję. W wodzie nad nim unosiły się pęcherzyki wydychanego powietrza. Światło reflektora odkrywało kolejne fragmenty korytarza. Siedem minut zajęło mu dopłynięcie do miejsca eksplozji. Pokruszone skały z ostatniego dnia pracy Donny'ego Randalla zostały porwane przez wodę. Prawie cała ściana czołowa wyrobiska zniknęła. Tylko kilka spiczastych kawałków zwiślało z sufitu i sterczało z podłogi jak spróchniałe zęby, znacząc miejsce, w którym zginął jeden z jego ludzi.

Mercer nie zwolnił, ale przepływając przez wybity otwór, nagle stracił widoczność. Znalazł się w gigantycznej komorze, tak wielkiej, że światło reflektora nie sięgało przeciwnej ściany. Tym razem się zatrzymał. Sykes podpłynął i przystanął z boku.

Przesunął reflektorem dookoła. Woda była zbyt głęboka, żeby światło dosięgnęło dna zbiornika. Potem skierował reflektor w górę i klepnął Mercera w ramię.

Światło odbijało się od powierzchni wody, kilkanaście metrów nad ich głowami. Praca pomp obniżała jej poziom równocześnie w szybie i w zbiorniku.

Nie musieli się naradzać, żeby wiedzieć, co zrobić. Sykes sprawdził głębokościomierz i wprowadził dane do komputera, wyznaczając przystanki dekompresyjne. Niezależnie od tego co znajdą, mieli tylko pięć minut na powrót do windy.

Chwilę później wypłynęli na powierzchnię. Mercer uniósł reflektor nad głowę i omiół światłem całą jaskinię. Komora miała przynajmniej sto pięćdziesiąt metrów szerokości, a jej sklepienie znajdowało się trzydzieści metrów nad nimi. Ściany były gładkie i zakrzywione, jakby znaleźli się w skalnej kuli wypolerowanej z niemal doskonałą precyzją.

Wszystko to zauważył w ułamku sekundy i zarejestrował jakby podświadomie, bo jego uwagę przyciągnęło coś innego. Wodorosty zbiły go z tropu, a plastikowy stolik całkowicie zaskoczył. Ale to, co widział teraz, przeczyło zdrowemu rozsądkowi.

Mimo słabego światła pojedynczego reflektora nurkowego kształtu, który miał przed oczyma, nie dało się z niczym pomylić.

Pośrodku podziemnego jeziora z wody wynurzał się ciemny zarys łodzi podwodnej.

Pokład MV „Sea Surveyora II”, 500 mil morskich na południowy zachód od wyspy Midway

Charlie Williams nie był zachwycony swoją sytuacją. Prawdę mówiąc, był wściekły. A najgorsze, że mógł winić tylko siebie. Nie zauważył, że przeciwnik poruszył figurami, żeby odkryć wieżę, którą teraz zbijał jego przetrzebione pionki. Z królową zablokowaną parą skoczków znalazł się na przegranej pozycji. Pocieszało go jedynie to, że grał w szachy dopiero piąty raz w życiu, a jego przeciwnik, Jon Carlyle, trzeci oficer, potrzebował piętnastu ruchów więcej niż ostatnim razem, żeby go pokonać.

Spirit, żona Charliego, wyczuła frustrację męża i oderwała się od książki, którą wzięła z niewielkiej biblioteczki statku. Była to biografia Alfreda Watkina, odkrywcy linii geomantycznych. Poza delikatną poświatą z instrumentów pokładowych i ekranu laptopa, na którym rozgrywała się partia szachów, jej lampka była jedynym źródłem światła na mostku statku „Sea Surveyor II”. Za dużymi oknami rozciągało się nocne bezgwiezdne niebo i spokojny ocean. Nikt nie zamknął drzwi na mostek, a tropikalna bryza łagodziła zapach ozonu elektronicznych urządzeń.

– C. W. – odezwała się głosem, który przyniosłby jej bogactwo, gdyby zatrudniła się jako operatorka sekstelefonu – nie chcę cię martwić, kochany, ale chociaż najsilniejszą postacią w szachach jest kobieta, to gra opiera się na mizoginicznej idei walki klas. Zakłada, że głównym celem jest utrzymanie przy

życiu bezsilnego króla, a żeby to osiągnąć, trzeba poświęcić pionki, bez refleksji, jaką rolę odgrywają w prawdziwym świecie. Dlatego uważam, że to dobrze, że przegrywasz. To oznacza, że jesteś na innym poziomie świadomości.

– To oznacza – odpowiedział C. W., nie odrywając oczu od monitora – że jestem radykalnym monarchistą i gdybym był królem, nie miałbym nic przeciwko, żeby moja królowa została zgładzona, bylebym tylko mógł porządzić choćby kilka chwil dłużej. Co myślisz, Jon?

Oficer wachtowy zbliżał się do pięćdziesiątki i miał córkę niewiele młodszą od Spirit. Pomyślał, że C. W. dostał za swoje, kiedy poślubił tę kobietę. Spirit Williams miała swoje zdanie, żelazną wolę i absolutny brak cierpliwości, co stanowiło wybuchową mieszkankę. Z drugiej strony była skończoną pięknoską o cygańskiej urodzie i najwyraźniej kochała C. W. całym sercem. Carlyle użył klawiatury, by zaostrzyć atak na króla C. W., i przesunął gońca o dwie trzecie szachownicy.

– Ja myślę, że skoro żadne z was nie potrzebuje snu i dotrzymania mi towarzystwa na psiej wachcie, to wolę nie opowiadać się ponicyjnej stronie, bo jeszcze sobie pójdziecie i zostanę sam.

– Nie wierzę, na szachownicy wojownik, a na żywo dyplomata? – zaśmiała się Spirit. – Może ty też jesteś trochę oświecony?

– Słyszałem różne wyzwiska. – Stary wilk morski odpowiedział jej szerokim uśmiechem. – Ale ty jesteś pierwszą osobą, która nazwała mnie oświeconym.

Statek naukowy „Sea Surveyor II” należał do konsorcjum kilku uniwersytetów z Kalifornii i był wykorzystywany jedynie

do poważnych badań naukowych na wszystkich dużych morzach i oceanach świata. Choć personel badawczy składał się głównie ze studentów ostatnich lat o wąskich specjalizacjach, załogę tworzyli bardzo doświadczeni marynarze. Wielu z nich miało za sobą służbę w marynarce wojskowej, a teraz cieszyli się spokojem i niespiesznym tempem życia na statku, który na morzu spędzał niemal dziesięć miesięcy w roku.

Dla Carlyle'a był to piąty rejs na tym pokładzie, dla C. W. drugi. Za to Spirit Williams, studentka drugiego roku studiów doktoranckich, zajmująca się globalnym ociepleniem i jego wpływem na prądy morskie, nigdy wcześniej nie pływała na tej siedemdziesięciometrowej jednostce. C. W. był nowym członkiem grupy wspierającej badania, a do jego zadań należało nadzorowanie i wykonywanie prac z użyciem NewtSuits, bardzo zaawansowanych technologicznie kombinezonów do nurkowania, które przypominały średniowieczną zbroję skrzyżowaną z ludzikiem Michelina. Miał też uprawnienia do prowadzenia „Boba”, trzyosobowej łodzi podwodnej podwieszanej w specjalnym garażu na rufie, nad sterem.

C. W. i Spirit spotkali się pół roku wcześniej i już po czterech tygodniach wzięli ślub. On dorastał w południowej Kalifornii, czemu zawdzięczał opaleniznę i atletyczną budowę wiecznego surfera. Spłowieła od słońca włosy powoli odzyskiwały naturalny kolor blond. Skóra na nosie pozostała, ale pomarszczona i spalona. Miał dwadzieścia osiem lat. Podwodnymi łodziami i batyskafami zajął się dzięki temu, że ojciec jego kumpla z college'u posiadał firmę, która je projektowała i budowała. C. W.

spędzał wakacje, pracując w jego warsztacie w Long Beach, a po dyplomie został tam na stałe. Do życia podchodził na luzie, wyznając zasadę: żyj i pozwól żyć innym. Nie patrzył w przyszłość dalej niż do kolacji. Nigdy nie głosował, nie chodził do kościoła i żywił niewiele głębokich przekonań.

Spirit Williams była jego przeciwieństwem niemal pod każdym względem. Jej włosy i oczy były ciemne, ale skórę miała jasną. Była bardzo uduchowiona; dorastała w komunie pod Monterey wychowywana przez rodziców, którzy nigdy nie przyjęli do wiadomości, że lata sześćdziesiąte już się skończyły. Matka była kapłanką kultu Wicca i akuszerką, ojciec tak zwanym rolnikiem ekologicznym, który hodował najmocniejszą marihuanę w całym stanie. Oboje nauczali ją o świecie natury. Spirit wierzyła, że ziemia to Gaja, żyjąca duchowa istota, i że ludzie tak naprawdę są na samym dole naturalnej hierarchii, a nie na szczycie, jak sądzi większość. W przeciwieństwie do męża Spirit była przekonana, że istnieją zasady, według których należy żyć.

Ekologia, feminizm, prawa zwierząt, prawa dzieci, prawa rdzennej ludności, prawa więźniów i niemal każda sprawa, o którą walczył liberalizm, znajdowała się w centrum jej zainteresowania. Zanim skończyła dwadzieścia pięć lat, została aresztowana za wybicie szyb w witrynie Starbucks w Seattle i potraktowana gazem pieprzowym w trakcie spotkania WHO w Waszyngtonie.

– Skoro nie szachy, to w co się bawiłaś jako dziecko? – zapytał Carlyle.

Spirit włożyła między kartki książki pióro sowy.

– W to samo, co inne dzieci. Sam zresztą wiesz, rdzenni mieszkańcy i ciemiężcy.

– Indianie i kowboje?

– Jeśli musisz używać rasistowskiej nomenklatury. – Kiwnęła głową i uśmiechnęła się. – A kiedy byłam nastolatką, w człowieka medycyny.

Tym razem Carlyle musiał chwilę pomyśleć, zanim zrozumiał, o jaką zabawę chodziło.

– W doktora?

– Co myślisz, że twoja córka nigdy tego nie robiła?

– Może i robiła, ale miała dość rozumu, żeby mi o tym nie wspominać.

– Załóżę się, że byłeś jednym z tych ojców, którzy nie wiedzieli, kiedy ich córka dostała pierwszy okres, ale za to znają dokładną datę i godzinę, kiedy ich synowi po raz pierwszy stanął.

Jon mógłby poczuć się urażony, ale wiedział, że Spirit nie miała niczego złego na myśli. Taka po prostu była i mówiła, co myślała, więc odpowiedział jej tym samym.

– Osiemnasty czerwca 1997, siódma dwadzieścia jeden rano. O ilepamiętam był pod dużym wrażeniem.

Uniosła brew.

– Może powinnam się z nim kiedyś spotkać.

Jon spojrzał niespokojnie na C. W. , ale przyzwyczał się do flirtów żony. Wciąż miał nadzieję, że uniknie przegranej i wpatrywał się jak zaczarowany w szachownicę.

– Do wszystkich jednostek, do wszystkich jednostek. Tu USS „Smithback”. Mayday, mayday, mayday. – Z głośników

popłynął czystymi wyraźny głos, a wszyscy na mostku usłyszeli w nim strach.

Jon Carlyle złapał za mikrofon.

– „Smithback”, „Smithback”, „Smithback”, tu MV „Sea Surveyor”. Podaj dokładne położenie i rodzaj zagrożenia.

– „Sea Surveyor”, dowództwo floty Pacyfiku wydało zgodę na wezwanie pomocy.

Carlyle próbował sobie wyobrazić, co się tam działo. Okręt wojenny Marynarki Stanów Zjednoczonych znalazł się w tarapatkach – a przerażanie w głosie marynarza wskazywało na poważne tarapaty – i zgodnie z regulaminem musiał mieć zgodę na wezwanie pomocy.

– „Smithback”, podaj dokładne położenie i rodzaj zagrożenie – powtórzył Carlyle spokojnie i poprosił sternika, żeby szybko powiadomił kapitana Perry’ego Jacobi i wezwał go na mostek.

– Zderzyliśmy się z górą lodową. Nabieramy wody, ale pompy na razie dają radę.

Jezu, pomyślał Carlyle, łapiemy sygnał gdzieś z Arktyki albo Antarktydy, który krąży wokół Ziemi i odbija się od górnych warstw atmosfery. Nieraz był już świadkiem takiego zjawiska, ale nigdy w takich okolicznościach. Dzięki odbiciom amatorzy krótkofalówek mogli rozmawiać z hobbystami z drugiej półkuli. To znaczyło też, że „Sea Surveyor” nie był tak blisko, żeby ruszyli na ratunek. Może minąć kilka dni, zanim ktokolwiek dotrze do miejsca wypadku.

– Nasza pozycja to 21 stopni 21 minut szerokości geograficznej północnej i 173 stopni 32 minuty długości geograficznej zachodniej...

Carlyle pokręcił gniewnie głową i ściszył radio. To musiał być jakiś dowcipniś, morska wersja idioty, który krzyczy „pożar” w zatłoczonym teatrze. Dureń z mocnym nadajnikiem podszedł się pod tonącą amerykańską jednostkę, ale na szczęście był zbyt głupi, żeby prawidłowo wybrać lokalizację i umieścić tonący okręt na wodach tropikalnych, ledwie dziewięćdziesiąt mil od „Sea Surveyora”. Góra lodowa, no jasne.

– Tutaj „Sea Surveyor” – powiedział ostro. – Kimkolwiek jesteś, łamiesz prawo morskie. Twój czyn podlega ściganiu i grożą ci poważne konsekwencje.

Z głośnika radiostacji popłynął inny głos, znacznie pewniejszy i poważniejszy.

– „Surveyor”, tutaj komandor Kenneth Galloway, kapitan okrętu transportowego marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych USS „Smithback”. To nie jest dowcip. Wpadliśmy na górę lodową. Nie było jej widać na radarze. Wynurzyła się spod wody tuż przed nami. Niemieliśmy szans na unik. Na początku myśleliśmy, że zderzyliśmy się z łodzią podwodną, ale to wykluczone, bo wokół nas dryfuje już kilkanaście innych gór lodowych.

Carlyle i inni na mostku słyszeli przez radio wycie alarmów i spanikowane głosy marynarzy walczących o ocalenie okrętu. Carlyle zajął się wyznaczaniem kursu, żeby jak najszybciej do nich dotrzeć.

– Kapitanie, proszę mi wybaczyć to nieporozumienie – powiedział jeszcze. – Jesteśmy oddaleni od was o siedem godzin. Ruszamy w waszym kierunku. Jaką macie obecnie sytuację?

– Z początku uszkodzenia nie wydawały się poważne. Pompy dawały sobie radę z przeciekami, a ekipy ratownicze załatały otwór w burcie. Mimo to wciąż toniemy. Zanurzyliśmy się o ponad metr w ciągu ostatnich trzydziestu minut. Jeśli nic się nie zmieni, za siedem godzin już nas nie znajdziecie.

W czasie, którego oficer „Surveyora” potrzebował na przemyślenie sytuacji, przez radio zgłosiły się jeszcze trzy inne statki w okolicach – dwa kontenerowce zmierzające z Japonii do Los Angeles i jeden niewielki tankowiec z benzyną, płynący na wyspę Wake i chociaż wszystkie były dalej niż statek badawczy, kapitanowie zarządzili zmianę kursu i ruszyli z pomocą. Z wyspy Midway wystartował samolot patrolowy marynarki wojennej.

Carlyle nie kwestionował tego, co usłyszał od Gallowaya, choć było to niemożliwe. Ale skoro kapitan twierdził, że jego statek tonie mimo naprawy, to znaczy, że tak właśnie było. Może przeoczyli jakąś dziurę? Choć trudno to sobie wyobrazić, bo musieliby nabierać coraz więcej wody. Poza tym zespoły ratunkowe marynarki wojennej były doskonale przygotowane do takich akcji. Nie popełniliby szkolnego błędu.

– Co to znaczy? – zapytał C. W. Spirit stała obok i trzymała go za rękę. Carlyle zapomniał o ich obecności.

– Nie mam pojęcia – przyznał.

– Mayday! Mayday! Mayday! – Z głośników rozległ się głos pierwszego marynarza, a raczej paniczny wrzask. – TONIEMY

bardzo szybko! Rufą naprzód. Dziób nad wodą. Tutaj USS „Smithback”. Chryste! Boże! Morze... morze płonie!

Potem usłyszeli przytłumioną eksplozję, szum wody... i ciszę.

„Sea Surveyor II” sześć godzin i czterdzieści minut płynął na miejsce, gdzie według ostatniego komunikatu powinien znajdować się „Smithback”. Jon Carlyle wciąż usiłował wywołać ich przez radio, ale nie otrzymywał odpowiedzi. P-3 Orion, samolot zwiadowczy do zwalczania łodzi podwodnych, wystartował z lotniska na Midway i dotarł na miejsce przed nimi. Po godzinie od ostatniego wezwania przez radio krążył nad ostatnią znaną pozycją „Smithbacka”. Orion nie wypatrzył ani wraku, ani śmieci unoszących się na wodzie, ani nawet plam oleju. Zupełnie jakby „Smithback” nigdy nie istniał.

Kopalnia DS-Dwa, Strefa 51, Nevada

Ira Lasko nie czekał w jaskini, kiedy nurkowie wynurzyli się z zalanej kopalni. Nie było go też w centrum zarządzania. Mercer pobiegł na poszukiwanie przyjaciela, nie zważając na to, że ma na sobie pożyczoną piankę neoprenową, a ostre kawałki skał boleśnie wbijają mu się w stopy. W końcu znalazł go w świetlicy. Była z nim doktor Briana Marie, tym razem bez nieodłącznego kitla, który wisiał przewieszony przez oparcie krzesła. Siedzieli obok siebie pogrążeni w rozmowie i co chwilę zaglądali do grubego skoroszytu.

Kiedy Mercer wpadł do środka, oboje gwałtownie poderwali głowy. Marie zamknęła teczkę i oparła się o krzesło. Ira przesunął dłonią po ogolonej czaszce. Ciszę przerywał tylko szum klimatyzacji i kapanie wody sączącej się spod kombinezonu. Ze złością cisnął płetwy w kąt.

- Fizyka nuklearna? – zaatakował Brianę. – Cholerne bzdury!
- Miał pan zakaz wpływania do wyrobiska – warknęła.
- Spokojnie – wtrącił Ira.
- Admirale, on nie ma certyfikatu dopuszczającego go do tego projektu. Zapewniał mnie pan, że dokończy tunel i nie będzie zadawał pytań!

Ira spojrzał na nią nieprzyjemnie.

- Nienawidzę okłamywać przyjaciół, a byłem zmuszony to robić już dość długo. Wystarczy. – Odwrócił się w stronę Mercera.

– Wybacz, ale nie miałem wyjścia. Rozkazy pochodziły bezpośrednio od sekretarza obrony narodowej w biurze prezydenta.

Mercer widział wstyd w jego oczach i słyszał szczerłość w głosie. Stał przed takim Ira, jakiego znał i dla jakiego zgodził się pracować. Po tym, co powiedział, niemal było widać, jak napięcie znika z jego twarzy. Mercer rozpiął kombinezon i pełną garścią chusteczek z komódki pod ścianą wytarł słoń wodę z twarzy i piersi. Cokolwiek miał zaraz usłyszeć, wiedział, że lepiej będzie, jeśli usiądzie. Przydałoby się też coś mocniejszego do picia, ale niestety, nic nie znalazł.

– Jaskinia – powiedział. – Nie powstała w naturalny sposób, prawda?

– Nie – Ira potwierdził jego przypuszczenia. – Została stworzona, kiedy pojawiła się łódź podwodna.

– Pojawiła się? Łódź podwodna? Jak? Ira zawahał się.

– Chyba będzie lepiej, jeśli wyjaśni ci to pani doktor.

Kobieta przez chwilę walczyła ze sobą, rozdarta między obowiązkiem zachowania tajemnicy a chęcią pochwalenia się osiągnięciami. W końcu próżność zwyciężyła.

– Panie doktorze, czy wie pan coś o mechanice kwantowej?

– Tyle że dotyczy cząstek elementarnych i nie sprawdzają się w jej przypadku zasady fizyki, które rządzą naszym światem, takie jak grawitacja czy magnetyzm. To, co czytałem, było tak niezrozumiałe i nielogiczne, że porzuciłem temat.

Marie pokiwała głową.

– Rozsądna i szczerą odpowiedź. Na świecie nie ma zbyt wielu naukowców, którzy nie odpowiedzieliby albo przynajmniej

nie pomyśleli podobnie. Ale nie wie pan, że to dział fizyki, który pewnego dnia zrewolucjonizuje nasze życie.

– Nie sędzę, żeby umieszczenie łodzi podwodnej wewnątrz góry miało poprawić jakikolwiek wpływ na jakość mojego życia. Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości. – Mercer mówił z sarkazmem, choć kłamstwa, którymi go dotychczas karmiono, rozpały jego ciekawość.

Ten komentarz wyraźnie jej się nie spodobał, bo nagle stała się oschła.

– Cóż, może to dla pana nielogiczne, doktorze, ale my nie przenosiliśmy tej łodzi. W gruncie rzeczy ona się w ogóle nie przemieściła.

Mercer uniósł dłoni w przeproszającym geście. Drażniąc tę kobietę, nie uzyskałby żadnych odpowiedzi.

– Może pani zacząć od początku? Ale jak dla laika, proszę.

– Oczywiście. Jaka jest największa prędkość we wszechświecie?

– Prędkość światła. Prawie trzysta tysięcy kilometrów na sekundę.

– Drugie prawo termodynamiki Newtona zakłada w gruncie rzeczy, że wszystkie układy dążą do chaosu, prawda?

– Zdaje się, że tak.

– A czy kiedy w lesie upada drzewo, słysząc jego huk?

– Jaki to ma związek z łodziami podwodnymi?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Tak, robi hałas.

– W świecie kwantowym żadna z pana odpowiedzi nie jest prawdziwa. Podstawy mechaniki kwantowej stanowią badania Nielsa Bohra i Wernera Heisenberga. Jednym z praw, na którym opierały się wszystkie późniejsze badania, jest sformułowana przez Heisenberga zasada nieoznaczoności. W najprostszy sposób można ją wyjaśnić tak, że obserwacja zdarzenia zmienia jego przebieg i właśnie z tego powodu nic we wszechświecie nie dzieje się bez obserwacji. Wiem, że może brzmieć to dziwnie, że my, obserwatorzy, wpływamy na wydarzenia, ale to zostało dowiedzione w warunkach laboratoryjnych już niejednym razem. Drzewo w lesie nie mogło zrobić hałasu, bo nie upadło. W świecie cząsteczkowym, w czasie i w przestrzeni, z chaosu może nieoczekiwanie wyłonić się porządek. Nawet jeśli trwa tylko ułamek sekundy, to wystarczy, by podważyć drugie prawo Newtona.

– Co z największą prędkością? – wtrącił Mercer. – Jak to się ma do prędkości światła?

– A jeśli panu powiem, że widziałam eksperyment, w którym wiązka lasera miała zostać przepuszczona przez gaz schłodzony do ekstremalnie niskiej temperatury i z drugiej strony zbiornika pojawiła się, jeszcze zanim została wystrzelona? Skutek poprzedził przyczynę. W jakiś sposób w świecie kwantowym wiadomość o świetle lasera dotarła do czujnika szybciej niż sama wiązka.

Mercer nie podważał jej słów. Miał świadomość, że prawa, które przez wiele lat były nienaruszalne, dziś kolejno padały, gdy dokonywano nowych odkryć. Mimo to nie potrafił znaleźć dla tych informacji wspólnego mianownika ani tym bardziej

zrozumieć, w jaki sposób łódź podwodna o masie kilku tysięcy ton znalazła się wewnątrz góry, setki kilometrów od morza.

– Dlaczego nie pokusić się o kolejny krok? Dlaczego nie przeprowadzić takiego eksperymentu poza laboratorium? Przecież zadziało z cząsteczkami? Bo światło to nic innego, jak właśnie cząsteczki, które nazywamy fotonami.

– Cząsteczka istniejąca w dwóch różnych miejscach w tym samym czasie?

– Pojawia się jeszcze pytanie, co się stanie, jeśli zniszczymy wystrzeloną cząsteczkę, tę, z którą rozpoczęliśmy eksperyment?

– To zostanie nam zduplikowana cząsteczka po drugiej stronie pojemnika z gazem. – Olśnienie, które wtedy przyszło, było jak cios obuchem w głowę. – Czy mówi pani o systemie transportu z filmów science fiction?

Spojrzała na niego z politowaniem.

– To nie jest *Star Trek*. Media ekscytują się teoretycznymi możliwościami takiego przemieszczania przedmiotów, ale prawda jest taka, że transport człowieka, choć teoretycznie wykonalny, nigdy nie będzie możliwy.

– Czy właśnie to zrobiliście z łodzią podwodną? Przetransportowaliście ją do Strefy 51?

Jej wzrok wyrażał jeszcze większy zawód.

– Nie, ale obawialiśmy się tego. Widzi pan, naszym celem było uczynienie jej niewidzialną. Taką technikę nazywamy kamuflażem optoelektrycznym. Technologia została zaprojektowana dla zwykłych okrętów i może nawet lotniskowców, jeśli udałoby się nam zmniejszyć część urządzeń i zredukować pobór

prądu. Wykorzystaliśmy łódź podwodną, bo istniała szansa, że coś takiego może się wydarzyć.

– Eksperyment wymknął się spod kontroli. – Ira wszedł jej w słowo.

– Nie wymknął się – odpowiedziała szorstko. – Poza tym marynarka wiedziała, że to może się zdarzyć. Na wszelki wypadek wbudowano zabezpieczenia.

– Co się w takim razie stało?

– System, który opracowałam z zespołem, wykorzystuje bańkę pola magnetycznego o dużym natężeniu do zakrzywienia widzialnego światła w toroid, czyli jakby w obwarzanek. Widzimy jakiś obiekt, bo światło się od niego odbija. Fale o określonej długości są absorbowane przez jego powierzchnię, a inne odbijane i to właśnie one stanowią o kolorze. Jeśli coś jest czarne, to znaczy, że pochłania wszystkie długości fal, a my nie możemy tego przedmiotu zobaczyć. Jego obecność dostrzegamy dzięki kolorowemu tłu. Moja teoria zakłada, że jeśli uda nam się uwięzić światło w toroidalnej pułapce, a potem zakrzywić fale tak, żeby opływały nasz obiekt, obserwator nic nie zobaczy. To taki sam efekt, jak zagięcie światła przez wodę. Wystarczy włożyć do niej ołówek, żeby wystawał nad powierzchnią, i będziemy mieli wrażenie, że składa się z dwóch części.

– I? – naciskał Mercer, bo chociaż jej wyjaśnienia brzmiały nieprawdopodobnie, nie tłumaczyły widoku, jaki zastał w zalanej kopalni.

– I znaleźliśmy się w świecie kwantowym – powiedziała, jakby po takim oświadczeniu wszystko powinno stać się jasne.

– Czyli?

– Czyli spowodowaliśmy konsekwencje, które wzięliśmy pod uwagę i przygotowaliśmy się na nie. Ale mimo wszystko traktowaliśmy je hipotetycznie. Pole magnetyczne zaginało światło widzialne, aż w końcu powstała samopodtrzymująca się pętla, fragment przestrzeni, z którego fale świetlne nie mogły się wydostać.

– Chwila, to brzmi jak czarna dziura.

– Nie, bo czarne dziury wciągają materię polem grawitacyjnym, a my wykorzystaliśmy pole magnetyczne.

– Co za różnica?

– Taka, że grawitacja nie znajduje zastosowania w świecie kwantowym. Właśnie nad tym pracował Einstein, zanim zmarł, nad uniwersalną teorią pól: sił międzycząsteczkowych, pola magnetycznego i grawitacji.

– Trafiliście więc na coś zupełnie nowego?

– Niezależnie jak to nazwać, efekt jest taki sam.

– Jaki efekt?

– Ujmując to najprościej, udało nam się zatrzymać czas. Ciśnienie magnetyczne, podobnie jak grawitacja w czarnej dziurze, uformowało bańkę dookoła testowej łodzi podwodnej. Kiedy światło wewnątrz tej bańki zostało w niej uwięzione, zadziałała zasada nieoznaczoności Heisenberga.

– Przedmiot nie miał obserwatora, który widząc go, definiowałby jego istnienie?

– W świecie cząsteczkowym brak obserwatora sprawia, że nic się nie dzieje. Drzewo z lasu, o którym mówiliśmy, będzie stało nieruchomo, dopóki ktoś na nie nie spojrzy.

– Co się dokładnie stało z okrętem podwodnym?

– W dużym skrócie, przestał dla niego płynąć czas i zniknęła reszta wszechświata. Kilku naukowców z naszego zespołu podejrzewało, że coś takiego teoretycznie może się wydarzyć i za ich namową powzięliśmy pewne środki bezpieczeństwa. Zainstalowaliśmy specjalny starter wykorzystujący przeplot cząsteczkowy, który miał odciąć zasilanie w magnetycznej bańce utworzonej wokół jednostki i przywrócić normalny bieg czasu. Teoretycznie okręt powinien wtedy pojawić się w naszym świecie.

– Tyle że coś poszło nie tak i jednostka wróciła do naszego wszechświata w Nevadzie. Dlaczego tak się stało?

– Czas na nikogo nie czeka – stwierdziła sentencjonalnie. – Wszystko poszło zgodnie z planem. Proszę pamiętać, że Ziemia wiruje z prędkością obrotową ponad półtora tysiąca kilometrów na godzinę, a dookoła Słońca porusza się jeszcze szybciej. Jeśli do tego uwzględnimy, że cały nasz Układ Słoneczny porusza się w galaktyce Drogi Mlecznej, będzie musiał pan przyznać, że trafienie łodzi z powrotem na Ziemię było już ogromnym sukcesem. Przecież może pojawić się gdzieś na orbicie albo po drugiej stronie Księżyca! Nie mogliśmy sprowadzić jej z powrotem do oceanu, bo nie mieliśmy pewności, że pojawi się na bezpiecznej głębokości. Uznaliśmy, że najlepiej znaleźć jakieś miejsce na lądzie, gdzie nie będziemy wzbudzać zbyt dużego zainteresowania. Strefa 51 okazała się doskonała.

– DS-dwa?

– Tak, właśnie tam – do rozmowy włączył się Ira. – Pierwotnie wprowadzone koordynaty powrotu to miejsce, w którym okręt zniknął, niedaleko Jacksonville, na Florydzie. Mieliliśmy nadzieję, że jeśli zniknie, bo zakrzywione zostaną promienie światła, to zaraz pojawi się z powrotem.

Słowa Iry sprawiły, że Mercer o czymś sobie przypomniał.

– Mówisz, jakby chodziło o eksperyment filadelfijski – zauważył. Eksperyment filadelfijski był jedną z ulubionych historii fascynatów teorii spiskowych i wyznawców UFO.

– Dzięki niemu w ogóle zajęłam się fizyką – przyznała Marie. Eksperyment filadelfijski, chociaż zdementował go ten człowiek, który stworzył jego mit, wciąż pozostawał jednym z głównych tematów wśród badaczy sił nadprzyrodzonych i życia pozaziemskiego oraz innych oszołomów. Legenda dotyczyła okrętu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, USS „Eldridge”. Zgodnie z relacją świadka w czasie II wojny światowej rozpoczęto tajny projekt o nazwie „Tęcza”. Pomysłodawcami mieli być Einstein i sławny wynalazca Nicola Tesla. Naukowcy pracowali nad kamuflażem zakrzywiającym światło, używając pola magnetycznego o gigantycznym natężeniu. Chcieli w ten sposób ukrywać okręty alianckie przed U-Bootami. Niedawno zwodowany niszczyciel został wyposażony w tony sprzętu naukowego i potężne generatory prądu. W trakcie pierwszych eksperymentów wszystko szło zgodnie z planem. Wokół jednostki pojawiła się niebieskozielona mgła natychmiast po uruchomieniu generatorów, a kilka chwil później okręt zniknął. Po

odcięciu zasilania znów kołysał się na falach, jakby nic się nie stało. Doświadczenie powtarzano kilka razy do października 1943. Po paru ulepszeniach ponownie uruchomiono aparaturę i okręt otoczyła mgła. Tylko że kilka sekund później jednostka pojawiła się w Norfolk, w Wirginii, a po kilku chwilach powróciła do Filadelfii w nienaturalnych oparach mgły. I jakby sama opowieść o eksperymencie nie była dość fantastyczna, pojawił się świadek. Marynarz cumującego niedaleko frachtowca SS „Andrew Furuseth”, Carlos Allende, zeznał, że widział członków załogi USS „Eldrige” błędzących we mgle, inni natomiast pojawiali się i znikali jak duchy. Twierdził też, że niektórzy leżeli na pokładzie i umierali w niewyobrażalnych cierpieniach.

– Ale to przecież bzdury! – zaprotestował Mercer. – Lata później Allende przyznał, że sam to wszystko wymyślił. Poza tym udowodniono, że „Eldridge” nigdy nie zawinął do portu w Filadelfii, a Einstein był pochłonięty pracą nad Projektem „Manhattan”.

Briana Marie uśmiechnęła się po raz pierwszy, od kiedy Mercer wkroczył wściekły do świetlicy.

– Myśli pan, że fakt, iż ten eksperyment się nie odbył, ma jakieś znaczenie? Nauka to połączenie eksperymentów i inspiracji, a skąd pochodzą pomysły, to już sprawa drugorzędna. Jest mnóstwo wynalazków inspirowanych legendami, mitami science fiction. Krótkofalówka dostatecznie mała, żeby Dick Tracy mógł nosić ją na nadgarstku, była wymysłem w latach trzydziestych, a dziś używamy telefonów komórkowych i nikogo to nie dziwi. Juliusz Verne opisał łódź podwodną napędzającą atomowym

na sto lat, zanim admirał Rickover zbudował USS „Nautilus”. Swoją drogą ochrzcili ją tak, żeby upamiętnić pomysł Verne’a. Twórcy science fiction wymyślili lasery, radary, sonary, podróże kosmiczne, klonowanie i setki innych technologii, z których dzisiaj korzystamy. Nie sądzi pan, że my, naukowcy, czerpiemy inspirację z książek, które czytamy jako dzieci? Że robimy to wszystko po to, żeby zrealizować pomysły, które do niedawna były tylko mrzonkami? – Marie mówiła z coraz większym zapałem. – Odkąd jestem naukowcem, starałam się urzeczywistnić ten tak zwany eksperyment filadelfijski, a pan widział dowód, że się udało i wciąż uważa pan, że to bzdury?

– No dobrze, przepraszam – Mercer zrezygnował z wojowniczego tonu. – Przyznaję, że trochę czytałem o teleportacji kwantowej. Ale na razie udało się w ten sposób przemieścić kilka tysięcy atomów, chmurkę gazu, z jednego końca laboratorium na drugi. A pani twierdzi, że potrafi przemieścić cały okręt podwodny, złożony z nieskończonej liczby atomów i sprawić, by na koniec każdy z nich znajdował się na swoim miejscu?

– Tyle że to nie jest teleportacja kwantowa – westchnęła. – To coś zupełnie nowego. Brakuje jeszcze właściwego określenia. Ja nazywam to syfonem magnetycznym. Nie rozbiliśmy łodzi na pojedyncze atomy, tylko wynieśliśmy ją jakby poza nasze znajome cztery wymiary: trzy podstawowe i czas. Jeśli któregokolwiek z nich zabraknie, obiekt istniejący w takim niepełnym układzie przestanie istnieć. Cień jest tego doskonałym przykładem. To dwuwymiarowy obraz przedmiotu, ale sam nie jest przedmiotem. Ja udowodniłam, że te same zasady dotyczą czasu. Zatrzymali-

śmy dla okrętu czas, a potem ściągnęliśmy go z powrotem. Nawet pan nie jest chyba tak naiwny, żeby nie widzieć, że wojskowe ośrodki naukowe wyprzedzają cywilne o całe lata świetlne. Wojsko dysponowało samolotami naddźwiękowymi trzydzieści lat przed concorde'em i systemem GPS dziesięciolecia, zanim stał się dostępny na rynku komercyjnym. Eksperyment z chmurką gazu, o którym pan wspominał, to wykopaliska w porównaniu z moim projektem.

– Jak długo okręt nie istniał? – zapytał Mercer, by skierować rozmowę z powrotem na właściwy tor.

Marie spojrzała na Irę, znów szukając przyzwolenia na wyjawienie tajemnicy.

– Prawie dwanaście miesięcy – odpowiedział za nią admirał.

– Musieliście poczekać, aż Ziemia okrąży Słońce, żeby w odpowiednim miejscu przywrócić okręt – Mercer nie wiedział, jakich słów użyć – rzeczywistości?

– Obliczenia musiały być niezwykle precyzyjne – wyjaśniła Briana Marie, nie kryjąc dumy. – Musieliśmy zgrać długość i szerokość geograficzną oraz wysokość. Przywrócenie okrętu do rzeczywistości w Strefie 51 oznaczało, że pojawi się głęboko pod ziemią. Dlatego zatrudniliśmy górników, żeby wydrążyli korytarz. Gdybyśmy się spóźnili choćby o kilka sekund, jednostka pojawiłaby się w pobliżu Bakersfield, w Kalifornii, na wysokości dwóch i pół kilometra, a kilka sekund za wcześnie wylądowałaby trzy kilometry pod dnem jeziora Powell, w Utah.

– Kiedy sprowadziliście ją z powrotem? – zapytał, choć był pewien, że zna odpowiedź.

Rozdzwonił się telefon Iry. Admirał sięgnął do kieszeni i odsunął się od stołu, by rozmawiać bez skrępowania, a głos zabrała znów doktor Marie.

– Cztery miesiące temu.

„Coś się tam wydarzyło, coś nienaturalnego”. Mercer słyszał w głowie głos Tisy. Wcześniej zlekceważył jej słowa, ale teraz nabrały nowego znaczenia. Wewnątrz ziemi pojawiła się bańka, jakby eksplozja nuklearna, która trwała zaledwie jedną sekundę. To znaczy, że jej organizacja w jakiś sposób zarejestrowała powrót łodzi podwodnej z... skądkolwiek, gdzie spędziła ostatni rok.

Zastanawiające, bo w końcu co ich to mogło obchodzić?

Nie było powodu, by uważać, że wstrząs miał przyczyny inne niż sejsmiczne. Pewnie wszystkie stacje w okolicy go wychwyciły, ale nie poświęciły mu uwagi. Środkowa Nevada była zryta płytkimi uskokami. W takim razie, czemu ich to tak bardzo zainteresowało? Co skłoniło ich do sabotowania prac w tunelu? Może w zespole Marie pracował zdrajca? Ktoś, kto zdradził skrywany sekret?

Mercer czuł, jak krew szaleńczo pulsuje mu w głowie. Wyrzucając się, skrócił do minimum przystanki dekompresyjne, by jak najszybciej znaleźć się na powierzchni. Owszem, na własne oczy widział dowód, że Marie się udało, choć nie potrafił pojąć, jakie siły za tym stoją. Chwilowo nie chciał o tym myśleć. Pytania, jakie nie dawały mu spokoju, dotyczyły Tisy Nguyen i jej organizacji. Celowo nikomu nie wspomniał o tym, jak go uratowała po ucieczce z Luxoru, ale teraz zmienił zdanie. Musi

wszystko opowiedzieć Irze. Jeśli w zespole Marie był zdrajca, trzeba go wykorzystać.

Ira trzymał słuchawkę przy uchu, ale sam niewiele mówił. Kiedy skończył i wrócił do stołu, miał ponurą minę.

– Marynarka właśnie zameldowała, że stracili jednostkę transportową na Pacyfiku. Ekipy ratunkowe twierdzą, że nikt nie przeżył. I niepozostał po nich żaden ślad.

„Zaczekaj, udowodnię ci to. Coś niezwykłego wydarzy się na Pacyfiku”.

Mercer stracił zainteresowanie tym, co Marie miała mu jeszcze do powiedzenia.

– Co się z nimi stało? – zapytał zachrypniętym głosem.

– Nieznane przyczyny zatonięcia. Cywilna jednostka badawcza odebrała wezwanie o pomoc. Właśnie docierają do ostatniej znanej pozycji zaginionych. Wstępne raporty mówią o tym, że meldowali zderzenie z górą lodową, ale to trochę dziwne, żeby góry lodowe dryfowały w tropikalnych wodach. Założę się, że staranowała ich jakaś łódź podwodna albo uderzyli w duży kontener zmyty z frachtowca. Ostatnia informacja przekazana przez radio dotyczyła płonącego oceanu. Może w kontenerze były materiały łatwopalne, a kiedy statek w niego uderzył, rozbił go i nastąpił zapłon.

„Jak mogę cię przekonać, że świat jest na krawędzi zagłady?” – Mercer znów usłyszał słowa Tisy. „I tak byś mi nie uwierzył, prawda? Potrzebujesz dowodu. I dam ci go. Może nam się udać, jeśli zdobędę twoje zaufanie. Rozumiesz, o czym mówię?” To był koniec ich rozmowy. Mercer nadal nie wiedział, co myśleć

o swojej pięknej wybawczyni. Zdawała się w pełni świadoma tego, co mówi, a jednocześnie mówiła rzeczy przeczące logice. Pewnie chorzy umysłowo zachowują się podobnie, pomyślał wtedy. Kobieta starała się go przekonać, jednak w przeciwieństwie do obłąkanych jakąś ideą, ona nie sprawiała wrażenia, jakby jej cały świat zależał od tego, czy przekona go do swoich racji. Zwolennicy spiskowych teorii wciąż szukają u rozmówcy potwierdzenia, że nie uważa ich za wariatów. To właśnie dlatego zawzięcie dyskutowali między sobą, a Internet roił się od forów dotyczących zjawisk paranormalnych. Tisa była inna. Ona chciała, żeby Mercer jej wierzył, ale nie dlatego, że nie mogła znieść myśli, że ma inne zdanie. Wyglądało raczej na to, że potrzebuje jego pomocy, a jedynym sposobem, by go przekonać, było pokazać mu swój świat.

Tisa musiała wiedzieć, o czym mówi, kiedy ostrzegła go przed niezwykłym wydarzeniem na Pacyfiku. Sypiąc za sobą okruszki, chciała zwabić Mercera na Santorini, gdzie miał poznać prawdę. Może wtedy jej słowa o końcu świata staną się jasne? Jednego był pewien: jeśli miał podążyc tym śladem, musiał wziąć udział w badaniach przy zaginionym okręcie.

– Jest jeszcze inna możliwość – powiedział powoli, spoglądając przyjacielowi prosto w oczy. – Zataiłem pewną sprawę związaną z mojąucieczką z hotelu w Vegas. Kluczową sprawę.

Zrelacjonowanie spotkania z Tisą, jak się pojawiła i co powiedziała, zajęło mu piętnaście minut. Powiedział też o tym, że wierzyła, że świat ma się ku końcowi.

– Jestem tak samo sceptyczny, jak ty, Ira – powiedział na zakończenie. – Sam zresztą widzisz, że nie chciałem wam nawet o tym wspominać. 1 nie wspomniałbym, gdyby nie zbyt wiele zbiegów okoliczności naraz – zaczął je wyliczać na palcach. – Zawał, który zabił większość waszych ludzi i za którym musiał stać Donny Randall, co jest bardziej niż pewne, biorąc pod uwagę zamach na mnie. Fakt, że Tisa wiedziała, kiedy okręt podwodny wrócił do rzeczywistości w Strefie 51. Zamachowcy w hotelu. Pojawienie się Tisy na czas. A teraz na Pacyfiku ginie okręt Marynarki Stanów Zjednoczonych i nikt nie umie wyjaśnić okoliczności, w których zatonął. Są dwa sposoby, żeby to wszystko wytłumaczyć. Albo jakiś człowiek z zespołu Marie zdradzał informacje o eksperymencie i dotarł do nich ktoś, kto chciał nam z jakiegoś powodu przeszkodzić... – Mercer zamilkł.

– Albo... ? – Zapytali jednocześnie Ira i Marie.

– Albo wykryli pojawienie się okrętu, wiedzieli, że wstrząs nie był naturalny, i wysłali zespół, żeby zbadał sprawę. Sądząc po ich przygotowaniu, organizacji i logistyce, nie powstali ad hoc, żeby sabotować wasze prace. Muszą istnieć od dłuższego czasu, choć najwyraźniej nie zrobiliśmy wcześniej nic, co zwróciłoby ich uwagę.

– A dlaczego mój eksperyment miałby przyciągnąć ich zainteresowanie?

Mercer oparł się na krześle. Kombinezon sechł i swędziało go skóra.

– Myślę, że odpowiedź jest tam, gdzie zatonął okręt.

– I w Grecji? – zapytał Ira.

Geolog myślał przez chwilę, analizując ślady, jakie Tisa mu pozostawiła.

– Boję się, że jak pojedę do Grecji, to wrócę z jeszcze większą liczbą pytań.

– Ale i tak pojedziesz. – Ira użył tonu, jakby wydawał rozkaz. Mercer wykorzystał podjętą już decyzję jako kartę przetargową.

– Tylko pod warunkiem że wyślesz mnie na Pacyfik, żebym samsprawdził, co się stało z waszą jednostką.

Ira nie wahał się nawet sekundy. Właśnie do takich misji zatrudnił Mercera na stanowisku specjalnego doradcy do spraw nauki.

– Wszystko załatwię.

– A co będzie się działo tutaj? – zapytał Mercer.

– Wypompujemy do końca wodę z kopalni, żeby ludzie pani doktor mogli dostać się do okrętu. Potem wrócą do swoich komputerów, a marynarka zaksięguje stratę stu milionów dolarów. Kosztowna pomyłka, prawda?

Pokład „Sea Surveyora II”, Pacyfik

Minęło dwadzieścia godzin od ostatniej rozmowy z Irą. Mercer zdążył dolecieć ze Strefy 51 do Las Vegas, gdzie kupił bilet na pasażerski lot na Hawaje. Udało mu się znaleźć miejsce w wojskowym samolocie transportowym do Guamu. Tam czekał już na niego samolot przewożący załogę i pocztę do lotniskowca USS „Ronald Reagan”. Ostatni odcinek podróży z lotniskowca na statek badawczy odbył na pokładzie wysłużonego helikoptera „Sea King”. Nazwisko admirała Lasko otwierało prawie każde drzwi na oścież, więc podczas podróży nie zmarnował ani chwili.

Z powietrza „Sea Surveyor” wyglądał jak większość jednostek naukowo-badawczych, z nadbudówką nad burtami, długim otwartym tylnym pokładem i wychylonym nad wodą żurawiem okrętowym. Dwa duże pudła wielkości kontenerów towarowych zajmowały sporo miejsca na głównym pokładzie. Mercer założył, że w jednym mieściło się laboratorium naukowe, a w drugim hangar, warsztat i stanowisko łączności z żółtą łodzią podwodną, przymocowaną do pokładu u nasady żurawia. Lądowisko dla helikopterów znajdowało się na górnym pokładzie i sterczało dziwnie w tył, za nadbudówkę. Pilot musiał się bardzo skupić, żeby bezpiecznie zniżyć nad nim maszynę, która zawisała w miejscu jedynie na chwilę. Mercer ledwie zdążył wyskoczyć, złapać swoją torbę i odebrać trochę sprzętu, który pomógł mu rozpakować członek załogi helikoptera.

Podmuch wirującego śmigła uderzył w geologa, kiedy stara maszyna o bardzo dużym zasięgu wzbiła się w powietrze i zawróciła, by wrócić na macierzysty pokład lotniskowca. Chwilę później na brzegu platformy pojawił się mężczyzna między czterdziestką a pięćdziesiątką. Miał na sobie biały tropikalny mundur z krótkimi rękawkami i złotymi epoletami na ramionach. Był bardzo szczupły i dość niski, lecz szpakowate włosy i twarde, odważne spojrzenie od razu wzbudzały szacunek i sympatię.

– Philip Mercer? – zapytał podejrzliwie, jakby spodziewał się odwiedzin jeszcze kogoś innego, kto wylądował helikopterem marynarki wojennej. – Jon Carlyle, trzeci oficer... witam na pokładzie.

– Bardzo mi miło. – Uścisnęli sobie dłonie, po czym Carlyle poprowadził go do nadbudówki. Klimatyzacja na mostku usuwała z powietrza wilgoć i gorąco. – Marynarka zaskoczyła nas rano wiadomością, że kogoś nam podrzuca. Proszę mi wybaczyć, ale nie spodziewaliśmy się cywila... bo nie jest pan wojskowym?

Mercer nadal czuł się trochę nieswojo, kiedy wymieniał stanowisko, na jakim pracował dla rządu. Musiał jednak wyjaśnić, jakie ma uprawnienia.

– Niezupenie. Jestem specjalnym doradcą prezydenta do spraw naukowych.

– Prezydenta... Stanów Zjednoczonych? – Carlyle był wyraźnie zaskoczony.

– Dokładnie. Jestem tu z polecenia admirała Iry Lasko, zastępcy doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. A wy

byliście we właściwym miejscu i czasie, żeby śledzić zatonięcie USS „Smithbacka”. Poza tym, dopóki nie dotrze tu okręt ratunkowy z San Diego, tylko wasz statek dysponuje odpowiednim sprzętem, żeby zbadać wrak.

– Hm, nikt nam nie mówił, że będzie pan potrzebował naszej łodzi do swoich badań.

– Wasz kapitan, Jacobi, tak się chyba nazywa, pewnie właśnie rozmawia z lądem i przyjmuje rozkazy, żeby mi pomóc. Rząd przejmuje pałeczkę.

– Jak dokładnie możemy panu pomóc?

– Zna pan okoliczności zatonięcia „Smithbacka”?

– Miałem wtedy wachtę. To ja przyjąłem wezwanie o pomoc – odparł Carlyle. – Twierdzili, że zderzyli się z górą lodową. Z początku myślałem, że to wygłupy jakiegoś radioamatora, ale teraz... mam teorię, co tam się stało.

Mercer nic nie mówił, tylko czekał.

– Na końcu ktoś krzyczał, że morze zaczyna płonąć. Myślę, że jakiś frachtowiec zgubił kontener z jakimś materiałem łatwopalnym. Oni się z nim zderzyli, rozbili go i spowodowali wybuch.

– To był nasz pierwszy pomysł. – Mercer nie chciał wspominać o Tisie i jej słowach. Prawdę mówiąc, gdyby trzeci oficer nie przedstawił teorii z kontenerem, on by ją zaproponował. W ten sposób jego misja zyskiwała uzasadnienie, które nie wzbudzało podejrzeń. – Niemniej marynarka potrzebuje potwierdzenia. Od jakiegoś czasu docierają do nas informacje o groźbach zamachów terrorystycznych przeciwko naszym jednostkom na Oceanie Spokojnym, więc jeśli okaże się, że to nie był wypadek...

– ... to muszą wiedzieć o tym jak najszybciej, żeby podjąć odpowiednie kroki – dokończył za niego Carlyle. – Dwadzieścia jeden lat służyłem w marynarce. Znam procedury i osobiście zadbam, żeby otrzymał pan właściwą pomoc.

– Dziękuję panu.

– Mów mi Jon.

– Jon. Philip Mercer. Mówią na mnie po prostu Mercer.

– A więc, Mercer, zaprowadzę cię do twojej kajuty i przygotujemy plan badań.

Mercer zostawił swój skromny dobytek w przygotowanej zawnazaszu kabinie i wziął szybki prysznic. Wyszedł z łazienki owinięty w ręcznik i już chciał go rzucić na łóżko, kiedy zobaczył w wejściu kobietę o kruczoczarnych włosach. Pamiętał, że kilka minut wcześniej zamknął za sobą drzwi. Dziewczyna była ubrana w sandały, ciasne szorty i wilgotną od potu koszulkę przylepioną do ciała. Bez wątpienia nie nosiła biustonosza. Emanowała z niej zdrowa, nieskrępowana seksualność, która musiała zniewalać większość mężczyzn.

Przez chwilę taksowała go wzrokiem.

– Niezły początek...

– Helikopter?

– To też – droczyła się zalotnym głosem, ale po chwili spoważniała. – Jestem Spirit Williams, należę do naukowców, którzy dzięki tobie tracą możliwość wykonywania swojej pracy. Poświęciłam dużo czasu i wysiłków, żeby znaleźć się na pokładzie tego statku, więc chciałam tylko podziękować, że to wszystko

spieprzył – wyjaśniła i odeszła korytarzem, jeszcze zanim Mercer pojął, co miała na myśli.

Nie pobiegł za nią. Nic by to nie dało, tylko zmarnowałby czas. Znał osoby z takim podejściem. Naukowiec, pewnie już blisko doktoratu, który poświęca wszystko dla swojej pracy. Niezależnie od tego, jak poważna była przyczyna, dla której została oderwana od swoich zajęć, nie miała zamiaru jej tolerować. Absolutne skoncentrowanie na celu doskonale sprawdzało się w świecie nauki, lecz czyniło jej przedstawicielei osobami, których reszta społeczeństwa mogła znieść. Spodziewał się niestety, że większość personelu naukowego na „Sea Surveyorze” będzie traktowała go w podobny sposób. Ale była szansa, że przy odrobinie szczęścia uda mu się wykonać swoje zadania bez konieczności ponownego spotkania czarnowłosej kobiety i reszty naukowców.

Dziesięć minut później Mercer wszedł do mesy i zorientował się, że nie miał tej odrobiny szczęścia, na którą liczył. W pomieszczeniu siedziała Spirit Williams, Jon Carlyle i młody blondyn w spodenkach nurka i kolorowej hawajskiej koszuli. Spirit przyciskała nogi do jego nóg i piła sok z jego szklanki. Choć nie nosiła biżuterii, złota obrączka na palcu chłopaka świadczyła o tym, że są małżeństwem.

– Witaj, Mercer. – Carlyle wstał. – Pozwól, że ci przedstawię jednego z operatorów łodzi podwodnej. To jest Charlie Williams.

Opalony surfer wstał.

– Mów mi C. W. A to moja żona, Spirit.

– Mieliśmy już przyjemność się poznać. – Mercer usiadł na wolnym krześle przy ich stoliku. Steward zapytał, czy życzy sobie czegoś do picia, więc poprosił o kawę.

– Spotkałam wcześniej pana Mercera i wyjaśniłam mu, że nie jestem zadowolona z jego obecności na pokładzie „Surveyora” – powiedziała kwaśno Spirit – Myślę, że rząd go wysłał, żeby zacierał ślady. Marynarka robiła jakieś nielegalne eksperymenty, tak jak na Long Beach kilka lat temu, kiedy zabijali wieloryby sonarem. I coś poszło nie tak. A pan Mercer dostał rozkaz, żeby ukryć prawdę.

– Mercer przyleciał, żeby dowiedzieć się, dlaczego dwa dni temu zginęło tu tyłu wspaniałych marynarzy – powiedział Jon spokojnym głosem. Znał Spirit i wiedział, jak z nią rozmawiać. Załogę statku niezbyt interesowało, dokąd płyną i gdzie rzucają kotwicę, lecz naukowców mocno ograniczały z trudem zdobyte fundusze, więc zazdrośnie strzegli swojego czasu na morzu. Nawet kilka dni wymuszonego postoj u oznaczało spore straty czasu i pieniędzy.

– Ich dusze są już po drugiej stronie – oznajmiła Spirit. – Nie powinniśmy zakłócać ich spokoju. Wysyłanie ludzi tam na dół, żeby grzebali w szczątkach, jest odrażające.

– Pan Mercer nie będzie płądował ich grobu. Ma za zadanie znaleźć odpowiedzi, które uchronią innych marynarzy przed podobną tragedią.

– Każdy, kto wstępuje do marynarki, zna ryzyko z tym związane. Umieranie to część ich obowiązków służbowych.

Carlyle poczerwieniał.

– Ich praca to obrona naszej ojczyzny.

– Ach, rozumiem... – w głosie Spirit pulsował sarkazm. – Umieranie za ojczyznę to premia za dobre wyniki.

Mercer spojrział C. W. w oczy. Operator łodzi podwodnej nie wtrącał się w rozmowę i nie wykazywał chęci, by poskromić żonę. Słyszał ją w akcji już nieraz i wiedział, że lepiej nie pchać się na linię strzału.

– Posłuchaj, moja droga – zagrzemiał flegmatyczny na co dzień oficer. Strata „Smithbacka” sprawiła, że jego szacunek dla marynarki stał się bezkrytyczny. Zanim zdążył jednak dokończyć, do mesy weszło czterech mężczyzn.

Carlyle spojrział na Spirit, otarł brwi chusteczką i zaczął przedstawiać gości. Wśród nowo przybyłych był drugi operator łodzi podwodnej i część zespołu wsparcia.

– Chyba musisz już iść, kochanie – powiedział C. W. do żony.

Jej nastawienie zmieniło się jak za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki. Uśmiechnęła się do wszystkich, pocałowała gorąco i przeciągle C. W. w usta i wstała.

– Jeśli będziesz dzisiaj schodził pod wodę, przyjdź po mnie do laboratorium. Chcę być w centrum sterowania. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Jeśli Jon spodziewał się, że C. W. przeprosi za zachowanie żony, to się przeliczył. Mijały kolejne sekundy.

Mercer uznał, że nikt nie przerwie ciszy, więc odchrząknął głośno.

– Przejdźmy do naszych spraw. Jon może już wam powiedzieć, ale powtórzę. Przysłano mnie tu po to, żebyśmy ustalili, co się

stało ze „Smithbackiem”. Z mojej rozmowy z Jonem wynika, że główną hipotezą, i moją, i waszą, jest zderzenie z kontenerem. Po uderzeniu kontener pękł i materiał ze środka dostał się do morza i zaczął płonąć. Marynarka chce zweryfikować tę teorię i obejrzeć wrak. Udało się wam ustalić jego pozycję?

Jim McKenzie, który był chyba najważniejszy spośród czterech mężczyzn, odezwał się pierwszy:

– Namierzyliśmy ją sonarem po około dziesięciu godzinach, odkąd przyплыwaliśmy. Okręt leży na dnie na trzystu metrach.

– To dość płytko, prawda? – Mercer się zdziwił. – W końcu jesteśmy pośrodku Oceanu Spokojnego.

– Tak, ale znajdujemy się nad podmorskim płaskowyżem, wyrastającym z głębi oceanicznej. Wystarczyłoby kilkanaście kilometrów na północ, a „Smithback” spocząłby trzy, cztery kilometry pod wodą. A tak głęboko nie zejdzie żadne uprzedzenie, które mamy na pokładzie. „Bob” może zanurzyć się maksymalnie na siedemset metrów, dwa ADS-y mogą pracować na maksymalnie trzystu trzydziestu metrach. Dla twojej informacji, „Bob” to nasza łódź podwodna.

– A co to są ADS-y?

– Atmosferyczne skafandry do nurkowania. W skrócie nazywamy je NewtSuit. Ale nie myśl, że to jakaś pianka neoprenowa nowej generacji. Nie, to raczej jednoosobowe łodzie podwodne w kształcie człowieka, z nogami i rękoma. W środku panuje ciśnienie takie jak na powierzchni, więc nie trzeba się martwić dekompresją. Dają swobodę ruchu, której brak łodziom

podwodnym. C. W. brał udział w ich projektowaniu i jest teraz jednym z najlepszych operatorów ADS-ów na świecie.

– Jim przesadza. – C. W. popatrzył na Mercera. – W college’u pracowałem w fabryce, w której nadzorowałem pracę prasy, na której robili zewnętrzne powłoki z aluminium, więc nie ja je projektowałem. – Uśmiechnął się szeroko. – Ale jestem najlepszy.

– Ile osób wejdzie do „Boba”?

– Trzy – odpowiedział McKenzie. – Pilot i dwójka pasażerów. Ale z „Bobem” mamy mały problem. W zeszłym tygodniu w czasie testów spaliliśmy zestaw zespół reflektorów. Na trzystu metrach jest już tak ciemno, że nic nie widać, a nasze ROV-y działają na bardzo wysokiej czułości, przy minimalnym oświetleniu, więc nie możemy ich wykorzystać jako zapasowej iluminacji.

– Ale mamy rozwiązanie awaryjne – przerwał mu C. W. – Zejdę z wami w ADS-ie i oświetlę co tam chcecie za pomocą przenośnej platformy z reflektorami.

– ADS-y są niezależne?

– Z „Surveyorem” łączy je lina, którą wyciąga się je z wody. Zbiorniki z powietrzem ma jednak własne. Nie przejmuj się – dodał C. W. – Już nieraz schodziliśmy parami pod wodę.

Mercer spojrział na McKenziego.

– Kiedy będziemy mogli zejść do wraku?

– Pogoda jest w porządku, a prognozy nic nie mówią o sztormach. Akumulatory są naładowane. Niedawno wymieniliśmy skrubery dwutlenku węgla. Podwiesimy płyty balastowe, napełnimy zbiorniki z tlenem i zrobimy kilka testów. Za, powiedzmy, pięć godzin będziemy gotowi.

– Chcesz zobaczyć wieżę? Mercer pierwszy raz słyszał o wieży.

– Jaką wieżę? – zapytał Carlyle’a.

– Niecałe półtora kilometra na zachód od nas znajduje się podwodna wieża. Znaleźliśmy ją sonarem, kiedy szukaliśmy wraku „Smithbacka”.

– Wieża? Czyli co?

– Nie mamy pewności – wyjaśnił McKenzie. – Wygląda jak podwodna platforma wiertnicza wydobywająca gaz albo ropę. Z obrazu sonarowego wynika, że wznosi się na jakieś dwieście siedemdziesiąt metrów, a u podstawy ma trzydzieści metrów. Zwęża się ku górze.

– I jest całkowicie zanurzona? McKenzie pokiwał głową.

– Dno jest tam nieco niżej niż tutaj. Dokładniej na jakichś czterystu trzydziestu metrach, a szczyt wieży jest około stu siedemdziesięciu metrów pod powierzchnią.

Mercer nigdy wcześniej nie spotkał się z taką budowlą, choć dość dobrze znał temat wierceń podmorskich, mimo że nie zajmował się nimi zawodowo. Dwustupięcdziesięciometrowa platforma nie była niczym nadzwyczajnym. Niektóre konstrukcje na Morzu Północnym osiągały trzysta trzydzieści metrów, lecz wszystkie, o jakich słyszał, wystawały nad wodę. A McKenzie i Carlyle opisywali instalację, która nie przypominała niczego, co widział wcześniej. Kiedy zastanawiał się, co to mogło być i skąd się tam wzięło, do głowy przyszła mu jeszcze dziwniejsza myśl – o ile wiedział, w promieniu kilku tysięcy kilometrów nie było żadnych rozpoznanych złóż ropy. Zagadki trzeba rozwiązywać

po kolei, zdecydował. Powoli dochodził do przekonania, że między tajemniczą budowlą a wypadkiem „Smithbacka” istniało powiązanie, jednak zanim zajmie się wieżą, chciał zobaczyć zaginiony okręt.

– Najpierw schodzimy do „Smithbacka”. Jakie parametry ma „Bob”?

– Może przebywać pod wodą trzynaście godzin, może trochę więcej, ale przy maksymalnej prędkości trzech węzłów nie jest szczególnie mobilny – wyjaśnił Alan Jervis, operator łodzi, który miał usiąść za sterami i zawieźć Mercera do wraku. Jervis był mniej więcej w tym samym wieku co on, miał ciemne włosy, wysokie czoło i okulary w złotych oprawkach. – Jeśli mamy zostać w zanurzeniu i podплыnąć do wieży, półtora kilometra zajmie nam dobrą godzinę, bo całą drogę będziemy się zmagać z przeciwnym prądem. Woda porusza się tam z prędkością dwóch węzłów.

– Musimy zmienić pozycję „Surveyora” – dodał Carlyle. – C. W. będzie przyczepiony do nas liną. Żeby mógł zejść z wami przy wieży, będziemy musieli go wyciągnąć, ustawić się dokładnie nad nią i opuścić go z powrotem.

– Czy to problem?

– Nie, żaden. Poza tym wy będziecie poruszać się tak wolno, że i tak dotrzemy tam pierwsi.

– A więc tak zróbmy – ogłosił Mercer. Nikt nie kwestionował jego autorytetu. – Najpierw zejdziemy do wraku, sprawdzimy go, a potem podплыniemy do tej waszej wieży.

Po spotkaniu Mercer spróbował się przespać, ale mocna kawa i głośny klimatyzator nie pozwoliły mu zmrużyć oka. Po godzinie wpatrywania się w sufit musiał przyznać, że bezsenność nie miała nic wspólnego z kofeiną czy hałasem. Sen spędzał mu z powiek obraz Tisy Nguyen, którą wciąż widział przed oczyma. Przypominał sobie jej ból i zamyślenie. Nie wierzył, by cierpiała z powodów osobistych – takie sprawy ludzie ukrywają przed obcymi.

Przypominała mu postać z obrazów religijnych, może Maryję z Dzieciątkiem... Matka Święta wpatrywała się w Dzieciątko oczyma, w których były radość i miłość, ale też smutek i świadomość, że będzie musiał umrzeć za grzechy ludzi. Czy Tisa wiedziała coś, co miało znaczenie dla całego świata? Może to świadomość nieuchronnej zagłady?

Chciał wiedzieć, co takiego zobaczyła, że uwierzyła w zbliżający się koniec. Jej troska nie była typowa dla osoby świadomej trapiących świat wojen, zbrodni i katastrof. Ona miała w sobie przekonanie, że zbliża się coś wielkiego, coś bardzo konkretnego... i tylko ona i jej organizacja wiedzieli, kiedy to się stanie.

Ale nie przyznała, że to oni zatopili okręt. Jedynie wskazała, że coś zdarzy się na Pacyfiku. I będzie to tak niecodzienne wydarzenie, że przyciągnie jego uwagę.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak wyprowadzony z równowagi. Miał wrażenie, jakby szedł przez pole minowe i wiedział, że dostał złą mapę. W ostatnich tygodniach był okłamywany, przeżył dwa zamachy i spotkał kobietę, o której nie mógł przestać myśleć.

Połączenie między tymi wydarzeniami na pewno istniało, lecz na razie nie potrafił go dostrzec ani tym bardziej zrozumieć.

Czy Tisa Nguyen wiedziała, że „Smithback” znajdzie się w pobliżu podwodnej wieży? Czy wiedziała, co im grozi i nie ostrzegła go zawczasu, pozwalając zginąć całej załodze, podobnie jak pozwoliła zabić niewinną kobietę w hotelu Luxor? A może zatonięcie okrętu było niezamierzonym skutkiem innego wydarzenia? Mogło przecież być i tak, że „Smithback” przez przypadek wpłynął na teren, gdzie jej grupa przeprowadzała jakiś eksperyment? Skoro interesowali się eksperymentem Marie, mogli też sami testować kamuflaż optoelektryczny.

Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że jakąś wskazówkę znajdzie trzysta metrów pod wodą.

Godzinę później, rozeźlony bezsennością, w końcu się poddał. Wstał, włożył kombinezon, który dostał od Alana Jervisa, zgodnie z radą pilota łodzi podwodnej skorzystał z toalety i ruszył w kierunku rufy „Surveyora”.

„Bob” czekał przytwierdzony do stalowego stelaża podwieszanego pod ramieniem żurawia. Łódź podwodna była pomalowana na jasnożółty kolor, a do zewnętrznej powłoki przymocowane zostały dodatkowe zbiorniki z tlenem, silniczki i para wytrzymałych manipulatorów zakończonych dziwnie wyglądającymi szczypcami. Cały dziób został wykonany z jednego kawałka zakrzywionego lexanu o grubości dwudziestu centymetrów. Przez wytrzymały akryl widać było kokpit. Z przodu umieszczono obok siebie dwa siedzenia, a miejsce Alana znajdowało się za nimi, nieco wyżej. Ściany wewnątrz pokrywał

gąszcz wskaźników, tablice z przełącznikami i kilka płaskich wyświetlaczy komputerowych. To niewielka łupina skrywała w sobie najnowsze osiągnięcia oceanograficznej technologii.

Nieopodal C. W. pracował przy jeszcze bardziej zaawansowanym sprzęcie: kombinezonie atmosferycznym ADS. Urządzenie zostało pomalowane na taki sam kolor jak łódź podwodna, a dwadzieścia ruchomych połączeń między segmentami pozwalających nurkowi swobodnie się poruszać nadawało mu wygląd gigantycznej gąsienicy. Z przodu hełm wyposażony był w dużą przezrystą płytkę zapewniającą operatorowi dobrą widoczność, a ramiona kończyły się trójpalczastymi chwytami.

– I jak ci się podoba? – zapytał C. W., nie kryjąc dumy.

– Niesamowite... ile waży?

– Ponad dwieście pięćdziesiąt kilogramów, ale został tak zbalansowany i tak działają w nim wszystkie mechanizmy, że wystarczy zejść poniżej dziesięciu metrów, by mieć wrażenie nieważkości. Prawie tak dobre, jak swobodne nurkowanie, pod warunkiem że nie masz klaustrofobii.

– Jak się nim steruje?

– Dziecinnie łatwo. – C. W. otworzył umieszczone z tyłu wejście do wnętrza ADS-a. – Właśnie miałem sprawdzić wszystkie systemy, więc możesz mi pomóc. Wskakuj.

Mercer miał uczucie, jakby wkładał stalowe spodnie. Chwył mocno metalową belkę, pod którą był podwieszony kombinezon, podciągnął się i opuścił do wnętrza: najpierw nogi, aż stopy znalazły wygodne podparcie, a potem ramiona i głowa. Kiedy oswoił się z pierwszym wrażeniem, pod stopami znalazł wy-

godne przełączniki kołyskowe, a w pobliżu dłoni manipulatory i trochę przycisków. Kombinezon pachniał elektroniką, środkami dezynfekcyjnymi i odrobinę potem użytkowników.

– Czujesz sterowniki pod stopami? – Mimo otwartego wejścia dokombinezonu głos C. W. był przytłumiony i odległy.

– Tak.

– Za ich pomocą sterujesz silniczkami. Jeśli naciśniesz piętą prawej stopy, zaczniesz płynąć do tyłu. Spróbuj.

Mercer nadepnął pedał sterowania i poczuł, że włączyła się para silniczków na ramionach.

– Teraz naciśnij palcami, a zaczniesz płynąć do przodu. Wykonał polecenie – wcisnął kołyskowy pedał, a wirniki w silniczkach zatrzymały się i od razu ruszyły w odwrotnym kierunku.

– Lewą stopą obracasz się dookoła własnej osi – tłumaczył dalej C. W. – Pięta obraca cię w prawo, palce w lewo.

Mercer przechylił pedał. Z silniczków umieszczonych w kilku miejscach rozległ się pisk wysokich obrotów. Potem wypróbował działanie ramion. Manipulatory, które wyczuwał pod palcami, były niemal identyczne z montowanymi w ciężkim sprzęcie stosowanym w górnictwie, na którym przepracował tysiące godzin. Po kilku minutach nie miał problemów z kierowaniem ADS-em.

– Do diabła, człowieku, jesteś do tego stworzony! – krzyknął z uznaniem C. W., kiedy Mercer wysunął się z kombinezonu i stanął na pokładzie.

– Sterowanie jest całkiem logiczne. – Mercer był pod dużym wrażeniem. – Serio, poniżej dziesięciu metrów nie czuć jego ciężaru?

– Jest zadziwiająco ergonomiczny. – C. W. poklepał aluminiowy pancerz. – Ramionami poruszasz tylko siłą mięśni. Możesz je zginać pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Astronauci z NASA, którzy próbowali swoich sił w naszych kombinezonach, twierdzili, że są lepsze niż te, w których latają w kosmos, a ciśnienie, w jakim my pracujemy, jest znacznie groźniejsze niż próżnia, w której pracują oni. Jeśli znajdziesz chwilę, dam ci wypróbować ADS-a pod wodą. Co ty na to?

– Z przyjemnością. – Mercer się uśmiechnął. – Ale obawiam się, że nie dam rady. Jak tylko dowiem się, co zatopiło „Smithbacka”, będę chciał jak najszybciej lecieć dalej.

Zazwyczaj swobodny i zadowolony z życia C. W. nagle posmutniał.

– O co tu naprawdę chodzi? – zapytał. – Pewnie nie możesz nicpowiedzieć, co? Spirit miała rację ze spiskiem rządu?

– Nie, nie mam tu niczego ukrywać ani niszczyć śladów, ale pewnie tak w żaden sposób nie przekonam twojej żony.

Mężczyzna zachichotał.

– W pięć minut nauczyłem się, że jeśli Spirit twierdzi, że niebo jest zielone, to lepiej z tym nie dyskutować.

– W takim razie wolno się uczysz. – Mercer uśmiechnął się kpiarsko, bo polubił wyluzowanego naukowca. – Ja to załapałem w pięć sekund.

– Jest nieprzeciętna, co? Spotkaliśmy się na imprezie na plaży. Przekonałem jedną dziewczynę, żeby poszła ze mną do domu, a nagle za mną staje ona. Powiedziała że jestem seksistowską świnią i w tamtej dziewczynie nie interesuje mnie nic poza silikonowymi cyckami. Odwróciłem się, żeby wysłać ją do diabła i człowieku, замуrowało mnie. Najlepsze, że ona chyba też to poczuła. Potem już nic nie pamiętam, poza jedną rzeczą. Poszliśmy do łóżka, a ona powiedziała coś w stylu: „lepsze niż silikon, co?” Mercer uśmiechnął się, choć w pewien sposób podziwiał Charliego i zazdrościł mu, że potrafił przekuć pożądanie w miłość. Sam niejednokrotnie czuł to ciepło i nagłe pragnienie bliskości, lecz z jakiegoś powodu nigdy nie doświadczył niczego więcej poza szybkim romanssem. Harry White powiedział kiedyś, że do ślubu trzeba zgrać dwie sprawy – właściwą osobę i właściwy czas. Znalezienie właściwej osoby samo w sobie nie wystarcza, bo trzeba ją znaleźć we właściwym czasie. Oczywiście przyjmowanie rad od osiemdziesięcioletniego kawalera nie było najlepszym pomysłem, lecz Mercer czuł, że w tych słowach jest wiele racji.

W jego życiu pojawiało się i znikało wiele kobiet. Nie uważał, żeby coś było z nimi nie tak, więc zakładał, że to po prostu niewłaściwy czas. Albo z nim coś było nie tak.

Rozmyślenia przerwał mu Alan, pilot łodzi podwodnej, który podszedł z Jimem McKenzie, obsługującym zanurzenie z powierzchni. Alan rzucił Mercerowi bluzę od dresu.

– Na trzystu metrach robi się naprawdę zimno, a akumulatory mają ograniczoną pojemność, więc nie marnujemy prądu na ogrzewanie.

Mercer włożył ciepłe ubranie, pozostała trójka zabrała się do przeglądu sprzętu, a zespół techników dokonywał ostatnich poprawek. Na lądowisku dla helikopterów dwa piętra nad pokładem stała Spirit. Jeśli Mercer się nie mylił, patrzyła na niego, a nie na męża. Nagle ich spojrzenia się spotkały. Dziewczyna spojrzała na niego nieprzyjemnie i zniknęła w nadbudówce. Jej złość była tym większa, im bardziej opóźniał ich badania. Nienawidziła go, jakby naprawdę miała powód.

– Dobra, wszystko gotowe – obwieścił McKenzie. – Wskażujcie dokonserwy, a my was zamkniemy.

Mercer wspiął się po drabinie opartej o pancierz „Boba” i ostrożnie wsunął się przez właz do środka. Uważał, żeby nie pobrudzić się smarem, którym ktoś szcudrze posmarował kołnierz, żeby jeszcze lepiej uszczelnić łódź. W środku stanął na siedzeniu pilota, a potem, gimnastykując się, dotarł do siedzenia dla pasażerów. Przed sobą miał baterię wskaźników i przełączników. Alan obiecywał wcześniej, że wszystkim się zajmie. Pilot ze swojego miejsca mógł kontrolować pracę wszystkich elementów łodzi z wyjątkiem ramion z manipulatorami. Kilka chwil później w środku znalazł się Alan. Od razu założył słuchawki i według następnej listy kontrolnej zaczął sprawdzać wszystko z McKenzie. Szef personelu powierzchniowego i zespół techników siedzieli już w kontenerze, w którym umieszczone zostało centrum sterowania. Ich rozmowa przypominała Mercerowi komunikaty wymieniane przez wieżę kontroli lotów i pilota – same niezrozumiałe cyfry i skrót.

– Okej – oznajmił Alan. – Wszystko w najlepszym porządku. Możemy startować. Najpierw pod wodę schodzimy my, a potem spuszcza nam C. W. w NewtSuit.

– Ile zajmie nam spłynięcie na dno?

– Nie więcej niż dwadzieścia minut. To w końcu tylko trzysta trzydzieści metrów. Jeśli cię to interesuje, ciśnienie tam na dole wynosi mniej więcej trzysta trzydzieści ton na metr kwadratowy.

– Ciężko by było uprawiać tam marchewkę.

Żuraw pokładowy jęknął, zazgrzytał i uniósł jedenastotonową łódź ze stelaża, a potem ostrożnie przeniósł ją w kierunku rufy. Morze było spokojne i miało głęboki błękitny odcień, jaki zobaczyć można jedynie daleko od brzegu. Na niebie nie było jednej chmury. „Bob” został powoli opuszczony do wody. Mercer odruchowo nabrał powietrza i wstrzymał oddech, kiedy pierwsze fale uderzyły w przezrystą akrylową płytę przed nim.

– Pierwszy raz?

– Aż tak widać?

– Nie, nie bardzo – odpowiedział Alan. – Większość pasażerów, którzy po raz pierwszy schodzą pod wodę, jest tak przerażona, że nie przestaje gadać. Ale każdy bez wyjątku nabiera powietrza, kiedy woda zalewa przednią szybę. – Uśmiechnął się i uruchomił mikrofon. – Jim, u nas wszystko w porządku. Możesz nas odłączać.

Mercer poczuł kolejne szarpnięcie, kiedy odpięto liny przytrzymujące łódź. Od tej chwili byli wolni.

– No to zaczynamy – powiedział pilot.

Tona żelaznych płyt podwieszonych pod kadłubem łodzi ścigała ich coraz głębiej. Mercer wychylił się, żeby spojrzeć w górę, kiedy fale zamknęły się nad zaokrągloną bańką wizjera. Powierzchnia oceanu odbijała światło, przypominając falującą rtęć. Im byli głębiej, tym mniej było widać. Przez pierwszych kilka minut do łodzi docierało dość światła z powierzchni, żeby widział otaczającą ich wodę. Resztki jedzenia wyrzucone wcześniej za burtę statku zwabiły ławice padlinożerców i drapieżników, dla których te pierwsze były pożywieniem. Kilka najodważniejszych podплыło do łodzi, żeby sprawdzić, czy ją też da się zjeść. Po kilku chwilach ryby zostały nad nimi.

Zauważył, że woda działała jak pryzmat, rozszczepiając przenikające promienie na wszystkie kolory tęczy. Pierwsze zaczęły blaknąć i ginąć żółcie i pomarańcze, potem czerwienie, aż w końcu można było dostrzec jedynie fioletową poświatę. W końcu zniknął nawet fiolet, ustępując miejsca ciemnemu granatowi i czerni.

– Myślisz, że jesteśmy sami? – zapytał Alan po dziesięciu minutach.

– A nie? – odpowiedział Mercer, przeczuwając, że doświadczony pilot chciał mu coś pokazać.

I rzeczywiście, Alan uruchomił oświetlenie na zewnątrz kadłuba. Ocean wypełnił się życiem. Woda nie była przejrzysta, wydawało się wręcz jakby przed wizjerem rozszalała się burza śnieżna. Miliony maleńkich istot powolutku opadały na dno, gdzie inne stworzenia miały włączyć je do łańcucha pokarmowego. Do łodzi podплыły zwabione światłem ryby. Byli na tyle

plytko, że Mercer rozpoznawał gatunki. Prawdziwe dziwolągi, wampiryczne głowonogi, drapieżne gardzielce i żabnicokształtne ryby żyły poniżej maksymalnej głębokości, na jaką mógł zejść „Bob”.

– Spędziłem pod wodą ponad sześć tysięcy godzin – pochwalił się Alan z nutką zachwyty w głosie. – I nigdy nie mam dość tego widoku. – Wyłączył światła. – Wybacz, ale musimy oszczędzać akumulatory. Nieschodzimy na długo, ale sam wiesz, procedury.

– Dzięki i za to. Niesamowite miejsce pracy.

– Jeszcze czterdzieści – Alan poinformował o głębokości Mercera i personel zgromadzony przy monitorach na pokładzie „Surveyora”.

– C. W. schodzi już pod wodę – odpowiedział Jim McKenzie przez laserowy system łączności.

– Przyjąłem, Jim. Będziemy na dnie za jakieś sześć minut.

– Przyjąłem.

Jervis uruchomił sonar. W kabinie rozległ się cichy, pulsujący sygnał, który przyspieszał, im bliżej byli dna. Mercer czuł się coraz bardziej spięty. Zbliżał się do odpowiedzi, tego był pewien. Problem w tym, że nadal nie znał pytania.

– Jeszcze piętnaście metrów – mruknął Alan, manipulując przełącznikami i manetkami.

– Mamy was na ekranie jakieś sześćdziesiąt metrów na wschód od wraku – przekazał McKenzie.

Kropla skondensowanej pary wodnej spadła Mercerowi na twarz. Wiedział, że to normalne i spodziewał się tego – w końcu

różnica temperatur wewnątrz łodzi i w wodzie wynosiła trzydzieści stopni Celsjusza – ale i tak serce zabiło mu mocniej. Na zewnątrz panowało potężne ciśnienie.

Alan uruchomił silniczki popychające „Boba” naprzód i zapalił światła. Nawet gdyby oba panele świetlne działały, i tak widoczność sięgałaby niecałych dziesięciu metrów. Woda miała kolor atramentu. Mercer wpatrywał się w ciemność przed sobą, żeby jako pierwszy zobaczyć wrak USS „Smithbacka”. Dno oceanu pokrywał piasek, na którym układały się drobne fale wskazujące kierunek przepływającego prądu. Poza tym było zupełnie puste i płaskie.

– Tam! – krzyknął Alan. Mercer jeszcze przez minutę nie mógł dojrzeć zarysu kadłuba, który doświadczony pilot jakimś cudem wyłowił ciemności.

Wrak „Smithbacka” wyglądał na dnie jak ruiny dawno opuszczonego fortu na pustyni. Okręt zatonął ledwie kilka dni wcześniej, a mimo to wyglądał na bardzo stary, zarośnięty, zapomniany i zniszczony.

– Chryste...

USS „Smithback” był frachtowcem marynarki wojennej, przeznaczonym do przewożenia ładunków w kontenerach na pokładzie. Kupiony od Maersk Line po wojnie w Zatoce Persejskiej, został przystosowany do błyskawicznego transportu wojsk pancernych, w tym sześćdziesięciu czołgów M1A1 Abrams. Przy ponad dwustu metrach długości potrzebował załogi liczącej nie więcej niż czterdziestu ośmiu marynarzy. Choć Mercer i Jervis nie mogli uruchomić pełnego oświetlenia, to, co widzieli, wy-

starczyło. Nie było nawet mowy, by zniszczenia „Smithbacka” nastąpiły na skutek kolizji z kontenerem. Mercer nie mógł pojąć, co widzi.

Kadłub i nadbudówka okrętu zostały spłaszczone siłą zderzenia z dnem morskim. Zjawisko znane i niewzbudzające podejrzeń. Opadający statek osiąga prędkość niemal czterdziestu kilometrów na godzinę, a kadłub i pozostałe elementy statków nie są projektowane, by wytrzymać taki rodzaj przeciążenia. Zniszczenia „Smithbacka” były jednak znacznie poważniejsze, niż Mercer albo Jervis mogli przypuszczać.

Okręt wyglądał tak, jakby jakaś gigantyczna pięść wbiła go w dno. Dziób ledwie wystawał nad piasek, a stępka wbiła się do środka i wyszła górą. Nie dało się jednoznacznie powiedzieć, w jakiej pozycji się znajduje. Z dokumentacji technicznej, którą Ira dostarczył przed wyjazdem, wiedział, że „Smithback” miał trzydzieści metrów wysokości od stępki do mostka. Sterta pogiętych płyt poszycia spoczywająca na dnie Oceanu Spokojnego nie miała nawet siedmiu. Okręt został dosłownie zmiażdżony.

Na zewnątrz zrobiło się nieco jaśniej, kiedy zbliżył się do nich C. W. w kombinezonie atmosferycznym z dodatkowymi szperaczami.

– Co tu się stało? – zapytał, kiedy zobaczył zniszczenia.

– Staramy się na to odpowiedzieć – odparł Mercer. – Dobra, zacznijmy oględziny. Ruszamy do dziobu i kierujemy się ku rufie.

– Przyjąłem.

NewtSuit uniósł się lekko i ruszył w stronę frontu okrętu. Alan manewrował „Bobem” tak, żeby światła łodzi podwodnej

pokrywały się ze światłami C. W. Po chwili pozostałości „Smithbacka” zalała żółtawa poświata. Nurek i pojazd podwodny poruszali się razem wzdłuż zgniecionej burty. Dolna część kadłuba złożyła się w harmonijkę, a stalowe wręgi rozerwały zewnętrzną powłokę i sterczały jak obrane z ciała żebra. Kiedy dotarli do nadbudówek, Mercer poprosił Alana, by podpłynął do wraku tak blisko, jak tylko może. Każde z sześciu pięter nadbudówki zostało wciśnięte w piętro poniżej. Szkło z mostka rozsypało się na wszystkie strony i niezarośnięte jeszcze glonami błyszcząco jak rozsypane diamenty. W pobliżu rufy z uszkodzonego zbiornika wydobywały się brązowe bąble paliwa. Pojedyncze bańki powietrza raz po raz wyslizgiwały się spomiędzy pogiętych blach i uciekały ku powierzchni.

– Co o tym sądzisz? – zapytał C. W., kiedy skończyli oglądać wrak.

– Gdybym miał zgadywać – do rozmowy włączył się Alan Jervis – powiedziałbym, że ładownie były wypełnione czymś ciężkim jak cholera, a powietrze uciekło z kadłuba zaraz po zanurzeniu pod wodę. Tylko w takiej sytuacji mogli opadać dość szybko, żeby zostało ze statku to, co zostało. A ty, Mercer? Jakieś teorie?

– Twoja brzmi niezłe, gdyby nie jeden problem. – Mercer potarł szczękę, zastanawiając się, jaki skutek mogą mieć jego słowa. – „Smithback” wracał z Korei. Pusty. Ładownie to kilkadziesiąt tysięcy metrów sześciennych. Nawet jeśli wrota załadunkowe były z jakiegoś powodu otwarte na oścież, taka

ilość powietrza uciekałaby przez dłuższy czas. Więc to nie to. Przyczyna była inna.

– Jaka? – zapytał C. W.

– Nie mam pojęcia, ale coś mi mówi, że odpowiedź znajdziemy przy wieży, którą odkryliście. Jim, słyszysz nas?

– Mamy was cały czas na nasłuchu – potwierdził McKenzie z pokładu „Surveyora”.

– Zaraz ruszymy w kierunku wieży. Wyciągnijcie C. W. i opuście go już na miejscu. Tam się spotkamy.

– Potwierdzam. Alan, kurs dwieście sześćdziesiąt pięć stopni. Na bieżąco będziemy go korygować, żeby zrównoważyć odchylenia spowodowane prądem.

– Przyjąłem, Jim. Dwieście sześćdziesiąt pięć. – Pilot uniósł łódź i odsunął się od wraku „Smithbacka”, a potem zgasił światła. Natychmiast zapadła nieprzenikniona ciemność.

Alan włączył przenośny magnetofon, żeby zagłuszyć monotonny szum silników. Kokpit wypełniła żywa jazzowa muzyka.

– Wiesz, oglądałem już ze dwadzieścia wraków – odezwał się Alanpo kilku chwilach milczenia. – I takie zniszczenia można czasem spotkać, jak statek jest już stary i długo leży na dnie. Korozja zżera stali kadłub zapada się pod własnym ciężarem. Znaleźliśmy kiedyś frachtowiec z I wojny światowej, który zatonął niedaleko francuskiego wybrzeża. Właśnie tak wyglądał. Pokłady złożyły się jak kanapka z brudui rdzy. Ale czegoś takiego nie widziałem jeszcze nigdy.

– Też nie mogę tego zrozumieć.

– Ale masz jakiś pomysł?

– Może... – mruknął i zamilkł. Bez choćby skrawka dowodu nie miał zamiaru zdradzać swojej niewiarygodnej teorii.

Jervis prowadził niedużą łódź podwodną za pomocą zaawansowanych czujników i przełączników, zupełnie się nie przejmując, że przez frontowy wizjer nie widać absolutnie nic. Mercer poczuł się znacznie spokojniej. Usiadł wygodnie i odprężył się. Był wdzięczny za ciepłą bluzę, bo temperatura w kabinie spadła do dziesięciu stopni. Złożył razem dłonie i ścisnął je między udami, lecz mimo to czuł przenikliwie zimno. Dreszcze powodował nie tylko chłód, ale też strach – obawa przed tym, co znajdą, kiedy dopłyną do podwodnej budowli.

Czterdzieści pięć minut później Jim McKenzie wywołał ich przez radio i zalecił zmianę kursu. Byli nieco ponad trzysta metrów od wieży i według wskazań sonaru sto metrów nad dnem. Skierował łódź w dół, by zbliżyć się do wieży przy jej nasadzie.

– Zaczniemy od fundamentów – powiedział, włączając zewnętrzne oświetlenie. – C. W. nie zejdzie na taką głębokość, więc na jakiś czas jesteśmy zdani tylko na siebie.

– Dobra.

Pierwszą z masywnych nóg zobaczyli z odległości pięciu metrów. Stalowa kolumna miała przynajmniej dwanaście metrów średnicy. Nie było widać żadnych systemów kotwiących, ale ciężar potężnej budowli wystarczył, by zagłębić podstawę w dno. Dwadzieścia metrów wyżej z pionowej kolumny wyrastały dwie masywne belki, odchodzące najpewniej do dwóch kolejnych nóg. Krzyżujące się ze sobą poprzeczne wzmocnienia służyły

usztynieniu całej konstrukcji. Zupełnie, jakby czterysta metrów pod wodą trafili na wieżę Eiffla.

Płynąc na spotkanie C. W. , okrążali stalową konstrukcję, trzymając się blisko, lecz w bezpiecznej odległości. Siedemdziesiąt metrów nad dnem, trzydzieści metrów poniżej głębokości, na którą mógł zejść W. C. , napotkali pierwsze śmigło. Było potężne i miało pięć łopat, jednak się nie ruszało. Żeby zwiększyć wydajność, każda z łopat była zakrzywiona jak szabla. W słabym i żółtawym świetle reflektorów nie dało się jednoznacznie stwierdzić, z czego wykonano piętnastometrowe śmigło, lecz wydawało się, że z elastycznego materiału. Mercer wiedział, że tak zakrzywionych łopat w śrubach napędowych używała marynarka wojenna, żeby zmniejszyć hałas wywołowany kawitacją.

– Przychodzi ci coś do głowy? – zapytał Jervis, nie oczekując odpowiedzi.

Pośród płataniny rur i stalowych belek, w linii osi śmigła, znajdowała się duża zamknięta kapsuła przynajmniej dwa razy większa niż ich łódź. Pamiętając o silniczkach umieszczonych na zewnętrznym pancerzu „Boba”, Alan ostrożnie wpłynął między belki, żeby lepiej przyjrzeć się budowli. Od śmigła do kapsuły biegła pozioma oś. Z dna zamkniętej szczelnie komory wychodziły okrągłe rury i opadały stromo w ciemność poniżej. W drodze na górę ani Mercer, ani Alan ich nie widzieli...

– To wygląda jak jakiś gigantyczny wiatrak – powiedział w końcu Mercer. – Popatrz, łopaty wirników są skierowane tak, jakby prąd morski miał nimi poruszać.

– Ale po co? Może one napędzają pompy? Może wypompują coś z dna? Ropę na przykład?

– Nie wiem... wycofaj się i podpłynijmy w górę. Chcę zobaczyć, co tam jest.

Wynurzając się, napotkali jeszcze cztery identyczne wirniki z zabudowanym kokonem. Na dwustu metrach czekał na nich C. W. w kombinezonie atmosferycznym.

– Ile ich jest poniżej? – zapytał.

– Cztery.

– Wyżej są tylko dwa.

– Widziałeś po drodze jakieś zbiorniki? – wypytywał Mercer.

– Nie, tylko wirniki i mechanizmy. Zresztą żaden się nie obraca, ale wszystkie są połączone rurami. Zauważyłem za to jedną ciekawą rzecz; wokół cieńszego przewodu woda jest trochę chłodniejsza. – Cieńszy przewód nie był jednak wcale cienki, bo jego średnica wynosiła co najmniej metr dwadzieścia.

– O ile chłodniejsza?

– Dwa, trzy stopnie Celsjusza, według czujników w skafandrze. Mercer poczuł, że zbliża się do pierwszego fragmentu układanki, który potwierdzi jego hipotezę.

– Możemy sprawdzić temperaturę u nasady tego żelastwa?
– zwrócił się do Jervisa.

– Bez problemu. Pamiętaj, że „Bob” został zaprojektowany do prac badawczych, więc co piętnaście sekund mam świeże odczyty temperatury, zasolenia i ciśnienia.

– C. W. , ty zostań tutaj – rozkazał Mercer. Z podniecenia miał ściśnięte gardło. Był niemal pewien, że wiedział, czym

w istocie była wieża. Przebywanie w jej pobliżu niosło ze sobą pewne ryzyko, ale uznał, że warto. – Będziemy cię potrzebowali, kiedy wrócimy. Chcę otworzyć komorę mechanizmu za wirnikiem, żeby sprawdzić, co jest w środku.

– Zacznę od razu, żeby nie marnować czasu – powiedział C. W.

– Nie, poczekaj na mnie.

– Nie ma sprawy – odpowiedział zgaszony ostrym tonem Mercera. Alan Jervis odpłynął trochę od wieży i ponownie ruszyli w dół.

– Masz jakąś teorię, prawda? – zapytał, kiedy zeszli poniżej trzystu metrów.

– W dużym uproszczeniu turbiny wykorzystuje się do trzech rzeczy – wyjaśnił Mercer. – Do pompowania czegoś do góry, wpompowywania czegoś w dół i do produkcji elektryczności. Tutaj nie ma żadnych przewodów, więc trzecia możliwość odpada. Nie znaleźliśmy też zbiornika na surowiec wypompowywany z dna oceanu, więc zostaje jedna odpowiedź: wpompowują coś w dno.

– Niby ma to sens, ale przecież powinniśmy znaleźć zbiorniki z tym, co wpompowują pod ziemię, prawda?

– A jeśli to woda morska? Wtedy zbiorniki są niepotrzebne. Albo układ zamknięty.

– A które rozwiązanie obstawiasz?

– W pewnym sensie oba.

– Wyjaśnisz mi, dlaczego? I jak to działa?

– Zastanawiałeś się kiedyś, w jaki sposób utrzymywane są boiskado hokeja?

Jervis zachichotał.

– Dorastałem w Arizonie. Hokej był dla nas dość egzotycznym sportem.

– W Phoenix macie przecież drużynę – zauważył Mercer.
– Zresztą nieważne. Robi się to tak, że przez rury pod taflą przepompowuje się słoną wodę. Dzięki temu, że jest słona, nie zamarza przy zerowej temperaturze, tylko przy minus dwóch, minus trzech, a schłodzone rury utrzymują taflę zamrożoną. Ot, cała zagadka.

– Poczekaj – przerwał mu Jervis. – Zauważyłem coś dziwnego. Temperatura wody spada szybciej, niż powinna. Dwa stopnie na pięćmetrów.

Kratownica między belkami nie pozwalała im podплыnąć bliżej do rur wychodzących z korpusów za wirnikami. Zamiast schodzić blisko wieży, łódź podwodna zataczała coraz większe kręgi. Dno oceanu wydawało się gładkie i nijakie. Muł miał lekko zielonkawą barwę i delikatną poświatę, a wirujące wokół wodorosty ograniczały widoczność do dwóch metrów. Chociaż poruszali się niemal na ślepo, Alan manewrował łodzią ze spokojem i wyczuciem eksperta, utrzymując łódź metr nad dnem.

– Co to? – zapytał po kilku chwilach milczenia. – Krater?

– Nie jestem pewien – odpowiedział Mercer, choć to nie była prawda.

Okrążenie krateru zajęło im kilka minut. Kiedy przepłynęli nad nim, sonar wskazał ponad trzydzieści metrów głębokości.

Mercer zaczął szybko liczyć w pamięci. Krater miał objętość piętnastu tysięcy metrów sześciennych. Poprosił, żeby zbliżyli się do brzegu wielkiej dziury.

– Czego szukamy?

– Zatrzymaj się na chwilę – polecił, chwytając sterowniki manipulatorów.

– Hej, nie wolno... ! – zaprotestował Jervis, ale było już za późno: ramiona odchyliły się od kadłuba i rozłożyły.

Mercer wyprostował je i sięgnął do przodu, sprawdzając, jak reagują na ruchy dźwojstika.

– Nie denerwuj się, jak coś zepsuję, pokryję koszty naprawy.

W kilka sekund wyczuł działanie siłowników i przegubów. Wysięgniki łodzi pracowały bardzo podobnie do ramion i chwytów kombinezonu C. W., więc lata doświadczenia ze sprzętem górniczym znów zaprocentowały. Mercer złożył jedno ramię i umieścił je z powrotem przy kadłubie, a drugim sięgnął do brzegu krateru.

– Co tam robisz? – zapytał McKenzie przez radio.

– Pobieram próbki z dna – odpowiedział Mercer.

Zagłębił chwytak w muł, strącając w dół niewielką lawinę piasku. Chociaż manipulatory nie były wyposażone w system wytwarzający sztuczny opór w dźwojstikach, Mercer wiedział, że trafił na coś twardego. Z grząskiego mułu zmieszanego z piaskiem uniósł się srebrzysty bąbelek. Cofnął ramię i w otworze dostrzegł dziwną białą masę.

– Co to? – zdziwił się Jervis.

– Lód.

– Co? Lód? Przecież to niemożliwe! Mercer odwrócił się i spojrzał na niego.

– A jednak. Wieża jest gigantyczną pompą ciepła.

– Jaki to by miało sens?

– Hej, chłopaki! – odezwał się C. W. z góry. Jego głos dobiegający z ciasnego wnętrza kombinezonu był nieco zmieniony.

– Coś się dzieje. Śmigła zaczynają się obracać. Rany...

– Szybko? – zapytał Alan.

– Prąd morski ma tutaj jeden, może dwa węzły, ale śmigło wiruje, jakby wiał pieprzony huragan.

Mercer myślał o sekundę za długo. Patrzył na budowlę z jednej perspektywy, całkowicie ignorując wnioski wypływające z innego spojrzenia. A kiedy uświadomił sobie swój błąd, przerażenie wcisnęło go w fotel.

– C. W., złap się czegoś i zabezpiecz. Przywiąż się do kratownic! – krzyknął tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jim, słyszycie mnie?

– Tak, jasno i wyraźnie. Mercer, co tam się dzieje? !

– Jesteśmy dokładnie nad potężnym złożem hydratów metanowych. To one zatopiły „Smithbacka”. Musicie stąd wiać.

– Człowieku, o czym ty mówisz?

– Hydraty metanowe. Ostatni nie do końca zbadany potężny kopalny nośnik energii na Ziemi. To gaz w postaci stałej, sprężony i zamrożony jakby w lód, który pod powierzchnią trzyma niska temperatura i ciśnienie. Złoża hydratów są zazwyczaj bardzo stabilne, ale wydaje mi się, że ta wieża została tu postawiona, żeby je rozpuszczać i uwalniać. Kiedy lód zamieni

się z powrotem w gaz, będzie miał ponad sto pięćdziesiąt razy większą objętość. Jeśli złożo pod nami jest duże, za chwilę ocean będzie wyglądał jak świeżo otwarta butelka szampana. Zmniejszy się gęstość wody i „Surveyor” straci pływalność. Pójdziecie na dno jak kamień.

– Metan zaczyna się uwalniać? – McKenzie zrozumiał, jakie grozi im niebezpieczeństwo.

– Jeszcze nie, ale to kwestia minut. – Mercer od razu pomyślał, że wieża jest wielką pompą ciepła. Nie miał dowodów, więc nie mówił – o tym głośno. Teraz okazało się, że miał rację. Problem w tym, że za jej pomocą wcale nie pompowano schłodzonej wody morskiej do wnętrza złoża, żeby je ustabilizować. Było wręcz odwrotnie – gigantyczne urządzenie zostało zaprojektowane tak, żeby ogrzać złożo, uwolnić gaz i spowodować wybuch.

„Smithback” musiał tu wpłynąć akurat w czasie erupcji i zderzył się z bryłą metanowego lodu na tyle dużą, że nie zdążyła się rozpuścić w drodze ku powierzchni. Jednak to nie zniszczenia kadłuba doprowadziły do katastrofy. Zawiniła zmniejszona gęstość wody. Statki unoszą się na wodzie, ponieważ ważą mniej niż objętość wody wypieranej przez ich kadłuby. W chwili, gdy nad złożem przepływał „Smithback”, kotłująca się mieszanka wody i gazu nie była dość gęsta, żeby zrównoważyć masę okrętu. Jednostka ważyła więcej niż wypierana woda i straciła wyporność. Kiedy gęstość wody i metanu osiągnęła krytyczną wartość, statek runął na dno jak kamień, nie dając nikomu szans na przeżycie. „Smithback” opadał na dno znacznie szybciej, niż powinien. Mógł osiągnąć nawet osiemdziesiąt lub dziewięćdzie-

siąt kilometrów na godzinę w chwili, kiedy uderzył w dno. Nic dziwnego, że w kadłubie nie zostało powietrze. Zderzenie było tak potężne, że rozerwało i spłaszczyło wrak.

A skąd wziął się ogień, o którym mówił członek załogi tuż przed przerwaniem łączności? Hydraty metanowe, nawet w formie lodu, są wyjątkowo palnym materiałem. Kiedy powietrze wokół statku wymieszało się z gazem, wystarczyła najdrobniejsza iskra, wyładowanie elektryczne, żeby wywołać potężną eksplozję. Mercer pokręcił głową, żeby pozbyć się przerażającej wizji ostatnich chwil okrętu i jego załogi, ogarniętej strachem, pełnej niedowierzania, że tak niewielka kolizja może kosztować ich życie. Wolał skupić się na grożącym im niebezpieczeństwie.

Dzięki linii łączącej ich z pokładem statku na powierzchni słyszał gorączkowe polecenia.

– Musimy jeszcze wciągnąć C. W. na pokład! – zaprotestował McKenzie.

– Nie macie na to dość czasu.

Nie przerywając, Mercer wskazał Alanowi, gdzie ma skierować łódź podwodną, jak najdalej od miejsca, gdzie spodziewał się głównej erupcji gazu. Na szklanym ekranie sonaru pokazującego ukształtowanie dna wieża wyglądała, jakby została wzniesiona na szczycie jednego z kilku podwodnych wzgórz. Jedno z nich mieli dokładnie pod sobą – krater powstał, kiedy wzniesienie zniknęło, zamienione w gaz.

– C. W. , melduj! – krzyknął McKenzie.

– Daję radę – odpowiedział młody Kalifornijczyk. – Chyba będzie dobrze. Mogę odciąć linę, do której jestem przypięty, jeśli Alan przyrzeknie, że po mnie przyplynie.

– Temperatura wzrosła o dwa stopnie! – ostrzegł Jervis. Złapał za mikrofon.

– C. W. , kiedy to złożo eksploduje, będziesz dokładnie nad nim. Jesteś pewien, że dasz radę się tam utrzymać?

– Tak, objąłem ramionami stalową belkę. Nigdzie się stąd nie ruszę.

Woda wokół łodzi podwodnej zaczęła drżeć, a widok zamieniała im chmura dennego mułu. Z początku wszystko działo się bezgłośnie, lecz dość szybko pojawił się basowy ton, który zamienił się w ryk.

– Temperatura idzie w górę.

– Zostań pod prąd i podnieś nas na dwieście metrów – rozkazał Mercer, mając nadzieję, że uwolniony gaz zostanie wypchnięty spod nich przez wodę.

– Przyjąłem.

Z gwałtownością, jakiej nikt się nie spodziewał, dno oceanu zniknęło w wirującej zamieci, która wyrosła niczym atomowy grzyb. Złożo hydratów, gigantyczny zbiornik zamrożonego metanu, w jednej chwili zamieniło się w gaz dzięki cieplej wodzie wpompowywanej przez wieżę w dno. Chmura ruszyła w kierunku powierzchni, wirując i kotłując się jak tornado.

Łódź podwodna znalazła się w zasięgu uwolnionego gazu, jednak nie w centrum, a na obrzeżu. Jervis zrzucił płyty balastowe, żeby przyspieszyć wznoszenie, i uruchomił silniczki.

Prędkość wynurzania gwałtownie spadła, kiedy bąbelki metanu otoczyły żółty kadłub.

– Cholera... – warknął Alan, zwiększając moc, mimo że w akumulatorach nie pozostało zbyt dużo prądu.

– C. W. , tnij linę! – krzyknął Mercer. – Jim, mamy pod sobą erupcję. Uciekajcie najdalej, jak możecie. Kierujcie się na zachód, pod prąd, bo inaczej zatonicie jak „Smithback”. Alan i ja spróbujemy ratować C. W. , jeśli będzie miał problemy.

– Kiedy przetnę linę, stracę łączność.

– Przyjąłem – powiedział Mercer. – Wynurzamy się, żeby dojść do twojej głębokości. – Przed akrylowym wizjerem na dziobie łodzi wirowały bąble.

– Prędkość wynurzania spada. Piętnaście metrów na minutę i jest coraz niższa – poinformował Alan.

– Możemy zrzucić jeszcze trochę balastu? – zapytał Mercer, wściekły, że na pokładzie łodzi był tylko pasażerem i musi słuchać pilota.

– Nie, jeśli chcemy zatrzymać się na dwustu metrach i ratować C. W.

– A mamy radę uciec z chmury metanu?

– Jeśli zmienię wychylenie silników, najprawdopodobniej zaczniemy opadać. Niestety, musimy przeczekać najgorsze. Cholera, przy pełnym ciągu mamy neutralną pływalność. Stoimy w miejscu.

Przerażający obraz przed dziobem „Boba” był niczym w porównaniu z tym, na co musiał patrzeć C. W. uwięziony w swoim kombinezonie w samym centrum erupcji. Łódź pod-

wodna znalazła się na peryferiach obłoku gazu, on w samym środku. Z dna uwolniona została tak olbrzymia ilość metanu, że co pewien czas dookoła niego nie było ani kropli wody.

Widział wtedy kropelki na wizjerze spływające jak deszcz po przedniej szybie samochodu. Potem, bez ostrzeżenia, ocean kontratakował, z niszczycielską i niewyobrażalną siłą. Kilkanaście razy takie uderzenie zrzucało go z belki, tracił podparcie i utrzymywał się przy wieży jedynie za pomocą zaciśniętych ramion.

Na powierzchni wcale nie było dużo lepiej. McKenzie posłuchał rozkazów Mercera i pognął na mostek, nie marnując czasu na nic innego. Sternik natychmiast dał całą naprzód i uruchomił śruby manewrowe, żeby jak najszybciej obrócić statek dziobem pod prąd. Ruszyli w chwili, kiedy na powierzchni ukazały się pierwsze ślady uwalniającego się gazu. Z początku tylko jakby zamulona woda delikatnie się mąciła. W innych okolicznościach pewnie nikt nie zwróciłby na to uwagi, przypisując zjawisko falom i wiatrowi.

Chwilę później coraz więcej metanu uwalniało się spod powierzchni. Gejzery wody strzelały na kilkanaście metrów w górę. Wskazująca miejsce zanurzenia boja, której nikt nie zdążył wciągnąć na pokład, zniknęła w głębinach, całkowicie pozbawiona wyporności. „Surveyor” zaczął się trząść. Bąble gazu zmniejszały gęstość wody. Statek osiadł głębiej; już niecałe dwa metry dzieliło relingi od powierzchni morza. A gazu wciąż przybywało. Kiedy już się wydawało, że nie ma dla nich ratunku, prąd oceaniczny przesuwał potężne masy wody pod po-

wierzchnią odepchnął chmurę metanu na wschód. Statek znalazł się na spokojnej wodzie i powrócił do normalnego zanurzenia.

Mercer ostrzegł ich w ostatnim momencie, ratując przed losem, jaki spotkał USS „Smithbacka”. Lecz dla niego samego i dla Alana los był nadal niepewny. Mała pękata łódź podwodna opadała coraz głębiej w otchłań.

Nowy Jork

Loft na najwyższym piętrze postindustrialnego budynku w nowojorskiej dzielnicy Soho zalewało słońce, wpadające przez wysokie okna o żeliwnych szprosach. Jasne promienie sprawiały, że podłoga z naturalnego drewna zdawała się płonąć. Na ścianach pozostawiono surową czerwoną cegłę, a ascetyczne umeblowanie zostało ograniczone do minimum – jedna rozkładana kanapa, niski stolik i kilka dużych poduszek rozrzuconych dookoła. Apartament składał się z jednego dużego pomieszczenia. Łazienkę z prysznicem od salonu oddzielały jedynie zwisające z sufitu długie pasy materiału. Kuchnia była niewiele większa niż kambuz na nowoczesnych żaglówkach.

Postać pośrodku pomieszczenia była mokra od potu. Temperatura została ustawiona na maksimum. Kobieta stała na cienkiej macie i wyginała plecy, aż w końcu dotknęła palcami podłogi za głową. Była całkowicie naga, a jej drobne piersi poruszały się, gdy rozciągała ciało. Wygięła się jeszcze mocniej, aż docisnęła nadgarstki do maty. Napięła mięśnie nogi i powoli uniosła ją wyprostowaną, przenosząc ciężar na rękę. Pozostała chwilę w tej pozycji, całkowicie nieruchomo, nie okazując zmęczenia. Po kilkunastu sekundach opuściła powoli nogę i wsunęła ją do tyłu pomiędzy dłonie, wyciągnęła drugą do przodu, aż w końcu usiadła w szpagacie. Pochyliła się do przodu i oparła głowę na udzie.

Potem złączyła nogi, znów wygięła się w łuk i podniosła na nogi z policzkiem przyciśniętym do kolan. Chociaż ćwiczyła już pełną godzinę, jej pot pachniał słodko i świeżo.

Opadła znów do szpagatu, potem złączyła nogi przed sobą i wsparta na knykciach uniosła pośladki. Przyciągnęła kolana do piersi i, siłą mięśni brzucha i grzbietu, uniosła ciało, aż stanęła na rękach. Potem gwałtownie opuściła nogi, opuszczając się na matę. Wylądowała płasko, dotykając piętami tyłu głowy. Jej ciało przypominało napięty łuk.

– Można by pomyśleć, że robisz to specjalnie dla mnie, Tiso. Natychmiast opadła na matę, poderwała się i sięgnęła po jedwabny szlafrok rzucony na sofę. Nie słyszała, jak wchodził, ale głos rozpoznała od razu. Mówił delikatnie i czule, a jej policzki zapłonęły wstydem. Nie patrząc w jego stronę, wstała i owinęła się szczelnie tkaniną. Zanim na niego spojrzała, wyjęła z pokrowca okulary i wsunęła je na nos. Mężczyzna w drzwiach był trzy lata starszy od niej, lecz wyglądali jak bliźniaki... może z wyjątkiem ust, bo jej były zmysłowe, jego zaś tylko nadęte, wyrażające rozdrażnienie; jej oczy były przyjazne, jego pełne niechęci; z niej emanowała skromność, on rozciągał wokół aury wyższości i arogancji. Kobieta wołała, żeby jej prześladowcą była zupełnie obca osoba, a nie przyrodni brat, Luc.

– Pamiętam, jak cię obserwowałem, kiedy byłaś dzieckiem. Teżdużo ćwiczyłaś. Potrafiłaś zmusić swoje drobne ciało do niesamowitych rzeczy.

Sposób, w jaki mówił, przyprawiał Tisę o dreszcz odrazy. W jego głosie brakowało dumy starszego brata, brzmiał w nim

za to wyrzut byłego kochanka. W jego oczach widziała, że nie chodzi mu wcale o wielogodzinne praktyki jogi i koncentracji. Przywoływał wspomnienie, do którego wracał z intrygującą częstotliwością. Spuściła wzrok; to było niezależne od niej. Luc miał na sobie czarne spodnie z cienkiego materiału i nie robił nic, żeby ukryć swoje podniecenie. Musiał obserwować ją przez dłuższy czas.

Kiedy znów uniosła wzrok i spojrzała mu w twarz, uśmiechał się drapieżnie. Ostrożnie zrobił krok w jej stronę.

– Też czasem o tym myślisz?

Tisa wzdrygnęła się z odrazą, ale się nic cofnęła.

– Luc, byliśmy wtedy dziećmi.

– I co z tego? Wiedziałem, co robię – powiedział czule.

– Miałem piętnaście lat. Od tamtego czasu każdą kobietę porównuję z tobą. Tamten jeden jedyny raz zepsuł dla mnie smak ich wszystkich.

Mieszkali z matką w Paryżu, kiedy to się stało. Ojciec Tisy nie protestował, kiedy rozpadło się jego drugie małżeństwo i kiedy była żona zabrała ze sobą ich córkę i jego syna z pierwszego małżeństwa. Skupiał się na swojej pracy z obsesją graniczącą z szaleństwem. Wcześniej bywało, że przez kilka miesięcy nie widywał się z rodziną, choć mieszkali w niewielkiej, odizolowanej od zewnętrznego świata wiosce w Himalajach. Matka Tisy przybyła do Rinpoche-La z Francji, gdzie jako młoda kobieta wstąpiła do Zakonu. W Tybecie spotkał ją ostracyzm za to, że porzuciła męża przez wielu uważanego za osobę świętą. Na szczęście miała dawnych przyjaciół w Europie, gotowych pomóc

jej powrócić do rodzinnego kraju. Zamieszkali w przestronnym apartamencie na południowym brzegu Sekwany, nad studium jogi. Jego właściciel znał ojca Tisy i ze względu na tę znajomość nie pobierał od nich czynszu.

Tisa od zawsze była świadoma, że jej ojciec jest kimś ważnym w ich niewielkiej wiosce i prastarym klasztorze, który górował nad całą doliną. Jednak zachowanie właściciela tamtego mieszkania dowodziło, że wpływy ojca nie kończą się w Tybecie. Wtedy też po raz pierwszy dostrzegła zasięg organizacji, do której miała należeć choćby z racji urodzenia.

Przypominając sobie tamten czas, Tisa pomyślała, że jej przyrodni brat lepiej rozumiał istotę Zakonu. Szybko przyzwyczyił się do życia we Francji i nauczył wykorzystywać nazwisko ojca, które w niektórych kręgach otwierało każde drzwi. Zaledwie rok wystarczył mu, by opanować język, i zaczął wykorzystywać młodsze adeptki jogi, dla których studio było miejscem spotkań towarzyskich. Chociaż musiał jeszcze wiele się nauczyć na temat Zakonu i jego celów, cząstkowa wiedza, którą dotychczas posiadał, wystarczała, by zrobić wrażenie na naiwnych.

Tisa skończyła zajęcia w szkole i wróciła do mieszkania. Jej matka pracowała wtedy jako tłumaczka. Miała wielkie zdolności językowe, które przekazała obojgu swoim dzieciom: już wtedy Tisa posługiwała się trzema językami, Luc pięcioma, a ona sama siedmioma. Dom był pusty, więc poszła do swojego pokoju. Na dworze panowała bezwietrzna letnia pogoda. Było tak upalnie, że rozebrała się i została tylko w majtkach i za dużej koszulce z kolorową podobizną jakiegoś ówczesnego idola nastolatków.

Kiedy leżała na łóżku i odrabiała lekcje, do pokoju wszedł Luc i znieuważa przykrył jej nogi mokrym ręcznikiem. Choć ją zaskoczył, nie wygonił go, bo chłód ręcznika był przyjemny. Od tygodnia panowały rekordowe upały. Nigdy nie doświadczili tak wysokich temperatur. Luc położył dłoń na jej udzie.

Z początku rozmawiali o tak, o wszystkim i o niczym, lecz dość szybko przeskoczyli na temat, który fascynował ich od chwili, kiedy matka wywiozła ich do Paryża: temat ojca. Godzinami mogli snuć domysły na temat jego pracy. Wyobrażali sobie, że był powstańcem, wojownikiem o wolność, który przedostał się z Wietnamu do Tybetu, żeby przeciwstawić się chińskiej okupacji. Plotki o jego magicznych mocach dodawały opowieściom dreszczyku. Żadne z nich nie wiedziało, skąd wzięły się takie historie, ale od kiedy pamiętali, ludzie szeptali między sobą, co potrafił.

Wtedy też o tym rozmawiali. Przywoływali zasłyszane anegdoty i powtarzali plotki, które maglowali setki razy wcześniej, oboje w głębi duszy zachwyceni, że nieświadomie stali się elementem legendy, jaka otaczała ich ojca. W końcu byli częścią jego przeznaczenia. Luc mówił o tym, jak bardzo różnią się od innych członków Zakonu, którzy gromadzą się w studiu jogi, i jak wszyscy zauważają tę różnicę. Goście często rozmawiali o tym, jacy są szczególnie. Zapytał, czy Tisa też to czuje. Od kiedy przyjechali do Francji, zauważała, że jest traktowana z szacunkiem i poważaniem, na który w żaden sposób nie mogła jeszcze zapracować. Musiał zatem otaczać ją nimb ojca. Ona i Luc zostali oddzieleni od reszty i umiejscowieni wysoko w hierarchii,

którą niewielu rozumiało. Jego dłoń przesuwiała się po skórze, docierając niemal do pośladków.

Tyle mieli wspólnych przeżyć, powiedział wtedy, przypominając jej pewną noc, kiedy zakradli się do ogromnego klasztoru, wykutego w ścianie wysokiego klifu, górującego nad prastarym tybetańskim miastem. Widzieli rzędy ksiąg zamkniętych woskowymi pieczęciami i podsłuchali rozmowę dwóch mnichów, którzy wymieniali uwagi na temat czegoś, co nazywali Pępkiem Świata. Opowiadał o ich wspólnych kąpielach w gorących źródłach przy wiosce, w której się wychowywali. Jak razem nadawali otaczającym dolinę szczytom zwierzęce imiona.

I o tym, jak pewnej nocy przyszła do niego do łóżka, bo bała się szalejącej na dworze burzy, której grzmoty wypełniały echem rodzinną dolinę. Leżeli wtedy obok siebie przez kilka godzin, a on wycierał jej łzy ręką swojej koszulki.

Powiedział, że zawsze był i będzie dla niej. Czy nie pomógł im w przeprowadzce do Paryża? Jego palce wbijały się w jej ciało. Tisa milczała od początku jego monologu. Czuła dłoń na swojej skórze, ale z tęsknoty za domem, w którym się urodziła, jego dotyk wiązała ze wspomnieniami. Wydawało się, że Luc wie, o czym myślała.

– Tak, też za tym tęsknię – szepnął jej do ucha. Nie cofnął jednak głowy, tylko przesunął usta wzdłuż pięknego łuku jej szyi.

Pozostałe wspomnienia w jednej chwili zniknęły. Przez całe lata z nimi walczyła, ale dzięki temu dziś naprawdę nie pamiętała, jak daleko posunęli się tamtego wieczoru. Tylko radykalne

wyparcie pozwalało jej uporać się ze wstydem, którym nie mogła z nikim się podzielić.

– Co ty tu robisz, Luc? – zapytała i odsunęła się o krok.

– To ja powinienem cię spytać – powiedział, poważniejąc.

– Mam prawo korzystać z tego mieszkania. Należy do Zakonu.

– Wiesz przecież, że nie mówię o mieszkaniu, tylko o tym, po co przyjechałaś do Stanów. Myślałem, że zostałaś w domu.

– Od miesięcy tam nie byłam – wyjaśniła Tisa i zniknęła za zasłoną, żeby włożyć luźne spodnie od dresu. Nie zdjęła szlafroka, bo pod ręką miała tylko sportowy biustonosz, którego nie chciała teraz mieć na sobie.

– Cały czas spędziłaś w Nowym Jorku? – zapytał. Słyszała, że Luc wszedł do kuchni.

– Nie, byłam przejazdem w Los Angeles. Spotkałam tam kilku naszych ludzi, żeby pogadać z nimi o trzęsieniu ziemi w San Bernardino.

– To trzęsienie ziemi było przecież cztery miesiące temu. Co takiego chciałaś z nimi omówić?

Tisa wyszła z łazienki. Jej ciało lepilo się od potu, a naciągnięte mięśnie bolały, bo nie zdążyła ich schłodzić po ćwiczeniach.

– Chciałam zweryfikować informacje o przemieszczeniu się uskoku. Nasze szacunki były błędne niemal o metr, a gdybyś jeszcze w ogóle zwracał uwagę na naszą prawdziwą misję, zauważyłbyś, że retrogresja Wyroczni wzrosła o kolejnych jedenaście minut na terenie całej Ameryki Północnej.

Luc zachowywał się, jakby nie słyszał jej słów.

– A potem przyjechałaś prosto tutaj? Nie zatrzymywałaś się podrodze? – Chodził po całym apartamencie jak zamknięte w klatce zwierzę. Poruszał się lekko i bez wysiłku, z gracją tancerza.

Tisa owinęła się szczerzej szlafrokiem. Musiał wiedzieć.

– Nie, przyjechałam prosto tutaj. Za kilka dni jadę do Grecji i mam trochę czasu. Wolałam zostać tu niż w Las Vegas.

– Pytam, bo sam byłem w Las Vegas z ludźmi od nas i ktoś przysięgał na wszystkie świętości, że cię tam widział. Siedziałaś podobno w bmw i rozmawiałaś z Philipem Mercerem.

– Ja? Niby jak? – zaprotestowała nieco zbyt szybko. – Przecież go nie znam.

Luc się roześmiał. Pozory uprzejmości zniknęły.

– Mimo wszystko myślę, że się z nim spotkałaś. Poleciałaś za mną do Las Vegas i pomogłaś mu uciec. I gdybym miał na to dowody, musiałbym cię zabić za ingerowanie w bieg wydarzeń.

– Ingerowanie w bieg wydarzeń? – warknęła Tisa, ignorując groźby. – Jakich wydarzeń? Zacznijmy od tego, że nie miałeś pozwolenia na wylot do Las Vegas.

– Nie potrzebuję niczych pozwoleń.

– Kiedy włożysz błękitną szatę lamy, będziesz mógł podejmować samodzielne decyzje. Ale na razie jesteś wykonawcą jego poleceń.

Luc usiadł na kanapie.

– Pieprzyć lamę. Już go nie potrzebuję. Nikt go już nie potrzebuje. Bierni obserwatorzy, tak nas sobie wyobraża. A

mamy potencjał, żeby zmieniać świat. Powinniśmy to robić. To jest nasze prawdziwe przeznaczenie.

– Jesteśmy obserwatorami. Jesteśmy obserwatorami od stu pięćdziesięciu lat. Nawet ty musisz wyobrażać sobie skutki zmiany naszego podejścia.

– A ty? Nie zmieniłaś swojej pasywnej roli obserwatora, kiedy w Las Vegas skontaktowałaś się z Mercerem?

– Co tam robiłaś? – Tisa zażądała odpowiedzi.

– Sprawdziałem przyczyny wstrząsów sejsmicznych – odpowiedział zadowolony z siebie. – Robiłem to samo, co ty.

Żeby udowodnić mu, że robił coś innego, musiałyby ujawnić swoją obecność w hotelu.

– Ty? Tam? To zadanie dla kogoś innego – powiedziała nieprzekonująco. – Mamy w Kalifornii obserwatorów, którzy mogli udać się w okolice epicentrum.

– Epicentrum znajdowało się pośrodku zamkniętej strefy wojskowej, moja kochana. Nawet by się tam nie zbliżyli. Sam musiałem się tym zająć.

– Nie przechwalaj się. I nie jestem twoją kochaną.

– Kiedyś byłaś.

– Skończ już – rzuciła ze złością. Włosy lepily się jej do skóry i było jej coraz goręcej. Nie czuła się dobrze. Wytarła parę z okularów. – Po co przyszedłeś?

Luc wstał. Kiedy zaczął mówić, miał ostry ton. Nie starał się ukrywać agresji.

– Żeby cię ostrzec. Przypomniałaś mi właśnie o zasadzie nieingerowania. I chyba myślę, że powinnaś sama się do niej

zastosować. Wiem, że byłaś w Luxorze. Musiałaś tam być. I lepiej nie próbuj ostrzegać Mercera o tym, co ma się wydarzyć. Nie chodzi o to, że mógłby cokolwiek zmienić, ale przez półtora wieku nie zdradzaliśmy nikomu, co wiemy. I nie masz prawa tego zmieniać.

– A ty masz prawo go zabijać? – wypaliła, a potem kojącym głosem, żeby uspokoić brata, dodała: – To nie nasza sprawa.

Jej słowa jeszcze bardziej go wzburzyły.

– Ale lada chwila będzie! – krzyczał, tracąc resztki samokontroli. – I tego właśnie ani ty, ani reszta nie możecie pojąć! Obserwowaliśmy, jak nasza planeta trzęsie się i pęka, i nic nie robiliśmy, choć mogliśmy. Mogliśmy zapobiec wielu wydarzeniom. Mamy w rękę życie i śmierć miliardów ludzi, lecz baliśmy się użyć naszej mocy. Ale z tym już koniec. Wkrótce ludzie przekonają się, że wiemy, i dadzą nam wszystko, co chcemy, bylebyśmy tylko ich chronili. Miliony zginą, bo muszą, alepotem ujawnimy prawdę i powiemy, jak reszta może przeżyć. Nie rozumiesz tego? Będziemy prorokami nowej religii. Będą traktować nas jak bóstwa.

– To powiedzmy im już teraz – zaproponowała błagalnym tonem. – Chcesz boskiej władzy i czci? Pomóż światu przetrwać nadchodzącej nieszczęście. Możemy dać im dowody, że mamy rację, zanim niepotrzebnie zginie wielu niewinnych ludzi. Tak czy inaczej będziesz miał władzę, której pożądasz!

Luc uniósł głowę i stężał. Tisa czuła, że się waha. Nie był złym człowiekiem, lecz męczyły go niepewność i rozdarcie między tym, co im zawsze wpajano, a tym, co w głębi duszy wiedzieli, że jest właściwe. Nie chciał, żeby ci ludzie zginęli, ale

potrzebował mocnego argumentu, żeby ci, którzy przeżyją, mu uwierzyli. Kierowała nim obawa, że bez spektakularnej demonstracji swoich możliwości zostanie wyśmiany. Z tego samego powodu ona chciała zabrać Mercera na Santorini – żeby zobaczyć na własne oczy to, o czym wiedziała już od lat.

– Uda się nam – namawiała go przymilnie. – Są inne sposoby... możemy dotrzeć do naukowców... Moglibyśmy pokazać im na dowód nasze kroniki. Uratowalibyśmy miliony istnień. – Przewyciężyła odrazę. – Luc, ty i ja. Razem. Tak jak zawsze chciałeś.

Spojrzał na nią. Posunęła się za daleko. Chciała wykorzystać jego chore uczucie do niej, żeby przekonać go do swojego pomysłu, ale argument obrócił się przeciwko niej.

– Ty dziwko! – Oczy mężczyzny płonęły.

– Nie, Luc. Jestem twoją młodszą siostrą. Tym razem nawet na nią nie spojrział.

– Mieliśmy szansę, Tisa, ale teraz jest już za późno. Przyjechałem, żeby ci powiedzieć, żebyś odpuściła. Nie kontaktuj się już nigdy z Mercerem. Nie zabiję cię, bo cię kocham. Naprawdę cię kocham.

– Gdybyś mnie naprawdę kochał, nigdy byś do tego wszystkiego nie dopuścił.

– Wiesz, że nie mogę tego przerwać. To jest moje przeznaczenie. I ja to wiem. Tylko ja rozumiem konieczność poświęcenia. Całe moje życie jest aktem poświęcenia.

– Kiedyś to było nasze życie. Nie widzisz tego? Tkwimy w tym razem, ty i ja. Zawsze tak było. – W desperacji uciekała się do każdego kłamstwa, które mogłoby powstrzymać Luca.

Mężczyzna ruszył w stronę drzwi.

– Dałem ci szansę, byśmy byli razem. Odrzuciłaś ją. Teraz daję ci już tylko ostrzeżenie. Nie ignoruj moich stów. Zniszczę cię, jeśli będę musiał, i zniszczę każdego, kogo poprosisz o pomoc – przerwał. – Kiedy będzie już po wszystkim, znajdę cię.

Tisa wytrzymała jego spojrzenie. Nie blefował.

– Jeśli to się naprawdę stanie, Luc, już moja w tym głowa, żebym nie przeżyła. W świecie, który chcesz stworzyć po katastrofie, nie widzę dla siebie miejsca.

– Zaczynasz rozumieć. Chodzi o akt tworzenia.

Zamknął za sobą drzwi. Tisa wyczerpana opadła na matę. Tworzenie. Tak powiedział... Zbliżała się największa i najtragiczniejsza katastrofa w dziejach ludzkości, a on w niej dostrzegł akt narodzin czegoś nowego. Od lat widziała, że jej brat nie jest zrównoważony, ale teraz dostrzegła w nim niebezpiecznego psychopatę. Kiedyś myślała, że nie jest złym człowiekiem – myliła się. Mogła tylko się modlić, żeby na czas go powstrzymać.

Zwinęła się w kłębek i ukryła twarz w dłoniach.

Przed budynkiem, pośrodku wąskiego i zatłoczonego chodnika, jak nieruchoma skała w nurcie rzeki stał Donny Randall. Skrzyżował ramiona na szerokiej piersi i samą posturą zmuszał przechodniów, żeby przeciskali się między nim a ścianą albo mijali go ulicą. Cieszył się ze złowrogich spojrzeń, jakimi go obrzucano, lecz był rozczarowany, że nikt nie zdecydował się

przesunąć go siłą. Luc wyszedł z bramy i minął siłacza, jakby go w ogóle nie zauważył. Donny popędził za nim.

– Co się stało? – zapytał, kiedy minęli pierwszą przecznicę.

– Tak, to była ona. Kiedy byłem jeszcze na górze, Tisa wzięła Mercera do wozu i pomogła mu uciec. Nie widziałem kierowcy tego bmw, ale Pran przysięgał, że ją rozpoznał. Po tej rozmowie nie mam już wątpliwości.

– To powinniśmy tam wrócić i zrobić z nią porządek... chyba że sam już się tym zająłeś?

– Stul ryj, idioto – warknął Luc. – Nikt nie ma prawa jej tknąć.

Donny się zjeżył. Luc Nguyen płacił mu więcej, niż zarobił, pracując całe życie w kopalniach, ale nie lubił tego mieszańca i nie miał zamiaru pozwalać mu na takie zachowanie.

– Uważaj, kogo nazywasz idiotą. Jeden telefon i zniszczę cały tentwój plan.

Luc nie zmienił tempa, ba, wydawało się, że nawet nie poruszył rękoma, lecz nagle Donny leżał jak długi na chodniku. Impet uderzenia częściowo przejęła walizka z podróbkami roleksów ulicznego handlarza. Zegarki poleciały na wszystkie strony, a młody Etiopczyk rzucił się do ucieczki.

Luc zatrzymał się i pomógł Randallowi wstać.

– Sorry, Don. To było niepotrzebne. Przepraszam.

Donny masował obolałe biodro. Zamiast bólu czuł wielki szacunek.

– Jak ty... jak...? Zresztą mniejsza z tym. Jakies kung-fu, co?

– Coś w tym guście, choć ta sztuka powstała setki lat przed innymi. Ojciec mnie jej nauczył, kiedy byłem dzieckiem.

Luc odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Ach, jeszcze jedno – odezwał się Donny, który po tym, jak został poniżony, chciał zaimponować swojemu pracodawcy intelektem i umiejętnością przewidywania. – Wiesz chyba, że twoja siostra może być dla nas problemem. Ale nie musimy jej przecież zabijać. Wystarczy, że będziemy jej pilnować.

– Nie przejmuj się nią. Wiem, dokąd się teraz wybiera. I chyba wiem też, z kim zamierza się tam spotkać.

Spodobała mu się myśl, że za jednym zamachem zabije Mercera i weźmie Tisę do domu, by tam bezpiecznie przeczekała zbliżający się czas chaosu.

To, co nastanie po nim, przyprawiało go o dreszcze. W nowym świecie Tisa szybko zrozumie konieczność ponoszenia ofiary i pojmie, dlaczego na nią pozwolił. Dostrzeże jego wielkość i geniusz, kiedy on będzie ratował resztę ludzkości przed planetą, którą nazywają matką Ziemią. Powoli przekona się, że jest boski. Zacznie go wielbić. I będą razem w taki sposób, o jakim marzył od dzieciństwa.

Ocean Spokojny, na północ od Guamu

Opadanie bąbli gazu było powolne i regularne. Erupcja hydratów metanowych trwała dziesięć minut. Mimo doświadczenia i nadludzkich wysiłków Alana Jervisa „Bob” opadał coraz głębiej i głębiej. Nawet poza główną drogą, którą bąble gazu uciekały na powierzchnię, gęstość wody ledwie wystarczała, by nie runęły na dno jak kamień.

– Musimy zrzucić balast – oznajmił ponuro pilot. Pod każdym dębem została im ostatnia płyta i jeśli się jej pozbędą, stracą rezerwy. Była to ich jedyna szansa, a w dodatku nie mieli pewności, czy się uda. Jeśli C. W. wpadnie w kłopoty, nie zdołają przybyć mu na ratunek.

– Jaka prędkość opadania?

– Prawie trzydzieści metrów na minutę i ciągle przyspieszamy.

– Odległość do dna?

– Dziewięćdziesiąt metrów.

– Jakie mamy szanse na przeżycie zderzenia?

– Nie mam pojęcia. To zależy od budowy dna. Jeśli trafimy na skały, to koniec. Jeśli muł, powinniśmy dać radę. Ale istnieje większe niebezpieczeństwo, że utkniemy.

– W takim razie ty decyduj – powiedział Mercer. – Znasz swoją łódź, wiesz na co ją stać. Pamiętaj tylko, że jeśli zrzucimy balast, dla C. W. nie będzie już ratunku.

Jervis milczał przez chwilę, wpatrując się we wskaźniki.

– Powoli zwalniamy. Dwadzieścia pięć metrów na minutę. Kurwa. No dobra, ryzykujemy.

– Zakładając, że nic nam się nie stanie, jak zderzymy się z dnem, co może nas uchronić przed utknięciem?

– Wersja optymistyczna?

Mercer uśmiechnął się mimo zdenerwowania.

– Jak zwykle.

– Standardowa procedura zakłada lądowanie na brzuchu, ale mam swoją teorię, że jeśli uderzymy w dno dziobem pod pewnym kątem, łódź powoli opadnie i w ten sposób uwolni się z mułu. Oczywiście jeśli będzie tam coś twardego, jakiś kamień, to rozwalimy wizjer.

– Nie przekonamy się, dopóki nie będzie za późno. Ja bym zaryzykował. Na wszelki wypadek rozłożę ramiona, żeby złagodzić skutki uderzenia.

– Dlaczego ja wcześniej na to nie wpadłem? Mercer, jesteś genialny. Na półce pod ramionami są worki wypornościowe do wnoszenia próbek na powierzchnię. Napełnia się je dwutlenkiem węgla pod ciśnieniem. Są za małe, żeby poprawić wyporność, a na dodatek na tej głębokości nie napełnią się nawet w połowie, ale jeśli przytrzymasz je z przodu, zadziałają jak poduszki powietrzne i ochronią akryl.

– Mów, co mam robić.

Jervis przeprowadził Mercera przez kolejne etapy. Geolog nie miał problemów z obsługą manipulatorów, a napięcie i nerwy nie pozwalały czuć zimna, jakie panowało w łodzi. Starł się też nie myśleć o ciśnieniu -już sama wizja ton wody, naciskających

ze wszystkich stron na kadłub łodzi, była przerażająca. Na poziomie morza ciśnienie wynosiło jeden bar, ale dziesięć metrów niżej było dwukrotnie większe, a na dwudziestu metrach... rosoło trzykrotnie. Mercer zacisnął zęby i przestał liczyć.

– Czterdzieści pięć barów – mruknął i sam się zdziwił, że mimowszystko policzył.

Uruchomił kamerę umieszczoną na zewnątrz, żeby zobaczyć półkę pod ramionami, a potem ustawił chwytaki nad pojemnikiem z workiem i cylindrem gazu. Balon wysunął się bez problemu. Żółty materiał był ciasno złożony w kostkę. Na spodzie miał uszka do przyczepiania koszyków z próbkami i znaleziskami z dna. Cylinder z dwutlenkiem węgla miał trzydziestocentymetrową pętlę, którą można bez trudu złapać manipulatorem.

– Głębokość? – zapytał.

– Nie przejmuj się głębokością – odpowiedział Alan. – Mamy dość czasu. Pracuj spokojnie i bez pośpiechu, a ja oprę nas na nosie.

Mówiąc to, uruchomił silniki wysokościowe, żeby unieść w górę rufę. Mercer musiał zaprzeć się kolanami o konsolę, bo inaczej zsunąłby się z siedzenia.

– Dobra, wyciągaj zawleczkę.

Gaz wciąż kotłował się w wodzie, więc pętla ze sznurka szalała jak chorągiewka w czasie burzy. Dwie pierwsze próby uchwycenia jej lewym chwytakiem zakończyły się niepowodzeniem. Dopiero za trzecim podejściem szczypecie zacisnęły się na linie. Delikatnie pociągnął. Wewnątrz kadłuba nie mogli usłyszeć syku gazu uwalnianego z cylindra, ale widzieli, jak balon

się napełnia. Po kilku chwilach było już wiadomo, że nie stanie się większy, bo ciśnienie wody sprężyło gaz, a balon miał ledwie pół metra średnicy zamiast dwóch. Ani Mercer, ani Alan nie mieli pojęcia, czy to wystarczy, by ochronić przejrzysty dziób łodzi – ale zaraz mieli się o tym przekonać.

– Dwanaście metrów. Prędkość opadania wciąż maleje.

Mercer tak ustawił ramię, by do połowy napełniony worek znalazł się dokładnie przed dziobem z przejrzystego akrylu. Zastaniał, co prawda, widok z przodu, ale to właściwie nikomu nie przeszkadzało.

– Siedem metrów. – Ryk uwalniającego się metanu słabł, bo podgrzane złożo było już niemal puste.

– Trzy metry.

Mercer nie chciał myśleć, co się stanie za chwilę. Albo łódź nic wytrzyma uderzenia i zginą w mgnieniu oka, albo przeżyją zderzenie z dnem. Przypomniawszy sobie ścianę wody, która ścięła go w kopalni. Jeśli przejrzysty akryl pęknie, zginie, zanim to zauważy.

– Metr.

W ostatniej sekundzie brzeg balonu napełnionego dwutlenkiem węgla podwinął się lekko. Przez fragment wizjera, który odsłonił, Mercer zobaczył wirujący muł i gładki piasek bez kamieni. Niemal w tej samej chwili doszło do kolizji. Wzbili potężną chmurę osadów, która skryła całą łódź. „Bob” zadrżał. Obok głowy Mercera przeleciała podkładka z papierami i termos i z trzaskiem wylądowały w wydętym na zewnątrz wizjerze.

Łódź zagłębiała się w dno i zmieniała położenie, ale niestety, nie zamierzała wcale opadać na rufę.

– No dalej, „Bob”! – szepnął Alan. – Kładź się na brzuchu! Zatrzymali się wbici nosem w dno, a siła, z jaką w nie uderzyli, była zbyt wielka, by łódź teraz pod własnym ciężarem mogła wyrwać się z pułapki i opaść płasko. Alan walczył z silniczkami, ale „Bob” nawet nie drgnął. Potem zwołał ostatnią stalową płytę, lecz ką, pod jakim się zatrzymali, nie pozwolił jej opaść. Zaryzykowali i przegrali. Niestety, zamiast szybkiej śmierci czekała ich powolna i bardzo bolesna agonia z niedotlenienia. Tervis zaczął dyszeć.

– Co teraz?

– Przede wszystkim się uspokój – powiedział Mercer. – Mam pewien pomysł.

– Wiem, co chcesz zrobić. Zapomnij. To niewykonalne. – Alan mówił zrezygnowanym głosem. – Ramiona są zbyt słabe, żeby wypchnąć łódź. Nawet nie drgną.

Mercer zignorował jego pesymistyczną uwagę i złapał za dźwostki, ale prognoza Jervisa sprawdziła się w stu procentach. Żaden z manipulatorów nawet nie drgnął. Oba znalazły się pod łodzią, przyciśnięte kadłubem do dna. Minimalny margines ruchu pozostał w ostatnim przegubie ramienia, trzymającego worek z dwutlenkiem węgla.

Ponieważ łódź niemal pionowo tkwiła w dnie, Mercer nie mógł oprzeć się w fotelu, żeby w spokoju przemyśleć możliwości. Za jego plecami, powyżej, siedział Alan i, gorączkowo operując silniczkami, usiłował uwolnić łódź. Uruchamiał raz

jedną stronę, raz drugą, ale wszystko na nic. Co gorsza, zużywał potężne ilości prądu, który był teraz niezwykle cenny. Po trzech minutach prób poddał się i wyłączył wszystkie obwody poza filtrami powietrza. Uderzył pięścią w konsolę, kopnął w inną, a potem zapał się kolanami o oparcie fotela i zamilkł. Mercer był mu za to niezmiernie wdzięczny.

W dennych osadach zanurzyła się niemal cała kapsuła z akrylu, z którego wykonany był przód łodzi. Przez wąską szparkę na samej górze widać było czern otaczających ich wód. Mercer dostrzegł też wypełnioną w połowie torbę do próbek. Mechaniczny chwytak na końcu ramienia wciąż mocno ją trzymał. Samotna lampa po prawej stronie dawała nieco światła na zewnątrz, ale kiedy Alan wyłączył wszystkie obwody, zapanowała nieprzenikniona czern. Kropla skondensowanej pary wodnej oderwała się od ściany i spadła Mercerowi na ucho. Mężczyzna zmarł.

Kilka minut później milczenie przerwał Alan.

– Masz rodzinę?

– Nie. – Mercer wiedział, jak zazwyczaj wyglądają takie rozmowy, i nie zamierzał brać w niej udziału.

– A ja tak. Dwójkę dzieci. Mieszkają z matką. Rzuciła mnie sześć lat temu. Powiedziała, że nie daje sobie rady z tym, że ciągle mnie nie ma, a rok po rozwodzie wyszła za prawnika, który prowadził naszą sprawę. – Zachichotał, choć wcale nie było mu do śmiechu. – Dużo później dowiedziałem się, że mieli romans na długo przed naszym rozwodem. Ale dzieciaki... to zupełnie inna historia. Dwie dziewczynki. Dwanaście i osiem lat. Karen

jest kapitanem drużyny piłki nożnej, a Ashley uczy się grać na skrzypcach. Potrafi już...

– Alan, przestań – przerwał mu Mercer. – Wiem, o co ci chodzi, i mówię ci, że to jeszcze nie czas. Nadal żyjemy.

– A co to za różnica? Teraz czy za kilka godzin? Zabraknie tlenu i będziemy tak samo martwi, jak teraz jesteśmy bez szans na ratunek. A jeśli nie chcesz słuchać o moich dzieciakach, to masz problem, stary, bo właśnie chciałem powiedzieć, że Ashley umie już grać *Twinkle Twinkle, Little Star*.

– Jeśli zamilkiesz i dasz mi przez chwilę pomyśleć, może nas z tego wyciągnę.

– Co?

– Mam pewien pomysł, który może wypali. Włącz na chwilę światła na zewnątrz.

– Dobra, daj mi sekundkę. – Jervis uruchomił główne obwody. Konsole ożyły i zamigotały światłkami. Chwilę później Mercer dostrzegł na zewnątrz delikatną poświatę reflektorów, z trudem przebijających się przez muł.

– Tak jak myślałem... balon jest dokładnie między nami a dnem. Nie jest pełny, ale jeśli wypuszczę gaz, łódź na chwilę straci podparcie.

– Co mam robić? – Alan znów był chłodnym profesjonalistą.

– Balon jest trochę po lewej stronie. Kiedy go przetnę, uruchom silniki z prawej strony. I nie oszczędzaj ich. Przy odrobinie szczęścia przechylimy się i uwolnimy.

– Powiedz tylko, kiedy.

Mercer złapał za dźwojstik i spróbował otworzyć chwytak. Kiedy zrobiło się miejsce, ciśnienie wepchnęło fałdę worka w wolną przestrzeń.

– Dobra, daj całą moc.

Silniczki zawyły, pracując na maksymalnych obrotach. Kadłub zaczął wibrować, ale się nie poruszył. Mercer zacisnął palce chwytaka. Kiedy aluminiowe brzegi wpiły się w gumowy balon, obrócił końcówkę ramienia o kilka stopni. Zęby przebiły w końcu gumę i z dziury, jak bąbelki z butelki szampana, zaczął uciekać dwutlenek węgla. Łódź podwodna drgnęła niezauważalnie, ale wystarczająco, żeby między gładką powierzchnię akrylu a muł dostała się woda. Powoli, bardzo powoli rufa opadała na dno.

– Jasna cholera... udało się...

– Zabezpiecz płytę balastową, bo inaczej nie będziemy mogli pomóc C. W. – ostrzegł go Mercer.

– Zrobione. – Alan uruchomił zamek utrzymujący kawał żelaza pod kadłubem i pozostałe silniki, żeby dźwignąć łódź z dna. Po kilku sekundach wzniesli się na dwa metry i zatrzymali, by spojrzeć na chmurę osadów powoli unoszoną przez prąd. Z kadłuba też odrywały się cząstki mułu i odpływały w dal.

– Jeszcze nigdy nie byłem tak blisko końca – Jervis odezwał się dopiero po kilku minutach. – Nigdy nie miałem niebezpiecznej sytuacji w czasie nurkowania i nie uczestniczyłem w żadnym wypadku. Chryste... jak udawało ci się zachować taki spokój...? Przecież pierwszy raz w życiu siedzisz w łodzi podwodnej! Ja tu jestem niemal codziennie, a mało nie posikałem się ze strachu. Mercer się uśmiechnął.

– Gdyby coś z tym ostatnim manewrem poszło nie tak, dołączyłbym do ciebie i razem byśmy panikowali. A teraz płyniemy po C. W., bo może potrzebować pomocy.

– Racja.

Erupcja podziemnego złoża była na wyczerpaniu. W stronę powierzchni unosiły się pojedyncze bąble metanu. Wyglądały jak srebrne meduzy, kiedy oświetlały je słabe reflektory łodzi podwodnej. Płynęli serpentyną, okrążając wieżę w bezpiecznej odległości od potężnych podpór. Mercer nie pytał, dlaczego Alan wykonuje taki manewr. Nie musiał – wiedział, że pilot szuka na dnie zgniecionych przez ciśnienie szczątków kombinezonu C. W. Na szczęście nic nie znaleźli. Trochę spokojniejsi zaczęli się wynurzać, trzymając się zachodniej strony budowli, bo tam zostawili nurka uczeplonego kratownicy.

I tam też go znaleźli. W czasie erupcji musiał stracić uchwyt. Spadł tylko kilka metrów, a zsuwając się, wcisnął ramię między dwie krzyżujące się belki. Sztywna konstrukcja kombinezonu zakleszczyła się na dobre. Wisiał teraz, kołysząc się poziomo jak flaga na wietrze.

C. W. musiał odciąć linę i kable łączące go z „Surveyorem”, więc nie mogli z nim rozmawiać. Wiedzieli jednak, że zauważył światła łodzi podwodnej, bo zaczął machać nogami.

– Co się z wami dzieje? – W głośnikach rozległo się pytanie z powierzchni. To był Jim McKenzie. W czasie desperackiej ucieczki przeduwolnionym metanem „Surveyor” znalazł się poza zasięgiem łodzi, lecz kiedy sytuacja uspokoiła się na tyle, żeby wrócić na pozycję, Jim natychmiast wywołał ich przez radio.

– Dobrze słyszeć twój głos, Jim – westchnął Alan.

– Było blisko... bardzo blisko. Nie sądziłem, że ta stara łajba potrafi poruszać się z taką prędkością. Jak daliście sobie radę?

– Poza kilkoma zadrapaniami na pancerzu nic nam nie jest. Jesteśmy przy wieży z C. W. Ma zakleszczone ramię – raportował Jervis, ustawiając łódź obok nurka.

– Oswobodzicie go?

– Pracujemy nad tym. Mercer, co o tym myślisz? Jeszcze jakieś genialne pomysły?

– Sorry, stary, ale na dzisiaj wyczerpałem już limit. Damy radę podnieść go za ramiona? Są dość silne?

– Nie sądzę. Zostały zbudowane do precyzyjnych zadań, a nie siłowych.

– W porządku. W takim razie niech Jim przyśle nam na dół linę wyciągową i sprzęt do spawania. To powinno wystarczyć.

– Mało miejsca. Będzie ciężko. Chcesz, żebym się tym zajął? Mercer wzruszył ramionami.

– Chętnie bym to na ciebie zwałił, ale nie poradzę sobie z utrzymaniem łodzi w jednym miejscu. A trzeba cały czas równoważyć siłę prądu.

Alan włączył mikrofon.

– Jim, mamy plan. Możesz spuścić nam tu linę dla C. W. i jakiś sprzęt do spawania?

– Chyba wiem, co chcesz zrobić. Daj nam dziesięć minut i będziemy gotowi.

Po ośmiu minutach mieli na dole linę i sprzęt. Alan wyjaśnił Mercerowi, jak go używać, i po godzinie stalowa lina została so-

lidnie przyspawana do pleców kombinezonu NewtSuit. Najtrudniej było teraz precyzyjnie pokierować operatorem wyciągarki, który z pokładu nic nie mógł zobaczyć. Jeden fałszywy ruch, jedna zbyt duża fala i szarpnięcie liną mogłoby wyrwać ramię kombinezonu, zabijając nurka w środku. Po kilku nerwowych minutach udało się uwolnić C. W. i mężczyzna zawisł na linie jak ryba na żyłce. Operator na pokładzie uruchomił wyciągarkę. Alan ustawił łódź dokładnie pod nim, na wypadek gdyby pękł spaw i nurek zaczął opadać.

Tuż pod powierzchnią odплыnęli nieco na bok, bo Jim McKenzie kazał spuścić na wodę pontony i pomóc wyciągnąć C. W. na powierzchnię. Pół godziny zajęło nurkom rozciągnięcie siatki pod NewtSuit i umieszczenie C. W. na pokładzie „Sea Surveyora”. Dopiero wtedy przyszła kolej na łódź podwodną.

Kiedy odskoczył odkręcony wąż i Mercer wychylił głowę, by po raz pierwszy od pięciu godzin odetchnąć świeżym powietrzem, uświadomił sobie, że wewnątrz panował już nieludzki zaduch. Oczy bolały go od ostrego słońca, lecz mimo to wystawił twarz w jego stronę, jakby oczekiwał długiego pocałunku.

Kiedy podszedł do stanowiska techników, C. W. wynurzał się właśnie z kombinezonu. Szczupły Kalifornijczyk podciągnął się i zeskoczył na pokład. Nikt nie skomentował wyraźnego zapachu moczu. Spirit Williams przepchnęła się przez tłum, roztrącając na boki załogę i techników, i przypadła do męża, niemal przewracając go na pokład. Śmiała się i jednocześnie płakała, a kiedy przywarła ustami do jego ust, zgromadzeni mężczyźni zaryczeli z aprobatą.

Nie puszczać żony, która stała wtulona w jego bok, C. W. uściskał dłoń Alana i Mercera.

– Cholera, było blisko... kiedy bąble gazu strąciły mnie z wieży, myślałem, że już po mnie. Ale na szczęście się zakleszczyłem. Metan dalej unosił się dookoła i byłem pewien, że znów mnie zrzuci. Kiedy to wszystko się skończyło, miałem nadzieję, że będziecie na mnie czekali. W sumie dobrze, że nie mieliśmy łączności, bo gdybyście usłyszeli, jak was nazwałem, na pewno byście po mnie nie przyплыnęli.

– Mieliśmy trochę kłopotów na dole. – Alan był wyczerpany.

– Wydawało mi się, że minęła przynajmniej godzina, zanim zobaczyłem wasze światła. Chryste, jeszcze nigdy w życiu nie poczułem takiej ulgi. Czemu tyle wam zabrało przyspawanie liny?

– Musieliśmy użyć palnika acetylenowo-tlenowego – odpowiedział Mercer. – Nie byłeś uziemiony, więc łuk elektryczny spaliłby cię wewnątrz kombinezону.

– Super, że na to wpadliście. Dzięki.

Mercer i Alan wymienili spojrzenia pełne poczucia winy.

– Podziękuj Jimowi. Nam to nawet nie przyszło do głowy. Jak się czujesz?

– Znacznie lepiej – mówiąc to, uściskał żonę. Spirit spojrzała na Mercera.

– Pewnie teraz czekasz, a że ci podziękuję za uratowanie mu życia. Chryste, co za suka, pomyślał Mercer.

– Nie, wręcz przeciwnie. – Uśmiechnął się.

– I dobrze. Bo uważam, że jesteś winien temu, co się stało. Gdybyś niezmusił go do nurkowania, w ogóle nie znalazłby się w niebezpieczeństwie.

Do rozmowy włączył się Jim McKenzie, uprzedzając chwilę, w której Mercer powiedziałyby Spirit, gdzie może wsadzić sobie swoją opinię.

– Świetna robota. Cała trójka, spisaliście się na medal. To było naprawdę coś.

Nie brzmiał jednak zbyt przekonująco. Mercer miał wrażenie, że był rozkojarzony i w pewnym sensie zmartwiony. Rozmawiali jeszcze kilka minut, aż w końcu Spirit zabrała mężu do kajuty, a Alan poszedł pod prysznic. Mercer i McKenzie zostali sami. Opierali się o reling i wpatrywali w horyzont. Słabe cienkie włosy Jima falowały na wietrze. Minutę stali w milczeniu.

– Powiesz mi, co ci chodzi po głowie, Jim?

– Nie wyglądasz mi na faceta, który wierzy w zbiegi okoliczności. – McKenzie zapalił papierosa, ale przedtem podsunął paczkę Mercerowi, który odmówił ruchem głowy.

– Na przykład takie, jak ta maszyna? Że zaczęła pracować akurat wtedy, kiedy byliśmy pod wodą? Nie.

– Dokładnie o to mi chodziło. Też w to nie wierzę. Kiedy czekaliśmy na wieści od was, jeszcze raz sprawdziłem wszystkie zapisy z radarów, sonaru, czujników akustycznych i każdego innego urządzenia, jakie pracuje na pokładzie i cały czas rejestruje różne dane.

– I? – Mercer poczuł, że serce zaczyna mu szybciej bić.

– I myślę, że wdepnęliśmy w wyjątkowo śmierdzące gówno. Mercer nie poprawił go, choć wiedział już, że w nic nie wdepnęli.

Zostali tutaj celowo zwabieni, a przynętą było zatopienie USS „Smithbacka”.

McKenzie mówi dalej.

– Minutę zanim C. W. poinformował o wirujących śmigłach na wieży, sonar pasywny przechwycił dość dziwny sygnał.

– Jaki sygnał?

– Seria tonów, niezrozumiała, ale też nieprzypadkowa. Transmisja trwała ledwie kilka sekund. Jeśli miałbym zgadywać, był to akustyczny kod aktywujący wieżę. Ktoś chciał nas zatopić.

Albo przeszkodzić w zejściu pod wodę, pomyślał Mercer.

– Możecie określić, skąd został nadany?

– Mieliśmy za mało czasu na triangulację. Ale to i tak nic by nie dało, bo dźwięk w wodzie rozchodzi się tak samo we wszystkich kierunkach. Nadajnik mógł być wszędzie. Nasz radar pokazuje obszar w promieniu trzydziestu pięciu kilometrów. Trzydzieści siedem kilometrów stąd może sobie pływać okręt, na którym słyszeli każde słowo, które wypowiedziałeś pod wodą. W takim wypadku bez wysiłku ustaliliby właściwy moment, żeby aktywować wieżę.

Mercer odruchowo przesunął wzrokiem po horyzoncie, szukając statku, z którego ktoś go podsłuchiwał. Oczywiście nic nie zobaczył, ale wyobraźnia robiła swoje. Tisa powiedziała, że ich organizacja była ogromna, że miała miliony członków, choć wielu z nich nawet nie wiedziało, że do niej należy. Wszystkim kierował sekretny Zakon, w łonie którego zrodziło się radykalne skrzy-

dło. Dotychczas nie mógł zdecydować, czy jej wierzyć. Mógłby uznać, że jej organizacja ogranicza się do garstki zamachowców z karabinami, którzy nie mieli oporów przed morderstwem. Ona zaś mogła opisywać niemal każdą z ekstremistycznych grup działających w Stanach, których jedyną ideologią była nienawiść. Teraz zyskał dowód, że to coś więcej. I nie chodziło o wieżę, której budowa musiała być tak droga, że podołałby jej tylko budżet dużej międzynarodowej korporacji. Tak naprawdę o ich sile i wielkości świadczył sygnał wysłany z innego statku, bo oznaczał, że mają dostęp do okrętów oceanicznych i rozbudowaną siatkę informatorów, którzy dawali sygnał, ilekroć zachodziła taka potrzeba.

Tisa uratowała go przed śmiercią i wysłała tutaj, żeby na własne oczy przekonał się, do czego była zdolna jej organizacja i jakich przeciwników stara się powstrzymać. Mercer starał się ułożyć i pojąć wszystkie fragment układanki, ale nie potrafił. Organizacja zbudowała wieżę na dnie oceanu, która musiała kosztować dziesiątki milionów dolarów – a to była tylko niewielka część przedsięwzięć, którymi się zajmowali. Ledwie demonstracja siły. Zaczynał się gubić. Jeśli to był tylko pokaz, to jak wielki i jak poważny może być ich główny cel?

– Wszystko w porządku? – zapytał Jim. – Zrobiłeś się błądy.

– Dzięki, nic mi nie jest – Mercer odpowiedział powoli, choć nie przekonał ani siebie, ani tym bardziej McKenziego.

– To coś dużego, prawda? Coś takiego, jak przypuszczają Spirit? Spisek rządowy?

Mercer musiał wziąć się w garść.

– To chyba jedna z nielicznych sytuacji, kiedy Wuj Sam jest niewinny. A my rzeczywiście trafiliśmy na coś bardzo poważnego.

– Co zamierzasz?

– Wkurzę się. – Jim spojrzał na niego, nie rozumiejąc, o czym mówi. – Nie musisz znać szczegółów, ale wiedz, że od kiedy to wszystko się zaczęło, zawsze byłem krok za nimi. Reagowałem, zamiast przejmować inicjatywę. Bawili się ze mną i prowadzili tam, gdzie chcieli, jak krowę na postronku. Podsuwali mi wskazówki, ale tylko po to, żeby narobić jeszcze większego zamieszania. Muszę się dowiedzieć, jak narzucić im swoje reguły gry.

McKenzie nic nie rozumiał. Ale to bez znaczenia. Mercer wiedział, jak się teraz czuje. Ira nie mówił mu prawdy, Tisa też nie, bo oboje chcieli wykorzystać go do swoich celów. Zmusił już admirała, żeby wyznał mu prawdę, a w Grecji to samo będzie musiał zrobić z panną Nguyen.

Honolulu, Hawaje

Na dworze padała delikatna mżawka, kiedy z samolotu wojskowego wysiadali Mercer i dwudziestu czterech marines, gotowych spędzić pierwszą od sześciu miesięcy noc na amerykańskiej ziemi. Komandosi należeli do kontyngentu antyterrorystycznego, stacjonującego na Filipinach. Mercer załapał się z nimi na lot na Hawaje, w czym wydatnie pomogło mu nazwisko przełożonego, admirała Iry Lasko.

Stojąc już na płycie lotniska, przepuścił żołnierzy i pożegnał się z tymi, z którymi rozmawiał w czasie lotu. Życzył im dobrej zabawy, bo wiedział, że na przepustce będą chcieli wydać wszystko, co mieli w portfelach. Do samolotu zbliżył się technik w błyszczącej od deszczu pelerynie i wysłużonych słuchawkach, chroniących uszy przed hukiem silników.

– Doktor Mercer?

– Witam.

– Proszę za mną. Admirał Lasko czeka na pana.

Mężczyzna zaprowadził Mercera do otwartego wózka elektrycznego. Wskazał mu miejsce na niewygodnej ławeczce z tyłu pojazdu, a sam wskoczył za kierownicę. Geolog usiadł, wziął na kolana torbę i ruszyli w kierunku zabudowań. Hangary i wieża kontrolna zostały zbudowane wzdłuż jednego brzegu lotniska, w dużych odstępach. Poza nimi nie widział w ciemności żadnej innej infrastruktury lotniskowej.

Rozglądając się, zauważył na płycie niewielki odrzutowiec marki Gulfstream, taki sam, jakim Ira sprowadził go do Strefy 51. Ze skrzydeł samolotu ściekał deszcz, lecz mimo to wejście było otwarte na oścież, a ze środka sączyło się miłe ciepłe światło. Pojazd zbliżył się do odrzutowca i zatrzymał. Pośród hałasu pracujących silników Mercer usłyszał pracownika lotniska, który informował go, że ma wsiąść do środka. Zeskoczył więc na ziemię, kiwnął na pożegnanie kierowcy i wskoczył na schody. W luksusowo wykończonej kabinie gulfstreama czekał na niego Ira.

Mercer sądził, że z admirałem spotka się dopiero po przylocie do Waszyngtonu. Był bardzo wdzięczny za przysłanie wygodnego odrzutowca, bo jedenaście godzin na słabo wyciszonym pokładzie transportowca z grupką wrzeszczących marines mocno dało mu się we znaki. Mimo to zamiast rozmawiać, wolałby spędzić lot, śpiąc. Trzy dodatkowe dni spędził na pokładzie „Sea Surveyora”, gdy Jim McKenzie i jego zespół starali się naprawić uszkodzoną łódź podwodną. Mercer wykorzystał ten czas na naukę nurkowania w kombinezonie atmosferycznym, lecz w końcu C. W. i on sam stwierdzili, że to nie jest najlepszy czas ani sposób, żeby badać tajemniczą budowlę. Po oględzinach łodzi okazało się, że potrzeba minimum tygodnia, zanim ponownie zejdzie pod wodę.

– Tydzień na morzu i zero opalenizny? – Admirał uśmiechnął sięna powitanie.

Mercer był blady i bardzo zmęczony.

– Wyobraź sobie, że na tym cholernym statku nie było grama alkoholu. Straciłem pijackie rumieńce, dlatego jestem blady.

– Pomyślałem o tym i zadbałem, żebyś nie cierpiał w czasie lotu. Nalewam pierwszą kolejkę. – Uścisnęli sobie dłonie i przestali żartować. – Co tam się wydarzyło? Chcę znać szczegóły. – Ira był bardzo poważny.

Mercer wcisnął bagaż do schowka pod sufitem i opadł na wygodny, przestronny fotel. Ira wcześniej przygotował na stoliku wódkę i limonkę. Mercer nalał sobie i przyjacielowi, uniósł szklanekę, spróbował drinka i zadowolony wychylił do dna.

– Jak analizuję, co się zdarzyło, to dochodzę do coraz bardziej ponurych wniosków. Cały czas nie wiemy, kto jest po drugiej stronie, z kim walczymy. W Vegas zaatakowała mnie banda uzbrojonych najemników, a potem uratowała mnie kobieta z fantastyczną i niewiarygodną opowieścią. Po tym, co zobaczyłem, jestem raczej skłonny uznać ich za potężną i zdyscyplinowaną armię z naprawdę solidnym zapleczem finansowym. Na pokładzie „Surveyora” płynął architekt zajmujący się budownictwem morskim. Przejrzeliśmy razem wideo, które udało nam się nakręcić pod wodą. Uznał, że koszt tej konstrukcji musiał wynieść minimum sto milionów dolarów.

– Masz jakieś pomysły, po co ją w ogóle zbudowali?

Z głośników pod sufitem popłynął głos kapitana, który prosił o zapięcie pasów i poinformował o pozwoleniu na start. Szum silników przeszedł w wysoki pisk i odrzutowiec rozpoczął kołowanie. Mercer poczekał, aż wzbiją się w powietrze i dopiero wtedy odpowiedział na pytanie Iry.

– Umieścili ją na nieznanym nam złożu hydratów metanowych.

– Kiedy dzwoniłeś do mnie z pokładu, byłeś bardzo ostrożny, jakbyś bał się mówić – przerwał mu Ira. – O co wtedy chodziło?

– Przede wszystkim o to, że miałem podejrzenia, że ktoś bezustannie podsłuchuje całą komunikację z „Sea Surveyorem”. Myślę, że stąd wiedzieli, kiedy uruchomić wieżę.

– Mogę sprawdzić w danych zebranych przez marynarkę. Całkiem prawdopodobne, że po wypadku będą mieli tamten akwen pod ścisłą obserwacją. Jeśli w pobliżu był jakiś okręt, na pewno mają jego zdjęcia.

– Doskonale. Wracając do tematu, hydraty metanowe są przyszłością paliw kopalnych. To jedno z najbogatszych źródeł energii na naszej planecie. To lód, w którym został uwięziony metan. Nie jestem ekspertem, ale czytałem, że w odnalezionych złożach jest dość metanu, żeby zaspokajać nasze potrzeby energetyczne przez kilka stuleci. Złoża hydratów są znacznie większe niż złoża węgla, ropy naftowej i gazu ziemnego razem wzięte. A najlepsze, że ich lwią część została zlokalizowana niedaleko naszych linii brzegowych. Wszystkie firmy naftowe i wydobywcze wykładają niebotyczne sumy na badania nad technologią wydobycia i wykorzystania hydratów, choć szacuje się, że trzeba będzie na to poczekać jeszcze kilka lat. Główny problem z hydratami jest taki, że złoża mogą być niestabilne. Osunięcie się dna, trzęsienie ziemi... i miliony ton metanowego lodu w jednej chwili zmienia stan ze stałego na lotny. Przez to ich wydobycie jest wyjątkowo skomplikowane i niebezpieczne. Platforma wiertnicza mogłaby naruszyć równowagę złoża. Erupcja nie dość, że zniszczyłaby taką platformę, to uwolniłaby

do atmosfery ogromne ilości gazów cieplarnianych. Ekolodzy walczą ze wszystkimi siłami, żeby przeszkodzić w ich wydobyciu.

– Nie dziwię się – mruknął Ira.

– Tym bardziej że zagrożenie jest bardzo realne. Jakies osiem tysięcy lat temu podwodna lawina uwolniła potężne złoża hydratów w pobliżu dzisiejszej Norwegii. Trzysta pięćdziesiąt miliardów ton hydratów zostało uwolnionych i gaz przedostał się do atmosfery, podnosząc temperaturę na Ziemi o kilka stopni Celsjusza. W ten sposób hydraty przyczyniły się do zakończenia ostatniego zlodowacenia. Nie mam pojęcia, w jaki sposób udało im się znaleźć złoża tak daleko w oceanie. O ile wiem, nikt ich tam jeszcze nie szukał. A wieża? Nie mam pojęcia. Postawili ją, żeby kontrolować stabilność złoża poprzez wpompowywanie schłodzonej wody morskiej w dno, albo po to, żeby destabilizować złoża i wywołać katastrofalną erupcję.

– Tylko po co to wszystko? Czemu miałyby to służyć?

– Naprawdę nie mam pojęcia. Jeśli chcieli zatopić jakiś statek, taniej i wygodniej jest podłożyć ładunki wybuchowe, więc pewnie nie o to im chodziło. Ale zaryzykowałbym twierdzenie, że chcieli w ten sposób utrzymać stabilność hydratów. Załoga „Sea Surveyora” prowadziła badania prądów morskich, kiedy odebrali wezwanie mayday ze „Smithbacka”. Pogadałem z kilkoma naukowcami z pokładu. Badali wyjątkowo ciepły prąd morski, który płynie gdzieś przy dnie z okolic Morza Filipińskiego w kierunku Aleutów. Jeszcze dziesięć lat temu go tam nie było, a wiadomo to z danych zebranych przez wcześniejsze wyprawy badawcze. Ci naukowcy uważali, że do powstania nowego prądu

przyczyniło się globalne ocieplenie. Grupa, do której należy Tisa Nguyen, odkryła go w jakiś sposób przed kilkoma laty, a że miała informacje o złożach hydratów, skojarzyli jedno z drugim i doszli do wniosku, że jeśli nie zapobiegną erupcji podgrzanego złoża, dojdzie do katastrofy o niewyobrażalnych rozmiarach.

– Mogłoby być tak źle, jak w Norwegii?

– Jeszcze nie wiem. Kiedy odlatywałem z pokładu, uruchamiali magnetometr, żeby ustalić przebieg rur pod dnem. Na razie udało im się określić, że obejmują obszar ośmiu tysięcy metrów kwadratowych. Urządzenia na pokładzie „Sea Surveyora” nie mają dostatecznej mocy, żeby zbadać głębokość, na jaką sięga złożo, jednak już na pierwszy rzut oka widać, że jest potężne i jego mała część starczyła, żeby zatopić „Smithbacka” i zaatakować „Surveyora”. Jim McKenzie, szef zespołu łodzi podwodnej, chce zostać na tym akwenie, dopóki nie uruchomi swojego pojazdu. Mam nadzieję, że o nich zadbasz. Zrobili dla nas znacznie więcej, niż poprosiliśmy.

– Marynarka nie dostarczy swoich łodzi podwodnych jeszcze przez minimum trzy tygodnie, więc możesz być pewien, że dostaną od nas wszystko, czego zażądatają. Nie martw się – przerwał. – Powiedziałeś, że miałeś podejrzenia, że ktoś przechwytuje komunikację z „Surveyora”. Doszedłeś do takiego wniosku, bo złożo zaczęło się rozpuszczać akurat wtedy, kiedy byłeś pod wodą?

Mercer powiedział mi o dziwnym sygnale akustycznym, który odkrył Jim McKenzie.

– Myślę, że ich organizacja już od lat utrzymuje złożo w takim stanie i byłoby tak dalej, gdyby nie doszło do pewnego rozłamu

w sercu organizacji. Tisa nie chciała mi nic więcej powiedzieć, ale idę o zakład, że buntownicy przejęli kontrolę nad wieżą i wpadli na pomysł, żeby uruchomić ją w odwrotną stronę. Nie pytaj mnie, po co. Nie wiem. Ale od zamachu w Vegas jestem przekonany, że nasze cele są zupełnie różne.

– Wracając do Vegas. – Ira sięgnął do aktówki i położył ją na siedzeniu obok. Na okładce teczki znajdowała się duża pieczętka „Ścisłe tajne”. – Nie rozumiem wiele z naukowego żargonu. I mam wrażenie, że Briana Marie nie ma pojęcia, co to znaczy używać prostych słów. Po wielu próbach wyjaśniła mi jądro sprawy.

– Co to? – zapytał Mercer, otwierając teczkę i kartkując plik z wykresami i tekstem.

– Dowód, że Tisa Nguyen cię okłamała.

Całkowicie go zaskoczył. Przez ostatnich kilka dni Mercer uwierzył, że kobieta była jego jedynym godnym zaufania źródłem informacji.

– Słucham?

– Okłamała cię, kiedy mówiła, jak jej organizacja wpadła na trop tajnych testów w Strefie 51.

Okłamała go? Mercer wypił do dna drugą porcję wódki z sokiem z limonki i ponownie napełnił szklanekę. Czyżby dał się nabrać na najstarszy trik wywiadu? Uwierzył kobiecie, bo była piękna i egzotyczna?

W jego oczach pojawił się gniew. Jak mógł być taki głupi? To prawda, że ledwie przeżył zamach na swoje życie i miał

prawo być rozkojarzony, ale rzeczywiście, nie zrobił nic, żeby zweryfikować jej słowa... dzięki Bogu, Ira pomyślał za nich obu.

Złość na Tisę tylko zintensyfikowała gniew, który odczuwał wobec siebie. Bardziej niż kiedykolwiek chciał teraz pojechać do Grecji i tam się z nią spotkać. Upił duży łyk wódki.

– Dobra, mów, co masz.

Ira dostrzegł w jego oczach poczucie winy, ale nie był tym zaskoczony, bo znał Mercera.

– Zgodnie z tym, co mówiłeś, wiedzieli o teście, bo zaniepokoiły ich odczyty sejsmografów z okolic Strefy 51, prawda?

– Tak przedstawiła to Tisa. Dziwaczny pojedynczy wstrząs sejsmiczny.

– Marie wyciągnęła raporty instytucji badawczych z dnia powrotu łodzi podwodnej. Na zachodzie było wtedy kilkanaście trzęsień ziemi, ale żadne w pobliżu Strefy 51. Największe, o sile czterech stopni z hakiem w pobliżu Barstow, w Kalifornii. W papierach jest informacja, że to wstrząs wtórny po trzęsieniu ziemi kilka miesięcy wcześniej w okolicach Bakersfield. Dwa nieco słabsze, trzy i cztery dziesiąte stopnia w stanie Waszyngton i trzy stopnie w okolicach Reno. Kiedy łódź podwodna zmaterializowała się pod Strefą, nie wywołała żadnych wyczuwalnych reperkusji.

Mercer nie odzywał się przez chwilę, szukając słabych punktów w danych zebranych przez admirała.

– To skąd wiedziała, że tam się cokolwiek dzieje? Tisa znała datę, godzinę... wszystko.

– Randall – odparł Lasko. – Musieli do niego dotrzeć albo już wcześniej należał do organizacji. W każdym razie obsta-
wiałbym, że to on im powiedział, że coś się dzieje, choć sam
nie miał pojęcia, co.

Mercer znów zaczął intensywnie myśleć, czy jego dążenie do
oczyszczenia Tisy z zarzutów było spowodowane świadomością,
że mówiła prawdę, czy raczej jego pragnieniem, żeby tak było.
Nie miał pewności i bardzo go to denerwowało.

– Ale przecież żaden z górników ani personelu pracującego
przy kopalni nie miał pojęcia, że wy tam w ogóle eksperymen-
towaliście! To skąd mieliby znać dokładną datę?

– Nikt nie miał o niczym wiedzieć – poprawił go Ira. – Ale
to nie oznacza, że ktoś nie palnął czegoś żartem. Wiem, do czego
zmyrzasz, Mercer, ale musisz podejść do sprawy profesjonalnie.
Mogła poznać datę i godzinę naszego testu, tylko dzięki temu,
że ktoś naruszył tajemnicę. Wygadał się przed Randallem, a ten
przekazał informacje dalej. Potem przyszły rozkazy, żeby saboto-
wać prace, stąd zawał, po którym ściągnąłem ciebie, i późniejsza
eksplozja.

– A kiedy nawalił, spróbowali mnie wyeliminować w Las
Vegas. Czy to możliwe, żeby odpowiedź była aż tak prosta?
Mercer nie mógł przestać łamać sobie głowy. Niby wyjaśnienie
miało ręce i nogi. I było bardziej sensowne niż założenie, że to
organizacja Tisy wykryła pojawienie się łodzi podwodnej. Nagle
poczuł, że coś tu nie gra. Tylko co? Na co nie zwrócił uwagi?

Organizacja Tisy odkryła złoża hydratów w miejscu, w któ-
rym nikomu nawet nie przyszło do głowy ich szukać. Potem

w tajemnicy przed światem zbudowali gigantyczną maszynę, żeby je chronić. Każde z tych osiągnięć było nie lada wyczynem, niewiarygodnym dokonaniem o najwyższym stopniu zaawansowania. Dlaczego w takim razie nie mieliby odkryć eksperymentu Iry za pomocą tylko sobie znanych środków?

– Więc na czym stoimy? – zapytał w końcu.

– To zależy od wiadomości, które przywieziesz z Grecji.

– Tisa skierowała moją uwagę na Pacyfik, żeby mnie zainteresować. Cokolwiek, by ta sztuczka jej się udało. Boję się nawet myśleć, comoże mnie spotkać na Santorini.

– Skoro o tym mowa, chcesz wsparcie? Mercer pokręcił głową.

– Tylko bym ją wystraszył. Nie pytaj, skąd wiem, ale ona jest po naszej stronie i właśnie dlatego spotykamy się w ustronnym miejscu. Mogła powiedzieć mi wszystko, co chciała, jeszcze w Las Vegas albo umówić się w jakimkolwiek innym miejscu. Założę się, że wybrała Santorini, bo dobrze się tam czuje, bo to na uboczu i z dala od tych ludzi, którzy chcą mnie zabić. Jeśli pojawię się z bandą postawnych facetów ze słuchawkami w uszach, pewnie zwieje, kiedy tylko mnie zobaczy.

– Dobra, masz rację. – Ira kiwnął głową. – Na lotnisku w Grecji będzie czekał na ciebie kierowca z kartką Harry White.

– Niezły pomysł. – Mercer się uśmiechnął.

– Na Santorini popłyniesz promem, bo paczuszka, którą ci przekażę, nie przeszlaby kontroli na lotnisku, rozumiemy się?

– Spluwa?

– Beretta 92, taka, jaką lubisz.

– I to mi wystarczy za całe wsparcie.

Santorini, Grecja

Mercer zajął miejsce przy barierce stumetrowego promu kursującego między greckimi wyspami i wpatrywał się w fale. Widok różnił się od tego, który podziwiał z pokładu „Surveyora” po drugiej stronie globu. Pod powiekami czuł jakby ziarenka piasku i bolały go mięśnie, bo w czasie długiej podróży niemal nie spał. Rewelacje Iry, który twierdził, że Tisa kłamała, tylko pogłębiały jego wyczerpanie. Cały lot z Waszyngtonu zastanawiał się, jak powinny wyglądać jego dalsze ruchy i jakie przyniosą konsekwencje. Coraz bardziej się obawiał, że czyhająca na jego życie organizacja zbudowała więcej wież nad złożami hydratów, podobnych do tej, którą oglądał niedaleko Guamu. Katastrofa ekologiczna spowodowana jednoczesnym uwolnieniem ogromnej ilości metanu byłaby nieporównywalna do niczego, co wydarzyło się wcześniej.

Prom płynął z pełnym obciążeniem. Na pokład wyległy setki turystów, którzy wypatrywali na horyzoncie Thiry, wyspy znanej pod nazwą Santorini. Koło Mercera zatrzymała się para młodych Niemców, prawdopodobnie w podróży poślubnej. Stanęli tak blisko, że geolog musiał nieco odsunąć się od blondyna, by przypadkowy dotyk nie zdradził ciężkiego pistoletu schowanego pod marynarką.

Nagle wzmógł się gwar, wszyscy pokazywali coś przed dziobem, a pasażerowie z ławek pośrodku pokładu zerwali się i gnali

w kierunku relingów. Na horyzoncie pojawił się pierwszy zarys Santorini, rajy zabudowanego starymi bielonymi domkami z niebieskimi dachami, które rozświetlały to miejsce na cały świat. Wulkaniczna wyspa o stromych zboczach była niegdyś znacznie większa, lecz katastrofalna w skutkach erupcja lawy trzy i pół tysiąca lat temu zmniejszyła ją o połowę i wyrzuciła w powietrze obłok gazów i pyłów, które, zdaniem wielu naukowców, przyczyniły się do zniszczenia cywilizacji minojskiej na Krecie, dwieście kilometrów na południe. Obdarzona naturalnymi plażami o czarnym piasku i zapierającymi dech w piersiach widokami, Santorini stała się jednym z popularniejszych celów wояży w Europie.

Im bliżej wybrzeża podpływał stary i zniszczony prom, tym więcej pasażerów tłoczyło się przy relingach. Mimo że sezon turystyczny jeszcze na dobre się nie zaczął, Mercera otaczały tłumy podpitych turystów z plecakami, którzy podekscytowani pokazywali sobie pierwsze widoczne budynki Firy, największej miejscowości na wyspie. Miasto usadowiło się na wewnętrznym stoku stożka wulkanicznego, którego połowa zniknęła dawno temu pod wodą. Uczepione skał budynki wyglądały, jakby wyrastały z żywej skały, od której odbijało się słońce.

Kiedy prom wpłynął na wody zatoki wewnątrz dawnego krateru wulkanu, fale od samego Pireusu kołyszące kadłubem natychmiast się uspokoiły. Z ławek i podłogi podnieśli się podchmieleni pasażerowie. Nad statkiem górowały klify z litej skały, a główna część wyspy była w istocie potężnym rumowiskiem

potrzaskanych kamieni. Gdyby nie miasto, Santorini wyglądałoby całkowicie dziewiczo.

Większość promów zatrzymywała się w Athenios, niecałe dwa kilometry za Firą, lecz żaden z pasażerów gotowych do zejścia na ląd nie zabrał ze sobą samochodu. Kapitan skierował powolny statek ku niewielkiemu nabrzeżu u podnóża skał, na których wznosiło się miasto. Niemal natychmiast setka pasażerów przestała wzdychać i zachwycać się pięknem wyspy i pognęła w kierunku trapu.

Mercer nie ruszał się z miejsca – wolał poczekać, aż masowa migracja turystów z pokładu dobiegnie końca. Niewielkie nabrzeże poniżej już po chwili wyglądało jak falujące morze głów. Do miasta dało się dotrzeć trzema drogami – stromą i lawirującą ścieżką z kamiennymi stopniami, jednym z wynajętych osiołków, które dzieliły ścieżkę z ludźmi, bądź wagonikiem nowoczesnej kolejki linowej, która zatrzymywała się w mieście. Mercer był zbyt zmęczony, by wspinać się piechotą, jazda na grzbiecie osła wydała mu się zbyt turystyczna, więc zdecydował się na kolejkę linową, choć nie pchał się od razu do środka, tylko poczekał, aż na dole przestanie się kłębić tłum przybyłych.

Podniósł torbę i zszedł dwa pokłady niżej, gdzie rampa łączyła prom z nabrzeżem. Kiedy stanął na rozgrzanym betonie, upał uderzył go ze zdwojoną siłą. W kalderze brakowało choćby lekkiego wietrzyku, za to w powietrzu unosiły się chmury much, dla których stosiki oślego nawozu stanowiły idealne żerowisko. Turyści wspinający się ścieżką do miasta uginali się pod ciężarem plecaków i walizek jak Szerpowie obarczeni sprzętem do

wspinaczki. Przynajmniej kilkoro poddało się po kilkudziesięciu metrach i schodziło teraz na dół, by jednak wsiąść do kolejki.

Mercer musiał odczekać dziesięć minut, żeby zapłacić za przejazd i zająć miejsce w przeszkłonym wagoniku. Dookoła słyszał ludzi rozmawiających w najróżniejszych językach. Istna wieża Babel, choć przeważał niemiecki i języki skandynawskie. Poza tym trzy dziewczyny w pobliżu rozmawiały po angielsku z australijskim akcentem, a chłopak i dziewczyna, którzy wyglądali, jakby właśnie opuścili komunę hipisowską, musieli pochodzić z Ameryki. Czuł ich podniecenie wycieczką i miał nadzieję, że ten stan jemu się nie udzieli. Turyści przyjechali tu na wyprawę życia, żeby się zabawić, a on nie miał pojęcia, czego się spodziewać. W obecnym stanie ducha niepewną przyszłość wolał traktować podejrzliwie.

Pod lewym ramieniem czuł kojący ciężar beretty.

Wagonik zatrząsł się, szarpnął i ruszył pod górę, kołysząc się na początku jak wahadło. Im byli wyżej, tym widok stawał się coraz bardziej oszałamiający. Daleko w zatoce utworzonej z pozostałości gigantycznego stożka wulkanicznego stał żaglowiec i czekał na podmuch wiatru, który pozwoliłby mu wypłynąć na szerokie morze. Słońce nad horyzontem zaczynało czerwienić i barwiło grzbiety fal na rdzawy kolor. Widać też było prawie całe miasto – wąskie meandrujące uliczki i alejki, kościółki i niesamowite domy z balkonami wiszącymi kilkadziesiąt metrów nad wodą.

Widząc to wszystko, nie musiał się już zastanawiać, dlaczego Tisa wybrała akurat Santorini na miejsce spotkania. To

była czarowna wyspa, pełna uwodzicielskiego piękna i nastroju. Prawdę mówiąc, wolałby przyjechać tu z nią na urlop, a nie po informacje.

Wagonik dotarł do górnej stacji i zatrzymał się z szarpnięciem. Po prawej stronie zebrały się setki turystów, głównie młodych, oblegających chodniki ulicy Nomikos, najpopularniejszego miejsca w mieście, z którego można obserwować przepiękne zachody słońca. Twarze wszystkich były jak słoneczniki zwrócone w kierunku ginącej za horyzontem ognistej tarczy.

Odruchowo rozejrzał się w tłumie, szukając jakichkolwiek niepokojących znaków; czegoś odbiegającego od normy, na przykład dwójki mężczyzn w obszernych marynarkach, pod którymi mogliby schować broń, albo takich, którzy zamiast obserwować słońce, bez przerwy rozglądają się dookoła. Dość szybko zauważył takich mężczyzn, ale ze spokojem uznał, że to młodzi chłopcy szukający ładnych dziewczyn. Z rozmów podsłuchanych niechętny na pokładzie promu wiedział, że Fira była znana w całej Europie z bujnego nocnego życia.

Drzwi rozsunęły się i pasażerowie zaczęli wychodzić na peron. Mercer ruszył za nimi zadowolony, że może odetchnąć świeżym powietrzem, bo kręciło go już w nosie od przenikliwego zapachu olejku z paczuli. Wiedział, że ludzie często skrapiali nim ubrania, żeby maskować charakterystyczną woń marihuany. Mercer uważał, że lepiej, gdyby czuć było od nich skrętami niż tym świństwem.

Pozwolił ponieść się tłumowi w kierunku ulicy Nomikos, a wzrokiem szukał Tisy. Cały czas trzymał jedną rękę na torbie,

a drugą zasłaniał w naturalny sposób kaburę z bronią, żeby nikt przypadkowo na nią nie wpadł. Tłum był zbyt gęsty, żeby wyłowić z niego jedną osobę, a na dodatek sam przyciągał coraz większe zainteresowanie, bo nie zwracał uwagi na bajkowy zachód słońca, jak pozostali.

Twarze dookoła były wyczekujące, jakby purpurowe światło dysku opuszczającego się za horyzont miało w sobie coś mistycznego. Przyszli tu, żeby odbyć rytuał inny niż wszystko, co robili dotychczas. Mercer jeszcze nigdy nie czuł się tak wyobcowany. Od kiedy został zaatakowany przez zamachowców w hotelu Luxor, stał się pesymistyczny, jakby trafił na czubek góry lodowej i mogło być już tylko gorzej. Choć tak niewiele wiedział, przeczuwał, że to dopiero początek, że najgorsze czai się pod powierzchnią.

W strumieniu ludzi wylewających się na promenadę z widokiem na kalderę zbyt późno zorientował się, że ktoś się do niego zbliża.

Odwrócił się gwałtownie, by spojrzeć prosto w roześmiane oczy Tisy Nguyen. Kobieta przysunęła się i pocałowała go. Nie zdawał sobie sprawy, że jest niemal tak samo wysoka jak on.

– Wiedziałam, że przyjedziesz – oznajmiła podekscytowana i jednocześnie zawstydzona swoim spontanicznym powitaniem.

Mercer milczał. Nie wiedział, czy to karmazynowe słońce, romantyzm chwili, czy może coś jeszcze... coś głębszego. Nie musiał znać przyczyny, wiedział za to, że jeszcze nigdy w życiu nie widział nikogo równie pięknego jak Tisa – niczym starożytna kapłanka odprawiająca wieczorne rytuały. Ubrana była w sandały,

sukienkę bez rękawów, opływającą jej ciało i podkreślającą biust i wąską talię. Świeżo opalona skóra błyszcziała, kontrastując z białą sukienki. Mercer miał wrażenie, że kobieta jaśniej wewnątrz światłem.

– Eee... cześć – wydukał w końcu.

– Jakie wspaniałe powitanie. – Uśmiechnęła się z kokieterią.
– Wybacz, że cię zaskoczyłam, ale wyglądałeś tak poważnie... Tą nadętą miną mógłbyś zepsuć mi cudowny zachód słońca. O czym myślałeś?

Mercer chciał jej powiedzieć, jaką pustkę czuł po wszystkim, czego się dowiedział, ale ugryzł się w język. Uśmiechnął się tylko.

– Że ten widok byłby znacznie piękniejszy, gdybyś podziwiała goze mną.

Tisie komplement sprawił wyraźną przyjemność.

– Czasem życzenia się spełniają.

Mercer wpatrywał się w nią, otoczoną światłem zachodzącego słońca. Widział nie tylko opaleniznę i sukienkę. Coś jeszcze sprawiało, że dziewczyna niemal unosiła się nad ziemią. Pamiętał cierpienie w jej oczach tamtego wieczoru, kiedy uratowała mu życie. Szukał go, ale nie znalazł. Oczy Tisy były dziś jasne i otwarte, bez śladów bólu i cierpienia, którego już wtedy nie mógł znieść. Ale nagle, kiedy w nie patrzył, ból znów się pojawił, spowijając cieniem radosny uśmiech, którym go powitała. Odwróciła wzrok. Zupełnie jakby jego widok przypomniał jej o tym, co naprawdę przeżywała.

– Szczerze mówiąc, spodziewałam się, że przyjedziesz dzień wcześniej – powiedziała. – Od kiedy tu jestem, wychodzę na powitanie każdego promu dobijającego do nabrzeża.

Mercer był zły na siebie, że przypomniał jej o cierpieniu.

– Gdybym tylko mógł... nie dałem rady – tłumaczył się niezgrabnie. – Dowód, o którym mówiłaś, był tak przekonujący, że musiałem poważnie podejść do twoich słów.

Przez chwilę wyglądała, jakby się bała.

– Musisz uwierzyć mi na słowo. Nie miałam pojęcia, że chcą zatopić ten okręt. Dowiedziałam się z wiadomości. To okropne, nie wiem, co powiedzieć – szybko wyrzucała z siebie kolejne zdania. – Kiedy cимówiłam o czymś, co ma się wydarzyć na Pacyfiku, myślałam tylkoo statku badawczym „Sea Surveyor”. Byli w pobliżu złoża hydratów, więc wykryliby podwyższoną ilość metanu w atmosferze i szybko znaleźliby wieżę.

– Przyleciałem tu prosto z ich pokładu.

– To wiesz, że badają prądy morskie. Jednym z moich zadań w Zakonie jest nadzór nad naszymi najważniejszymi inwestycjami na całym świecie. Muszą być bezpieczne i jestem za to odpowiedzialna. Kilka miesięcy temu dowiedziałam się o misji „Surveyora” i nie miałam wątpliwości, że przy okazji odkryją złoża hydratów. Przysięgam, że nie miałam pojęcia, że wpłynie nad nie jakaś inna jednostka.

Mówiła szczerze, z zaangażowaniem. Mercer się rozejrzał. Kilku turystów patrzyło na nich z dezaprobatą. Z ich min wywnioskował, że uznali ich rozmowę za kłótnię kochanków, którzy psują im romantyczną atmosferę.

– Chodźmy stąd – powiedział.

Tisa natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi.

– Gdzie mieszkasz?

Wszystkie sprawy związane z podróżą załatwiało biuro Iry, a Mercer jeszcze się tym nie zainteresował. Teraz wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki oprawkę z biletem i rezerwacjami.

– Poczekaj... okej, już mam, hotel Kavalari.

– Świetnie, to chyba niedaleko.

– Nie wiesz?

– A niby skąd? – Roześmiała się. – Jeszcze nigdy tu nie byłam, a większość czasu spędzałam na nabrzeżu, czekając, aż przyplynie.

Od chwili, kiedy poprosiła go o spotkanie na Santorini, Mercer był święcie przekonany, że znała to miejsce jak własną kieszeń i wybrała je, bo uważała za bezpieczne. Znow się pomylił w jej ocenie.

Słońce skryło się już za horyzontem i turyści zaczęli się rozchodzić. Tisa prowadziła Mercera w kierunku centrum, wspinając się krętą uliczką Ipapantis. Przy wąskich chodnikach tłoczyły się bary, przeżywające wieczorne oblężenie i sklepy z biżuterią, które właśnie zamykano. Powietrze pachniało świeżym jedzeniem, baraniną, jagnięciną i delikatnymi aromatem najlepszej oliwy. Grupki nastolatków szwendały się tam i z powrotem, szukając towarzystwa na wieczór. Byli pełni życia i beztroscy.

Jak większość budynków w mieście, hotel Mercera był wbudowany w skalną ścianę, a do pokoi trzeba było wchodzić po stromych schodach. Recepcjonistka podała mu klucz i zapro-

wadziła trzy piętra w dół, do apartamentu z balkonem. Pokój został wydrążony w ścianie klifu, a kiedy Mercer i Tisa weszli do środka, zobaczyli łazienkę, której nie zdobiły żadne płytki, a jedynie surowa skała.

Tisa podeszła do okna i w zamyśleniu patrzyła na ciemne fale, uderzające o brzeg sto metrów niżej. Mercer rzucił torbę na łóżko i udał się do toalety. Ogolił się najszybciej, jak potrafił, umył w letniej wodzie, użył dezodorantu i włożył czystą koszulę.

Wchodząc do pokoju, zatrzymał się na chwilę w progu. Wiatr unosił włosy Tisy, tworząc z nich aureolę wokół jej głowy. Wcześniej zdjęła okulary i wystawiła twarz na słońce morskie podmuchy. Miała zamknięte oczy i delikatnie rozchylone usta, jakby chciała poczuć smak bryzy. Nie mógł uwierzyć, jaka jest piękna i jak niewinnie wygląda, kiedy nie widać jej smutnych oczu. Patrzył zachłannie, jakby chciał nauczyć się tego obrazu na pamięć.

Tisa poczuła jego obecność i szybko wsunęła okulary z powrotem na nos. Obejrzała się z winnym wyrazem twarzy.

– Chcesz tutaj porozmawiać?

– Nie. – Uśmiechnął się. – Mam ochotę czegoś się napić. Dwa piętra nad nami jest bar.

Pięć minut później siedzieli przy ustawionym nieco z boku stoliku, podziwiając zapierający dech w piersiach widok kaldery. Noc była chłodna, ale wysokie ogrzewacze gazowe ustawione w całej restauracji nie pozwalały im marznąć. Nie ufając zdolnościom barmana, Mercer zrezygnował ze swojej ulubionej, choć mało popularnej wódki z limonką i zamówił podwójną wódkę

z tonikiem, prosząc od razu o dwie następne kolejki. Tisa piła wodę mineralną.

– Dobrze, tu chyba możemy porozmawiać, prawda? – rzucił, czując, że spięte mięśnie pleców powoli się rozluźniają. – Powiedz mi coś o wieży.

– Żebyś nie miał problemów ze zrozumieniem niektórych rzeczy, powinnam zacząć od tła. Czy wiesz cokolwiek o akupunkturze?

Mercer nie spodziewał się takiego pytania. Znow go zaskoczyła. Na chwilę mimowolnie cofnął się pamięcią do celi w piwnicach w Panamie, gdzie psychopatyczny kat z Chin, pan Sun, wbił w jego skórę dwieście cieniutkich igiełek, wywołując ból, który rozrywał każdy fragment jego ciała na kawałki. Wspomnienie było wciąż żywe i choć po tamtych wydarzeniach na jego ciele nie został żaden ślad, rany w psychice wciąż paliły żywym ogniem. Stary strach powrócił. Sięgnął po szklankę, upił duży łyk i przełknął kluchę, która uformowała się w gardle.

– Tak, trochę.

Tisa nie zauważyła, w jakim był stanie.

– W takim razie wiesz, że różne części ciała połączone są ze sobą liniami, przez które przepływa energia chi. Można na nią wpływać, żeby zmniejszyć ból lub napięcie.

– Albo zwiększyć – zauważył półgłosem.

– Niemal każda sztuka ma swoje ciemne strony – zgodziła się z nim. – Ale właściwie stosowana akupunktura jest sprawdzoną techniką, której działanie udowodniono na ludziach i zwierzętach. Wierzysz w to?

– Jak to, czy wierzę? Nie uważam, żeby to był wymysł.

– To wystarczy. A jeśli powiem ci, że Ziemia jest jak ludzkie ciało i przez naszą planetę przebiegają podobne linie, którymi przepływa chi?

– Mówisz o polu magnetycznym?

– Nie, to nie jest mierzalne. To coś poza naszą nauką... – Szukała przez chwilę właściwego słowa, ale bez powodzenia.

– Niedługo dam ci dowód, który powinien cię ostatecznie przekonać. Tymczasem musisz mi uwierzyć na słowo, bo inaczej nasza rozmowa będzie pozbawiona sensu. Przyjmij, że Ziemia jest jak żyjąca istota.

Mercer potaknął.

– Dobrze, masz kredyt zaufania, ale jest ograniczony czasowo. Uśmiechnęła się delikatnie, jakby wiedziała, że będzie musiał zapłacić za ten sceptycyzm.

– Te siły są bardzo, bardzo rzeczywiste. Zresztą niedługo się przekonasz. Pomyśl sobie, że jeśli ktoś potrafiłby wykryć tę energię i znaleźć miejsca na Ziemi, w których się samoistnie gromadzi, mógłby ją kontrolować.

Mercer uniósł brew.

– Akupunktura dla planety?

– Dokładnie tak! – Tisa była zachwycona, że w lot ją zrozumiał.

– Tylko błagam, nie mów, że ta wieża to gigantyczna igła, która miała złagodzić nękające Ziemię bóle?

Zmarszczyła brwi, bo nie spodobał jej się jego prześmiewczy ton.

– W pewnym sensie trafiłeś w sedno. Zresztą to wszystko będziesz mógł później sprawdzić i porównać z danymi oceanograficznymi. W trakcie ostatnich piętnastu lat w Oceanie Spokojnym powstał nowy prąd morski, który podnosi temperaturę przy dnie.

– Tak, wiem o tym. Rozmawiałem z naukowcami z „Sea Surve-yora”. Doszedłem wtedy do wniosku, że twoja organizacja wiedziała o złożach hydratów, które znalazły się dokładnie na drodze tego prądu, więc zbudowaliście wieżę, żeby ustabilizować złożo.

– Właśnie. Hydraty metanowe mogą istnieć tylko w bardzo ograniczonym zakresie temperatur i ciśnienia. Ciepły prąd morski zaburzyłby ich równowagę i doszłoby do gigantycznej erupcji całego złoża. Musieliśmy coś zrobić. Wieża wykorzystuje ruch wody powodowany właśnie tym prądem i napędza nim instalację specjalnej chłodnicy, która utrzymuje hydraty pod ziemią. Czasem jednak dochodzi do uwolnienia się jakiejś części złoża. Myślałam, że „Sea Surveyor” natrafi na wskazówki, dzięki którym znajdzie to miejsce i potem wieżę.

– Powiedziałaś, że pilnujesz jeszcze innych miejsc należących do twojej organizacji?

– Do Zakonu.

– Okej, do Zakonu. Czy to też takie wieże, jakie widziałem pod wodą?

– Nie, ta jest unikatowa, ale chyba wiem, do czego zmierzasz. Czy dysponujemy innymi instalacjami, które mogą być niebezpieczne dla ludzi? Obawiam się, że nie rozwieję twoich

obaw. Tak, mamy takie instalacje. Ale nie wiem, czy Zak... czy radykałowie już usiłowali albo dopiero zamierzają przejąć kontrolę nad którąś z nich. Jednak w to wątpię, bo na ogół w tych miejscach pracuje normalna załoga. A wieżą łatwo przyszło im zarządzać, bo działa automatycznie, bez stałej załogi.

– Skoro wiecie o hydratách i o ciepłym prądzie morskim, dlaczego kogoś nie ostrzeżecie? ONZ na przykład? Dlaczego robicie to sami, w tajemnicy?

– Bo to właśnie nasz sposób działania... przynajmniej do tychczas. Taką politykę przyjęliśmy dwadzieścia lat temu.

Tym razem Mercer poczuł się trochę zaskoczony.

– A czy przypadkiem ta twoja organizacja nie miała stu kilkudziesięciu lat?

– Nie, znacznie więcej. Jej korzenie sięgają ponad pięćset lat wstecz. Po prostu dopiero od dwóch dekad działamy poza wcześniejszą doktryną biernej obserwacji ziemskiego chi.

– Pięćset lat? – Mercer z trudem wymówił te słowa.

Pięćset lat to dużo dla wielkich religii, nie mówić już o organizacjach.

– Tak, dokładniej od czasów admirała Zhenga He i chińskiej flotybaochuanów.

– Obawiam się, że nie...

– Nie przejmuj się, mało ludzi wie, o co chodzi. – Uśmiechnęła się. – Zheng He był niewolnikiem i eunuchem, który stał się jednym z największych chińskich dowódców. Między 1405 a 1433 dowodził siedmioma wielkimi wyprawami, które dotarły między innymi do Zatoki Perskiej, Madagaskaru i Afryki. Nie-

kórzy historycy twierdzą, że dopłynęli jeszcze dalej, do Ameryki Południowej i przedstawiają na to dowody archeologiczne. Jego okręty należały do najwspanialszych, jakie kiedykolwiek zbudowano, i były też największe. Baochuany miały ponad sto dwadzieścia metrów długości. I pomyśl, że to na długo przed wyprawą Kolumba, który, nawiasem mówiąc, płynął na skromnych trzydziestometrowych statkach, kiedy odkrywał Amerykę. Jeśli się nie mylę, do czasów rewolucji przemysłowej nikt nie zbudował większego okrętu.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Bo jesteś ofiarą zachodniej edukacji – powiedziała, drażniąc się z nim. – Ten okres za czasów dynastii Ming był jedynym w całej historii Chin, kiedy Państwo Środka zaczęło rozglądać się wokół i próbowało handlu z innymi narodami, zamiast czekać, aż oni przybędą do nich. Imperia osmańska i perskie były wówczas w pełnym rozkwicie, więc przepływ towarów i wiedzy był bezprecedensowy. Flota Ming była najsilniejsza w całym znanym świecie i kontrolowała te szlaki handlowe, które chciała. Nikt nie mógł ich zatrzymać ani im przeszkodzić. A potem nagle cesarz wydał dekret, którym zakończył morską wymianę handlową, i Chiny znów odcięły się od świata. Do Państwa Środka dostawali się bardzo nieliczni kupcy, podróżujący Jedwabnym Szlakiem. Okręty floty zostały zniszczone, a kapitanowie i załogi, którzy widzieli zamorskie kraje, straceni. Większość towarów i przedmiotów przywiezionych do Chin została spalona.

Opowieść Tisy bardzo go wciągnęła. Zastanawiał się, jak wielkie bogactwa musieli zgromadzić przez ten czas.

– Dlaczego?

– Powód nie ma znaczenia, kiedy rozkaz pochodzi od cesarza. Nikt nie ośmielił się kwestionować jego słów. Ale tym razem znalazła się jedna osoba, które to zrobiła. Był to konfucjonista, Zhu Zhanji, skryba sądowy, który zaryzykował życie, by uchronić przywiezione przez handlarzy towary. Zbiór, który chronił, obejmował pisma i teksty najznamienitszych autorów ze wszystkich stron świata, najnowsze dzieła matematyczne z krajów arabskich i bezcenne dzieła sztuki, płaskorzeźby z kości słoniowej, brylanty i tony złota. Prawdziwy skarbiec mądrości o osiągnięciach ludzkości, być może najwspanialszy, jaki kiedykolwiek powstał.

– Musiało to chyba wyglądać jak Biblioteka Aleksandryjska.

– Być może jej część znalazła się wśród zbiorów Zhu. Kto wie? Według legendy, stojąc na wysokiej górze, pod którą przesuwiała się karawana, nie można było dostrzec jej końca. Zhu Zhanji wywiózł skarb daleko na zachód, do ukrytej w Himalajach doliny Rinpoche-La i hojnie opłacił miejscowych, którzy przysięgli dobrze chronić jego skarbu. Zhu zmarł w drodze powrotnej do pałacu cesarskiego, a archiwum zniknęło na zawsze. Ale Zhu nie wybrał tej doliny przez przypadek. Rinpoche-La jest tajemniczym miejscem, które od zawsze owiane było legendami, bo choć znajdowało się wysoko w górach, przez cały rok było tam ciepło. Wioska została zbudowana w pobliżu źródeł geotermalnych ukrytych wewnątrz masywu. Poziom życia w dolinie i wiosce był tak wysoki, jak niemal w żadnym miejscu w Chinach.

– A teraz jakbym czytał *Zaginiony horyzont* Jamesa Hiltona.

– Swoją opowieść o Shangri-La prawdopodobnie oparł na legendzie Rinpoche-La – potwierdziła Tisa. – Zadziałał ten sam mechanizm, co u innych autorów. Bram Stoker stworzył Drakulę zainspirowany opowieścią o królu Władzie Palowniku. Wracając do naszej opowieści: przez setki lat archiwum i skarby leżały ukryte w podziemiach prastarego zakonu w dolinie. W końcu znalazł się jakiś ciekawski mnich i zakonnicy zabrali się do rozszyfrowywania zebranych pism. Część skarbu szczególnie przyciągnęła ich uwagę.

– Pewnie złoto?

– Znowu to zachodnie myślenie. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Nie, zbiór planów technicznych i tekstów, które cesarzowi podarował sułtan Muskatu, prawdopodobnie najbogatszy człowiek na świecie swoich czasów. Nikt nie wiedział, w jaki sposób sam wszedł w posiadanie tego dokumentu. Uważa się, że plany zostały stworzone przez jednego z najwybitniejszych matematyków na jego dworze. Kiedy jako dziecko słyszałam tę opowieść, wyobrażałam sobie, że musiał być kimś w rodzaju arabskiego Leonarda da Vinci. Kilka pokoleń mnichów z Rinpoche-La pracowało, żeby w końcu zrozumieć prawdziwe znaczenie tłumaczonego dzieła, a potem musiały minąć kolejne lata i stulecia, żeby komuś udało się wybudować Wyrocznię opisaną w planach.

– Wyrocznię?

– Oni nazwali ją Pępkiem Świata. Chodzi o maszynę, która precyzyjnie mierzyła przepływ ziemskiego chi. Ukończono ją w 1850 i natychmiast uruchomiono, żeby sprawdzić, czy zadziałała.

Już wkrótce zyskali pewność, że działa. I to jak... Przez wiele lat wysyłali obserwatorów, by w specjalnych kronikach zapisywali skutki działania chi i zdawali potem lamie relację z tego, co widzieli. Nic się nie zmieniało, aż nadeszło lato 1908 roku, kiedy zdarzył się kataklizm, po którym siły natury nie odzyskały delikatnej równowagi.

Mercer domyślił się, o jakie wydarzenie chodziło.

– Poczekaj, spróbuję zgadnąć datę tego kataklizmu, dobrze? Trzydziesty czerwca?

Tym razem to Tisę zatkało. Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Jak... skąd... ?

– To dzień, w którym w ziemię niedaleko małej syberyjskiej wioski Tunguska uderzył meteoryt, kładąc pokotem kilkanaście tysięcy kilometrów kwadratowych lasów. Wybuch słyszano w Skandynawii, a niebo pociemniało aż w Londynie. Nie sądzę, żeby w 1908 wydarzyło się wiele więcej podobnych katastrof.

Dziewczyna patrzyła na niego rozszerzonymi oczyma.

– Niewielu dzisiaj w ogóle słyszało o tym wydarzeniu, a ty pamiętasz jego datę!

– Przy okazji opowiem ci pewną historię. – Nie chciał odciągać Tisy od głównego tematu. – Twierdzisz, że to uderzenie zmieniło w jakiś sposób równowagę Ziemi?

– Nie samej planety, ale sił chi. Do tamtego dnia Ziemia zachowywała się dokładnie tak, jak przepowiadała Wyrocznia z Rinpoche-La, ale potem przepowiednie straciły dokładność. Lama i jego pomocnicy bardzo się tym martwili. Mijały mie-

siące, a dane dotyczące miejsca i czasu kolejnych zdarzeń były coraz mniej precyzyjne. Dwadzieścia lat później podjęto decyzję, że Zakon jest zobowiązany coś zrobić, żeby skorygować błąd. Mieliśmy uzdrowić Ziemię i przywrócić jej równowagę chi.

– A wieża jest jednym ze sposobów?

– Ach, nie – zachnęła się Tisa. – Wieża to maleńki projekcik i niema nic wspólnego z tym, o czym mówię. To taki krótkoterminowy środek zaradczy, coś jak plaster na skaleczenie. – Uśmiechnęła się. – Nasze główne działania są nieco bardziej wyrafinowane. Widzisz, żeby przywrócić równowagę światu, musimy skupić się na miejscach, gdzie linie chi się przecinają. To jest coraz trudniejsze, bo ludzkość zaczęła nieświadomie coraz bardziej zakłócać przepływ chi. Testy bomb atomowych, potężne tamy i spiętrzanie rzek. To wszystko ma wpływ.

Mercer z trudem ukrywał sceptycyzm. Może i w historii Tisy było ziarnko prawdy, ale nie wierzył w ani jedno słowo, jeśli chodzi o interpretację faktów.

– To musicie nienawidzić Chińczyków za to, co robią z Tamą Trzech Przełomów? – zapytał złośliwie. – W końcu to największy projekt hydrologiczny w historii!

– Wręcz przeciwnie – zaoponowała szybko. – Członkowie naszej organizacji należeli nawet do komitetu podejmującego decyzje o jej budowie. Tama Trzech Przełomów to wyjątkowo ważny punkt dla równowagi chi. Masa wody zgromadzona w jednym miejscu pomoże odzyskać planecie równowagę.

Mercer nie potrafił zachować powagi.

– Daj spokój, Tisa... to niedorzeczne...

– Osiem lat temu zgłosiła się do ciebie firma Jaeger Metals i chciała ci zlecić uruchomienie kopalni w Brazylii. Pamiętasz ich?

– Jak przez mgłę. – Mercer poczuł się nieswojo. – Odrzuciłem ich ofertę. A skąd w ogóle o tym wiesz?

– Bo to firma kontrolowana przez Zakon. Przypominasz sobie może, dlaczego im odmówiłeś?

– Chcieli, żebym przemieścił miliardy ton ziemi, żeby dotrzeć do złoża tak ubogiego, że całe przedsięwzięcie nie było w ogóle opłacalne. Staralem im się wyjaśnić, że marnują pieniądze, ale członkowie zarządu mieli inne zdanie.

– Wiesz, co się potem stało z tą firmą?

– Tak. Ruszyli z tym projektem, kopiąc w środku dżungli dziurę szeroką na cztery i pół kilometra i prawie ze trzysta metrów głęboką. A potem zbankrutowali.

– Zgadza się, ale jest też coś, o czym nie miałeś pojęcia. O czym nikt nie ma pojęcia. To miejsce było punktem chi, a usunięcie obciążenia pozwoliło poprawić trafność przepowiedni o pięć minut.

– Ale... – Mercer się zawahał. Czy to mogła być prawda? Kilka lat temu, kiedy padła propozycja, uznał ją w końcu za jakiś finansowy przekręt. Pamiętał jeszcze, że z czystej ciekawości śledził w czasopiśmie branżowych działalność tej firmy. Na inwestycji w złożo miedzi stracili ponad siedemdziesiąt milionów dolarów. Kiedy dziura była gotowa, a miedzi nie dało się wydobywać, poddali się i ogłosili upadłość. Co ciekawe, nikt nie zgłosił się z roszczeniami przeciwko nim. Dochodzenie

wykazało później, że pieniądze pochodziły od prywatnego inwestora, któremu wystarczało tłumaczenie szefów firmy, że działali w dobrej wierze. Czyżby to organizacja Tisy była tym prywatnym inwestorem? I od początku ich celem było tylko wykopanie gigantycznej dziury w ziemi, a nie wydobyć miedzi?

Zbudowali wieżę na głębokości kilkuset metrów, tylko po to, żeby ustabilizować złoża jakiegoś gazu, przypomniał sobie. Miał wrażenie, że trudno byłoby mu zrozumieć ich cele, a tym bardziej metody.

Tisa obserwowała zmiany na twarzy Mercera, który toczył wewnętrzną walkę z brakiem wiary. Chyba była z tego zadowolona.

– To kolejny przykład, jak wygląda nasza praca. Powinieneś zobaczyć pole naftowe, którego przygotowanie zlecieliśmy jakiejś prywatnej firmie pośrodku Australii, tysiące kilometrów od najbliższych złóż ropy. Uważali nas za wariatów, ale pieniądze wzięli bez gadania i zgodnie z umową wywiercili tysiąc sto szybów. I wiesz co? W żadnym nie było ropy. – Zmarszczyła brwi. – Niestety, tyle pracy i wysiłków pozwoliło skorygować Wyrocznię zaledwie o kolejnych sześć minut. Ale nie przejmuj się, jutro wszystko zrozumiesz.

– Co ma się wydarzyć?

– Niech to będzie niespodzianką, poczekaj cierpliwie, a zobaczysz. Proszę cię tylko o jedną noc cierpliwości. Jeśli jutro uznasz, że nie mam racji, to cóż, nic już nie będzie miało znaczenia.

Mówiła bardzo poważnym głosem, Mercer przypomniał sobie jej słowa ze spotkania w Nevadzie.

– Koniec świata?

– Takiego, jaki znamy. – W księżycowej poświacie jej oczy zaczęły błyszczeć.

Mercer wiedział, że to bez znaczenia, czy jej wierzy, czy nie. Ona była pewna. Głęboki żal i smutek, które tak nie pasowały do jej pięknej twarzy, powróciły ze zdwojoną siłą.

– Która godzina? – zapytała, żeby przerwać milczenie i sprowadzić rozmowę na inne tory.

– Ósma. Właśnie, przypomniałaś mi, że coś dla ciebie mam. – Mercer szybko sięgnął do kieszeni marynarki, a potem położył zamkniętą dłoń na stoliku. Kiedy rozchylił palce, zobaczyła między nimi czarne pudełeczko. Wewnątrz, na satynowej poduszce, spoczywał damski złoty zegarek Raymond Weil.

– Zapamiętałem, że nie nosisz zegarka i ciągle pytasz, która godzina. Kupiłem go w drodze do Grecji.

Mercer spodziewał się, że będzie zachwycona, ale Tisa popatrzyła na prezent, jakby podawał jej jadowitego węża. Nie wiedział, co o tym myśleć.

Szybko się otrząsnęła.

– Wybacz, jest piękny. Tylko że ja... nigdy nie nauczyłam się nosić zegarka. Ale zrobię to dla ciebie. – Mówiąc to, zapięła elegancką bransoletę wokół delikatnego nadgarstka i przyjrzała się tarczy. – Dziękuję.

Nie wiedział, czego się spodziewać, kiedy spotkali się na wyspie. Ale z całą pewnością nie spodziewał się katastrofy, ku jakiej zmierzał tak wieczór. Sięgnął nad stołem i dotknął jej dłoni.

– Przepraszam za ten zegarek, najwyraźniej masz swój powód. Toco powiesz na taki pomysł: resztę nocy spędźmy jak dwoje ludzi narandce w najbardziej romantycznym miejscu, jakie kiedykolwiek widziałem. Zjemy za dużo na kolację, wypijemy za dużo ouzo i zapomnimy o całym świecie. Co o tym myślisz?

Tisa wytarła oczy i się uśmiechnęła.

– Randka? Nie mam nic przeciwko.

Mercer wstał i położył na stole kilka banknotów, nie licząc pieniędzy – chciał jak najszybciej opuścić ponury bar.

– W takim razie idziemy.

Wrócili na ulicę Ipapantis i dali się ponieść falom turystów, aż trafili do maleńkiej restauracji z tarasem z widokiem jeszcze piękniejszym niż w hotelowym barze. Wewnątrz znajdowało się tylko sześć stolików. Starszy właściciel stał w kuchni, a jego energiczna żona pracowała jako kelnerka. Zanim zdążyli złożyć zamówienie, przyniosła butelkę wina. Kiedy usiedli wygodnie, raz jeszcze wróciła z kuchni, z tacą świeżego chleba i oliwą o aromacie czosnku. Nie zapytała, czego sobie życzą, bo w restauracji najwyraźniej nie było menu. O kolacji decydował kucharz, a nie goście. Przy drugim daniu nie mieli wątpliwości, że zaufanie się opłaciło. Oba były wysmienite.

Przez jakiś czas czuli się skrępowani w swoim towarzystwie. Rozmowa się nie kleiła, ilekroć podejmowali nowy temat, szybko milkli.

Po drugim kieliszku wina Tisa przyznała, że całe wieki nie była na randce.

– Trudno mi w to uwierzyć. Jesteś piękna. Pewnie musisz opędać się od mężczyzn.

– Naprawdę myślisz, że jestem piękna? – zapytała, patrząc mu w oczy.

– Chryste, czy nie masz lusterka? Jesteś niesamowita.

Uśmiechnęła się i zaczerwieniła zawstydzona, ale i zachwycona. – Dziękuję.

– Gdybym wiedział, że potrafisz się tak uśmiechać, powiedziałbym ci to od razu. – Mercer był z siebie zadowolony. – I szczerze mówiąc, ja też od dawna nie byłem na randce.

– Och, daj spokój. Musiałeś mieć mnóstwo kobiet.

– Ja... no cóż, w pewnym sensie... – Jej komentarz zbił go z tropu. – Chodziło mi o to, że nie spotykam się z nikim, bo przez siedem, osiem miesięcy w roku jestem w podróży, a znajomości na jedną noc zdecydowanie mi nie odpowiadają.

– Ale je miewałeś.

– Hm, od czasu do czasu – przyznał niechętnie. Nie chciał mówić jej prawdy, ale też nie chciał jej okłamać. – Po prostu nie miałem nigdy dość czasu, żeby zaangażować się w coś poważnego.

– Może nie znalazłeś właściwej osoby. Mercer się roześmiał.

– Nie znasz przypadkiem Harry'ego White'a?

– Raczej nie. A dlaczego?

– Mówisz tak jak on.

– To dobrze czy źle?

– Harry to mój najlepszy przyjaciel, więc to dobrze.

– W takim razie chcę o nim posłuchać. Najlepszy przyjaciel Philipa Mercera. Opowiedz mi o tym Harrym.

Po wzmiance o Harrym poszło znacznie lepiej. Mówiąc o nim, Mercer nie musiał nawet się wysilać, żeby rozbawić Tisę, wystarczyło, że mówił prawdę. Kiedy wychodzili z restauracji dwie godziny później, żadne z nich nie było zaskoczone, jak naturalne wydawało się teraz, że wzięli się za ręce. Mercer wcześniej poszedł do toalety, zdjął kaburę spod pachy, wsunął pistolet za pasek od spodni i zakrył go koszulą, żeby móc okryć Tisę swoją marynarką.

Oboje czuli, że nie ma potrzeby, by Mercer stosował jakieś sztuczki, a Tisa go kokietowała. Wiedzieli już, jak zakończy się ten wieczór, i spokojnie spacerowali, rozmawiając, a pewność nie wzbudzała w nich niecierpliwości. Ich znajomość rozwijała się w cudownie naturalny sposób, więc kiedy dotarli do hotelu Mercera, nie zwalniając, weszli razem do jego pokoju.

Nawet przez chwilę nie czuli skrępowania, jedynie radość, kiedy po raz pierwszy spotkały się ich usta, a ubrania opadały na podłogę. Na miękkim łóżku pozwalali sobie na coraz więcej intymności, aż Mercer zorientował się, że robią rzeczy, których nie próbował od czasów eksperymentów w college'u. Ale tym razem nie chodziło o przekraczanie granic, lecz o to, że Tisa chciała dawać coraz więcej, a on był gotów przyjmować. Nie znajdował w sobie strachu, że posunie się za daleko, bo kiedy patrzył jej w oczy, wiedział, że to zaledwie początek.

Nie odsunęli się od siebie, lecz zasnęli w ciasnych objęciach. Na chwilę, zanim odplłynął w sen, Mercer zrozumiał słowa,

które Tisa powtarzała, szczytując. Mógłby przysiąc, że słyszał, jak powtarzała: „kocham cię, kocham”.

Santorini, Grecja

Na granicy snu i świadomości, marzenia i jawy pojawiała się chwila zrozumienia, w której Mercer często znajdował inspirację. Nie miał jeszcze świadomości, gdzie jest – pojawiała się minutę później – ale jego umysł był wolny i otwarty na nowe. Nie wiedząc dlaczego, powrócił do rozmowy o siłach chi i miejscach, gdzie energia Ziemi się koncentrowała. Potem na to wspomnienie nałożyły się słowa Iry, który mówił o globalnym ociepleniu i zagrożeniach z nim związanych, a on tłumaczył szefowi, że natura zachowuje się i zmienia według pewnych cykli i ma swój rytm, których jeszcze nie poznaliśmy.

Wyglądało na to, że on i Tisa myśleli o tym samym, tylko ona potrafiła to nazwać. Mercer odrzucał jej wschodnią filozofię i bzdury rodem z podręczników New Age, ale jeśli nie miał racji? Jeśli Tisa mówiła o tym samym, w co i on wierzył? Ze wiemy znacznie więcej o przestrzeni kosmicznej niż o Ziemi, a wielkie odkrycia czekają, aż ktoś poświęci im trochę czasu?

Potem jego myśli znów popłynęły w innym kierunku, pozostawiając go z dwoma pomysłami, które wzajemnie się wykluczały. To była jego ostatnia myśl, zanim obudził się na dobre.

Światło wpadające do pokoju było słabe i ulotne. Otwarte drzwi wpuszczały do środka powietrze, które miało świeży zapach morza. Kiedy jego oczy przywykły do półmroku, na

zewnątrz zobaczył Tisę. Balkon był osłonięty z trzech stron i otwarty jedynie na wulkaniczną kalderę, a ona stała tam zupełnie naga. Jej szczupłe ciało poruszało się powoli, zgodnie z sekwencjami tai-chi. Patrząc na nią, wrócił myślami do ich wspólnej spędzonej nocy. Poczuł znajome mrowienie.

Ruchy Tisy stały się bardziej złożone, pełniejsze. Płynnie przeszła od tai-chi do codziennych ćwiczeń gimnastycznych. Na ziemi rozłożyła koc, więc mogła wykonywać różne figury, leżąc. Mercer patrzył na nią jak zaczarowany. Poruszała się z lekkością i wdziękiem, który sprawiał, że każdy jej ruch podszyty był erotyzmem. Wygięła się w łuk, opierając na ziemi jedynie czubek głowy i palce stóp. Miała napiętą skórę, a piersi sterczały dumnie w górę. Mercer nie mógł powstrzymać westchnienia.

Tisa obróciła się zwinnie jak kot i spojrzała na niego. W szeroko otwartych oczach czała się psota.

– Zastanawiałam się, kiedy w końcu zauważysz, że tu jestem.
– Wstała i tanecznym krokiem podeszła do łóżka. Położyła się obok niego, płynnym ruchem wsuwając dłoń pod kołdrę. – A więc to prawda. Mężczyźni lubią gibkie kobiety.

– Gibkie? To, co tam robiłaś, zawstydziłoby Człowieka Gumę. Nachyliła się i pocałowała go głęboko. Mercer złapał ją za szyję i przyciągnął do siebie. Jej ciało było chłodne, ale szybko ją ogrzał, aż stała się niemal gorąca.

Dopiero po godzinie udało im się wstać. Tisa zostawiła Mercera pod prysznicem, a sama poszła do swojego hotelu, by zabrać bagaż. Mieli się spotkać na śniadaniu. Kiedy wróciła, Mercer odpoczywał na tarasie ze szklaneczką Krwawej Mary.

Musiał złagodzić uciążliwe efekty nadmiaru wina wczorajszego wieczoru. Tisa zostawiła walizkę w recepcji, a do pokoju weszła tylko z torbą plażową. Wzięła z jego dłoni drinka i wypła łyk.

– To się nazywa łom? – Uśmiechnęła się.

– Nie, klin.

– Racja, angielski jest łatwy, ale ma zbyt wiele idiomów.

– Jaki jest twój język ojczysty? I skąd pochodzisz? Oczywiście, jeśli mogę spytać.

– W domu mówiłam po wietnamsku. Mój ojciec był pół Wietnamczykiem, pół Francuzem. Matka była paryżanką. W wiosce, w której się urodziłam, wszyscy mówili mieszaniną tybetańskiego i chińskiego.

– Urodziłaś się w Chinach?

– W dolinie Rinpoche-La – odpowiedziała takim tonem, jakby była zdziwiona, że jeszcze tego nie wie. – A jak myślisz, skąd tyle wiem o Zhu, archiwum i Wyroczni? Miałam zostać obserwatorem, ale matka uciekła z wioski, zabierając ze sobą mnie i mojego przyrodniego brata. Wróciłam tam, kiedy skończyłam osiemnaście lat.

– Po co wróciłaś?

Przez chwilę Tisa milczała.

– Musisz zrozumieć, że Zakon jest ogromny. Miliony ludzi wspierago w taki czy inny sposób. Kontrolujemy studia jogi, świątynie i szkoły. Mamy też gospodarstwa ekologiczne na czterech kontynentach. Jeśli wejdiesz ze mną do delikatesów gdziekolwiek w Stanach, wskażęci od razu kilkanaście produktów firm kontrolowanych przez Zakon. Większość ludzi, którzy

dla nas pracują, nie ma o tym błędnego pojęcia. Instruktor jogi z Miami płaci franczyzę firmie z Kalifornii, która płacijeszczniej firmie, której siedziba znajduje się w jakimś kraju, gdziebanki nie zadają za dużo pytań i udzielają jeszcze mniej odpowiedzi. Koniec końców, pieniądze trafiają do nas, a najlepsze jest to, że nadalnikt nie wie, że w ogóle istniejemy.

– W ten sposób gromadzicie fundusze na takie projekty jak ta wieża?

– Tak, wieża była finansowana częściowo z tego. Każda organizacja, która istnieje tak długo jak my, jest zazwyczaj nieprzeciętnie majątna. Jeśli ktoś zainwestuje dolara jako dziecko, na emeryturze ma tysiąc dolarów zysku, prawda? A teraz wyobraź sobie, że ktoś inwestuje dolara jako dziecko, ale lokatę likwiduje ktoś inny wiele pokoleń później.

– Miliony?

– Miliardy.

– Wróciłaś, żeby być częścią tego wszystkiego? – zapytał, kiedy ucichła.

– Wróciłam, bo byłam naiwna. Tak naprawdę źle się czułam w Paryżu. Rinpoche-La miało może z tysiąc mieszkańców, a ja byłam córką bardzo ważnego człowieka. W Paryżu byłam po prostu kolejnym mieszkańcem, który przyjechał do stolicy z byłej kolonii. Czułam się odizolowana i samotna. W mieście niewielu wiedziało, kim jestem. Owszem, mieszkało tam kilku wysokich rangą członków Zakonu, ale z racji pozycji mojego ojca traktowali mnie z szacunkiem należnym posągom, a nie jak człowieka. Oczywiście, jak każda uparta nastolatka, przyprawiałam matkę

o ból głowy. Kiedy byłam już dość dorosła, żeby sama decydować, wysłałam do ojca wiadomość, że chcę do niego dołączyć, a on wszystko zorganizował.

– To musiało bardzo zboleć twoją matkę?

– Na pewno. Mój przyrodni brat wrócił do Rinpoche-La kilka lat wcześniej, a ona zmarła w katastrofie kolejowej i nigdy się nie dowiedziała, jak bardzo było mi przykro. – Oczywiście Tisy zaszły łzami. – Porozmawiajmy o czymś bardziej optymistycznym, dobrze?

– Nie ma sprawy... co powiesz o eskalacji przemocy na Bliższym Wschodzie?

Tisa rozumiała jego poczucie humoru. Na jej ustach pojawił się uśmiech.

– A może o AIDS? Wesolutka historia.

– Chciałem cię o coś zapytać. – Spoważniał. – Kiedy się spotkaliśmy, powiedziałaś mi, że wiesz, czym się zajmuję.

– Tak – odpowiedziała ostrożnie.

– Skąd? I dlaczego wybrałaś akurat mnie? Na świecie są setki dobrych geologów.

Tisa chwilę milczała.

– Kiedy wróciłam do ojca w Rinpoche-La, pierwszym zadaniem, jakie dostałam, było zebranie informacji o największych przedsięwzięciach górniczych. Staraliśmy się wtedy ustalić, w jakim stopniu działania ludzi wpływają na chi Ziemi. W ciągu kilku lat trafiałam na twoje nazwisko raz za razem. Byłam ciekawa, jak to możliwe, że bierzesz udział w tylu projektach. Badając przebieg kariery wielu specjalistów od górnictwa, podświadomie

tobie poświęcałam najwięcej uwagi. I lepiej niż inni, którzy wiedzieli o tobie, rozumiałam, jak godzisz zapotrzebowanie na surowce mineralne z ekologią.

– Znam przynajmniej kilkanaście organizacji ekologicznych, które mają odmienne zdanie – mruknął Mercer.

Skrzywiła się.

– Większość z nich jest tak zindoktrynowana, że uważają, iż nie potrzebujemy paliw kopalnych. Musi panować równowaga i myślę, że nasze poglądy są tu bardzo zbieżne. Wiem, że zdarzało ci się odrzucić ofertę, choć inni patrzyli na nią z zazdrością, ale ty uważałeś, że koszty przewyższają zysk.

– Albo za słabo płacili. – Mercer chciał sprawdzić, jak na to zareaguje.

– Nie mówisz prawdy. Uśmiechnął się.

– No dobra, ale nikomu o tym nie mów. Ukrywałem to, ale nie pracuję tylko dla pieniędzy.

W oczach Tisy pojawiły się psotne błyski.

– Tak daleko bym się nie posuwała. Pracujesz tylko dla pieniędzy, ale z uczciwego źródła?

Resztę dnia spędzili, włączając się bez celu po krętych uliczkach, a czas umilali sobie swobodnymi rozmowami. Skupili się wyłącznie na sobie i doskonałym pięknie wyspy. Mercer smutniał tylko z jednego powodu. Co kilkanaście minut Tisa pytała go, która godzina. Nie miała na ręku zegarka, który jej podarował; nie miał o to żalu, jednak nie mógł zrozumieć obsesyjności, z jaką kontrolowała upływ czasu.

Siedzieli na cichej plaży na wschodnim brzegu wyspy, kiedy Tisa ponownie zapytała, która godzina. Mercer odpowiedział, że piętnaście po piątej. Kobieta przygryzła wargi i spojrzała na horyzont, a on już wiedział – właśnie skończyła się chwila idyllicznego zapomnienia.

– Musimy ruszać – powiedziała ze smutkiem w głosie. – Już prawieczas, żebyś zobaczył dowód. – Ujęła twarz Mercera w dłoń. – Chciałabym, żebyś wiedział, że dzisiejszy dzień był najwspanialszym od bardzo, bardzo dawna. Kiedy jestem z tobą, zapominam o tak wielu sprawach...

– Powiedz mi, co jest tak straszne, że musisz o tym zapomnieć? Cofnęła ręce i wstała, otrzepując pupę z piasku.

– Niedługo się dowiesz.

W wiosce Monolithos złapali taksówkę i po krótkich negocjacjach wrócili do Firy po bagaże, które zwieźli do głównych doków na południe od miasta. Droga prowadziła nad klifem i serpentyną zjeżdżała nad morze. Wąską ulicą z portu do miasta wspinały się ciężarówki.

Przewoziły towary, bez których wyspa nie mogłaby być zamieszkana. Między wielkimi pojazdami śmigali młodzi na motocyklach, a kiedy gwałtownie przyspieszali pod górkę, ryk rur wydechowych odbijał się między skałami. Kierowca taksówki głośno przeklął motocyklistę, który wyskoczył zza zakrętu, wyprzedzając dziesięcioosiową ciężarówkę, i wrócił na swój pas, mijając ich maskę o centymetry. Tisa spojrzała na Mercera.

– Czytałam, że w szczycie sezonu codziennie zdarza się tu przynajmniej jeden wypadek motocyklowy, a tygodniowo ginie w nich jedna osoba.

– Dzieciakom wydaje się, że tylko starsi są śmiertelni.

Minęli kolejny zakręt, za którym rozpościerał się widok na port. Za stojącymi na brzegu rzędami kontenerów cumował prom jeszcze większy i starszy niż ten, którym przyплыwał Mercer. Z jego wnętrza wyjeżdżał sznur samochodów i ciężarówek, a drugi, równie długi, czekał na wjazd na pokład. Prom z włazami po obu stronach przypominał poobijaną nowojorską taksówkę. Kolor farby zbladł pod wpływem ostrego słońca, swój ślad zostawiły też potężne sztormy na Morzu Egejskim. Statek wyglądał kanciasto, a na dodatek obie burty pokrywały głębokie wgniecenia i zarysowania powstałe z winy niedbałego kapitana, który po prostu przepychał się wśród innych statków w porcie.

Z otwartym przednim włazem prom przypominał dyszącą rybę wyrzuconą na brzeg.

– Wygląda na to, że się spóźniają – powiedział.

– A która godzina?

– To bez znaczenia. Pół godziny zajmie im załadunek tych wszystkich samochodów.

– Proszę...

– Piętnaście po szóstej.

Tisa zagięła długie palce, licząc w myślach. Po chwili odechnęła z ulgą.

– Wszystko będzie dobrze, jeśli odpłyniemy w miarę punktualnie.

– A o czym teraz mówisz?

– O pańskim dowodzie, panie doktorze. O dowodzie. Kierowcy taksówki musiała zapłacić Tisa, bo Mercer poprzedniego wieczoru zostawił właścicielom restauracji garść drachm o wartości stu dolarów, żeby podziękować za wspianały obiad.

– Powiesz mi, dokąd jedziemy? – zapytał, kiedy stanęli przy rampie.

– Ten chyba zatrzymuje się dopiero na Krecie, ale nie jestem pewna. Taka odpowiedź nie miała sensu.

– To jak chcesz mi pokazać jakiś dowód, skoro nie wiesz, dokąd płyniesz?

– Nie wiedziałam, że o to pytasz. Dowód jest tu, na Santorini. Ale najlepiej będzie oglądać go z daleka.

Kiedy znaleźli się na promie, ukryli swoje skromne bagaże w szafkach zamykanych na klucz, przy zaniedbanej kawiarni na środkowym pokładzie. Tisa zostawiła sobie torbę na ramię, a Mercer zapytał, czy może schować w niej pistolet, żeby nie musiał nosić marynarki. Dzień był bardzo gorący, a już sam tłok sprawiał, że pot ściekał mu po skórze.

Tisa kupiła w kawiarni kilka butelek wody mineralnej.

– Później mogą się nam przydać – wyjaśniła enigmatycznie. Wspięli się na górny pokład i znaleźli sobie miejsce przy relingach, w cieniu okopconego komina. Dwadzieścia minut później żałośnie zadźwięczała syrena, zamknięto właz i rzucono cumy. Prom odbił od nabrzeża i kiedy tylko wypłynął na morze, zaczął się kołysać jak otyła kobieta na nierównym chodniku. Już kilkadziesiąt metrów od czarnych klifów, które promieniowały

cieplem zgromadzonym za dnia, powietrze zrobiło się chłodniejsze i bardziej orzeźwiające.

Tisa postawiła torbę na podłodze, między stopami i zaczęła czegoś w niej szukać. W końcu znalazła i wyprostowała się. Podała zawiniątko Mercerowi. Była to książka zawinięta w impregnowane płótno. Oprawiony w skórę tom sprawiał wrażenie bardzo starego i zaskrzypiał, kiedy Mercer otworzył okładkę.

– Jesteś pierwszą osobą spoza Zakonu, która kiedykolwiek zobaczy jedną z naszych kronik – powiedziała, spoglądając nabożnie na księgę.

– Co to? – Mercer przerzucił kilka pergaminowych stron, ale nie mógł odczytać liter ani nie rozumiał języka.

– Przez niemal dwieście lat mnisi i mieszkańcy Rinpoche-La, a później również ci, którzy wstąpili do Zakonu, wyruszyli w świat, by weryfikować przepowiednie dotyczące ziemskiego chi. Każda z tych osób wiozła ze sobą taką księgę, żeby zapisywać w niej swoje obserwacje.

Słowa „zdarzenie” i „przepowiednie” sprawiły, że Mercer poczuł zimny dreszcz, bo dopiero teraz zrozumiał, o czym Tisa chciała mu od początku powiedzieć.

– Mówisz o trzęsieniach ziemi?

– Tak – odparła ze smutkiem. – I o wybuchach wulkanów.

– Nie da się przewidzieć erupcji. – Mercer pokręcił głową.

– To niemożliwe.

– I dlatego nie powiedziałam ci prawdy już wtedy, w Las Vegas. Wziąłbyś mnie za jeszcze większą wariatkę. Przyznaj mi rację. Gdybym ci wtedy powiedziała, że potrafimy przepowia-

dać trzęsienia ziemi, już byś się ze mną nie spotkał. Musiałam sięgnąć się tutaj, żeby pokazać ci dowód.

– Ta książka to nie jest dowód, Tisa.

– Która godzina?

– Za piętnaście siódma. – I wtedy nagle zrozumiał, co chciała mu pokazać. Przez chwilę nie mógł nabrać powietrza. – Chryste, trzęsienie ziemi?

– Zgodnie z zapisaną w kronice przepowiednią powinno nastąpić już dwa dni temu, w samo południe. Ale mówiłam ci wczoraj, że przez meteoryt w pobliżu wsi Tunguska przepowiednie Wyroczni są przesunięte. Nowe wyliczenia mówią, że zaczniesz się za dwadzieścia minut. – Wzięła księgę, otworzyła na jednej z zapisanych stron i potem podała mu ją z powrotem. Nie potrafił przeczytać wyblakłego pisma, więc skoncentrował się na cyfrach zapisanych na marginesie. Rozpoznał wśród nich datę sprzed dwóch dni i współrzędne geograficzne. Tisa podała mu jeszcze współczesną mapę turystyczną. Ktoś zaznaczył na niej Santorini. Współrzędne się zgadzały.

– Kiedy to zostało spisane? – szepnął, wciąż nie pojmując konsekwencji.

– W 1850 – odparła. – Ten tom dotyczy aktywności sejsmicznej w basenie Morza Śródziemnego. Są jeszcze inne, dla pozostałych rejonów Ziemi. Jeśli chcesz, mogę ci pokazać, w którym miejscu jest przepowiednia kataklizmu w Izmit, w Turcji, z 1999, który zabił tylu ludzi. Albo wybuch Etny.

– Wiedziałaś o tym, zanim się wydarzyło? Potaknęła.

– Kroniki są pod opieką rady archiwistów, a obserwatorzy dostają je krótko przed erupcją wulkanu czy trzęsienia ziemi. Mają dość czasu, żeby dotrzeć na miejsce i spisać swoją relację. W ostatnich dwudziestu latach, kiedy media stawały się coraz bardziej globalne i rozwijał się Internet, rada przestała wysyłać obserwatorów, bo wieści same docierają do Rinpoche-La. Wciąż mamy swoich ludzi na całym świecie, członków, którzy nie znają całości przepowiedni. Od nich otrzymujemy szczegółowe raporty, jeśli chcemy skorygować przesunięcie czasu, które powstało po 1908.

– Boże, Tisa, jeśli wyspę ma nawiedzić trzęsienie ziemi, musimy ostrzec ludzi! Nie możemy pozwolić im umrzeć!

Mercer zerwał się na nogi. Tisa musiała złapać go za ramię, zanim zbiegł na dolny pokład, żeby szukać kapitana.

– Uspokój się. Wyrocznia twierdzi, że to będzie małe trzęsienie ziemi. Przecież nie narażabym cię na niebezpieczeństwo.

– Jak małe? – zapytał nieufnie.

– Tylko zadzwonią szyby w oknach i kilka kotów wpadnie w panikę. – Uśmiechnęła się.

– A te większe? Takie jak w Turcji? Dlaczego ich nie uprzedziłaś? Nie ostrzegłaś? Boże, mogłaś ocalić tysiące istnień!

Tisa pokręciła głową.

– To wykluczone. Mówiłam ci, że tylko archiwiści mają dostęp do kronik i tylko oni rozumieją, jak działa Wyrocznia. Obserwatorzy są już zbędni. Nie mamy pojęcia, co przekazała Wyrocznia, dopóki to się nie zdarzy. Sprawdzamy skutki zdarzenia, żeby ustalić, czy nasze wysiłki nad korektą przepływu

chi przynoszą jakikolwiek skutek. Ja nawet nie powinnam mieć tej kroniki! – przyznała ze skruchą w głosie. – Ukradłam ją z archiwum, żeby cię przekonać.

Nagle zrobiła się zła.

– To właśnie doprowadziło do rozłamu w Zakonie. Niektórzy uważają, że naszym obowiązkiem wobec ludzkości jest ujawnić, co wiemy. Inni, jak ci z Luxoru, uważają, że należy pozostać w cieniu. Twierdzą nawet, że nie powinniśmy ingerować w powiększający się brak równowagi chi!

– To stąd wiedzieliście o eksperymencie... – powiedział Mercer bardziej do siebie niż do niej. – Wstrząsy, które uderzyły w Waszyngton i Reno, nie zostały przewidziane, prawda? W jakiś sposób spowodował je eksperyment doktor Marie.

– Kiedy zostały zarejestrowane, archiwiści wpadli w panikę, bo zgodnie z kroniką nie powinno być tam żadnej aktywności sejsmicznej przez kilka miesięcy. To nie był zwykły brak równowagi chi, tylko coś więcej, coś, z czym jeszcze nigdy się nie spotkaliśmy. Do Stanów poleciało kilka zespołów, żeby ustalić przyczynę. Pojawiły się głosy, że Wyrocznia nie jest już niezawodna.

– Czym jest Wyrocznia?

– Tylko raz w życiu ją widziałam, kiedy byłam dzieckiem, ale... Wszystko wokół zaczęło się trząść. Wibracje poprzez wody docierały do pokładu, wprawiając w drżenie ich ciała. Po chwili do ich uszu dotarł jakiś dźwięk. Z początku niski, basowy, napływał jak niekończąca się fala. Część pasażerów skoczyła do relingów, żeby obserwować wyspę. Pozostali patrzyli na siebie

zaskoczeni. Na chwilę świat zwolnił. Jakaś kobieta krzyknęła, widząc, jak pod wpływem delikatnego trzęsienia ziemi drży powierzchnia morza. Od skał otaczających kalderę oderwało się kilka głazów i runęło z wysokości do wody. Rozbryzgi wody wyglądały jak eksplozje torped, uderzających w wysoki brzeg. Na całej wyspie zerwały się chmary ptaków i wzbiły w powietrze, przesłaniając niebo.

A potem nagle drzenie osłabło, a dźwięk ucichł szybciej, niż narastał. Pasażerowie zachowywali się nieswojo, a kilku zbladło jak ściana. Byli i tacy, którzy dodawali sobie otuchy nerwowym śmiechem.

Mercer nie ruszał się z miejsca. Dłonie trzymał zaciśnięte na relingu, twarz miał pochmurną. Jeszcze zanim ziemia zadrzęta, wiedział, że Tisa nie wymyśliła tej historii. Wszystko, co powiedziała, było prawdą, a jej skutków nie dało się jeszcze oszacować. Najtęższe umysły na świecie, naukowcy, geomechanicy, geologowie, specjaliści od mechaniki płynów i innych dziedzin pracowali nad wykrywaniem zbliżającego się trzęsienia ziemi, żeby ostrzec ludzi choćby kilka godzin wcześniej. Ich wysiłki na razie spełzały na niczym. Nie potrafili wyprzedzić trzęsienia ziemi nawet o minutę. A teraz oto stał na pokładzie starego promu i widział kronikę, w której zapisano dokładne daty i godziny kolejnych trzęsień. Nie potrafił tego wyjaśnić. Czuł jakiś przesądny zachwyty i podniecenie samą myślą, na ilu polach można by wykorzystać to odkrycie. Musiał to wszystko zrozumieć. Musiał nauczyć się wszystkiego, co Tisa wiedziała o Wyroczni.

Odwracając głowę w jej stronę, kątem oka zauważył postać po drugiej stronie pokładu. W ułamku sekundy zrozumiał, kto to jest, co oznacza jego obecność i zareagował na zagrożenie. Rzucił kronikę i złapał Tisę za rękę w chwili, gdy mężczyzna zbliżający się do nich przez tłum zorientował się, że został zauważony.

Donny „Trzonek” Randall uśmiechnął się drapieżnie i sięgnął pod wiatrówkę.

Tisa obejrzała się przez ramię, kiedy Mercer pociągnął ją za sobą. Nie rozpoznała potężnego mężczyzny, który runął za nimi, jednak razem z nim był ktoś, kogo znała: jej brat Luc. Serce zabiło jej jak szalone. W ostrzu noża, który trzymał przyciśnięty do nogi, odbijały się pokładowe reflektory.

Na szczycie schodów prowadzących na środkowy pokład Mercer roztrącił brutalnie grupkę niemieckich studentów wychodzących z kawiarni. Rozległ się brzęk tłuczonych kufli z piwem. Jeden z podpitych turystów zaklął i zamachnął się, żeby uderzyć go w głowę. Chłopak chybił, ale za to trafił jednego ze swoich kolegów, zrzucając go ze schodów. Ktoś krzyknął i odskoczył, panika natychmiast zaczęła zataczać coraz szersze kręgi. Uciekający pasażerowie spowolnili biegnącego pod prąd Randalla.

– Daj mi broń! – krzyknął Mercer, ciągnąc Tisę stalowymi schodkami w dół.

– Została w torbie na górnym pokładzie!

Ścisnął jej dłoń, jakby mówił, że to nieważne i intensywnie myślał, jak uciec z pułapki. Nie miał wątpliwości, że Donny miał na promie wsparcie. Szczupły mężczyzna za nim wyglądał, jakby

należał do zespołu Trzonka. Na pewno było ich więcej. W Las Vegas zaatakowali go w sześciu, bo zakładali, że zostanie uwięziony w swoim pokoju. Na pokładzie promu też był w pułapce, ale tym razem na pewno nie ryzykowali i podwoili liczbę ludzi.

Schody kończyły się przejściem na szeroki balkon, ciągnący się środkiem pokładu. Wzdłuż ściany stały podeschłe palmy w doniczkach. W prawo i w lewo odchodziły korytarze do kabin i pomieszczeń wypoczynkowych. Wszędzie panował tłok. Ludzie stali oparci o ściany, kucali przy stosach bagażu i spacerowali. Z kawiarni wylewał się nieprzerwany strumień podróżnych. Choć nikt nie zwracał na nich uwagi, Mercer wiedział, że ludzie Randalla czają się w pobliżu. W połowie antresoli znajdowała się klatka schodowa, prowadząca z powrotem na górny pokład. Donny spodziewał się, że będzie chciał znaleźć schronienie pośród płataniny korytarzy. Mercer pociągnął więc Tisę za sobą schodami, zanim Randall i jego ludzie zdążyliby ich zauważyć. Na górnym pokładzie wiał delikatny wiatr. Mercer zorientował się, że cały ocieka potem, choć serce biło mu spokojnie i oddychał normalnie. Szok po spotkaniu z Randallem już minął. Przecisnął się przez tłum i złapał torbę Tisy spod ławki, na której siedzieli.

Znajomy ciężar beretty w dłoni nieznacznie zwiększał ich szanse.

Światła Santorini zmieniły się w punkciki na tle ciemnego horyzontu. Za rufą, od strony wyspy płynął biały jacht motorowy. Trzymał się w tej samej odległości, kilkadziesiąt metrów od nich. Mercer wątpił, by znalazł się tam przez przypadek. Spojrzał na oddalającą się wyspę. Trudno nocą oceniać odległość na morzu,

ale uznał, że są już zbyt daleko, żeby wrócić wpław. Musieli uciec z promu, ale żeby przeżyć, potrzebowali łodzi. Tratwy ratunkowe na statku były nadmuchiwane i mogły zabrać około czterdziestu ludzi. Złożone mieściły się w zamkniętych kokonach z włókna szklanego. Mercer spojrział na płataninę rączek i dźwigni i od razu wiedział, że nie ma szans zdążyć w kilka minut, jakie im zostały, zanim Randall się zorientuje, dokąd uciekli.

– Co robimy? – Tisa miała w oczach strach, ale nie bała się o siebie. Przyrodni brat nigdy by jej nie skrzywdził. Bała się o Mercera.

Trzymając ją za rękę, Mercer ruszył w kierunku dziobu.

– Kiedy wchodziliśmy na pokład, widziałem dużą skrzynię w przejściu. Na tabliczce było napisane, że w środku są sześćoosobowe pontony. Jeśli uda nam się tam dostać, to uciekniemy z promu.

Minęli grupkę studentów, siedzących wokół młodej dziewczyny z gitarą. Od schodów dzieliło ich tylko kilkanaście kroków, kiedy zza kolumny z wentylatorami wyszło dwóch mężczyzn w identycznych nylonowych kurtkach. Mercer na chwilę zwolnił, oceniając kąty i odległości. Pamiętał o pasażerach przed sobą.

Napastnicy nie mieli takich rozterek. Spod wiatrówek wyciągnęli karabiny maszynowe i po prostu zaczęli strzelać. Pośród krzyków przerażonych nastolatków Mercer usłyszał wysoki pisk rannej kobiety. Padł na pokład, odpychając Tisę na bok, i strzelił w stronę zamachowców, celując specjalnie nad nimi, żeby przez przypadek nie zranić żadnego pasażera. Mężczyźni zniknęli

z pola widzenia, dając mu kilka sekund, które wykorzystał, żeby uciec z linii strzału.

Pasażerowie zgromadzeni przy relingach rzucili się do ucieczki z górnego pokładu. Ktoś wypadł albo został wypchnięty do wody. Mercer i Tisa zostali porwani przez pędzący tłum. Walczyli, by utrzymać się na nogach, kiedy na wpeł biegli, na wpeł spadali ze schodów.

Tuż za wąskim gardłem schodów tłum się przerzedzał. Mercer i Tisa stracili osłonę. Kilka kroków od nich pojawiła się dwójka mężczyzn w identycznych wiatrówkach. Stali nieco z boku i spoglądali na uciekających ludzi. Tym razem Mercer się nie zawahał. Pierwszego uderzył kolbą pistoletu w głowę z tak brutalną siłą, że zamachowiec momentalnie padł na ziemię. Drugi stał z boku, więc Mercer wbił mu berettę w brzuch i, nie martwiąc się o to, że wychodzące przez plecy pociski mogłyby kogoś zranić, pociągnął za spust.

Ciało osłabiło huk wystrzału, ale nie na tyle, żeby zapobiec kolejnemu wybuchowi paniki. Ktoś z załogi uruchomił alarm przeciwpożarowy i do krzyków dołączył przenikliwy brzęczyk. Mercer walczył z napierającym tłumem, przepychając się i rozdając ciosy łokciami, aż w końcu wpadli do pustego korytarza.

– Chcą nas zabić – wydyszała Tisa, biegnąc.

– Też to zauważyłaś?

– Ale tam na górnym pokładzie był też mój brat, Luc. – Wciąż nie mogła w to uwierzyć. – Nigdy by mnie nie skrzywdził. On... on... on mnie kocha.

Mercer nie wiedział, co powiedzieć, choć teraz lepiej rozumiał rozżalenie w jej głosie, kiedy mówiła o rozłamie w Zakonie. Jej brat był po drugiej stronie i najwyraźniej uznał, że jego przekonania są warte więcej niż życie siostry. Kim oni, do cholery, byli? Bez dwóch zdań fanatycy, ale do jakiego stopnia? Nic z tego, co Tisa powiedziała mu poprzedniego wieczoru, nie uzasadniało takiego zezwierżenia.

Pomyślał, że nie powiedziała mu jeszcze wszystkiego i było coś, co wyzwoliło w nich agresję, która przez stulecia pozostawała uśpiona. Strach lub władza: żadna inna motywacja nie przychodziła mu do głowy. Albo bali się jakiejś nadchodzącej katastrofy, albo chcieli za pomocą Wyroczni zdobyć władzę. Ale biorąc pod uwagę działanie Wyroczni, mógł sobie wyobrazić, czego się boją.

– Musisz mi powiedzieć, co się dzieje – zażądał stanowczo, sprawdzając, czy korytarz przed nimi jest pusty. – W Vegas chcieli mnie zabić. Teraz ciebie chyba też.

Tisa otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale w tym samym momencie przeleciał między nimi pocisk, a potem rozległ się huk wystrzału. Mercer strzelił za siebie, żeby zdobyć trochę czasu, i pchnął Tisę do przodu. Kiedy dobiegli do ostrego zakrętu, zatrzymał się, żeby sprawdzić, kto ich ściga. Korytarz był pusty, ale za szybą podwójnych drzwi dostrzegł głowę Randalla. Mercer strzelił dwukrotnie w jego kierunku i ruszył do ucieczki. Odwracając się, dostrzegł jeszcze, że z Donnym był przynajmniej jeden mężczyzna. Człowiek z nożem, którego widział już na górnym pokładzie. Od razu pomyślał o dwóch sprawach. Po

pierwsze, to był ten sam zamachowiec, który w Vegas z zimną krwią zamordował kobietę, a po drugie, wyglądał wręcz jak bliźniak Tisy.

Dziewczyna czekała na niego w wejściu do pomieszczeń dla personelu, do których pasażerowie nie mieli dostępu. Świeciły tam gołe żarówki osłonięte stalowymi kratkami. Metalowe ściany miały szary kolor, a schody strome jak drabina prowadziły gdzieś w ciemność. Ciężkie i gorące powietrze śmierdziało przepalonym olejem silnikowym. Mercer przeskoczył przez próg i ruszył schodami za Tisą.

Mieli przewagę, ale za kilka sekund wąska klatka schodowa mogła zamienić się w rzeźnię. Tisa zwinnie przeskakiwała kolejne stopnie, a Mercer deptał jej po piętach. Kiedy dotarli do kolejnego poziomu, podbiegła do przejścia. Właz był zamknięty. Odsunęła się na bok. Mercer nie mógł poruszyć klamką i natychmiast zauważył, że drzwi już dawno temu zostały przyspawane do framugi.

– Przypomnij mi, żebyś to zgłosił kapitanowi – rzucił kwaśno, kiedy ruszyli z powrotem w kierunku schodów.

Powietrze przeciął kolejny strzał. Huk niemal rozerwał im bębunki w uszach. Kula rykoszetowała kilka razy od stalowych ścian, wyrzucając w powietrze snopy isker. Tisa i Mercer nie wiedzieli, gdzie dokładnie się znajdują. Mimo dzwonienia w uszach geolog słyszał pościg, ale miał zbyt mało amunicji, żeby zatrzymać ich ogniem.

Dotarli do głównego pokładu samochodowego. Niżej nie dało się już zejść. Jeśli te drzwi też zaspawano, oboje byli już

martwi. Mechanizm ciężkiego wjazdu nie chciał nawet drgnąć, tylko skrzypiał jak paznokcie drapiące tablicę. Mercer uniósł dźwignię, jednocześnie napierając ramieniem. Gruba warstwa rdzy trzymała drzwi w miejscu. Cofnął się i znów natarł na zimną stal. Tym razem wjazd skrzypnął głośno i odskoczył, a impet nie dał mu się zatrzymać. Mercer upadł na podłogę, poturlał się i uderzył w zaparkowane volvo, wgniatając drzwi kierowcy. Kiedy wstał, Tisa zamykała już wjazd. Podbiegł, żeby pomóc jej zablokować zamek. Na ścianie niedaleko wisiał czerwony strażacki toporek. Zerwał go z haka i wsunął stylisko w mechanizm, żeby z zewnątrz nie dało się go otworzyć. Zmęczeni opadli na ścianę. Po raz pierwszy, od kiedy zobaczyli Randalla na pokładzie, poczuli się bezpieczni. Przebiegli tylko kawałek, ale i tak dyszeli jak po maratonie.

Starając się uspokoić oddech, Mercer rozejrzał się po pokładzie. Morze samochodów ciągnęło się od dziobu do rufy promu i miało szerokość trzynastu, może czternastu metrów. Sufit wsparty na kratownicach był sześć metrów nad ich głowami. Biała niegdyś farba żółkła pod wpływem spalin i zaniedbania. Powietrze cuchnęło spalinami z silników Diesla. Podłogę pokrywał materiał antypoślizgowy, który już dawno utracił swoje właściwości.

Ładownia była podzielona na trzy rzędy, z których środkowy był zarezerwowany dla ciężarówek, a dwa zewnętrzne dla samochodów osobowych. Takie rozłożenie ładunku miało zapewnić statkowi stabilność. Potężne wjazdy na dziobie i rufie, zamykane

za pomocą grubych stalowych lin, wyglądały jak mosty zwodzone starego zamczyska.

Gdzieś niedaleko musiały znajdować się silniki promu, bo podłużne pomieszczenie wyraźnie wibrowało. Grube rury wydechowe biegingy wzdłuż ścian, od podłogi do sufitu, a niewykorzystane ciepło z silnika rozgrzewało ładownię do nieznosnej temperatury.

Znajdowali się tak blisko linii wody, że szum fal uderzających o burty zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Mercer ścisnął berette, uświadamiając sobie, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Donny na pewno miał dość ludzi, żeby obstawić wszystkie wyjścia z ładowni, a potem ze spokojem zapolować na niego i Tisę.

Uderzenie stali o stal wygłuszyły nieco grube drzwi. Mercer odskoczył i zawirował, unosząc pistolet, by powitać Randalla kulą, jeśli uda mu się otworzyć właz. Minęło kilka sekund, potem parę kolejnych i nic się nie wydarzyło.

– Hej, Mercer, słyszysz mnie? – krzyknął Donny zza drzwi. Mercer rozejrzał się wśród zaparkowanych samochodów, szukając ruchu. Spodziewał się, że Randall spróbuje zająć go rozmową, a jego ludzie wejdą do ładowni innym wejściem. Nie zauważył niczego podejrzanego.

– Daj spokój, przecież wiem, że tam jesteś! – krzyknął Donny. Mercer znów nie odpowiedział, więc Randall kontynuował: – Nieważne. I tak powiem swoje. Dobra, słuchaj uważnie. Za jakieś dziesięć minut zginie sporo niewinnych ludzi. Muszą umrzeć, bo ty postanowiłeś przeżyć potop w kopalni. Ironia losu, co? Masz więcej żywotów niż kot, a ludzie na promie będą za to cierpieć.

Nie mogę winić Luca za to, że cię nie docenił w hotelu w Vegas. To też trochę moja wina. Ale wiesz co? Nie tym razem. Luc domyślił się, że ty i jego siostra przyjedziecie na Santorini, żeby obejrzyć trzęsienie ziemi. Niezła sprawa, przewidywać trzęsienia ziemi, co? W każdym razie wsiedliśmy na ten prom, żeby mieć więcej czasu na przygotowania. Po wypłynięciu z wyspy moi ludzie zabezpieczyli wszystkie wejścia na pokład samochodowy... wszystkie, oprócz tego jednego. Plan był taki, że jeśli nie zdejmimy cię na górze, zmusimy do ucieczki na dół. No i proszę, udało się. Powiedz dziewczynie, że Luc nie chciał jej krzywdzić, ale, cholera, wypadki się zdarzają.

– Skończ pieprzyć, Donny i powiedz, czego chcesz?

– Wiedziałem, że tam jesteś! – Randall zawył z radości.

– Tak, Donny, jesteś mistrzem strategii. – Mercer splunął.

– Gratulacje. Czego chcesz?

– Chcę patrzeć, jak umierasz. Niestety, nie zobaczę. Zaraz znikam z promu, a pięć minut później eksplodują ładunki, które rozwałą dno. Założę się, że utoniesz jako pierwszy.

Mercer i Tisa spojrzeli na siebie.

– Ty chory sukinsynu, po co to robisz?

– Bo zawałiłeś sprawę i wymknąłeś się z kopalni, staruszk. Mercer się nie zawahał. Poczucie odpowiedzialności nie dawało mu spokoju.

– Jeśli zależy ci tylko na mnie, to otwórz te cholerne drzwi i mnie weź. Zostaw Tisę i pozostałych pasażerów w spokoju.

– Sorry, stary, ale już za późno. Zniszczyłem zamek po tej stronie, a palce już mnie świerzbią, żeby odpalić dwadzieścia

pięć kilo ładunku, który ukryliśmy w maszynowni. Kiedy woda zamknie się nad twoją głową i będziesz otwierał usta, żeby wypełniła twoje płuca, chcę, żebyś pamiętał, że to tylko twoja wina.

– Zabiję cię! – ryknął Mercer. Szum pulsującej krwi zagłuszał wszystkie inne myśli w jego głowie. – Przysięgam na Boga, że wyrwę ci serce.

Randall się zaśmiał.

– Chyba czeka cię trochę problemów, Mercer. Po pierwsze, nie opuścisz tego promu żywy, a po drugie, powinienes już wiedzieć, że ja nie mam serca.

– Randall! – krzyknął Mercer, uderzając pięścią w stalowe drzwi. – Hej, Randall!

Już go nie było.

– Mercer? – odezwała się Tisa i uspokajająco dotknęła jego ramienia. – Już, starczy. Stąd musi być jeszcze jakieś wyjście, jakiś szyb wentylacyjny czy coś...

Po raz ostatni uderzył otwartą dłonią w drzwi i mógłby przysiąc, że słyszał śmiech Randalla, kiedy wspinał się po schodach.

– Dobra, masz rację. – Odetchnął kilka razy głęboko, przekuwając swój gniew w działanie. – Ty pójdz tą stroną, ja sprawdzę drugą. – Spojrzał jej w oczy. – Wyjdziemy z tego cali, przyrzekam ci.

Uśmiechnęła się.

– Wiem.

Mercer biegiem przeciął pokład, lawirując między samochodami, aż w końcu znalazł się po drugiej stronie. Ściany wyglądały identycznie i miały takie same wzmocnienia. Zna-

lazł dwie pary drzwi, lecz zgodnie ze słowami Randalla nie dało się ich otworzyć, choć użył kolejnej siekiery strażackiej jako dźwigni. Przesuwał się w kierunku rufy. Natrafił na kilka przewodów wentylacyjnych, jednak tak ciasnych, że nawet wygimnastykowana Tisa nie dałaby rady się przez nie przecisnąć. Główne wentylatory ładowni wisiały pod sufitem, zbyt daleko, by do nich dosięgnąć i zbyt wąskie, by nimi uciec.

Spotkali się z Tisą przy rampie załadunkowej na rufie.

– Znalazłaś coś?

Pokręciła głową.

– Która godzina?

– Chryste, ty znowu swoje?

Przyjęła jego ton bez złości.

– Nie, pytałam tylko, ile czasu zostało nam do wybuchu – powiedziała spokojnie.

Mercer nie spojrział na zegarek.

– Pewnie niewiele.

Wskoczył na maskę najbliższego samochodu, jakiegoś starego modelu Audi, a potem na dach i rozejrzał się, szukając najbezpieczniejszego miejsca, by czekać na eksplozję. Żeby założyć ładunki, które mogłyby zrobić wyrwę w dnie, Donny musiał jakoś dostać się do maszynowni. To oznaczało, że ładunki znalazły się w okolicach środka statku, w pobliżu zbiorników paliwa – w takim miejscu nawet niewielka ich ilość zamieniłaby prom w piekło. Czyli okolice dziobu i rufy były w miarę bezpieczne, a teraz przetrwanie stało się najważniejsze.

Zeskoczył z samochodu i rozejrzał się po innych samochodach. Fiat w pobliżu nie był zamknięty. Otworzył tylne drzwi.

– Wsiadaj, szybko! – Mercer przesunął siedzenie kierowcy maksymalnie do przodu i kazał Tisie zwinąć się na podłodze, a potem sam wsiadł i przykrył jej ciało swoim. – Zamknij oczy i otwórz usta. To ochroni twoje bębny przed falą uderzeniową.

Mercer wiedział, że czekanie okaże się męczarnią. Kolejne minuty będą ciągnęły się w nieskończoność, a nieuniknione będzie coraz bliżej. Najgorsza była niepewność, gdzie są ładunki i czy przypadkiem nie tuż pod nimi.

Na szczęście ich tam nie było. Już po kilku sekundach statek zakolysał się, podskoczył i zatrząsł, spychając ich fiata na stojącą obok dziesięcioosiową cysternę z paliwem. Po chwili rozległa się druga eksplozja, znacznie silniejsza niż pierwsza. Zbiornik paliwa? – pomyślał Mercer. W tym samym momencie eksplodował trzeci ładunek, w pobliżu dziobu.

Kiedy echo wybuchu osłabło, zaryzykował i otworzył oczy. Światła pod sufitem zgasły. Nie widział nigdzie ognia, ładownię oświetlały pojedyncze lampy ewakuacyjne, rozmieszczone wzdłuż ścian. Przez wycie alarmów samochodowych przebił się przerażający dźwięk. Kiedy otworzył drzwi, nie miał już wątpliwości – słyszał szum wody wlewającej się do wnętrza kadłuba. Zabrzmiały alarmy przeciwpożarowe i do kakofonii dźwięków dołączyła syrena z migającym czerwonym światłem.

Wysiadł z samochodu ze świadomością, że dla promu nie ma już ratunku. Musiał z uznaniem pomyśleć o Randallu, który tak sprytnie rozmieścił ładunki. Przy piętnastu węzłach impet promu

działał jak pompa, wciskając wodę przez wyrwę w dziobie. Przy tak silnym prądzie nie mieli szans, by wypłynąć na zewnątrz przez dziurę w poszyciu. Jeśli by poczekali, aż statek zwolni, najpewniej skończyliby na dnie morza.

– Co robimy? – zapytała Tisa, kiedy wyszła z samochodu i stanęła obok.

– Jeszcze nie wiem, zastanawiałam się – odpowiedział Mercer nieobecnym głosem, bo w jego głowie rodził się zarys planu. Otwartą dłońią uderzył cysternę, o którą oparł się fiat. Rozległ się cichy, głuchy dźwięk. Pełna. I bardzo duża.

Właz rufowy miał osiem metrów szerokości i był niemal tak samo wysoki. Miał też poprzeczne bruzdy, żeby wjeżdżający i wyjeżdżający ze środka nie tracili przyczepności. Opuszczaną platformę trzymały napięte liny, umocowane do silników z bębniami zamocowanymi na ścianach ładowni. Chociaż na statku wysiadło zasilanie, liny były dalej napięte. Teoretycznie, jeśli Mercer przeciąłby liny, właz dałoby się otworzyć. Pierwsze skojarzenie z mostem zwodzonym i zamkiem obudziło kolejne: pełna cysterna była doskonałym taranem.

Kierowca zostawił otwartą szoferkę, więc Mercer szybko wskoczył za kierownicę. Czuł już, że statek powoli przechyla się na dziób. Kabina cysterny śmierdziała papierosami, potem i czosnkiem. Na siedzeniu pasażera leżał otwarty magazyn pornograficzny. Kluczyków nie było ani w stacyjce, ani za daszkiem przeciwsłonecznym. Mercer przesunął dłońią po podłozie, sprawdził schowek przed fotelem pasażera i dwie półeczki na desce rozdzielczej. Nic. W drzwiach była jeszcze kieszonka

na mapę. Sprawdził i tam, ale nic nie znalazł, za to palce miał wysmarowane jakimś lepkiem świństwem.

Przeklinając, wytarł dłoń w siedzenie i wyskoczył z szoferki. Nachylenie pokładu wzrosło już chyba do dziesięciu stopni.

– To by było tyle, jeśli chodzi o wyjazd stąd samochodem – powiedział. Tisa słuchała w milczeniu. – Ale ta ciężarówka i tak się nam przyda.

Zza paska wyciągnął berettę i podszedł do jednej z lin mocujących rampę. Uciekając, liczył strzały, więc wiedział, że pozostały mu cztery pociski.

– Biegnij po siekiere, którą zablokowałem drzwi – rozkazał Tisie, a sam zbliżył lufę do grubej liny.

Wypalił, przechylając nieco pistolet, żeby nie dostać rykoszetem. Dziewięćmilimetrowy pocisk rozerwał połowę plecionej liny. Znów wycelował i pociągnął za spust, przecinając resztę. Tisa wróciła i stanęła obok. Mercer tymczasem przeszedł na drugą stronę promu i pozostałymi dwiema kulami niemal przeciął linę.

Tisa podała mu siekiere. Staął w rozkroku. Prom coraz bardziej przechylał się do przodu. Za kilka minut każde nieprzywiązane auto zacznie zsuwać się w kierunku dziobu. Uniósł siekiere i wziął zamach.

Uderzenia wysyłały bolesne wibracje do jego ramion, ale stopniowo przecinał kolejne włókna. Rębał płynnymi ruchami, w rytmie, którego nauczył się kiedyś w lasach w Vermoncie, gdzie z dziadkiem rębał drwa na opał.

Za siódmym razem lina puściła. Pękła z głośnym jękiem, rozprężając kilka zwojów na bębnie. Mercer nie marnował czasu. Przebiegł natychmiast na drugą stronę i trzema silnymi uderzeniami przeciął linę do końca. Statek tonął dziobem, więc rampa na rufie przylegała szczelnie do framug, utrzymywana w miejscu przez grawitację.

Jakieś małe auto na łysych oponach przegrało walkę z coraz większym nachyleniem pokładu i uderzyło w samochód z przodu. Siła zderzenia sprawiła, że i to auto ruszyło z miejsca. Po kilku sekundach połowa aut w rzędzie po prawej stronie była już w ruchu, niczym domino. Przestały się ślizgać, kiedy wpadły na frontowy właz. Mercer wyłapał pośród skrzypienia gniecionej blachy wyraźny szum wody. Ładownia tonęła szybciej, niż się spodziewał.

Doskonale.

Wrócili do swojej pracy.

– Tisa, przejdź się wśród samochodów i zbierz tyle koców, ile zdołasz. Ceraty i folie też, jeśli znajdziesz.

– Już lecę. – Nie zamierzała kwestionować jego poleceń. Podeszedł do zaworów, którymi można było spuszczać paliwo z ogromnej cysterny. Żeby je otworzyć, potrzebne było specjalne narzędzie, ale na szczęście znalazł je w skrzyneczce przed tylnymi kołami. Otworzył pierwszy zawór i z rury wystrzelił złoty strumień benzyny. Paliwo tryskało pod takim ciśnieniem, że struga rozpryskiwała się o właz rufowy i spływała po podłodze z powrotem, aż do dziobu, gdzie mieszała się z morską wodą. Opary paliwa przyprawiały go o zawroty głowy.

Samochód po lewej stronie zsunął się w kierunku dziobu.

– Tisa? Wszystko w porządku? ! – krzyknął ze strachem.

– Tak, nic mi nie jest. Co to za zapach?

– Benzyna. Opróżniam cysternę.

– Okej.

Mercer otworzył drugi zawór, dwukrotnie zwiększając prędkość opróżniania zbiornika. Nie miał pojęcia, ile czasu może to zająć, więc ruszył wzdłuż rzędu ciężarówek. Przed cysterną stał osiemnastokołowy tir z otwartą szoferką. Prom nie przechylił się jeszcze na tyle, żeby masywne wozy straciły przyczepność, ale kiedy Mercer wsiadł do środka, zobaczył, że wóz stoi na biegu i z zaciągniętym hamulcem. Kiedy wszystko będzie gotowe, zamierzał najpierw spuścić ciężarówkę w dół pokładu, a potem zjechać cysterną. Potrzebował sporo miejsca na rozpęd, jeśli cysterna miała samym impetem wyrwać tylną rampę.

Tisa wróciła po kilku minutach z naręczem koców, śpiworów i rolką folii. Musiała oprzeć się o bok cysterny, żeby się nie przewrócić i nie zjechać.

– Mam wszystko, co chciałeś! – krzyknęła do Mercera, który stał przy zaworach. – Powiesz mi, po co to?

– Wskakuj do szoferki – odpowiedział. Ponad dwie trzecie benzyny z cysterny wypłynęło na pokład, mieszając się z wodą w coraz większym bajorze przy dziobie. Mercer zauważył, że gwałtownie spadła temperatura powietrza i od dłuższego czasu nie było słyhać silników. Zamknął zawory i stanął przy otwartych drzwiach kierowcy. – Woda waży mniej więcej kilogram na

litr, a słona woda jeszcze mniej. W cysternie było jakieś piętnaście tysięcy litrów paliwa, a ja wylałem około dziesięciu.

– Czyli zostało jeszcze pięć – powiedziała Tisa.

– Przede wszystkim zostało w niej powietrze – poprawił ją.

– Dziesięć tysięcy litrów powietrza, czyli całkiem duża wyporność. Pozostała benzyna też jest przecież lżejsza od wody, więc powinno wystarczyć, żeby cała cysterna unosiła się na wodzie jak kawałek styropianu.

W oczach Tisy pojawił się błysk.

– Kiedy ładownia wypełni się wodą, cysterna uderzy we właz, otworzy go i... i wypłyniemy na powierzchnię.

Mercer pokiwał głową.

– Pod warunkiem że wcześniej nie utoniemy w kabinie. Tisa wskazała głową na koce.

– Po to miałam je zebrać.

– Dokładnie tak.

Pracowali ramię w ramię, drąc śpiwory i materiał w pasy, które wciskali w otwory wentylacyjne, a potem za pomocą znalezionej w schowku taśmy izolacyjnej zaklejali szpary przy drzwiach pasażera. Starali się zabezpieczyć też otwory wokół pedałów sprzęgła, gazu i hamulca i każde inne miejsce, przez które woda mogłaby dostać się do środka.

Dzięki gorączkowemu zajęciu nie zwracali uwagi na odgłosy tonącego statku i coraz większą ilość wody w ładowni. Wszystkie osobówki zjechały w tym czasie w kierunku dziobu.

Kiedy skończyli, nie działał już żaden alarm samochodowy, bo słona woda spowodowała zwarcia w instalacjach elektrycznych.

– Chyba jesteśmy gotowi – oznajmił Mercer. – Muszę jeszcze oczyścić pokład za nami, żeby kontrolować, gdzie się zatrzymamy. Nie możemy utknąć w tym karambolu na dole. Zaraz wracam. Będę bardzo się spieszył, więc usiądź już na miejscu pasażera, ale nie spuszczaaj nogi z hamulca.

Kiedy wyszedł z kabiny i spojrział w kierunku dziobu, trzysta metrów pokładu wyglądało jak skocznia narciarska z perspektywy skoczek. A na samym dole spoczywała kupa pogiętych zakleszczonych osobówek, zalewanych napływającą wodą. Powierzchnia coraz większego bajora wybuchała gejzerami, kiedy z pogiętych aut uwalniały się resztki powietrza. Widok był straszny. Na razie żadna z ciężarówek nie ruszyła z miejsca, a to dzięki dużej liczbie szerokich opon.

Mercer musiał odchylić się do tyłu i złapać karoserii, żeby zejść w kierunku kolejnej ciężarówki. Kiedy dotarł do przedniego zderzaka, odwrócił się i opadł na kolana, by dotrzeć do naczepy tira przed cysterną. Tam znów stanął na nogi i, trzymając się burty ciężarówki, ruszył wzdłuż niej. Kiedy dotarł do kabiny, wspiął się na stopień i złapał za klamkę. Zwolnione drzwi jęknęły głośno i z impetem się otworzyły. Nie wsiadając do środka, przechylił się przez siedzenie kierowcy i wybił bieg na luz.

Tir zadrżał, kiedy cały trud utrzymywania jej w miejscu spadł na hamulec postojowy. Opony jęknęły i wózek siodłowy

z naczepą zjechał kilka centymetrów. Mercer wychylił się z kabiny i zwolnił hamulec.

Ciężarówka runęła w stronę dziobu jak stalowy taran, zahaczając o autobus szkolny tuż przed nią. Razem napały na wóz do przeprowadzek i zapoczątkowały lawinę potężnych pojazdów. Mercer zeskoczył ze stopnia tuż przed pierwszym zderzeniem i obserwował, jak wozy znikają w wodzie. Żeby nie zjechać, leżał rozplaszczony na pokładzie jak mucha przyklepiona do pułapki.

Zdecydowanym ruchem odwrócił się na brzuch, rzucił jeszcze jedno spojrzenie przez ramię i ruszył przed siebie, w kierunku cysterny. Wóz wciąż stał na swoim miejscu, choć Mercer wiedział, że to ostatnie chwile spokoju. Gdyby ciężarówka ruszyła teraz, byłby dokładnie na jej drodze.

Wspiął się najszybciej jak mógł, czepiając się każdego zagłębienia w pokładzie. Kiedy dotarł do cysterny, wyczuł dłońmi drżenie, jakby samochód nie mógł się doczekać, żeby ulec sile ciężenia. Wspiął się do szoferki i przycisnął pedał hamulca, zanim Tisa cofnęła stopę. Nie tracąc czasu, wrzucił luz i minimalnie popuścił hamulec. Cysterna przesunęła się kilkanaście centymetrów, więc znów nacisnął pedał do oporu.

Upewniwszy się, że wóz stoi prosto i nic nie zagraża drogi, ruszył powoli w dół pokładu. Po chwili, która wydawała się wiecznością, zbliżyli się do zwałiska pogiętych samochodów. Prom zatrzęsł się i gwałtownie zmienił nachylenie, a cysterna ześlizgnęła się kawałek i oparła o tył innej ciężarówki. Przy kołach momentalnie zachlupotała woda.

Dziwnie było pomyśleć, że to nie poziom wody rośnie. To oni się zanurzali. Po kilku minutach woda sięgnęła bocznych okien i powoli wspinała się dalej. Geolog przypomniał sobie zanurzenie w łodzi podwodnej, choć ciężarówka w żaden sposób nie dało się porównać do nowoczesnego batyskafu. Chwytał Tisę za dłoń.

Woda zalała maskę i przednią szybę. Znaleźli się pod wodą.

– Chwila prawdy – szepnął Mercer, choć nie miał pojęcia, dlaczego szepce.

– Czyli? – zapytała równie cicho Tisa.

– Zobaczymy, czy ta staruszka ma jeszcze trochę pary.

Poziom wody wzrósł na tyle, że siła wyporu zaczęła działać na cysternę. Cała ciężarówka zadrżała i przesunęła się, trąc o inne wozy. Woda sprawiała, że skrzypienie brzmiało głośno i przerażająco. Mercer nigdy nie słyszał równie straszego odgłosu tarcia. Ale niezależnie od ilości powietrza w zbiorniku, nie mogli się oderwać od pozostałych samochodów.

– No dalej, dalej... – błagał Mercer. Kątem oka widział, że szmaty wetknięte w otwory wentylacyjne błyszczą od wilgoci.
– Płyn, ty tłusta świnió! Płyn!

Bez ostrzeżenia ciężarówka zawirowała w piruecie. Przedni zderzak cysterny wyrwał się z potrząsku i wóz zakołysał się na wodzie.

Gwałtowny wybuch gdzieś na zewnątrz zatrzęsł całym promem. Ilość wody zalewająca ładownię podwoiła się. Cysterna utrzymywała się na poziomie morza dzięki powietrzu, więc tonąc, statek przesunął się coraz szybciej mimo unieruchomionej ciężarówki. Statek opadał pionowo na dno, a Mercer mógł

sobie wyobrazić sterczące w górę śruby napędowe, jak błyszczą w świetle księżyca.

Pomyślał też z żalem o tych wszystkich ludziach, którzy pozostali tak blisko tonącego wraku, że wiry po jego zatonięciu wciągną ich bezpowrotnie w toń.

Tisa krzyknęła i nachyliła się w kierunku zatkanego otworu w desce rozdzielczej, przez którą zaczęła kapać woda. Przycisnęła dłoń, żeby go uszczelnić. Koce na podłodze już przemokły. Kabina była na tyle płytko pod powierzchnią, że światło lamp awaryjnych przesączało się słabą poświatą. Mercer liczył mijane wzmocnienia burt. Do włazu mieli jakieś dwadzieścia metrów. Woda znajdowała coraz więcej kanałów, którymi wlewała się do środka.

– Czy my...

– Będzie blisko – odpowiedział, bo wiedział, o co pyta.

Prom wypełniał się wodą. Zalewany był nie tylko pokład samochodowy. Wszystkie kabiny i korytarze też tonęły, a wraz z nimi w milczeniu umierali przerażeni pasażerowie, którzy nie zdołali wydostać się na powietrze. Statek był w rzeczywistości głębiej, niż Mercer zakładał, i tonął znacznie szybciej, niż przewidywał. Do zderzenia z włazem pozostawało im wciąż piętnaście metrów, kiedy pod ciemnymi falami zniknął ster. Na powierzchni morza pozostały tylko spuszczone w pośpiechu tratwy i setki zawadzających pasażerów.

Woda sięgała Mercerowi do kolan. Tisa oparła stopy o deskę rozdzielczą, żeby ich nie zamoczyć. Ciężarówka otarła się

o burtę, bo cały statek zaczął się obracać. Mercer stracił rachubę, ile metrów zostało im do zderzenia z rampą.

– Zaciśnij pas – powiedział niepotrzebnie. I on, i Tisa byli zapięci tak ciasno, jak tylko się dało. – Usiądź tak, jak uczą w samolotach przed startem. To powinno uratować twój kręgosłup.

Nachylili się, przyciskając klatki piersiowe do kolan. Mercerowi nie było wygodnie, bo brakowało mu gibkości Tisy.

Ciśnienie wzrastało wraz z głębokością, a woda z furia wdzierała się do pustych przestrzeni przez najmniejsze otwory. Ostatnim niezalany pomieszczeniem na pokładzie była ładownia. Coraz bardziej sprężone powietrze uformowało bąbel, któremu już niewiele brakowało, by wybić ośmiotonową rampę. Zbiornik cysterny zrobiony z twardej nierdzewnej stali uderzył w przegrodę z prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Potężne szarpnięcie zatrzymało ciężarówkę w miejscu i wbiło Mercera i Tisę w fotele, choć żadna z szyb nie pękła.

– Co się stało? Uwolniliśmy się?

Mercer przez chwilę nie odpowiadał, a z każdą mijającą sekundą jego optymizm słabł. Wrota pozostały zamknięte.

– Niech to cholera... nie. Za dużo ważymy, żeby rozwalić blokady. Jesteśmy uwięzieni.

Woda wdzierała się do kabiny. Sięgała już Mercerowi do piersi i wciąż było jej więcej. W uszach czuł wzrastające ciśnienie. Znajdowali się prawdopodobnie około piętnastu metrów pod powierzchnią. Widział już tylko dwa wyjścia: albo poczekać, aż całkowicie ich zaleje i umierać powoli, albo skończyć z tym szybko, wybijając jedno z okien.

W szoferce panowała całkowita ciemność. Nie widział Tisy, ale czuł jej dotyk. Uściśnęła jego dłoń. Ona też rozumiała, że niewiele im pozostało.

– Skończ to po prostu – szepnęła z przerażającym spokojem, jakby od początku wiedziała.

– Wybacz mi, Tisa.

– To nie twoja wina. Zrobiłeś wszystko, co możliwe.

– Nie, to znaczy, nie potrafię – w jego głosie były ogień i niezłomność. – Nie umiem się poddać... nie, dopóki nie będę mógł powstrzymać oddechu ani sekundy dłużej.

Jak boja, cysterna przesunęła się w poprzek drzwi, odsuwając od zawiasów w kierunku góry rampy.

Woda wlewała się do kabiny nieprzerwanym strumieniem, zalewając Mercera i Tisę. Oboje odpięli pasy i rozpaczliwie szukali resztek powietrza. Tisa wynurzyła się pod tylną ścianą kabiny. Mokre włosy lepiły się do jej głowy.

– Mercer, nie chcę jeszcze umierać. O Boże... naprawdę chcę jeszcze żyć. – Była zaskoczona, że odkryła w sobie instynkt samozachowawczy.

Ciężarówka znów się przesunęła i zatańczyła, rzucając pasażerami, jakby byli w pralce. Musieli walczyć o każdy haust powietrza.

Pojazd zatrzymał się w najwyższym miejscu rampy. Zbierające się powietrze i siła wyporu zbiornika wystarczyły, by w końcu uchylić wrota o kilka centymetrów. Potężna siła ciśnienia zaczęła wypychać powietrze na zewnątrz. Ciężka rampa coraz szerzej się rozchylała. Ciężarówka kołysała się w strumieniu uciekają-

cego powietrza i przesuwiała po stalowej rampie. Nagle zamarła, wychylona do połowy z tonącego promu, zakleszczona przez ciężkie drzwi.

Mercer przyciskał twarz do tylnej ściany kabiny. Nabierał powietrze małymi haustami tylko wtedy, kiedy już nie mógł wytrzymać, by pozostawić je Tisie. Byli w wodzie dopiero od dziesięciu minut, czyli zbyt krótko na wychłodzenie, ale mimo wszystko oboje drżeli jak w hipotermii.

– Mercer. Ja... – Woda wlała jej się do gardła. Zakrztusiła się i splunęła. – Chcę, żebyś wiedział, że...

Tak jak korek w potrząsanej butelce szampana cysterna wypełniona powietrzem nie mogła dłużej pozostać w potrząsku. Dziesięcotonowa ciężarówka odepchnęła rampę i w kaskadzie bąbelków powietrza wyskoczyła ku powierzchni.

Ruch był tak gwałtowny, że wycisnął z ust Mercera ostatni oddech i wypełnił mu usta brudną wodą. Poczł palenie w płucach i wiedział, że musi zaczerpnąć tchu. Tisa na pewno nie jest w lepszym stanie, pomyślał, kiedy spiralą gnali ku powierzchni.

Z głębokości dwudziestu metrów wynurzyli się w kilka sekund. Cysterna wystrzeliła nad fale jak wielki biały wieloryb, a opadając z powrotem do wody, prawie przewróciła tratwę ratunkową. Kilkunastu rozbitków omal nie straciło życia, bo wielki zbiornik gwałtownie się kołysał, dopóki nie złapał równowagi.

Pęd wynurzającej się ciężarówki wbił Mercera w przednią szybę, która pękła od uderzenia. Miał wrażenie, że jego czaszka nie wyjdzie z tego cało. Wydostał się z kabiny, zawrócił i przez

rozbitą szybę wyciągnął Tisę. Trzymając w ramionach jej bezwładne ciało, popłynął ku powierzchni.

Wynurzył się obok rozkołysanej ciężarówki i natychmiast nabrał do płuc tyle powietrza, ile zdołał. Noc przecięły światła reflektorów przy łodziach ratunkowych. Słysząc było tylko szum silników i błagania o pomoc. Morze było pełne umarłych i konających.

Przednia część cysterny zanurzała się pod wodę, a tył sterczał w górę. Mercer wdrapał się na obudowę tylnych kół. Tisa nie oddychała. Przycisnął ją do piersi, palcami zatkał jej nos i zaczął wdychać powietrze prosto w jej usta.

Łzy mieszały się ze słoną wodą, która piekła go w oczy.

– No dalej, dasz radę... – powiedział czule, z ustami tuż przy jej ustach. Czekał na najmniejszą oznakę życia. Nie zaprzestawał sztucznego oddychania i masażu serca, by znów zaczęło bić. Niewygodna pozycja na przyczepie z cysterną utrudniała mu pracę. Delikatnie wypełniał jej płuca powietrzem, mając nadzieję, że z każdym jego wydechem się rozszerzają. Mimo to Tisa nie oddychała.

A potem nagle zakasłała i zwymiotowała wodę z żółdka. Mercerowi zupełnie nie przeszkadzało, że płyn oblał jego twarz. Tisa znów zaniósła się kaszlem, tak zachrypnięta, że miał wrażenie, że rozrywa jej gardło. Obrócił ją w ramionach, żeby łatwiej wypluła wodę. Nie przestawał jej głaskać i czule szeptać.

Po kilkunastu minutach Tisa odzyskała głos i mogła swobodnie oddychać. Mimo to Mercer prosił ją, by milczała. Kiedy ją ratował, kilkunastu rozbitków dopłynęło do kołyszącej się

cysterny i wisieli teraz uczepieni każdego elementu, którego można było się złapać. Jeden z nich próbował nawet wspiąć się na górę, ale Mercer mu na to nie pozwolił, żeby nie zaburzył i tak chwiejnej równowagi naczepy.

Nie zauważył łodzi, która zbliżała się do cysterny. Nic zresztą nie widział poza niewyraźnym zarysem, bo oślepił go potężny szperacz. Kiedy podpłynęli bliżej, kilku ludzi oderwało się od ciężarówki i ruszyło w ich stronę, żeby wdrapać się na pokład.

Mercer z nieobecny wyrazem twarzy obserwował, jak najsztybsi docierają do łodzi i chwytają za burty. Jakaś potężna ciemna postać uniosła coś nad głowę, a potem z zamachem uderzyła. Usłyszał obrzydliwy trzask pękającej czaszki.

Co, do diabła... ?

Inny mężczyzna przełożył ramię nad niską burtą łodzi. I on też został odepchnięty uderzeniem w głowę. Krzyknął głośno, ale kolejne uderzenie przerwało jego wrzask. Światło reflektora padło na pokład i Mercer dostrzegł swoją pomyłkę. To nie była łódź ratunkowa spuszczone z promu, tylko obła, szybka dziesięciometrowa motorówka. Europejski, nowoczesny design przypomniał mu o jachcie, który śledził ich cały dzień. Już wiedział, jak Donny uciekł z promu przed zatonięciem. Ale teraz wrócił... tylko po co?

Odpowiedź była jasna – żeby się upewnić, że on i Tisa nie wypłynęli na powierzchnię.

– Tisa, musimy uciekać – szepnął gwałtownie. – Twój brat tu jest.

Dziewczyna wbiła wzrok w ciemność. Wokół łodzi zapanował chaos; załoga odganiała kijami rozbitków, traktując ich jak piratów, którzy chcą porwać statek. Mimo słabego światła od razu rozpoznała brata na dziobie motorówki. Za nim Donny Randall uwijał się jak w ukropie i lał rozbitków trzonkiem niczym łowcy skór młode foki.

Popatrzyła na Mercera. W ciemności ledwie widziała jego twarz.

– Wybacz – powiedziała i pogłaskała go po policzku. – To jedyny sposób. Mnie nie skrzywdzi.

– Co chcesz... ?

– Luc! – krzyknęła Tisa. – Tutaj... proszę... Kocham cię. – Odepchnęła się od cysterny i zaczęła płynąć, a Mercer nie zdążył jej powstrzymać. – Luc, tutaj... to ja, Tisa! – Zatrzymała się i spojrzała za siebie. Jej twarzy odcinała się białym owalem od czarnej wody. – O Boże, Leper Alma, Mercer. Uważaj na Leper Alma.

Motorówka ruszyła ostro w jej kierunku, celowo taranując grupkę rozbitków uczepionych kamizelki ratunkowej. Kiedy znaleźli się przy Tisie, Donny Randall wyciągnął ją z wody tak lekko, jakby łowił kota. Mercer trzymający się cysterny widział, jak pada w otwarte ramiona brata.

Przez kilka chwil, kiedy motorówka się nie poruszała, dookoła zebrało się kilkudziesięciu rozbitków dość odważnych lub dość zdesperowanych, by spróbować dostać się na pokład. Donny i jeszcze jeden członek załogi uwijali się z kijami tak szybko, jak mogli, ale mimo wysiłków liczba napierających ludzi ich

przerosła. Tisa powiedziała coś bratu. Luc rozkazał sternikowi wracać na jacht, zanim rozbitkowie ich zatopią.

Mercer obserwował rozgrywającą się scenę, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Tisa poświęciła się, żeby ratować jego życie. Przekonała brata, że tylko ona przeżyła, a on zginął w ładowni promu. Nie miał pojęcia, co Luc jej teraz zrobi. Nie powiedziała mu o nim zbyt wiele, a Mercer odniósł wrażenie, że miała ku temu powody. Ale sądząc po napięciu między nimi, ich problem sięgał daleko, daleko poza ideologiczne różnice w Zakonie.

Mercer nie wiedział, co myśleć ani co robić. Był całkowicie zagubiony. Wydawało mu się, że nawet przeżycie nie jest już wiele warte. Ledwie ją znalazł, już ją stracił...

Ktoś wpadł na niego, budząc go z letargu. Zobaczył obok siebie może ośmioletniego chłopca, przerażonego i zmarzniętego. Był tak chudy, że niemal wypadł z kamizelki ratunkowej. Mercer złapał go za ramię i przyciągnął bliżej siebie. Chłopiec objął go ramionami i wtulił się w niego, krzycząc coś po grecku. Wołał swoją matkę głosem tak czystym, że serce Mercera zabolowało jeszcze bardziej.

Po kilku chwilach kilkudziesięciu rozbitków uczepiło się cysterny i na Mercera spadł obowiązek rozmieszczenia ich w taki sposób, żeby ciężarówka pozostała stabilna. Jakiś czas później dobiła do nich przeładowana tratwa ratunkowa i w ten sposób stali się centrum wszechświata rozbitków. Mężczyźni ustąpili miejsca w szalupie kobietom i dzieciom, a oficerowie i załoga turystom.

Dwie godziny później prom z Santorini dotarł na miejsce katastrofy. Rozpoczęto akcję ratowania żywych i ponurą operację wyławiania ciał. Wielu ludzi zeznawało później, jak terroryści w motorówce podpłynęli, zatłukli kilku ludzi kijami i porwali młodą dziewczynę. Niestety, nikt nie potrafił dokładnie opisać zamachowców i łodzi, którą się poruszali, ani tym bardziej jachtu, którym uciekli. Dziwnym trafem nikt też nie potrafił dokładnie opisać Amerykanina, który wyskoczył spod wody w cysternie z powietrzem i pomagał rozbitkom, ratując wiele istnień.

Arlington, Wirginia

Sen rozmijał się z rzeczywistością w tym samym miejscu przez ostatnie trzy noce z rzędu. Tisa i Mercer czekali wtuleni w siebie przy cysternie, aż Donny i Luc Nguyen przestaną ich szukać. We śnie Tisa nie woła swojego brata i nie zostawia Mercera samego. We śnie zostaje razem z nim. We śnie Mercer jest szczęśliwy.

Rzeczywistość wracała wraz z dyskretnym sygnałem budzika Tiffany. Mercer obudził się z poczuciem pustki, której ostatnie dwa dni ciężkiej pracy nie zdołały wypełnić. Światło przesączające się przez świetlik nad jego głową było pełne deszczowej wilgoci i szare. Trzeci dzień pluchy doskonale pasował do jego nastroju.

Przewrócił się na drugi bok, żeby wyłączyć budzik, i napotkał obwisłe fafle i przekrwione oczy. Drag czekał na decyzję. Kiedy zobaczył, że Mercer już nie śpi, zaczął lizać mu twarz i dziko machać ogonem. Od kiedy gospodarz wrócił z Grecji, wyliniałe psisko porzuciło swojego pana, który noce spędzał na kanapie w pokoju barowym, i upatrzyło sobie wielkie łóżko w górnej sypialni. Każdego ranka wyczekiwał sygnału budzika, a potem dołączał do wyjącego alarmu i mokrym ozorem witał Mercera, jednocześnie wyganiając go z pościeli.

– Nie takiego buziaka na dzień dobry sobie życzyłem – powiedział Mercer, drapiąc Draga za zwisającymi uszami. – Ale

doceniam gest. – Pies wcisnął się pod kołdrę i przewrócił na grzbiet, odsłaniając brzuch do głaskania.

Mercer za każdym razem budził się z tego snu zlany potem, więc kiedy Drag mościł się w wygrzanym zagłębieniu w materacu, on wzięł szybki prysznic. Po kąpieli wytarł się, włożył dżinsy, koszulkę i adidasy. Przygotowując kawę z ekspresu, spojrział życzliwie na Harry'ego White'a. Staruszek spał na kanapie z otwartymi ustami, a na podłodze obok leżała jego proteza nogi. Harry zostawał na noc, od kiedy Mercer wrócił z Grecji. Choć rozmawiali głównie o wydarzeniach ostatnich kilku tygodni, Harry widział, że przyjaciel cierpi i nie chciał zostawiać go samego. Był gotów czekać choćby do końca świata, aż Mercer zdecyduje się porozmawiać z nim nie o faktach, ale o swoich uczuciach.

Drag spełził po spiralnych schodach, minął bar i pomaszewował dalej do foyer, stukając pazurami w płytki. Kiedy dotarł do drzwi, zaszczeakał słabo, dając znak, że chce wyjść na dwór.

Zanim Mercer wrócił ze spaceru wokół swojego kwartału, Harry wstał z kanapy, doczłapał do baru i z papierosem w ustach usiadł na swoim ulubionym stołku. Wolał wypić filizankę czarnej jak smoła kawy Mercera, zamiast samemu przygotować świeży napój. Obok położył długopis, gotów zabrać się do rozwiązywania krzyżówki z „Washington Post”. Mercer podał przyjacielowi gazetę i wszedł za bar, żeby uruchomić wentylację.

– Wiesz – wychrypiał Harry i przerwał, żeby odchrząknąć. Niewiele to dało i mówił dalej tym samym głosem. – Drag

przyzwyczał się do spania w twoim łóżku, kiedy cię nie było. Jeśli oddasz mi swoją sypialnię, nie będzie cię rano budził.

– Harry, nie chodzi o łóżko. Nie wytrzymuję, jak kilkanaście razy w nocy idziesz się odlać.

– Co mogę powiedzieć? Mam mały pęcherz.

– Mały pęcherz, powiększona prostata, już to słyszałem...

– Zapomnij w ogóle o tej rozmowie. – Harry upił trochę kawy i się skrzywił. – Masz może sok do Krwawej Mary?

– Tak, ale tylko to świństwo od Tiny’ego. Nie będzie ci smakować. Harry machnął lekceważąco ręką.

– Myślisz, że ja to piję dla soku? Po prostu użyj dobrej wódki.

Mercer zachnął się i pomyślał, że Harry White powinien być wymieniany tuż obok podatków i śmierci jako jedna z nieuniknionych rzeczy na tym świecie. Przygotował mu drinka i postawił na barze.

– Znów cały dzień spędzisz przy komputerze? – zapytał Harry, chwytając szklanę.

Pierwszych dwanaście godzin po przybyciu na lotnisko Dullesa Mercer spędził przesłuchiwany przez Iry Lasko i zespół agentów CIA i FBI. Powiedział im wszystko, co wiedział o Tisie i jej organizacji, o ataku na prom i niezrozumiałych ostatnich słowach dziewczyny. Już wcześniej brał udział w takich spotkaniach i wiedział, jak trzymać nerwy na wodzy, kiedy agenci wypytywali o to samo kilka razy z rzędu, żeby wyciągnąć z niego wszystko, co wiedział. Po przesłuchaniu pracownicy FBI i CIA spakowali swoje kamery, dyktafony i notebooki i bez słowa wyszli z sali konferencyjnej, znajdującej się niedaleko biura Iry Lasko.

Mercer i Ira zostali sami.

– Co teraz? – zapytał geolog.

– Nic – odpowiedział admirał. – Przygotują raporty i postarają się znaleźć brakujące informacje. Ja je wszystkie dokładnie przejrzę i przekażę swojemu szefowi, który może, ale nie musi, przekazać je dalej na biurko prezydenta.

– Ira, Tisa Nguyen zaryzykowała życie, żeby przekonać mnie, że jej organizacja potrafi przewidywać trzęsienia ziemi. Nie zrobiła tego raczej po to, żeby mi zaimponować. Myślę, że zbliża się coś wielkiego, a ona chciała mi to powiedzieć. Ostrzegła nas.

– Chodzi ci o to Leper Alma na pożegnanie?

– Tak. Powiedziała mi gdzie, ale nie zdążyła powiedzieć, kiedy. Niestety nie mam zielonego pojęcia, co znaczy Leper Alma. Może to jakaś elektrownia atomowa? Nie wiem... ale cokolwiek to jest, ma zostać zniszczone przez wybuch wulkanu albo trzęsienie ziemi.

– Sprawdźmy to.

– Sprawdźcie? – sarknął Mercer. – To ja przyniosłem ci informacje, a ty odcinasz mnie od dochodzenia?

– Nie, nie odcinam cię – odparł Ira – ale na Boga, popatrz na siebie. Jesteś cieniem człowieka. Przez ostatni miesiąc harowałeś bez chwili wytchnienia. Niech analitycy zajmą się swoją robotą, a ty odpocznij. Za dzień, dwa zadzwonię i dam ci znać, na co wpadli.

– A tymczasem Tisa będzie przetrzymywana Bóg wie gdzie i nikt nie kiwnie palcem, żeby jej pomóc. – Mercer był zły.

– Na razie to nie leży w moich kompetencjach. Dostarczyłeś nam mnóstwo informacji. Trochę czasu zajmie sprawdzenie tego wszystkiego.

– Sprawdzenie? Ilu ludzi zginęło na promie, który wysadził Donny Randall? Czterdziestu? Pięćdziesięciu?

– Czterdziestu siedmiu.

– To co jeszcze chcesz sprawdzać? Ich trzeba powstrzymać!

– I zostaną powstrzymani, ale nie ruszymy bez przygotowania.

– Z takim tempem nigdy nie ruszycie. – Mercer był wściekły.

– Czy już skończyliśmy?

Ira wytrzymał jego spojrzenie, ale nie odpowiedział. Kiedy tylko za Mercerem zamknęły się drzwi, pokręcił głową i sięgnął po książkę telefoniczną, którą miał w dolnej szufladzie biurka. Przerzucił kilka kartek i znalazł telefon, którego szukał.

– Tiny.

Ira rozpoznał głos Paula Gordona.

– Cześć, Paul, tutaj Ira Lasko. Jestem przyjacielem Mercera. Kilka razy byłem z nim w twoim barze.

– Tak, pamiętam. Czym mogę służyć?

– Widujesz ostatnio Harry'ego White'a?

– Rano, w południe i w nocy.

– A wiesz może, gdzie jest teraz?

– W łazience. Czeka, właśnie wraca. Chcesz z nim pogadać?

– Tak, proszę.

– Admirale – zagrzemiał Harry. – Co się dzieje? Gdzie jest Mercer?

– Już wrócił. Właśnie wyszedł z mojego biura – Ira przerwał, zastanawiając się, jak wyrazić to, co chciał powiedzieć. – Martwię się o niego. Coś wydarzyło się w Grecji. Nigdy go nie widziałem w takim stanie.

– A co się stało?

Ira opowiedział starszemu o zatopionym promie.

– To nie może być to – uznał Harry. – Mercer był w gorszych opałach. Co jeszcze?

– No cóż, chyba w grę może wchodzić kobieta.

– Proszę, to już jest wytłumaczenie. Co z tą kobietą?

– Mercer pojechał tam na spotkanie z nią. Miała mu przekazać ważne informacje. Kiedy wydostali się z tonącego promu, porwali ją terroryści z organizacji, do której należała.

– Terroryści?

– Sami nie jesteśmy pewni.

– To bez znaczenia – powiedział Harry. – Znasz trochę Mercera, ale nie tak dobrze, jak ja. Musisz zrozumieć, że ma mentalność harcerza, który czuje się za wszystko odpowiedzialny. To go napędza. Teraz oskarża się o to, że jej nie obronił i nie spocznie, dopóki jej nie uratuje.

– Wiem, wiem... on to wziął bardzo osobiście.

– On wszystko bierze bardzo osobiście.

– Nie, Harry. Nie słuchasz uważnie. Osobiście znaczy, że wziął to sobie do serca.

Harry chwilę myślał, zanim zrozumiał, o czym Ira mówi. Wiadomość była szokująca.

– Myślisz, że on jest... to znaczy, nie może być...

– Nie wiem – przerwał mu admirał. – Ale ma wszystkie objawy.

– Jasna cholera! Kto by przypuszczał? Nasz chłopiec się zakochał! Dobra, przyznaję, że dla mnie to też dziewicze terytorium. Znam go bardzo długo, ale przez ten czas nigdy się nie zakochał. Raz był blisko. To była dziedziczka fortuny naftowej, która miała więcej pieniędzy niż rozumu... ale za to jak wyglądała... w końcu mu przeszło.

Harry przerwał. Czuł się rozdarty. Chciał, żeby Mercer znalazł szczęście, a jednocześnie obawiał się, co się stanie z ich przyjaźnią. Nic się nie stanie, zdecydował. Mercer nigdy nie zakochałby się w kobiecie, która nie uwielbiałaby towarzystwa starego kaleki i jego śmierzącego psa. Kiedy doszedł do takiego wniosku, postanowił, że zrobi wszystko, żeby pomóc przyjacielowi ją odzyskać.

– Chciałem, żebyś wiedział – odezwał się Ira. – Będiesz na niego uważał? Pogadaj z nim. Jest naładowany jak diabli, a nie chciałbym, żeby się załamał.

– Nie martw się. Mercer wie, gdzie są jego granice. Będzie teraz potrzebował trochę czasu, to wszystko. Ale dzięki za wiadomość. Przypilnuję go za nas obu.

– Dzięki, Harry. Dobry z ciebie kumpel.

– Z ciebie też, Ira. Trzymaj się.

Od czasu tej rozmowy Harry zamieszkał w domu Mercera i zawsze był w pobliżu, czekając, aż przyjaciel zechce z nim szczerze pogadać. Mercer spędzał większość czasu, szukając w Internecie każdego strzępu informacji o legendzie Rinpo-

che-La. Wiadomości, na które trafił, potwierdzały słowa Tisy o chińskiej flocie i niewiarygodnych przygodach admirała Zhen-ga He. O Zhu Zhanji znalazł bardzo niewiele, o schowanych przez niego skarbach jeszcze mniej i absolutnie nic o Zakonie. Dowiedział się, że Chińczycy byli pierwszym narodem, który stworzył czujnik trzęsień ziemi. Urządzenie składało się z delikatnych porcelanowych naczyń, które napełnione wodą, stawały się niestabilne. Najłżejszy wstrząs sprawiał, że woda wylewała się z paszczy smoka, a jej ilość i kierunek mówiły obserwatorom, gdzie pojawiło się trzęsienie ziemi i jak było silne. Najstarszy taki czujnik miał niemal dwa tysiące lat.

Jeśli chodzi o mityczną wioskę w Himalajach, Internet dostarczał mnóstwo hipotez i plotek, jednak bardzo mało faktów. Wzmianki o niej pojawiały się na stronach związanych ze wschodnim mistycyzmem i New Age. Dolina Rinpoche-La miała być ostatnim niezniszczonym miejscem na Ziemi, rajem, którego mieszkańcy są wolni od ludzkich trosk. Wioska miałaby leżeć w wysokich partiach Himalajów, pośrodku pustyni Gobi albo w tysiącach innych miejsc.

Autorzy pisali tak nieprzekonująco, że Mercer miał pewność, że żaden z nich nie próbował nigdy zastosować naukowych metod, by odnaleźć mityczną dolinę. Sam skontaktował się z firmą w La Jolla, w Kalifornii, sprzedającą zdjęcia satelitarne i zamówił wysokiej rozdzielczości obrazy północnej strony Himalajów z ostatnich pięciu lat. Tisa twierdziła, że w tamtych okolicach się urodziła, a przy cenie pięciuset dolarów za zdjęcie

koszty poszukiwań na większym terytorium doprowadziłyby go do bankructwa.

Wynagrodzenie za tygodnie pracy dla De Beers w Kanadzie pokryje zaledwie część rachunku za dwa tysiące zdjęć, które dotarły do niego poprzedniego wieczoru.

Zanim dostarczono przesyłkę, odsunął myśli od poszukiwania doliny Riponche-La i skupił się na drugiej części zagadki, którą zostawiła mu Tisa. Leper Alma.

– Aha – Mercer w końcu odpowiedział na pytanie Harry’ego o swoje plany. – Kolejny dzień próżnych wysiłków przy komputerze. Niewiele więcej mogę zrobić, dopóki Ira nie wykona swojej roboty.

– Na pewno możesz. – Harry pokazał mu pustą szklaneczkę po drinku. – Nalej sobie i spróbuj się na chwilę odprężyć. Zadzwońię do Tiny’ego i zapytam, czy otworzyłby bar nieco wcześniej. A może pojedziemy do Pimlico i pooglądamy kucyki?

Chociaż propozycja brzmiała kusząco, Mercer pokręcił głową.

– Nie mogę.

– Jak się wykończysz, nie pomożesz tej dziewczynie – powiedział miękko Harry.

Mercer zamarł. Nie był zaskoczony, że staruszek domyślił się, co go tak gnębi; pewnie rozumiał jego motywację lepiej niż on sam. Zaskoczyło go, że powiedział o tym głośno. Według niepisanego kodeksu obowiązywała zasada, że nie dyskutuje się o uczuciach. Obaj mieli tyle emocjonalnych blizn, że nie zamierzali ich rozdrapywać.

– Kochasz ją? – zapytał Harry.

– Nie wiem. – Odpowiedź Mercera padła dopiero po chwili i była przemyślana. – Może. Spędziliśmy ze sobą jeden dzień, a to za mało, żeby wiedzieć na pewno.

– Jeśli chodzi o miłość, to człowiek nigdy nie ma pewności.

– Zapamiętałeś to z jakiegoś talk-show? Harry zachichotał.

– Tak. Z tego o otyłym transwestycie, który zakochał się w swoim nauczycielu. – Potem nagle spowaźniał. – Czas się nie liczy. Dzień, tydzień czy rok, bez znaczenia. Są przecież pary, które spędzają ze sobą życie, a na koniec dochodzą do wniosku, że od samego początku się nienawidzili!

– Prawdziwe, niestety. Harry, jestem wkurzony jak nigdy, bo jakiś dupek nam nie pozwolił, żebyśmy się przekonali.

– A jeśli to nie miłość?

– Tak czy inaczej będę jej szukał. Jeśli będzie trzeba, to tylko po to, żeby zabić Donny'ego Randalla.

Harry uśmiechnął się i uderzył dłonią w bar.

– I to jest Mercer, którego znam.

– Co mam robić, Harry?

– Zaczynj od drinka dla mnie i dla siebie i nie przerywaj tego, co robisz. Tylko nie myśl o tym, dlaczego jej szukasz, bo stracisz zdolność oceny. Skoncentruj się na tym, żeby ją znaleźć.

Wcale niegłupia rada, przyznał w duchu Mercer. Szczególnie biorąc pod uwagę jej źródło.

– Ile czasu byłeś najdłużej z kobietą? Harry spojrzał na niego przebiegle.

– Godzinę i dziesięć minut, ale było akurat przesunięcie czasu do przodu.

– A na serio?

– Na serio? Jakies pół roku. To było lata temu, akurat przeprowadziłem się do Waszyngtonu i myślałem, że dobrze byłoby się ustatkować.

– Co się stało?

– Uświadomiłem sobie, że będąc z nią, nie jestem już szczerzy ze sobą. Miałem ją po to, żeby usprawiedliwić swoje życie. Przez jakiś czas ukrywałem swoje uczucia, bo wydawało mi się, że w ten sposób ją chronię. Duży błąd. W noc, kiedy w końcu z nią zerwałem, ona myślała, że zamierzam poprosić ją o rękę. Nie miała pojęcia, jak się czułem. To była paskudna sytuacja. Mimo wszystko inaczej nie mogłem. Może poudawałbym trochę dłużej, nawet całe lata, ale w końcu i tak wszystko by się rozpadło. Jestem pewien, że ona też by w końcu to zrozumiała. Musisz zadać sobie pytanie, czy przy Tisie wciąż jesteś sobą. A to znacznie trudniejsze pytanie, niż może się wydawać.

– Wiem – Mercer zgodził się z przyjacielem. – Ale ja po prostu jeszcze nie wiem.

– Ale kiedy naprawdę z nią jesteś? – powiedział Harry z naciskiem. Mercer się nie zawahał.

– Tak.

Harry usiadł wygodniej. Jego zmęczoną życiem twarz rozjaśnił pogodny uśmiech.

– No to masz odpowiedź. Wracaj do roboty, ale pamiętaj, że o trzeciej idziemy do Tiny’ego i będę stawiał kolejkę za kolejką,

aż jeden z nas padnie nieprzytomny. I to nie jest zaproszenie. To groźba.

Mercer przygotował dzbanek świeżej kawy i zostawił Harry'ego z krzyżówką, a sam poszedł do gabinetu. Pomieszczenie przypominało bar, z zielonym dywanem na podłodze i brązowymi dębowymi meblami. W rogu stała jedna z najcenniejszych rzeczy, jakie Mercer posiadał: szerniały ze starości fragment sterowca „Hindenburg”. Mijając kredensik przy drzwiach, dotknął minerału zwanego kimberlitem. Mercer traktował ten okruch urobku z kopalni diamentów jako swój talizman. Dostał go w podziękowaniu od szefa kopalni, któremu uratował życie.

Usiadł za starym biurkiem i włączył komputer. Wpisał w wyszukiwarkę „Leper Alma” i jęknął, widząc dwieście pięćdziesiąt tysięcy wyników. Nie miał pojęcia, co oznacza ta nazwa, tymczasem komputer odnalazł ją na ćwierć miliona stron.

Po jakiejś godzinie nauki o leprze, czyli trądzie, miał już pewność, że to ślepa uliczka. Na świecie było kilka ognisk trądu i kilka leprozoriów, lecz żadne nie wiązało się z drugim członem zagadki, słowem Alma. Nie znalazł też informacji o chorych lub ich lekarzach, którzy nosiliby takie nazwisko.

– Zły kierunek? – mruknął. – Cholera, a skąd mam wiedzieć, jakibędzie właściwy?

Widocznie się przestyszał, źle zrozumiał ostatnie słowa Tisy. Problem polegał w tym, że musiał sobie teraz dokładnie przypomnieć, co powiedziała. Mercer wstał zza biurka i podszedł do szafy w rogu. Wśród śmieci, dokumentów i niepotrzebnych papierów, które łatwiej było składować, niż poukładać, znalazł

duże pudełko po butach. Wziął je i wrócił na fotel. Ze środka wyjął miękki ręcznik i rozłożył go przed sobą. W środku leżał trzydziestocentymetrowy fragment szyny. Potem wyciągnął polerki do metalu, szmaty i kawałki stalowej wełny.

Przez trzydzieści minut pracował nad zardzewiałą szyną, ze skupieniem jubilera szlifującego bezcenny diament. Ilekroć musiał się na czymś skupić, stosował sztuczkę z polerowaniem starego żelastwa. Był to zwyczaj, którego nabrał jeszcze w szkole, żeby zmniejszyć nieco presję nauki, nie marnując przy tym czasu na rzeczy niepotrzebne. Taka sama technika, jaką stosował Winston Churchill, budując murki z cegieł w ogrodzie pod numerem 10 na Downing Street i to nawet w najbardziej ponurych czasach bitwy o Anglię.

Po półgodzinie wyrzucił z głowy wszystko, poza tymi kilkoma ostatnimi sekundami, kiedy Tisa popłynęła w stronę brata. Znow poczuł, jak woda spowalnia jego ruchy i jak boli go głowa po zderzeniu z przednią szybą.

– Tutaj jestem, Luc. To ja, Tisa. – Jej głos niósł się echem po powierzchni morza; krzyk unoszący się nad nieszczęściem. Kiedy niezdarnie płynęła w stronę łódki brata, jej głowa ledwie wystawała ponad wodę. W połowie drogi zatrzymała się i odwróciła do Mercera. Kołysała się, próbując utrzymać na powierzchni. „O Boże, Leper Alma, Mercer. Uważaj na Leper Alma”. Raz za razem powtarzał jej słowa i wciąż słyszał to samo. Leper Alma. Leper Alma.

Wspomnienie, jak odpływa w stronę brata, było jeszcze większą torturą niż samotne przebudzenia, których doświadczał

przez ostatnich kilka dni. Serce waliło mu z wściekłością, ale ręce pracowały spokojnym rytmem, usuwając rdzę ze starej szyny.

Było zbyt ciemno, żeby widzieć jej usta. Chociaż dzieliło ich ledwie kilka metrów, jej twarz była blada na tle ciemnej toni. Leper Alma. Przypomniał sobie, że się krztusiła, kiedy wyowiadała te słowa. Większa fala zmoczyła jej głowę i zalała usta.

Pierwsze słowo być może nie brzmiało „leper”. Druga sylaba to tylko odkrztuszenie słonej wody. Lep Alma. Był blisko rozwiązania. Ręce mimowolnie zaczęły szybciej pracować, a ciemny metal pod jego palcami robił się coraz jaśniejszy.

Rozwiązanie zagadki przyszło zupełnie nagle. Mercer upuścił zaolejoną szmatkę i opadł na oparcie. Tisa powiedziała „Le Palma” albo „La Palma”. Przysunął się do komputera, nie zwracając uwagi, że brudzi tłustymi palcami klawiaturę.

Wyszukiwarka wyrzuciła kilkadziesiąt tysięcy wyników, ale po piętnastu minutach przeglądania pierwszej strony zadzwonił do Roberta Wrighta, geologa z Cambridge w Anglii. Mercer go nie znał, ale Wright był specjalistą wymienianym w kontekście La Palma. Po półgodzinnej konwersacji nerwowo czekał na połączenie z admirałem Iżą Lasko.

– Ira, to ja, Mercer. Szukaliśmy nie tam, gdzie trzeba. Przesłyszałem się. Tisa nie powiedziała Leper Alma, tylko La Palma.

– Wiem – odparł admirał.

– Co? Skąd?

– Wrzuciłem te słowa do komputerów analizujących szyfry dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Od rana mam na

biurku ich raport. Algorytm rozebrał słowa fonetycznie i podał kilka tysięcy wariantów. Jedynym oczywistym jest La Palma, jedna z Wysp Kanaryjskich, wulkaniczna, ale uśpiona.

– Ale nie według naukowca, z którym właśnie rozmawiałem. Facet spędził całe życie, badając to miejsce.

– Doktor Robert Wright? Zespół naszych analityków przejrzał jego prace i powiem szczerze, że nie robią wielkiego wrażenia. Kilka razy był oskarżany o fałszowanie danych, żeby pasowały do jego teorii.

– Chcesz zaryzykować, bo może się mylić?

– Nie chcę ryzykować, tylko poczekać.

– Ira, posłuchaj uważnie. Wszystko, co się wydarzyło, było po to, żeby ostrzec mnie przed erupcją wulkanu na La Palma. Jestem tego pewien. Założę się, że zrobiła to dość wcześnie, żebyśmy mieli czas coś przedsięwziąć, więc nie sądzę, żeby był czas na twoje czekanie. Jeśli wiesz, o czym pisał Wright, to wiesz, co przewidział, i na pewno rozumiesz konsekwencje.

– Zaufaj mi trochę, okej? Wysłaliśmy już zespół naukowców na wyspę, żeby monitorowali sytuację. Dotrą tam jeszcze dzisiaj. Kolejna grupa ze sprzętem bardziej zaawansowanym niż cokolwiek, co Wright w życiu widział, będzie na miejscu jutro. Sprawdzamy wszystko, Mercer, ale nie ma sensu jeszcze panikować.

– Poinformowałeś prezydenta?

– Przekazałem raport doradcy do spraw bezpieczeństwa, Kleinschmidtowi. Nie wiem, czy poda go dalej.

– Musimy ją znaleźć.

– Kogo, Tisę?

– Wulkan wybuchnie, niezależnie o tego, co powiedzą ci twoi ludzie. A ona jedyna wie, kiedy to się wydarzy. Potrzebujemy jej!

– Mercer zwolnił i nabrał powietrza, żeby się uspokoić. – Dobra, monitorowanie sytuacji na wyspie jest teraz najsensowniejsze, ale i tak musimy znaleźć Tisę, zanim będzie za późno.

– Nawet jeśli, to nie mamy pojęcia, gdzie jest.

– Pracuję nad tym – wtrącił szybko Mercer. – Jeśli uda mi się wskazać miejsce, dasz zgodę na misję ratunkową?

– Pomyślę na tym. Nic więcej nie mogę ci obiecać.

– W takim razie o nic więcej nie proszę.

Mercer przerwał połączenie i poczuł się lepiej. Mógł wyrzucić z głowy przerażające konsekwencje wybuchu wulkanu na La Palma, bo myślał przede wszystkim o Tisie. Znała odpowiedź, której potrzebowali, a Ira powoli wycofywał się do narożnika, co oznaczało, że Mercer będzie mógł jej szukać.

Większość jego ubrań została w Kanadzie, Las Vegas i na dnie Morza Egejskiego, dlatego musiał wziąć zapasowy stary bagaż z pokoju barowego na drugim piętrze. Harry spojrzał na niego z wysokości krzesła barowego.

– Co robisz?

– Pakuję się.

– Dokąd?

– Do Afryki, a jak będę miał szczęście, to nawet do Chin.

– Musisz pogadać ze swoim biurem podróży, bo te twoje loty są całkiem popieprzone.

Kiedy przepakował walizki, wrócił do baru z kartonem pełnym zdjęć satelitarnych, które przysłano mu z Kalifornii. Poprosił, by ułożono je chronologicznie, więc pierwsze z nich było sprzed pięciu lat. Mercer podzielił stos na dwa mniejsze i podsunął plik zdjęć Harry'emu razem z lupą, którą znalazł w swoim biurze. Włączył wszystkie światła i wyjaśnił przyjacielowi, jak zdjęcia zostały ułożone.

– I co mam z nimi robić?

– Szukaj chmur, które się nie ruszają.

– Co?

– Tisa powiedziała, że dolina Rinpoche-La ma źródła geotermalne. A to oznacza, że sporo ciepła ucieka do atmosfery, co w przypadku źródeł będzie widoczne jako para wodna. Jeśli na zdjęciach znajdziemy chmurkę w tym samym miejscu przez kilka lat, to jest szansa, że trafiliśmy.

– Niezły pomysł. Ile jest tych zdjęć?

– Dwa tysiące. Jeśli nie znajdziemy niczego na tych, zamówię następne.

Harry schylił się nad fotografią.

– A podobno nie ma już romantycznych facetów – mruknął.

– Pamiętasz chyba, że z miłości do Julii Romeo zabił tylko siebie. Nie kazał przyjacielowi ślepnąć.

Mercer się uśmiechnął.

– Mniej gadania, więcej pracy.

Poddali się późnym popołudniem. Żaden z nich nie miał doświadczenia w interpretacji obrazów satelitarnych, a zdjęcia nie miały takiej rozdzielczości, jakiej Mercer się spodziewał. Na

fotografiach zrobionych z setek kilometrów nad ziemią lodowce wyglądały jak nieruchome chmury, których szukali. Po pięciu godzinach mrówczej pracy mieli wyznaczonych trzydzieści pięć potencjalnych lokalizacji Rinpoche-La. A do przejrzania zostało im jeszcze trzy czwarte zdjęć.

Zamówili dostawę chińszczyzny i po obiedzie poszli do baru. Jeśli chodzi o groźbę Harry'ego, że będą pili, aż jeden z nich padnie nieprzytomny, to skończyło się na dwóch kolejkach. Obaj byli śmiertelnie zmęczeni i bolały ich głowy. Nie mieli ochoty potęgować bólu.

Mercer wziął Draga na spacer tuż przed północą i wrócił spiralnymi schodami do sypialni. Kiedy skończył myć zęby i skorzystał z pisuaru w łazience, basset leżał już w poprzek obu poduszek. Mercer nie miał serca, by budzić starego psiaka, więc skulił się zrezygnowany w kącie łóżka. Wiedział, że koszmar i tak wróci.

O drugiej piętnaście zadzwonił telefon. Mercer obudził się na dobre przed końcem pierwszego sygnału. Wiedział, kto dzwoni i co zaraz usłyszy. Zamknął oczy, żeby pozbyć się jakichkolwiek wątpliwości. Wiedział, że ten telefon może zbliżyć go do Tisy, ale też przenieść do świata na progu zagłady. Nie przesadzała, kiedy mówiła, że wszystko się zmieni.

Przy drugim sygnale podniósł słuchawkę.

– Zaczęło się, prawda?

– Tak. – Ira mówił głosem, jakby jeszcze nie kładł się spać.

– Sejsmografy pokazują delikatną aktywność w głębi skorupy ziemskiej. La Palma budzi się do życia.

- Za ile minut mam transport?
- Dziesięć, może mniej.
- Dokąd mnie zawiezie?
- Do Białego Domu, – Do zobaczenia na miejscu. – Mercer przerwał połączenie.

Biały Dom

Padający od kilku dni deszcz w końcu ustał, zostawiając zmyte do czysta ulice i świeże powietrze. Wokół latarni unosiły się obłoczki pary. O tej porze nocy nie było samochodów ani przechodniów. Nawet bezdomni gdzieś się ukryli.

Cadillac, który przyjechał po Mercera, zatrzymał się przy posterunku strażników. Po zweryfikowaniu przepustki kierowcy i sprawdzeniu podwozia lusterkiem, czy nie ma podczepionej bomby, strażnik poprosił pasażera o dowód tożsamości, a potem sprawdził na elektronicznym tablecie, czy zgadzają się jego dane. Po tej procedurze samochód mógł minąć punkt kontrolny.

Ira czekał na Mercera w wejściu do zachodniego skrzydła. Miał na sobie garnitur, ale bez krawata. W milczeniu uściśnił sobie dłonie i admirał poprowadził go do budynku. Szli pustymi korytarzami i mijali ciche biura, aż w końcu zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami.

– Pan prezydent nie zna jeszcze celu spotkania – poinformował Ira. – Kleinschmidt wezwał go trzydzieści minut temu, mówiąc, że mamy kryzys.

– Kto jeszcze będzie? – zapytał Mercer.

– Admirał Morrison. – C. Thomas Morrison był charyzmatycznym szefem szefów sztabów i tym samym dowódcą całych Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Miał też duże szanse zostać następnym gospodarzem Gabinetu Owalnego.

– Paul Barnes z CIA i Dick Henna z FBI.

– Kawał czasu nie widziałem Dicka – zauważył Mercer. Kiedyś byli dobrymi kumplami, ale ich zapracowany tryb życia wystawił przyjaźń na próbę.

– To nie jest spotkanie towarzyskie – przypomniał mu Ira. Mercer pokiwał pochmurnie głową.

Ira zapukał i poczekał, aż ktoś z personelu otworzy ciężkie drzwi. Znaleźli się w gabinecie z masywnym stołem konferencyjnym. Prezydent tradycyjnie zajął swoje miejsce pośrodku. Był ubrany w sportową koszulkę polo i z całodniowym zarostem. John Kleinschmidt, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego i przełożony Iry, usiadł po prawej stronie prezydenta. Paul Barnes dostał miejsce po lewej. W przeciwieństwie do pozostałych znalazł czas, by włożyć czysty garnitur i wyprasowany krawat. Nawet admirał Morrison nie miał na sobie munduru. Mercer i Barnes starli się wcześniej kilka razy. Ich wzajemna niechęć była oczywista dla każdego, kto widział spojrzenia, jakimi się przywitali.

Ira usiadł na krześle naprzeciwko prezydenta i wskazał Mercerowi miejsce obok siebie. Dick Henna, potężny dyrektor FBI, skinął przyjaźnie głową na powitanie. Ktoś podał Mercerowi kubek kawy i dyskretnie się usunął, widząc, że geolog gestem dziękuje za śmietankę.

– Jestem przekonany, że dziennikarze łamią sobie głowę, dlaczego spotykamy się o takiej porze. Prawdę mówiąc, sam jestem bardzo ciekaw. – Prezydent miał rzadką umiejętność nadawania każdej wypowiedzi przyjaznego tonu, nawet kiedy

chciał kogoś zganić. Rozłożył dłonie na stole i spojrzał przed siebie. – Ira, zechciałbyś może zreferować, co sprawiło, że o tej nieludzkiej godzinie muszę tu być?

– Panie prezydencie, spotkał pan już doktora Mercera, który jest członkiem mojego zespołu.

– Tak, kilka razy. – Prezydent uśmiechnął się przyjaźnie. – Pamiętam, że po tym zamieszaniu na Hawajach powiedziałem mu, że kiedyś będzie dla mnie pracował. Jak się czuje twój jaguar?

– Bez jednej rysy, sir. – Mercer był zaskoczony, że prezydent wiedział, jakim samochodem jeździł, ale na wyjaśnienie nie musiał długo czekać.

– Pewnie nie wiesz, że gdy twój pierwszy został zniszczony w czasie kryzysu hawajskiego, za nowy zapłaciłem z własnej kieszeni. Tak było łatwiej, niż ukrywać rachunek za wóz wśród innych wydatków, gdzie wcześniej czy później jakiś nadgorliwy księgowy z GAO by go znalazł.

– Nie wiem, co powiedzieć, panie prezydencie.

– To naprawdę niewielka cena za to, co zrobiłeś dla naszego kraju - zaczął mówić poważnym głosem. – Skoro więc widzimy się ponownie, pewnie znów będziesz chciał oddać nam wszystkim przysługę?

– Jeśli jeszcze nie jest za późno.

Prezydent wbił spojrzenie niebieskich oczu w Irę.

– Dobrze, w takim razie pora na sprawozdanie.

Ira nie odchrząknął i nie bawił się papierami. Nie stosował żadnych technik, do których uciekają się zwykli ludzie, kiedy muszą przekazać złe wiadomości. Zaczął prosto z mostu.

– Ze źródła wywiadowczego pozyskanego przez Mercera dowiedzieliśmy się o potencjalnym niebezpieczeństwie wybuchu wulkanu na jednej z Wysp Kanaryjskich, na La Palmie. Wysłałem tam zwiad geologiczny, który dwie godziny temu potwierdził, że wulkan budzi się do życia.

– Wybacz, że ci przerywam – wtrącił się prezydent. – Ale co nas to obchodzi?

Ira położył dłoń na ramieniu Mercera.

– Jesteś geologiem, może byś to wyjaśnił?

Mimo że pierwszy raz o La Palmie Mercer usłyszał kilka godzin temu, mówił z pewnością siebie eksperta.

– Dla tych, którzy nie wiedzą, Wyspy Kanaryjskie to grupa wysp na Atlantyku oddalonych od wybrzeży Maroka o jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów. Należą do Hiszpanii i są jednym z najpopularniejszych celów turystycznych wśród Europejczyków. La Palma to wyspa wysunięta najdalej na zachód, a w kontekście geologicznym to też najmłodsza z nich i najbardziej aktywna wulkanicznie. Ostatnia erupcja wydarzyła się w 1971, jednak ta, która ma dla nas znaczenie, to erupcja z 1949. Wtedy zajmujący jedną trzecią wyspy wulkan Cumbre Vieja przez kilka dni z rzędu wyrzucał z siebie lawę i popioły. Teoretycznie nie było to nic szczególnego, bo wulkan ożywał mniej więcej co dwa lata. Erupcja z czterdziestego dziewiątego jest szczególna, bo otworzyła szerokie na cztery metry pęknięcie, które dzieli wyspę na pół. Zachodnia część, kawał skały o objętości ponad stu dwudziestu kilometrów sześciennych, ześliznęła się kilka metrów w stronę morza i zatrzymała.

– Dlaczego się zatrzymała? – zapytał prezydent.

– Bo matka natura chciała nas jeszcze oszczędzić, sir. Można wyróżnić dwie geologiczne cechy La Palmy, które czynią ją szczególnie niebezpieczną. Po pierwsze materiał, z którego jest zbudowana, pozwala na gigantyczne wypiętrzenia. To jedna z najbardziej stromych wysp na świecie. Zgodnie z prawami fizyki oderwany fragment skały już dawno powinien był ześlizgnąć się do wody. Mieliśmy niewyobrażalne szczęście. Ale to już przeszłość. Około dziesięciu lat temu brytyjski naukowiec, Robert Wright, wysunął teorię, że kolejny wybuch może spowodować rozluźnienie struktury skał, przez co pęknięcie dotrze do końca i pół wyspy wpadnie do oceanu. W wyniku uderzenia powstanie katastrofalnie wielka fala, fenomen zwany megatsunami. Jego teoria wywołała trochę paniki, kilka gazet coś na ten temat napisało, ale żaden rząd nie zajął się tą sprawą na poważnie. Nie zostały przeprowadzone również żadne szeroko zakrojone badania.

– Co to jest megatsunami? – zapytał szef połączonych sztabów.

– Tsunami zazwyczaj wywoływane są przez podmorskie trzęsienia ziemi, a ich wielkość jest ograniczona objętością przemieszczonych pod dnem morskim skał. Na szczęście, bo skałom wystarczy niewielkie naprężenie, żeby się przesunęły. To dlatego nigdy nie spotka nas trzęsienie ziemi powyżej ośmiu przecinek sześć stopnia w skali Richtera. Większość uskoków przesuwa się spokojnie, na długo zanim zgromadzą dość energii, żeby wywołać wstrząsy zbliżone do siedmiu stopni. Podmorskie

trzęsienia ziemi wywołują falę tsunami odpowiednią do swojej mocy. Jeśli uskok przesunie się o siedem metrów, fala też będzie miała podobną wysokość.

– Czyli nie będzie tak źle – oznajmił nieprzyjemny dyrektor CIA, Paul Barnes.

Mercer spojrział na niego i nie starał się nawet ukrywać złości w głosie.

– Proszę powiedzieć to trzem tysiącom mieszkańców Papui-Nowej Gwinei, którzy zginęli po uderzeniu takiej fali w 1998. – Potem odwrócił się i dalej mówił do Morissona, ale nie spuszczał też oczu z prezydenta. – W przeciwieństwie do zwykłej fali tsunami megatsunami powodowane są przez osunięcia skał. Jedynym czynnikiem ograniczającym wielkość fali jest ilość materiału skalnego, który wpada do wody. Geologowie poszukujący ropy naftowej na Alasce w latach pięćdziesiątych znaleźli ślady takiej fali w zatoce Letuya. Wokół zatoki biegł pas młodych drzew, który ostro odcinał się od tych starszych. Wydawało się, że jakaś potężna siła wyrwała z korzeniami całą roślinność, która rosła do wysokości osiemdziesięciu metrów powyżej poziomu morza.

– Osiemdziesiąt metrów?

– Taką falę wywołał kawał granitu, który oderwał się od wysokiego klifu i wpadł do zatoki.

– To niemożliwe – zawyrokował arbitralnie Barnes. Mercer przeniósł wzrok na prezydenta.

– Trzy lata temu w tej samej okolicy grupa rybaków znalazła się zasięgu fali tsunami o wysokości trzydziestu metrów. Tylko kilkunastu z nich przeżyło.

Prezydent był przerażony.

– Twierdzisz, że wybuch na La Palma wywołał takie właśnie megatsunami?

Mercer pokręcił głową.

– Kawał skały, który na Alasce wywołał falę, miał zaledwie kilka tysięcy ton. Jeśli La Palma się rozpadnie, w morze uderzy skała o wadze ponad pół miliarda ton. To energia równa zapotrzebowaniu Stanów Zjednoczonych przez pół roku. Dane pochodzą od zespołu naukowców ze Szwajcarii i zostały potwierdzone modelowaniem komputerowym.

Mężczyźni przy stole zamilkli, nie mogąc pojąć, o jak wielkim zagrożeniu mówił im Mercer.

Ciszę przerwał Dick Henna. Odchrząknął i zapytał:

– Powiedziałeś, że La Palma jest niebezpieczna z dwóch powodów. Jaki jest ten drugi?

Mercer nie był zaskoczony, że właśnie Henna zadał to pytanie. W przeciwieństwie do prezydenta, Paula Barnes'a czy szefa Iry, Johna Kleinschmidta, Dick ciężko zapracował na swoje obecne stanowisko. Był urodzonym śledczym, a nie politykiem.

– To dajki – wyjaśnił Mercer.

– Słucham? – prezydent i Henna zapytali jednocześnie, patrząc na siebie pytająco.

– La Palma składa się ze skały wulkanicznej, która jest łatwo penetrowana przez wodę. Wyspa chłonie ją jak gąbka. Jednak

można tam też spotkać inne formacje skalne, zwane dajkami. To bardzo gęsty i twardy bazalt, który w kilku miejscach przesywa wyspę niczym parkan. Stanowi on nieprzekraczalną przegrodę dla wody deszczowej, przez co powstają złoża bardzo nasączonej gleby. Uważa się, że takie intruzje są tak wytrzymałe, że nie zostaną naruszone przez aktywność sejsmiczną wulkanu.

– To na czym polega niebezpieczeństwo?

– Kiedy erupcja się rozpoczyna, magma wypełnia puste komory głęboko pod wyspą. Ciepło płynnej skały doprowadzi do wrzenia uwieczoną wodę. Z podstawówki wiadomo, że woda się rozszerza, ale nie da się jej sprężyć. To spowoduje, że dajki znajdą się pod gigantycznym ciśnieniem. Wiele z nich pęknie.

Prezydent lekko się pochylił.

– I to spowoduje obsunięcie się skały i megatsunami? – Mercer potaknął, a prezydent zadał najbardziej oczywiste pytanie. – O jak wielkich zniszczeniach mówimy i co możemy zrobić, żeby je zminimalizować?

– Zgodnie z symulacją komputerową opracowaną kilka lat temu fala będzie miała około trzystu trzydziestu metrów wysokości, a w pierwszych dziesięciu minutach po uderzeniu pokona przynajmniej sto kilometrów. Będzie poruszać się po oceanie z prędkością około ośmiuset kilometrów na godzinę, rozchodząc się we wszystkich kierunkach. Najpierw uderzy w Afrykę Północną. Fala zmaleje do około stu dwudziestu metrów, a ta część kontynentu jest na szczęście bardzo słabo zaludniona. Straty będą minimalne. Potem megatsunami dotrze do Hiszpanii i Portugalii, a chwilę później do południowej części Wielkiej

Brytanii. Fala będzie wysoka na trzydzieści pięć metrów i będzie miała dość energii, żeby przebyć kanał La Manche i całkowicie zatopić Holandię.

Twarze wokół stołu płonęły ciekawością i strachem.

– Dziewięć godzin po obsunięciu się skał – kontynuował Mercer – fala będzie dalej przemieszczała się z prędkością odrzutowca. Zatopiwszystko między Wyspami Bahama i Bermudami a archipelagami od Puerto Rico do Wenezueli. Nic po nich nie pozostanie. Żadnych roślin, zwierząt, ludzi... nic, co by świadczyło, że kiedykolwiek istniało tamżycie.

Przerażenie, jakie zapanowało, było obezwładniające, lecz obowiązkiem ludzi zebranych na naradzie było bronienie Stanów Zjednoczonych. Ktoś, Mercer nie wiedział kto, zadał pytanie:

– A co z nami? Co się stanie, jak uderzy w nasze wybrzeże?

– Najpierw fala dotrze do Miami. Będzie miała dwadzieścia kilka metrów i około dwunastu metrów u nasady. Przy ośmiuset kilometrach na godzinę właściwie nie da się obliczyć jej energii kinetycznej, jest tak ogromna. Nie ma też budowli, która przetrwałaby takie uderzenie. Każdy dom czy droga dwadzieścia kilometrów w głąb lądu zostanie zniszczona. Trzydzieści kilometrów od brzegu jest szansa, że większe i solidniejsze budynki wytrzymają zderzenie z wodą, lecz zniszczenia i tak będą ogromne, bo najpierw fala wypłucze wszystko, uderzając, a potem się cofając.

– Taki scenariusz obejmie całe Wschodnie Wybrzeże, od Florydy do Maine. Jacksonville, Savannah, Norfolk, Waszyngton, Filadelfia, Nowy Jork, Boston... znikną z powierzchni ziemi. To,

ostrożnie licząc, będzie kosztowało nas czterdzieści milionów istnień. Tymczasem proszę pamiętać, że mówimy tylko o Stanach Zjednoczonych. Drugie tyle ofiar będzie w Afryce, Europie i na Karaibach.

– Ilu rannych? – zapytał Ira.

– Ta katastrofa będzie jak atak na WTC.

Zgromadzeni zrozumieli. Po zamachach, jak większość obywateli, zgłosili się do stacji krwiodawstwa, żeby oddać krew dla poszkodowanych, lecz odprawiono ich z kwitkiem, bo w takich tragediach nie ma rannych. Są tylko martwi.

– Jeśli to ma się naprawdę wydarzyć, możemy jeszcze ewakuować wybrzeże?

Admirał Morrison odpowiedział to pytanie. Całe życie służył w wojsku, ale znał się na logistyce.

– Panie prezydencie, mówi pan o przemieszczeniu jednej piątej narodu. Kilka miesięcy zajmie przygotowanie miejsca, w które można by ich ewakuować.

– Mamy kilka miesięcy? – prezydent zwrócił się do Mercera.

– Tak naprawdę, nie mamy pojęcia, sir. – Mercer przez moment starał się uporządkować myśli. Balansował na cienkiej linii. Jedno nieprzemyślane słowo mogło pozbawić go równowagi i zrzucić w przepaść. Albo zrzucić tam Tisę.

– Przez ostatnich pięćdziesiąt lat – zaczął – naukowcy starali się przewidzieć nadchodzące kataklizmy, takie jak trzęsienia ziemi czy wybuchy wulkanów. Zidentyfikowali sygnały, dzięki którym możemy się dowiedzieć, co dzieje się w głębi skorupy ziemskiej, zanim jakiegokolwiek znaki staną się widoczne na po-

wierzchni. Mikrowstrząsy to jeden z nich. Nowe sejsmografy są setki razy dokładniejsze i czulsze niż wcześniejsze modele. Z ziemi pobiera się próbki w celu zbadania ich składu chemicznego, bo na przykład podwyższone stężenie dwutlenku węgla zwiastuje wybuch wulkanu. To wszystko pozwala nam zauważyć, że wulkan wraca do życia. I te wszystkie znaki zauważył zespół wysłany przez admirała Lasko na La Palmę. Ale to nie gwarantuje, że nastąpi erupcja. Wulkany czasem przebudzają się z drzemki, żeby za chwilę znów na wiele lat ucichnąć.

– Ale mimo wszystko uważa pan, że aktywność wulkanu na La Palmie nie zaniknie, prawda? Uważa pan, że wulkan eksploduje.

– Tak, panie prezydencie. Tak uważam. I wszyscy powinni mieć tego świadomość.

– Dlaczego? – zapytał Paul Barnes głosem pełnym jadu.

– Ira wspomniał na początku, że nawiązałem pewien kontakt. To nie jest do końca prawda. To ona zwróciła się do mnie pierwsza – mówiąc, przyjrzał się twarzom zebranych i uświadomił sobie, że ma najniższy ze wszystkich certyfikat dostępu do tajnych danych i nie musi niczego ukrywać. Opowiedział więc wszystko, od chwili kiedy do jego domu zgłosiło się dwóch agentów. Niczego nie ukrywał. Kiedy skończył, wydawało się że każdy ma jakieś pytanie i chce podważyć prawdziwość jego historii.

Prezydent zdecydowanym ruchem dłoni uciszył harmider.

– Wierzysz jej?

– Nigdy nie wątpiłem w istnienie tej organizacji. Widziałem ją w działaniu w Las Vegas, na Oceanie Spokojnym i na promie w Grecji. Gdybym nie widział kroniki i nie poczuł trzęsienia ziemi na Santorini, włożyłbym jej opowieści między bajki. Jednak wiedziała dokładnie, gdzie i kiedy nastąpi wstrząs. To z całą pewnością nie był przypadek, a sądząc po wielkości kroniki, jej organizacja potrafi przewidywać katastrofy od długiego czasu.

Prezydent chciał zadać jeszcze jedno pytanie, ale Mercer go uprzedził.

– Panie prezydencie, proszę nie pytać mnie, czy umiem to wyjaśnić. Nie umiem. To, co mi pokazała, przeczy wszystkiemu, co wiem jako geolog. Mimo to nie mogę obalić dowodów, które widziałem.

Przez kilkanaście sekund panowała cisza. Wszyscy czekali na decyzję prezydenta.

Mercer spojrział na Irę. Przyjaciel ostrożnie wzruszył ramionami. Na jego łysej czaszce perlił się pot. Mercer zawsze uważał, że Ira doskonale się czuje na zapleczu władzy. Odszedł na emeryturę z dwiema gwiazdkami, więc rozmowy z elitami rządzących nie były dla niego niczym nowym. A mimo wszystko na tym spotkaniu się pocił. Ryzykował własną karierę, pomyślał Mercer. Sprowadzając go tutaj, dawał mu swoje poparcie i używał autorytetu. Jeśli prezydent uzna, że to czcze gadanie, Ira jutro rano może być bez pracy.

Mercer skinął mu, siląc się na pewną minę.

Prezydent rozprostował palce i położył dłoń na blacie.

– W ostatnich kilku latach zaszła bardzo interesująca zmiana dotycząca oczekiwań w stosunku do administracji rządowej i samego prezydenta. Amerykanie spodziewają się, że będę nieomylny i wszechwiedzący. Oczekują, że będę znał motywacje naszych przyjaciół i wrogów i konsekwencje każdego działania. Nie ma już miejsca na pomyłki. Myślę, że to zaczęło się w czasie wojny w Zatoce, kiedy wszyscy zobaczyli, jak precyzyjnie można stosować siłę. Uznali, że skoro da się bombę z samolotu wrzucić do budynku przez konkretne okno, to my możemy właściwie wszystko. Uważają, że taka precyzja powinna dotyczyć również ekonomii i spraw zagranicznych. Innymi słowy większość myśli, że mam, albo przynajmniej powinienem mieć, kryształową kulę. Ale, niestety, mylą się. Mam prawo ogłosić ewakuację pięćdziesięciu milionów mieszkańców... ale co będzie, jeśli nie dojdzie do eksplozji, a w panice ginie kilka tysięcy osób? Albo zarządzę ewakuację, a ci, którzy przeżyją, oskarżą rząd, że nie zapobiegł katastrofie? Mogę też zaniechać jakichkolwiek działań i uznać, że zagrożenie zostało wymyślone przez manipulowanych naukowców zainspirowanych jakimiś spiskowymi teorianami.

Paul Barnes złożył przed sobą skórzaną teczkę, jakby już było po spotkaniu.

– I tak chyba będzie najrozsądniej.

Prezydent chyba nie chciał zatrzymać szefa CIA. Teraz albo nigdy.

– Panie prezydencie, jest jeszcze jedna możliwość – wtrącił szybko Mercer.

– Czekałem na to. – Prezydent uśmiechnął się z ulgą.

– Uważam, że Tisa Nguyen dała mi dość czasu, żebym mógł zareagować i zapobiec katastrofie. Widzimy już pierwsze oznaki aktywności wulkanu, ale to nie oznacza, że musi od razu wybuchnąć. Może dopiero za sześć miesięcy albo sześć lat – Mercer przerwał. Nie chciał podnosić ciśnienia w pokoju, tylko przemyśleć konsekwencje swoich następnych słów. – Ale też możliwe, że już za sześć tygodni. Tisa jest jedyną osobą, która wie na pewno. Musimy ją znaleźć. Mając informacje, które posiada, będziemy w znacznie lepszej sytuacji.

– A wiesz, gdzie jest?

– Prawdopodobnie wiem, ale potrzebuję pomocy, żeby ją stamtąd wydostać. Kilka godzin spędziłem nad zdjęciami satelitarnymi, – szukając wskazówek, gdzie ukryta jest dolina Rinpoche-La. Tyle że ani ja, ani mój pomocnik nie jesteśmy zawodowymi interpretatorami zdjęć z satelity, więc zmarnowaliśmy sporo czasu, a nic nie znaleźliśmy.

– Harry ci pomagał? – Dick Henna nie mógł uwierzyć własnym uszom. Nawet Mercer musiał przyznać, że prośenie osiemdziesięciolatka o pomoc w przeglądaniu tysięcy zdjęć było aktem desperacji. Ale cóż, był zdesperowany i nic nie mógł na to poradzić. Uśmiechnął się przeprasząco.

– Pomagał to za duże słowo. Przynajmniej mi nie przeszkadzał. Niewiele więcej mógł dla mnie zrobić.

Prezydent spojrział na swojego doradcę do spraw bezpieczeństwa narodowego.

– John, jak się nazywa ta grupa z Marylandu, która zajmuje się naszymi zdjęciami?

– Tam mamy Narodowe Biuro Rozpoznania, sir, ale wydaje mi się, że chodzi panu raczej o Narodową Agencję Kartograficzną i Zdjęć Satelitarnych w Bethesda.

– Tak, tak, dokładnie. Gdzie należy szukać tej włoski?

– Na północnych stokach Himalajów. Paul Barnes wytrzeszczył oczy.

– W Chinach? !

Mercer nie zmienił wyrazu twarzy.

– Tak mi się wydaje. Prezydent spojrział na szefa CIA.

– Wyciągniesz ją stamtąd?

– Panie prezydencie – Barnes jęknął błagalnie. – Nawet jeśli znajdziemy jej wioskę, co nie jest pewne, kilka tygodni zajmie zorganizowanie zespołu ratunkowego. W Chinach mamy parę bardzo cennych kontaktów, ale oni pracują w dużych miastach. Na terenach wiejskich i tak zostaliby wyłapani bez specjalnych przepustek.

– A jeśli wyślemy tam naszych ludzi stąd?

– Jeśli trwałaby zimna wojna, a miejscem docelowym byłaby Rosja albo Europa Wschodnia, pierwszy wydałbym zgodę. Ale, panie prezydencie, z Chinami nie ma szans. Zespół sil specjalnych musiałby się tam dostać z Nepalu albo z Pakistanu, przekraczając jedną z najlepiej strzeżonych granic na świecie. Ostatniego złapaliby nie dalej jak pięć kilometrów za granicą.

– A zespół złożony z Amerykanów chińskiego pochodzenia?

– Nie mam dostatecznej liczby ludzi spełniających to kryterium. Prawie wszyscy nasi agenci z tamtych rejonów pracują jako analitycy lub tłumacze. Nie mamy żadnych terenowych agentów.

– Macie trzy miliardy dolarów budżetu i żadnego azjatyckiego Jamesa Bonda? – zakpił Dick.

– Panowie. – Prezydent ich uspokoił. – Najpierw skupmy się na ustaleniu położenia Rinpoche-La. Pytanie, jak się tam dostaniemy, zostawmy na później. – Henna i Barnes przytaknęli. – Mercer, napisz proszę informację dla ludzi od zdjęć, żeby wiedzieli, czego dokładnie szukać. Ich specjalnością jest znajdowanie igieł w stogu siana, ale mimo wszystko z wdzięcznością przyjmą każdą podpowiedź.

– Tak jest, sir.

– A potem się spakuj. Lecisz na La Palma.

– Nie, panie prezydencie.

Prezydent nie był przyzwyczajony, żeby ktoś mu się przeciwstawiał. Był raczej zdziwiony niż zły.

– Słucham?

– Panie prezydencie, powiedziałem, że nie polecę na La Palma. Ufam ludziom, których wysłał tam Ira. Są na pewno znacznie bardziej doświadczeni w kwestiach wulkanów niż ja. To specjaliści. Ja nie. Zawadzałbym im. Bardziej przysłużę się krajowi, jeśli wyśle mnie pan z oddziałem, który poleci po Tisę.

– Wykluczone! – ryknął Barnes – Nie pozwolę cywilowi uczestniczyć w akcji z moim zespołem. Jeśli twierdzi pan, że będzie zakłócał pracę specjalistów na La Palmie, to na jakiej podstawie chce pan znaleźć się ze specjalistami z CIA podczas akcji?

Mercer mógłby go zniszczyć. Bóg jeden wiedział, że Barnes zasłużył na to w dwójnasób, ale teraz tylko usiłował bronić swo-

jego stołka. CIA miała obowiązek wiedzieć o takich sprawach dużo wcześniej, tymczasem Mercer przyniósł im wszystko na tacy. Barnes czuł się poniżony. Potrzebował czegoś, co pozwoliłoby mu zademonstrować swoje kompetencje i wrócić do gry. W jego naturze nie leżała współpraca z Mercerem, więc za wszelką cenę chciał go odsunąć.

– Panie Barnes, zapomina pan o jednym podstawowym fakcie. Żaden z pana ludzi nie ma pojęcia, jak wygląda Tisa. W obecnej sytuacji portret pamięciowy nie będzie chyba najlepszym rozwiązaniem.

Barnes był gotów do starcia, ale tym razem musiał zamilknąć. Choć nie widział Dicka Henny, dyrektor FBI zasłonił usta, żeby ukryć uśmiech.

– Rozsądny argument – uznał prezydent. – Rozumiem, że niebezpieczeństwa takiej misji nie są ci obce?

– Nie, panie prezydencie. Gdyby to nie było ważne, nie brałbym takiej misji pod uwagę.

– Jeśli więc będziemy wysyłać zespół, żeby ją odbić, masz zaklepane miejsce.

Prezydent wstał i popatrzył na zebranych.

– Na razie ani jedno słowo nie może wyjść poza ten pokój. Szukajcie i czyńcie przygotowania, ale po cichu. Jeśli ta erupcja jest tak poważna, jak zakładamy, mamy niewiele czasu, zanim media zwęszą swoją szansę. Potem wiadomo, jak sprawa się potoczy. Mercer, pamiętaj proszę, że jesteś moim specjalnym doradcą do spraw naukowych. Chcę znać możliwości.

– Możliwości, sir?

– Możliwości ratunku dla kraju i narodu. Możemy mieć tylko kilka tygodni albo miesięcy. Na razie chyba wszyscy się zgadzamy, że ewakuacja nie wchodzi w grę. Nawet jeśli udałoby się nam jakoś ją przeprowadzić, Stany przestaną istnieć w takiej formie, jaką znamy. To samo dotyczy tych części Europy, które znajdują się w zasięgu fali. Musi być jakiś sposób, by zapobiec erupcji albo ustabilizować tę skałę. I tego oczekuję: rozwiązań, jak to zrobić.

– Rozumiem – odpowiedział Mercer i pomyślał, że prezydent nie ma pojęcia, o co prosi.

Rinpoche-La, zachodni Tybet

Zachodnia część Tybetu nigdy nie była gęsto zamieszкана. Wędrowni hodowcy nie mieli zbyt wielu pastwisk, a jeszcze mniej ziem leżało na takiej wysokości, by móc założyć tam gospodarstwo. Dlatego po inwazji w 1950 roku wojska chińskie otoczyły ten teren ciasnym kordonem i wykorzystywały do swoich celów. Wybudowano kilka więzień politycznych, a większość terenu zajęły stanowiska obserwacyjne i stacje radarowe, kontrolujące granicę z Nepalem i Indiami. Tybet został włączony do Chińskiej Republiki Ludowej jako obszar buforowy i nie cieszył się swobodą. Poza strzeżonymi zorganizowanymi grupami zagraniczni turyści nie mieli prawa opuszczać stolicy, Lhasy, a na zachodnie rubieże kraju nikt nie miał wstępu. Patrole wojskowe regularnie przeczesywały drogi, a lotnictwo nie wydawało pozwoleń na przelot. Nieliczni przemytnicy narkotyków, którzy na początku testowali obronę przeciwlotniczą, szybko zostawali wykryci przez naziemne stacje radarowe i chwilę później siadały im na ogonach migi i su.

Kraj na Dachu Świata zawsze owiany był legendami i tajemnicami, a jego najbardziej niezbadaną częścią pozostawały właśnie zachodnie kresy.

Zakon, żeby utrzymać istnienie doliny w sekrecie, musiał przestrzegać specjalnego protokołu podróżowania do Rinpoche-La. Nie wolno było dwa razy użyć tej samej drogi od granicy

z Nepalem, a wędrówka nigdy nie trwała krócej niż dwa tygodnie – choć i takie środki nie gwarantowały bezpieczeństwa. Czas ten nie obejmował dni spędzonych w Katmandu na unikaniu chińskich donosicieli, którzy łasi na kilka juań gotowi byli zgłaszać każdego podejrzanego.

W pośpiechu i ignorując wszelkie zasady bezpieczeństwa, Luc Nguyen zmusił grupę eskortującą jego siostrę do przebycia drogi z Nepalu do Rinpoche-La w niecałe osiem dni. Ryzykowali, korzystając z ciężarówek na głównych drogach i nie dbając o dobre schronienie, kiedy w pobliżu przelatywały helikoptery zwiadowcze, przystosowane do lotów w rozrzedzonej atmosferze wysokich gór. Niedostępne przełęcz patrolowano z powietrza, polując na uciekinierów z robotniczego raj, jakim stał się Tybet pod chińskimi rządami.

Na wysokości czterech tysięcy metrów wiatr nigdy nie cichł. Czy pojawiał się pod postacią lekkiego letniego zefiru czy mroźnego zimowego zawodzenia, zawsze wiał nad doliną otoczoną szczytami sięgającymi trzech tysięcy metrów. Góry dookoła były postrzępione i nagie, pozbawione gleby i śniegu, który utrzymywał się jedynie w osłoniętych zagłębieniach i szczelinach. Chociaż Tybet znany jest z pięknych widoków, tereny dookoła Rinpoche-La wyglądały paskudnie i dziko.

Odizolowany zakątek w odizolowanym kraju. Do najbliższego miasta było sto kilometrów i nie prowadziła tam żadna droga – tylko ścieżka, którą mogli przejść jedynie najodważniejsi.

Budowa klasztoru w Rinpoche-La rozpoczęła się w 1052, pod przewodnictwem nauczyciela z Indii, Atishy. Był nieprze-

rwanie zamieszkały do 1254, kiedy mnisi go porzucili, protestując przeciwko temu, że Godan Khan, prawnuk Ghenghis, uczynił lamę buddystów Sakyę regentem Tybetu. Ponieważ Rinpoche-La leżała na uboczu, została całkowicie zapomniana. Mieszkający w niej rolnicy byli samowystarczalni i przywykli do życia w cieniu potężnego klasztoru. Stan ten zmienił się dopiero, kiedy Zhu Zhanji, konfucjonista, który przeciwstawił się cesarzowi, zgromadził w klasztorze zdobycze, które admirał Zheng He przywiózł z zamorskich wypraw. W księgach Zakonu na próżno szukać wyjaśnienia, skąd Zhu Zhanji wiedział o istnieniu klasztoru. To zrodziło kolejną z licznych legend osnuwających dolinę.

Przez kolejnych sześćset lat dolina była świadkiem niezliczonych najazdów i podbojów Tybetu z północy, południa i wschodu, aż do totalitarnej okupacji przez Chiny. Choć pod okupacją zamordowano ponad milion Tybetańczyków i dwukrotnie zwiększono liczbę mieszkańców, zmuszając rdzennych Chińczyków do osiedlania się na tych terenach, Rinpoche-La pozostawała niedostępna i nieznana. Wiadomo o niej było tylko tyle, ile wynikało z plotek i opowieści. Poza niedostępnym położeniem na zboczu gór doliny strzegła również rzeka, groźna i nieobliczalna zimą, a latem nie do przebycia.

Nad wsią górował klasztor, zbudowany przy samym brzegu doliny. Składał się z pięciokondygnacyjnego centralnego budynku, otoczonego licznymi przybudówkami i dziesięciometrowymi, grubymi na metr murami z łupanego kamienia. Wieś leżąca u stóp klasztoru też powstała z kamienia. Niewielkie budynki

zdawały się wyrastać z podłoża. Ponieważ dolina była wąska i głęboka, niewiele światła docierało do jej dna, a i tę odrobinę rozpraszały unoszące się obłoki pary ze źródeł geotermalnych.

To właśnie para wodna dawała wiosce najlepsze schronienie i pozwalała jej przetrwać. Mikroby żyjące w ciepłych źródłach były podstawą dziwnego łańcucha pokarmowego, podobnego do tych, na które trafia się w podmorskich kominach termalnych. Z powodu braku światła mikroorganizmy czerpią energię z procesu chemosyntezy. Organizmy żywiące się substancjami wypłukiwanymi przez wodę z głębi ziemi są pożywieniem dla innych niespotykanych stworzeń – gigantycznych wieloszczetów, osiągających metr długości, ostryg i krabów endemicznych, a także ryb przystosowanych do życia w gorących źródłach. Na szczycie tego łańcucha znajdują się kozy i jaki, które zjadają bogate w substancje odżywcze rośliny wodne i dają mieszkańcom wełnę, mleko i mięso. Kolejną zaletą doliny jest ciepło gorących źródeł. Mieszkańcy nie muszą zbierać opału do ogrzewania domostw i gotowania – unikają w ten sposób czasochłonnej czynności, nieodzownych dla pozostałych mieszkańców Tybetu. Kolejne pokolenia uczyniły z doliny samodzielny i samowystarczalny ekosystem.

Na wyższym piętrze klasztoru zaskrzypiało okno, poruszone powiewem wiatru. Świeca na stoliku zamigotała, a na ścianach celi zatańczyły cienie. Tisa niechętnie podniosła wzrok, żeby sprawdzić, co się dzieje. Przy stłuczonym łokciu trzymała zawiniątko nasączone herbatą maślaną, żeby złagodzić ból. Czuła fizyczną i duchową pustkę, ale wiedziała też, że proste łóżko

w rogu nie przyniesie jej wytchnienia. We śnie wracały koszmary, które męczyły ją już od tak dawna...

Poza nimi dręczył ją strach o Philipa Mercera.

Była przekonana, że przeżył oczekiwanie na pomoc. Kiedy go opuściła i popłynęła do łodzi, starała się przekonać swojego przyrodniego brata, że geolog zginął w ładowni zatopionego promu. Luc jej nie wierzył, ale liczba rozbitków napierających na łódź groziła jej kapotażem, więc wydał rozkaz odwrotu. Mercer na pewno został wyciągnięty z wody, kiedy z Santorini dopłynęły jednostki ratunkowe.

Bardziej bała się tego, co nieuchronnie nadchodziło. Zastanawiała się, czy powinna była go ostrzegać przed wydarzeniami na La Palma, skoro nie mogła już być razem z nim. Mercer bez wątpienia domyślił się, że chodzi o erupcję wulkanu i była przekonana, że zrobi wszystko, żeby ograniczyć straty i zniszczenia. Pojedzie na La Palma i będzie gotów umrzeć, pomagając innym. Jej ingerencja w przebieg zdarzeń przypieczętowała jego los. Przez ten krótki czas, jaki spędzili razem, uświadomiła sobie, że Mercer budził w niej uczucia, jakich się po sobie nie spodziewała. Myślała, że nie jest do nich zdolna. Zakochała się. A teraz on odszedł na zawsze.

Wiedziała też, że ktokolwiek powiedział, że lepiej kochać i stracić, niż nigdy nie kochać, nie miał zielonego pojęcia, o czym mówi. Spojrzała na nadgarstek, na którym przez kilka godzin nosiła zegarek od niego. To był najczulszy gest, jakiego doświadczyła. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie chciała go potem nosić, bo nie wiedział, że bała się czasu. Bała się tego, jaki jest

skończony i przewidziany. Nie chciała zegarka, który tylko by jej o tym przypominał.

Teraz żałowała, że go nie ma.

Opactwo zostało zbudowane tak solidnie, że pochłaniało wszystkie dźwięki. Tisa nie usłyszała kroków przed swoją celą i nie wiedziała, że ma gościa, dopóki nie szcęknął ciężki stalowy zamek blokujący drzwi.

Nie podniosła wzroku, bo i tak wiedziała, kto do niej przyszedł – jej brat, Luc.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Wiesz przecież, że nigdy tego nie zrobię – szepnął. Kiedy byli w Rinpoche-La, rozmawiali po tybetańsku. Z jakiegoś niejasnego powodu poza doliną porozumiewali się po angielsku albo francusku.

Podniosła głowę. W trakcie ucieczki z promu straciła okulary. Zapasowe były za słabe, więc żeby dobrze widzieć, musiała lekko mrużyć oczy. Luc był ubrany tak samo jak ona, w obszerne wełniane spodnie, koszulę z delikatnej bawełny i ciężką pelerynę. Zauważyła, że nie rozstawał się z bronią.

– Co chciałeś osiągnąć, zmuszając mnie, żebym tu przyjechała? Przeszedł przez ciemną celę, by stanąć obok niej. Czowała jego rękę w pobliżu ramion, jednak nie odważył się jej dotknąć.

– Chciałem, żebyś była bezpieczna.

– Bezpieczna? – sapnęła. – Nie ma już ratunku!

– Tisa, przecież może być zupełnie inaczej. Wybaczam ci, że chciałaś ostrzec świat. Czasem nawet mi się wydaje, że po-

winniśmy to zrobić. Jednak w końcu dochodzę do wniosku, że lepiej się powstrzymać. Lepiej dla wszystkich.

Spojrzała mu w oczy.

– Lepiej dla wszystkich? A kto o tym decyduje? Ty?

– Mógłbym zadać ci to samo pytanie. Przez stulecia Zakon nie robił nic poza obserwowaniem kataklizmów, które niszczą całe państwa i zabijają miliony ludzi. Nikt nigdy nie kwestionował konieczności zachowania tej wiedzy w tajemnicy. Fakt, że zniszczenia będą tym razem większe, nie oznacza, że powinniśmy zerwać z wieloletnią tradycją – Luc, jeśli nic nie zrobimy, zginie sto milionów ludzi, a to będzie dopiero początek, bo kiedy cywilizacja zacznie upadać, umrze znacznie więcej.

– I tu się nie zgadzamy, droga siostrzo. Ja nie uważam, żeby to było coś złego. Współczesna cywilizacja jest pełna błędów i nie może dalej trwać. Jej upadek to tylko kwestia czasu. Niepohamowana konsumpcja w krajach Zachodu i wzrastająca liczba ludności w rejonach rozwijających się albo wykrwawia naszą planetę, albo doprowadzą do wojny tak okrutnej, że obie strony wybiją się do nogi. Erupcja na La Palma jest jakby zaworem bezpieczeństwa, mechanizmem, który cofnie zegar świata o sto czy dwieście lat i da ludzkości szansę, żeby wyciągnęła wnioski ze swoich błędów i pomyłek. Taka przecież jest natura ewolucji: adaptacja do zmieniających się warunków. Ci, którzy to potrafią, przeżyją, a reszta, która sobie nie poradzi, ginie. Planecie wszystko jedno, jakie gatunki okupują szczyt drabiny ewolucyjnej, o ile zdają testy, jakim są poddawane. Jesteśmy tam od tak dawna, że zapomnieliśmy już, że istniejemy tylko z łaski Ziemi.

Tisa nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, ale nie dlatego, że w głowie miała pustkę. Wręcz przeciwnie, nie mogła odeprzeć wirujących obrazów, które uderzyły w nią z siłą huraganu. Przez kilka miesięcy po tym, jak dowiedziała się o erupcji wulkanu na La Palma, szukała sposobu, żeby temu zapobiec. Chciała przynajmniej zmniejszyć jej niszczycielską moc. Była pewna, że jej się uda i to dawało jej siłę i determinację do dalszych działań. Słyszając słowa brata, zrozumiała, jak mało to wszystko znaczyło. Po raz pierwszy pomyślała, że zawiodła.

Z Rinpoche-La nie dało się uciec. Po powrocie do doliny dowiedziała się, że Luc zmobilizował kilkudziesięciu swoich popleczników i uformował wojsko. Wszyscy, wzorem przywódcy, nosili broń. Nawet jeśli udałoby się jej zmylić strażników i uciec, nie miała szans na przeżycie drogi do Nepalu. Darchen, najbliższa tybetańska miejscowość, również nie wchodziło w rachubę, bo było spokojną wioską z bardzo silnym kontyngentem wojskowym. Zostałaby aresztowana przy pierwszej próbie znalezienia transportu do Lhasy.

Luc zaczął masować jej ramiona. Tisa nie miała siły, by go odepchnąć.

– Tutaj będziemy bezpieczni. Kiedy nadejdzie czas, dołączymy do reszty świata i zajmiemy w końcu należne miejsce. Wyrocznia gwarantuje nam dominację.

– Chcę się zobaczyć z lamą – powiedziała, powstrzymując szloch.

– Oczywiście. – Luc odsunął się i pozwolił jej wstać. Uśmiechnął się do niej i obdarzył spojrzeniem, które mówiło, że nie

widzi jej łez, złości ani gniewu, lecz patrzy znacznie głębiej. – O cokolwiek poprosisz.

Wyprowadził ją z celi. W tej części klasztoru korytarze były szerokie, a wzdłuż nich ciągnęły się wejścia do pokoi zamieszkałych niegdyś przez setki mnichów. Cenne zwoje modlitewne zwane *thangkas* zdobiły wykładane drewnem ściany. Podłogę pokrywały deski z egzotycznego drewna, wypolerowane na wysoki połysk i przykryte zdobnymi dywanami. Luc prowadził siostrę do jednego z centralnych balkonów, z których wchodziło się na schody tak szerokie, że zmieściłyby dwunastu mnichów obok siebie. Drogę oświetlały lampki oliwne. Parter był otwartą przestrzenią o powierzchni kilku akrów, poprzecinaną jedynie wysokimi kolumnami z marmuru. Było ich tak wiele, że główne wejście do klasztoru zyskało nazwę kamiennego lasu. Wysoko nad ich głowami połyskiwał zdobiony złotem sufit.

Po kilkunastu minutach dotarli do innych schodów, prowadzących pod ziemię. Przejście było jednocześnie szybem wentylacyjnym, którym do klasztoru dostawało się gorące powietrze znad źródeł geotermalnych. Na końcu schodów zaczynał się kręty korytarz, będący niegdyś tunelem, którym płynęła lava. Kilkaset metrów dalej drogę zagrodziły im wysokie drzwi. Luc zdjął z szyi klucz i otworzył zamek. Uśmiechnął się do siostry.

Tisa nie zareagowała. Po raz ostatni była tu trzy miesiące temu, kiedy przyszła po kronikę. Dotychczas klucze mieli jedynie archiwiści, najbardziej szanowani członkowie wspólnoty. Luc do nich nie należał. Musiał przez ten czas mocno walczyć

o swoje wpływy w Zakonie. Obawiała się, co jeszcze udało mu się zmienić.

W archiwum panował mrok, dopóki Luc nie włączył światła. Energia pochodziła z generatorów geotermalnych ukrytych głęboko pod klasztorem. Ściany pokrywały ciężkie kobierce, których zadaniem było pochłanianie wilgoci z powietrza. W ten sposób chroniono bezcenne manuskrypty. Dywany wymieniano regularnie, a te wyglądały na świeże i całkiem suche.

Powietrze było chłodne, ale nie wilgotne. Mimo to w środku poczuła się klaustrofobicznie. Księgi stały poukładane na półkach pokrywających dwie ściany, od podłogi do sufitu. Pośrodku stało kilka biurków należących do archiwistów i rysowników. Ich blaty zawałały mapy i rękopisy. Ale nie tutaj zgromadzono skarb admirala Zhenga He, choć pozostawiono kilka eksponatów. Reszta kosztowności była w innym pomieszczeniu, do którego Tisa nigdy nie dotarła.

Kiedy zabrała jeden z tomów, by pokazać go Mercerowi, starała się zamaskować puste miejsce, przesuwając pozostałe księgi na półce. Tymczasem Luc albo któryś z archiwistów poukładał je właściwie i puste miejsce po wyniesionej kronice wyglądało jak dziura po wybitym zębie. Od brakującego tomu do końca półki naliczyła jeszcze sześć grzbietów w skórze – tyle dzienników czekało na weryfikację zapisanych w nich przepowiedni.

Luc przeszedł przez całe pomieszczenie i otworzył kolejne drzwi. Tisa czuła się coraz bardziej niepewnie. Od niemal roku nie widziała lamy, ale już wtedy podupadał na zdrowiu i brakowało mu bystrości, z której słynął. Bała się, że zmarł, a brat

proceedzi ją do grobowca. To by zresztą wyjaśniało, w jaki sposób Luc zyskał tak potężny posłuch w klasztorze i Zakonie.

Schodzili dalej, a drogę oświetlały im nagie żarówki zawieszane pod sufitem. Tisa podejrzewała, że to jedna z kilku dróg do kryjówki z Wyrocznią – podziemnej jaskini, w której przed setkami lat naśladowcy Zhu Zhanji zbudowali Wyrocznię, korzystając z planów z czasów znacznie starszych niż cała flota admirała He. Powietrze stawało się coraz gorętsze. Im głębiej schodzili, tym byli bliżej gorącego serca Ziemi. W końcu dotarli do wysokiego pomieszczenia, którego ściany pokrywały drewniane płyty, a na drewnianej podłodze leżały kolorowe dywany. W pokoju stało kilka eleganckich sof i foteli przykrytych jedwabnymi narzutami. Z sufitu poprzecinanego zdobnymi belkami zwisały połyskujące żyrandole, przypominające nieco dziwaczne stalaktyty. Detale ręcznie rzeźbionych motywów zatarły się z biegiem czasu pod grubą warstwą złoci. Przez otwarte drzwi Tisa widziała sypialnię z ciężkim drewnianym łóżem. Jedyne brak okien odróżniał to pomieszczenie od komnat koronowanych głów. Nigdy jeszcze nie widziała tej części klasztoru i nie rozumiała, do czego mogła służyć. Luc gestem zaprosił ją do sypialni.

Wewnątrz było znacznie ciemniej, mroczniej i bardziej przytłaczająco. W powietrzu unosił się zapach przypominający nieświeże mięso – choć jeszcze nie zepsute. Tisa wyczuwała czyjąś obecność. Uspokoiła oddech. Na łóżku, ukryta w ciemnościach, leżała jakaś postać. Serce zaczęło jej tłuc jak oszalałe, a dłonie pokryły się potem. Kiedy się zbliżyła, nie mogła powstrzymać

drżenia ust. Wiedziała już, co zaraz zobaczy. Ciężki oddech, który przyciągnął z początku jej uwagę, ucichł nagle, a postać na łóżku zakrakała jak kruk.

Tisa mimowolnie zasłoniła dłonią usta. Mało brakowało, a by krzyknęła. Powoli przysunęła się jeszcze bliżej, stając z boku, by światła z pokoju za plecami oświetliły leżącego. Luc zrozumiał jej intencje i zapalił lampę. Tisa westchnęła.

Lama nie nosił już uroczystej błękitnej szaty. Był nagi i rozpaczliwie walczył o każdy oddech. Jego ciało było pozbawione włosów, z wyjątkiem szarej kępki w kroczu i cienkich siwych kosmyków na czubku głowy. Zmarszczki pokrywały jego twarz tak gęstą siateczką, jakiej jeszcze nigdy nie widziała. Usta stały się czarną bezzębną dziurą, członki kośćmi obciążonymi przejrzystą skórą. Nie wyglądał już na siedemdziesiąt lat, a na dziewięćdziesiąt. Jej uwagę przykuły oczy mężczyzny. Był to wzrok osoby z bardzo poważnym upośledzeniem. Wciąż jasne, lecz pozbawione dawnej ciekawości. Nie dostrzegła żadnego znaku, że ten człowiek poznawał, kto przed nim stoi.

Więzy z miękkiego sznurka przytrzymywały lewą dłoń w nadgarstku i kostkę u nogi. Prawa strona stężała sparaliżowana.

Tisa poczuła palenie pod powiekami. Spojrzała na brata i nie potrafiła ukryć cierpienia i zaskoczenia.

– Dwa miesiące temu – wyjaśnił jej Luc, jakby mówił o pogodzie. – Lekarz stwierdził, że to wylew. Byłoby lepiej, gdyby wtedy umarł. Prawdęmówiąc, myślałem już, żeby oszczędzić mu cierpienia, ale inni uważają, że jego stan jest znakiem, a data śmierci będzie miała szczególne znaczenie.

Tisa sięgnęła, żeby odsunąć kosmyk włosów z czoła lamy. Mężczyzna spojrział na nią, ale jej nie poznał. Nie mogła już dłużej się powstrzymywać i zaszlochała. Ból był nie do zniesienia.

– A właśnie, czas na posiłek – odezwał się Luc, obojętny na cierpienie siostry.

Tisa spojrzała przez ramię. Obok brata zatrzymała się kobieta z wioski, której nie rozpoznała. Widać było, że waha się, pchana poczuciem obowiązku, ale jednocześnie powstrzymywana obecnością niespodziewanego gościa w sypialni lamy. Dziewczyna była ładna, około dwudziestoletnia. Miała okrągłą twarz i świeżo umyte włosy. Ubrała się w prostą długą spódnicę i luźną bluzkę z bawełny. Nie przyniosła tacy z posiłkiem, choć miała nakarmić chorego.

– Nie jestem pewien, czy chcesz to oglądać – powiedział Luc, kiedy dziewczyna się przemogła i podeszła bliżej łóżka.

Lama znów zakrakał, wyraźnie podniecony obecnością młodej kobiety. Dziewczyna zatrzymała się, spoglądając nerwowo to na Luca, to na jego siostrę. Luc dał jej znak, by nie zwracała na nich uwagi. Tisa nic nie rozumiała. Lama chciał dotknąć kobiety, choć miał związaną rękę... sięgał w kierunku jej piersi.

Wtedy Tisa dostrzegła mokre chusteczki przy nabrzmiałym biuście kobiety – była karmiącą matką. Jej piersi wypełniało mleko.

Kiedy dziewczyna zaczęła odpinać guziki, Tisa odwróciła się, nie mogąc ukryć obrzydzenia.

Luc zachichotał.

– To jedyny sposób, żeby w ogóle coś jadł – wyjaśnił. – Choć musimy usunąć mu zęby, bo ciągle gryzł mamki.

Nagle ucichły krzyki podniecenia, zastąpione zadowolonym mlaskaniem. Tisa nie znalazła w sobie dość siły, żeby spojrzeć. Wybiegła z sypialni.

– Jak mogłeś? – syknęła tak gwałtownie, że zabolęła ją gardło. Luc złapał ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. Ich usta dzieliły tylko centymetry.

– Mówiłem ci, że byłoby lepiej, gdyby wtedy umarł. Podpora naszej społeczności stała się niemowlakiem. Może to kara za próby naprawienia chi? Zakon nie powinien być zmieniać kierunku biegu rzek, budować wież i kopać dołów, żeby wpłynąć na jego przebieg.

Tisa wykrzywiła głowę, żeby nie musieć patrzeć na brata, tak do niej podobnego.

– Nienawidzę cię.

– Nadejdzie taki dzień, że spojrzysz na to wszystko z mojego punktu widzenia. Jeszcze nie teraz, rozumiem. Ale już wkrótce. – Pocałował ją w głowę i zwolnił chwyt. – Tymczasem zapewnię ci bezpieczeństwo. Razem poczekamy, aż świat się zmieni. – Spojrzał jej przez ramię. W drzwiach stał Donny Randall. – Zaprowadź moją siostrę do celi, Donny, a potem spotkajmy się w moim biurze.

Tisa nie mogła przestać płakać, kiedy wielki mężczyzna prowadził ją przestronnymi korytarzami. Nie była tu od kilku miesięcy, ale lamy nie widziała jeszcze dłużej. Nie powinna była wyjeżdżać. Mogłaby przeszkodzić bratu w przejęciu władzy.

Jej obowiązkiem było trwać tutaj, w Rinpoche-La. Nie była odpowiedzialna za resztę świata. Gdyby nie zmarnowała tyle czasu na próby nawiązania kontaktu z Mercerem, być może udałoby jej się ocalić choć trochę godności lamy, a tym samym czystości samego Zakonu.

Pół tysiąca lat planowania i tajemnicy miało się lada chwila zakończyć w sposób, jakiego nawet Wyrocznia nie mogła przewidzieć. Przez stulecia Zakon był wolny od żądz, która zniszczyła tak wiele dobrego na świecie; od pragnień, przez które wybuchały wojny; od słabości, które doprowadziły do upadku całe narody, a miliony do śmierci. Niewinność, którą Zakon zachowywał tyle lat, odeszła. Stracili ją tak, jak lama stracił rozum.

Może Luc miał rację, pomyślała, pogrążając się w ciemności, którą miała w sercu. Może nic z tego, co stworzyła ludzkość, nie było warte ocalenia? To, co przed chwilą zobaczyła, było obrazem piękna w krzywym zwierciadle. Pierwszy krzyk noworodka brzmi tak samo jak płacz umierającego z głodu dziecka. Myśl techniczna, dzięki której powstały wspaniałe katedry, służyła też projektantom obozów koncentracyjnych. Te same laboratoria produkowały substancje ratujące i odbierające życie. Sztuka, muzyka i wolność słowa były zawłaszczane przez nienawiść i służyły do przekazywania zła. Religia, polityka, rodzina... zostały zniszczone i wynaturzone w takim stopniu, że niewiele zostało w nich pierwotnego dobra. Z trudem pokonywała kolejne stopnie w drodze do swojej celi i nie starczyło jej sił, by odepchnąć od siebie ponure myśli. Jej determinacja zniknęła. Od kiedy poznała tajemnicę Zakonu, pielęgnowała w sobie nadzieję, że jej

przeznaczeniem jest przełamanie złego czaru, który co prawda pozwalał Zakonowi trwać, ale też wyznaczył mu kasandryczną rolę. Kasandra miała bowiem dar widzenia przyszłości, ale nie mogła nikogo przekonać, że mówi prawdę. Uświadomiła sobie, że przekonanie Mercera nic nie da. To, co miało nadejść, było nieuniknione. Jej przeznaczeniem było patrzeć na koniec wszystkiego. Miała zostać ostatnim obserwatorem.

Tisa wiele razy przeklinała swoje życie. Biernie obserwowała, jak kataklizmy niszczą świat, choć wiedziała, że może coś zmienić. Czekwała na właściwy czas. Czas stał się jej wrogiem, nienawidziła go najbardziej na świecie. Walczyła z nim, tak jak potrafiła, mając nadzieję, że kiedyś uda jej się ukraść moment i zniszczyć bestię. Ale nie dało się zatrzymać czasu. Musiała przyznać się do porażki.

Dotarli na najwyższe piętro. Donny liczył klucze, czekając, aż Tisa wejdzie do środka.

– Która godzina, panie Randall?

– Co? – Donny podniósł głowę zaskoczony pytaniem i stracił rachubę. Żeby znaleźć właściwy klucz, będzie musiał liczyć od nowa.

– Zapytałam, która godzina.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Jest noc. To ci powinno wystarczyć.

– Pewnie tak – powiedziała i usiadła na łóżku.

Kiedy Randall w końcu znalazł właściwy klucz, mógł skoncentrować swoje szare komórki na kolejnej sprawie.

– Twój brat wyjeżdża za kilka dni. Mam rozkaz cię pilnować. Chciałem ci powiedzieć, że może umiłem sobie ten czas, jeśli wiesz, o czymmówię. Nie masz cycków, ale skoro to wystarczyło Mercerowi, to miteż wystarczy.

Tisa nie była zaskoczona. Randall nie ukrywał swojego perwersyjnego zainteresowania jej osobą, od kiedy wyłowił ją z Morza Egejskiego.

– Rozumiem. Możesz mnie zgwałcić, proszę bardzo. Mam tylko nadzieję, że zrozumiesz, że molestowanie mnie nie przybliży cię do osoby, której naprawdę pragniesz.

– Czyli do kogo?

– To oczywiste, że użyjesz mnie jako zastępstwa dla Mercera. To jego chcesz zgwałcić. To jego chcesz zniewolić. Chcesz iść ze mną do łóżka, żeby poudawać, że ja to Mercer.

– Nazywasz mnie pedałem? – Donny kipiał.

– Nie. Uważam cię za chorą osobę. I jeśli choć raz mnie dotkniesz, zadam ci ból, jakiego sobie nawet nie wyobrażasz.

Randall się wyprostował. Tylko centymetry dzieliły czubek jego głowy od framugi.

– Na razie jesteś odważna. Zobaczymy, jak będziesz śpiewała, kiedy twój brat wyjedzie, a ja przystawię ci nóż do gardła.

– Zrobię nam obojgu przysługę i sama się na niego nadzieję.

Nie rozumiejąc, co ma na myśli, pokręcił głową i zatrzasnął drzwi, a potem wbił klucz w zamek, jakby mógł jej w ten sposób zadać ból.

W innych okolicznościach Tisa by się bała, ale teraz nie miała już nic do stracenia. Gwałt zadany przez Donny'ego Ran-

dalla byłby jedynie przedsmakiem wstydu, jaki zaczynała czuć na myśl o swojej porażce.

Następnego dnia Luc klęknął przed ołtarzem. W powietrzu unosił się intensywny zapach kadzideł, a ciche modły intonowane przez grupkę mnichów wypełniały spartańską świątynię. Klęczącym z tyłu wydawało się, że Luc jest pogrążony w modlitwie. W rzeczywistości obmyślał swój kolejny ruch. Rozumiał jednak symboliczną rolę, jaką musiał odgrywać. Dopóki żył lama, nie mógł włożyć świętej błękitnej szaty, jednak respektując wszystkie zwyczaje i rytuały, przygotowywał grunt pod swoją konsekrację.

W ciągu kilku miesięcy od wylewu lamy, Luc bardzo się starał, by przekonać do swoich racji jak największą liczbę młodych mnichów. Podobnie jak jego samego, przyciągała ich obietnica władzy po nadejściu kataklizmu i zniszczeniu cywilizacji. Tylko stara gwardia nie chciała zaakceptować narzucanych przez niego zmian. Luc miał lada dzień ponownie opuścić Rinpoche-La. Tisa nie umiała kłamać, więc wiedział, że Mercer wciąż żył. I chociaż geolog nic nie mógł zrobić, żeby zapobiec erupcji wulkanu, mimo wszystko chciał jego śmierci. Ale zanim zrealizuje tę część planu, musi przede wszystkim umocnić swoją pozycję w Zakonie.

Modlitwy trwały już szóstą godzinę. Kiedy jedni mnisi cichli, modlitwę podejmowali kolejni. Nawet Luc intonował jej słowa – kolejna maska. Po szóstej godzinie Luc wstał. Mimo długiego bezruchu, nie miał skurczy w nogach.

– Bracia – powiedział miękko. Podczas gdy pięćdziesięciu młodszych mnichów momentalnie ucichło, starsi potrzebowali nawet kilkunastu minut, żeby otrząsnąć się z transu. – Bracia –

powtórzył Luc. – W ten trudny czas wasze modły pokierowały moimi myślami. Zbyt długo przebywałem z dala od Rinpoche-La, a mimo to nawet chwila w domu pozwala mi odbudować ducha i oczyścić umysł.

– Czas nie ma znaczenia, jeśli w sercu panuje pokój – uważał Yoh Dzu. Był sekretarzem lamy i wyrażał myśli konserwatywnych zakonników. Jego słowa były cytatem ze znanej modlitwy i jednocześnie niezbyt subtelnym prztyczkiem, który miał przypomnieć Lucowi zamieszanie, jakiego był sprawcą.

– Dziś, mimo pokoju w naszych sercach, czas zaczyna mieć znaczenie. Bo pokój to nie coś, co można osiąść. Pokój to stan. O tym właśnie chciałem z wami porozmawiać. O stanie świata i stanie Zakonu, bo dziś są bardziej ze sobą związane niż kiedykolwiek w historii.

– Ale tak być nie powinno – mruknął jakiś bardzo stary mnich. – Przez wiele pokoleń Zakon i świat istniały osobno.

Luc wykorzystał tę uwagę.

– Od kiedy obecny lama dostał prawo noszenia błękitnej szaty, zmieniał naturę Zakonu. Nasza postawa ewoluowała od obserwatorów do aktywnych uczestników zdarzeń. Skierował nas na drogę ingerencji, by zmniejszyć rozdźwięk między wypowiedziami a rzeczywistością. Dziś stoję przed wami i mówię głośno, że to był błąd.

Kilkunastu mnichów potaknęło. Młody chłopak, którego Luc pouczył, co ma mówić, odezwał się głośno.

– Jego błędy wiele nas kosztowały i wiele kosztowały jego samego.

– Zrzucanie win na barki umierającego nie jest godnym zachowaniem – zaproponował Dzu.

– Nikogo nie obwiniam, bracie. Mówię tylko o faktach. Świat i Zakon nie istnieją osobno. – Przywołując kontrowersyjną decyzję lamy, by przywrócić Ziemi równowagę chi, Luc sprytnie zrzucił z siebie odpowiedzialność za działania, które mogły przyciągnąć uwagę do Zakonu.

– Nawet jeśli teraz się cofniemy, są już ludzie, którzy wiedzą o naszym istnieniu.

– Wiele lat temu już o tym rozmawialiśmy – zauważył Dzu. – Zналиśmy wtedy ryzyko i zaakceptowaliśmy je. Jednogłośnie uznaliśmy, że trzeba coś zrobić, żeby uzdrowić Ziemię i przywrócić dokładność Wyroczni. To wielkie nieszczęście, że kiedy przychodzi nam zmierzyć się z konsekwencjami tamtych decyzji, nie ma przy nas lamy.

– Być może nie jest to nieszczęście, ale dar. W przeciwieństwie do lamy wiele lat spędziłem w świecie poza murami klasztoru. I poznałem jego działanie. Erupcja wulkanu na La Palma wywołała strach, jakiego ludzkość jeszcze nie zaznała. A to, czego ludzie się boją, tego nienawidzą. Czego nienawidzą, to chcą zabić. Już wkrótce rozejdą się wieści o naszym istnieniu i o tym, że wiedzieliśmy o wulkanie. Światowi przywódcy nie mogą ukarać góry, więc ukarzą nas.

– Nas? Ale dlaczego? – zapytał starszy mnich. Przez całe życie nie postawił stopy poza doliną i nie doświadczył ludzkiej podłości.

– Bo to ich sposób działania. Jeśli wystraszysz węża, on cię zaatakuję. Nieważne, że nie chciałeś zrobić mu krzywdy.

– Ale i tak nie winiłbym węża – powiedział staruszek.

– Ja też nie – zgodził się Luc. – Ale świat na zewnątrz nie kieruje się naszymi zasadami.

Starszy mężczyzna zaczynał rozumieć.

– Chyba już wiem, co chcesz powiedzieć. Kiedy byłem młody, poparzyłem się, sięgając po kamień, który leżał zbyt blisko ogniska. Ze złości kopnąłem płonące bierwiona. Potem nie mogłem zrozumieć, dlaczego to zrobiłem, skoro ogień nie był winny.

Luc się uśmiechnął.

– Poznałeś smak ciemnej strony ludzkiej natury. Na zewnątrz wymknęła się spod kontroli do tego stopnia, że narody toczą ze sobą wojny z powodu plotek.

– Co możemy zrobić? – zapytał Dzu.

– Nie wiem, ale nie sądzę, żebyśmy mogli dalej polegać na naszej kryjówce.

– Czy dlatego ty i kilku innych nosicie broń?

– Tak, bracie. Boję się o nasze bezpieczeństwo.

– Odebrałbyś komuś życie, żeby chronić własne? – pytał dalej Dzu.

– Nigdy – skłamał Luc. – Ale wciąż nie jestem pewien, czybym się nie przemógł, by chronić Wyrocnię.

To oświadczenie wywołało pomruk wśród starszych mnichów. Pozbawienie kogoś życia, niezależnie, czy chodziło o człowieka, czy o najmniejsze zwierzę, było zaprzeczeniem wszystkiego, w co wierzyli buddyści.

Luc im przerwał.

– Ale to pytanie dotyczy nas wszystkich. I muszę znać odpowiedź, zanim opuszczę Rinpoche-La.

– Czy nasza sytuacja jest naprawdę aż tak poważna? – Dzu, który po wylewie lamy był najostrzejszym krytykiem poczynań Luca, zaczynał poddawać się jego czarowi.

– Niestety, tak. Wszyscy musimy zrozumieć, że nasz dotychczasowy styl życia wkrótce przejdzie do przeszłości. Sposób, w jaki zaczniemy nowy rozdział, i to już od dziś, zadecyduje o naszej przyszłości.

– Niezależnie od okoliczności, nigdy nie będę mógł nikogo zabić. – Dzu skrzyżował ramiona na piersi, jakby chciał zakończyć dyskusję.

– I wielu się z tobą zgodzi – przyznał Luc. – Nigdy nie prosiłbym nikogo o działanie sprzeczne ze ślubami. Ale muszę wiedzieć, czy zabronicie innym działania w sposób, którego nie popieracie? Jeśli inni będą wierzyli, że zabijanie w obronie Wyroczni jest właściwą drogą? Powstrzymacie ich?

– Na to pytanie łatwo odpowiedzieć. Życie jest ważniejsze niż jakiegokolwiek inne sprawy – przerwał mu Dzu. – Nawet jeśli Wyrocznia będzie zagrożona, zabijanie w jej obronie jest złe.

– Czy tak złe, jak ci, którzy zechcą ją zniszczyć?

– A czy grzech może być mniejszy lub większy? Nie wiem, być może. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Luc zrobił minę wyrażającą szczere współczucie.

– To coś, nad czym od dłuższego czasu nie przestaję się zastanawiać. – Dużo kosztowało go hamowanie śmiechu. Udało

mu się doprowadzić mnichów do miejsca, w którym zastanawiali się, czy można popełnić morderstwo, czy nie. – Powiem jeszcze o czymś wartym zastanowienia. Do mnie dotarło to dopiero po pewnym czasie. Przezsto pięćdziesiąt lat Zakon miał możliwość uratowania niezliczonych istnień ludzkich, ostrzegając o nadchodzącym niebezpieczeństwie. A tego nie robiliśmy. Zgodnie z prawem te śmierci obciążają nasze sumienia. Czy zaniedbanie to nie grzech? Dlaczego więc śmierć tych, których chęć nas skrzywdzi, miałyby być większym grzechem?

Odpowiedziała mu cisza. W końcu przemówił Dzu.

– W jakiś sposób odnajduję w tobie głos naszego lamy, Luc. W tym samym miejscu przekonywał nas do uzdrawiania ziemskiego chi. Był bardzo pewny swojego pomysłu i po krótkiej dyskusji zgodziliśmy się z nim, choć część z nas uważała, że popełniamy błąd. Skąd możemy wiedzieć, że to, co tobą kieruje, jest właściwe?

– Musicie jednak przyznać, że pasywność nie jest już rozwiązaniem. Niezależnie od tego, co zrobimy, Zakon już się zmienił.

– Tak, to prawda.

– Jeśli nie będziemy się bronić, kiedy po nas przyjdą, zabiją nas. I zniszczą Wyrocnię.

– To ty tak twierdzisz.

– Proszę tylko, byście uznali, że warto przetrwać. Że powinniśmy przetrwać i pokazać się światu po kataklizmie. – Zwrócił się bezpośrednio do starszego mnicha: – Bracie, czy nie powstrzymałbyś człowieka przed zabiciem węża, który go ukąsił?

– Powstrzymałbym.

– I tylko o to cię proszę. Nie winię żadnego z was, który nie broniłby węża. Ale proszę tylko, byście nie powstrzymywali tych, którzy chcą go bronić.

Drzwi z tyłu otworzyły się, skrzypiąc zardzewiałymi zawiasami. Powiew świeżego powietrza wpadł do środka, rozrzedzając zapach kadzideł. W progu stał Donny Randall. Nie odważył się wejść do świątyni, ale sama jego obecność przerwała spotkanie.

– Pan Randall przybył, żeby poinformować mnie, że wszystko gotowe na podróż do Nepalu. – Luc uśmiechnął się. – Żałuję, że nie mogę zostać z wami i modlić się o powrót lamy do zdrowia i o jego światłe rady w tak trudnym czasie.

– My za to będziemy się modlić o twój rychły powrót, Luc. – Dzu wstał i objął go. – Jesteś dumą Zakonu. Mimo że nie zgadzam się z niektórymi twoimi słowami, wiem, że masz dobre serce i czyste myśli.

– Dziękuję. – Luc uścisnął staruszką.

Wyszedł ze świątyni i dołączył do Donny'ego. Razem ruszyli korytarzem, coraz dalej od modlących się mnichów i zapachu kadzideł, od których Lucowi łzawiły oczy.

– Jak ci poszło? – zapytał Donny.

– Lepiej niż się spodziewałem. – Luc zachichotał. – Staruchy są tak zakręcone, że nie wiedzą, co robić. Nawet Dzu szuka kogoś, kto mógłby nim pokierować.

– Jak bezzębny zgred odwali kitę, zrobią cię lamą?

– Bez dwóch zdań.

– A potem?

– A potem wszystko potoczy się tak, jak zaplanowałem. Kiedy Stany Zjednoczone i zachodnia Europa się rozsypią, równowaga władzy na świecie zostanie zachwiana i pałeczkę przejmą Chiny, Japonia i państwa Pacyfiku. Ze dwa lata gospodarka światowa będzie się oswajała z faktem, że główni odbiorcy dóbr nie żyją. Wtedy ludzie zrozumieją, że wielkie metropolie były tylko czarnymi dziurami, które pochłaniały wszystko, co wyprodukowali, dając w zamian coraz więcej gąb do wykarmienia. Zasoby naturalne, czyli węgiel, zboża, drewno i ropa, nie zostaną naruszone, tylko całkowicie zmieni się sposób ich dystrybucji w świecie. Kiedy Nowy Jork przestanie być stolicą światowej finansjery, natychmiast pojawi się jakaś nowa, w Australii na przykład. Jak woda zmyje plażę Miami, ludzie zaczną jeździć na wakacje w inne miejsca. Adaptacja do nowych warunków to może największa zdolność ludzi. Wybuch wulkanu zmusi ludzkość do uświadomienia sobie, że byli na ścieżce prowadzącej wprost do zagłady. Zyskają dość czasu, by zmienić kierunek.

– A co z nami? Znaczy z Zakonem.

– Najmniej dotknięte przez erupcję zostaną państwa z basenu Oceanu Spokojnego, ale jednocześnie są najbardziej narażone na trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów. A my będziemy mogli ostrzec ich o zbliżających się katastrofach.

– Za drobną opłatą? – zapytał Donny.

– Za opłatą – zgodził się Luc.

Tam, gdzie Randall widział góry złota, Luc widział władzę; władzę absolutną, której od czasów cesarstwa rzymskiego nikt nie dźrzy. Zagrożone państwa dadzą mu wszystko, żeby je

chronił, i pewnie jeszcze więcej, żeby nie chronił ich wrogów. Ile Saudyjczycy są gotowi zapłacić za datę, kiedy wielkie trzęsienie ziemi nastąpi w Iranie i zakłóci dostawy ropy na całe tygodnie albo nawet miesiące? Ile zapłaci Japonia za wiadomość, która pozwoli im ewakuować Jokohamę i uratować ją przed tsunami? Taka wiedza była warta więcej niż pieniądze.

Luc był przekonany, że po jednej czy dwóch demonstracjach siły będzie mógł rządzić całym światem.

Arlington, Wirginia

Paul „Tiny” Gordon wyszedł z damskiej toalety i, wymachując przepychaczem do rur, przeklinał antyczną kanalizację. Potem odwrócił tabliczkę na drzwiach, by pokazywała napis „Awaria”. Choć akurat w niedzielę to nie miało znaczenia, bo po pierwsze, w niedziele zawsze było pusto, a po drugie, nawet w najbardziej ruchliwe dni w barze przesiadywali prawie sami mężczyźni. Kilku kobiet, które czasem się pojawiały, raczej nie odstraszała męska toaleta.

Mercer uśmiechał się przyjaźnie, bawiąc się przy barze szklaneeczką z wódką i limonką.

– Znowu pralnia?

Bar Tiny’ego był wciśnięty między sklepiki i zakłady, wśród których największa była przemysłowa pralnia chemiczna. Regularnie z toalet wybijała ciężka piana z detergentów.

Tiny wrzucił przepychacz na zaplecze i wszedł na podwyższenie za barem, bez którego nie mógłby spoglądać siedzącym klientom w oczy.

– Pieprzony szef pralni nie ma zamiaru nawet kiwnąć palcem, a jak ostatnio poszedłem z nim pogadać, powiedział, że dzięki detergentom kanaliza jest czysta i nie mam na co narzekać.

– Uroki własnego biznesu. – Mercer spojrział na zegarek. Było już po czwartej. Lasko się spóźniał.

Skrzyknęły główne drzwi. W lustrze nad barem Mercer zobaczył, jak Harry odpina smycz Draga. Psina i jego pan weszli do środka. Basset skierował się prosto na kocyk, który Tiny położył dla niego w rogu, a Harry do stołka, który Tiny trzymał dla niego przy barze. Barman przygotował drinka z jackiem danielsem i piwem imbirowym, jeszcze zanim staruszek usadowił się po lewej stronie Mercera.

– Gdzie byłeś wczoraj w nocy? – Po raz pierwszy od tygodnia Harry nie spał u Mercera. – Nie wpadłeś na drinka.

– Wpadłem gdzie indziej. – Harry rzucił mu rozpustny uśmiech. Mercer i Tiny mruknęli.

– Co cię tak wcześnie tu sprowadza? – zapytał staruszek.

– Ira chciał się ze mną spotkać, a ja nie chciałem siedzieć w domu.

– Myślisz, że znaleźli miejsce, gdzie jest Tisa?

– Mam taką nadzieję.

– I zamierzasz ją uratować?

– Taki mam plan – potwierdził, popijając wódkę. Harry spojrzał na barmana.

– Królewicz z bajki rusza na rumaku, by pokonać smoka i uratować damę serca. Czy jego życie to bajka?

– A nam jakie role przypadną? Mercer wskazał na swoją szklanekę.

– Ty, Tiny, będziesz alchemikiem, który warzy uzdrawiające eliksiry dające mi siłę.

– A Harry? Staruszek usiadł prosto.

– Ja bym siebie widział jako mędrca, który służy ci światłą radą.

– Wybacz, Harry, ale przenikliwy to jest Drag. Ty mi raczej pasujesz na nadwornego błazna.

Drzwi do baru znów zaskrzypiały. W progu stanął Ira i przez chwilę przyzwyczajając wzrok do panującego wewnątrz półmroku, a nos do zapachu skwaśniałego piwa i dymu z papierosów. Miał na sobie spodnie khaki, koszulkę polo i eleganckie mokasyny. Wyglądał świeżo. Mercer podejrzewał jednak, że admirał spędził w biurze cały weekend, a przebrał się dopiero na spotkanie, tym bardziej że mieszkał niedaleko.

– Co poleć, admirale? – zapytał Tiny.

– Dewar z lodem. – Ira klepnął Harry’ego po plecach. – Jak leci?

– Umiarkowanie z małymi przejaśnieniami. A co u ciebie?

– Jak zwykle, ale może zbierać się na burzę. Potem spojrzął na Mercera.

– Chodźmy do stolika.

Wzięli swoje szklaneczki i usiedli pod ścianą. Ira wyjął teczkę z dokumentami i odstawił torbę na ziemię.

– Czy to jest to, co myślę? – zapytał Mercer. Ira odpiął teczkę i podsunął ją przyjacielowi.

– Dolina Rinpoche-La.

Wewnątrz znajdowało się kilkanaście zdjęć satelitarnych. Fotografia na wierzchu obejmowała szeroki pas o powierzchni kilkuset kilometrów kwadratowych nagich skał i pokrytych śniegiem szczytów. Wiele z nich tonęło w chmurach.

– Spoglądasz na Himalaje z jednego z naszych satelitów – wyjaśnił Lasko chrapliwym ze zmęczenia głosem. – To największa rozdzielczość, podobna zresztą do twoich zdjęć.

– Wygląda całkiem niezłe – przyznał Mercer.

– Korzystając z informacji, jakie przekazałeś naszym analitykom, szczególnie tych o źródłach geotermalnych, zamówili zdjęcia regionu w podczerwieni.

Mercer sięgnął po następną fotografię. Przedstawiała czarne pole z białymi punktami.

– Każde białe miejsce oznacza źródło ciepła. Wszystko, począwszy od przemysłowych kominów, kończąc na włączonej kuchence. Odfiltrowali znane i rozpoznane miejsca, takie jak miasta, wioski i wszyszkowzdłuż dróg. – Kolejne zdjęcie wyglądało tak samo, choć większość białych plamek zniknęła. – Na tych obszarach się skupiliśmy. Żeby mieć pewność, że znajdziemy to, czego szukamy, zrobiliśmy analizę całego regionu. W sumie zidentyfikowaliśmy osiemset siedemdziesiąt siedem potencjalnych lokalizacji.

– I sprawdziliście je wszystkie? Ira potwierdził.

– Jeśli coś wyglądało obiecująco, zwiększali rozdzielczość i wrzucali dane do komputera, żeby poprawić szczegóły. Znaleźliśmy mnóstwo obozów wojskowych, o których Pentagon nie miał pojęcia i – sięgnął po przedostatnie zdjęcie w kupce – jedną zagubioną dolinę.

Mercer przyjrzał się mu uważnie. Obiektów aparatu skierowany był pionowo w dół na dwa nagie grzbiety górskie. Znajdowały się tak blisko siebie, że dolina między nimi była

ledwie zarysowaną linią. Na północy, gdzie góry kończyły się rozległym płaskowyżem, zauważył gęstą warstwę chmur, które skrywały dolinę. Wejścia do doliny strzegła dzika rzeka, która dalej okrążała oba grzbiety górskie.

– Jesteś pewien? – Mercer nie krył rozczarowania. Spodziewał się, że na zdjęciu zobaczy klasztor, o którym mówiła mu Tisa, i wioskę, w której dorastała.

Ira teatralnym gestem odrzucił zdjęcie, które trzymał w dłoni, żeby pokazać mu ostatnią fotografię w pliku.

– Czy tego właśnie szukałeś?

Mercer nie mógł uwierzyć w czystość obrazu. Miał wrażenie, że zdjęcie zostało zrobione z kilkuset metrów, a nie setek kilometrów, i to jeszcze z kosmosu. Mógł policzyć dachówki na klasztorze i rozpoznać owce maszerujące pobliską ścieżką. Ba, widział nawet rozdarcie na lewym rękawie pasterza. Zespół budynków był gigantyczny i zajmował kwadratową parcelę otoczoną wysokim kamiennym murem. Budynek monasteru miał wielkość przynajmniej czterech przecznic.

Ira sięgnął do teczki i wyjął kolejny plik.

– To wszystko, co mamy. Ale gwarantuję, że to jedyne zdjęcia tego miejsca, jakie kiedykolwiek zostały zrobione.

– Skąd wiesz?

– Bo nie mieliśmy ich w archiwach, a nikt na świecie nie dysponuje technologią, która pozwoliłaby je wykonać. Poza tym, gdyby Chińczycy wiedzieli, że taka dolina istnieje, to już by tam byli, prawda?

– Jak daleko jest od granicy? – Mercer był zbyt zajęty, żeby podnieść wzrok. Wpatrywał się w zdjęcia, szukając twarzy Tisy, jakby zakładał, że dziewczyna wiedziała, kiedy spojrzeć w górę.

– Około dwustu pięćdziesięciu kilometrów w linii prostej – odpowiedział Ira. – Ale tam się nie da dotrzeć w linii prostej. Średnie przewyższenie pomiędzy doliną a Nepalem wynosi ponad trzy i pół tysiąca metrów, a góry są nie do przebycia. Pieszemu oddziałowi dotarcie do Rinpoche-La zajęłoby kilka tygodni.

Tym razem Mercer podniósł wzrok.

– Ale nie mamy kilku tygodni.

– Wiem. Widziałem ostatni raport z La Palma. Naukowcy piszą, że wzrasta częstotliwość i siła wstrząsów, a zachodnia strona stożka się przemieszcza. Uważają, że to początek wybruszenia.

– Tak, na to wygląda. Ciśnienie w komorach magmowych pod wulkanem osiągnęło taką wartość, że deformuje cały stożek. Jeśli ten proces się nie zatrzyma, cała La Palma eksploduje jak Góra Świętej Heleny.

– Użyli tego samego porównania. Ale nie chcą nawet szacunkowo określić, kiedy może dojść do wybuchu.

– Mówiłem już na spotkaniu z prezydentem, że to niemożliwe. W normalnych warunkach nie mieliby nawet pewności, że w ogóle wybuchnie. Większość wulkanów przebudza się, pluje trochę lawą, wyrzuca trochę popiołu i po kilku miesiącach aktywności znów zapada w sen, a do erupcji nie dochodzi. Pewność

co do La Palmy mamy tylko dzięki Tisie, ale też tylko ona wie, ile czasu nam zostało. Myślałeś już, jak ją stamtąd wyciągnąć?

– Nie damy rady albo przynajmniej nie zdążymy.

– Co to znaczy, że nie damy rady? – Mercer dźgnął palcem jedno ze zdjęć. – Przecież wiemy dokładnie, gdzie jest.

Admirał uniósł dłoń.

– Powiedziałem tylko, że nie damy rady jej stamtąd wyciągnąć. Niemówiłem, że nie damy rady ciębie dostarczyć do niej.

Mercer zamrugął zaskoczony. Ira zeskokczył z krzesła, podszedł do witryny i wyjrzał na zewnątrz. Po chwili zapukał w szkło i wrócił do przyjaciela. Kilkanaście sekund później do środka wszedł czarny mężczyzna z ogoloną głową i potężnymi barami. Miał na sobie tylko czarne ubrania i ciemne okulary na nosie. Policzek wypchał zwitkiem tytoniu.

Rozejrzał się po barze, szukając potencjalnych zagrożeń. Harry i Tiny spojrzeli w stronę drzwi i, nie poświęcając mu więcej uwagi, wrócili do rozmowy. Wzrok mężczyzny spoczął na Mercerze.

– Słyszałem, że chcesz dołączyć do zespołu Szalonych Bomb? – zapytał głębokim barytonem.

Mercer zbladł. Kapitana Bookera Sykesa rozpoznał w chwili, kiedy stanął w progu, ale ani przez chwilę nie łączył oddziału Delta Force z obietnicą Iry, że pomoże mu dostać się do doliny Rinpoche-La. Kiedy dowiedział się, co to w ogóle są Szalone Bomby, uznał, że znacznie lepiej oddają sposób działania tej broni niż oficjalny wojskowy termin, ZPA-22, czyli załogowy pojemnik amunicyjny 22.

Sykes uśmiechnął się i usiadł obok.

– Zaprząłem do tej operacji najlepszych ludzi w Pentagonie. Uwierz mi, że nie ma innej możliwości – tłumaczył Lasko.

– Z oczywistych względów proszenie Chin o pozwolenie na wejście na ich teren jest wykluczone. Nie możemy też wysłać pieszego oddziału, żeby przedostał się przez granicę, bo istnieje zbyt wielkie prawdopodobieństwo, że wykryją go pogranicznicy, a poza tym nie mamy tyle czasu. Odpada też standardowy desant spadochronowy. Chińczycy mają cały region w zasięgu swoich radarów. Nawet gdybyśmy lecieli na wysokość czubków drzew, nie uda się nam dostać głębiej niż trzydzieści kilometrów. Potem mielibyśmy na ogonie stado migów. Albo ZPA, albo niema szans.

Mercer spojrział na Sykesa.

– Czy one naprawdę działają?

– Podczas ostatnich dwudziestu zrzutów czujniki zarejestrowały przeciążenia pozwalające na przeżycie.

– Czujniki? Chcesz powiedzieć, że jeszcze nie testowaliście ich nasobie?

Sykes się zawahał.

– No cóż, pierwszych czterdzieści zrzutów nie dawało nadziei na przeżycie. Cholera, prawdę mówiąc, pierwsze były tak złe, że musieliśmy wykopywać to, co z nich zostało. Techniczni potrzebowali trochę czasu na dopracowanie szczegółów. Ponoć im się udało.

– Chryste... – Mercer pokręcił głową. – Chyba byłem głupi, że zgłosiłem się na ochotnika. A z powrotem z Rinpoche-La?

– To drugi haczyk – poinformował go Ira. – Będziesz wyposażony w zakodowany telefon satelitarny. Po nawiązaniu kontaktu z panną Nguyen natychmiast przekażesz informacje dotyczące La Palmy. Kiedy zdobędziemy tę informację, nie będzie trzeba już się spieszyć, więc pójdziesz sobie spokojnie piechotą w stronę Nepalu.

– Dwieście czterdzieści kilometrów?

– Raczej czterysta – poprawił go Sykes. – Kilka gór będzie trzeba obejść dookoła.

– Coraz bardziej zachęcająco to brzmi – powiedział. Wizja rychłego spotkania z Tisą niwelowała żal, ale na sarkazm nic nie mógł poradzić. – Na jakim etapie przygotowań jesteście?

– Jutro rano polecisz do Strefy 51 i spędzisz tam dwa dni na szkoleniu z Sykesem i jego zespołem. Ze Strefy polecisz do bazy wojskowej na wyspie Diego Garcia na Oceanie Indyjskim. Tam wsiądziesz do ZPA i polecisz dalej, do Tybetu.

– Ile to potrwa?

– Z Diego Garcia około sześciu godzin, ale może się przedłużyć - odpowiedział Sykes. – Zależy od tego, ile będziemy musieli nadłożyć, żeby ominąć okolice silnych stacji radarowych.

– Puszczacie jakieś filmy dla pasażerów? Komandos roześmiał się głośno.

– Ciesz się, że po ostatnich modyfikacjach będziesz miał worek namocz.

Nie było potrzeby tłumaczyć mu, jakie niebezpieczeństwa wiążą się z taką misją. Niezależnie od tego, jaki plan wymyśliliby

analitycy z Pentagonu, w każdym bez wahania wzięłyby udział. Liczyło się tylko to, żeby być z Tisą.

– Hej, Harry! – krzyknął w stronę baru. – Musisz zmodyfikować bajkę. Nie ratuję księżniczki na rumaku. Zaatakuję zamek, wypadając ze smoczego brzucha.

Herry nie stracił refleksu.

– Byle tylko udało ci się wykorzystać sytuację.

Diego Garcia, Ocean Indyjski

Półtora tysiąca kilometrów na południe od wybrzeży Indii znajdował się archipelag Chagos. Rozrzucone na wodzie wyspy wyglądały jak garść szmaragdów wśród błękitnych fal. Ich skarbem była gęsta tropikalna dżungla, białe plaże z delikatnym piaskiem i lazurowe rafy. Niegdyś miały bardzo silną gospodarkę, opartą na oleju kokosowym, lecz wszystko się zmieniło, kiedy w latach siedemdziesiątych Wielka Brytania wybrała sobie wyspę Diego Garcia o powierzchni kilkunastu kilometrów kwadratowych i zbudowała na niej bazę wojskową. W czasach zimnej wojny śledzono tam ruchy sowieckich okrętów na Oceanie Indyjskim.

Przez następnych dwadzieścia lat stopniowo rozwijano wyspę. W tym czasie Brytyjczycy przekazali bazę Amerykanom. Dziś jedynie garstka z trzech tysięcy wojskowych i cywilnych pracowników mieszkających na atolu miała brytyjskie obywatelstwo.

Wyspa Diego Garcia zasłynęła jako miejsce, skąd w czasie operacji „Pustynna Burza” startowały bombowce strategiczne B-52, które bombardowały iraackie stanowiska w Kuwejcie. Późniejsza przebudowa instalacji wojskowych pozwoliła na lądowanie bombowców B-1 i B-2 w czasie kampanii w Afganistanie, a potem w 2003 roku podczas operacji usuwania Saddama Husajna.

Mercer siedział za pilotem w kabinie potężnego samolotu transportowego C-17 Globemaster. Kiedy po dwudziestu godzinach lotu zeszli poniżej poziomu chmur, zyskał fantastyczny widok na ziemię. Atol miał kształt spłaszczonego koła, otoczonego koralowcami i plażami z białym piaskiem. W jednym miejscu piasek był zgarnięty w usypisko – tam właśnie wykarczowano dżunglę, by powiększyć teren bazy. Im niżej schodzili, tym więcej szczegółów mógł dostrzec – pas startowy biegnący równoległe do plaży i potężne parkingi. Naliczył dwadzieścia pięć samolotów i się poddał. Na końcu pasa startowego zaczynała się wioska baraków, które zamieszkiwała obsługa i pełniący służbę żołnierze. Dalej znajdował się Camp Justice, zbudowany po zamachach z jedenastego września. Mieściły się w nim biura osób zaangażowanych w wojnę z terroryzmem. Jeszcze dalej zaczynał się ocean, a błękitne wody ciągnęły się aż po horyzont.

– My nazywamy tę wyspę stacjonarnym lotniskowcem – pilotka odezwała się przez interkom. Mówiła z teksańskim akcentem – Chociaż lokalni uważają, że to uzbrojona mielizna.

– Byłeś tu kiedyś? – Mercer spojrzał na Sykesa, który siedział tuż obok niego.

– Kilka razy. Cholera, to była tajemnica. Przypomnij mi później, że muszę cię zabić.

Pilotka zmniejszyła ciąg silników, a potem przygotowała inwertery, dzięki którym dwustuosiemdziesięcotonowy kolos zatrzymywał się na odcinku krótszym niż kilometr, bez względu na załadunek. Powietrze było gęste i wilgotne, a potężne silniki ryczały na zewnątrz.

Kiedy minęli początek pasa, maszyna poszybowała jeszcze ponad sto metrów, pokonując efekt przyziemia, aż w końcu delikatnie dotknęła kołami pasa startowego. Kapitan wypełniła zadanie, przywołując pasażerów całych i nie zaprzatając już sobie nimi głowy, odwróciła ciąg silników. Potężna siła wbiła Mercera i Sykesa w uprzęże.

Samolot niemal natychmiast zwolnił do prędkości, z jaką poruszają się wózki elektryczne po płycie lotniska, i spokojnie zjechał z długiego na prawie cztery kilometry pasa.

Już na lotnisku Mercer mógł dokładniej przyjrzeć się zaparkowanym samolotom. W większości były to gigantyczne bombowce strategiczne B-52, których załogi były zazwyczaj młodsze niż maszyny, w których latali. Na końcu pasa, tam gdzie parkowały samoloty, znajdowały się cztery futurystyczne budynki w kształtach spłaszczonych kopuł. Okrągłe hangary miały ponad sześćdziesiąt metrów średnicy i sześć pięter wysokości. C-17 podwiózł ich przed ostatni z budynków i pilotka wyłączyła silniki. Po wielu godzinach bezustannego wycia turbin wszyscy poczuli się zdezorientowani ciszą.

Mercer wyrzał przez przednią szybę. Tak jak się domyślał, był to hangar z rozsuwanymi drzwiami. Tropikalne słońce wpadało do jego wnętrza, a zaparkowany tam samolot wydawał się całkowicie je pochłaniać. Chociaż widział go już dzień wcześniej, w Strefie 51, nie czuł tego, co teraz. Wiedział, że maszyna jest przygotowywana na ich misję i miał świadomość, że misja będzie bardzo niebezpieczna. Bał się. Nieświadomie zacisnął

pięści. Sporo wysiłku kosztowało go rozluźnienie mięśni. Sykes zauważył, co się z nim dzieje, ale nic nie powiedział.

Oficjalnie ochrzczony imieniem Spirit, płaski jak bumerang B-2 został nazwany przez media niewidzialnym bombowcem. Maszyna w hangarze należała do 509. Skrzydła Bombowego stacjonującego w bazie sił powietrznych Whiteman w Missouri. Ten egzemplarz nosił numer 82-1065 i był ulepszony zgodnie ze wskazówkami i zapotrzebowaniem zgłaszanym przez lotnictwo i inżynierów pracujących przy projekcie. Bombowce B-2 dzięki możliwości tankowania w powietrzu miały właściwie nieograniczony zasięg, a zmniejszona wykrywalność przez systemy wroga czyniła z nich jedną z najpotężniejszych broni w doktrynie wojennej Stanów Zjednoczonych. W lukach bombowych wyposażonych w obrotowe wyrzutnie B-2 mógł przenosić wszystkie rodzaje bomb, poczynając od trzydziestu sześciu ładunków kasetowych, z których każdy zawierał setki mniejszych ładunków, przez osiem dwu-ipółtonowych GBU-37 „niszczycieli bunkrów” aż do szesnastu B83, wielomegatonowych bomb termojądrowych, z których każda miała dość mocy, bo zmieść z powierzchni ziemi całe miasto.

Przez ostatnich kilka miesięcy ta maszyna stacjonowała w Strefie 51, gdzie pracowano nad projektem ZPA-22, nazwanym przez Sykesa i jego ludzi Szalonymi Bombami.

Zamysł stworzenia tajnej broni zrodził się z przekonania strategów, że wojsko powinno mieć możliwość umieszczenia zespołu komandosów na terenach pilnie strzeżonych przez obronę przeciwlotniczą wroga. Przed opracowaniem koncepcji

ZPA-22 jedynym sposobem było lądowanie samolotu z oddziałem specjalnym poza zasięgiem radaru, a potem długi marsz na piechotę lub skoki z wyjątkowo dużej wysokości z otwarciem spadochronu najniżej, jak się dało. Skoczkowie wynoszeni byli nad pozycje wroga na pokładzie samolotu transportowego C-130 Hercules, który był równie niewykrywalny dla radarów jak sterowiec i tylko niewiele od niego szybszy. Wojsko potrzebowało lepszego rozwiązania, by w tajemnicy umieszczać siły specjalne w miejscach, w których były potrzebne.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych brytyjski wytwórca sprzętu wojskowego pracował nad niewielkimi pojemnikami, które można byłoby podwieszać pod kadłubem myśliwca typu Harrier. Zgodnie z zamierzeniami projektantów kapsuły te miały być dostatecznie duże, by pomieścić człowieka, i miały służyć do ewakuacji rannych żołnierzy z za linii wroga. Ktoś w Pentagonie uznał, że warto zastosować je również do transportu żołnierzy w drugą stronę, a więc za linie wroga, lecz z wykorzystaniem samolotów niewykrywalnych przez radary, takich jak B-2 czy F-117. I w ten sposób powstały ZPA-22.

Kapsuły były niewiele większe niż budki telefoniczne. Zewnętrzna powłoka została uformowana z materiałów pochłaniających fale radiowe i w takim kształcie, by rozpraszała sygnał radaru. Komputer pokładowy ZPA-22 wykorzystywał system GPS do precyzyjnego kierowania pojemnikami w czasie spadania. Na zaprogramowanej wcześniej wysokości, która zazwyczaj była dolną granicą bezpieczeństwa, automatycznie otwierały się spadochrony. Booker Sykes zapewniał, że kapsuły lądowały

z dokładnością do siedmiu metrów, i to nawet przy wietrze wiejącym z prędkością do trzydziestu węzłów.

Komandos miał wewnątrz tylko tyle miejsca, żeby mógł się wyprostować, schować kamizelkę i uzbrojenie taktyczne, ładunki, wyposażenie i inne przedmioty, których potrzebował do realizacji swojej misji. Wnętrze szalonych bomb zostało wyłożone miękką pianką z pamięcią kształtów, która pozwalała komandosom podróżować w dość komfortowych warunkach – oczywiście pod warunkiem że nie cierpieli na klaustrofobię. Tak jak Sykes uprzedził, żołnierze mieli do dyspozycji worki na mocz oraz system telewizji przemysłowej z kamerą pod kapsułą, dzięki któremu dało się oglądać moment lądowania.

Sykes rozpiął pasy i się nachylił.

– Teraz, kiedy już tu jesteśmy, wydaje się przytłaczający, co? – Uśmiechnął się do Mercera.

Bombowiec B-2 przypominał czarną płaszczkę ze schowanymi w poszyciu gondolami czterech potężnych silników turboodrzutowych General Electric F-118. Nawet stojąc nieruchomo w hangarze, samolot wywoływał grozę i niepokój.

– Myślałem o tym samym.

Dziesięć minut później stali spoceni na rozgrzanym asfalcie. Morska bryza smakowała solą i jodem, ale nie przynosiła ulgi w panującej wilgoci. Tylna rampa towarowego C-17 była opuszczona, a szef ładowni kierował flotą wózków widłowych, które zjawily się, żeby rozładować kapsuły. Mimo najwyższych środków bezpieczeństwa i zamkniętych baz w Strefie 51 i tutaj, ZPA zostały zapakowane w skrzynie opisane jako części do

maszyn i nie miały być rozpakowywane, dopóki nie znajdą się za zamkniętymi drzwiami hangaru. Na wyspę trafiło osiem kapsuł, z czego siedem przeznaczonych było dla Sykesa i jego oddziału, a jedna nadprogramowa dla Mercera.

Sześciu mężczyzn wybranych osobiście przez komandosa było prawdopodobnie najlepiej wyszkolonymi żołnierzami, jakich kiedykolwiek miała armia Stanów Zjednoczonych. Wszyscy mieli za sobą lata służby. Już na samym początku wyróżniali się spośród pozostałych, a ich wyjątkowość potwierdziło późniejsze zaawansowane szkolenie, po którym stali się specjalistami we wszystkich możliwych systemach walki. Nauczyli się również, jak działać, wykazując inicjatywę i dostosowywać się do warunków. Panowały między nimi więzy bliższe niż między braćmi. Byli twardzielami gotowymi przeciwstawić się ludzkiemu instynktowi przetrwania i poświęcić swoje życie, by ocalić innych. Przyjaźń ich łącząca hartowała się w ogniu walk w Kosowie, Afganistanie, Iraku i kilkunastu innych zapalnych miejscach na całym świecie.

Żołnierz zamknięty w szalonej bombie nic już nie mógł zrobić od chwili, kiedy kapsuła trafiła do luku bombowego B-2. Dwa dni szkolenia w Nevadzie były więc przeznaczone raczej dla komandosów, biorących udział w akcji, żeby mieli czas poznać nowego członka zespołu. Nowi, którzy mieli działać w warunkach bojowych z grupą Delta Force, nawet ci z wieloletnim doświadczeniem, potrzebowali miesięcy, nim zostali zaakceptowani przez resztę.

Komandosom nie wystarczyło, że Sykes uważał Mercera za swojego chłopca. Geolog sam musiał tego dowieść. W ciągu

trzydziestu godzin, które spędził z oddziałem, ale bez kapitana, musiał dwukrotnie przebiec po dziesięć kilometrów, wytrzymać kilka sprintów, pokonać kilka torów przeszkód, wystrzelać na strzelnicę około tysiąca pocisków i trzykrotnie skoczyć ze spadochronem desantowym. Instruktor skoków oznajmił mu już na wstępie, że ma skakać trzy razy, bo jeden raz wypaść z samolotu umie każdy, na drugi skok odważy się niewielu, a tylko skończeni głupcy zrobią to po raz trzeci. A on potrzebuje właśnie takich ludzi.

Pod koniec krótkiego szkolenia nieoficjalny szef zespołu, wyszczekany emigrant z Hondurasu, Angel Lopez, nazywany przez pozostałych Gburkiem, uznał, że Mercer jest niewiele sprawniejszy fizycznie niż tygodniowe zwłoki. W oddziale panowała tradycja nadawania jego członkom imion, którymi posługiwali się w czasie misji, a dla ułatwienia zaczerpnięto je z jednej bajki, doskonale wszystkim znanej Śpiącej Królowy. Na Sykesa mówiono Mędrek, na syna kaznodziei, który ciągle oglądał się za kobietami, Nieśmiałek, na oddziałowego dowcipnisa Gapcio. Żeby uszanować ten zwyczaj, Mercer nic sprzeciwiał się zbytnio, kiedy ochrzczono go Królowną Śnieżką.

Mercer i Sykes minęli hangar. Skądś dobiegł głos Gburka, który strofował resztę oddziału.

– Dobra, słuchajcie uważnie. Do rozpoczęcia misji mamy tyłkodwadzieścia godzin i roboty na minimum dwadzieścia cztery. Chcę, żeby każdy sprawdził uzbrojenie, przepakował cały sprzęt i przeliczył amunicję. Macie na to dwadzieścia minut.

Na brzegu lotniskowej rampy wiatr nawiewał biały piasek z plaży i układał go w ulotne wzory. Był na tyle mocny, że przyciskał ubrania do ciała. Sykes przykucnął, podniósł patyk i zaczął rysować na piasku przypadkowe kształty.

– Co ci chodzi po głowie? – zapytał po chwili Mercer.

Sykes nie odrywał wzroku od swoich bazgrołów, kiedy mówił poważnym głosem:

– Od Strefy 51 nie mieliśmy okazji poważnie porozmawiać. Gburek mówił, że dawałeś radę. A w jego ustach to poważny komplement.

– Wyobrażam sobie. – Mercer domyślał się, że nie tylko o tym chciał z nim porozmawiać.

– Chłopaki nazywają cię Królowną Śnieżką.

– Słyszałem już gorsze przezwiska. – Uśmiechnął się krzywo.

– Jestem gotów w to uwierzyć. Ale posłuchaj. W Delta Force jestem już od ośmiu lat. W tym czasie straciłem kilku ludzi. W Kolumbii świetnego faceta, Toma Hazena, w Pakistanie oferinę, który zginął, bo jego spadochron się nie otworzył... i jeszcze kilku. Zginęli, wykonując swoją pracę. To ryzyko, na które się zgadzamy. Ale właśnie o to chodzi, że my to ryzyko bierzemy na siebie. Nie jest nam narzucone. Jeśli wpadamy w pułapkę, bo jesteśmy zbyt głupi, żeby ją zauważyć, to znaczy, że zasłużyliśmy na śmierć. Ta oferina sama pakowała swój spadochron, więc zasłużyła sobie, żeby się nie otworzył. Rozumiesz mnie?

Mercer wiedział, do czego zmierza Booker, ale się nie odzywał. Wiedział, że to i tak musi zostać powiedziane na głos.

– Admirał Lasko mówił mi, że w ciągu ostatnich kilku lat byłeś w naprawdę nieciekawych miejscach i miewałeś całkiem znaczne wsparcie. Oddział SEAL na Alasce, w Afryce Force Recon... W Panamie w zeszłym roku było też kilku starych wojskowych. Nie bierz tego do siebie, cholera, ale trudno to powiedzieć delikatniej. Chodzi o to, że nie chcę, żebyś myślał, że dzięki temu wszystkiemu zasłużyłeś sobie na miejsce wśród nas.

– Nigdy tak nie myślałem. – Mercer zaprzeczył delikatnie.

– Lubię cię. Myślę, że dasz sobie radę, ale musisz zrozumieć, że moim zadaniem jest zdobycie pewnych informacji i przekazanie ich admirałowi. Do naszych obowiązków nie należy ochranianie panny Nguyen i ciebie. Jeśli w którymś momencie zagroźysz przebiegowi misji albo narazisz moich ludzi na niebezpieczeństwo, będę pierwszym, który wyłączy cię z gry.

– Przyjmuję to jako instrukcję. Nic osobistego, rozumiem twoje podejście.

– Bo to nie jest nic osobistego. Tyle że ta cała akcja nie budzi mojego zachwytu. Nigdy jeszcze nie mieliśmy w zespole Królowny Śnieżki i mam pewne obawy.

– Kochasz tych chłopaków, co?

Z oddali było słychać, jak Gburek strofuje Śpieszka, komandosa nieco bardziej leniwego niż reszta zespołu.

– Nie każdego z osobna – odparł Sykes. – Ale ideę, którą urzeczywistniają. Twarze pojawiają się i znikają, ale zespół wciąż trwa. Rozumiesz, o czym mówię?

– Jest takie stare powiedzenie, że kocha się urząd prezydenta, ale nienawidzi samego prezydenta. Tyle że ty mówisz o szacun-

ku i honorze, o czymś znacznie bardziej prawdziwym, ale też znacznie trudniejszym do osiągnięcia i podtrzymania. Od lat nad nimi pracowałeś. Są tak samo częścią ciebie, jak kolor twojej skóry. Nie jestem członkiem twojego zespołu i nie mógłbym nawet nim być, więc rozumiem, że się boisz, że moja obecność w jakiś sposób zaburzy dotychczasową równowagę.

Sykes potaknął.

– Tak, coś w tym stylu. Wiesz, nie mam nic przeciwko zrzucaaniu mnie z bombowca w zaawansowanej technologicznie trumnie albo walce z liczniejszym wrogiem. Po prostu lubię wiedzieć, kogo mam za plecami.

– Nic, co powiem, nie może cię w tej chwili uspokoić, więc będę trzymał gębę na kłódkę.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. W ciszy znaleźli jakąś nić porozumienia, które się między nimi nawiązało.

W czasie dwunastu godzin, które oddział miał przeznaczone na sen przed akcją, w hangarze trwały prace przygotowawcze przy bombowcu B-2 i ośmiu kapsułach ZPA. Sykes zgodnie z prawdą poinformował Mercera, że do jego zadań należy jedynie zdobycie potrzebnych informacji i przekazanie ich z Rinpoche-La. Mercer miał nieco więcej na głowie – musiał znaleźć sposób praktycznego wykorzystania tych informacji. W biurze za barakami, w których pochrapywali komandosi, siedział pochylony nad laptopem i przeglądał najnowsze raporty geologiczne z La Palmy.

Wiadomości nie były optymistyczne. Pojawiły się liczne fumarole, czyli otwory w skale, przez które gazy z wulkanu

wydobywały się z siłą strug z silników odrzutowych. Ilość wyrzucanych trujących substancji, takich jak dwutlenek węgla czy siarka, wzrastała w lawinowym tempie. Nad częścią wyspy padał deszcz równie żrący, jak kwas siarkowy.

Podczas gdy po wschodniej stronie stożka notowano ruch mas skalnych, zachodnia strona wyspy, ta niebezpieczniejsza, pozostawała stabilna. Ale wzrastała za to temperatura wody wewnątrz wulkanu. Odpowiedź na pytanie, kiedy ciśnienie od wewnątrz rozkruszy skałę, miała niebawem nadejść. Kiedy to się stanie, kawał góry o wadze pół trylionu ton runie do morza.

Prezydent miał nadzieję, że na razie uda się utrzymać te informacje w tajemnicy i wydawało się, że szczęście mu sprzyja. Media nie epatowały jeszcze drastycznymi zdjęciami ani prognozami, a kilku zapytanych o aktywność wulkanu specjalistów minimalizowało jego znaczenie, podpierając się skutkami erupcji z 1972 roku. Media znalazły sobie inną pożywkę – eksploatował jakiś skandal korupcyjny, który pogrzebał dalszą karierę kilku aktorów z pierwszych stron kolorowych magazynów. Mercer po raz pierwszy błogosławił amerykańską fascynację sławą i wiarę, że ocean zapewnia Stanom Zjednoczonym ochronę przed resztą świata.

Od kiedy został poproszony, by opracował plan zminimalizowania skutków erupcji na La Palmie, spędzał wiele godzin na analizowaniu problemu. Oceniał go z każdej strony, rozkładał na czynniki pierwsze i każdy fragment jeszcze raz analizował, a potem badał możliwe scenariusze. Wykonalność i praktyczność rozwiązań na razie nie miały żadnego znaczenia. Szukał

wszystkich możliwości, ale od kiedy prezydent obarczył go tym zadaniem, wiedział, że niewiele da się zrobić, żeby złagodzić skutki erupcji. Mógł mieć tylko nadzieję, że pozostali naukowcy, którzy łamali sobie głowy nad tym problemem, będą mieli lepsze pomysły.

Świt zastał go śpiącego przy stole, z głową wspartą na ramięch.

Poranek spędził z komandosami w zamkniętej sali konferencyjnej, gdzie Sykes omawiał szczegóły operacji. Ze zdjęć satelitarnych znane były wszystkie szczegóły zewnętrznego wyglądu klasztoru i jego otoczenia. Przygotowany przestrzenny model był tak dokładny, że znalazło się na nim nawet stadko owiec, które na makietę trafiły prosto ze sklepu z zabawkami.

Plan był zupełnie prosty. Z jednej trony klasztor wznosił się nad trzydziestometrową ścianą z łupanego kamienia, która dzieliła dolinę na dwie części. Mur, spełniający podobne zadanie jak mury obronne w średniowiecznych zamkach, ciągnął się w poprzek, od jednej skalnej ściany do drugiej. Tak przygotowana zapora z całą pewnością skutecznie zniechęcała każdego, kto chciałby zaatakować klasztor od strony muru. Sykes uznał, że właśnie z powodu niedostępności mur będzie słabo strzeżony. Zrzut ZPA nastąpi w bezksiężycową noc na terenie niższej części doliny, u podnóża muru. Nie było żadnych rozpoznanych ścieżek z dolnej, pokrytej łąkami części doliny, więc Nieśmiałek i Śmieszek mieli wspiąć się po ociosanych kamieniach na samą górę i umocować liny, by reszta zespołu mogła pokonać przeszkodę. Potem mieli improwizować i liczyć na łut szczęścia,

gdy będą badać budynek i szukać Tisy. Na wszelki wypadek każdy z komandosów miał przy sobie telefon satelitarny, żeby wiadomość o czasie erupcji dotarła do centrum dowodzenia.

Dwie godziny przed wieczornym startem członkowie oddziału zabrali się do przygotowywania sprzętu. Może sprawił to komentarz Harry'ego, który misję porównał do wyprawy królewicza ratującego piękną dziewicę zamkniętą w wieży, ale Mercer, patrząc na komandosów, miał wrażenie, że patrzy na rycerzy czyszczących broje przed wielką bitwą. Każdy szczegół był sprawdzany z wielką uwagą. Broń została naoliwiona, złożona i wypróbowana dzień wcześniej. Zapasowe magazynki jeszcze raz przeliczone i sprawdzone, czy sprężyny są dość sztywne. Baterie w systemach łączności i telefonach satelitarnych naładowane. Jeśli na którymkolwiek elemencie wyposażenia znaleziono ślady zużycia, natychmiast wymieniano go na nowy.

Kiedy oddział Delta Force pracował nad swoim sprzętem, dookoła bombowca B-2 chodzili mechanicy i sprawdzali po kolei wszystkie podzespoły. Dwójka pilotów po raz ostatni obezła maszynę i przygotowywała się do wejścia do kabiny przez właz w podłodze. Zaciemniona furgonetka przewiozła komandosów z baraków do hangaru. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, wyskoczyli z wozu i zrobili zbiórkę pod potężnym skrzydłem. Luk bombowy był otwarty. Jak każdy samolot w siłach powietrznych, ten też otrzymał oficjalne imię. Ale załoga nie używała długiego „Spirit of Wyoming”, tylko wymyśliła własne. Na drzwiach luku bombowego namalowano pierzastą chmurkę, z której wynurzała się skierowana w dół dłoń z wyciągniętym wskazującym palcem.

Malowidło było częściowo rozmazane, ale im bliżej czubka palca, tym stawało się wyraźniejszy, jakby zyskiwało realizm. Pod spodem znajdowało się nowe imię B-2. „Niewidzialny dotyk”.

Tradycją odpraw załogi bombowca przed wylotem w kolejną misję było wspólne wysłuchanie piosenki Phila Collinsa, od której samolot wziął swoje imię.

Mercer przyjrzał się ZPA. Sykes miał rację. Wyglądały jak trumny, szczególnie teraz, z otwartymi wiekami. Wnętrze wyłożone pianką pokrywał specjalny materiał pochłaniający pot, udrapowany miejscami jak satyna w trumnie. Świetnie.

Komandosi zaczęli ładować sprzęt do kapsuł. Wyćwiczonymi ruchami zaciskali troki i sprawdzali, czy nic się nie kołysze ani nie obje. Kiedy skończyli, piloci podali im dłonie i wdrapali się do kabiny.

Sykes zwołał oddział przy jednej z otwartych kapsuł, żeby odbyć krótką odprawę przed odlotem.

– Przez następnych sześć godzin jesteśmy tylko pasażerami, którzy – spojrzal do środka otwartego ZPA – mają mniej więcej tyle miejsca, co człowiek zatrzęsnięty w tapczanie.

Ktoś nerwowo się zaśmiał.

– Od kilku miesięcy pracowaliśmy nad tym systemem. Każdy z nas miał okazję się przekonać, że kapsuły są solidne, spadając w nich siedmiu metrów. Wiemy, jak się w nich ląduje. Naszym jedynym zmartwieniem jest spadochron i pytanie, czy się otworzy. Ale przecież przy każdym skoku spotykamy się z tą samą niepewnością, więc mam nadzieję, że nie robi to wam wielkiej

różnicy. Nie przejmujcie się niczym. Kiedy staniemy na ziemi, będziemy wiedzieli, co robić.

– Zasady użycia siły? – zapytał Nieśmiałek.

– Eliminować każdego, kto ma broń albo stanowi zagrożenie.

Jedyną osobą, o którą macie się troszczyć, jest Tisa Nguyen. Królowna Śnieżka przygotował dokładny opis i portret pamięciowy, ale lepiej nie ryzykujcie. Oszczędzajcie kobiety poniżej, powiedzmy, czterdziestki.

Nieśmiałek znów zgłosił się z pytaniem.

– Nawet jak będą nas napastować?

– Żadna *chice* nie zamierza na pewno cię napastować – wypalił Gburek i wszyscy się roześmiali.

– Hej, Królowna, chcesz coś jeszcze dodać? Mercer popatrzył po pewnych sobie twarzach.

– Tylko tyle, że aby powstrzymać Tisę przed rozmową ze mną, ci ludzie zatopili w Grecji prom pełen ludzi. Zabili około pięćdziesięciu pasażerów. Posłuchajcie rady Sykesa. Oni nie będą się wahać. A temu z was, który skasuje mięśniaka z włosami ufarbowanymi jak Elvis, stawiam dwutygodniowy wyjazd na Karaiby. Wybieracie wyspę i osobę towarzyszącą.

– To rozumiem!

– Tylko Nieśmiałkowi – dodał Mercer – będziecie musieli znaleźć dziewczynę.

Krótką odprawa dobiegła końca. Nadszedł czas.

Dwójka techników lotniczych pomogła Mercerowi zająć miejsce w kapsule. Najpierw założył pełną uprząż, obejmującą nogi, talię i ramiona, a potem został poproszony o rozpięcie

rozporka i dostał odpowiedniej wielkości przewód do worka na mocz. Po całym hangarze niesło się narzekanie Gapcia, że nawet największy przewód jest i tak zbyt ciasny.

– Szkoda, że nie dają knebli – zaśmiał się Apsik.

Hełm Mercera został podłączony do systemu komunikacyjnego i na próbę uruchomiono system telewizji przemysłowej. Kamera zamontowana w podłodze pojemnika przekazywała obraz na czterocalowy ekran LCD. Widział na nim, jak pracownicy hangaru przechodzą od kapsuły do kapsuły i uruchamiają kolejne systemy. Miał wrażenie, że ogląda film science fiction. Następnie poinstruowano go, jak korzystać z regulatorów klimatyzacji i wentylatorów i gdzie znajduje się ust-nik, przez który mógł w czasie lotu popijać specjalnie przygotowaną mieszankę soków owocowych, elektrolitów i minerałów. Dwie godziny po starcie miał przełączyć się na inny pojemnik. Drugi napój zawierał środki przeciwbólowe i substancje łagodzące chorobę wysokościową. Sykes ostrzegł go, że po wypiciu tej mikstury przez miesiąc albo dwa nie powinien robić sobie testów na obecność narkotyków.

– Jak się pan czuje? – zapytał technik gotowy do zamknięcia wieka.

– Jak byście chcieli mnie pogrzebać żywcem.

– W takim razie jest pan gotów.

Wieko zostało zatrzaśnięte, a system podciśnieniowy dociągnął je i uszczelnił. Mercer poczuł w uszach delikatną zmianę ciśnienia. Czterocalowy ekran znajdował się tuż przed jego

twarzą. Oświetlenie wewnątrz ZPA miało delikatnie ciepłą barwę, żeby choć trochę ułatwić żołnierzom długie loty.

Po kolejnej minucie kapsuła Mercera zakołysała się w uchwycie specjalnego wózka widłowego, który uniósł ją ze stojaka i w otoczeniu personelu technicznego ruszył w stronę B-2. Kleszcze zamocowane na obrotowej wyrzutni złapały kapsułę i wsunęły ją do środka.

Zanim Mercer otrząsnął się po nagłym ruchu, wyrzutnia znów się obróciła, żeby załadować kolejny ZPA. Geolog poczuł się, jak kula w bębunku rewolweru. Wyrzutnia została zaprojektowana do przenoszenia ośmiu ładunków nuklearnych, ale po rozpoczęciu projektu szalonych bomb została zmodyfikowana, żeby można było załadować ją kapsułami. Pierwsze cztery trafiły do podajnika po jednej stronie samolotu, pozostałe do drugiego luku bombowego.

Kiedy wszyscy znaleźli się wewnątrz, podłączono dodatkowe kable umożliwiające rozmowy w czasie lotu. Po sprawdzeniu łączności Sykes poinformował pilota, że jego oddział jest gotów.

– Mamy zielone światło, kapitanie. Zaraz podjedzie holownik. Kontrola lotów dała nam pierwszeństwo. Mamy siedemnastominutowe okienko do przelotu następnego satelity szpiegowskiego. Prędkość utajniona, pułap utajniony. Czas osiągnięcia celu utajniony. Życzę miłej podróży.

Zdjęto zasłony z silników i holownik ruszył z potężnym samolotem na płytę lotniska, niedaleko pasa startowego. Kierowca pojazdu obsługi odłączył hol, zasalutował pilotom i odjechał.

Głęboko wewnątrz kadłuba B-2 rozległ się gwizd i pierwszy silnik obudził się do życia, a potem, co kilka sekund, uruchamiały się kolejne. Po chwili działały wszystkie cztery. Choć gondole mocarnych turbin przylegały bezpośrednio do luków bombowych, komandosi w dźwiękoszczelnych ZPA nie odczuwali dyskomfortu większego niż w czasie podróży samolotem pasażerskim.

Pilot wykonał ostatnie testy naziemne obejmujące stery i urządzenia kontrolne, a potem zadowolony z wyników zwiększył ciąg silników i budzący grozę potwór ruszył z miejsca o własnych siłach.

Daleko przed dziobem samolotu pas startowy ginął w rozkołysanych upalnych mirażach. Za samolotem gorące spaliny tworzyły ten sam efekt, więc bombowiec wyglądał, jakby był jedynym wyrazistym przedmiotem w rozmytej rzeczywistości. Nawet na ziemi było widać, że B-2 to samolot jedyny w swoim rodzaju. Nie powstało jeszcze nic, co mogłoby się z nim równać.

Ryk silników stał się ogłuszający, kiedy „Spirit” zaczął nabierać prędkości. Zanim dotarli do jednej trzeciej długości pasa, pilot poderwał nos maszyny i uniósł samolot w powietrze. Siłowniki podwozia wciągnęły koła do kadłuba i zamknęły klapy, a bombowiec wspinał się coraz wyżej, do oferującej bezpieczeństwo troposfery, gdzie nie latały żadne liniowe odrzutowce.

Żołnierze wewnątrz luków bombowych nie odczuwali gwałtownego wznoszenia. Ktoś opowiedział jakiś sprośny kawał, ktoś z kimś się podroczył, ale po kilku minutach zapanowała cisza. Pasażerowie ZPA mieli przed sobą sześć godzin sam na

sam ze swoimi strachami i obawami. Mercer szybko zapomniał, gdzie jest i co go czeka. W głowie kotłowały mu się przypadkowe myśli i wspomnienia. Wiedział, że powinien wykorzystać ten czas na analizę sytuacji na La Palmie, ale nie potrafił. Przed oczyma wciąż widział Tisę.

Tylko ten jeden dzień i jedna noc, które razem spędzili, wywarły na nim głębsze wrażenie niż czas spędzony z jakąkolwiek inną kobietą. Szukał usprawiedliwienia i uzasadnienia dla swoich myśli, ale musiał przyznać przed sobą, że to nie było coś, nad czym miałby kontrolę. W jej przypadku przestał myśleć logicznie i znalazł się w świecie emocji i uczuć, do którego rzadko zaglądał. Odpowiedź na podstawowe pytanie, czy ją kocha, nie była jeszcze jasna, ale miał niezachwianą pewność, że chce ją kochać.

Mercer zyskał sławę i zasłużoną opinię jednego z najlepszych na świecie inżynierów górniczych i geologów poszukiwawczych, bo potrafił kalkulować, rozsądnie bilansować zyski i zagrożenia. Jak wielu ambitnych ludzi, korzystał ze swoich zdolności analitycznych w życiu osobistym. Efektem takiego podejścia była seria intensywnych znajomości, które szybko kończył. Powody zerwania były za każdym razem inne, ale kierowało nim przekonanie, że romans tak czy inaczej nie ma przyszłości i dla dobra kobiety lepiej zakończyć go wcześniej, dyskretnie. Po raz pierwszy pomyślał, że mógł kierować nim strach przed zranieniem. Nie chronił w ten sposób kobiet. Chronił siebie. Zrywając i szybko kończąc swoje związki, eliminował ryzyko, że to on zostanie odrzucony i spotka go zawód.

– Cholernie dziwaczne miejsce na oświecenie – mruknął. Samolotunosił się na nad Oceanem Indyjskim.

I również po raz pierwszy chciał zaryzykować ból, żeby tylko być z Tisą. Nigdy się nie wahał, by ryzykować życie. Taką miał pracę, a niebezpieczeństwo było jej częścią. Teraz miał coraz mniej wątpliwości, czy powinien odważyć się na całkowitą zmianę dotychczasowego stylu życia. Z tą myślą w głowie zapadł w sen.

Po kilku godzinach zaskrzeczał interkom.

– Panowie, tutaj kapitan. Znajdujemy się godzinę lotu od granic Tybetem. Indyjskie stacje radarowe, cywilne i wojskowe, nas nie wykryły. Nie, żebyśmy spodziewali się czegoś innego. Niemniej zbliżamy się do chińskiej instalacji obrony przeciwlotniczej. Kiedy znajdziemy się nad ich terytorium, zmniejszymy pułap. Możliwe też, że będziemy musieli szukać drogi z najślabszym nasłuchem radarowym. Nie ma o co się martwić, ale może trochę trząść. – Wyłączył się, ale po chwili znów zaczął mówić: – Właśnie, zapomniałem o czymś. W zależności od warunków możemy wykonać trochę akrobacji, żeby ominąć górę. Jedną... albo więcej.

Pierwszą część lotu bombowiec strategiczny przebył nad oceanem. Dzięki temu załoga mogła po kilku godzinach w powietrzu dotankować paliwo z latającej cysterny KC-10, z którą spotkali się nad Morzem Arabskim. Nad lądem znaleźli się na północ od Bombaju i skierowali prosto na Nepal. Na wszelki wypadek omijali większe skupiska ludzi i miasta, choć nikt

z ziemi nie mógł zobaczyć ani usłyszeć samolotu poruszającego się na wysokości piętnastu kilometrów.

Kiedy zbliżyli się do stóp Himalajów, nadszedł czas, by drastycznie obniżyć pułap i uruchomić zaawansowane systemy śledzenia terenu i unikania kolizji (TA/FA). Jeden ze stu sześćdziesięciu dwóch komputerów pokładowych przejmował kontrolę nad samolotem i prowadził maszynę wyznaczonym kursem między przeszkodami, jednocześnie unikając zasięgu najsilniejszych stacji radarowych. Chociaż specjalne powłoki i kształt B-2 chroniły go przed wykryciem, na ekranach wroga mogłyby pojawić się jako obraz większego ptaka. Tajne systemy wykrywania radarów dbały, by nie pozostawał nawet taki ślad.

Ostatnia z instalacji zapobiegających wykryciu przez wroga była prawdopodobnie najtajniejszym elementem wyposażenia samolotu. Z powodu wyjątkowego kształtu i specyfiki misji bombowiec nie przekraczał prędkości dźwięku. Gdyby poruszał się szybciej, jak B-1b Lancer, nie musieliby się martwić o czujniki akustyczne. Choć ukrycie gondoli silników wewnątrz poszycia wygłuszało częściowo ryk turbin, na tym pułapie bombowiec można byłoby usłyszeć w promieniu kilku kilometrów. Żeby zapobiec takiej sytuacji, w laboratoriach opracowano generatory antydźwięków – urządzenie wytwarzające fale o tej samej częstotliwości, ale przeciwnych amplitudach. System zużywał potężne ilości paliwa, ale za to eliminował ogluszające dudnienie. Po jego włączeniu lecący z prędkością pięciuset węzłów B-2 był tylko odrobinę głośniejszy niż dobrze ustawiony silnik harleya-davidsona.

Masyw Himalajów szybko pojawił się w zasięgu samolotu. Wysokościomierz ciśnieniowy wskazywał półtora kilometra, ale od skał poniżej dzieliło ich tylko trzysta metrów. Doświadczeni piloci spokojnie siedzieli w kokpicie pełnym wskaźników i wyćwiczonymi ruchami prowadzili maszynę. „Spirit” podążał trasą wyznaczoną w systemie GPS i przez radar, przemykając wąskimi dolinami i omijając pojedyncze skały sięgające kilku kilometrów ponad samolotem. Lot był jak jazda gigantyczną kolejką górską, w której to wagonik decydował o dalszej drodze.

Przestrzeń nad Nepalem pokonali w dwadzieścia minut. Kilkadziesiąt kilometrów przed granicą z Chinami komputery pokładowe wykryły pierwszy radar. Po kilku minutach ekran komputera wskazywał kilkanaście stacji radarowych obrony przeciwlotniczej. Lot między nimi był jak slalom na polu minowym, które ciągnęło się wzdłuż całej granicy i siedemdziesiąt kilometrów w głąb kraju. Poza tym komputery zidentyfikowały potężne emitery mikrofal, których zadaniem było wykrywanie samolotów typu Stealth. Mikrofałe tworzyły niewidzialną zaporę z energii, przez którą samolot musiał przelecieć.

Pomysł wykorzystania takiej technologii zasadał się nie na wykryciu samego samolotu, a jedynie zakłócenia emitowanego pola. Na tej samej zasadzie operatorzy sonarów dokładniej badali wszelkie ciche punkty odczytu, bo morze zawsze emitowało jakieś dźwięki. Krytycy uważali, że ten prymitywny system uzasadnia złomowanie samolotów wartych dwa miliardy dolarów za sztukę.

Doświadczony pilot spoglądał na mapę terenu przed bombowcem i starał się zgadnąć, jaką drogą pokieruje nimi komputer. Na zachód znajdowało się kilka stacji radarowych pracujących w pasmach H i E, a dokładnie przed nimi stała bardzo silna wieża z emiterami mikrofal. Musiała zostać zbudowana na jakimś szczycie. Komputer prowadził maszynę w jej pobliżu, ale kilkaset metrów poniżej, doliną szerszą zaledwie o sto pięćdziesiąt metrów od rozpiętości skrzydeł B-2.

Pilot uznał, że wykonałby taki sam manewr, jednak komputer był kilka sekund szybszy.

Na chwilę przed wejściem w zasięg wiązki mikrofal zanurzyli się w cichej dolinie. Poszarpane skały były niebezpiecznie blisko. Poruszali się na tak małej wysokości, że za samolotem podniósł się obłok śniegu zdmuchniętego z ziemi. Kiedy komputer pokazał, że zagrożenie minęło, natychmiast wznieśli się wyżej, przelatując tuż nad senną wioską.

– Będą mieli rano temat do rozmów.

– Gdyby mieli tu komiksy, przekonywaliby miejscowego gliniarza, że widzieli w nocy Batmana.

– Bo widzieli.

Mając doskonały widok z kokpitu i dość czasu na przygotowanie się do gwałtownych manewrów, piloci wyglądali na całkowicie spokojnych. Nieco inna atmosfera panowała w lukach bombowych.

Mercer był pewien, że będzie cały posiniaczony. Gwałtowne skręty i podskoki rzucały nim po całej kapsule, wrzynając bole-

śnie uprząż bezpieczeństwa w ciało. A gdyby nie miał żołądka z żelaza, już dawno zwróciłby obiad.

Dzika jazda trwała dwadzieścia minut, a leżąca pozycja tylko pogarszała sprawę.

– Tutaj kokpit – odezwał się pilot, kiedy samolot nieco wyrównał. – Minęliśmy linię o największym natężeniu pola radarowego na świecie, a Chińczycy dalej żyją w błogim przekonaniu, że nasze maleństwo nieruszało się ze swojego hangaru w Missouri. Za dziesięć minut znajdziemy się nad strefą zrzutu. Maszyna jest najbardziej narażona na wykrycie, kiedy ma otwarte luki bombowe. Żeby zmniejszyć ryzyko, wyrzutnieobrotowe będą działały z dużą prędkością. Jeśli myśleliście, że ostatnich kilka minut wami rzucało, to znaczy, że nie wiecie, co was czeka.

Dla Mercera oczekiwanie nie było już takie trudne. Tak wiele czasu spędził, martwiąc się, jak może ocalić świat, że teraz próba ocalenia jednej osoby, Tisy, była wręcz ulgą. Zbliżał się do celu i czuł coraz większą mobilizację. Pozostali chyba też. W interkomie znów królowały kiepskie dowcipy.

– Pięć minut – oznajmił pilot, choć mieli wrażenie, że minęło dopiero kilka sekund.

– Dobra, słuchajcie – uciszył ich Sykes. – Poprawić uprzęże, przestać pić, zabezpieczyć worki na urynę i zapiąć rozporcki. Kiedy znajdziemy się na ziemi, Gapcio aktywuje ładunki niszczące kapsuły. Opóźnienie cztery godziny. Śpieszek go osłania. Reszta zbiera się przy mnie i rozpoczynamy atak na ścianę. Pozostała dwójka dołączy, kiedy skończą. Do tego czasu Śmieszek i Nie-

śmiałek powinni być już na górze. Włączamy kamery i czekam na raporty.

Kiedy przyszła kolej na Mercera, żeby poinformował Sykesa o swojej gotowości, pilot zakomunikował, że została im jedna minuta.

Nagle cały spokój Mercera wyparował. Miał przed sobą wizję upadku z dziesięciu kilometrów w czymś, co przypominało dużą konserwę, i wiedział, że kiedy znajdzie się w powietrzu, jego życie nie będzie już zależało od niego. Sykes powiedział, że pierwszych czterdzieści zrzutów byłoby nieudanych, gdyby w środku był człowiek. Potem w prywatnej rozmowie przyznał, że z tych, które zaliczono do udanych, sporo skończyłoby się połamanymi kończynami i obrażeniami wewnętrznymi. Mercer starał się przypomnieć sobie, co myślał, kiedy zmuszał Irę do włączenia go do zespołu.

– Dobra, chłopaki, luk będzie otwarty za pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Silniki hydrauliczne zawyły, ale od razu zagłuszył je ryk powietrza, które wdarło się do środka. Mercer miał ledwie sekundę, żeby go usłyszeć, bo potem uruchomiła się wyrzutnia. Nie czuł, kiedy pozostałe ZPA były uwalniane, ale wiedział, że co dwie sekundy kolejna kapsuła opuszcza pokład. Po trzech przerwach przyszła jego kolei.

Mechanizm znów się obrócił, przesunął ZPA na sam dół i zwolnił zaciski.

W chwili, kiedy kapsuła znalazła się w powietrzu, runęła w dół z przyspieszeniem, które przesunęło wewnętrzne organy Mercera w kierunku stóp. Miał wrażenie, że żołądek woła je

z powrotem. Z boków kapsuł wysunęły się niewielkie skrzydełka, które miały zapobiegać wirowaniu i stabilizować lot. Podróż w dół nie miała końca. Kiedy ZPA osiągnęły maksymalną prędkość dwustu kilometrów na godzinę, stały się całkowicie niewykrywalne. Mercer tak mocno ścisnął rączkę, że odłamał plastikowy uchwyt. Z trudem nabierał powietrze. W pewnym momencie zorientował się, że od początku lotu krzyczy na całe gardło.

Przypomniał sobie o ekranie, ale zobaczył tylko ciemność. Mógł jedynie mieć nadzieję, że GPS sprowadzi kapsułę na właściwe miejsce. W przeciwnym razie nie będzie miał najmniejszych szans dotrzeć we właściwe miejsce i rozbije się o zbocze góry.

– No dalej! – błagał. Spadochron powinien się już otworzyć.

Projektanci przez pomyłkę nie zainstalowali wysokościomierzy, dzięki którym komandosi mogliby widzieć, ile jeszcze mają przed sobą. Mercer był pewien, że minął już dolną granicę bezpiecznego lądowania, a mimo to nic się nie działo.

Chryste, to koniec.

Nie wiedział, że ZPA działał doskonale i bez błędów, lotki stabilizowały upadek i poprawiały kurs, a celownik laserowy prowadził kapsułę na wybrane miejsce.

Na trzystu metrach komputer pokładowy uruchomił otwieranie czaszy pomocniczej, która miała złagodzić szarpnięcie czaszy głównej. Kiedy kapsuła zwolniła, uruchomiony został system naprowadzania, który skanował obszar o średnicy stu metrów wokół celu, by wybrać najbardziej płaskie miejsce.

Szarpięcie głównego spadochronu objawiło się słodkim bólem. Mercer po raz pierwszy od opuszczenia bombowca wziął głęboki oddech i poczuł, jak zwalnia mu serce. Puścił uchwyt i usłyszał, jak odłamany plastik spada na dół. Ekran zapłonął zielonym światłem, bo uruchomił się filtr noktowizyjny. Trudno było na razie dostrzec ziemię, ale nawet rozmazane kształty cieszyły jego oczy.

Po chwili Mercer uspokoił się na tyle, że poczuł delikatną korektę lotu kapsuły, a potem zobaczył pod sobą płaski grunt. Jakiś silniejszy podmuch wiatru zepchnął go z właściwego kursu, ale komputer natychmiast go skorygował.

Sykes starał się mu wytłumaczyć, żeby nie patrzył w ekran przy lądowaniu, bo odruchowo napnie wszystkie mięśnie. Zamknął więc oczy, bo myślał, że ma już tylko kilka sekund, ale zaskoczony musiał przeczekać jeszcze niemal piętnaście, zanim kapsuła uderzyła w ziemię. Zgodnie z projektem ZPA przewrócił się na plecy, a spadochron został odczepiony, żeby nie działał jak żagiel i nie pociągnął za sobą bezradnego pasażera.

Mercer od razu zdjął pokrywkę zabezpieczającą wyłącznik zamków i uderzył w niego pięścią. Rozległ się syk i wieko lekko się uniosło. Do środka dostał się zimny wiatr. Pierwszy oddech prawie zamroził mu płuca. Mercer zakaszłał.

Odpiął uprząż i wstał niepewnie. Wokół zobaczył szary świat pełen skał. Gdyby nie trawa porastająca dno doliny, można by tu kręcić sceny na Księżycu. Temperatura powietrza wynosiła jeden stopień poniżej zera, ale w powiewach wiatru dało się wyczuć ciepło ze źródeł geotermalnych.

Z ciemności wynurzyła się jakaś postać.

– Wszystko w porządku, Królewno? – zapytał Gburek. Był już w kamizelce taktycznej i z całym sprzętem. W dłoniach trzymał karabin M-4, pomniejszoną wersję M-16. Oczy zasłaniały mu gogle noktowizyjne.

– Tak, tylko trochę się trzęsę.

– Nie przejmuj się. Co za przejażdżka. Zbieraj sprzęt i ruszamy. – Odwrócił się.

Mercer złapał go za ramię.

– Czekaj, czy wszyscy wylądowali bezpiecznie? Gburek nie patrzył na niego, kiedy powiedział:

– Spadochron Apsika się splątał. Nie żyje. – Strząsnął z siebie dłoń geologa. – Lepiej, żeby ta operacja była warta jego życia.

– Jest warta życia każdego z nas – odpowiedział Mercer, zanim komandos zniknął w ciemności.

Klasztor w Rinpoche-La zachodni Tybet

Sykes na wieść o śmierci Apsika kazał Śpiochowi osłaniać Gapcia, który pracował przy kolejnych ZPA, aktywując mechanizmy samozniszczenia. Od kiedy wylądowali, misja nabrała rozpędu. Na wspomnienie zmarłych czas przyjdzie później. Kapitan poprowadził zespół na północ, w kierunku kamiennej ściany. Od lądowiska mieli do przejścia niecałych czterysta metrów.

Mercer spodziewał się, że na wysokości czterech tysięcy metrów będzie miał problem z oddychaniem. Brak objawów choroby wysokościowej, takich jak bóle głowy, mdłości i ból płuc, przypisywał koktajlowi, który pił w czasie lotu. Czarne spodnie od munduru, które dostał na odprawie przed wylotem, doskonale chroniły przed niską temperaturą i wiatrem, który wiał w całej dolinie ograniczonej stromymi ścianami. Z powodu źródeł geotermalnych, których parujące ujścia znajdowały się na całym obwodzie dna kanionu, gogle noktowizyjne pokazywały zaparowany obraz. Mercer zdjął je i powiesił na gumce, żeby nie przeszkadzały w biegu. Wystawione na zimno oczy zaraz zaczęły szczypać, a po krótkiej chwili stracił czucie w skórze twarzy.

Ściana za klasztorem była zbudowana z kamieni połączonych prymitywnym cementem. Pośród obłoków pary wysoko nad głowami mogli raz po raz dostrzec zarysy budynku w kształcie tradycyjnej pagody. Gestem dłoni Sykes rozkazał swoim ludziom rozproszyć się, żeby mogli osłaniać wspinaczy rozpakowujących

sprzęt i liny. Mercer zajął pozycję po lewej stronie, blisko miejsca, w którym kamienna ściana łączyła się ze skałą. Ponownie włożył noktowizyjne gogle i rozejrzał się wśród głazów i skał dookoła. W każdym zagłębieniu i każdej jaskini mogli kryć się strażnicy. Odruchowo podążył lufą za spojrzaniem.

Dwóch komandosów pod ścianą było gotowych do rozpoczęcia wspinaczki. Śmieszek i Nieśmiałek naprawdę nazywali się Bobby Johnson i Bruce Morrelli. Przez kilka minut profesjonalnym wzrokiem wspinaczy obserwowali pionową płaszczyznę, wybierając najwłaściwszą drogę. Każdy miał wspiąć się sam, niezależnie od drugiego, niosąc osobny zwój liny i sprzęt konieczny do zaczepienia jej na górze. Mieli też przy sobie pistolety z tłumikami, na wypadek gdyby wpadli na jakiegoś strażnika. Na co dzień we wszystkim współzawodniczyli i byli gotowi zapłacić każdą cenę, by pokonać kolegę. Jednak wiedzieli, że misja to już nie zabawa. Kiedy ruszyli w górę, sprawdzali, jak idzie kompanowi, i poruszali się bardzo odpowiedzialnie.

Komandosi posuwali się naprzód, jakby nie istniała dla nich grawitacja. Ich ręce i nogi pozostawały w ciągłym ruchu, wykorzystując najmniejsze szczeliny i pęknięcia – wystarczyło, że zmieścili w nich choćby jeden palec. Mercer sam kilka razy musiał się wspiąć i choć robił to wyłącznie z konieczności, teraz nie mógł uwierzyć w to, co widział. W kilka minut pokonali połowę dystansu do szczytu. Podziwianie ich kunsztu było tak pochłaniające, że Mercer zmusił się, by odwrócić głowę i skupić na akcji. Na wszelki wypadek znów sprawdził okolicę. Wyłączył

bezpiecznik, żeby mieć broń gotową do strzału, a palec trzymał na osłonie spustu.

– Tu Gapcio – W słuchawkach Mercera rozległ się głos komandosa. – Kapsuły zabezpieczone. Trzy godziny i pięćdziesiąt minut do godziny zero. Idziemy do was.

– Przyjąłem – potwierdził Sykes.

Nieśmiałek pierwszy dotarł na szczyt ściany, wyprzedzając Śmieszka o pół długości. Kiedy przeturlał się nad krawędzią muru, słyhać było delikatny chrzęst kamieni. Komandosi zastygli w gotowości, bo ze skał poderwało się kilka spłoszonych sów. Nieśmiałek zniknął im z pola widzenia, a Śmieszek zamarł na krawędzi. Sekundy mijały.

– Czysto – zameldował w końcu Nieśmiałek.

Śmieszek dołączył do towarzysza na szczycie. Przez pełnych pięć minut prowadzili rozpoznanie terenu, ale nikogo nie zauważyli. Wrócili na miejsce i, korzystając z wyciszonej kołkownicy, zamontowali w skale klamry. Potem zapięli dwa karabińczyki, przywiązali końce lin i zrzucili na dół pozostaje zwoje.

– Gburek jedyńka, Śnieżka dwójka. – Sykes wyznaczył kolejność wspinaczki. – Gapcio, twoja pozycja?

– Pięćdziesiąt metrów z tyłu.

– Zaczynasz po Gburku. Śpioch, ty po Śnieżce. – Sykes, wydając rozkazy, przywiązywał sprzęt obu wspinaczy do lin, żeby najpierw wciągnęli swoje uzbrojenie.

Mercer dostał specjalne narzędzie do wspinaczki, dzięki któremu wejście na szczyt muru było równie łatwe, jak korzystanie z drabiny. Wpiął się, popatrzył chwilę przed siebie

i jeszcze raz westchnął, podziwiając niesamowite umiejętności obu komandosów. Sam miał wrażenie, że ściana jest gładka jak szkło i wznosi się pionowo w górę.

– Ruszaj, Śnieżka – popędził go Gburek.

Mercer założył pętlę na nogę i przeniósł na nią ciężar ciała. To samo uczynił z drugą pętlą i natychmiast znalazł się pół metra nad ziemią. Ścisnął metalowy chwyt, luzując szczęki na linie, i przesunął je do góry. Potem podniósł się na wyższej pętli i podniósł drugi chwyt. Szybko znalazł właściwy rytm. Piętnaście kilogramów sprzętu na plecach byłoby problemem, gdyby miał dłuższą drogę do przebycia, jednak kilkadziesiąt metrów już go nie przerażało.

Po jego lewej stronie wspinał się sierżant Lopez, zwany Gburkiem. Komandos w tym samym czasie pokonał siedem metrów więcej. Mercer podziwiał synchronizację pracy rąk i nóg komandosa. Nawet nie próbował go gonić.

Kiedy dotarł do szczytu, Nieśmiałek złapał go za mundur i błyskawicznie przeciągnął nad krawędzią. Znajdowali się na szerokim, nieosłoniętym tarasie wyłożonym ociosanymi płytami. Dwadzieścia metrów dalej znajdował się budynek klasztoru, wsparty na szerokiej kolumnadzie, ciągnącej się przez cały front. Budowla była tak wysoka, że jej dachy ginęły w chmurach. Z jedynek drzwi sączyła się delikatna poświata. Światło paliło się też w kilkunastu pokojach na różnych piętrach. Po lewej i prawej stronie stały niewielkie okrągłe budowle, które, jak się domyślał, były niewielkimi kapliczkami. Poza modlitewnymi porościami szarpanymi przez wiatr wokół panował bezruch.

Kilka minut później cały oddział stawił się w komplecie, razem z wyposażeniem, które częściowo zostało wciągnięte osobno. Mercer kuczał przy niewysokiej ścianie z kamienia i oparty wypatrywał ruchu. Gotowi do wejścia zebrawali się obok kapliczki, żeby wysłuchać ostatnich rozkazów kapitana.

– Dobra, krasnale. Tu kończy się nasz plan. Wejdziemy do środka frontowymi drzwiami i dwójkami będziemy przeszukiwać piętro popiętrze. Śnieżka idzie ze mną. Gburek, ty sam zajmujesz się parterem. Im dłużej uda się nam uniknąć wykrycia, tym dłużej mamy przewagę. Ale sądząc po wielkości klasztoru, w środku jest ze dwieście pokoi, a Śnieżka twierdzi, że pod ziemią jest jeszcze sporo korytarzy, więc w końcu i tak się zorientują, że wpadliśmy z wizytą. Bądźcie cały czas gotowi.

– Tak jest – odpowiedzieli komandos jednym głosem.

Minęli kapliczkę od tyłu i truchtem przebiegli odcinek dzielący ich od drzwi. W dłoniach nieśli broń gotową do strzału i uważnie się rozglądali, szukając strażników. Podwójne drzwi miały pięć metrów wysokości i zostały wykonane z jakiegoś egzotycznego drewna, połączone ozdobnymi sztabami metalu. Nie miały zamka. Gburek osłaniany przez kolegów złapał za metrową klamkę i pociągnął jedno skrzydło do siebie. Mimo że były świetnie wyważone, komandos musiał pomóc sobie drugą ręką, żeby je otworzyć. Przez szparę widać było światło. Mercer zauważył, że nie jest jedyną osobą, która mimo mrozu się poci.

Kiedy szpara między skrzydłami była dostatecznie szeroka, żeby wejść do środka, Sykes klepinięciem w ramię wysłał Gapcia na zwiady. Komandos padł na ziemię i na sekundę wsunął głowę

do środka. Po chwili zajrzał znów, ale tym razem spokojniej. Uważnie rozejrzał się na wszystkie strony.

– Czysto – zameldował.

Weszli po kolei do środka, z Gburkiem osłaniającym tyły. Pomieszczenie nie było duże, oświetlały je lampki olejne i nie dało się odgadnąć jego przeznaczenia. Ściany wyłożono ciemnym drewnem, podłogę jasnym kamieniem. Poza lampami nie było tam nic. Jedyne wyjście prowadziło przez drzwi po drugiej stronie.

Tym razem Sykes sam sprawdził, co się za nimi czai.

– Dobra, o to nam chodziło – szepnął. – Za drzwiami jest sporopustej przestrzeni, mnóstwo drzwi, kilka korytarzy i duża klatka schodowa.

Przewiesił karabin przez plecy i sięgnął po pistolet z tłumikiem.

– Mercer, ty idziesz z M-4. Będziesz mnie ubezpieczał. Idziemy. Wyszedszy z holu, znaleźli się w centralnym punkcie klasztoru.

Odgłosy ich kroków tłumili miękkie dywany. Gburek odłączył się i skręcił w prawo, by przeszukiwać kolejne pomieszczenia. Pozostali dotarli do schodów i ruszyli w górę. Przemieszczali się bardzo szybko, bo na stopniach byli całkowicie odkryci. Sykes wysłał Nieśmiałka i Śmieszka na drugie piętro, a sam, nie zatrzymując się, minął kolejny podest i pognął w górę. Ominęli trzecie piętro, za to na czwartym zostawili Gapcia i Śpioszka. Mercer i Sykes dotarli na samą górę. Korytarze rozdzielały się i biegiły w trzech kierunkach. Kapitan, nie zastanawiając

się, wybrał drogę w lewo. Geolog posuwał się za nim. Wzdłuż korytarza ciągnęły się puste pokoje. Za zakrętem natrafili na wąskie schody, prowadzące w dół. W połączeniu z krętymi korytarzami i pozostałymi schodami całość tworzyła skomplikowany trójwymiarowy labirynt.

– To nam zajmie wieczność – jęknął Sykes po pięciu minutach otwierania kolejnych drzwi do pustych pokoi. Otworzył kolejne. Pomieszczenie było puste, ale nie wiadomo dlaczego znajdowały się nim schody na niższe piętro. – Tu jest tyle przejść, że jak się zorientują, bez trudu nas okrążą.

– Mijmy nadzieję, że nie ma ich zbyt wielu. Sykes spojrział na niego ostro.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Ani przez chwilę.

Wycofując się z pomieszczenia, Mercer na kogoś wpadł. Zawirował i w jednej chwili celował w nieznanego z karabinu. Lufa trafiła go w okolice szczęki i posłała na ziemię. Sykes podszedł do nieprzytomnego i, cały czas celując mu w głowę, przeszukał go wolną ręką. Nic nie znalazł.

Mężczyzna miał około sześćdziesięciu lat, był chorobliwie chudy i bardzo pomarszczony. Miał na sobie szaty mnicha. Oddychał spokojnie, chociaż z rozciętego policzka krew kapłała na podłogę.

– Chryste! – syknął Sykes. – Ani słowem nie wspomniałeś o cywilach!

– Nie miałem pojęcia. – Mercer nie mógł uspokoić bicia serca po nagłej i niespodziewanej konfrontacji.

Sykes dotknął laryngofonu.

– Krasnale, uwaga. Właśnie trafiliśmy na nieuzbrojonego mnicha. To miejsce może być pełne cywilów. Uważajcie. – Machnął na Mercera. – Idziemy.

Nie uszli dziesięciu kroków, kiedy zza rogu wyszedł kolejny mnich. Sykes uniósł pistolet z tłumikiem. Zakonnik był znacznie młodszy niż poprzedni. Zamarł i popatrzył na nich szeroko otwartymi oczyma. Nie spodziewał się spotkać dwóch komandosów ubranych na czarno i zamaskowanych, z których jeden będzie miał pistolet, a drugi karabin maszynowy. Mężczyzna upadł na kolana i zaczął krzyczeć po tybetańsku.

Sykes przyłożył palec wskazujący do ust, każąc mu się uciszyć, ale przerażony mnich nie zrozumiał gestu. Znow krzyknął, jeszcze głośniejszym ostrzej. Sykes spojrzał na Mercera i rzucił jakieś przekleństwo. Mężczyzna sięgnął do pasa. Mercer dostrzegł ten ruch. Przez chwilę się powstrzymywał, bo miał nadzieję, że Sykes zdąży zauważyć, co się dzieje. Na ostrzeżenia nie było czasu.

Widząc pistolet wynurzający się spod mnisich szat, Mercer pociągnął za spust. Karabin szczeknął, podskoczył i zagrzmiał, a mężczyzna poleciał w tył, rozbryzgując szkarłatną mgiełkę z dziury w czole.

Sykes odwrócił się, zanim zwłoki znieruchomiały na podłodze. Podszedł i położył pistolet na podłodze, a potem skontaktował się ze swoimi ludźmi.

– Kontakt – poinformował chłodno przez radio, na wypadek gdyby pozostali nie usłyszeli strzału z karabinu. – Wymiana ognia. Jeślinie wiedzieli, że tu jesteśmy, to teraz nie mają już

żadnych wątpliwości. – Mówiąc to, odkręcił długi tłumik z lufy beretty i odrzucił go nabok, a potem wsunął pistolet do kabury i sięgnął po karabin. – Niezłystrzał – pochwalił Mercera. – I dzięki. Dałem dupy.

Rozejrzał się i nastawił uszu, sprawdzając, czy ktoś nie biegnie w ich stronę.

– Zaraz zrobi się nieciekawie. Jest nas tylko siedmiu, działamy na nieznanym terytorium i nie wiemy, jakie siły mamy przeciwko sobie. Gorszej sytuacji nie potrafisz sobie wyobrazić.

– Spójrz na to z jasnej strony – powiedział uspokajająco Mercer.

– Jasnej?

– Miałem nadzieję, że ty coś wymyślisz.

Sykes nie czekał na rozwój wydarzeń i natychmiast ruszył na poszukiwanie Tisy. Każdy z zespołów co chwila raportował o postępach. Na razie tylko Gburek spotkał miejscowych: w świątyni na parterze zostawił związaną i zakneblowaną staruszkę.

Po kwadransie zdążyli sprawdzić nie więcej niż ćwierć górnego piętra. Sykes robił się nerwowy. Ktoś musiał przecież usłyszeć strzały, a mimo wszystko nikt się nie pojawiał, żeby sprawdzić, co się stało. To oznaczało, że albo klasztor jest pusty, albo wróg szykuje pułapkę.

Ciszę rozdarła długa seria z karabinu maszynowego. Hałas dobiegał gdzieś z pięter poniżej. Odpowiedzią było znajome szczekanie pary M-4.

– Raport! – krzyknął Sykes.

Przez dłuższą chwilę odpowiedź nie nadchodziła, a kapitan, zdenerwowany brakiem kontaktu z podwładnymi, nie dość uważnie obserwował otoczenie. Za to Mercer owszem i w porę upadł na podłogę, pociągając za sobą wielkiego komandosa. Zza zakrętu wyskoczyło trzech mężczyzn z chińskimi wersjami kałasznikowów. Urywany ogień z automatów wypełnił korytarz piekielnym hałasem.

Kanonada przeleciała nad ich głowami. Po chwili Mercer odpowiedział krótką serią, która trafiła pierwszego w pierś, a drugiego w ramię. Sykes przyłączył się do geologa, kładąc jednego trupem i dobijając rannego dwoma strzałami. Przestrzeń wypełnił gryzący dym, bo olej z rozbitych lampek oliwnych kapał na dywany, które błyskawicznie zajmowały się ogniem. Kapitan wstał i schylony podbiegł do zakrętu.

– Czysto – powiedział, wyglądając za róg.

Mercer popędził za nim, wymieniając w biegu magazynek. Wsunął nowy, choć w poprzednim wystrzelał zaledwie połowę pocisków. Przed kolejnym zakrętem natrafili na drzwi. W pokoju stały proste meble: łóżko, stolik i biurko. Okopcona lampa nadawała spartańskiemu pomieszczeniu żałobny wygląd. Okno kołysało się na wietrze. Mimo smrodu płonących dywanów i drewnianej boazerii Mercer wyczuł znajomy zapach. Nie perfum, ale czegoś subtelniejszego. Podeszedł do łóżka. Koc wciąż był ciepły. Przysunął materiał do twarzy i wciągnął powietrze. Znajomy zapach wypełnił mu płuca i poruszył coś w sercu.

– Tisa tu była – powiedział. – Tamci mieli nas tylko spowolnić.

Z żalem uświadomił sobie, że gdyby pierwszy strzał padł z broni z tłumikiem, mieliby szansę zaskoczyć strażników.

– Krasnale, tu kapitan. Cel nam się wymknął. Jesteśmy na piątym piętrze, po zachodniej stronie. Gburek, pilnuj głównych schodów. Reszta ruszać na zachód. Bądźcie superostrożni.

Ogień wzniecony przez płonąca oliwę z rozbitej lampki obejmował coraz większe połacie dywanów. Płomienie lizały ściany i tańczyły na drewnianych wykończeniach tak suchych, że płonęły jak podlane benzyną. Smoła, którą uszczelniano łączenia w drewnianym suficie, wybuchała płomieniem, kiedy tylko sięgał jej ogień. W kilka minut pożar objął cały sufit, a potem przepalił go na wylot. Nic nie mogło go już zatrzymać, bo przez dziurę w dachu dostawał się do środka tlen, bez którego ogniste interno nie mogłoby istnieć. Powietrze było tak rozgrzane, że nie dało się oddychać.

Sykes i Mercer włożyli maski gazowe, które zabrali na takie okazje. Mercer uruchomił mocną latarkę na lufie, żeby cokolwiek widzieć przez gęstniejący dym.

Z niższych pięter dochodziły strzały. Wymiana ognia przybierała na sile.

– Tutaj Śpieszek. Wyeliminowaliśmy trzech na czwartym poziomie, ale cel nam się wymknął i schodzi niżej.

– Przyjąłem. Nieśmiałek, słyszałeś?

– Potwierdzam. Pędzimy ze Śmieszkiem.

– Nie pozwól im zejść na parter – powiedział Mercer. – Jeśli zejda do podziemi, zgubimy ich w labiryncie.

Za ich plecami ogień trawił coraz większe fragmenty dachu, włącznie z belkami, na których opierała się konstrukcja. Dachówki były wyjątkowo ciężkie i już po chwili fragment dachu runął do środka. Kolejne podpory zaczynały się poddawać. Na podłogę spadały tony dachówek, wyrzucając w powietrze snopy iskier. Nagły powiew mroźnego powietrza pchnął korytarzami ścianę ognia, która jak taran spalała wszystko, co napotkała.

Mercer wyczuł zagrożenie w chwili, kiedy usłyszał walący się sufit. Pchnął Sykesa i sam zaczął biec. W korytarzu robiło się coraz jaśniej, bo doganiały ich płomienie. Gorąco było nie do zniesienia.

Każdy zakręt korytarza spowalniał uciekających, ale nie miał wpływu na ogień. Ściany i dywany wisiały tam od setek lat. Były suche jak wiór i eksplodowały jakby na sam widok ognia. W jednej chwili zajmowała się cała powierzchnia.

Schody zostały ukryte w zagłębieniu i Mercer w pierwszej chwili ich nie zauważył. Ryk ognia uniemożliwił rozmowę, klepnął więc Sykesa w ramię i się zatrzymał. Wskazał na schody. Sykes nie zrozumiał. Nie było sensu tłumaczyć mu, jaki ma plan, więc po prostu schylił się i skoczył w ogień. Pobiegł wzdłuż ściany i znalazł schody. Sykes nie zauważył, że Mercer zatrzymał i na niego wpadł. Geolog chciał się położyć i zajrzeć do pomieszczenia ze schodami, kiedy wszystko się zatrzęśło. Uniósł wzrok. Płonący korytarz nie wytrzymał obciążenia i, wyrzucając snopy iskier, opadł piętro niżej. Po chwili kolejne fragmenty podłogi zaczęły się zapadać jeden po drugim.

Mercer nie miał czasu, by sprawdzić, co lub kto mógł się kryć za zasłoną ciężkiego dymu, więc zaryzykował i na oślep skoczył na schody. Obrócił się, by lądowanie na plecaku złagodziło upadek. Drewniane stopnie poddały się z jękiem, a dookoła zaświstały pociski. Drewno ustąpiło i geolog spadł na poziom niżej. Chociaż udało mu się obrócić, impet był potężny. Zobaczył dwóch mężczyzn w zachodnich ubraniach i przez chwilę był zbyt zdezorientowany, żeby zrozumieć, co się dzieje.

Sykes zaczął ostrzał z piętra wyżej. Co prawda jego kule nie były nawet bliskie celu, ale przynajmniej odciągnęły uwagę przeciwników. Mercer strząsnął z broni kawałki drewna i otworzył ogień. Pierwszy mężczyzna upadł, drugi utrzymał się na nogach. Amerykanin jeszcze raz wycelował i strzelił. Drugi napastnik w końcu też padł.

– Czysto – zameldował i ostrożnie się podniósł.

Sykes musiał zeskoczyć z piątego piętra. Upadł na podłogę i zwinnie się przeturlał. Na czwartym poziomie powietrze było znacznie czystsze, więc mogli zdjąć maski przeciwgazowe.

– Dokąd teraz? – zapytał Sykes.

– Chyba szli w prawo.

– To na co czekamy?

– Gápicio, jesteśmy na czwartym. Uważajcie na siebie. Piąte płonie, a ogień się rozprzestrzenia.

– Przyjąłem. Tutaj też w kilku miejscach mamy ogień.

– Gburek, co się dzieje na jedyńce?

– Spokój, sir. Pięć minut temu głównymi schodami zbiegła grupka mnichów. Nie widzieli mnie. Pozwoliłem im opuścić klasztor bocznymi drzwiami.

– Zostań na miejscu. Idziemy do was. Nieśmiałek, widziałeś coś na drugim piętrze?

– Nie. Ale to nic nie znaczy, sir. Mają tutaj chyba z pięćdziesiąt klatek schodowych. Nasz cel mógł zwiać, kiedy ze Śmieszkiem sprawdzałem okolice.

– Wiem – potwierdził kapitan. – Mimo wszystko rób, co możesz. Mieli z Mercerem zatroskane spojrzenia i ruszyli biegiem. Z nadpalonych ubrań unosił się dym, a na piętrze powyżej szalał ogień.

Czwarty poziom klasztoru był znacznie ozdobniejszy i bogatszy niż piąty. Dywany były grubsze, złocień więcej, a pokoje lepiej wyposażone. W jednym Mercer zauważył kolekcję delikatnych waz z porcelany, ustawionych blisko otwartego okna. Były tak kruche, że przenikało przez nie światło. Nie chciał nawet zgadywać, jaką miały wartość. W kolejnym pokoju znajdowała się ogromna kolekcja ręcznej kaligrafii i malarstwa.

Zakon Tisy posiadał bezcenne zbiory chińskiej sztuki, prawdopodobnie największe pozostające poza kontrolą rządu w Pekinie. Cały budynek stanowił swoiste muzeum. A za godzinę albo dwie nic po nim nie pozostanie; jedynie dymiące zgliszcza.

– Kapitanie? – Gburek odezwał się przez system łączności. Mówił tak cicho, że Mercer musiał głębiej wcisnąć słuchawkę do ucha.

– Mów.

– Mam kontakt wzrokowy z celem. Pięćdziesiąt metrów, przechodzą przez hol wejściowy.

– Ilu ich jest?

– Dwanaście, może piętnaście osób. Powiedz Śnieżce, że Elvis trzyma jego pannę.

Mercer przyspieszył. Kiedy biegł, musiał przytrzymywać ciężki plecak, żeby nie kołysał się na boki. W kieszeniach i ładownicach miał dość amunicji, żeby wyjść z tego cało. Sykes z trudem nadązał. Nie zastanawiając się, skręcili ku pierwszym schodom, na jakie natrafili. Na półpiętrze, przy pomniku Buddy, zebrała się grupka mnichów. Rzeźbę pokrywało złoto, a półprzyknięte powieki skrywały oczy wykonane z dwóch pięknych szafirów. Wyglądało na to, że mnisi usiłują znaleźć sposób, by ocalić pomnik. Mercer był pewien, że spłoną żywcem, zanim ustalą, jak wynieść ciężką rzeźbę. Uniósł karabin i posłał serię w sufit. Zakonnicy rozbiegli się jak stadko przerażonych gołębi.

Choć trudno było to sobie wyobrazić, trzecie piętro było jeszcze zdobniejsze niż poprzednie. Mercer nie wiedział, że klasztor został tak zorganizowany, by mnisi odbywający nowicjat mieszkali w przepychu i luksusie, a później, w miarę poznawania tajemnic i nauki panowania nad własnymi pragnieniami, przenosili się na wyższe piętra, zostawiając za sobą wygodę i bogactwo. Dopiero po latach służby i modlitw wolno im było zamieszkać na najwyższym piętrze. Porządek panujący w klasztorze był odwróceniem porządku panującego w świecie, gdzie ci, którzy odnosili sukces, gromadzili bogactwo i otaczali się skarbami.

Ktoś otworzył drzwi przy podeście i rzucił coś na podłogę. Mercer odskoczył i wturlał się za ciężką rzeźbą na ułamek sekundy przed eksplozją granatu. Wybuch był ogłuszający. Poczuł ból w uszach. Część złota z posągu uległa stopieniu, a siła eksplozji porwała jego krople i rozpryskała na ścianie przy schodach. Sama rzeźba, zrobiona z aromatycznego drewna, rozpadła się na kawałki. Brakowało jednego oka, drugie zmieniło się w pył.

Drzwi znów odskoczyły i ktoś na chwilę wysunął głowę. Mercer rozejrzał się za karabinem. Znalazł go trzy metry poza swoim zasięgiem. Na podest wyszedł młody mnich, żeby ocenić efekty swojej akcji z granatem. W jednej ręce miał pistolet, w drugiej kolejny ładunek. Rozejrzał się, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z tego, że zniszczył bezcenną rzeźbę. W końcu dostrzegł Mercera ukrytego za piedestałem. Uniósł broń i strzelił, trafiając zniszczonego Buddę w głowę.

Zanim zdążył lepiej wycelować, Sykes ukryty piętro wyżej położył go trupem. Potem zbiegł po schodach i zatrzymał się przy Mercerze.

– Hej, wszystko w porządku?

Głos komandosa ledwie się przebijał przez straszne dzwonienie w uszach. Mimo to Mercer kiwnął głową. Od Tisy dzieliły go tylko dwa piętra i nic innego się nie liczyło. Podniósł karabin w chwili, kiedy zza ciężkiej komody ustawionej głębiej w korytarzu posypały się w ich kierunku strzały. Mercer odpiął od paska jeden z granatów ogłuszających, jakie wszyscy mieli na wyposażeniu, wyrwał zawleczkę, przytrzymał go przez chwilę w dłoni, a potem rzucił w miejsce, skąd mnisi prowadzili ostrzał.

Obaj z Sykesem zastłonili uszy dłońmi i zacisnęli powieki. W wąskim przejściu błyski i przeraźliwy huk odniosły taki sam skutek jak granat odłamkowy.

Jeden z ukrytych zakonników wypadł zza komody, zatoczył się i padł na ziemię. Mercer skoczył, ostrzeliwując drugiego, żeby nie odważył się nawet wyjrzeć. Przypadł do ciężkiego mebla, wychylił karabin zza rogu i na ślepo pociągnął za spust. Po chwili ciszy odważył się wyjrzeć. Drugi mężczyzna leżał na ziemi w kałuży krwi, która sączyła się z kilkunastu otworów w habicie.

– Czysto – powiadomił Sykesa i ruszył korytarzem, szukając kolejnych schodów, którymi mógłby dostać się na parter.

Dwa piętra wyżej ogień zniszczył jedną z grubych kolumn, podtrzymujących dach typowy dla pagody. Osłabione drewno nie wytrzymało naporu potężnego ciężaru dachówek i utrzymującej je konstrukcji. Efekt był taki, jakby w środku ktoś odpalił bombę. Kawał dachu runął w dół, a potem kolejne fragmenty. Konstrukcja straciła równowagę i po chwili dach nad wschodnią częścią klasztoru zaczął się przechylać. Na podwórze runęły połamane belki i dachówki, które w jednej chwili uformowały kilkumetrowy stos.

Pozostałe trzy strony dachu zakołysały się, tracąc dachówki jak patroszona ryba łuski. Płomienie sięgały dwudziestu metrów i konsumowały stare, suche drewno, karmiąc się świeżym powietrzem z doliny. Kiedy budynek się przechylił, szyby we wszystkich oknach wystrzeliły z przeraźliwym łoskotem. Pękały po kolei, najpierw po stronie północnej, potem południowej, aż w końcu żadne z dwóch tysięcy okien nie pozostało całe.

Wewnątrz budynku było jeszcze gorzej. Mercer poleciał na ścianę, kiedy sufit zaczął się ruszać i falować. Jedno ze skrzydeł budynku całkowicie zniknęło, pociągając za sobą kolejne fragmenty. W powietrzu unosiły się kurz, pył i dym. Obłok nad doliną był tak gęsty, że nawet stały wiatr nie mógł go rozproszyć. Mercer ruszył na oślep, czując, jak cały budynek się kołysze.

– Raporty! – W słuchawkach usłyszał krzyk Sykesa.

– Gburek. Cel mnie minął. Nie mogłem ryzykować. Wyszli przez drzwi po drugiej stronie holu. Nie prowadzą na zewnątrz, więc pewnie są w podziemiach.

– Kurwa! – zaklął Mercer. Pozostali komandosi podawali dane o swoich pozycjach. Ściganie Tisy i Randalla w ogromnym budynku było trudne jak diabli, ale odnalezienie ich w podziemnych korytarzach pod budynkiem wydawało się niewykonalne.

Mercer miał nadzieję, że zapadający się budynek przekona mnichów, by ratowali własną skórę, ale kiedy dotarł do schodów, przekonał się, że było inaczej. Ledwie otworzył drzwi, ktoś zaczął do niego strzelać.

Mercer wyciągnął zawleczkę z dwóch granatów ogłuszających i zrzucił je w dół schodów. Eksplozja była tak silna, że niemal wyrwała drewnianą konstrukcję ze ścian. Krótką serią zmusił napastników do szukania osłony, a sam ostrożnie postawił nogę na pierwszym stopniu. Osłabione poprzednim wybuchem schody złożyły się jak domek z kart.

Musieli poszukać innej drogi.

– Tu Nieśmiałek i Śmieszek. Jesteśmy na pierwszym piętrze. Gburek, podaj swoją pozycję.

Mercer ściszył radio. Trzecie piętro pochłaniały płomie-
nie. Powietrze było ciężkie od dymu i iskier, a gorąco paliło
nieosłonięte włosy. Po czasie, który wydawał się wiecznością,
trafili na schody biegnące do szerokiego balkonu nad otwartą
przestrzenią poniżej. Nie było to miejsce, w którym zespół się
rozdzielił, ale i tak było ogromne, znacznie większe niż hol
w hotelu. Spiralne schody mijaly drugie piętro i schodziły na
parter. Stojąc przy balustradzie, Mercer i Sykes z celownikami
przy oczach sprawdzili, czy poniżej nie kryją się mnisi z bronią.
Hol wydawał się opuszczony. Już chcieli ruszyć w dół, kiedy
ściana za nimi eksplodowała i rozpadła się na kawałki, strzelając
na wszystkie strony czerwonymi płomieniami. Siła wybuchu
była na tyle duża, że obaj przelecieli w powietrzu i potoczyli
się po stopniach.

Mercer zwinął się w kłębek, kiedy fala uderzeniowa ze-
pchnęła go w dół. Spadając, kilka razy boleśnie został trafiony
przez buty Sykesa, który toczył się tuż za nim. Najpierw ciężka
podeszwa uderzyła go w szczękę, rozkrwawiając wargę, a potem
w nerkę. W końcu Mercer wpadł na ścianę i przestał się zsuwać.
Wystarczyło mu trzeźwości i refleksu, żeby złapać mijającego
go komandosa. Obaj otrząsnęli się i wstali.

Mercer wypluł krew z ust.

– Wszystko w porządku?

Sykes złapał się za palec wskazujący prawej dłoni i jęknął,
nastawiając złamaną kość. Upadając, musiał zakleszczyć go mię-
dzy spustem a osłoną.

– Nic mi nie jest.

Przytłumiony krzyk z dołu ostrzegł ich przed kolejnym atakiem. Padli płasko na ziemię, na chwilę zanim ogień z broni automatycznej zalał schody. Kule rozrywały stopnie, wyrzucając w powietrze strzępy dywanów i drzazgi. Nie mieli jak się ruszyć. Balkon nad nimi płonął, słupy, na których się opierał, płonęły, a dym coraz bardziej gęstniał. Poniżej zaczął się jakiś strzelec, a pociski z jego karabinu były coraz bliżej celu. Kolejne kule wybiły dziury w ścianie pół metra od nóg Mercera.

– Nieśmiałek, Śnieżka i ja jesteśmy w pułapce! – zawołał Sykesprzez radio. – Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, ale potrzebujemy pomocy. – Wysunął lufę za krawędź schodów i strzelił kilka razy na oślep. Jedyne efekty, jakie udało mu się wywołać, to spotęgowanie ostrzału przez ukrytego mnicha.

– Słyszę cię – odpowiedział Śmieszek. – Wytrzymajcie jeszcze chwilę.

– Nie mamy już ani chwili.

Poniżej pojawił się zakonnik z ręcznym granatnikiem RPG-7. Ustawił się i, nie celując, strzelił. Pocisk eksplodował wysoko nad Mercerem i Sykesem, nie robiąc im krzywdy, ale za to wyrwał ze ściany mocowanie schodów. Drewniana konstrukcja zaczęła się przechylać i odsuwać od murów. Towarzyszył temu dźwięk przypominający jęk konającego. Schody utrzymywały się przy ścianach za pomocą drewnianych kotew grubości pięciu centymetrów, które pozostały w murze. Mercer w ostatniej chwili złapał wystający kawałek drewna i zawisł na nim, a stopnie pod nim runęły.

Sykes chwilę później zakołysał się na kołku poniżej.

Drewniane schody rozbiły się o posadzkę na pierwszym piętrze, pozostawiając geologa i komandosa zawieszonych siedem metrów nad ziemią. Byli całkowicie odsłonięci i nie mieli jak się bronić. Wiedzieli, że lada chwila zginą.

Ale jedyne strzały rozległy się spoza holu. Nieśmiałek i Śmiezek przybyli z odsieczą. Mercer nie marnował ani sekundy. Gdyby nie stos połamanego drewna na podłodze, mógłby po prostu zeskoczyć. Tymczasem ostre drzazgi były zbyt niebezpieczne. Nawet skacząc z dwóch metrów, mógłby połamać nogi. Kotwa wystająca ze ściany miała około pół metra długości. Przełożył rękę i zaczął się huścić, żeby nabrać rozpędu i dosięgnąć następnego kołek, który sterczał ze ściany metr dalej i siedemdziesiąt centymetrów niżej. Złapał go lewą ręką i nie zatrzymując się, prawą wyciągnął w kierunku trzeciego. Jak dziecko na placu zabaw, schodził w dół, nie zważając na kule przecinające dym.

Na dole szybko schował się za stertą połamanego drewna, ale nie strzelał. Sykes był dopiero w połowie drogi, więc nie mógł ryzykować i zwracać na siebie uwagi, dopóki komandos nie będzie bezpieczny. W chwili, kiedy mężczyzna dotknął ziemi, Mercer uniósł karabin i wpakował kulę w pierś mnicha z granatnikiem. Jego partner, również z RPG-7, skoczył szukać schronienia. Mercer znów strzelił i trafił go w biodro. Tybetańczyk, upadając, zacisnął palce na spuście. Granat wystrzelił prosto w górę i przeleciał przez tańczące języki ognia. W końcu uderzył w płonący sufit trzy piętra powyżej. Wybuch zatrzęsł całym budynkiem. Dach runął do środka, grzebiąc pod sobą strzelca.

Nieśmiałek i Śmieszek wyeliminowali ostatnich strzelających mnichów. Nie było już słychać broni.

– Kapitanie, czysto.

– Przyjąłem – potwierdził Sykes.

Dał znak Mercerowi i razem dołączyli do pozostałej dwójki, by pobiec do głównego holu, gdzie mieli czekać Gburek, Śpioszek i Gapcio. Pierwsze piętro płonęło. Podłogę pokrywała warstwa rozbitych dachówek i sadzy. Gdyby przez zniszczony dach i wybite okna nie wpadał wiatr, wewnątrz klasztoru byłoby goręcej niż w piecu.

– Gdzie oni są? – zapytał Sykes.

Gburek wskazał na drugą stronę pomieszczenia.

– Tam są drzwi. Widziałem, jak za nimi zniknęli. Wygląda to nawęjście do jakiejś jaskini.

Mercer potaknął.

– To miejsce zostało zbudowane na takim terenie jak nasz park Yellowstone. Pewnie wykorzystali korytarz po płynnej magmie. Tego się obawiałem.

– Dlaczego?

– Normalny budynek ma cztery strony i zazwyczaj po jednym wyjściu z każdej. Nie da się zabłądzić. Ale tam na dole wystarczy raz źle skręcić i można skończyć wiele kilometrów od miejsca, w którym jest Tisa.

Potężny hałas z innej części klasztoru przerwał rozmowę. Budynek się walił. Mieli dwa wyjścia – albo uciekać na dwór, albo wbiec do podziemnego labiryntu.

Sykes gestem nakazał Gburkowi zająć pozycję. Dobiegli do drzwi i stanęli po bokach, pod ścianą. Musieli poczekać, aż Gapcio, oddziałowy saper, sprawdzi, czy wejście nie zostało zaminowane. Komandos nie znalazł nic podejrzanego na framugach, więc odsunął się lekko i lufą karabinu ostrożnie popchnął drzwi. Zawiasy zaskrzypiały, skrzydło odskoczyło i powietrzem wstrząsnął silny wybuch.

Przez ułamek sekundy Gapcio stał na tle ognistej kuli, a potem dotarła do niego fala uderzeniowa i poleciał w tył. Kilka metrów dalej uderzył plecami w kamienną kolumnę. Podmuch zerwał z niego prawie cały mundur i skórę.

Wybuch zasypał pozostałych kamiennym pyłem i trocinami. Jedna z kolumn nie wytrzymała i poddała się, a część pierwszego piętra runęła do holu. Połamane belki płonęły.

– Cholera! – krzyknął ktoś, kiedy puścili się biegiem w kierunku rannego towarzysza. Sykes dopadł do niego pierwszy. Gburek i Mercer zatrzymali się nieco z tyłu, osłaniając wejście karabinami maszynowymi, na wypadek gdyby mina nie była jedyną pułapką. Pozostali schylili się nad Gapciem. Ich ruchy były szybkie i pewne, wyuczone podczas wielogodzinnych treningów. Nic już nie mogli dla niego zrobić. Dopey zginął na miejscu.

– Te skurwysyny zabiły dwóch moich ludzi – syknął Sykes.
– Dopadnę ich. Bóg mi świadkiem, że ich dopadnę.

Zbliżyli się do wciąż dymiącego wejścia do jaskiń. Komandosi trzymali broń uniesioną, gotową do strzału. Szli z palcem na spuście i szukali celu. Lufy ani na chwilę nie zatrzymywały się w miejscu, cały czas omiatając wszystkie zakamarki.

Za wyrwanymi z zawiasów drzwiami znajdował się zaokrąglony korytarz skalny, który ostro schodził w dół. Kilka lamp przymocowanych do sufitu rzucało słabe światło. Poza nimi w tunelu nie było nikogo widać. Zatrzymali się w zwartej grupie i, osłaniając się nawzajem, ruszyli korytarzem. W tak ciasnych miejscach działanie ramię w ramię ograniczało ryzyko przypadkowego postrzału i pozwalało na obezwładniający rewanż w razie ataku.

Korytarz wił się i skręcał jak korkociąg, a każdy zakręt, za którym mogli czaić się mnisi, spowolniał ich marsz. Mercer czuł, że Tisa jest coraz dalej i dalej. Jak dawno szła tą drogą? O ile ich wyprzedzała?

Sykes, który prowadził oddział, zatrzymał się gwałtownie i uniósł zaciśniętą pięść. Pozostali przyklękli. Zza zakrętu sączyło się jasne światło. Kapitan ostrożnie podszedł do załomu skały. Poruszał się prawie bezgłośnie.

Wyjrzał.

– Chryste, chodźcie.

Komandosi podnieśli się i pobiegli za nim. Pomieszczenie, w którym się znaleźli, zostało niegdyś bogato wyposażone antycznymi biurkami, lampami i komódkami. Dwie ściany całkowicie ginęły za regałami z książkami. Mercer od razu zauważył, że to tomy kroniki, którą Tisa wykradła dla niego z Rinpoche-La. Stali w archiwum obserwatorów, a księgi na półkach były zapisanymi przepowiedniami Wyroczni.

Wszystko płonęło. Półki, meble i książki. Wewnątrz nie było dość powietrza, by płomień szalał jak na górnych piętrach,

ale wystarczyło, by na ich oczach drogocenne rękopisy obracały się w popioł. Mercer był pewien, że to Donny Randall podłożył ogień, żeby go spowolnić.

Kiedy Sykes i jego ludzie szukali wyjścia z pomieszczenia, Mercer próbował podejść do gorejących półek. Temperatura była tak wysoka, jakby zbliżał się do otwartego pieca. Udało mu się złapać jedną z książek, ale była tak rozgrzana, że błysnęła tylko płomieniem i rozpadła się w proch. Dwie kolejne też uległy zniszczeniu. Niemal trzymał w dłoniach wiedzę, która mogła ocalić miliony istnień, a jednak nie mógł jej zachować.

Odpiął uprząż i pozwolił jej opaść na ziemię. Potem zdjął kamizelkę kuloodporną.

– Mercer, co ty, do cholery, wyprawiasz? Musimy iść! – Sykes znalazł wyjście z pomieszczenia.

– Muszę je ocalić – odpowiedział Mercer, przekrzykując ryk ognia. Starał się zobaczyć, w jakiej kolejności książki zostały poukładane, ale przez gęsty dym nie mógł niczego dostrzec. Zaryzykował i założył, że ostatnie są najnowsze i złapał trzy tomy naraz, a potem najszybciej jak mógł zawinął je w kamizelkę.

Miał wrażenie, że trzyma w dłoniach świeżo wypaloną cegłę. Poparzył się, ale zignorował ból. Chciał jak najszybciej uciec poza zasięg przeraźliwego gorąca... ale był zbyt wolny. Spod materiału unosiły się strużki dymu. Zajrzał do środka i zobaczył, że księgi czernieją. Próbował zdusić płomień palcami, ale wszystko na nic. Zawiniątko buchnęło ogniem. Odskoczył oślepiiony. Bezcenna kolekcja płonęła jak pochodnia – utracona na zawsze.

– Mercer, musimy iść!

Ociągając się, pobiegł za Sykesem. Wszystkie półki płonęły żywym ogniem. Setki lat mrówczej pracy szły z dymem. Wrócił jeszcze po uprząż i karabin i pognał za resztą, w głąb ziemi.

Przez kolejnych dziesięć minut maszerowali tunelem, aż w końcu doszli do kolejnej wielkiej komory. Ta była znacznie większa niż archiwum, miała zdobny sufit z bogatymi kandelabrami i bogato rzeźbione meble. Przypominała królewskie komnaty z Wersalu.

Gburek i Sykes pierwsi weszli do środka. Biegając pod ścianami, z dwóch stron okrążali pomieszczenie. Pozostali czekali w wejściu, wodząc lufami na wypadek, gdyby wróg wynurzył się z jakiegoś zakamarka. Nieśmiałek nagle krzyknął. Sykes i Gburek padli na ziemię, chowając się za jakąś wagą. Nieśmiałek strzelił w lewo, przebijając drewniany panel przy drzwiach. Z drugiej strony pokoju pojawił się mnich i z wrzaskiem zaczął strzelać. Gburek pociągnął za spust, dziurawiąc napastnika od krocza do ramienia.

W ciągu dziesięciu sekund w różnych miejscach pojawili się kolejni mnisi. Hałas pojedynczych wystrzałów urósł do ciągłego grzmotu, który kołysał kandelabrami. Jeden z nich chciał wystrzelić z miotacza granatów, ale padł ścięty serią z automatu, zanim jeszcze uniósł wyrzutnię do ramienia. Mercer wystrzelił długą serię i ruszył biegiem, by ukryć się za biurkiem. Jakiś inny mnich przypadł do zwłok towarzysza, podniósł jego broń i udało mu się trafić w ścianę nad wejściem.

Komandosi czmychnęli na wszystkie strony, kiedy na głowy zaczęły im lecieć kawałki kamieni i pył. Gburek strzelał na

wszystkie strony, by ich osłaniać, kiedy Mercer zmieniał magazynek. Potem geolog wychylił się nad biurkiem, zabił dwóch zakonników i kilkunastu innych zmusił do ucieczki.

Nikt nie musiał wydawać rozkazów. Komandosi wiedzieli, że jeśli nie ruszą naprzód, zanim wróg się przegrupuje, może być za późno. Przez komorę popędzili żabimi skokami. Broń trzymali w pogotowiu, lecz nie używali jej podczas biegu, tylko na postojach.

Mercer był w połowie drogi, kiedy tuż pod jego nogami wyładował granat. Przeskoczył go i skrył się w przejściu, przyciskając plecy do ściany. Detonacja wyrwała drzwi z futryną, jego omijając. Geolog siedział przez chwilę ogłuszony, a potem się rozejrzał. Komandosi wyparli mnichów z komnaty.

Pokój, w którym się schował, uciekając przed granatem, był wyposażony w wielkie łóżko. Na ścianach wisiały bogate ko-bierce. Myślał, że pomieszczenie było puste, dopóki nie zobaczył nagiego szkieletu na łóżku, z poduszką pod głową. Człowiek patrzył, gdy Mercer mu się przyglądał. Żałosna kreatura zaczęła chichotać.

– Co to ma... ?

Chichot zmienił się w pisk, kiedy szalencie zatopił szpony w skórze. Długimi pazurami odrywał z ramion i nóg krwawe pasy. Ociekające krwią strzępy rzucał na ciężkie zasłony, zakrywające ścianę sypialni. Tkanka lepiała się do materiału i spływała na podłogę. Przerażony Mercer nie był w stanie zrozumieć, co widzi, ale zauważył wyrzuszenie tam, gdzie kawałki ciała uderzały w zasłonę.

Schylił się i okrążył łóżko. Kiedy wychudzony szaleniec zobaczył, że Mercer idzie w tamtą stronę, natychmiast się uspokoił. Geolog dotarł do zasłony i wsunął lufę pod fałdy. Materiał skrywał przejście.

– To o tym chciałeś mi powiedzieć? – zapytał na głos.

Mężczyzna na łóżku wyglądał, jakby nic do niego nie docierało.

Mercer sprawdził przejście. Drzwi w ścianie były otwarte. Ze środka wiała ciepła bryza, niosąc ostry zapach, jakby znajomy... zapach oleju maszynowego.

– Sykes! – Mercer użył systemu komunikacji. – Sykes, słyszysz mnie? – W głośniczkach rozlegały się jedynie trzaski. Zespół walczył najpierw w pierwszym pomieszczeniu, a kiedy odparł atak, pewnie rzucił się w pogoń za mnichami. Gruba skała blokowała sygnał radiowy. – Czy ktoś mnie słyszy?

Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy może przy drzwiach zostawili kogoś na czatach, ale kiedy tylko zrobił krok w tył, staruszek znów zaczął krzyczeć i orać ciało pazurami.

Mercer się zatrzymał.

– Spokojnie. Chciałem tylko coś sprawdzić.

Ruszył naprzód. Szaleniec cisnął w stronę ukrytych drzwi kawał mięsa wyrwany z tułowia i sięgnął do ramienia po następny.

– Dobrze już, dobrze. Rozumiem. Już tam wchodzę. – Kiedy tyłko się odwrócił, wariat znów się uspokoił, choć zapadnięta klatka piersiowa unosiła się i opadała jak skrzydła kolibra.

Tunel za sypialnią był znacznie węższy i niższy. Mercer musiał posuwać się na czworakach. Nie było w nim lamp, a latarka

przy karabinie rozbiła się w czasie walki. Rzuciła słaby promień, który nie rozpraszał ciemności.

Co dwadzieścia kroków Mercer zamierał i nasłuchiwał. Bardziej to wyczuwał, niż słyszał, ale gdzieś dalej musiała pracować jakaś wielka maszyna. Wrażenie to, wzmocnione zapachem oleju, zamieniło się prawie w pewność. Ciepłe powietrze było naelektryzowane.

W duchu modlił się, żeby wskazówki staruszka nie zaprowadziły go w ślepy zaułek.

Trzysta metrów dalej tunel się rozgałęział. Mercer zatrzymał się, wstrzymał oddech i powąchał powietrze, by ustalić, skąd pachnie olejem. Wyłączył też latarkę.

Tam! Po lewej dostrzegł słabiutkie światło w oddali. Bezgłośnie ruszył dalej. Poświata stawała się coraz mocniejsza, podobnie jak głośniejsze były odgłosy maszyny. Widział już koniec tunelu, który zmieniał się w szeroką komorę. Upadł na kolana i zaczął się czołgać po kamiennej posadzce. Starał się robić jak najmniej hałasu. W ręku trzymał gotowy do strzału karabin.

Zatrzymał się za łagodnym zakrętem. Rzeczywiście, znalazł się w komorze... a właściwie w podziemnej grocie, wysokiej na trzydzieści metrów, dłuższej i szerszej niż boisko piłkarskie. Zupełnie jakby stał w wejściu na podziemny stadion. Ale przedmiot, przez który prawie stanęło mu serce i przez dłuższą chwilę nie mógł nabrać tchu, znajdowało się dokładnie pośrodku komnaty.

Nigdy jeszcze nie widział niczego podobnego. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, by coś takiego w ogóle dało się zbudować.

Mercer znalazł Wyrocznię.

Komnata Wyroczni Klasztor Rinpoche-La

Atak przyszedł z prawej strony. Mordercze uderzenie, tak szybkie, że zdawało się rozszczępiać powietrze. Mercer odruchowo zasłonił się karabinem. Sześciokilogramowy młot trafił dokładnie w zamek broni i zmiażdżył mechanizm. Potężna siła uderzenia posłała Mercera na ziemię. Przeleciał półtora metra w tył i wylądował na plecach. Wykorzystał swój impet, żeby zrobić przewrót przez ramię, i niemal natychmiast stanął na nogach. Nie miał pojęcia, co się dzieje, ale w żyłach buzowała mu adrenalina.

W wejściu do tunelu stał Donny Randall i bawił się ciężkim młotem na długim trzonku. Mercer nie celował. Przycisnął tylko kolbę M-4 do biodra i pociągnął za spust.

Nic się nie stało.

Randall rzucił się do ataku.

Mercer uniósł karabin, żeby zablokować kolejny zamach. Siła, z jaką opadł młot, omal nie połamała mu rąk i pchnęła kilka kroków wstecz. Odrzucił uszkodzony karabin i, cofając się jeszcze kilka kroków, sięgnął po pistolet, który miał przy pasku. Za plecami Randalla widział błyszczącą Wyrocznię.

Donny znów zaatakował, kiedy Mercer wyciągnął berettę. Był poza zasięgiem młota, więc potężny mężczyzna cisnął nim jak oszczepem. Stalowa główka trafiła geologa w prawą rękę,

natychmiast pozbawiając go czucia w palcach. Pistolet wypadł z bezwładnej dłoni i zniknął w ciemności tunelu.

Randall wycofał się do komnaty z Wyrocznią. Mercer szukał po omacku zgubionego pistoletu, ale bez powodzenia. Żeby mieć jakąkolwiek broń, podniósł z posadzki młot Randalla. Konfrontacja z Trzonkiem bez żadnej broni byłaby głupotą. Tak uzbrojony padł na kolana i w ciemności dalej szukał po omacku pistoletu. Nie odrywał przy tym oczu od wejścia, czekając na powrót Randalla.

Kątem oka zauważył metalowy błysk, ale w tej samej chwili Donny stanął w progu. Odwrócił się i zobaczył nad sobą uniesiony kolejny młot. Padł na plecy i przeturlał się kawałek, żeby uniknąć uderzenia. Główka młota minęła jego twarz o centymetry i gruchnęła o ziemię, zasypując mu oczy skalnymi odłamkami. Mercer użył trzonka i uderzył napastnika w kość poniżej kolana. Donny stracił na chwilę równowagę i odskoczył, dzięki czemu Mercer mógł podnieść się z ziemi.

Nikt nie znał pochodzenia tańca z młotami. Zupełnie, jakby pojawiał się ot tak, wszędzie tam, gdzie gromadzili się twardzi i zahartowani pracą mężczyźni, w których płonął duch współzawodnictwa. Tak wyrównywali rachunki robotnicy pośród hałd w Pensylwanii i czarni w kopalniach złota w Johannesburgu. Mercer był świadkiem takiej walki na platformie wiertniczej na bagnach w delcie Nigru. Pracownicy stawiający pieniądze na swoich zawodników twierdzili, że to tam narodził się ten zwyczaj, ale geolog był przekonany, że tak naprawdę zwycięskie walki obstawiano już w starożytnym Egipcie, przy budowie piramid.

W tańcu z młotami nie było ustalonych zasad. A wyniku nie dało się kwestionować, bo zwycięzca żył, a przegrany nie. Choć kosztom zwycięstwa było zazwyczaj dożywotnie kalectwo.

– Chciałem z tobą zatańczyć już w Vegas. – Donny się zaśmiała, cofając się do komnaty, by mieć więcej miejsca. – Pozwolisz? Ja będę prowadził.

Mercer ścisnął trzonek swojego młota, badając jego wyważenie. Bał się, żeby Randall nie zobaczył w jego oczach strachu. Wiedział, że i tak nie znalazłby pistoletu, więc ruszył do środka. Wchodząc do gigantycznej jaskini z Wyrocznią, czuł się jak gladiator przestępujący bramę Koloseum.

Wyrocznia znajdowała się w samym centrum jaskini. Miała postać ogromnej kuli, sięgającej niemal skalnego sklepienia. Mercer szacował, że ma przynajmniej kilkanaście metrów średnicy. Pod kulą znajdował się ogrodzony podest z antycznymi biurkami i miękkimi otomanami. Podłogę pod meblami pokrywały dywany.

Farbowane włosy Randalla błyszcząły w świetle lamp podwieszonych na drewnianym rusztowaniu, otaczającym szczyt Wyroczni. Uśmiechał się, świdrując Mercera nieszczerym spojrzeniem. Był uważny i gotowy. Chciał walczyć. Był przekonany, że jest większy i silniejszy i że to daje mu przewagę. Znał się na rzeczy jak ktoś, kto nieraz był już w takiej sytuacji.

Miał na sobie luźny kombinezon i ciężkie buty ze stalowymi czubkami. Spod podwiniętych rękawów wyłaniały się umięśnione przedramiona o grubości piłki do futbolu amerykańskiego. W jego ogromnych dłoniach ciężki młot na ponadmetrowym

trzonku wyglądał jak zabawka. Randall był na tyle daleko, że trzymał go w jednej tylko dłoni, wysunięty przed siebie. Bez żadnego wysiłku, poruszając tylko nadgarstkiem, wyprostował go do pionu. Po tej przerażającej demonstracji siły Mercer miał tylko nadzieję, że nie widać było po nim, jakie zrobiła wrażenie.

– Mercer!

Krzyk rozległ się niedaleko Wyrocni. Światło odbijające się od jej błyszczącej powierzchni było tak jasne, że z trudem dostrzegł drobną postać u podstawy kuli. Ale rozpoznał jej głos. Tisa. Na pierwszy rzut oka nic jej nie było, ale siedziała przywiązana do krzesła. Mercer pomyślał, że tam właśnie archiwiści pracowali nad interpretacją przepowiedni Wyrocni, choć nie miał pojęcia, jak urządzenie działało.

W chwili kiedy przesunął wzrok w kierunku kobiety, Donny zaatakował, biorąc młotem potężny morderczy zamach. Mercer szybko odskoczył, ale nie spodziewał się, jak mało wysiłku będzie kosztowała Randalla zmiana kierunku ataku. Olbrzym płynnie ruszył w jego stronę. Żelazna głowica młota minęła jego klatkę piersiową, chybiając o kilka centymetrów. Gdyby nie krok w tył w ostatnim momencie, większość żeber miałby połamanych. Kiedy Donny uderzył ponownie, zdążył już unieść swój młot. Opadające narzędzie zatoczyło w powietrzu szerokie S i trzonki się spotkały. Rozległ się głośny trzask, Donny ruszył z impetem, a Mercer poleciał w tył.

Wielki mężczyzna stał pewnie na nogach i nie ruszał z miejsca. Nie wykorzystał przewagi, jaką właśnie zyskał. Chciał mieć z tej konfrontacji tyle, ile tylko się da. Chciał zabawić się prze-

ciwnikiem, aż w końcu będzie gotów zadać śmiertelny cios. Uśmiechnął się tak szeroko, że widać było dziurę po kilku zębach z boku górnej szczęki.

– Zrobiłeś się miękki przez ten szmal, który kosisz z za biurka. A miałeś być twardzielem.

Mercer nie podnosił się z ziemi. Chciał dać sobie trochę czasu, zanim wstanie, żeby Randall nie spodziewał się ataku. Skoczył w jego kierunku, biorąc zamach młotem od spodu z takiej odległości, żeby zmusić Donny'ego do odchylenia się na piętach.

Donny dalej stał w miejscu, a ciężkie żelazo minęło jego głowę. Mercer wykorzystał impet narzędzia, który pociągnął go naprzód, by w ostatniej chwili odwrócić się, uderzając przeciwnika w biodro. Donny sparował cios, a kiedy oba młoty się spotkały, rozległ się dźwięk pękniętego dzwonu.

Mercer odskoczył, bo nie mógł ryzykować zwania – z brutalną siłą Randalla nie miał szans. Trzonek ruszył za nim, biorąc szeroki zamach. Mercer niektórych uderzeń unikał, inne starał się blokować. Za każdym razem, kiedy młot Donny'ego dotykał jego, Mercer musiał się cofać. Chociaż uderzenia nie trafiały celu, i tak odnosiły skutek. Geologa bolały ramiona, a w dłoniach stracił czucie. Uchwyt trzonka osłabł. Donny Randall nie wyglądał za to nawet na zmęczonego. Brał zamach za zamachem, jakby jego młot był plastikową zabawką. Mercer dyszał ciężko, oddech Donny'ego był spokojny i równy. Walcząc, zbliżyli się do Wyroczni na pięćdziesiąt metrów.

Mercer dopiero z tej odległości dostrzegł, że jej powierzchnia nie jest gładka, jak sądził na początku. Pokrywała ją pomarszczona powłoka, wykonana albo z doskonale obrobionego i błyszczącego mosiądzu, albo z czystego złota. Była też znacznie większa, niż mu się wydawało. Musiał dodać jeszcze przynajmniej siedem metrów do jej średnicy. Mężczyźni krążyli wokół siebie, bez entuzjazmu markując co pewien czas ataki. Donny uniósł młot nad głowę i ruszył naprzód. Mercer przyjął uderzenie środkiem swojego młota i niemal upadł na kolana. Żelazne głownie się szczepiły.

Donny uniósł trzonek wysoko w górę, chcąc wyrwać Mercerowi broń z rąk, ale geolog jakimś cudem nie puścił drzewca. Kiedy głownie młotów odskoczyły od siebie, Mercer poleciał kilka metrów w tył. Tym razem Randall nie zamierzał czekać. Ruszył w jego kierunku, zadając ciosy raz z jednej, raz z drugiej strony. Mercer się cofał. Nie był w stanie blokować kolejnych uderzeń. Pozostawały mu uniki.

Uciekając tyłem, wpadł na stare biurko. Znalazł się pod Wyrocznią. Ledwie miał czas, żeby zauważyć, że fałdki i nierówności pokrywające błyszczącą powłokę Wyroczni odzwierciedlały góry i doliny... Wyrocznia była niezwykle szczegółowym odbiciem powierzchni Ziemi wykonanym w niewiarygodnej skali. Donny znów się zamachnął. Mercer wykonał przewrót przez ramię i skrył się za biurkiem. Uderzenie rozłupało stare drewno i ode-rwało kawał blatu. Zwoje pergaminu wystrzeliły w powietrze jak stado spłoszonych ptaków.

Randall machał młotem bez wysiłku. Poruszał się jak maszyna, odpędzając unoszące się zapiski. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Mercer, nie podnosząc się z ziemi, rozpaczliwie zamachnął się na kostkę Donny'ego – co wielkolud ledwie zauważył. Mercer wstał, wspierając się na zdemolowanym biurku.

Tisa siedziała niedaleko przywiązana do krzesła. Krzyknęła, kiedy kolejne uderzenie rozbiło biurko, a potem z przerażenia szeroko otworzyła oczy, bo Donny zrobił trzy szybkie kroki w jej stronę. Zatrzymał się tuż przy niej i oparł młot o jej zgięte kolano.

– Hej, Mercer, chcesz zobaczyć coś fajnego? – krzyknął i uniósł broń.

Mercer zerwał się na równe nogi. W pomieszczeniu było równie gorąco, jak w płonącym klasztorze. Ociekał potem, a mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

– Myślałem, że chcesz tańczyć ze mną – mówił zachrypniętym głosem. – Już za późno na zmianę partnerów.

– Nie martw się, to mi zajmie tylko sekundę. – Donny był okrutny, ale i przebiegły. Wiedział, że okaleczenie Tisy zmusi Mercera do obłądnego ataku. A przeciwnik ogarnięty wściekłością to łatwy przeciwnik.

Obserwował Mercera, podnosząc jednocześnie młot nad kolanem Tisy. Wystarczyło, by go puścił, a kości i stawy dziewczyny zamieniłyby się w krwawą miazgę.

Nagle z wnętrza Wyroczni dobiegło dzwonienie i jakiś mechanizm wysoko nad ich głowami zaczął tykać. Donny uniósł głowę. Tisa spojrzała na Mercera, a ten skoczył do ataku. Randall chwilę za późno zauważył ruch. Geologowi brakowało mocy, bo

nic mógł tracić czasu na zamach, i uderzył od dołu. Mimo to udało mu się trafić przeciwnika w brzuch. Kiedy młot wbił się w ciało, Donny zwinął się w kłębek i padł na plecy, wrywając Mercerowi trzonek z dłoni. Kiedy znieruchomiał, broń geologa wciąż sterczała z jego ciała.

Randall, zanim upadł, upuścił z bólu swój młot. Teraz Mercer schylił się, by go podnieść i dokończyć walkę. Przeciwnika spuścił z oczu tylko na ułamek sekundy, który był potrzebny, by złapać za drewniany trzonek. Donny poruszał się niewiarygodnie szybko; szybciej niż Mercer sobie wyobrażał. Uderzenie widać nie było aż tak mordercze, jak mogło się wydawać. Donny chwycił dłońmi młot przeciwnika, a w jego oczach widać było ból, nienawiść i zwierzęcą determinację. Mercer wyprostował się akurat na czas, by zauważyć atak. Cios trafił go w ramię i obrócił w powietrzu, odsłaniając niechronione plecy. Donny wiedział, że nie ma czasu na kolejny zamach, więc pchnął przeciwnika trzonkiem w kręgosłup.

Ból był tak potężny, że Mercer bał się, że drewniany trzonek przebije go na wylot i wyjdzie przez brzuch. Zawył i omal nie stracił przytomności, kiedy cierpienie rozlało się po całym ciele. Donny naciskał i obracał drewno, wbijając je coraz głębiej w ciało Mercera. W końcu czarny materiał się poddał, podobnie jak skóra pod nim. Jego własna krew zadziałała jak smar, pozwalając wrazić drewniane drzewce w ranę.

Powoli zaczynał tracić oddech. W końcu nogi się poddały i Mercer upadł na ziemię. Drewniany trzonek wysunął się z głębokiej rany z mokrym cmoknięciem. Odruchowo zaczął

się turlać, by znaleźć się jak najdalej od niebezpieczeństwa. Na posadzce pozostał czerwony ślad. Potem zerwał się na nogi i w ostatniej chwili uniósł swoją broń, by zablokować uderzenie. Przy każdym ataku cofał się o krok, płacąc kolejnymi krokami za czas, jakiego potrzebował, by ból choć trochę zelżał.

– Hm, to było niezłe – zachichotał Donny. – Ale czułbym się znacznie lepiej, gdybym wbił ci go w tyłek.

Mimo śmiertelnego bólu Mercer się uśmiechnął.

– Najpierw powinieneś kupić mi kwiaty albo postawić drinka.

– Za minutę zetrę ci młotkiem ten głupi uśmiezek z gęby i zmuszę do połknięcia własnych zębów. Potem będziesz mnie błagał, Mercer. Będziesz prosił, żebym pozwolił ci umrzeć. – Donny starł pot z brwi, rozmazując farbę do włosów po całym czole. – I co, dalej myślisz, że jesteś lepszy ode mnie?

Mercer rozejrzał się i zobaczył coś, co zainspirowało nowy plan.

– Tego nie wiem, ale na pewno mam lepszego fryzjera.

– Jesteś zerem. Ta cała kasa, te wszystkie opowieści, jaki to niby jesteś niesamowity... na nic ci się tu nie przyda. Tutaj jesteśmy tylko my, ja i ty. Myślisz, że doktorat ocali ci życie?

– Nie. Życie ocali mi fakt, że jesteś skończonym idiotą. Przyleciałem tu z pięćdziesięcioma komandosami z sił specjalnych. Kiedy ty opowiadasz bajki, jaki to jesteś super, oni przeczesują korytarze. Będą tutaj za dwie minuty.

Widać było, że Randall o tym nie pomyślał. Nieco zaskoczony zmarszczył brwi.

– W takim razie muszę cię zabić w minutę.

Za plecami Mercera znajdowały się żelazne schody, prowadzące spiralnie do rusztowania wokół górnej części Wyroczni. Zanim Randall dokończył ostatnią groźbę, Mercer już pędził w ich kierunku. Schody były wyjątkowo wąskie i tak ciasno zwinięte, że nie mógł przeskakiwać więcej niż po dwa stopnie. Ażurowa konstrukcja zatrzęsała się, kiedy Donny dopadł poręczy i ruszył za nim.

Obaj byli coraz wyżej i wyżej. W połowie drogi na szczyt Wyrocznia znalazła się tak blisko, że można było jej dotknąć. Mercer niemal stanął, kiedy spojrzał z tej odległości na tajemniczą maszynę. Wyrocznia była zbiorem gigantycznych mechanizmów przypominających mechanizm zegarka. Małe kółka zębate i przeciwwagi wypełniały jej powierzchnię. Przez otwory w powłoce widział środek. Dostrzegł cały rząd dziwacznych tłoków, sprężyn i kółek napędzających mechanizmy na zewnątrz. Niektóre elementy wewnątrz miały ponad sześć metrów średnicy i lśniły, jakby powstały w nowoczesnej fabryce.

Stąd pochodziły przepowiednie. Wyrocznia była modelem płyt tektonicznych Ziemi, potężnych płyt skalnych, unoszących się na płynnym jądrze planety. Budowniczości maszyny w jakiś sposób wiedzieli o ich istnieniu, znali się na tektonice płyt długo, zanim zajęła się nimi zachodnia nauka. Tisa twierdziła, że plany maszyny miały setki lat, kiedy trafiły do Chin, a to było przecież pół tysiąca lat temu! Więc projektanci musieli wcześniej przez wiele pokoleń obserwować ruchy Ziemi, badać, jaki mają wpływ na poszczególne regiony i całe kontynenty, aż w końcu

wymyślili maszynę zdolną trafnie przewidywać geologiczną przyszłość.

Mijając równik, rzucił okiem na Hawaje. Wyspy miały kształt ostrych stożków wystających z dość płaskiego dna oceanu. Z centralnej sterczał niewielki cylinder z rtęcią. To musi być Kilau-ea, pomyślał Mercer. Wulkan na Mauna Loa od lat nie przestawał wyrzucać z siebie lawy. Rtęć w pojemniku odpowiadała ilości płynnej magmy wypływającej z wnętrza Ziemi przez określony czas. Niedaleko umieszczono kolejne, ale mniejsze naczynie z rtęcią. To musiała być Loihi, najmłodsza wyspa Hawajów. Mercer wiedział, że szczyt tego wulkanu jeszcze nie dotarł do powierzchni oceanu. Mechanicy musieli posiadać wiedzę, jak dodawać do Wyrocni kolejne fragmenty Ziemi, bo przecież wciąż dokonywano nowych odkryć.

Przyspieszył. Wspiął się wzdłuż pacyficznej części kuli. Wzrokiem znalazł Aleuty i Cieśninę Beringa. Dostrzegł doliny przecinające Alaskę w poprzek. Znacznie drobniejsze mechanizmy utrzymywały miniatury płyt tektonicznych razem, ale w przypadku silnych trzęsień ziemi pozwalały im na przemieszczanie się względem siebie.

Mercer dotarł na szczyt, wyprzedzając Donny'ego o przynajmniej jedno piętro. Balkon wokół wierzchołka Wyrocni nie był tak szeroki, jak się spodziewał, a drewniana konstrukcja była stara i miejscami przegniła od wody, która kapiała tu i tam ze sklepienia jaskini. Kiedy wbiegał, postanowił, że przy szczytce schodów poczeka na Randalla i zaatakuje go, kiedy tylko ten wystawi głowę. Okazało się jednak, że na podejście nie ma dość

miejsca, żeby się zatrzymać, nie mówiąc już o zamachu młotem. Pomost biegł wzdłuż skał, a z drugiej ograniczała go wysoka, ale chybotliwa barierka, za którą znajdowała się Wyrocznia. Refleksy odbijające się od wypolerowanej powierzchni kuli były oślepiające.

Donny dotarł do ostatniego zakrętu schodów. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości od podestu, a kiedy przekonał się, że nie ma tam miejsca, by Mercer go zaatakował, zadowolony z siebie dokończył wspinaczkę.

– Będą tu za dwie minuty, co? – Był nieco zdyszany po przebiegnięciu sześciu pięter.

– Do licznych zalet mojego charakteru dolicz optymizm – zauważył Mercer. Stał w bezpiecznej odległości od Donny'ego, starając się zyskać na czasie, żeby obmyślić plan.

Poniżej kładki widać było mechanizm Wyroczni, bo do konserwacji i naprawy zdjęto z niej płyty zwykle przykrywające Morze Arktyczne. Każde spojrzenie w dół przywoływało na myśl wnętrzości jakiegoś mechanicznego potwora. Masywne koła zębate obracały się powoli w samym sercu Wyroczni, napędzając kolejne, coraz mniejsze elementy, które odwzorowywały potężne przemieszczenia energii za pomocą delikatnych drgań skomplikowanych mechanizmów na powierzchni kuli. Każdy z nich napędzał model płyty tektonicznej i pozwalał na jej niewielkie ruchy wzdłuż uskoków i granic. Sam środek przypominał powiększony tysiąckrotnie antyczny zegarek.

Donny ruszył przed siebie, leniwie kołysząc młotkiem. Mercer nie dał się zwieść. Wystarczyła drobna korekta ruchu i Ran-

dall był gotów wziąć zamach znacznie szybciej niż on. Mercer wciął się cofał, nie spuszczać oczu z przeciwnika i Wyroczni.

Randall nagle skoczył w jego kierunku, zmniejszając dzielący ich dystans o połowę, i raz za razem rąbał młotem. Kiedy stalowa głowa trafiała w skalną ścianę, w powietrze wylatywały okruchy i pył; kiedy w drewnianą barierkę – drzazgi. Mercer do ataku wybrał moment, gdy Donny kończył swoje uderzenie i przez chwilę miał całkowicie wyprostowane ramię. Rzucił się naprzód, pchając młot na wprost, bo nie miał miejsca ani czasu, żeby wziąć porządny zamach. Chociaż brakowało mu mocy przeciwnika, trafił. Donny ryknął i opuścił młot, ale kiedy Mercer chciał uderzyć po raz drugi, tamten był już przygotowany. Odepchnął opadający młot na bok i runął do przodu, dźgając go łokciem w zębra.

Mercer padł. Randall spróbował roztrzaskać mu głowę nogą, ale geolog zdążył się przeturlać w bok. Donny włożył w to tyle siły, że stare drewno wręcz eksplodowało pod butem. Mercer jeszcze raz musiał się przeturlać, żeby uniknąć kolejnego uderzenia młotem. Nie mógł przeszkodzić Randallowi w oswobodzeniu nogi, która po kostkę tkwiła w połamanym chodniku.

Walczyli, przesuwając się po pomoście na rusztowaniu. Oba młoty z furją przecinały powietrze, a odgłosy bitwy odbijały się echem od ścian jaskini. Ale żaden nie mógł zdobyć przewagi. Mercer był szybszy niż Randall, ale kilka uderzeń, które sięgnęły celu, nie robiło na potężnym mężczyźnie wrażenia. Po każdym ciosie wściekał się i rosła jego determinacja. Donny wydawał

się niezniszczalny. A Mercer starał się, bo miał świadomość, że jeden błąd może go kosztować przegraną.

Po krótkim czasie połowa barierek była zniszczona, zarówno porozbijane, a pozrywane przewody zasilające kołysały się swobodnie i wyrzucały w powietrze snopy iskier.

Mercer słabł. Rana na plecach paliła, jakby pod skórą miał rozpalony do czerwoności węgiel. Wiedział, że albo szybko zakończy walkę, albo Donny dostanie to, czego chciał. Kiedy o tym pomyślał, Randall wziął solidny zamach. Mercer przykucnął, uniknął uderzenia i skoczył, uderzając całym ciężarem ciała w klatkę przeciwnika. Razem wyrznęli w kamienną ścianę, a impet wystarczył, by Randall ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Mercer rozluźnił chwyt, pozwalając, by stalowy łeb młota oparł mu się o palce i wykorzystał go jako przedłużenie pięści, waląc raz za razem Donny'ego w brzuch, żeby uniemożliwić mu oddychanie.

Ogłuszony gwałtownym natarciem Randall stał nieruchomo i przez pierwszych pięć uderzeń w ogóle nie reagował. Potem ryknął wściekle i odepchnął drobniejszego napastnika, niemal wyrzucając go za krawędź pomostu. Pokręcił głową, skoczył za nim i wzniosł młot. Uderzenie zniszczyło barierkę do końca. Cały fragment poręczy przechylił się i runął na podłogę grotty. Mercer w ostatniej chwili wturlał się na podest.

Randall oparł się ręką o ścianę i przygotował do ataku, ale Mercer znów był szybszy. Uderzył młotem w dłoń, miażdżąc w niej wszystkie kości, ale i to nie powstrzymało Randalla. Mężczyzna uniósł młot zdrową lewą dłonią i wziął zamach.

Uderzenie trafiło Mercera pod ramię. Na szczęście jedną ręką nie mógł zaatakować pod takim kątem, żeby połamać mu żebra, niemniej odrzucił go na bok i ogłuszył. Randall rzucił się, by dokończyć dzieła. Młot trzymał pewnie lewą ręką, podczas gdy prawa wisiała bezwładnie. Ból i zapalczywość uniemożliwiły mu racjonalne myślenie: atakował na oślep, tocząc pianę przy każdym oddechu.

Patrząc na jego furię, można było odnieść wrażenie, że poprzednich piętnaście minut dla Randalla znaczyło tyle, co zabawa, preludium chwili, w której będzie gotów zabić. Mordercze uderzenia spadały z mocą rozrywającą deski i wyrzucającą w powietrze okruchy skalnej ściany. Z czoła szaleńca kapał pot zabarwiony na czarno.

Mercer z trudem nadązał z cofaniem. Nie odważył się blokadować uderzeń Randalla, bo wiedział, że nie utrzymałby w rękach młota. Cofał się, wiedząc, że jest coraz bliżej schodów. Gdyby jednak odwrócił się i chciał do nich dobiec, Donny dopadłby go w jednej sekundzie. Pozostała mu tylko jedna możliwość i bez wahania z niej skorzystał.

Poręcz miała metr dwadzieścia, ale tuż za Mercerem był fragment, nie dość, że przegniły, to dodatkowo uszkodzony w trakcie walki. W chwili, kiedy znalazł się na jego wysokości, zeskoczył z pomostu.

Upadek z wysokości trzech metrów nie byłby niebezpieczny, gdyby nie został wcześniej ranny i poobijany. Twardo uderzył o mechaniczny model, niemal gubiąc młot w jednym z otworów.

Odwrócił się na plecy, żeby zobaczyć, jak Donny zeskakuje za nim.

Randall wylądował kilka metrów dalej i, żeby nie stracić równowagi, podparł się zmiążdżoną dłonią. Wrzasnął, kiedy ostre kawałki kości wyszły przez skórę, zalewając dłoń krwią. Mercer wstał i, starając utrzymać się na śliskiej powierzchni, zahaczył butem o kilkunastocentymetrowy wypust, który okazał się najbardziej wysuniętym na północ pasmem górskim Alaski. Randall trzymał dłoń w górze. Mercer wycelował... Uderzenie nie potrzebowało mocy, tylko precyzji.

Stalowa głownia trafiła dokładnie w nadgarstek uniesionej ręki. Pęknięta kość w przedramieniu zamieniła się w pył. Siły w uderzeniu wystarczyły, by pozrywać ścięgna i rozerwać skórę, dzięki której dłoń trzymała się ciała. Teraz, oderwana, odpadła. Z potwornej rany buchnęła krew.

– To za... – Mercer przerwał, bo nie mógł sobie przypomnieć nazwiska górnika, którego zabił podłożony przez Randalla ładunek w kopalni DS-Dwa. – A niech to szlag, Donny, to za to, że jesteś pierdolonym skurwysynem.

Randall nie miał jak się bronić, więc następne uderzenie cały impet przekazało prosto do jego ciała. Młot trafił w klatkę piersiową z taką siłą, że złamał mostek. Donny zakotłosał się, ale nie upadł.

Odwrócił się, trzymając okaleczoną rękę w górze. Zrobił się siny, bo nie mógł nabrać oddechu. W końcu pośliznął się na własnej krwi, która rozlała się po Wyroczni. Wylądował na boku i zaczął się zsuwać. Kiedy zorientował się, co mu grozi,

zaczął szukać punktu podparcia, żeby nie spaść ze złotej kuli. Przewrócił się na plecy i rozpaczliwie kopał nogą. Udało mu się zatrzymać, bo butem zahaczył o krawędź jednej z płyt na powierzchni globu.

Kiedy spróbował stanąć, stopa omsknęła mu się do środka i utkwiała w mechanizmie.

Mercer był prawie dwa metry wyżej, więc nie widział, co dzieje się wewnątrz maszyny. Nagle puste spojrzenie Randalla wypełniło się panicznym strachem. Spróbował uwolnić stopę z pułapki. Przewrócił się tylko na plecy i jeszcze głębiej wsunął do środka. W końcu Mercer usłyszał wyraźnie, jak z głośnym trzaskiem pęka mu kolano. Wewnątrz Wyroczeni stopa Randalla tkwiła między dwoma kołami przekładni, mniejszym i znacznie wolniejszym, większym. Każdy ruch koła zamachowego powodował obrócenie się trybów o kolejny ząb i wciągnięcie Donny'ego głębiej w maszynię.

W jakiś sposób Randallowi znów udało się wyprostować. Jego krzyki zagłuszyły wszystkie inne dźwięki. Cała jaskinia drżała i dudniła przeraźliwymi rykami człowieka w bolesnej agonii. Mercerowi wcale nie sprawiało przyjemności oglądanie tego, co działo się z jego przeciwnikiem. Mimo to nie odwrócił wzroku. Nie odrywał spojrzenia od Donny'ego Randalla, kiedy nieczuły mechanizm Wyroczeni miażdżył mu nogę i wciągał coraz głębiej.

Kiedy Randall stracił prawie całą nogę, nie mógł dłużej utrzymać się prosto. Spadł z brzegu płyty do wnętrza i cały dostał się w tryby. Krzyczał jeszcze kilka sekund, zjadany żywcem

przez stalowe zęby. Najpierw Wyrocznia wyrwała mu wszystkie kończyny, by po chwili skonsumować resztę ciała. Gdzieś wewnątrz mechanizmu odpadła mu głowa i potoczyła się głębiej, by po chwili wpaść między dwa koła zębate i pęknąć jak arbuz.

– Tego chyba nie brałeś pod uwagę – powiedział Mercer, przesuając się, by znaleźć drogę z powrotem. Kiedy dotarł do drabiny, którą mógł dostać się na rusztowanie, maszyna się zatrzęsła. Wibracje rozchodziły się z jej wnętrza, jakby jedno z kół zamachowych straciło przeciwwagę i kręciło się niewyważone. Coś zgrzytnęło i odpadło. Z bezimiennego wulkanu na Kamczatce wystrzelił strumień rtęci.

– Mercer? ! – krzyknęła Tisa gdzieś z dołu. Jej głos niemal ginął w zgrzytach i jękach zniszczonego mechanizmu. – Co się dzieje?

Spadając, Randall uszkodził część mechanizmów, które teraz zaczynały niszczyć pozostałe. Z wnętrza Wyroczni wystrzelił tłok, wybijając potężną dziurę w złotej powłoce i wyrzucając na zewnątrz mnóstwo drobnych części. Mercer oburącz złapał drabinę i wspiął się na szczeble w chwili, kiedy przez szczyt Wyroczni wyskoczyło wielkie koło zębate, rozdierając powłoki i sypiąc wokół odłamkami.

Napędzany energią geotermalną mechanizm, nawet uszkodzony, nie mógł przestać pracować i z każdym kolejnym ruchem miał sam siebie. Wyrocznia zapadała się do wewnątrz, a że każda jej część i każdy mniejszy mechanizm były ze sobą połączone, drobna usterka jednego elementu przenosiła się w zaskakującym tempie na pozostałe. Potężna bryła Afryki oderwała

się z ramy, do której były przymocowane wszystkie kontynenty, i runęła na kamienną podłogę jaskini.

Usiłując złapać równowagę na kołyszącym się rusztowaniu, Mercer uświadomił sobie, że Tisa siedzi związana tuż pod Wyrocznią. A maszyna mogła w każdej chwili zapaść się i pogrzebać ją żywcem. Ruszył naprzód, by jak najszybciej dotrzeć do schodów. Biegając, unikał iskrzących przewodów i płomieni, bo część drewnianego podestu zajęła się od nich ogniem. Dotarł do spiralnych schodów i rzucił się w dół, nie bacząc na kołysanie. W pewnym momencie trafiła go rtęć wystrzelona z któregoś z hawajskich wulkanów. Trochę rakotwórczego metalu musiało dostać się do jego głębokich ran.

Pięć metrów nad ziemią usłyszał jakieś krzyki, głośniejsze niż hałas maszyny. Nie pomyślał, że do jaskini mogą dostać się inni członkowie Zakonu. Nie miał broni innej niż zaskoczenie, ale to nie mogło dać mu przewagi. Kiedy ochłonął, będzie równie niebezpieczny jak bezzębny basset Harry'ego.

– Hej, Śnieżka, jesteś tu? – Nie, musiał się przesłyszeć, bo niczego nie pragnął tak bardzo, jak obecności Sykesa. – Śnieżka, odezwij się! A jednak to była prawda. Przypomniał sobie o radiu ze słuchawką.

– Sykes, to ty? Gdzie jesteś?

– W jakiejś jaskini z wielkim złotym modelem Ziemi, który trzęsie się, jakby miał się zaraz rozpaść.

Mercerowi ulżyło. Ludzie na dole nie byli fanatycznymi mnichami. To Sykes i jego komandosi znaleźli drogę do komory z Wyrocznią. Zeskoczył z ostatniego stopnia. Powierzchnia

pokrywająca wielką kulę nad jego głową była pogięta, bo mechanizmy niszczyły się nawzajem. Sykes stał niedaleko, osłaniając Gburka i Śmieszka, którzy walczyli z więzami Tisy.

Mercer minął ich i niemal padł na ziemię, kiedy Tisa, uwolniona z więzów, skoczyła mu na szyję. Mieszały się ich łzy na policzkach, a usta połączyły w gorącym pocałunku. Tisa była zmęczona i chwiała się na nogach. Miała smutny i wyczerpany wzrok. Od kilku dni nie wolno jej było się kąpać, a włosy zamieniły się w matowe kołtuny. Mercer nie dbał o to. Żyła i tylko to się liczyło.

– Wiedziałam, że mnie nie zostawisz – powiedziała. – Nie miałam pojęcia, jak mnie uwolnisz, ale ani przez chwilę w to nie wątpiłam.

– Zapomniałaś mi dać swój numer telefonu. Jak inaczej mogłem cię zaprosić na kolejną randkę?

– Mercer – przerwał im Sykes. – Musimy ruszać.

Nie mógł oderwać się od Tisy, więc kiedy szli w stronę wyjścia, trzymał ją za rękę.

– Jak sytuacja?

– Poważna, chyba że panna Nguyen wie, jak się stąd wydostać. Zapędziliśmy pozostałych w ślepe zaułki. Nie stanowią już zagrożenia, ale mamy większy problem. Nie ma stąd chyba wyjścia poza tym, którym się tu dostaliśmy.

– A to jest zablokowane przez płonący klasztor na górze.

– Zna pani drogę?

– Tak, jest jeszcze jedno wyjście. Kiedyś z niego korzystałam. Jako dzieci zakradaliśmy się z bratem do Wyroczni. Ale najpierw muszę na chwilę pójść do lamy.

– To ten staruszek w pokoju z tajnym przejściem? – zapytał Mercer.

– Tak – z jej głosu zniknęła radość, ustępując miejsce żalowi.
– Muszę go uratować.

Mercer spojrział na Sykesa, a ten dał znak głową, że się zgadza. Komandosi nie zamierzali jej przeszkadzać.

Trzech żołnierzy Delta Force poprowadziła Tisę i Mercera z powrotem do sypialni lamy. Geolog chciał iść z nią z przodu, ale coś go powstrzymało. Cofnął się do pozostałych.

– Żaden z was nie ma plecaka. Co się stało?

– Zauważyłeś? Nieźle. – Sykes wpakował do ust zwój tytoniu.

– Straciliście telefony satelitarne. – To nie było już pytanie.

– Aha. Sprzęt Gburka trafiła jakaś kula i rozwalila go w drobny mak, Śmieszek zniszczył swój, jak przewrócił się na plecy, a mój został na górze, razem z twoim. Nie ma co po nie wracać, bo pewnie została po nich kałuża roztopionego plastiku.

– Co z pozostałymi?

– Zmasakrowane tak jak moi ludzie. Skurwiele wpędzili nas na miny.

– Przykro mi. – Mercer nie mógł znaleźć właściwych słów. Bez telefonów nie mógł przekazać informacji od Tisy admirałowi Lasko.

Dotarli do zasłony, za którą znajdowało się tajne wejście do tunelu. Tisa pierwsza wbiegła do środka i skierowała się prosto

do łóżka. Lama się nie ruszał. Leżał, do pasa przykryty kocem. Pod koniec życia odebrano mu godność, lecz w obliczu śmierci nie można mu było jej odmówić.

Tisa uklękła obok i pochwyciła drobną, wychudzoną dłoń. Jej twarz ginęła pod rozpuszczonymi włosami, ale drżenie ciała świadczyło o głębokim szlochu. Mercer uklękł obok niej, czekając, aż powie to, co miała do powiedzenia.

– Był tak dobry... – wychrypiała. – Nie uznawał przemocy. Gdyby tylko znał skalę katastrofy, jaka się zbliża, na pewno chciałby, żebyśmy ostrzegli świat. Ludzie umierają każdego dnia. Tacy jesteśmy. Zawsze twierdził, że to normalne i nie powinniśmy mówić, co wiemy. Ale jestem pewna, że tym razem zmieniłby zdanie. Ostrzegłby was. Na pewno.

– Był waszym przywódcą duchowym?

– Nie tylko. – Łzy spływały po jej policzkach. – Był też moim ojcem. – W jej głosie pojawiła się gorycz. – To Luc wszystko zniszczył. Chciał, żeby Zakon stał się potężną siłą na świecie. Żeby dzięki naszej wiedzy stał się autonomicznym supermocarstwem.

Spojrzała na Mercera.

– Tak mi przykro, że cię w to wplątałam.

– Dlaczego?

– Bo już nic nie zmienimy. Nie zatrzymasz tego, co ma się wydarzyć. Luc miał rację. Ziemi nie da się zmienić.

– To nieprawda. Przyszłości nie ustala Wyrocznia, Tisa. Przyszłość tworzą ludzie tacy jak ty i ja. Tacy, którzy wierzą,

że można się zmieniać na lepsze. Ile czasu nam zostało? Kiedy eksploduje wulkan na La Palma?

Mercer potrzebował roku. Gdyby miał dwanaście miesięcy, jego plan mógłby się powieść. Mógłby ustabilizować skałę i zapobiec katastrofalnemu osunięciu. Tisa nie odpowiedziała od razu, ale na wszelki wypadek zmniejszył swoje oczekiwania o połowę.

Jeśli dostanie sześć miesięcy, też mu się uda. Będzie na granicy, może część skały wpadnie do wody, ale nie tyle, żeby fala miała tak katastrofalne skutki. W ciągu sześciu miesięcy pracy uda mu się ocalić miliony ludzi zamieszkujących wybrzeża Ameryki i Europy, choć zniszczenia bez wątpienia będą kosztować miliardy dolarów.

Daj mi sześć miesięcy, proszę, myślał, czekając na odpowiedź.

– Pięć tygodni – szepnęła Tisa.

Mercer zamarł. Pięć tygodni? To niemożliwe... Tisa musiała się pomylić. Przecież od początku mówiła, że ostrzega go, żeby mieli dość czasu, by uratować ludzi... Pięć tygodni było równie nieprzydatne, jak pięć minut. Równie dużo udałoby mu się zrobić, gdyby wulkan miał eksplodować za pięć sekund.

Mercer klęczał jeszcze przez chwilę przy łóżku, a potem opadł na Tisę. Największa klęska naturalna w dziejach ludzkości miała się wydarzyć za kilka tygodni, a on nie miał już siły, żeby walczyć. Jego puste spojrzenie ją przeraziło. Złapała go za rękę.

– To dość czasu, prawda? Można jeszcze ewakuować wyspy ostrzec ludzi na wybrzeżach?

Mercer przesunął dłonią po włosach. Miał szorstką skórę, zasypaną jakimś pyłem. Poczul mdłości. Przełknął wodnistą

ślinę, która zbierała mu się w ustach. Spojrzał Tisie w oczy. Oprócz strachu, który wzbudził swoją reakcją, dostrzegł też błysk dumy, że potrafiła przeciwstawić się Zakonowi i ostrzec świat przed niebezpieczeństwem. Nigdy nie myślała, co będzie potem, jak już świat się dowie, że La Palma wybuchnie. Zakon miał taki wpływ na jej życie, że nie wybiegała nigdy dalej, nigdy poza wyjawienie tego sekretu. Wyzwoliła się spod jego wpływu tylko po to, żeby trafić w wieczne okowy poczucia winy, z których nigdy się nie uwolni.

Jeszcze zanim przemówił, wiedziała. Zaczęła się trząść. Mercer poświęciłby wszystko, nawet swoje życie, żeby tylko uchronić ją przed wiadomością, że jej wysiłek i czyn nie są nic warte.

– Kiedy wulkan wybuchnie, część wyspy wpadnie do oceanu. Fala, która powstanie, przebędzie cały Atlantyk, niszcząc większość Europy Południowej i całe Wschodnie Wybrzeże USA. To tereny, na których mieszka ponad sto milionów ludzi. Nie da się ich ewakuować, bo niema miejsca, żeby ich wszystkich przenieść. A nawet jeśli jakoś opuściliby wybrzeże, nie mieliby do czego wracać. Pozostaliby wiecznymi uchodźcami. Nikt nie mógłby zapewnić im schronienia i żywności. Zamiast zginąć w katastrofie, umieraliby powoli, nękania chorobami, głodem i załamaniem się porządku społecznego.

Tisa nie mogła uspokoić oddechu. Pogłaskał ją po głowie.

– O wybuchu dowiedziałaś się dopiero kilka miesięcy temu, prawda? – Kobieta potaknęła i chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła. – Ale nawet tych kilka tygodni więcej niczego by nie

zmieniło. Plan, który miałby jakiejkolwiek szanse powodzenia, potrzebuje przynajmniej roku na realizację. Parę tygodni nie robi żadnej różnicy. Nie możesz się winić za to, że nie wiedziałaś o katastrofie wcześniej. Ale pewnie i tak będziesz. Jesteśmy bardzo do siebie podobni.

Sykes dał Mercerowi i Tisie kilka minut w samotności, ale uznał, że to musi wystarczyć. Chrząknął głośno, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Wybaczcie, ale musimy uciekać. Wciąż nie wiemy, jak przekazać pani wiadomości do admirała.

– To już bez znaczenia – powiedziała słabo.

– Słucham? !

Mercer wstał z podłogi i podszedł do Sykesa, który stał ze swoimi ludźmi przy ukrytym przejściu.

– Mamy tylko pięć tygodni.

– Co? Chryste! Dwa tygodnie zajmie nam opuszczenie tej doliny!

– Wiem.

Sykes myślał przez minutę.

– Mam rozkaz, by dostarczyć tę wiadomość do admirała Lasko. I nie ma dla mnie znaczenia, jaka ona jest. Pięć tygodni czy pięć minut. Muszę wypełnić rozkaz. – Odślonił tarczę zegarka ukrytego pod materiałem na rzepach. – Czwarta. Wychodzimy na powierzchnię, tam robimy kilka godzin odpoczynku i ruszamy w stronę Nepalu. Mam wrażenie, że to miejsce nie jest już tak sekretne, jak dotąd, i lada chwila pojawią się tu Chińczycy. Mercer potaknął.

– Nieważne, jak nam pójdzie z masową ewakuacją, nie mamy innego wyjścia. Musimy dać Irze każdą sekundę, jaką uda nam się oszczędzić. Może powinniśmy się rozdzielić? Nie jestem w formie, żeby chodzić po Himalajach. Rana w plecach nie jest taka groźna, ale boli jak cholera. Będę was spowalniał.

– To nie jest dobry pomysł.

– Booker, każda dodatkowa minuta dla admirała Lasko oznacza tysiąc więcej ocalonych od śmierci. Ja bym was tylko hamował.

Sykes milczał, ale wiedział, że Mercer ma rację. Jego ludzie, chociaż wyczerpani przez walkę, byli w doskonałej kondycji fizycznej. Mogliby opuścić Chiny dwa razy szybciej, gdyby nie musieli martwić się o Mercera.

– A co z wami?

– Myślę, że Tisa powinna pójść z wami. Może uda mi się ją przekonać. Kiedy tylko będę w stanie, pójdę za wami.

– A jeśli Chińczycy się połapią, zanim będziesz gotów?

– Muszę zaryzykować. Sykes się roześmiał.

– Wciąż cię nie rozgryzłem. Nie wiem, czy jesteś odważny, czy niespełna rozumu.

– Czasem trudno wyznaczyć granicę.

– Święte słowa.

Mercer odwrócił się i ukląkł obok Tisy. Kiedy się schylał, otwierająca się rana promieniowała straszliwym bólem. Krew spływała po skórze i kapała za spodnie.

– Kapitan Sykes i reszta jego oddziału niedługo ruszają w kierunku granicy. Beze mnie będą o wiele szybsi. Chciał-

bym, żebyś poszł z nimi. Znasz te góry. Przydasz się im jako przewodnik.

Pociągnęła nosem.

– Nie zostawię cię. Mogę porozmawiać z ludźmi z wioski. Ktoś ich na pewno zaprowadzi do Nepalu. A ja zostanę z tobą i ruszymy, kiedy wydobrzejesz.

– Tisa, ja...

– To nie jest dyskusja, więc mnie nie przekonasz. Nie próbuj się spierać. Zostaję z tobą i koniec.

– Jest duże prawdopodobieństwo, że Chińczycy znajdą Rinpoche-La. Ogień i dym mogły zostać zauważone przez helikoptery patrolowe.

– Mercer, zapominasz, że ja się tu wychowałam. Znam wszystkie kryjówki. Jeśli przyjdą, będziesz bezpieczny.

Tak jak Sykes wiedział, że pozostawienie Mercera jest rozsądną decyzją, tak teraz on wiedział, że Tisa ma rację.

– Jesteś niesamowita. Wiedziałaś o tym?

– Ty też. – Dotknęła jego twarzy. – Zapytasz kapitana Sykesa, czy któryś z jego ludzi mógłby pomóc wynieść stąd mojego ojca? Chciałabym go godnie pochować.

Mercer chciał zgłosić się na ochotnika, ale nie byłby w stanie jej pomóc, nawet jeśli lama nie ważył więcej niż czterdzieści pięć kilogramów.

– Jestem pewien, że odbierze to jako zaszczyt.

Sykes szedł przodem i sprawdzał drogę, kiedy wracali do sali z Wyrocznią. Cały czas istniało niebezpieczeństwo, że gdzieś czają się niedobitki uzbrojonych wrogów. Po Wyroczni po-

zostało tylko wspomnienie. Zewnętrzna powłoka zapadła się w kilkunastu miejscach, sprawiając, że maszyna nie przypominała już Ziemi, tylko rozbite jajko. Mechanizmy poskręcały się i zdeformowały, a rury, którymi płynęła napędzająca urządzenie para wodna, popękały. Białe obłoki wypełniały szybko całą komnatę. Skroplona woda ściekała po ścianach, a temperatura wzrosła o kilkanaście stopni. Potężna grota powoli zamieniała się w saunę.

Tisa zatrzymała się u stóp zniszczonej maszyny.

– Dobrze – powiedziała po chwili. – Dobrze, że już jej nie ma.

– Rozumiem, co czujesz – zgodził się z nią Mercer. – Pokusa, by wykorzystać władzę do własnych celów, była zbyt wielka. Zakon nie potrafił się jej oprzeć.

Tajemne wyjście z labiryntu, które kiedyś odkryła Tisa, znajdowało się po drugiej stronie pomieszczenia. Minęło czterdzieści minut, zanim je znaleźli, a potem kolejne dwie godziny błąkali się po meandrujących tunelach. Tisa nie pamiętała dokładnej drogi na powierzchnię, więc co rusz trafiali na ślełą odnogę.

Wyjście na zewnątrz znajdowało się na szczycie stromego zbocza, w połowie drogi między wioską a klasztorem. Słońce dopiero wstało, ale do dna doliny docierała ledwie jaśniejsza poświata. Lodowate powietrze mieszało się z ciężkim zapachem spalonego drewna. Z budynków klasztornych pozostały zgliszczka; kilka niedopalonych belek i kilkunastometrowa góra śmieci.

Wioska składała się z około dwustu chatek ustawionych wokół centralnego placu. Pośród zabudowań panował ruch – ludzie się pakowali, jakby gdzieś wyruszali. Widać doskonale rozumieli,

że dym musiał zwrócić uwagę Chińczyków. Proste i spokojne życie osady wspierającej mnichów w klasztorze dobiegło końca. Kilkanaście drewnianych domów płonęło. Mieszkańcy nie chcieli pozostawiać chińskiej armii absolutnie niczego.

– Ludzie będą lojalni wobec twojego ojca czy brata? – zapytał Mercer.

Tisa układała ciało swojego ojca, żeby było gotowe, kiedy po nie wróca.

– Dla nich liczył się tylko lama. Wątpię, żeby w ogóle wiedzieli, że Luc usiłował przejąć władzę nad Zakonem.

– Pomogą nam?

– Tak sądzę.

Sykes spojrział na swoich ludzi, a potem kazał im mieć broń w pogotowiu, kiedy zejdą na dno doliny.

Byli w połowie drogi, kiedy ponurą ciszę poranka zakłócił jakiś dźwięk. Wąska dolina pomogła chińskim helikopterom zbliżyć się do samej krawędzi, zanim hałas silników dotarł do jej dna. Nad wioską pojawiły się dwa rosyjskie śmigłowce szturmowe typu Hind-D i francuski aerospecial gazelle w cywilnych barwach. Mimo że było już je słyszać i widać, wciąż miały tak daleko do ziemi, że wyglądały jak ważki na niebie.

Mercer i pozostali znaleźli się na otwartej przestrzeni. Najbliższe miejsce, gdzie mogliby znaleźć osłonę, było ponad sto metrów dalej. Tymczasem jeden z bojowych śmigłowców leciał wprost na nich. Pozostałe obniżyły lot, gotowe do użycia podwieszonych wyrzutni rakiet i karabinów maszynowych.

Komandosi padli płasko na ziemię już przy pierwszym dźwięku statku powietrznego i przez przyrządy celownicze karabinów obserwowali, jak wojskowa maszyna się do nich zbliża – całkowicie odruchowa reakcja, bo przecież kule kaliber 5,56 milimetra były całkowicie bezużyteczne w starciu z opancerzoną maszyną. Mercer i Tisa nadal stali. Po pewnym czasie i Sykes zrozumiał swoją bezradność i dał znak ludziom, żeby wstali. Komandosi opuścili broń, żeby ich postawa nie prowokowała do nieprzychylnych działań. Nie mieli dokąd uciekać ani gdzie się ukryć.

– Jak udało im się tak szybko tu dostać? ! – Gburek przekrzykiwał hałas silników, kiedy pęd powietrza lądującej maszyny zaczął szarpać ich ubraniami.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Mercer, nie spuszczać oczu z pilota, który siedział za szybą w kabinie maszyny niecałe dziesięć metrów ponad nimi.

Drugi hind odleciał znad wioski i zbliżył się do unieruchomionej grupy. Kiedy wylądował, szcęknięty boczne drzwi i ze środka wyskoczyło ośmiu chińskich żołnierzy w mundurach do walki w trudnych warunkach atmosferycznych. Każdy z nich trzymał karabin maszynowy typu 87, bezkolbową broń kaliber 5,8 milimetra, tak nową, że tylko siły specjalne mogły jej używać.

Sykes, Gburek i Śmieszek powoli odpięli swoje M-4 i położyli je na ziemi. Potem znieruchomieli z dłońmi nad głową. Dowódca chińskiego oddziału dał znak, żeby odsunęli się od broni.

– Co teraz będzie? – zapytała Tisa.

Odpowiedział jej Sykes, ale tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

– Czterech Amerykanów i obywatelka Chin zostało pojmanych w ukrytej dolinie, w której znajdował się klasztor, o którego istnieniu nie mieli pojęcia. Hm, wydaje mi się, że pogratulują nam odkrycia. A potem nas zastrzelą.

Chińczycy nie ruszali się i nie wykonywali żadnych nieprzyjaznych gestów. Ani Mercer, ani nikt inny nie mieli żadnego pola do działania.

Kiedy chińscy komandosi przejęli Amerykanów, pierwszy helikopter uniósł się w powietrze i odleciał, a jego miejsce zajęła gazelle. Elegancka maszyna bardziej pasowała do lądowiska na szczycie wysokiego biurowca, ale podobnie jak hindy, została przystosowana do pracy w rozrzedzonym powietrzu wyższych partii gór. Kiedy tylko płozy oparły się o ziemię, z kokpitu wyskoczył drugi oficer i otworzył drzwi do głównej kabiny.

Ze środka wysiadło dwóch mężczyzn. Jeden z nich był Chińczykiem w średnim wieku. Miał na sobie płaszcz od munduru z doszytymi gwiazdkami generalskimi. Drugi musiał pochodzić z Zachodu i był ubrany w niebieski garnitur i błyszczące eleganckie buty, zupełnie jakby nie był przygotowany do tego lotu. Przed zimmem chroniła go tylko kolorowa kurtka narciarska, przy której miał przywieszzone bilety na wyciąg.

Turbinowy silnik helikoptera zwolnił i nieco ucichł.

Generał wysunął się naprzód i podszedł do zespołu. Przyjrzał się każdemu z nich, jakby byli żołnierzami na paradzie wojskowej. Szczególnie uważnie zlustrował Tisę, choć jego wzrok nie

zdradzał erotycznego zainteresowania, raczej szacunek. W końcu zatrzymał się przy Mercerze.

– Czy mam przyjemność z doktorem Philipem Mercerem? – mówił życzliwym angielskim głosem wieloletniego palacza. Jakby na potwierdzenie tego domysłu, generał sięgnął po papierosa i zapalił go zapalniczką odporną na wiatr. Podmuch zawiął mu dymem prosto w twarz, zmuszając do zmrużenia oczu.

Mercer nie okazał zaskoczenia.

– Tak jest.

– Witam, jestem generał Fan Ji. Z rozkazu głównego sekretarza politbiura aresztuję was pod zarzutem szpiegostwa. Zaocznie zostaliście uznani za winnych i skazani. Wyrok brzmi: natychmiastowa egzekucja.

Gdzieś wśród skał zaskrzeczał jastrzęb.

– Jeśli ten człowiek w garniturze to nasz obrońca z urzędu, niechpan mu przekaże, że nie będziemy apelować.

Generał uśmiechnął się, pokazując żółte zęby.

– Dowcip, tak? Wasz amerykański sarkazm?

– My to nazywamy czarnym humorem.

– Zupełnie jak w westernach. Nie, panie Mercer, ten człowiek nie jest obrońcą. Nie jest nawet prawnikiem. To Hans Bremmer, niemiecki charge d'affaires z Ambasady w Katmandu, najwyższy rangą dyplomata, którego udało nam się sprowadzić w ostatniej chwili.

– Jest tutaj, żeby sprawdzić, czy opaski na oczy będą zgodne z załącznikami do konwencji genewskiej?

– Znowu sarkazm?

– Nie, tym razem impertynencja.

– Nieważne. Jest tu, bo politbiuro zdecydowało, że wasz wyrok zostanie zawieszony. Zostaniecie odwiezieni na granicę i wypuszczeni.

Jednak jeśli pan lub ktokolwiek z pana zespołu powróci na teren Chińskiej Republiki Ludowej, wyrok zostanie wykonany.

– Ja nie...

Bremmer ruszył w ich stronę i stanął koło generała. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, miał blond włosy i zdrowy wygląd osoby, która lubi przebywać na świeżym powietrzu. Wyciągnął dłoń do Mercera.

– Przepraszam za to wszystko, ale żeby Chińczycy chcieli z nami współpracować, musimy przestrzegać ich zasad. A to oznacza, że najpierw należało was aresztować. Dopiero teraz mogę z wami rozmawiać. Jestem przekonany, że rozumiecie, że należy przestrzegać protokołu dyplomatycznego.

– O co tu w ogóle chodzi?

– Sytuacja na wyspie La Palma uległa zmianie. Wasz rząd skontaktował się z rządem Chin krótko po waszym starcie z Diego Garcia. Pewnie nie mieliście pozwolenia na korzystanie z radia. Nie informowano mnie o takich szczegółach.

– Co się dzieje na La Palmie?

– Proszę mi wybaczyć, doktorze, ale nie mam pojęcia. – Za plecami dyplomaty chińscy żołnierze uzupełniali bak gazelle paliwem z beczek, które wyładowywali z wojskowej maszyny. – Ambasador poprosił mnie, żebym spotkał się z generałem Ji na granicy i udał się z nim tutaj. Mam was odwieźć do Katmandu.

Tam czeka już na was amerykański samolot, którym traficie wprost na Wyspy Kanaryjskie. Z tego, co zrozumiałem, omawiane są teraz plany, które wymagają pana konsultacji.

Mercer, Tisa i Sykes wymienili pełne niedowierzania spojrzenia. Przed kilkoma minutami byli skazańcami z wyrokiem śmierci, jeszcze wcześniej czekał ich tygodniowy spacer przez najwyższe góry świata w stronę cywilizacji, a jeszcze wcześniej przygniatała ich świadomość, że lada chwila Ziemią wstrząśnie bezprecedensowy kataklizm. Mercer otrząsnął się i uściśnął dłoń Bremmera, ale tym razem znacznie mocniej.

– To na co jeszcze czekamy?

Dziesięć minut później kołysali się już w powietrzu, zostawiając za sobą dymiące szczątki klasztoru i tysiąc bezbronnych wieśniaków, którzy otoczeni przez chińskie wojsko nie wiedzieli, co robić.

– Co się z nimi stanie? – Mercer zapytał Tisę, widząc, jak wygląda przez okno helikoptera.

– Część z nich zginie. Część trafi do więzień. Resztę przymusowo wysiedlą i umieszczą jak najdalej od siebie. – Pokręciła głową, a w oczach miała ten sam nieukojony ból, jaki zauważył pierwszej nocy. – Mieszkańcy Rinpoche-La unikali chińskiej okupacji przez ponad pięćdziesiąt lat. Myślę, że to całkiem niezły wynik.

– Przykro mi.

– To nie twoja wina. – Wzięła go za rękę i dodała tak cicho, żeby nie mógł usłyszeć: – Tylko moja.

W drodze na La Palmę

W Katmandu czekał na Mercera wypożyczony od indyjskiego Ministerstwa Obrony odrzutowiec Cesna Citation w wersji biznesowej. Kabina samolotu została przygotowana z przepychem niczym w komnatach bogatego maharadzy. Ślady, które Mercer pozostawił brudnym mundurem na pikowanych jedwabnych siedzeniach, musiały być nie do usunięcia. Niestety, z maszyny na co dzień korzystali Sikhowie, więc na pokładzie nie było grama alkoholu. Kucharz przygotował pyszne śniadanie i aromatyczną kawę, ale nawet nie zająknął się na temat drinków.

Samolot wyposażony został w najnowocześniejsze systemy łączności konferencyjnej, więc Mercer ledwie zjadł śniadanie, natychmiast zabrał się do pracy. Czekają już na niego połączenie wideo z Irą, naukowcami w Waszyngtonie i zespołem z La Palma. Komandosi Sykesa spali smacznie na ławkach z tyłu samolotu, a Tisa zwinęła się na fotelu obok Mercera i drzemała.

– Myślę, że możemy zaczynać – powiedział Ira, kiedy ostatni zespół potwierdził, że jest połączony. – Tym z państwa, którzy go nie znają, przedstawiam doktora Philipa Mercera, specjalnego doradcę prezydenta Stanów Zjednoczonych do spraw nauki i jednocześnie autora pierwszego ostrzeżenia o zbliżającym się wybuchu wulkanu Cumbre Vieja.

Mercer rozpoznał kilka twarzy, głównie geologów, z którymi spotkał się w ciągu lat pracy. Dostrzegł też doktor Brianę Marie.

Przywitała się, podając swoje imię, podobnie jak pozostali, choć było ich tyłu, że nie udało mu się wszystkich spamiętać.

– Mercer, na samym początku zdaj raport z tego, czego się dowiedziałeś. Potem ja cię wprowadzę w ostatnie wydarzenia.

– Jedynym ważnym faktem, jaki mam do przekazania, jest to, że erupcja rozpocznie się za pięć tygodni, a dokładniej mówiąc osiemnastego.

Twarze na podzielonym na osiem części monitorze komputera zmieniły się w reakcji na tę wiadomość. Można było dostrzec uczucia od strachu do złości. Dopiero po chwili rozpoczęli dyskusję.

– Panie admirale – odezwał się z miną pełną sprzeciwu wulkanolog z Instytutu Smithsonian. – Mówił pan, że mamy kilka miesięcy, zanim dojdzie do erupcji. Pięć tygodni to zbyt mało, żeby cokolwiek zdziałać.

– Pięć tygodni potrwa ustalanie, gdzie wiercić otwory strzałowe! -zaprotestował kolejny.

– Równie dobrze możemy wydać rozkaz ewakuacji już teraz – dodał trzeci w krawacie w prążki.

– Panie i panowie, bardzo proszę... – powtarzał Lasko, aż wszyscy umilkli. – Mercer, jesteś pewien daty?

– Absolutnie, panie admirale. – W obecności innych Mercer zachowywał profesjonalny dystans. – Wiadomość posiadam z tego samego źródła, co datę i godzinę wstrząsów na Santorini.

– W takim razie – westchnął – posłuchaj. Mamy pewien pomysł, jak ograniczyć efekt tsunami, ale żeby wcielić go w życie,

potrzeba nam minimum czterech miesięcy, a całkiem możliwe, że jeszcze więcej.

– Czy wasz plan zakłada detonację bomby jądrowej po wschodniej stronie wyspy, żeby wulkan zapadł się w siebie, a nie zsunął domorza?

Ira nie był zaskoczony, że Mercer wpadł na ten sam pomysł, co najlepsi naukowcy w kraju.

– Cóż, o tym właśnie myśleliśmy. Modele komputerowe pokazują, że ładunek powinien się znaleźć przynajmniej dwieście pięćdziesiąt metrów pod wschodnim zboczem. Inaczej nie osiągniemy pożądanego rezultatu.

– Zgaduję, że modele nie mogą wskazać najwłaściwszego miejsca na bombę, dopóki nie zostaną wywiercone otwory testowe.

Ira potaknął.

– A to z kolei zajmie kilka tygodni, których nie mamy. Jeśli dodamy jeszcze wiercenie właściwych otworów pod bombę, przekroczymy czas.

Pesymista w krawacie włączył się do rozmowy.

– Dlatego należy natychmiast rozpocząć ewakuację! Przez pięć tygodni nic nam się nie uda zrobić na La Palmie. Nie marnujmy czasu na próby.

Mercer zignorował komentarz i wpatrywał się w Irę.

– Admirale, czy była rozważana detonacja naziemna?

– Tak, rozważaliśmy ją – odpowiedziała Briana Marie. – Ale taki wybuch nie zmieniłby nic w warstwach, które utrzymują na razie tę część wyspy. Skała tak czy inaczej runęłaby do wody,

a całkiem prawdopodobne, że w wyniku wybuchu wulkanu. Analizowaliśmy kilkanaście lokalizacji i ładunki o mocy do jednej megatony.

– Proszę się nie obrazić, pani doktor, ale na razie jakby pani mówiła o dziecięcej zabawie. Niechże pani wciśnie mocniej gaz. Proszę zaprogramować model z pięćdziesięciomegatonową bombą i wtedy zobaczymy, co się zmieni.

– Poza radioaktywnym skażeniem Europy Południowej i Afryki Zachodniej?

– Ludzie, którzy tam mieszkają, i tak w większości zginą – odparował. – Osłonięcie ich przed promieniowaniem, a potem usuwanie opadu radioaktywnego byłoby tańszym i lepszym rozwiązaniem niż przesiedlanie ich na dwa pokolenia.

Mercer nie był zły na nią, tylko na siebie. Od kiedy zrozumiał, czego dotyczyło ostrzeżenie Tisy, wydawało mu się, że ma otwarty umysł i nie wyklucza żadnego rozwiązania, jednak się mylił. Jeszcze kilka minut temu nie brałby pod uwagę tak silnej eksplozji, ba, w ogóle by nie myślał o ładunku jądrowym! Teraz wiedział, że żadna z tych możliwości nie jest zbyt wydumana. Ekspozycja dwustu tysięcy ludzi na promieniowanie, żeby ocalić sto milionów innych, była poświęceniem, które teraz był już gotów przyjąć i rozważyć, gdyby tylko miała szanse powodzenia.

– Musi być lepszy sposób – odezwał się młody wulkanolog z zespołu stacjonującego na La Palmie.

– Mam nadzieję, że jest, ale musimy brać pod uwagę każde rozwiązanie. Jakie wyniki dają modele podwodnych wybuchów po wschodniej i zachodniej stronie wyspy?

Doktor Briana Marie odwróciła wzrok, ale w końcu odpowiedziała.

– Nie sprawdzaliśmy takich scenariuszy.

Chociaż nie był na bieżąco z pomysłami naukowców, zakładał, że jako specjalny doradca prezydenta do spraw nauki rozważy absolutnie każdą możliwość zminimalizowania skutków erupcji. Wiedział jednak, że skoro sam nie prowadził badań, będzie potrzebował tych ludzi przez najbliższych kilka tygodni. W związku z tym zmienił ton na przyjaźniejszy.

– To może sprawdzimy takie rozwiązanie, zanim przejdziemy do wybuchów atomowych o wysokim stopniu ryzyka. Być może nam się poszczęści.

– Jak tylko skończymy konferencję, zaraz się do tego zabieram. – Było słychać, że zmiana tonu została dobrze odebrana.

– Mam też prośbę do zespołu na La Palmie – mówił dalej. – Chciałbym zobaczyć dokładny profil podwodnej części wybrzeża w okolicach uskoku wulkanu Cumbre.

– Czego dokładnie mamy szukać?

– Kanałów magmowych. Myślę głośno, więc możecie się włączyć. Wszyscy się zgodziliśmy, że należy wywiercić otwory na dwieście kilkadziesiąt metrów w głąb, żeby bombą atomową podciąć wyspę i zawalić ją do środka. – Głowy na ekranie pokiwwały potakująco. – A jeśli uda nam się znaleźć jakiś stary kanał, który prowadziłby jeszcze głębiej pod wulkan?

Doktor Brianie Marie zaświeciły się oczy.

– Jeśli dotrzemy dostatecznie głęboko, nie będzie potrzeba aż takiej precyzji w umiejscowieniu ładunku. Kilometr albo dwa

w tę czywe w tę nie będzie miał znaczenia. Zamiast zatykać wulkan za pomocąkoreczka, możemy go zmiażdżyć młotem.

Ta metafora nieszczęśliwie przypadła mu do gustu. Skrzywił się. Garść leków przeciwbólowych, które znalazł w łazience, tylko delikatnie złagodziła ból w plecach i wielu sztuczonych miejscach.

Młody wulkanolog z wyspy, Les Donnelley, robił notatki na laptopie z kamerą, przez którą rozmawiał.

– Mógłbym wynająć łódź rybacką. Pewnie jakieś tu zostały.

Ten komentarz sprawił, że w głowie Mercera pojawiła się kolejna myśl.

– A jak wygląda sytuacja na wyspie? Co się działo przez ostatniedwadzieścia cztery godziny?

– Przede wszystkim media zwąchały temat – poinformował go Ira z mieszaniną irytacji i ulgi w głosie. Wolałby, co prawda, mieć nieco więcej czasu na pracę bez wszędobylskich dziennikarzy patrzących mu na ręce, ale z drugiej strony cieszył się, że ludzie już dziś mogą podejmować samodzielne decyzje dotyczące ewakuacji. – Lawina ruszyła natychmiast po twoim wylocie – przerwał, żeby nie zdradzić misji, na którą sam go wysłał. – Zaczęło się wczoraj rano w Nowym Jorku. Od tego czasu wiadomości o La Palmie nie schodzą z czerwonych paszków. Panika jeszcze się nie zaczęła, a przynajmniej nie na taką skalę, jakiej się spodziewaliśmy. Ludzie są w szoku. Prezydent zamierza wygłosić orędzie...

– Wystarczy, to nie moja działka – przerwał mu Mercer. Niezależnie od tego, jak bardzo mu zależało, by świat wiedział,

że nadchodzi najgorsza katastrofa w historii, nie mógł pozwolić, by cokolwiek go rozpraszało w pracy. – Powiedzcie mi, co się dzieje na wyspie. Od teraz tylko o tym mówimy i na tym się skupiamy. Niech politycy i spece od zarządzania kryzysowego debatują, co dalej z ewakuacją i uchodźcami. My zostajemy przy zagadnieniach naukowych.

– Dobrze, rozumiem. Les, zdasz krótką relację? Jesteś w końcu szefem zespołu na La Palmie.

– Jak zapewne wszyscy wiemy, wyspa składa się tak naprawdę z kilkunastu wulkanów, z których każdy odpowiada innemu okresowi aktywności tektonicznej La Palmy. Naszym zmar-twieniem jest wulkan San Juan. To wulkan na stoku Cumbre, który eksplodował już w 1949 i sprawił, że uskok się przemieścił.

– Donnelley mówił o rzeczach, o których większość od dawna wiedziała, więc nie poświęcał im uwagi i szybko przeszedł do dalszych kwestii. – Do wczoraj rana naszego czasu czujniki rozmieszczone dookoła tego punktu w pobliżu wtórnych kory-tarzy magmowych i fumaroli nie wykazywały żadnej aktywności powłok na najbardziej wysuniętym na południe krańcu wyspy.

– I jak rozumiem, wczoraj to się zmieniło?

– Tak. W przeciwieństwie do wcześniejszych erupcji, które dotyczyły pojedynczych ujść lawy, zbliżający się wybuch obejmu-je wszystkie na wyspie. San Juan zachowuje się w podręcznikowy sposób zwiastujący erupcję. Mamy trochę sprzętu na dnie stożka i wywierciliśmy tam otwór. Rejestrujemy mikrowstrząsy mniej więcej co godzinę, a temperatura i ciśnienie cały czas rosną. To

oznacza, że komora magmowa zaczęła się wypełniać. Mercer miał ponurą minę.

– To by się zgadzało z przewidywanym czasem erupcji.

– Nie mogę się nie zgodzić, chociaż wciąż nie potrafię zrozumieć pana pewności dotyczącej daty. Przecież to wszystko może trwać znacznie dłużej.

– Lepiej niech mu panowie zaufają – wtrącił Ira. – Będzie, jak powiedział, za pięć tygodni.

– Co jeszcze się dzieje? – pytał dalej Mercer.

– Rząd Hiszpanii zarządził całkowitą ewakuację wyspy. Miejscowi traktują sytuację wyjątkowo poważnie. Cały czas wzrasta wyrzut gazów i popiołów. Kilkanaście starszych osób już zmarło, a nieznaną kanał utworzył się niedaleko wulkanu Teneguia, bezpośrednio pod szkołą. Czterdzieścioro troje uczniów i trzech nauczycieli się udusiło. Wiedząc o erupcjach Teneguii na południu wyspy i San Juan dającym znać, że się budzi, ludzie domyślają się, że to wszystko jest połączone i że łączenie przebiega pod niestabilnym uskokiem na stokach Cumbre. Nikt nie chce być w pobliżu, kiedy puści.

– Ale jest jeszcze coś, co przeoczyliśmy – odezwał się przygląd w krawacie w paski. – Nikt do tej pory nie poinformował ONZ. To znaczy wiedzą o megatsunami, ale przecież musimy wystąpić z wnioskiem o pozwolenie na detonację ładunku atomowego na obszarze innego, suwerennego państwa, prawda? Nie zapominajmy, że wciąż się na nas gniewają, bo w latach sześćdziesiątych zgubiliśmy kilka bomb atomowych przy po-

ludniowych wybrzeżach Hiszpanii. Nie będą zachwyceni, jeśli wysadzimy im w powietrze wysepkę.

– Przepraszam, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska – warknął Mercer.

– Profesor Adam Littell z MIT.

– A pana specjalność, profesorze?

– Dynamika płynów, a szczególnie propagacja fal – odpowiedział z nutką przechwałki.

– Wszyscy wiemy, że jak się nam nie uda powstrzymać rozpadu wyspy, to fala powstanie, więc nie potrzebujemy pana pomocy. Proszę wyłączyć kamerę.

– Słucham?

– Panie admirale, czy można wyłączyć tego człowieka?

– Zanim Mercer skończył, kwadracik z głową nieznośnego profesora zgaś.

– Nie mówił od rzeczy – zauważył Ira.

– Ale mówił o sprawach, które należą do polityków, admirale. Niech oni się o to martwią. Ja uważam, że jak sekretarz generalny uświadomi sobie, że jakaś dwudziestometrowa fala może zmieść z powierzchni ziemi jego rachityczny biurowiec, sam będzie nas prosił, żebyśmy się postarali.

– Pod warunkiem że pomysł będzie dobry – zauważyła Briana Marie.

– I właśnie dlatego rozmawiamy. – Mercer dokończył kawę i nalał sobie świeżej. – Dobrze, burza mózgów. Proszę o dalsze pomysły, jak zatrzymać skały na miejscu. Czy ktoś myślał może

o wysadzeniu zachodniej ściany Cumbre? Albo ustabilizowaniu wierzchniej warstwy skały i połączeniu jej z podstawą?

Odpowiedzią były puste spojrzenia.

– Dobrze, niech ktoś zacznie tworzyć listę potrzebnego sprzętu. – Ira kiwnął do asystenta, który pozostawał poza kadrem. – Będziemy potrzebować świdrów tyle, ile tylko się da, ale muszą być samobieżne, na podwoziach samochodowych. I interesują nas jedynie modele wierzące otwory na głębokość trzystu trzydziestu metrów. Przynajmniej tyle.

– Kiedy wywiercimy otwory, co zastosujemy jako kotwy do łączenia skał? – zapytał Les Donnelley.

– Same świdry. Będziemy zostawiali je w otworach i nowy otwór zaczynali z nową głowicą i nowymi rurami. To oznacza, że potrzeba też ogromnych ilości szlamu wiertniczego, rur i głowic. Tyle, ile tylko się da. Chcę, żeby załogi wszystkich platform wiertniczych pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– A co z pomysłem rozwalenia stożka? – dopytywał się Ira.

– Potrzebuję ekspertów od materiałów wybuchowych, płynnych materiałów wybuchowych, mat ochronnych i detonatorów. Generalnie od wszystkiego. Zadzwońię do Billa Jansona z Blastech w Houston. Pracowałem z nim kilka razy przy kopalniach odkrywkowych na Zachodzie. To najlepszy spec na świecie od eksplozji powierzchniowych. Admirale, proszę zorganizować nam transport. Jak wygląda lotnisko na La Palmie?

– Dość małe – odpowiedział Donnelley. – Ale na Teneryfie, to całkiem niedaleko, jest duży międzynarodowy port lotniczy.

Kiedy Mercer wszedł w swoją rolę, rozkazy i polecenia padały jedno za drugim.

– Cały sprzęt ma trafić na Teneryfę, a potem na La Palmie statkami albo mniejszymi samolotami. Pewnie dobrze byłoby zapewnić działanie obu dróg. Maski gazowe, jakiś szpital polowy, kombinezony odporne na temperatury, przynajmniej do trzystu stopni. Dwieście tysięcy litrów ropy, to na początek. I wodę pitną, bo źródła na La Palmie albo wyparowały, albo się gotują, albo zamieniły się w kwas siarkowy. Poza tym przydadzą się nam łódki i ochrona...

– A co z jedzeniem? – dopytywał konsultant Zwiadu Geologicznego USA.

– Zakładam, że mieszkańcy, uciekając, zostawili tyle, że i tak nie zjemy – Mercer odpowiedział bez wahania. – Wszystko powinno być gotowe za siedem dni. Teraz proszę zanotować najważniejsze sprawy. Admirale, gdzie znajduje się „Sea Surveyor”?

– Właśnie został zmieniony przez okręt badawczy marynarki, „En-deavor”, który dysponuje dwoma miniookrętami podwodnymi. Myślę, że są w okolicach Guamu.

– Skontaktujcie się z nimi. Chcę Charliego Williamsa i jeszcze jednego nurka z NewtSuit. Niech przylecą samolotem transportowym z całym sprzętem. – Mercer pomyślał przez chwilę. – Możemy też potrzebować jakiejś większej łodzi podwodnej. Admirale, proszę wycygnąć jedną od firm poszukiwawczych działających na Morzu Północnym. Albo z Francji. Mają kilka, może któraś z nich jest bliżej Wysp Kanaryjskich.

– Coś jeszcze?

– Przenośne systemy chłodnicze, specjalistów od pożarów, kilka helikopterów do gaszenia ognia, butle z płynnym tlenem, sprzęt do nurkowania, kilka spychaczy i ładowarek... Caterpillar D-7 albo coś jeszcze większego... Skrzynkę wódki Grey Goose i kilka butelek soku z limonki Jamaica Gold. Aha, no i oczywiście bombę atomową.

– Jakiego typu i czy jedna ci starczy?

Z taką naturalnością przejął dowodzenie nad całą akcją, że z zaskoczeniem zauważył, że nikt nie oponował, kiedy oddawano mu do dyspozycji ładunki jądrowe, choć wiadomo było, że chce je zdetonować. Tylko przez moment cieszył się tą myślą.

– Nie wiem jeszcze, ale trochę zajmie ich zdobycie, więc warto już teraz zacząć działać.

Przez pięć kolejnych minut wymieniał bez ustanku wszystko, co przyszło mu na myśl. Kiedy skończył, pozostali dodali do listy rzeczy, które im z kolei wydawały się przydatne. Wyliczanka trwała tak długo, że w końcu każdy uzmysłowił sobie skalę przedsięwzięcia: zupełnie, jakby cały kraj ruszał na wojnę. Ale Mercer właśnie tak widział zadanie, jakie przed nimi stało. Musieli stoczyć wojnę przeciwko matce naturze. Mogli wygrać albo przegrać, więc musiał użyć wszystkich sił, jakimi dysponował.

Rozmowa dobiegła końca, kiedy luksusowy odrzutowiec zbliżył się do bazy Al-Udeid w Katarze. Mercer zamknął laptop i spojrzał na Tisę. Nie spała.

– Słuchałam cię. – Jej oczy i głos miały miękkość pozostałą po śnie. – Naprawdę myślisz, że mamy szansę?

– Małą – przyznał Mercer. – Wszystko zależy teraz od logistyki i znalezienia podwodnych tuneli magmowych, które prowadziłyby głęboko pod wulkan. Na tyle głęboko, żebyśmy mogli zawalić całą wschodnią stronę do środka.

– Co się stanie, jeśli nam się uda?

– Co masz na myśli?

Wyprostowała się i upiła trochę kawy z jego filiżanki. Gorzki smak zimnego napoju był bardziej pobudzający niż zawarta w nim kofeina.

– Jeśli wschodnia strona wyspy imploduje, to i tak uderzy w wodę. Czy wywoła falę tsunami?

– I tak, i nie – odpowiedział Mercer. – Powstanie fala, ale dużo mniejsza i słabsza niż ta, która powstałaby po zapadnięciu się zachodniej strony wyspy. Niebezpieczeństwo, które nam grozi, ma postać zwartej skały o wielkości pół tysiąca kilometrów sześciennych, która z dużej wysokości ześlizguje się do wody w jednym kawałku. To właśnie jej energia spowoduje powstanie wielkiej fali. Jeśli wysadzimy wschodnią stronę wulkanu San Juan, zmniejszymy wewnętrzne napięcie i rozkruszymy skałę. Na pewno ktoś już siedzi przy komputerze i symuluje siły, jakie wtedy zadziałają. Ale chodzi o to, że wybuch nuklearny spowoduje popękanie całości. W najgorszym razie fala po czymś takim będzie miała ze trzy metry, kiedy dotrze do Afryki, i to do terenów, które są słabo zaludnione. Mamy więc dość czasu, żeby ich ewakuować.

Zamilkł.

Sposób, w jaki Tisa na niego patrzyła; słyszała, ale nie słuchała, zahipnotyzowana głosem, a nie szczegółami operacji, sprawił, że zaczął wierzyć, że im się uda. Jej pełne ufności spojrzenie wypełniało go czymś, czego nigdy jeszcze nie doświadczył. Przeszkody, a przynajmniej strach przed nimi, zniknęły, kiedy czuł na sobie jej wzrok. Mercer poczuł... nie, poprawił się, to ona dała mu poczucie, że jest możliwe wszystko.

Przysunął się i dotknął jej ust swoimi. Żadne nie zamknęło oczu, szukając tego, na co tyle czekali. Nawet kiedy samolot dotknął ziemi, a silniki w końcu ucichły, zakłęcie trwało.

La Palma, Wyspy Kanaryjskie

Gdy większość wysp archipelagu zmieniała się, żeby przyciągnąć turystów i pieniądze, La Palma pozostawała niemal nietknięta. Częściowo dzięki temu, że jej mieszkańcy nie byli zachwyceni natłokiem gości, a częściowo z powodu wieku wyspy – w sensie geologicznym stosunkowo młodszej od pozostałych. Fale Atlantyku uderzające rytmicznie o skaliste brzegi wyspy nie zamieniły jeszcze wysokich klifów w piaszczyste plaże, tak uwielbiane przez turystów z Europy.

Smagana wiatrami, które nigdy nie cichły, i dość chłodna nie była gęsto zaludniona. Zamieszkiwało ją około osiemdziesięciu tysięcy ludzi. Stożek wulkanu Cumbre i dwudziestokilometrowa Caldera de Taburiente dzieliły wyspę na części. Północna część była porośnięta sosnowymi lasami i wrzosami, a południowa jedynie wysoką sztywną trawą. Można było tam jeszcze spotkać winnice, bo bogata wulkaniczna ziemia zapewniała dobre plony.

W najwyższym miejscu, na wznoszącym się na prawie dwa i pół kilometra Roque de los Muchachos, stał zespół obserwatoriów. Pod srebrzystymi kopułami mieściły się jedne z najsilniejszych teleskopów astronomicznych w Europie. Z dala od światła miast i zanieczyszczeń La Palma była idealnym miejscem do niezakłóconych obserwacji nieba.

Ale tak było tylko do chwili, kiedy ziemia nie zaczęła się trząść. Nawet potężne fundamenty, na których stały teleskopy,

nie były w stanie złagodzić drżenia, które przeszywało całą wyspę.

Dwa tygodnie po przybyciu na miejsce Mercer miał za sobą osiemdziesiąt godzin na pokładach różnych helikopterów. Krążył nad wyspą i obserwował jej powierzchnię. Ten, którym akurat leciał, należący do marynarki seahawk z okrętu desantowego „Belleau Wood”, zaryczał silnikami nad portem stolicy wyspy, Santa Cruz de La Palma, przez lokalnych mieszkańców zwanej w skrócie S/C. Połowa statków z zamówionym sprzętem czekała przy nabrzeżu na swoją kolej, by rozładować maszyny. Za ich pomocą Mercer chciał ustabilizować grożącą osunięciem skałę, a potem wrócić na Teneryfę z ewakuowanymi mieszkańcami, dla których przygotowywano obozy w centrum Hiszpanii.

Nieco dalej na morzu wartę trzymały okręty wojenne Marynarki Stanów Zjednoczonych i Hiszpanii. Ich zadaniem było powstrzymywać armadę jachtów przed zbliżaniem się do wyspy. Niezależnie od niebezpieczeństwa, erupcja wulkanu stała się jednym z najpopularniejszych celów wycieczek bogaczy. Na razie wolno im było pod pływać na czterdzieści kilometrów i ani metra bliżej. Za kilka dni kordon okrętów zwiększy średnicę pierścienia ochronnego dookoła wyspy do siedemdziesięciu pięciu kilometrów, a port lotniczy na Teneryfie zostanie zamknięty dla ruchu prywatnego i komercyjnego, żeby powstrzymać napływ dziennikarzy, których już było na wyspie więcej niż mieszkańców.

Z powietrza Mercer widział punkty kontrolne, na których stali strażnicy i pilnowali drogi do miasta. Każdy z nich miał przy sobie palmtopa z szybkim łączem internetowym i stale

uaktualnianą bazą tras ciężarówek, ciężkiego sprzętu i cystern z paliwem. Mieli za zadanie usprawnić ruch w ten sposób, żeby żadna załoga nie marnowała czasu i nie zabrakło ropy, części zamiennych albo jednej z tysiąca rzeczy, które były niezbędne do realizacji projektu. Armia zmotoryzowanych świrdrów pracowała na zachodnim stoku Cumbre. Zużyto dziesięć kilometrów rur w odcinkach po siedem metrów i dość szlamu wiertniczego, żeby wypełnić nim niewielkie jezioro.

– Tam – pilot odezwał się przez interkom, wskazując na samotny statek ponad dwadzieścia kilometrów na południe od miasta.

Na falach kołysał się trzydziestometrowy „Angel”, wytrzymały statek warsztat, należący do Petromax Oil. Z przytępieniem dziobem i wyjątkowo rozszerzonym pokładem, statek nie należał do najpiękniejszych – niemniej został zaprojektowany tak, żeby zapewnić nieprzerwane serwisowanie w warunkach arktycznych i na Morzu Północnym.

Statek przypląnął wprost z tamtych okolic, Był wyposażony w silnik o mocy dwunastu tysięcy koni mechanicznych, dynamiczny system pozycjonujący, łódź podwodną, komorę dekompresyjną i dwa ROV-y, czyli zdalnie sterowane roboty. „Angel” przywoził również pozdrowienia od szefowej firmy wydobywczej, Aggie Johnston, kobiety z jego przeszłości. Aggie zdecydowała się przesyłać im do dyspozycji swój statek pomimo, a może właśnie z powodu jego zaangażowania w tę sprawę. Nie wiedział, co o tym myśleć.

Mercerowi znacznie dłużej zajęło wypatrywanie statku. Burty „Angel” pomalowane zostały na czysty zielony kolor, a nadbudówki na żółto. Mimo żywych kolorów trudno go było zauważyć, bo w powietrzu wirowały płatki popiołu i dym, który zaburzał pracę maszyn na wyspie i wokół niej. Wszyscy tymczasowi mieszkańcy La Palmy rozpoczynali swój dzień rytuałem otrzeptywania ubrań. I bez znaczenia było, jak szczelnie zamknęli okna.

Niebo nie zmieniało kolorów. Zielenie i szarości wywołane wulkanicznym dymem nie ustępowały. Zdjęcia satelitarne, które trafiały na biurko Mercera, pokazywały potężną chmurę, która unosiła się znad prehistorycznej wyspy w kształcie toporka i zniknęła daleko na wschodzie. Niezależnie od tego jak często mył zęby i ile pił wody, Mercer wciąż miał wrażenie, że w ustach ma piasek. Jedynym chroniącym przed pyłem miejscem był helikopter unoszący się powyżej drobinek. Ale powietrze, choć wolne na tej wysokości od ciał stałych, potwornie śmierdziało siarką.

Pilot zbliżył się do tylnego pokładu „Angela” i zawisł nad lądowiskiem. Helikopter marynarki był zbyt wielki, żeby lądować na tak niewielkiej jednostce, więc zatrzymał się tuż nad nim. Mercer otworzył drzwi, zrzucił torbę na pokład, a potem sam zeskoczył. Nie było wysoko, może półtora metra. Wstał i zobaczył w tylnych drzwiach helikoptera członka załogi, który pomagał Tisie skoczyć. Mercer złapał ją i przytrzymał. Potem oboje pochylili się, umożliwiając helikopterowi odlot.

Pierwszymi, którzy ich przywitani, byli Charlie Williams i Jim McKenzie. Na pokład „Angela” dostali się jeszcze we Francji, w okolicach Cherbourg. Tam też na statku znalazł się

cały ich sprzęt. Z bazy na Guamie wojsko przewiozło wszystko ogromnym samolotem transportowym C-5 Galaxy. Od czasów zatonięcia USS „Smithbacka” mężczyźni się nie widzieli.

– Wiesz, sam nie wiem, czy cię przeklinać, czy podziękować za to, że mnie tu ściągnąłeś – powiedział Jim, podając mu dłoń.

– To zależy, czy nam się uda.

– Niech mówi za siebie – oznajmił C. W. – Nie chciałbym teraz być w żadnym innym miejscu. Twoje przemówienie o możliwościach i obowiązkach zasługiwało na nagrodę.

– Mam nadzieję, że tym razem twoja żona też jest zadowolona, że bierzesz udział w czymś takim?

– Dopiero po tym, jak zmusiła Jima, żeby ją zabrał.

Mercer był zaskoczony, ale nie zareagował. Jej obecność tak naprawdę nie miała znaczenia. Przedstawił Tisę, a potem zapytał:

– Macie jakieś szczególne życzenia, które mógłbym spełnić?

– Jeśli czegoś nie mamy... – zaczął McKenzie, usiłując zapalić zapalniczkę. Nie szło mu, bo stał pod wiatr. – ... to na pewno mają to na „Angelu”. Mieliśmy cały samolot transportowy do swojej dyspozycji, więc załadowaliśmy na niego wszystko z „Surveyora”. No, może zostawiliśmy rury i kanalizację.

– A co z drugim pilotem, Alanem Jervisem? C. W. stracił naturalną swobodę.

– On już nie będzie nurkował. Coś jak opóźniony uraz powypadkowy. W nocy po twoim wyjeździe obudził się z krzykiem. Lekarz musiał go znieczulić, żeby mógł się przespać. Do dzisiaj jest w szpitalu na Guamie.

Mercer był poruszony. Jervis wydawał się zupełnie zdrowy i opanowany przez kilka dni, które spędzili razem na „Sea Surveyorze” po feralnym nurkowaniu.

– Nie miałem pojęcia...

– Kto się mógł spodziewać – zgodził się Jim, zaciągając się dymem z cygara. – Ale sam wiesz, że takie rzeczy się zdarzają.

– Ale z tobą wszystko w porządku? – upewnił się Mercer. C. W. uśmiechnął się szeroko.

– Nam płacą za ryzykowanie. Serio. Nic mi nie jest. Bardzo dużo rozmawiałem o tym ze Spirit. Myślę, że to, co się stało tam na dole, bardziej przestraszyło ją niż mnie. Dlatego tak nalegała, żeby lecieć ze mną. Ach, i mamy zapasowego pilota. Scotta Glassa. Jest cholernie dobry.

– Stacjonujecie na „Angelu”? Nie ma problemów z tutejszą załogą?

Charlie machnął dłonią.

– Żartujesz? Badania podwodne to jeden z niewielu obszarów, gdzie nauka ma lepszy sprzęt niż przemysł. Ci chłopcy palą się, żeby położyć łapy na moich kombinezonach. Kiedy płynęliśmy na miejscez Francji, zdecydowaliśmy się użyć Conseila, zdalnie sterowanego robota, którego przywieźliśmy ze sobą. Będzie lepszy, niż to co mają ciz Petromaksu. Rano skończyliśmy uaktualniać oprogramowanie.

Jim włączył się do rozmowy.

– Poza tym każdy wie, o co gramy. Nikt nie będzie w takich warunkach walczył o głupstwa. To jest zbyt poważne.

– Świetnie. – Mercer pokiwał głową. – Les Donnelley spędził ostatni tydzień na rozmowach z każdym miejscowym nurkiem, który jeszcze tu jest. Sprawdził też temperaturę wody wokół wyspy. Zlokalizował trzy wyjścia z wulkanu po wschodniej stronie, poniżej tego uskoku na Cumbre. Każde z nich może spełniać nasze wymagania. W dwóch temperatura rośnie, więc pewnie są aktywne. Trzeci korytarz jest na razie uspiony. Jest na głębokości sześćdziesięciu metrów, więc bez problemu można tam zejść. Ale nie wiemy, czego można się tam spodziewać.

– Jaka jest temperatura przy pozostałych dwóch wylotach?

– Około dwudziestu dziewięciu stopni. To o dwadzieścia więcej niż temperatura wody na tej głębokości.

– Moje kombinezony atmosferyczne wytrzymują do stu stopni -oznajmił C. W.

– Całkiem możliwe, że to nam uratuje tyłki. Na razie skupimy się na trzecim, uspionym tunelu. Zbadamy go robotem, zanim ktokolwiek zejdzie pod wodę. – Mercer podał Jimowi McKenziemu kartkę z zamiarami. – Tutaj jest lokalizacja. Dajcie to kapitanowi i bierzemy się do roboty.

C. W. i Jim zostawili Mercera i Tisę przy relingu. Kilometr od brzegu La Palma nie wyglądała niebezpiecznie. Dym z daleka kojarzył się ze zwykłym pożarem lasu, a nie śmiertelnie niebezpieczną erupcją z wnętrza Ziemi.

– To dość ciekawe – powiedziała Tisa, spoglądając na niego. Jej włosy błyszczały w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. – Ludzie przyjmują od ciebie rozkazy, jak byście pracowali razem od wielu lat.

– Nasza trójka przeżyła razem niezłą przygodę – zaprotestował Mercer.

– Ale mnie nie chodzi tylko o Jima i C. W. Pozostali też. Nawet twój szef, admirał Lasko.

Mercer spojrział na wyspę.

– Nigdy o tym nie myślałem. Czasem zauważam rzeczy, które muszą być zrobione. Jeśli czegoś nie potrafię zrobić sam, szukam ludzi, którzy potrafią. Cała zabawa polega chyba na znalezieniu odpowiednich ludzi. Każdy głupi potrafiłby szefować zespołowi, który sam doskonale wie, co robi. – Uśmiechnął się. – Muszę po prostu otaczać się specjalistami i dzięki nim wychodzę na bohatera.

Skarciła go, delikatnie uderzając w ramię.

– Głupek.

Sześć godzin później „Angel” znalazł się w miejscu wskazanym przez Lesa Donnelleya, szefa wulkanologów na La Palmie. Zgodnie z jego słowami miał się tam znajdować korytarz, który odpowiadał ich wymaganiom. Turbiny pozycjonujące zostały zaprogramowane, by korygowały pozycję na podstawie sygnału GPS przy próbkowaniu co pół sekundy. Stali w miejscu, jakby rzucili kotwicę.

Jim McKenzie siedział oświetlony przez kilka monitorów pokazujących obraz z kamer. Ręce trzymał na manipulacjach sterujących Conseilem, ich nowym robotem, który został ochrzczony na cześć asystenta profesora Aronnaxa z *Dwudziestu tysięcy mil podwodnej żeglugi* Juliusza Verne’a. Za jego plecami stali Mercer, Tisa, Charlie i Spirit Williams, a także spora grup-

ka ludzi z Petromaksu i ekipa, którą Jim wziął ze sobą z „Sea Surveyora”. Kontener ze stanowiskami sterowniczym został przymocowany do pokładu „Angela”. Wewnątrz szumiały komputery i agregat klimatyzacji. Drzwi pozostawały zamknięte, bo w powietrzu unosił się pył z wulkanu.

Na zewnątrz stalowego kontenera pracowali technicy przy testowaniu pępowiny Conseila, którą rozwijali z wielkiej szpuli na rufie. ROV z wyłupiastymi, żabimi oczyma schodził coraz głębiej pod wodę.

Jim trzymał w zębach przeżute cygaro i butelkę z wodą w ręce. Palcami zwinnie przebierał po armaturze kontrolnej robota, którego kamery stały się na jakiś czas jego oczyma.

ROV był niemal tego samego kształtu i wielkości, co duże małżeńskie łóżko. Zrobiono go z bardzo wytrzymałej stali, włókien węglowych i kompozytów ceramicznych. Dysponował czterema zestawami kamer zdolnych do rejestrowania obrazu niemal w całkowitych ciemnościach; jednym ramieniem ze szczypcami; czujnikami do pomiaru temperatury, ciśnienia i analiz składu wody w czasie rzeczywistym.

– Dobra, chłopaki i dziewczyny – oznajmił Jim, nie patrząc nazgromadzonych za plecami widzów. – Schodzimy właśnie na pięćdziesiąt metrów. Na razie mamy zielone światło.

Obraz na monitorze był niewyraźny i nieczytelny. Widać było jedynie poświatę z reflektorów zamocowanych nad kamerami. Robot wciąż opadał, a Jim utrzymywał go w bezpiecznej odległości od bazaltowych skał, z których była zbudowana wyspa.

– Jaka temperatura? – zapytał technik z Petromaksu.

– Siedemnaście stopni – odpowiedział Jim. – Nie ma śladu po ogrzewaniu przez lawę.

Mercerowi trochę ulżyło. Wulkan San Juan wznosił się bezpośrednio ponad nimi. Podczas gdy z tuneli na południu wyspy wylewała się lawa, wyrastający w jej środku San Juan pozostał względnie spokojny i tylko co pewien czas odbijało mu się popiołem. Robot został zaprojektowany do pracy w głębinach, nie miał więc problemów na sześćdziesięciu metrach, na które mogli schodzić również nurkowie.

– Kanał powinien znajdować się jakieś sto metrów przed nami, lekko w lewo – oznajmił Jim, uruchamiając silniki napędowe.

Robot ruszył naprzód, w kierunku wyspy. Jim jednym okiem śledził obraz z kamer, a drugim wskazania sonaru, który pokazywał ukształtowanie podmorskiego klifu. Nawet przypadkowe otarcie o skałę mogło zniszczyć maszynę.

– Wszystko w porządku, już widzę klif.

Na ekranie pojawił się mroczny cień, który coraz bardziej przypominał postrzępioną powierzchnię zastygłej lawy. Kiedy znalazł się jeszcze bliżej, wszyscy mogli zobaczyć, że wystrzelona niegdyś magma zastygła w dziwnym kształcie zwiniętego makaronu. Spodziewali się takiego widoku, lawa poduszkowa była bowiem charakterystyczna dla podwodnych erupcji. Mercer widział w niej kształty greckiej świątyni.

– Oceniając średnicę lawy – powiedział – nasz kanał magmowy będzie w sam raz. Na oko to około pięciu metrów.

– Jesteśmy poniżej wejścia – dodał Jim i uniósł Conseila o kilka metrów w górę, a potem jeszcze kilka.

Z ekranów zniknął obraz poskręcanej lawy, ale otworu wciąż nie mogli znaleźć. Jim odwrócił robota, szukając również po bokach, ale nic nie znalazł. Znow zszedł na głębokość, od której zaczęli, a potem przesunął go kilka metrów w lewo i zaczął się wynurzać. Kilkanaście par oczu wpatrywało się w ekran. Każdy chciał zobaczyć wejście do tunelu, ale na razie nie mieli powodów do świętowania. Kiedy ROV znalazł się ponad zastygłą lawą, Jim znow zszedł na wyjściową głębokość i rozpoczął procedurę od początku – przesunął robota kilka metrów w lewo i ruszył w górę.

Wykonali jeszcze pięćdziesiąt częściowych wynurzeń, dopóki nie dotarli do końca pola lawy. Cztery godziny na nic.

– Hej, nikt nie obiecywał, że będzie łatwo – odezwał się Jim niezrażony niepowodzeniem. Zawrócił robota do miejsca, od którego rozpoczęli poszukiwania i ruszył w prawo.

– Myślałem, że *to* dokładnie *to* miejsce – powiedział ze smutkiem Les Donnelley.

– Nie przejmuj się, stary – pocieszył go Charlie. – My już dawno się nauczyliśmy, że pod wodą da się znaleźć wszystko, ale pod warunkiem że to coś chce być znalezione. – Spojrzał na żonę. – Znasz jakieś różdkarskie sztuczki, które mogłyby nam pomóc?

Spirit uściśnęła jego dłoń.

– Wybacz, kochanie, ale to działa tylko, jeśli szuka się wody. A może pan doktor ma jakiś pomysł? Przecież pan zawsze ma asa w rękawie? – Jej głos ociekał sarkazmem.

Mercer zignorował uszczypliwość.

– Nie tym razem.

– No tak, mogłam się domyślić. Cuda się zdarzają, ale tylko kiedy trzeba ratować własny tyłek.

Spojrzał na nią groźnie, ale nie zareagował. Po kolejnej godzinie poszukiwań i dziesięciu sprawdzonych pasach lawa znów się skończyła.

– Cholera. – Łagodne przekleństwo było jedyną oznaką irytacji, jaką Jim McKenzie okazał od początku poszukiwań. Pozostali zdradzali znacznie więcej oznak frustracji. – Wejście musi być gdzieś w pobliżu. Co teraz?

Sprawdzili prawie czterysta metrów kwadratowych podwodnego klifu. Bez dokładniejszych danych dotyczących położenia kanału na poszukiwaniach mogli spędzić cały kolejny tydzień i wcale go nie znaleźć.

– Wybaczcie, chłopaki – powtarzał co chwila Les. – Nurkowie byli pewni, że to tutaj.

– Wracamy na początek – rozkazał Mercer. – A potem schodzimy w dół.

– Dlaczego w dół, a nie w górę? – zaatakowała Spirit Williams. – Wejście do tunelu może równie dobrze znajdować się powyżej tego miejsca.

– Zgaduję – przyznał Mercer. – Ale mam podstawy. Charlie może potwierdzić moją wersję, bo jest bardziej doświadczonym nurkiem niż ja. Wydaje mi się, że rozwiązaniem jest narkoza azotowa. To uczucie podobne do rauszu. Im głębiej nurek schodzi, tym silniejszy jest ten efekt. Traci się zdolność do obiektywnej

oceny, zaczynają się problemy z koordynacją ruchową i pojawia się euforia. Teraz załóżmy, że nurek, z którym rozmawiał Les, był pod wpływem narkozy azotowej, kiedy dotarł do wejścia do tunelu. Czyli jest szansa, że był głębiej, niż mu się wydaje.

C. W. potaknął.

– To ma sens.

– A jeśli był tak naprawdę kilometr stąd na południe albo na północ? – dociekała znów Spirit.

– Kiedy określali pozycję, robili to z powierzchni – odpowiedział jej Charlie. – Przeczytać cyferki z GPS-u potrafi każdy.

Spirit nie lubiła, kiedy jej mąż bronił Mercera, więc oddechnęła rękę, którą obejmował ją w talii. Złożyła ramiona na piersiach i wypadła na pokład.

Jim zignorował jej wybuch.

– Myślę, że Mercer może mieć rację. Opuszczę Connie na sto metrów i zobaczymy, co znajdziemy.

– To poniżej granicy bezpieczeństwa dla nurków.

– Lepiej sprawdzić niż potem płakać.

Jim wycofał robota od ściany, żeby w nic nie uderzyć, a potem pozwolił mu powoli opaść w otchłań. Kamery skierował prosto w dół, żeby zdążyć uniknąć skał, gdyby się pojawiły pod brzuchem maszyny.

Na głębokości dziewięćdziesięciu metrów znaleźli kolejne pole pokryte lawą poduszkową.

– Bingo!

W kieszeni spodni Mercera odezwała się komórka. Nie chciał przeszkadzać pozostałym w pracy, więc wyszedł na pokład.

Powietrze było rześkie, ale ciężkie od pyłów. Miało metaliczny smak i nie dało się go nabrać do płuc bez krztuszenia się.

Słońce zachodziło za stożkiem Cumbre. Wspaniale podkreślało wyniosłą sylwetkę wulkanu, zaznaczając granicę między ciemnością a światłem. Z powodu popiołów wyrzucanych do atmosfery światło miało kolor dojrzałego arbuza. Na południu, gdzie płynna skała wypływała z wulkanu Teneguia, niebo miało ponury piekielny wygląd.

Wyjął telefon i otworzył klapkę. Na wyświetlaczu pokazał się numer Lasko. W ostatnim czasie rozmawiali po dziesięć razy dziennie.

– Masz coś nowego? – Mercer zaczął od pytania.

– Mam coś dla ciebie do kolekcji najgłupszych rzeczy, o jakich kiedykolwiek słyszałeś. Delegacja Korei Północnej przy ONZ chce zrezygnować ze swoich zastrzeżeń dotyczących wykorzystania ładunków jądrowych na La Palmie, jeśli damy im możliwość przetestowania własnych. Rozumiesz to? Uważają, że detonacja ładunków na wyspie jest pokojowym wykorzystaniem broni jądrowej, a ich test przyniesie zysk wszystkim.

– Aha, taki zysk, że Japończycy i Korea Południowa narobią w gacie ze strachu. Co na to ONZ?

– Oficjalnie nie mają innego wyjścia, jak dopuścić takie rozwiązanie. Sposób, w jaki została napisana rezolucja, zakłada, że każdy naród musi wydać zgodę na zastosowanie bomb atomowych. Ja uważam, że kiedy tylko przetestują swoją bombę, największe państwa w ONZ natychmiast nałożą na nich znacznie ostrzejsze sankcje. Cofniemy ich do ery kamienia łupanego.

Mercer parsknął.

– Co jeszcze?

– Zespół w Lawrence Livermore ma broń, która odpowiada twoim wymaganiom. To stary W-54 SADM.

– Saddam?

– Small Atomic Demolition Munition*. Został opracowany w latach pięćdziesiątych. Miał być wystrzeliwany z wyrzutni bezdrzewnej Davy Crockett. Inżynierowie zmodyfikowali płaszcz plutonowy, żeby zwiększyć moc. W wersji oryginalnej moc ładunku wynosiła jedną * Small Atomic Demolition Munition (ang.) – Mały Atomowy Ładunek Burzący (przyp. tłum.).

kilotonę. Po zmianach doszła do czterech i pół. Doktor Briana Marie uważa, że to powinno wystarczyć.

– Pod warunkiem że uda nam się znaleźć ten korytarz – dodał Mercer.

– Na razie bez powodzenia?

– Ale jesteśmy coraz bliżej. – Mercer był optymistą. – Jak duża jest ta bomba?

– Poczekaj, zaraz sprawdzę... dłuższy bok ma długość sześćdziesięciu centymetrów.

– Czy to nie jest ta słynna bomba w walizce?

– Tak, dokładnie ta. Kiedy zwiększyli jej moc, trzeba było dodać ekranowanie. Waży sto trzydzieści kilogramów.

Po zamocowaniu worków wytrzymałościowych robot mógłby ją umieścić w kanale wulkanicznym.

– Oddzwonię za chwilę – powiedział nagle Ira. – Mam szefa na drugiej linii. To może być coś ważnego.

– No pewnie – odpowiedział, ale połączenie było już przerwane. Mercer stał przy relingach i patrzył na zawirowania wody, które powstawały, kiedy uruchamiał się system stabilizujący pozycję „Angela”. Drzwi do budki z monitorami otworzyły się i w progu stanęła Tisa. Rozejrzała się wokół i zauważyła go. Jako szef całego projektu, Mercer nie spędził jeszcze dwóch nocy w tym samym łóżku, więc mieli mało czasu, żeby być razem.

Ale nawet to, a w dodatku widmo zbliżającego się kataklizmu nie mogło zepsuć rodzącego się między nimi uczucia. Przy Tisie każda chwila wypełniała się magią jak wtedy, gdy kąpali się przy świecach albo spacerowali wśród drzew oliwnych, gdzie rozbiła dla nich namiot.

Uśmiechnęła się i stanęła obok, wsuwając rękę pod jego ramię. Jej usta zaczęły szukać jego warg.

– Chyba powinnam być zazdrosna – powiedziała.

– Zazdrosna? Dlaczego?

– O tę kobietę, Spirit. Jest w tobie zakochana. Mercer chyba nie mógł być bardziej zaskoczony.

– Co takiego?

– Musisz przyznać, że jest piękna. – Wiedział, że Tisa się z nim drażni.

– Rzeczywiście – powiedział powoli, jakby musiał sobie przypomnieć, jak wygląda. – Jeśli oczywiście komuś odpowiadają kobiety z długimi nogami, kształtnymi piersiami i uwodzicielskim spojrzeniem – dokończył i dostał klapsa.

Tisa nie cofnęła dłoni. Masowała jego pośladek, aż w końcu zacisnęła dłoń.

– Ale ja nie żartowałam. Pociągają ją samce alfa. Założę się, że tam, gdzie mieszkają, ona i C. W. są w centrum zainteresowania. Ale tutaj jej mąż podlega tobie. Jej to nie odpowiada, ale jednocześnie ją pociągasz. Dlatego jest dla ciebie nieprzyjemna.

– I to wszystko wysnułaś tylko z jej tonu?

– Daj spokój, przecież to od razu widać. Kiedy nie patrzysz, nie może oderwać od ciebie oczu. A że nie ma chyba żadnego stanika, jej podniecenie jest widoczne gołym okiem.

Mercer wybuchnął śmiechem. Dopiero po chwili ochłonął.

– Co cię tak rozśmieszyło?

– Moje życie zaczyna przypominać tanią operę mydlaną. Niedługo ty i Spirit zaczniecie się targać za włosy, a wtedy ja i Charlie będziemy musieli stoczyć pojedynek w obronie honoru swojej kobiety.

– Nie bój się, to się nie zdarzy. Gdyby chciała mnie zaatakować, C. W. mógłby od razu zorganizować jej pogrzeb. Wiesz, to zabawne, jak ludzie potrafią się dostosować do każdego warunków. Sam zresztą zobacz. Zbliży się bezprecedensowa katastrofa naturalna, a my sobie stoimy nad wodą i rozmawiamy o uczuciach.

– Na tym chyba polega nasze człowieczeństwo. Potrafimy się dostosować do każdego warunków, a nasza odporność wydaje się nieograniczona. Czytałem kiedyś o historiach miłosnych, które rozgrywały się w nazistowskich obozach koncentracyjnych. Jeśli ludzie potrafią zachować swoje człowieczeństwo w takich miejscach, to przetrwają wszystko.

– Myślisz, że my też przetrwamy, jeśli nie zapobiegniemy osunięciu?

– Jako gatunek tak. Jako cywilizacja... nie wiem. – Jego telefon zaczął dzwonić.

– Już jestem – oznajmił Ira ponurym głosem. Mercer natychmiast zauważył zmianę.

– Co się stało?

– Rozmawiałem z Kleinschmidtem. Wrócił ze spotkania Rady Bezpieczeństwa przy prezydencie. Możesz sobie wyobrazić, jakie naciski są wywierane na prezydenta, żeby rozpoczął ewakuację Wschodniego Wybrzeża. Niektórzy uważają, że rozkaz powinien paść już kilka tygodni temu. Kto inny zagroził nawet impeachmentem. A każdy senator i polityk od Maine do Florydy na wyścigi składa wnioski o pomoc federalną.

– Mówiłem ci, że nie interesują mnie przepychanki w Waszyngtonie.

– Wiem, ale to cię akurat dotyczy. Na początku dostałeś cztery tygodnie na ustabilizowanie zachodniej strony wulkanu i detonację bomby atomowej. Pozostawał więc tydzień do erupcji. Zaszły zmiany. Prezydent uznał, że czas na opanowanie sytuacji będzie krótszy o tydzień, żeby w razie czego ludność cywilna miała dwa tygodnie na ucieczkę z zagrożonych miejsc.

Mercer nie wiedział, co powiedzieć.

– Wybacz, ale muszę ci to przekazać. To polecenie, które w nocy wydał Gabinet Owalny. Nic nie mogłem na to poradzić.

– I oni nazywają to kompromisem? Chryste, Ira, jeśli nam się nie uda, to nawet te zakute łby na Kapitolu będą musiały przyjąć

do wiadomości, że ewakuacja nic nie zmieni! Tydzień mniej to koniec projektu, a siedem dni nic nie da w kwestii ewakuacji.

– Mówiłem im o tym, mówił John Kleinschmidt i wiceprezydent też. Z drugiej strony było pięćdziesięciu polityków, którzy reprezentują miliony przerażonych Amerykanów. Nie mieliśmy szansy w tej konfrontacji. Jeśli to cię pocieszy, sytuacja w Hiszpanii jest znacznie gorsza. W Portugalii też. Premierzy obu krajów ustąpili ze stanowisk. A na kilku wyspach karaibskich wybuchły rewolty. Kuba, Haiti i Dominikana są na razie jedynymi miejscami, na których ktoś może przeżyć. A nawet tam zapanował chaos.

– Będziemy coś z tym robili? – zapytał Mercer, zapominając na chwilę o postanowieniu, że nie będzie interesował się niczym, poza swoją robotą.

– Ludzie, którzy mają swoje łodzie, uciekają do Stanów, na Florydę i do Teksasu. Urząd imigracyjny nawet ich nie liczy. Pozostali... Chryste, nawet gdybyśmy chcieli, nie uda nam się ich uratować. Gdybyśmy mieli do dyspozycji wszystkie statki pasażerskie i towarowe, może ewakuowalibyśmy jedną małą wyspę.

– Nie powinienem był pytać – stwierdził Mercer, słysząc udrękę w głosie Iry. – Znałem odpowiedź już wcześniej. – Objął Tisę, bo potrzebował ciepła. Kobieta wtuliła się w niego.

– Mercer! – Les Donnelley wołał go z centrum kontroli. – Mamy wejście! Miałaś rację!

– Ira, mamy wejście do tunelu – Mercer poinformował przełożonego. – Potem pogadamy, trzymaj się.

Złożył telefon i wsunął go do kieszeni, a potem dołączył do reszty.

– Świetna wiadomość, chłopaki. – Przybił piątkę z Lesem.

– Był dokładnie poniżej miejsca, w którym szukaliśmy na początku, może ze trzy metry w lewo.

Mercer spojrzął nad ramieniem Jima na monitor. Zwoje lawy miały około trzech metrów średnicy. Mocna lampa przy kadłubie Conseila oświetlała jedynie kilka metrów na początku szybu, a dalej panowała ciemność.

– Wygląda zupełnie w porządku – powiedział. – Pierwszy sukcesdzisiaj.

– Miejmy nadzieję, że nie jedyny – dodał Jim. Mercer położył mu dłoń na ramieniu.

– Zobaczymy, jak go zbadamy. Jakies zmiany temperatury?

– Nie, żadnych. Chłodno. Kanał jest uspiony.

– Dobra, wpływ do środka.

Jim przysunął mikrofon do ust i wywołał techników przy kołowrocie z pępowiną.

– Chłopaki, zaraz będziemy wpływać do kanału. Uwolnijcie jakieśto metrów, żeby nie naciągać przewodów. – Spojrzął za siebie. – Niby kable są zbrojone, ale...

Delikatnymi dotknięciami manipulatorów wysłał Conseila w głąb kanału wulkanicznego. Utrzymywał go precyzyjnie w samym środku. Ściany były gładkie jak szkło, wypolerowane przerażającym ciepłem lawy, kiedy wulkan wypluwał ją na zewnątrz. Biegł prosto jak rura kanalizacyjna, ale i tak trzeba było dużej uwagi, żeby nie uszkodzić robota.

Po pierwszych stu metrach zespół sterujący uznał, że znaleźli, czego szukali. Technicy wydłużyli kabel i robot popłynął dalej pod wulkan.

Po stu sześćdziesięciu metrach tunel zwężał się do tego stopnia, że po obu stronach robot miał ledwie kilkanaście centymetrów luzu.

Temperatura wzrosła do trzydziestu stopni. Gorąco nie było problemem, ale oznaczało, że magma i tutaj ogrzewa wodę. Gdzieś wewnątrz wulkanu gorąca lava dotarła w pobliże tunelu.

– Chyba i tak wszystko nam pasuje – powiedział Jim. – Możemy odchodzić Conseila, kiedy będziemy instalować bombę. Na pancerzujesz kilka czujników i przyrządów, których nie będziemy potrzebować. Martwię się tylko o temperaturę.

Bez ostrzeżenia zgasł obraz z kamer.

– Co jest... ? – Jim sprawdził przełączniki na konsoli. – Cholera, mamy problem.

– Światła? – zapytała Tisa.

– Nie, to nie to. Connie zamilkł. Nie mam żadnych odczytów. – Próbował sprawdzić po kolei wszystkie systemy robota, żeby znaleźć problem. – Kurwa! – ryknął. Złapał za mikrofon. – Mostek! Tutaj McKenzie. Co wy tam, do cholery, wyprawiacie? Przecież dryfujemy! – Wskazał na ekran, na którym było widać współrzędne. Oddalili się o prawie dwieście metrów od miejsca, w którym powinni byli się znajdować.

– Proszę poczekać, panie McKenzie – zgłosił się oficer wachtowy. – Sprawdzam odczyty. Tak, wygląda na to, że kawałek odpłynęliśmy. Nie wiem, jak to się stało. Jakiś błąd komputera.

– Błąd komputera, jasna cholera. Czy wy w ogóle patrzycie czasem na ekrany?

– Oczywiście. Wszystko było w porządku, poza tym że nie jesteśmy na kursie. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Ale ja potrafię. Nie wykonywaliście obowiązków. – Jim się przełączył, bo nie chciał słuchać idiotycznych wymówek. – Pokład, tu kiosk. Brak komunikacji z robotem. Wyciągajcie go, ale powoli i z wyczuciem. Nie więcej niż pięć metrów na minutę. Jest w kanale wulkanicznym, niechcę, żeby się poobijał.

Całą godzinę trwało zwijanie kabla. Podczas gdy większość poszła na obiad, Mercer i Jim stali obok siebie i przyglądali się operacji. A kiedy w końcu lina wyłoniła się z oceanu, ich najgorsze obawy znalazły potwierdzenie.

Wyciągnięto z wody ponad trzysta metrów liny z przewodami, ale na końcu nie było robota. Kiedy „Angel” zaczął dryfować, pępowina łącząca pokład z Conseilem musiała zostać zerwana.

– Musimy wysłać na dół C. W., żeby podłączył linę – powiedział Jim. W jego głosie słychać było porażkę. – Connie blokuje tunel, więc takczy inaczej trzeba tam zejść.

– Jak go wyciągniemy, będziemy mogli go użyć do podłożenia bomby? McKenzie pokręcił głową i splunął za burtę.

– Kiedy kabel został zerwany, otworzyła się zbrojona izolacja. Tym kanałem woda sączy się teraz do jego wnętrza. Wszystkie obwody są spalone. To złom.

– A co z robotem Petromaksu?

– To tylko platformy telewizyjne. Są o połowę mniejsze niż Connie. Ile waży bomba?

- Sto trzydzieści kilogramów.
- Z takim obciążeniem pójdą na dno jak kamień.
- Co z workami wypornościowymi?
- Nie ryzykowałbym. Trzeba ładunek umieścić osobiście, korzystając z NewtSuit. Poza tym roboty nie mogą pracować w temperaturze powyżej pięćdziesięciu stopni.
- Ale woda ma raptem trzydzieści.
- Na razie. Jutro będzie czterdzieści. Pojutrze... kto wie?
- Dobra, zrobimy to w kombinezonach atmosferycznych
- zdecydował Mercer. – To nie jest optymalne rozwiązanie, ale nie mamy innego wyjścia.
- Wiem. Po prostu coś mi się w tym nie podoba. Jeśli coś pójdzie nie tak, Conseila możemy zastąpić nowym robotem. Nurka nie.

Tej nocy Mercer leżał na łóżku koło Tisy. Cały czas myślał, w jaki sposób statek mógł odpłynąć z miejsca, w którym miały go utrzymywać zaawansowane systemy pozycjonujące. Stracili przez to robota. I on, i Jim rozmawiali jeszcze z oficerem wachtowym, a potem ze sternikiem. Obaj upierali się, że nawet na chwilę nie opuścili swoich stanowisk. Dwóch oficerów, którzy nie mieli akurat służby, ręczyli za tamtych. Byli w tym czasie na skrzydle mostka i fotografowali lawę na południu. Pozostawał błąd oprogramowania. Ale to też było zupełnie nieprawdopodobne, bo cały czas system GPS działał poprawnie, a fakt, że nawalił tylko na chwilę, kiedy robot był najbardziej narażony na uszkodzenie, budził podejrzenia.

Wpatrując się w sufit, doszedł do wniosku, że jedynym wytłumaczeniem jest sabotaż. Na pokładzie mieli osobę, która chciała, żeby im się nie udało. Pierwszą podejrzaną została Spirit Williams. Tylko że ona nie miała żadnego motywu. Kiedy dalej się zastanawiał, przypomniał sobie o dziwnym sygnale, który Jim McKenzie przechwycił w trakcie nurkowania, na chwilę przed uruchomieniem się wieży nad złożem hydratów. Nikt nie znalazł potem na odczytach radarów innej jednostki w pobliżu. To zawężyło grono potencjalnych sabotażystów do osób na pokładzie. Tylko oni wiedzieli, kiedy uruchomić potężne śmigła, które miały zabić nurków.

To eliminowało Spirit. Mógł podejrzewać ją o wiele rzeczy, ale była tak zakochana w mężu, że nie potrafił sobie wyobrazić, by to ona uruchomiła wieże. Wiedziała przecież, że C. W. jest pod wodą, dokładnie tam, gdzie będzie unosił się metan.

Wsunął ramię pod poduszkę, a Tisa wtuliła się w jego ciało, przysuwając kark w pobliże jego ust.

Jeśli nie Spirit, to kto? Scott Glass, rezerwowy pilot? Nie było go wtedy na pokładzie „Surveyora”. Dołączył do C. W. w Kalifornii. A ta dwójka była niewinna, dawał za to głowę. Pozostawało pięciu techników, którzy przylecieli z Guamu razem z McKenzie.

Mercer nie znał ich imion, co sprawiało, że nie czuł wielkiego żalu na myśl, że po wybuchu bomby pozostaną w zamknięciu. Na wszelki wypadek zamknie też Spirit, bo nie mógł znieść już jej gadania. Może poprosi Tisę, żeby jej popilnowała.

To go zadowoliło, bo wiedział już kto – na pytanie dlaczego nie chciał i nie musiał szukać odpowiedzi; w końcu kto wie, co popycha fanatyków do zbrodni? Wciąż jednak zastanawiał się, jak komuś mogło udać się sprowadzić wyspecjalizowany statek z kursu tak, żeby nikt tego nie zauważył...

Tisa zmieniła pozycję. Mercer wiedział, że nie uśnie, dopóki nie rozwiąże dręczącej go zagadki. Odsunął ją trochę i spuścił nogi z łóżka. Mruknęła niezadowolona i z powrotem zapadła w sen.

Ubrał się po ciemku. Nie wkładał skarpetek ani bielizny. Potem wyszedł z kabiny. Korytarz był całkowicie pusty, ale czuć było, że statek wciąż żyje – delikatne wibracje silników i szum powietrza z wentylatorów. Minął kabinę Jima, którą ten dzielił ze Scottem Glassem. Przez zamknięte drzwi słyszał chrapanie przyjaciela. Od razu zaczął współczuć jego współpasażerowi. Następną kabinę zajmowali C. W. i Spirit. Usłyszał ich głosy.

Zatrzymał się. Była trzecia nad ranem. Nie mógł rozróżnić słów, ale zrozumiał, że się kłócili. Charlie pewnie powiedział jej o uszkodzonym robocie i że miał zejść pod wodę ze Scottem, żeby umieścić tam bombę atomową. Potrafił sobie wyobrazić jej reakcję.

Ruszył dalej, znalazł schody i zaczął wspinać się na mostek. Nie znał oficera wachtowego, ale rudy Irlandczyk wiedział, kim on jest. Pozdrowił Mercera, który stanął w progu.

– Późna pora na spacer, panie Mercer. Jestem Seamus Rourke.
– Większość kadry oficerskiej na „Angelu” pochodziła z Wysp Brytyjskich.

– Przekleńci nie zaznają spokoju. – Uśmiechnął się i podali sobie dłonie.

– Myślałem, że chodziło o grzeszników.

– O nich też. – Nalał sobie kawy z ekspresu. – Gdzie są odbiorniki sygnału GPS?

– Dręczy to pana, co? Siedzę tutaj i cały czas się zastanawiam, jak to możliwe. No i wychodzi mi na to, że to był sabotaż. A odbiorniki sygnału są na antenach na zewnątrz. Nie da się do nich dostać bez odpinania drabinek serwisowych. Tylko kapitan i oficer techniczny mają klucze, a ja sprawdziłem kłódki. Są w porządku.

– Czyli moja teoria jest na nic.

– Nie, bo są jeszcze inne sposoby – oznajmił Rourke.

– Zamieniam się w słuch.

– Są urządzenia, zwane zagłuszcaczami sygnału GPS. Tylko wojsko nimi dysponuje, bo za ich pomocą zakłócają pracę wrogich systemów pozycjonujących.

– To jest to! Już sobie przypominam, Saddam Husajn chciał ich użyć w czasie operacji „Iraqi Freedom”. I z tego, co pamiętam, nie zadziałały.

– Bo nie mogły zadziałać przeciwko urządzeniom marynarki i lotnictwa Stanów Zjednoczonych. Ale nasz sprzęt jest podatny na takie działania. „Angel” to dobra łajba, ale cudem nowoczesności była w czasach, kiedy Maggie Thatcher popijała kawkę na Downing Street 10.

Pomysł Rourke’a był uzasadniony.

– Jak takie urządzenie może wyglądać?

– Nie wiem, ale znając życie, to prosta czarna skrzyneczka. Coś, co wystarczy wyrzucić za burtę. Wątpię, żebyśmy to znaleźli, nawet jeśli sabotażysta zostawił urządzenie na pokładzie. No i jeszcze jest możliwość, że nasze odbiorniki zostały zakłócone przez kogoś na brzegu. Byliśmy w tym czasie dość blisko.

O tym Mercer nie pomyślał. W przypadku „Sea Surveyora” nie znaleźli żadnego statku, ale tutaj ktoś naprawdę mógł ukryć się na wyspie. Na lądzie pracowało ponad jedenaście tysięcy robotników, a ponad tysiąc mieszkańców La Palmy uparło się pozostać w domach. Nikt nie sprawdzał nikogo pod względem bezpieczeństwa, bo nie było na to czasu.

Wysoki oficer spojrzał Mercerowi w oczy.

– Ale dlaczego? Po co ktoś miałby to robić? Przecież chcemy uratować świat, prawda? Dlaczego ktoś chciałby nas powstrzymać? Jaki można mieć z tego zysk?

– Tu nie chodzi o zysk. – Mercer postawił filiżankę obok ekspresu. – Tylko o zmaksymalizowanie strat. – Zapomniał o bracie Tisy, Lucu. Nie słyszał o nim od Rinpoche-La, a przecież on wciąż przebywał na wolności.

Mercer wrócił na pokład. Powietrze było cięższe niż wcześniej i czuć w nim było napięcie. Piorun trafił w odległy stok wulkanu Cumbre, oświetlając pióropusz dymu i gazów. Geolog zatrzymał się i oglądał, jak błyskawica za błyskawicą uderzają w to samo miejsce. Po drugiej stronie stożka miał ekipy, które nieprzerwanie wierciły w skale, by ustabilizować oderwany fragment wyspy. Ciężarówki ze świdrami były właściwie uziemione, ale było tylko kwestią czasu, kiedy piorun trafi w człowieka.

Mając już tylko tydzień, zaczął się zastanawiać nad ewakuowaniem ich z wyspy. Stabilizacja rurami podającymi szlam wiertniczy nie uzasadniała ryzykowania kolejnych istnień. Wiedział od początku, że cały projekt, choć najlepszy, nie był doskonały. Miał jedynie nadzieję, że zadziała sztuczka z bombą atomową.

Jeśli dałoby się to łatwo przeliczyć, na przykład, że każdy odwiert ograniczy masę skał wpadających do oceanu o tonę, to co wtedy? Jeśli jedna tona oznaczałaby ocalenie jednej rodziny na Bahamach albo w Belgii?

W czasie licznych inspekcji poznał tych ludzi i wiedział, że to twardziele, których i tak nie zmusiłby do ewakuacji. Był niemal pewien, że najodważniejsi nie przestaliby wiercić nawet w chwili, kiedy po wybuchu wulkanu Cumbre Vieja skała runęłaby do morza.

Odwrócił się plecami do wyspy i spojrzał na wschód. Zbliżał się poranek, a pomarańczowy blask gorącej lawy farbował niebo na złowrogą czerwień. Tak musiał wyglądać ostrzał artyleryjski, pomyślał. Głośne wybuchy pasowały do tego wyobrażenia.

Uświadomił sobie, że w Arlington była w tej chwili dziesiąta wieczorem. Harry pewnie siedział przy barze u Tiny'ego. Paul tkwił jak zwykle w ciasnym biurze i ustalał stawki na kolejny dzień zakładów. Doobie Lapoint krzątał się za barem z ręcznikiem przewieszonym przez ramię. Ten kawałek materiału był najczystszą rzeczą w całym barze. Mercer zapragnął nagle wrócić tam i stać się częścią normalnego świata, uciec od podejmowania decyzji, które miały wpływ na życie milionów.

Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer do domu, ale patrząc na ekran, uświadomił sobie, że nie ma zasięgu. Kolejna błyskawica oświetliła wyspę.

Mercer miał całą sekundę, żeby zrozumieć, że to nie była błyskawica. Niebo zostało rozdarte na dwie części, a słup popiołu sięgnął trzech kilometrów. Dopiero wtedy do „Angela” dotarł grzmot, który zwałił go z nóg.

San Juan właśnie wybuchł.

Oświetlony tryskającą lawą wulkan wyrzucił w górę kolumnę gazów, popiołów i rozpalonych do czerwoności skał. Rosnąc, rozszerzał się jak wielki grzyb.

Statek znajdował się ponad półtora kilometra od brzegu, a stożek wulkanu wznosił się dwadzieścia kilometrów w głąb lądu. Mimo to fala uderzeniowa trafiła „Angela” z okrutną siłą huraganu. Mercer uczepił się relingu w chwili, kiedy podmuch wiatru trafił go w twarz. Musiał jak najszybciej znaleźć schronienie. Za chwilę pierwsze bomby wulkaniczne i popiół zasypią pokład; mimo to nie mógł się puścić, bo wciąż wiał huraganowy wiatr wywołany falą.

W głowie wciąż dzwonił mu grzmot wybuchu – dźwięk, który przyprawiał go o dreszcze. Kiedy w końcu wstrząsy ustały, czuł się jak pusta łupina. Palce zagięte wokół metalowych rur relingu wyglądały jak blade szpony.

Wstał i pierwszą myślą, jaka pojawiła się w jego głowie, był strach o pracowników przy świdrach, stabilizujących zbocze stożka. Musiał natychmiast znaleźć sprawne radio. Musiał wiedzieć, ilu stracił. U podnóża zbocza San Juan pracowało

przynajmniej pięć świdrów. W promieniu pięciu kilometrów od epicentrum eksplozji znajdowało się piętnastu ludzi, a jeszcze więcej, jeśli uwzględnić personel pomocniczy, który krążył między maszynami.

Drzwi do nadbudówki odskoczyły ze szczękiem i na pokład wypadła Spirit Williams. Miała na sobie koszulkę tak krótką, że nie zakrywała całych piersi. Co prawda miała też majtki, ale trudno było je zauważyć. Mercer minął ją bez słowa.

– Co się stało? – krzyknęła, pędząc za nim.

– Wybuchł wulkan. – Załoga i naukowcy wychodzili zaspiani z kabin, często niekompletnie ubrani.

Mercer wspiał się na mostek. Trzeci oficer Rourke stał przy szybie czołowej i przyciskał do twarzy lornetkę.

– Seamus, do radia. Sprawdź, czy mamy łączność. Muszę wiedzieć, co się dzieje na wyspie – Mercer jeszcze raz sprawdził, czy działa jego komórka, ale nadal nie miał zasięgu.

– Twoja dziewczyna mówiła, że mamy jeszcze dwa tygodnie! – krzyknęła Spirit oskarżycielsko.

– Leć po Jima – rozkazał. – I twojego męża. Musimy przyspieszyć nurkowanie.

– Doktorze, mam łączność z wybrzeżem. – Oficer stał z mikrofonem i słuchawkami w dłoniach.

– Tutaj Philip Mercer. Z kim rozmawiam i gdzie jesteście?

– Bill Farley, asystent szefa ekip wiertniczych. Jestem jakieś dwanaście kilometrów na południe od wulkanu.

– Jaką macie sytuację?

– Totalny chaos. Nie wiem, co się dzieje. W pobliżu szczytu były trzy zespoły, dwa kolejne nieco niżej. Nie udało mi się z nimi już skontaktować. Nie wygląda na to, żeby ktokolwiek tam miał szansę.

Wiadomość była tak niespodziewana, że poczuł się, jakby ktoś uderzył go pięścią.

– Co z uskokiem? – zapytał. – Jakieś przemieszczenie?

– Gdyby drgnął, już by mnie tu nie było. Stoję dokładnie na nim.

– Bill, zbierz wszystkich, do których uda ci się dotrzeć, a potem ich ewakuuj. Nie wiem, dlaczego San Juan eksplodował wcześniej, ale musisz zebrać wszystkich żywych i uciekać z wyspy. – Komórka Mercera zaczęła wibrować. Zakłócenia atmosferyczne najwyraźniej ustąpiły i sygnał zaczął znów do nich docierać. – Nie wyłączaj się – krzyknął jeszcze do oficera i otworzył swoją nokię. – Mercer.

– Tu Ira. Co tam się dzieje? Właśnie dzwonili do mnie z Wywiadu Geologicznego USGS. Zanotowali potężną erupcję na La Palmie.

– To San Juan. Rozmawiałem właśnie z facetem na uskoku. Powiedział, że skały nawet nie drgnęły, więc pewnie mamy jeszcze trochę czasu.

– To nie ma znaczenia. Jak tylko prezydent dowie się, co się u was dzieje, wyda rozkaz ewakuacji.

Mercer musiał się zgodzić.

– Jak też bym nie czekał.

Jak to możliwe, że Tisa się myliła? To pytanie krążyło w jego głowie od pierwszej sekundy, kiedy zobaczył erupcję. Teraz myślał już tylko o tym. Trzęsienie ziemi na Santorini przewidziało co do minuty. Jak mogła tym razem pomylić się o trzy tygodnie?

- Gdzie jest głowica? – zapytał admirała.
- Ciągłe jeszcze w laboratoriach Livermore Labs.
- Ile wam zajmie ściągnięcie jej tutaj?
- Cztery godziny.

Nawet za pomocą SR-71 blackbirda nie dałoby się jej dostarczyć z Kalifornii do Hiszpanii. To były przecież tysiące kilometrów. Mercer spodziewał się, że niedługo świat zobaczy jeden z najtajniejszych projektów lotniczych, SR-1 Wraith, hipersoniczną jednostkę rozpoznania, zwana przez niektórych Aurorą.

- Świetnie. Ira, wciąż mamy szansę.
- Mercer, jeśli ta góra runie, nie będzie miało znaczenia, że jesteś po drugiej stronie wyspy. Fala cię zmiecie. Może powinienś uciekać?

– Nakazałem ewakuację personelu z La Palmy, ale ja tu zostaję. Muszę spróbować z bombą atomową. Muszę.

- Jeśli się pomyliłeś, skazujesz siebie i całą załogę na śmierć.
- Nie powtarzaj banałów. Wiem to wszystko. – Mercer próbował się uspokoić. Atak na przyjaciela niewiele mógł jednak pomóc. – Ira, czy mógłbyś kupić mi jeszcze dwanaście godzin? Obaj wiemy, że kiedy padnie rozkaz ewakuacji, tysiące zginą, bo wybuchnie panika.

– Ale miliony będą bezpieczne, kiedy ruszy w ich stronę fala.
Nie ma miejsca na ryzyko.

– A jeśli to nie była główna erupcja? Jeśli wciąż mamy czas?
Tisa nie myliła się wcześniej, więc teraz też pewnie ma rację.

– To dlaczego wulkan pluje lawą?

– Nie wiem – musiał przyznać. – I nie dowiem się, dopóki z nią nie porozmawiam.

– A jeśli Tisa też nie będzie miała pojęcia? – Mercer nie wiedział, co odpowiedzieć. – Wybacz, ale prezydent nie ma wyjścia. Musi zarządzić ewakuację, a ja go poprę.

– Dobrze, rób, co uważasz za słuszne, ale dostarcz mi bombę.

– To akurat mogę ci obiecać.

– Będziemy w kontakcie. – Mercer złożył telefon i wsunął go do kieszeni. Jim i Tisa stali z tyłu mostka. Tisa wyraźnie cierpiała, spoglądając na słup dymu, który zasnuwał już całą wyspę. Kiedy przemówiła, miała w głosie dużo pewności siebie.

– To nie ta erupcja, której dotyczy przepowiednia. To dopiero wstęp.

– Wierzę ci. – Mercer dotknął jej ramienia. – Ale niestety, tylko ja.

– Będą próbować ewakuować Wschodnie Wybrzeże? – zapytała.

– Prezydent pewnie ogłosi decyzję dziś wieczorem.

– Co chcesz zrobić?

Mercer nie miał najmniejszych wątpliwości.

– Skończyć to, co zaczęliśmy. – Jim kiwnął głową, że się z nim zgadza. – Bomba trafi do nas za cztery godziny. Natychmiast

po jej dostarczeniu trzeba będzie umieścić ją w odpowiednim miejscu, uciec na bezpieczną odległość, zdetonować i ustabilizować w ten sposób skały. Gdzie jest C. W. i Scott?

– Widziałem Scotta, jak szedł w kierunku kiosków sterczenia – powiedziała Tisa. – Ale Charliego nie.

Spirit wpadła na mostek. Krzyczała histerycznie i płakała, nie mogąc zaczerpnąć tchu. Nie ubrała się i wciąż była prawie naga.

– C. W. jest ranny! Krwawi z głowy i jest nieprzytomny! Historia zaczęła układać się w całość.

– Jim, biegiem na dół i przygotuj wszystko do zejścia. – Mercer wyrzucał rozkazy jak karabin maszynowy. – Tisa, idziesz z nim. – Spojrzał na Seamusa Rourke’a. – Czy na statku jest jakaś broń?

– Broń? Ale po co? – Wtedy Rourke zrozumiał. Sabotażysta. – Nie, żadnej. Mogę zebrać załogę i przeszukamy cały statek.

– Dobrze. Zamknijcie każdego, na kogo traficie z załogi „Surve-yora”. Wyjątkiem jest Jim i Scott Glass. Resztę zamknąć w mesie.

– Co ty wyprawiasz? – zaprotestował Jim.

– C. W. został celowo zaatakowany.

– Co? ! – krzyknęli jednocześnie Spirit i McKenzie.

– Sygnał uruchamiający turbiny nad złożami hydratów, potem błąd komputera zawiadującego GPS-em, który uszkodził przewody robota, a teraz C. W. , najlepszy na świecie nurek, myślicie, że to przypadek? Ktoś przyjechał tu z wami i sabotuje nasze wysiłki.

– To mógł być... – Jim zamilkł, kiedy w jego głowie elementy ułożyły się w całość. – Co za skurwieli!

– Tisa ostrzegała mnie, że Zakon ma tysiące ludzi i miliony sympatyków. Nie mogliśmy wiedzieć, że umieścili wśród nas agenta.

– A ja zostawiłam go samego! – zawyła Spirit. Nie wycierała łez, które toczyły się po jej policzkach. – Mogli go znów zaatakować...

– Ruszamy! – krzyknął Mercer. Minał dziewczynę i wypadł na zewnątrz. – Jim, przygotuj oba kombinezony. Może z C. W. nie jest tak źle.

Razem zbiegli na drugi pokład. Mercer pchnął drzwi do kabiny nurka. Młody mężczyzna leżał na ziemi, u stóp piętrowego łóżka. Miał na sobie džinsy i buty, ale był bez koszulki. Wokół torsu i głowy rozlewała się po podłodze szkarłatna kałuża krwi. Blond włosy oblepiały jego czaszkę, a ciemna opalenizna nabrała barwy popiołu.

Spirit nie mogła wejść do środka. Stała w drzwiach i przyciskała dłonie do ust, żeby powstrzymać się od płaczu. Cała się trzęsła. Mercer uklęknął przy C. W. i sprawdził puls. Serce Kalifornijczyka pracowało, ale słabo. Następnie dotknął opuszkami palców jego głowy, żeby sprawdzić uszkodzenia. U nasady czaszki trafił na otwór wypełniony miękką substancją. Z rany sterczały kawałki pokruszonej kości.

– Czy on... ?

– Żyje, ale krucho z nim. – Mercer sprawdził odruch rogówkowy. Jedna źrenica była rozszerzona i nie reagowała na światło. –

Ma uszkodzoną czaszkę i silne wstrząśnienie mózgu. Potrzebuje lekarza. – Na pokładzie było około dwudziestu naukowców ze stopniem doktora, ale żadnego lekarza. – Nie ruszajcie go, tylko przykryjcie. No, dalej.

Razem ze Spirit zdjęli koce z kilku łóżek i otoczyli nimi C. W., a na koniec przykryli go, żeby nie marznął. Mercer podkreślił ogrzewanie i znalazł jeszcze kilka koców w szafce.

Kiedy skończyli, drugi inżynier przybiegł z plastikową opaską ortopedyczną.

– Co tu się stało?

– Wygląda na to, że ktoś dał mu po głowie – wyjaśnił Mercer, klęcząc obok oficera, który badał rannego, najwyraźniej wiedząc, co robi.

– Świetny pomysł z kocami – powiedział ze szkockim akcentem. – Jest w szoku. Trzymajcie to. – Podał Mercerowi worek z solą fizjologiczną, a potem wbił igłę w przedramię Charliego i uruchomił kroplówkę. – Utrata krwi jest równie niebezpieczna, jak uszkodzenie głowy.

– Jest pan lekarzem? – zapytała Spirit. Profesjonalne podejście oficera podniosło ją na duchu.

– Nie, proszę pani. Mam za sobą tylko szkolenie ratownicze w marynarce. – Mówiąc to, sięgnął po nożyczki i maszynkę do golenia, żeby ściąć włosy dookoła rany. Potem ostrożnie startł krew tamponem nasączonym solą fizjologiczną. – Dobra, co tu się stało... Rana jest głęboka, kości połamane, ale ta część czaszki jest bardzo gruba, więc nic nie jest przesądzone. – Za pomocą szczypiec usunął największe kawałki kości. Spojrzał na

Mercera, a potem na Spirit. Dopiero teraz zauważyła, że prawie nic na sobie nie ma. Złapała jedną z koszul męża i owinęła się nią. – Trochę zabezpieczę ranę bandażem, a potem będziemy musieli poczekać. Jest miody, wygląda lepiej niż sportowiec, więc miejmy nadzieję, że wszystko się dobrze skończy. Kiedy się obudzi, będzie go bolała głowa, a przez kilka dni nie będzie chciał się ruszać. Niech sobie śpi, ale ktoś musi go pilnować. Wpadnę za godzinę, żeby sprawdzić, jak się ma.

Spirit rzuciła mu się na szyję.

– Dziękuję!

– Poproszę kogoś, żeby stanął tu na warcie, jeśli nie masz nic przeciwko – powiedział Mercer, kiedy oficer wyszedł z kabiny.

– Trochę późno, co? Już mu ktoś rozwalił łeb, do jasnej cholery.

– Bardzo mi przykro. Nie sądziłem, że do tego dojdzie.

– Nie sądziłeś, że do tego dojdzie? ! – wrzasnęła. – A coś ty sobie w ogóle myślał? Doszło już do tego, że ktoś chciał go zabić na naszym statku! A co by się stało, gdyby był w kanale, kiedy statek zaczął dryfować? Jesteś zarozumiałym skurwysynem, wiesz? Nie dbasz o nikogo i o nic, jeśli nie ma ci to przysporzyć chwały. – Zaczęła płakać. – Wynos się!

Mercer wyszedł z kabiny, choć wiedział, że nie chodzi o jego chwałę. Może jednak Tisa źle ją oceniła.

Pokład statku zasypywały kolejne fale popiołu. Mimo włączonych wszystkich świateł panowała niemal całkowita ciemność. Oficer wachtowy wpadł na pomysł, żeby uruchomić działka przeciwpożarowe i spłukiwać rosnącą warstwę pyłu. Teraz lepka

maż skapywała z powrotem do morza. Zaczął padać deszcz. Mercer zauważył, że krople padające na odsłoniętą skórę parzą. Zamiast wody z nieba padał kwas siarkowy. Znalazł Jima, Scotta Glassa i Tisę. Czekali na niego w kontenerze z centrum sterowania.

– Co z C. W. ?

– Ktoś dał mu po głowie – odpowiedział Mercer, ścierając z twarzy brudny szlam. – Ma wstrząśnienie mózgu, ale jeden z technicznych, który jest przy okazji sanitariuszem, uważa, że nic mu nie będzie.

– Co z nurkowaniem? – zapytał Scott. Był młodszy niż Charlie, miał ciemne włosy i krótką bródkę. Za to czaszkę ogoloną na łyso. W przeciwieństwie do C. W. , który podchodził do wszystkiego z naturalną swobodą, Glass wykazywał się gorliwością i uwagą, która spodobała się Mercerowi. – Jedna osoba nie da sobie rady z liną.

– Czy ktoś z Petromaksu nurkował w kombinezonach atmosferycznych?

– Nie. Od spraw podwodnych jest tylko pilot łodzi podwodnej. Może dać sobie radę, ale nie ma nawet metra sześćdziesięciu. Kombinezon byłby za duży.

– Większość gości z Petromaksu – dodał Jim – pracuje na Morzu Północnym, a tam wszystko robią nurkowie saturacyjni.

– Możemy ich wykorzystać?

– Kilka dni trzeba by poświęcić na przygotowanie dzwonu nurkowego i przyzwycząić nurków do oddychania odpowiednim gazem. – Jim pokręcił głową. – Conseil utknął ponad sto sześć-

dziesiąt metrów w głąb kanału magmowego, a żeby umieścić bombę, trzeba będzie wejść jeszcze głębiej. Albo kombinezon, albo w ogóle nie zwracajmy sobie głowy.

– Nie wiem, czy to nie była uprzejmość – powiedział Scott – ale C. W. twierdził, że Mercer jest niezły w operowaniu skafandrem. Ponoć bawiliście się nim na „Surveyorze”. Jeśli byłbyś gotów zaryzykować, to schodzę z tobą jako wsparcie.

Mercer się zawahał.

– Kurczę, tylko kilka razy zesliśmy pod wodę. Może ze trzy godziny spędziłem w środku, i to na otwartych wodach. Odpada. A ty, Jim?

– To głupie, ale ja nigdy nawet nie pływałem z maską. – Gdzieśw tle rozległa się kolejna eksplozja wulkaniczna. – Nie mamy czasu sprowadzać nikogo nowego. Musimy umieścić bombę w odpowiednim miejscu od razu, jak ją dostaniemy.

Mercer wiedział, że nie powinien ryzykować całej misji, bo miał zbyt małe doświadczenie. Naraziłby na szwank cały projekt, gdyż wystarczyła przecież mała pomyłka. Nie powinien był tego robić... ale czy miał inne wyjście? Spojrzał na Tisę. Rozumiała, co czuje i jak męczy go ta decyzja. Pokiwała głową, żeby dodać mu otuchy i okazać współczucie.

Scott miał prowadzić. Zadaniem Mercera było wspierać go w razie potrzeby. Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, miał po prostu trzymać się z tyłu i nie wchodzić mu w drogę. Tak, z tym chyba dam sobie radę, pomyślał Mercer. Ale jeśli zacznie się coś dziać? Co wtedy? Nie chciał o tym myśleć. Glass potrzebował kogoś, kto pomoże mu ciągnąć kabel do podłącze-

nia robota, a na pokładzie nie było nikogo, kto mógłby w ogóle próbować.

– Dobra. Ruszamy, jak tylko dostarczą nam bombę. Mamy więc jeszcze jakieś cztery godziny na naukę tego, co ominął C. W. – Mercer uśmiechnął się do Glassa. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Chciałem powiedzieć dokładnie to samo.

Zanim zaczęli przymierzać kombinezony, Jim przekonał Mercera, że powinien dostać technika, który z góry pomagałby mu w czasie nurkowania, i sam wybrał właściwą osobę.

– Dobra, ale tylko on – zgodził się Mercer, choć nie podobało mi się, że będzie musiał wypuścić kogoś z mesy.

Chciał się dowiedzieć, kiedy dokładnie dostaną głowicę jądrową, ale nie mógł dodzwonić się do Iry. Znów nie było zasięgu. Udało mu się za to połączyć z Billem Farleyem, szefem zespołów wiertniczych na wschodnim stoku wulkanu.

Zarządzono ewakuację, ale i tak nikt nie opuścił swojego stanowiska. Co więcej, Farley poinformował, że na miejscu zaraz stawią się robotnicy z pozostałych zmian. Setki mężczyzn chciało rozpocząć wielką akcję, by zatrzymać skałę przed osunięciem się do morza. Zapowiedział, że opuszczą stanowiska dopiero, kiedy bomba znajdzie się na swoim miejscu i będzie gotowa do odpalenia.

Mercera rozpierała duma. Przechodząc z kontenera na środkowym pokładzie do rufy, gdzie trzymano NewtSuit, miał wrażenie, że znalazł się w sercu cyklonu. Wiatr i deszcz smagały statek i, mimo wysiłków, załoga przegrywała z żywiołem. W

niektórych miejscach warstwa lepkiego szlamu sięgała kilkadziesiąt centymetrów. Na powierzchni morza unosił się kożuch syczących kawałków pumeksu.

Jasnożółte NewtSuit stały przygotowane i czekały z otwartymi włazami. Przypominały pancerzyki jakichś gigantycznych żuków z filmu science fiction. Technik, którego Jim wyznaczył mu do pomocy, zainstalował kilka dodatkowych świateł na ramionach i przedramionach oraz zapasowy zestaw akumulatorów.

– Będziemy ciągnęli za sobą linę do robota, więc nie zostaniemy połączeni ze statkiem. To byłoby zbyt wielkie ryzyko – wyjaśnił Scott. – Bardzo łatwo moglibyśmy się splątać. Między sobą będziemy mogli komunikować się bez przerwy, ale kiedy znajdziemy się w tunelu, połączenie ze statkiem zostanie zerwane.

– Skąd będą wiedzieli, że należy zacząć wyciągać Conseila? Scott poklepał stalowe szczytce, którymi zakończone były ramiona skafandra.

– Kiedy tylko ją przywiążemy, uderzę kilka razy tym cudem. Jim może odczytywać wibracje na monitorze. Jedno uderzenie oznacza start, dwa stop.

– Tak prosto?

– Aha. A teraz słucham, czego nauczył cię C. W. , kiedy razem nurkowaliście. Ja nauczę cię reszty.

Następne trzy godziny poświęcili na omówienie wszystkich systemów w kombinezonach i ich działania. Mercer pochłaniał tyle wiadomości, ile tylko mógł, a Scott starał się niczego nie pomijać. Geolog wciąż pamiętał większość informacji, które

przekazywał mu Charlie, a Glass je pogłębiał. Godzinę spędzili wewnątrz kombinezonów, zasilając je z sieci statku, żeby nie marnować prądu z akumulatorów. Mercer wiedział, że trenowanie na sucho było zupełnie różne od nurkowania pod wodą, ale i tak był wdzięczny za tę szkołę i cierpliwość.

Jedyną zmianą, jaką wprowadzili do oryginalnego planu, była zamiana kombinezonów. Scott miał popłynąć w skafandrze Charliego, a Mercer użyć zapasowego, w którym pływał, kiedy był na pokładzie „Sea Surveyora”. Scott uważał, że dla niego lepiej dostrojony jest kombinezon C. W.

Zrobili sobie przerwę akurat w momencie, kiedy przesyłka od Iry znalazła się całkiem blisko. Mercer spróbował skontaktować się z admirałem przez telefon, ale wciąż nie było sygnału. Jim za to użył swojego radia. Połączył się z główną stacją nasłuchową na Teneryfie, a tam powiedziano mu, że przesyłka dotarła do Lizbony w Portugalii i była już w drodze na La Palmę. Ale rozmówca nie miał pojęcia, w jaki sposób pokonywała ten odcinek.

– Nie ma mowy, żeby przywieźli nam ją helikopterem. Nie w tych warunkach – powiedział Scott, wyglądając na zewnątrz kontenera.

Poranek był na razie tylko jaśniejącą obietnicą gdzieś za horyzontem. Kilka godzin wcześniej San Juan przestał wypluwać popioły, ale i tak unoszone przez wiatr zasłaniały niebo, które pozostało ołowiane nawet po ustąpieniu chmur. Było tak ciemno, że ledwie widać było zarysy wyspy półtora kilometra dalej.

– Hej, Mercer! – krzyknął Jim ze stanowiska sterowania. – Chyba coś mamy!

Mercer przebiegł przez pokład i schronił się w jego kontenerze.

– Co takiego?

McKenzie podał mu słuchawki z mikrofonem.

– Tak? – zapytał Mercer.

– To ty, Śnieżka?

W eterze było zbyt wiele zakłóceń, żeby rozpoznać głos, ale po chwili Mercer przypomniał sobie, kto mógłby go tak nazywać.

– Sykes?

– Tak jest. – Komandos nie wysiadł na La Palmie, kiedy wracali z Tybetu. Lasko i pozostali decydenci z Waszyngtonu czekali z niecierpliwością na sprawozdanie z akcji, którego Mercer nie mógł im złożyć, więc Sykes zajął jego miejsce. Z Wysp Kanaryjskich udał się do Waszyngtonu tym samym wypożyczonym samolotem, którym wyruszyli z Katmandu. – Gotowy na atomową wiadomość?

– O czym ty mówisz?

– Jestem piętnaście kilometrów od was. Głowica nuklearna została załadowana do ZPA i zaraz ją spuścimy.

– Ty też dołączysz?

– Wybacz, stary, ale nie tym razem. Siedzę za plecami tych samych pilotów, którzy wozili nas po Tybecie. Mogli mi zaofiarować jedynie składane krzeselko w kokpicie.

Mercer dostrzegł logikę takiego rozwiązania. Kapsuły zostały zaprojektowane tak, by żołnierzom nic się nie stało podczas desantu. Wysyłanie helikoptera nie wchodziło w grę, a zwykły

zrzut ze spadochronem był zbyt nieprecyzyjny. Kapsuły ZPA wydawały się jedynym rozsądnym rozwiązaniem.

– Potwierdźcie waszą lokalizację – poprosił Sykes. – A gdybyś zapomniał zapytać, to już teraz cię informuję, że detonator został ustawiony na trzy godziny. Jak go uruchomisz, nic nie da się zrobić.

– Dobra, Booker. Przełączam cię do Jima McKenziego. To, że tak powiem, dyrektor tego cyrku. Miło było cię słyszeć.

– Ciebie też. Powodzenia. Chyba będziecie go potrzebowali.

– Niestety... – Mercer oddał słuchawki Jimowi, a sam wrócił na pokład i kazał załodze odłożyć węże i zrobić miejsce.

„Angel” miał około piętnastu metrów wolnego pokładu na śródookręciu między kontenerem z centrum sterowania a nadbudówką. Akurat dość miejsca, żeby wylądowała tam kapsuła ZPA. Sam stanął pod skrzydłem mostka i, osłaniając oczy przed kwaśnym deszczem i wirującymi płatkami popiołu, wypatrywał charakterystycznego kształtu podwieszonego pod spadochronem. Nie pomyślał o tym, że systemy GPS cały czas korygowały kurs opadania i zamiast rozglądać się na boki, patrzył prosto w górę.

Tymczasem ZPA nadleciał z boku, znad lewej burty i delikatnie przewrócił się na bok. Białe nylonowe spadochron zniknął porwany powiewem.

Uszczelnienie ciśnieniowe zasyczało i rozległ się delikatny trzask. Wieko się podniosło. Mercer nie potrafił opanować uczucia grozy, kiedy zbliżał się do pojemnika. Bał się go do-

tknąć. W końcu uniósł do końca wieko i popatrzył na przesyłkę spoczywającą niewinnie na piance.

Bomba była biała i gładka. Ot, zwykłe prostokątne pudełko wielkości sporej walizki. Położył na niej dłoń. Była zimna.

Zadrzał. Pod stalową pokrywą i ołowianą osłoną znajdowała się kula z ładunków wybuchowych, których eksplozja implo-dowała mniejszą kulę z plutonu. Głowica miała dość mocy, by zmieść z powierzchni ziemi całe miasto. Modlił się, by starczyło jej do ocalenia Ziemi.

Pokład „Angela”, w pobliżu La Palmy

Do Mercera podszedł marynarz z małym podnośnikiem na kółkach. We dwóch przyczepili hak do obudowy bomby i ostrożnie wyjęli ją z kapsuły. Broń zakołysała się na stalowej linie i zakreśliła, przypominając Mercerowi meksykańską zabawę urodzinową, zwaną pinata. Absurdalność takiego skojarzenia wywołała uśmiech na jego twarzy.

– Co pana tak śmieszy, doktorze? – zapytał marynarz.

– Dobrze, że nie mam opaski na oczy i kija, bo z tego cuda cukierki raczej nie wypadną.

Razem ruszyli przez śliski pokład, pchając podnośnik z głowicą jądrową w kierunku rufy. Potężne ilości popiołu osadzające się na wodzie uspokoiły fale, więc statek znieruchomiał, jakby znalazł się w suchym doku. Marynarze skierowali wodę z hydrantów za burtę, żeby silnymi strumieniami odsunąć szlam dla nurków. W świetle reflektorów z rampy widać było, że opad popiołu zmniejsza się, podobnie jak intensywność deszczu. Nawet niebo odrobinę pojaśniało.

Mercer poprosił jakiegoś marynarza, żeby przejął podnośnik i odebrał telefon. Sygnał był bardzo dobry i jakość dźwięku w słuchawce zdecydowanie najlepsza od początku erupcji.

– Musiałeś chyba przez bardzo ważnych ludzi dotrzeć do prezydenta – powiedział Ira na powitanie.

– Co się stało?

– Dzwonię z dobrymi wiadomościami. Prezydent postanowił poczekać do rana z wydaniem rozkazu ewakuacji całego Wschodniego Wybrzeża.

– Nie, to nie mój wpływ. – Mercer uśmiechnął się, zadowolony z takiego obrotu sprawy. – Ale odłożenie ewakuacji do jutra ma zdecydowanie więcej sensu niż rozpoczynanie akcji po jedenastej wieczorem.

– Tak czy inaczej, masz dodatkowych pięć godzin. Jeśli uda ci się w tym czasie umieścić bombę, zdetonować ją i zapobiec megatsunami, prezydent w ogóle nie ogłosi ewakuacji. Masz już zabawkę?

– Od dwóch minut. Świetny pomysł z ZPA.

– Tak przypuszczałem, że ci się spodoba – powiedział Ira. – My zajmiemy się bezpieczeństwem mieszkańców pozostałych wysp. Muszą znaleźć się powyżej linii fal, jakie mogą powstać po wybuchu bomby. Marynarka powiększa strefę zamkniętą wokół was. Mamy tam okręt wojenny, zostawimy go wam wewnątrz kordonu. Tak na wszelki wypadek.

– A co z wybrzeżem Afryki? – zapytał Mercer, wciąż jeszcze zaskoczony świetnie skoordynowaną akcją, choć przecież sam był w jej centrum.

– Jest jeszcze bardziej pustynne niż dotychczas. ONZ odwaliła kawał dobrej roboty. Nurkowie gotowi?

Podobnie jak sam nie chciał, żeby zawracać mu głowę politycznymi aspektami kryzysu, tak nie chciał zamęczać Iry techniczną stroną swojej pracy. Nie wspomniał więc ani słowem

o ataku na Charliego Williamsa ani o sposobie, w jaki bomba dostanie się pod wulkan.

– Wszystko gotowe. – Mercer nie wiedział, jak poruszyć ostatni temat, który chciał omówić z przyjacielem. W jego naturze nie leżało zakładanie porażki, ale pewne sprawy musiały ustalić. – Słuchaj, Ira, mam do ciebie prośbę.

– Wal.

– Jeśli coś pójdzie nie tak i rozpocznie się ewakuacja, zajmiesz się Harrym?

– Już się zająłem. On i Tiny mają przygotowany do drogi twój wóz, a w pobliżu Lynchburga w Tennessee zarezerwowałem im hotel.

Wybór miejsca, w którym mieli przeczekać najgorsze, nie był niespodzianką.

W Lynchburgu znajdował się główny zakład produkcyjny i gorzelnia Jacka Danielsa.

– Świetnie. Upewnij się tylko, że wyruszą w drogę.

– Pewnie, że o to zadbam. Ale ty nie powinieneś się tym martwić. Myślę, że pojedą tam nawet, jak prezydent nie wyda rozkazu.

Mercer musiał się uśmiechnąć.

– To mu tylko przekaz, że jak jego psisko podrapie mi pazurami tapicerkę, to dam ją obić jego skórą.

– Nie ma sprawy. Muszę lecieć, Mercer. Jak coś, od razu dzwoń.

– Na jakiś czas mogę być poza zasięgiem, ale wtedy kontaktuj się z Jimem McKenziem albo z Tisą.

– Zgoda. To powodzenia.

– Mercer schował telefon do kieszeni ubrania, które dostał do Scotta. Glass czekał przy kombinezonach i rozmawiał ze Spirit.

– Co u C. W. ? – zapytał.

Spirit spojrzała na niego groźnie i nie odpowiedziała.

– Wciąż nieprzytomny – włączył się Scott, nie rozumiejąc, skąd między nimi tyle animozji. – Dostał właśnie czwartą kroplówkę. Spirit twierdzi, że już nie jest taki blady i przestał krwawić.

– Dobrze wiedzieć.

Z kontenera wyszła Tisa. Spirit rzuciła jej ostre spojrzenie i znów zaatakowała.

– Widzę, że nie jesteś nawet dość męski, żeby użyć jego kombinezonu – powiedziała i uciekła.

– Mówiłam ci. – Tisa uśmiechnęła się do Mercera.

– Ale się myliłaś. Ona mnie nienawidzi najbardziej na świecie. Pogłaskała go po ramieniu.

– Niewiele wiesz o kobietach. To dobrze. Dla mnie.

– Niby dlaczego?

– Bo nie przejrysz moich kobiecych sztuczek.

Pośród wszystkich przeszkód, jakie napotykał, problemów, które musiał rozwiązywać, i spraw, w które go angażowano i którymi go zamęczano, jedynie Tisa i wizja ich związku dawała mu siłę do kontynuowania pracy. Czasem wystarczyło, żeby wspomniała o ich wspólnym życiu i już wszystko było dobrze. Sięgnął po jej dłoń, zwracając się do Scotta.

– Mamy pięć godzin do orędzia z rozkazem ewakuacji Wschodniego Wybrzeża. Wiesz, co to oznacza: panikę, która będzie kosztowała życie tysiące ludzi. Bomba ma detonator z trzygodzinnym opóźnieniem. Chcę mieć jeszcze godzinę po wybuchu, żeby sprawdzić, jakie przyniósł efekty.

– To daje nam niecałą godzinę na wyciągnięcie Conseila z korytarza i przygotowanie bomby – mruknął Scott. – Wcale nie tak dużo.

– To zaczynajmy. Jak będziemy nieśli głowicę?

– Mój kombinezon będzie musiał walczyć z oporem liny. Bombę przymocujemy do twojego na specjalnej uprząży. Pokładowe żyroskopy zrekompensują inny rozkład mas, żebyś mógł normalnie się poruszać.

– Świetnie. – Mercer uściśnął jego dłoń.

Dwójka pracowników Petromaksu pomogła Mercerowi i Scottowi wspiąć się do kombinezonów atmosferycznych, ale zanim zamknęli wieka, do geologa podbiegła Tisa i pocałowała go.

– Do zobaczenia – pożegnał się.

– Która godzina?

– Ósma trzydzieści. Cholera, pytasz, bo Wyrocznia przewidywała jeszcze jakieś atrakcje na dzisiaj?

– Nie. Byłam tylko ciekawa. – Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. – Gdybym nie zgubiła prezentu na promie, pewnie miałabym go na ręku.

– Dostaniesz inny, przyrzekam.

Tisa cofnęła się i pozwoliła zamknąć wąż kombinezonu Mercera. System wentylacyjny włączył się automatycznie, ale geolog i tak musiał kilka razy głęboko odetchnąć, żeby świeże powietrze wypełniło jego płuca.

– Mercer, słyszysz mnie? – zapytał Scott ze swojego kombinezonu.

– Bez zakłóceń. Jim, jesteśmy na linii?

– Świetnie was słyszę. Z mojej strony wszystko wygląda super. Powiedz kiedy, a wystawimy cię za burtę.

– Jeszcze minuta – odpowiedział Scott. – Mercer, sprawdź jeszcze raz silniki. Upewnij się, że działają wszystkie systemy.

Mercer poruszył stopami, uruchamiając przełączniki kołyskowe, którymi kontrolował kierunek i prędkość. Za każdym razem właściwa śruba napędowa zaczynała się obracać. Tisa uniosła kciuki, a potem uśmiechnęła się i udała, że jest pod wrażeniem jego aluminiowej muskulatury. Na powierzchni skafander ważył zbyt dużo, żeby Mercer mógł się poruszyć, więc tylko się uśmiechnął.

– Dobra, Jim. Jesteśmy gotowi.

Obserwował, jak jeden z mechaników wyprowadził Tisę z ciężkiej stalowej platformy, na której mieli zostać opuszczeni na głębokość wejścia do tunelu. Zanim dźwig ruszył, dziewczyna podeszła szybko, nachyliła się nad skrzynią z głowicą i pocałowała go, zostawiając odcisk szminki na wizjerze. Ich twarze dzieliło kilka centymetrów, więc nie miał wątpliwości, jakie słowa wyszeptła. „Kocham cię”.

Mercer poczuł przyływ adrenaliny, ale zanim zdążył zareagować, dźwig uniósł platformę i obaj nurkowie opuścili pokład. Padający deszcz nie mógł zmyć odcisku jej ust z przejrzystego plastiku.

Mercer skupił się i wyrzucił z głowy jej deklarację, swoje myśli na ten temat i słowa, którymi chciał odpowiedzieć. Miał do wykonania trudne zadanie. Przebiegł oczyma po wskaźnikach umieszczonych pod szybą hełmu. Zasilanie w porządku, poziom tlenu i czynnika chłodzącego w normie. Plastik od środka pokrył się kropelkami skondensowanej pary, więc palcem zwiększył ciąg wentylatorów wewnątrz skafandra i spowolnił oddech. Miał dość powietrza na całe nurkowanie i jeszcze sporo zapasu, ale i Scott, i jego pierwszy instruktor nurkowania kilka miesięcy wcześniej ostrzegali go, że pod wodą nie można być niczego pewnym.

Znaleźli się nad powierzchnią. Mercer i Scott stali pewnie na stalowej kratownicy, kiedy mocarne siłowniki hydrauliczne utrzymywały ich nad brudną wodą. Na razie kombinezony stały w pozycjach serwisowych, lekko wychylone do przodu, więc obaj widzieli, co znajduje się pod nimi.

– Dobra, Jim, jesteście gotowi – odezwał się Scott. – Opuśćcie nas. I pilnujcie, żeby nie było numerów z liną. – Bęben, z którego odwijał się kabel, znajdował się poniżej dźwigu.

– Wedle życzenia.

Mechanizm ożył i platforma z nurkami znalazła się poniżej głównego pokładu. Po chwili minęli namalowane imię statku, a potem zobaczyli czubek steru. W pancernych kombinezonach nie czuli, że woda kołuje się wokół ich nóg. Mercer obserwował,

jak sięga coraz wyżej, zalewa bombę na jego piersiach i w końcu pierwsze fale obmywają wizjer. Z plastiku zmył się odcisk ust Tisy.

A potem zniknęli pod wodą. Pod powierzchnią panowała całkowita ciemność. Dookoła wirowały płatki mokrego popiołu, a światło ich lamp sięgało na pięćdziesiąt centymetrów.

– Jak zejdziemy głębiej, widoczność się poprawi – odezwał się Scott. Platforma podwieszona pod ramieniem dźwigu działała jak winda, opuszczając obu nurków w odmęty. Dzięki temu nie zużywali prądu. Akumulatory mogły być im jeszcze bardzo potrzebne. Kiedy umieszczą bombę, będą musieli wydostać się z tunelu, dopłynąć do platformy i na powierzchnię.

Byli zanurzeni około dziesięciu minut, ale bez żadnego punktu odniesienia, mieli wrażenie, że znacznie dłużej. Woda na tej głębokości była równie zanieczyszczona, jak przy samej powierzchni. Okazało się, że muszą pracować niemal po omacku.

– Jim, jesteśmy na miejscu – zameldował Scott, włączając najmocniejszy halogen, jaki miał. – Widzę wejście do tunelu. Jest dokładnie przed nami. Jedyne problem to temperatura wody. Wzrosła do trzydziestu trzech stopni.

– Kombinezony to wytrzymają – zapewnił go Jim.

– Tyle to i ja wiem. Ale po prostu nie chcę ugotować się żywcem, więc raportuję.

– Nie martw się. W razie czego podamy cię z maselkiem i kukurydzą. A na kubeczkach będzie twoje zdjęcie.

– Jesteś chory. Bez odbioru.

McKenzie wiedział, jak rozmawiać ze swoimi ludźmi, żeby zmusić ich do myślenia o czymś innym niż o pracy. Co ciekawe, nie dekoncentrował ich przy tym.

– Odwinęliśmy sto siedemdziesiąt metrów liny z bębna. Pływaki zapewniają mu odpowiednią pływalność. Ruszajcie, jak będziecie gotowi.

– Przyjąłem – odpowiedział Scott, a potem zwrócił się do Mercera. – Mam sam koniec kabla. Ty złap go jakieś pięć metrów za mną. I nie zapomnij, że kciukiem możesz zablokować chwytaki.

Choć na powierzchni NewtSuit był zbyt ciężki, żeby się w nim poruszać, dzięki przemyślanej konstrukcji pod wodą okazywał się nadzwyczaj wygodny. Mercer uniósł ramię i złapał trzycentymetrową linę tak, jak polecił Scott, a potem zablokował chwytak.

– Gotowe.

– To ruszamy.

Wirniki skafandra Scotta ożyły, a nurek uniósł się z platformy i ruszył w stronę wejścia.

Mercer uruchomił włącznik pod palcami prawej stopy. Skafander zadrżał i już po chwili i on zostawił za sobą platformę. Kombinezon umożliwiał nurkom przebywanie na głębokościach, na które ze zwykłym sprzętem nie da się zejść. Aluminiowo-kompozytowy pancerz chronił nurka przed potężnym ciśnieniem.

Wokół łopatek wirników tworzyły się bąbelki kawitacyjne i znaczyły drogę, którą płynął Scott. Mercer posuwał się za nim.

– Jestem w środku – zameldował Scott.

Mercer był tuż za nim, pomagając mu z liną. Mimo to główny wysiłek wciągania jej do środka spadał na kombinezon Scotta. Geolog tak naprawdę przydawał się tylko wtedy, kiedy lina się blokowała i potrzebne było silniejsze szarpnięcie.

– Temperatura znów wzrosła.

Mercer nie czuł gorąca. Kombinezon miał wbudowany system wąskich rurek, które w zależności od potrzeb pompowały schłodzony lub podgrzany płyn. C. W. twierdził, że dzięki temu nurek będzie się w nim dobrze czuł, nawet jeśli temperatura na zewnątrz wzrośnie do dziewięćdziesięciu pięciu stopni. Ten system mógłby poradzić sobie w jeszcze gorszych warunkach. Problem stanowił plastik wizjera, który przy stu stopniach po prostu zacząłby się topić.

– Jak tam, Mercer?

– Super. – Żyroskopy utrzymywały jego kombinezon w pozycji pionowej, a Scott prowadził go na linie, jakby bawili się w pociąg. Mercer musiał jedynie dbać o utrzymywanie właściwej prędkości. To nurkowanie było znacznie łatwiejsze niż zejście do zalanej kopalni na pustyni w Nevadzie.

– Pokonaliśmy już sześćdziesiąt metrów. – Głos Jima był zniekształcony.

– Powtórz – poprosił Scott, przekrzykując zakłócenia, ale nie przejmował się nimi. – Odbicia od skał. Mówiłem, że tak będzie.

Sto metrów w głębi korytarza temperatura wzrosła do sześćdziesięciu stopni. Nurkowie dopłynęli do zwężenia. Scott wyjaśnił Mercerowi, jak ma zmienić ustawienia kombinezonu,

żeby bardziej się nachylić. Zanim Mercer dał sobie z tym radę, uderzył w dno i otarł bombą o ścianę.

– Takie małe tyknięcie – powiedział usprawiedliwiająco.

– Ty lepiej pilnuj, żeby ta zabawka jeszcze nie tykała.

Ich prędkość spadła, bo lina stawiała coraz większy opór. Silniki w kombinezonie Scotta zaczęły się przegrzewać, ale zamiast zatrzymać się i dać im ochłonać, zamienili się miejscami. Na Mercera spadł obowiązek ciągnięcia liny i niesienia bomby. Sterował zdecydowanie mniej precyzyjnie od partnera, ale już ani razu nie otarł się o ścianę.

Minęli pierwszy i jedyny zakręt w całym tunelu i znaleźli Conseila. Robot leżał na posadzce, odwrócony na plecy. Kamery sterczały do góry, nadając mu wygląd martwego owada.

– I właśnie po to mamy ze sobą linę – oznajmił Scott, pokazując naniecały metr między cielskim robota a sklepieniem. Mało brakowało, ale jednak przejście na drugą stronę było niemożliwe. – Muszą go wyciągnąć, jeśli mamy kontynuować.

– Jesteśmy już dwadzieścia minut pod wodą – zauważył Mercer. – Nie byłoby szybciej, gdybyśmy po prostu odłamali kamery i rozwalili trochę czujników, a potem przeczozłgali się dalej?

Glass nie odpowiedział.

– Scott, pytałem, czy... – Mercer zamilkł, bo usłyszał, jak szef nurkowania się krztusi. – Scott? Scott?

Ponad minutę zajęło mu odwrócenie kombinezonu tak, żeby mógł zajrzeć do środka. Zapalił dodatkowy reflektor, ale i tak

nie mógł dojrzeć jego twarzy. Wnętrze kombinezonu wypełniał jakiś gęsty gaz.

– Co to...

Nagle Scott przycisnął twarz do przejrzystego plastiku. Z oczu ciekły mu krwawe łzy, a spuchnięty język nie mieścił się w ustach.

– Zwarcie – wycharczał. – Czuję, jak płoną przewody.

Spełniał się właśnie najgorszy koszmar Scotta – gotował się żywcem w swoim kombinezonie. Jego skóra pokryła się bąblami, a ogień zwęglął stopy. Kombinezon podskakiwał i kołysał się na wszystkie strony, bo rozpaczliwie próbując zadeptać płomienie, co rusz uruchamiał któryś z silników. Mercer nie mógł tego słuchać. Ściszył system łączności. Chociaż docierały do niego krzyki przerażania i bólu, nie zostawił partnera samego, dopóki nie usłyszał ostatniego umęczonego jęku.

Mercer kipiał z gniewu, aż czerwona mgła zasnuła mu wzrok. W skafandrze Scotta zrobiło się zwarcie. Ktoś musiał przy nim grzebać. Sabotażysta uderzył ponownie, ale tym razem Mercer już wiedział, kto to jest.

Po chwili zostawił ciało partnera i ruszył dalej.

Conseil był w gruncie rzeczy kadłubem obudowanym kamerami, czujnikami i silniczkami. Mercer nie patyczkował się z drogim sprzętem. Złapał jedno z urządzeń i szarpnięciem je odłamał. Pracował tak przez dłuższą chwilę, niszcząc kolejne elementy wyposażenia, tnąc kable i wyklamując chwytaki. Wykorzystywał swoją masę, żeby jak najlepiej oczyścić drogę naprzód.

Jego szaleńczy wysiłek częściowo miał swoje źródło we wściekłości, ale sił dodawał mu przede wszystkim strach. Byłby głupcem, gdyby założył, że tylko jeden kombinezon został uszkodzony. Ale nie miał już drogi odwrotu. Bomba musiała znaleźć się kolejnych sto metrów głębiej pod wulkanem, żeby eksplozja rozerwała dajki z wodą, przez które wyspa mogła rozpaść się na dwie części. Biorąc pod uwagę siłę ładunku, trzydzieści metrów nie powinno robić wielkiej różnicy, ale specjaliści byli bardzo precyzyjni. Chcieli implodować górę tak, jak wysadza się w powietrze budynki. Właściwe umieszczenie głowicy było gwarancją sukcesu.

Szczypcy na końcu ramion mogły przeciąć przewody o grubości do dwóch centymetrów. Wykorzystał je przy demontażu robota. Po chwili góra kadłuba była ogołocona. Zepchnął pozostałości i ruszył górą. Hełmem dotykał sklepienia, więc musiał sporo się napocić, żeby przecisnąć się na drugą stronę.

W końcu upadł na dno jaskini za robotem. Szamocząc się, wzbijał chmury osadu, a cały wizjer pokrywała para z ciężkiego oddechu. Szczęśliwy, uruchomił silniki i ruszył przed siebie, coraz głębiej pod wulkan.

W hełmie odezwał się alarm. Sprawdził wszystkie wskaźniki. Temperatura wody wzrosła do osiemdziesięciu stopni.

– Chryste, tylko nie to! – Wyłączył brzęczyk. Nie chciał przyznać przed samym sobą, że zaczynał czuć gorąco, z którym nie radził już sobie system chłodzenia.

Nie wiedział, co zrobiono z kombinezonym Scotta, że wywołano wewnętrzny pożar. Prawdopodobnie nie działał żaden

mechanizm czasowy, bo inaczej jego kombinezon spaliłby się w tym samym momencie. Coś innego musiało zapoczątkować zniszczenie. Mercer pamiętał, że Scott przegrzał silniki. Może to? Może obciążenie spowodowane holowaniem liny uruchamiało jakieś urządzenie, które z kolei wznieciło płomień? Sprawdzał na wszelki wypadek kontrolki wszystkich sześciu silników przy swoim kombinezonie. Każdy był zielony.

– Nie, w takim razie to nie było to.

W czasie krótkiego szkolenia zamienili się kombinezonami. Sabotażysta wiedział, że Mercer będzie miał bombę, ale nie wiedział, że popłynie w innym skafandrze. W końcu najoczywistszym rozwiązaniem było dla niego skorzystanie ze sprzętu C. W. Niszcząc jego kombinezon, sabotażysta miał pewność, że zabije Mercera i uniemożliwi podłożenie bomby. Nie było sensu ryzykować dekonspiracji i niszczyć sprzętu nieszkodliwego Scotta.

Presja czasu się nie zmniejszyła, ale zmalął strach, że może zostać żywcem upieczony. Kontynuował zejście tunelem, nieco spokojniejszy i mniej spocony.

Kiedy dotarł dwieście czterdzieści metrów od wejścia, wyłączył silniki i się zatrzymał. Temperatura na zewnątrz zbliżała się do dziewięćdziesięciu pięciu stopni. Wewnątrz dało się jeszcze wytrzymać, ale już nie było przyjemnie. Zauważył też, że przednia szybka wizjera zaczęła tracić przejrzystość.

Miał trochę trudności z odpięciem bomby z szelek na pierśiach, a kiedy w końcu klamry puściły, masywna walizka opadła na dno i zatrzymała się z głuchym stuknięciem. Przewrócił ją

wierzchem do góry. Do blaszki zakrywającej panel kontrolny przyspawano bolec, żeby dało się ją odsunąć za pomocą manipulatorów. To zadanie należało do Scotta.

Mercer ostrożnie przysunął szczypcę do bolca i spróbował odsunąć blaszkę. Złapał wystający kawałek metalu i pociągnął do siebie. Ramię kombinezonu odskoczyło, ale panel kontrolny pozostał zakryty. Za to odpadł od niego bolec. Zaklął i spróbował złapać za ślad po spawie, ale szczypcy były zbyt nieprecyzyjne. Kolejne przekleństwa zaczęły się układać w długie zdania. Nie miał ze sobą narzędzi.

– Myśl, do cholery, myśl!

Potrzebował czegoś wytrzymałego i płaskiego, żeby wsunąć to w szczelinę w walizce i wyłamać zatrzask. Szczypek, który zawsze miał w kieszeni, byłby doskonały. I miał właściwe ostrze.

Ostrze, pomyślał. Mógł wykorzystać łopatkę jednego z silników.

Spróbował, ale nie mógł dosięgnąć żadnego z napędów na ramionach. Aż takiej swobody kombinezon nie zapewniał. Nie miał też dość czasu, żeby wracać do kombinezonu Scotta.

Mercer znalazł nierówność na ścianie, zbliżył się do niej plecami i z całej siły na nią skoczył. Uderzenie zatrzęsło skafandrem i na moment wyłączyło zasilanie. Przez przerażającą sekundę w ciemności widział pomarańczowe światło emanujące z głębin tunelu. Płynna skała wędrowała już w jego stronę. Jeszcze było jej niewiele, bo inaczej woda by się gotowała. Raz za razem uderzał w skałę. W pewnym momencie zahaczył hełmem o ostrzejszą

krawędź i przez minimalne rozcięcie do środka zaczęła sączyć się woda.

Za siódmym razem odniósł sukces. Odpadł jeden z głównych silników. Przez chwilę unosił się w wirującej wodzie, aż w końcu zawisł na kablach. Mercer sięgnął do jego wnętrza i wyrwał śrubę.

Każde z trzech ostrzy miało długość sześciu centymetrów i było wykonane z hartowanej stali. W pewnym sensie śruba była małym dziełem sztuki. Delikatne krzywizny zostały zaprojektowane tak, żeby zoptymalizować stosunek wielkości do wytwarzanego ciągu. Bezceremonialnie wcisnął ją pod pokrywkę panelu kontrolnego i szarpnął. Grube wieczko odskoczyło.

Wewnątrz znajdował się tylko jeden czerwony przycisk. Mercer go nacisnął. Nie zaprzętał sobie głowy myślą, że właśnie uruchomił mechanizm, który za trzy godziny wyzwoli moc porównywalną do czterech i pół tysiąca ton dynamitu. Wskaźnik w hełmie pokazał sto stopni Celsjusza. Przy panującym ciśnieniu trzeba było jeszcze kilku stopni, by woda zaczęła się gotować. Zauważył, że plastik wizjera zaczyna się topić. Coraz mniej przez niego widział.

I mimo włączonych świateł widział czerwień lawy.

Mercer zamknął wieczko panelu sterowania głowicy atomowej i ruszył z powrotem. Był spokojny. Nawet jeśli lawa zaleje bombę, nic się jej nie stanie, bo chroni ją specjalna obudowa.

Pozostał tylko jeden silnik i sterowanie kombinezonem stało się prawdziwym wyzwaniem. Tym bardziej, jak szybko się okazało, że i ten był uszkodzony. Kombinezon wykazywał tendencję

do obracania się przez lewe ramię i opadania. Zmienił ułożenie na horyzontalne. Dzięki temu do napędu mógł użyć silników manewrowych. Ich moc była jednak na tyle mała, że niemal stał w miejscu. Na dodatek zwisające ramiona podnosiły ogromne ilości osadów, więc po chwili przestał cokolwiek widzieć.

Gdzieś za jego plecami do tunelu wlewało się coraz więcej magmy. Mimo starań nie mógł uciec przed falą wrzątku. Termometr w hełmie pokazywał już sto cztery stopnie. Plastik był pofalowany. System chłodzący pracował ile sił, żeby utrzymać go przy życiu. Przy łokciu pancierz rozgrzał się do tego stopnia, że zaczął go parzyć. Poczul zapach przypalonej skóry.

Nagle uderzył kaskiem w pozostałości po Conseilu. Pokonanie stu metrów zajęło mu ponad piętnaście minut. „Angel” mógł płynąć z maksymalną prędkością dwunastu węzłów, więc potrzebowali przynajmniej dwóch godzin na ucieczkę ze strefy śmierci i z zasięgu fali uderzeniowej, która na pewno uformuje się na powierzchni oceanu.

Wspiął się na kadłub robota. Luźny silnik zahaczył o jakąś wystającą część. Mercer szarpnął z wściekłością i urwał kable, na których wisiał. Niczego tak nie pragnął, jak wydobyć ze sobą ciało Scotta na powierzchnię, ale to było niemożliwe. Bez właściwego sterowania mógłby łatwo zderzyć się ze ścianą i utknąć w korytarzu.

Mercer położył dłoń na kombinezonie kolegi.

– Wybacz – mruknął i odciął linę tuż za szczypcami Scotta. Naciągnął ją i dwukrotnie trącił ramieniem.

Nic się nie wydarzyło. Znów uderzył, tym razem znacznie silniej i zanim zorientował się, co się dzieje, mknął przez tunel. Objął się po drodze o ściany i sklepienie, bo operator wyciągarki myślał, że wyciąga bezużyteczny kawałek złomu.

Dopiero po kilku minutach wydostał się ze strefy gorącej wody. Temperatura spadła o dziesięć stopni. W samą porę, pomyślał. Trudno to było ocenić, ale płytką z hełmu wyglądała na połowę cieńszą.

Trzy minuty później lina wyciągnęła go z kanału magmowego. Pędził teraz pionowo w górę. Plastik trzeszczał w kontakcie z chłodną wodą, ale na szczęście nie popękał. Mercer był uratowany. Po raz pierwszy od chwili zejścia pod wodę pozwolił sobie na głębszy oddech.

– Jim, słyszysz mnie? Jim, tu Mercer, czy mnie słyszysz?

– Tak, słyszę cię. Co tam się działo? Robota spodziewaliśmy się jakieś pół godziny temu.

– Za minutę ci wszystko wyjaśnię. Wiszę na końcu liny. Wyciągacie mnie samego.

– A Scott? Co z nim?

– Nie żyje. Jim, wyciągnijcie mnie, wszystko wyjaśnię na pokładzie.

– Dobrze.

– I Jim, jeszcze jedno. Znajdź Spirit Williams i przypilnuj jej.

– Dlaczego?

– Nosi drewniaki. – Mercer miał wielką nadzieję, że McKenzie domyśli się, że chodziło mu o sabotaż. Słowo to miało bowiem powstać w czasie jakiegoś buntu robotników, którzy aby

unieruchomić maszyny i nie musieć pracować, wrzucali w tryby swoje drewniane buty, saboty.

Płynął w stronę powierzchni jak ryba na stumetrowej żyłce. Wiedział, że będzie musiał poczekać, aż wciągną go jakoś na pokład bez użycia platformy.

Na głębokości dwudziestu metrów woda była równie czarna, jak sto metrów niżej. Warstwa popiołu całkowicie odcinała dopływ światła do niższych warstw.

Na dziesięciu metrach lina zwolniła. Marynarze przygotowali się do delikatnej operacji wciągnięcia go na pokład. Mercer nie wiedział, ani gdzie jest powierzchnia, ani nie widział nawet zarysów „Angela”.

W końcu na głębokości pięciu metrów dostrzegł kil statku i czegoś jeszcze, niedaleko, ale stracił to z oczu, zbliżając się do bezpiecznej powierzchni.

Zanim wydostał się z wody, musiał przebić się przez dwupółmetrową warstwę popiołu wulkanicznego i pumeksu. Klejąca breja spowolniła operatora dźwigu, który musiał zwiększyć moc wyciągarki. Mercer upewnił się, że szczytce mocno trzymają linę. Uśmiechnął się do siebie, kiedy pomyślał, że mógłby się ześlizgnąć i spaść z powrotem. Wcześniej, żeby się uratować, musiał zniszczyć silniki napędowe, a bez nich nie miał szans na ratunek.

W końcu przebił ostatnią warstwę popiołu i wydostał się na powietrze. Po hełmie spływała gęsta maź, całkowicie zasłaniając mu widoczność. Nawet po starciu jej z wizjera, prawie nic nie widział, bo plastik był uszkodzony od gorąca. Dźwig wyciągał

go coraz wyżej i wyżej, aż w końcu zakołysał się w powietrzu. Uchwyt na linie był pewny.

Na pokładzie dostrzegł Jima McKenziego i Spirit, a chyba nawet Charliego albo kogoś podobnego i też owiniętego w bandażę. Nie widział za to Tisy.

Kiedy znalazł się na wysokości relingów, zauważył, że Jim, Spirit i Charlie strasznie się kłóca. A potem dostrzegł jeszcze jedną łódź, przycumowaną do ich statku. Spojrzał w dół. Nie rozpoznał człowieka przy dźwigu.

– Mercer! – w słuchawkach rozległ się wrzask Tisy.

– Tisa? – zapytał niepewnie.

Kobieta wypadła z kontenera, a za nią dwójka mężczyzn. Obaj byli chyba uzbrojeni, ale tego nie mógł być pewien. Wizjer miał zbyt wiele uszkodzeń, żeby widział szczegóły.

Chryste, „Angel” został porwany! Napastnicy czekali na właściwy moment. Mercer zrozumiał, że wyciągają go tylko dla skafandra, bo chcieli wrócić do kanału i usunąć bombę.

Jeden z mężczyzn dopadł Tisę i podciął ją kopniakiem. Oboje padli na pokład. Drugi zatrzymał się obok. Mercer rozpoznał go po ruchach. Był tak podobny do siostry... Luc Nguyen.

Uwięziony w kombinezonie wisiał pod dźwigiem, ale już nad pokładem. Nic nie mógł zrobić. Patrzył, jak Luc pomaga Tisie wstać i czule odsuwa jej włosy z twarzy.

– Jim! – wrzasnął Mercer, choć nikt nie mógł go usłyszeć.

– Jim! Zrób coś!

I Jim zrobił. Kłótnia stała się wyjątkowo zajadła. Charlie i Spirit krzyczeli. McKenzie sięgnął pod kurtkę, wyciągnął pi-

stolet z obciętą lufą i trzy razy pociągnął za spust, przyciskając broń do brzucha Charliego. Kule wyszły przez plecy mężczyzny, za każdym razem wyrzucając w powietrze fontanny krwi.

Nawet wewnątrz kombinezonu Mercer słyszał trzy strzały. Nie rozumiał, co właśnie zobaczył. Spirit upadła na kolana przy martwym mężu. Tisa wpadła jakby w trans. Luc Nguyen zostawił siostrę ze swoim podwładnym i podbiegł do Jima. Padli sobie w ramiona jak starzy przyjaciele po długiej rozłące.

Kiedy stali odwrócenii plecami do Spirit, dziewczyna zerwała się z pokładu i skoczyła w stronę Mercera. Jej twarz zamieniła się w maskę wściekłości i determinacji. Jeden z terrorystów był równie szybki, jak ona. Zanim przebiegła połowę dystansu, mężczyzna miał broń przyciśniętą do biodra.

Sadziła niewiarygodne susy jak gazela uciekająca przed gepardem. Dwa kroki dalej odezwał się karabin. Strzał wyrwał kawał ciała z jej ramienia, ale dziewczyna nie padła.

Kolejna kula trafiła ją w plecy i rozerwała brzuch. Wylatując, miała dość energii, żeby odbić się od Mercera. Spirit otworzyła usta, ale ciągle biegła. Z całym impetem drobnego ciała wpadła na NewtSuit z geologiem w środku.

Jej pęd wystarczył, by kombinezon się zakołysał i mimo dwustu pięćdziesięciu kilogramów wagi wychylił za reling, z nią uczepioną opancerzonego ramienia. Kiedy znaleźli się za pokładem, poruszyła ustami, krzycząc „Puszczaj!” Mercer się nie wahał. Zwolnił uchwyt i runął do wody. Spirit nie utrzymała się kombinezonu. Zderzenie z powierzchnią odepchnęło ją gdzieś dalej. Mercer przebił się przez warstwę popiołu i jak kamień

zaczął tonąć, zostawiając umierającą dziewczynę uwięzioną w brudnej brei.

Przez kilkanaście sekund był tak zaskoczony rozwojem wydarzeń, że nie potrafił nic zrobić. Patrzył tylko na mijające go zanieczyszczenia i opadał coraz głębiej. Kiedy w końcu wyrwał się z letargu i uruchomił silniki, okazało się, że nie mają dostatecznej mocy. Kombinezon był uszkodzony, niesterowny i szedł na dno.

Wydawało mu się, że upadek trwa wieczność. Był w powolnej podróży w otchłań. Czekał na moment, kiedy ciśnienie będzie zbyt wielkie i zgniecie kombinezon i jego w środku. Wytrzymałość NewtSuita została obliczona na jakieś trzysta metrów, jednak uszkodzona szybka pękłaby pewnie znacznie szybciej. Uznał, że właśnie minął połowę tej odległości. Pamiętał, że La Palma jest jedną z najbardziej stromych wysp na świecie. Dotyczyło to nie tylko jej części lądowej, pomyślał. Z tego, co wiedział, miał pod sobą około dwóch kilometrów wody.

Minął dwieście dwadzieścia metrów. Wiedział o tym, bo na wyświetlaczu w hełmie pojawiały się kolejne wartości. Był gotów dać głowę, że sabotażystką była Spirit. Wszystko na to wskazywało – wyznawana przez nią filozofia New Age pasowała do filozofii Zakonu. Mogła próbować go zabić na „Surveyorze”, mogła również tutaj. Tak długo była z C. W. , że widziała, jak posługiwać się kombinezonami atmosferycznymi, pewność zyskał, kiedy zobaczył, jak była ubrana w czasie erupcji. Chwilę wcześniej słyszał, jak kłóci się z mężem w swojej kabinie. A potem wybiegła na pokład, bo usłyszała wybuch. Charlie chciał

się najpierw ubrać. Miał już dżinsy i buty. Wtedy ona wróciła i uderzyła go, żeby nie nurkował. Tak myślał.

Ale teraz wiedział, że się mylił. Po prostu wypadła na pokład, bo usłyszała wybuch. To Jim wszedł wtedy do ich kabiny, kiedy C. W. się ubierał i uderzył go. Komentarz o kombinezonie Charliego nie wynikał z obawy, że użyje nieuszkodzonego. Tak okazywała swoją miłość do męża. Uciekła, bo czuła coś do Mercera i nienawidziła się za to.

Sprawdził wskaźniki. Trzysta metrów. Wokół panowała ciemność.

Pieprzony Jim McKenzie. On jeden miał nieograniczone możliwości sabotowania działań Mercera i skoro był członkiem Zakonu, miał też motyw. Zrobił wszystko, żeby zaskarbić sobie jego zaufanie. Starał się być blisko, żeby trzymać rękę na pulsie. Planował to, od kiedy poinformował o dziwnym sygnale aktywującym wieżę.

– Kurwa! – ryknął Mercer. Kombinezon miał awaryjny worek wypornościowy. C. W. nazywał go wstecznym spadochronem. Chodziło o to, że zwykły spadochron spowalniał upadek, a spadochron wstecznywysyłał skoczkę w górę.

Mercer spróbował dotknąć panelu kontrolnego na prawym ramieniu. Uniósł zabezpieczenie i nacisnął wyzwalacz. Krzyknął z ulgą, kiedy usłyszał syk wypełniającego się materiału. Zatrzymał się w miejscu.

Ale to było wszystko. Nie zaczął się wynurzać. A powinien.

– No dalej! Dalej! – Raz za razem naciskał wyzwalacz, ale bez rezultatu. Musiał uszkodzić zbiornik z gazem, kiedy uderzał

plecamio ścianę tunelu. Jak pasażera uwięzionego w koszu balonu, Merceraporwał podmorski prąd. – Nie... to niemożliwe... – Wyrzucił z głowywszystkie myśli, które mogły go rozpraszać. Uruchomił pracujące silniki i spojrzął na kompas.

Ich statek znajdował się około półtora kilometra od brzegu. Mercer pamiętał nachylenie podmorskiego klifu i wyliczył, że jest nie dalej niż czterysta metrów od niego. Spojrzął na elektroniczny zegarek. Uruchomił czasowy zapalnik bomby atomowej trzydzieści dwie minuty temu. Miał zatem jeszcze dwie godziny i dwadzieścia osiem minut.

Z wypełnionym w połowie workiem wypornościowym, który działał jak żagiel, Mercer ustawił się tak, by wykorzystać prąd morski. Wyciskał też ostatnie siły z silniczków manewrowych. Razem udało im się osiągnąć prędkość pół węzła.

Przez następne pół godziny Mercer nie pozwalał sobie na myślenie o czymkolwiek innym niż zachowanie całkowitego spokoju i stałego nacisku na przełącznik ciągu silników. Ale obraz Tisy wciąż się pojawiał i zaburzał jego koncentrację.

Pył wulkaniczny dotarł już i na tę głębokość. Mercer nie widział dalej niż na pięć metrów, bo do zanieczyszczeń dochodziła jeszcze uszkodzona szybka. W końcu zobaczył klif. Skała rosła, im był bliżej. W końcu widział już tylko płaszczyznę, która w żadnym kierunku nie miała końca. Musiał się upewnić, że to nie fatamorgana. Dotknął jej. Daleko był jeszcze do sukcesu – wiedział, że prawdziwa praca się zacznie dopiero teraz. Był prawie sto metrów poniżej dolnej granicy bezpieczeństwa.

Torba wypornościowa pozwalała mu zachować poziom. Na szczęście, bo w przeciwnym razie jego plan spaliłby na panewce. On nie miał dość siły, a kombinezon nie był dostatecznie ergonomiczny, żeby się wspinać. Przy ścianie poszukał nogą miejsca, o które mógł się zaprzeć, i wybił się jak najwyżej w górę. Kiedy miał już znów opaść, wbił oba chwytaki w kamienie na zboczu i szukał zaczepienia. Wyskok wyniósł go trzy metry w górę, a zanim udało mu się czegoś ponownie złapać, spadł półtora.

Kolejny punkt podparcia i kolejny skok dały mu sześć metrów, za to wcale nie opadł, bo złapał wąską tasiemkę prastarej lawy. Dwa skoki i już poczuł skurcze w nogach. Sprawdził poziom tlenu. Nie musiał się martwić o zapasy, więc wzbogacił mieszankę, dając mięśniom to, czego potrzebowały.

Krótkimi skokami wspinał się coraz wyżej. Czasem udawało mu się zyskać trzy i pół metra za jednym razem, czasem opadał o dwa. Frustrujący wysiłek, który wysysał z niego życie. Cały ociekał potem, a wewnątrz kombinezonu nie mógł otrzeć sobie twarzy. Łydki i ramiona paliły żywym ogniem, a ból przybierał na sile. Im był płycej, tym bardziej rozprężał się gaz w worku wypornościowym, zwiększając jego pływalność. Kolejne skoki stawały się coraz dłuższe.

Pół godziny później musiał odpocząć. Z trudem łapał powietrze, a serce waliło mu jak szalone. Stopy chyba zanurzały się już w litrach potu, który ściekał mu po plecach i nogach.

Na pięć minut zanim poczuł się gotów, ruszył znów do góry. Przy każdym skoku szukał czegoś, co mógłby chwycić, żeby nie spaść. Zajęty wspinaczką nie patrzył na głębokościomierz. Nie

chciał też się rozczarować, gdyby okazało się, że jest głębiej, niż myślał. Parł naprzód, skacząc raz udanie, a raz mniej – ale parł przed siebie.

Kiedy znów spojrzął na zegarek, ku swemu zaskoczeniu zobaczył, że minęło kolejnych trzydzieści minut. Otaczająca go woda była czarna jak smoła, a skała przed nim taka sama, jak na początku wspinaczki. Przez cały czas nie widział ani jednej ryby czy rośliny. Nie mógł się powstrzymać i w końcu spojrzął na głębokościomierz. Sześćdziesiąt metrów.

W godzinę pokonał niemal trzysta metrów, ale teraz zwolnił. Ostatni odcinek miał mu zabrać drugie tyle. Uszkodzony worek już dwadzieścia minut temu osiągnął maksymalną wielkość, więc niczego już nie zyska, poza tym czym dysponował. Reszta zależała tylko od jego rąk i nóg.

Odbił się od skały i wzniósł o cztery metry, ale nie znalazł niczego, czego mógłby się chwycić. Zaczął opadać z dala od klifu. Szybko włączył silniki, żeby skierować kombinezon z powrotem do skały. Nie udało mu się zahamować i uderzył w nią hełmem. Wizjer pękł i natychmiast pokrył się pajęczyną.

Kiedy pod stopą poczuł jakiś występ, nie zastanawiał się, czy jest dostatecznie wytrzymały. Wybił się najwyżej jak mógł i, pomagając sobie ramionami, wspinał się w kierunku powierzchni.

Na przejrzystym plastiku pojawiało się coraz więcej pęknięć. Mercer znalazł rytm wspinaczki. Zmuszał siebie i kombinezon do wysiłku na granicach możliwości. W końcu trafił na stromą półkę skalną. Z radością się na nią wdrapał i skoczył jak Neil

Armstrong ile sił. Każdy krok wzbijał chmurę osadów spod podeszew i wprawiał popękaną szybkę w drzenie.

Na głębokości dwudziestu metrów kusiło go, żeby uruchomić awaryjne otwieranie kombinezonu i po prostu wypłynąć na powierzchnię... mimo to ruszył przed siebie, a że skończyła się półka, wspinał się jak na początku.

Mercer nie widział światła dziennego, dopóki od powierzchni nie dzieliło go pięć metrów. Kombinezon zaczął się kołysać poruszany falami przyboju. To była właściwa chwila.

Znalazł miejsce, o które zaczepił chwytak, a potem wziął głęboki oddech, zacisnął zęby i gwałtownym ruchem wyrwał rękę ze środka pancerza. Zawył z bólu, bo wygięcie stawów mogło niemal spowodować dyslokację barku.

W końcu zapanował nad bólem i sięgnął do kieszeni kombinezonu. Po omacku otworzył kłapkę i wybrał numer do Iry, a potem zbliżył telefon do ust, na ile tylko pozwalał mu kombinezon. Był na tyle płytko, że nawet osłabiony sygnał miał szansę dotrzeć do stacji przekaźnikowej.

– Ira! – krzyknął, kiedy przyjaciel odebrał. – To ja, Mercer!

– Mercer? Gdzie jesteś? Co się tam dzieje? Zamoczyłeś telefon? Bo słabo cię słyszę.

– Prawie. Bomba jest na miejscu. Wybuchnie za... cholera, za pięćdziesiąt minut. Ale mam wielki problem. Luc Nguyen porwał – „Angela”. Podpłynęli jakimś jachtem. Byli na wyspie albo przemknęli się do strefy zamkniętej. Jim McKenzie jest z nimi. To on uruchomił pompę nad hydratami.

– Gdzie jest statek?

– Myślę, że podnieśli kotwice. Ale nie mam pewności. Wyskoczyłem... okej, zostałem wypchnięty za burtę.

– Jesteś na La Palmie?

– Niezupełnie. Dzwonię do ciebie z kombinezonu atmosferycznego. Jestem jakieś pięć metrów pod wodą.

– O czym ty mówisz? !

– Nie mam czasu, żeby ci teraz tłumaczyć. W tej chwili jestem dokładnie nad ładunkiem nuklearnym. Wyślij po mnie helikopter.

– To może zająć kilka minut.

– Nigdzie się stąd nie ruszę. Jeśli stracie mój sygnał, wyrzucam się dokładnie za pół godziny. Powiedz pilotowi, żeby szukał gościa z komórką. W końcu ilu ich może się tu kręcić...

Ira się uśmiechnął.

– Podaj markę i model, na wypadek gdyby było was tam kilku. Niemartw się. Pomoc jest już w drodze.

Ira nie przerwał połączenia, ale tak jak Mercer się spodziewał, kilka minut później stracił sygnał. Już nie udało mu się drugi raz połączyć.

Kiedy przestał się wspinać, zaczął się trząść z zimna. Miał przemoczone ubranie i był wyczerpany. Próbował uruchomić ogrzewanie, ale mu się nie udało. Poza tym wyczerpał niemal cały zapas prądu z akumulatorów. Zrezygnowany stał w aluminiowym pancerzu i czekał, aż minie czas, po którym miał się wynurzyć. Był zbyt wyczerpany, żeby choćby martwić się o Tisę.

Wiedział, że go kocha. Kiedy byli w łóżku, to nie był jęk rozkoszy. Powiedziała mu to świadomie. Mercer musiał ją odzy-

skąć, choćby tylko po to, żeby jej powiedzieć, że też ją kocha. Po dwudziestu minutach uznał, że już czas. Wzbogacił mieszanekę powietrza w tlen i westchnął kilka razy głęboko, żeby rozszerzyć płuca. Kiedy miał wrażenie, że zaraz zemdleje, zacisnął usta i szarpnął za rączkę awaryjnego otwierania kombinezonu.

Skafander rozdzielił się na dwie części wzdłuż pleców, a do środka wdarł się gwałtowny strumień zimnej wody. Mercer wybił się najsilniej jak potrafił i ruszył ku powierzchni, stopniowo wypuszczając powietrze przez usta i nos.

Tafelę wody pokrywała gruba warstwa mokrego pyłu. Wbił się w nią głową i rozpaczliwie uderzył rękoma, żeby przebić się na powietrze. Miał wrażenie, że walczy z piaskiem. Szarpał się, bił nogami i rękoma, a mimo to wydawało się, że jest coraz głębiej. W płucach poczuł palenie. Nie było sposobu, żeby się dowiedzieć, czy jest centymetr, czy metr od powierzchni.

Zmusił się do spokoju i zaczął powtarzać metodyczne ruchy. Mokra breja nie chciała łatwo wypuścić zdobyczy ze swoich szponów, ale w końcu przebił ostatni fragment kożucha. Z pierwszym oddechem do płuc nabrał mnóstwo suchego popiołu, który natychmiast zwymiotował. Z trudem udawało mu się utrzymać głowę na powierzchni, ale to nie miało znaczenia.

Bystry pilot wojskowego seahawka wypatrzył go kilka sekund po przebiciu kożucha. Zniżył lot i zawisł nad geologiem. Z ratownikiem gotowym do skoku, by w razie potrzeby pomóc mu dostać się do koszyka, opuścili mu linę.

Mercer wykorzystał dryfujący dywan popiołu i brył pumeksu, by wybić się z niego do koszyka ratunkowego. Dzięki temu

ratownik nie musiał skakać w mokrą breję i ryzykować złamanie nogi. Zanim jeszcze został wciągnięty do środka, pilot zwiększył ciąg silników i ruszył. Mieli tylko siedemnaście minut na ucieczkę przed wybuchem atomowym i falą elektromagnetyczną, która zniszczyłaby wszystkie obwody śmigłowca.

Ratownik okrył Mercera kocem.

– Jest pan ranny?

– Nie, nic mi nie jest – odpowiedział niezbyt przekonująco.

– Niech się pan lepiej położy. Zaraz będziemy na statku.

Mercer zrzucił z siebie koc.

– Muszę porozmawiać z pilotem.

– To nie jest dobry pomysł, proszę pana – krzepki skoczek starał się mu to wyperswadować. – Proszę się nie obrazić, ale widywałem rozjechane psy, które wyglądały lepiej od pana.

Mercer złapał słuchawki zawieszane na ścianie oddzielającej przestrzeń ładunkową od kokpitu.

– Czy lecąc po mnie, zauważył pan przez przypadek jakiś statek wewnątrz zamkniętej strefy?

Na pokładzie „Angela”, osiemnaście mil na wschód od La Palmy

Na miejsce dotarli pod osłoną erupcji i burzy. Lśniącą motorówkę ukradli wcześniej w Santa Cruz. Luc miał ze sobą tylko trzech ludzi. Nikogo więcej nie potrzebował. Podstawowa załoga „Angela” liczyła dwudziestu pięciu marynarzy i kilka dodatkowych osób, wśród nich byli Jim McKenzie i jego pomocnik, Ken Bowers. Obaj byli uzbrojeni i obaj byli członkami Zakonu.

Próba dotarcia do statku była ryzykowna; ostatnie rozdanie kart dla Luca Nguyena. Klasztor był w ruinie, a Wyrocznia została zniszczona – pozostawała mu tylko nadzieja, że Cumbre Vieja zniszczy znaczną część cywilizowanego świata, a dobrze strzeżone zasoby finansowe Zakonu zapewnią mu władzę w czasie chaosu, który był nieunikniony.

Przejęcie „Angela” zajęło zaledwie kilka minut. Kiedy dobili do ich burty, jeden pobiegł na mostek, drugi do maszynowni, a trzeci zajął się załogą, spędzając wszystkich do mesy. Wcześniej, na rozkaz Mercera, umieszczono tam techników z „Sea Surveyora”. Z pomocą Jima i Kena Luc zabezpieczył pokład. Dotarli jednak za późno, by powstrzymać Mercera przed zejściem pod wodę z bronią atomową. Na szczęście Jim ręczył głową, że geologowi uda się dotrzeć najwyżej do miejsca, gdzie robot blokował tunel.

Tym większe było jego zdziwienie, kiedy Mercer dał znać przez radio, że jest na końcu liny. Do centrum sterowania chwiejnym krokiem wszedł Charlie Williams, wciąż blady i osłabiony. Żołnierz Zakonu, który miał zająć się załogą, przeoczył rannego w kajucie. Charlie rzucił się na Kena Bowersa, który uderzył go wcześniej kluczem francuskim. Jim zachował zimną krew i rozmawiał z Mercerem, jakby wszystko było w porządku. Po pierwsze potrzebował kombinezonu, a po drugie nie chciał, by pozostali zorientowali się, że prowadzi podwójną grę.

Wszystko wyszło na jaw, kiedy Spirit skojarzyła, że ręczył za Bowersa. Byli wtedy na pokładzie i czekali, aż Mercer się wynurzy. Kiedy tylko Jim zyskał pewność, że kombinezon jest bezpieczny, uciszył C. W. trzema strzałami z pistoletu.

Mercer zniknął pod powierzchnią wody zepchnięty przez Spirit, w jej ostatnim akcie nieposłuszeństwa. Żyjącym członkom Zakonu pozostawała jedynie ucieczka i nadzieja, że bomba atomowa zdoła zapobiec katastrofie.

Luc, Jim McKenzie i Tisa znajdowali się w kontenerze z centrum sterowania, a statek jak najszybciej oddalał się od epicentrum. Jim utrzymywał kontakt z marynarką i przekazywał admirałowi Lasko fałszywe informacje, starając się zdobyć cenny czas. Odkąd Mercer wypadł przez rufę, Tisa nie odezwała się ani słowem i nie oponowała, kiedy brat starał się ją pocieszyć, dotykając włosów, ramienia czy biodra. Tylko co pewien czas przesuwiała dłonią po nadgarstku, na którym miała przez chwilę prezent od ukochanego.

– Jaka odległość? – Chciał wiedzieć Luc.

McKenzie sprawdził odczyt GPS-u na jednym z ekranów.

– Ponad trzydzieści kilometrów.

– Wystarczy?

– Żeby uniknąć opadu radioaktywnego, ale musimy płynąć dalej. Po wybuchu utworzy się wielka fala, no i wciąż jesteśmy w zamkniętej strefie. Kiedy dotrzemy w pobliże La Gomery, ukryjemy się tam, aż sprawa przycichnie. Jeśli bomba nie wybuchnie, będziemy mieli jeszcze dwa tygodnie.

– Ile zostało czasu?

– Jakies dziesięć, piętnaście minut.

– Myślisz, że kiedykolwiek przestaną cię ścigać? – Tisa przerwała milczenie.

– Nie wiedzą, że uciekamy – odparł Jim. – Więc nie wiedzą, że mają nas ścigać.

Luc się uśmiechnął.

– Czyli moja siostra jednak umie mówić. Przykro mi, że musiało do tego dojść.

– Wątpię. Wydaje mi się, że ty żywisz się nieszczęściem. Potrzebujesz tego, jak inni potrzebują miłości.

– Wiesz, ja też potrzebuję miłości.

– Nawet miłość udało ci się wypaczyć.

Jim poruszył się na krześle. Wiedział o kazirodczym uczuciu Luca Nguyena do siostry i na samą myśl poczuł się nieswojo.

– Nie wypaczyć, Tiso, oczyścić. Dwoje dzieci ostatniego lamy Zakonu. Pomyśl, co moglibyśmy stworzyć.

– Potwora dla potwornego nowego świata, który zamierzasz wznieść na zgłiszczach starego.

Popatrzył na nią ze smutkiem, ale w jego oczach była także pewność, że dostanie to, czego chce.

Względny spokój w kontenerze zaburzył grzmot helikoptera. Jim zerwał się z krzesła i wyrzwał na zewnątrz. Nad „Angelem” wisiał szary SH-60 seahawk. Miał otwarte boczne drzwi, w których siedział żołnierz i celował do nich z M-16. Za nim majaczył jeszcze ktoś. McKenziego zamurowało, bo kiedy maszyna delikatnie skręciła, rozpoznał tajemniczą sylwetkę. W helikopterze przyleciał Philip Mercer.

Mercer zobaczył Jima McKenziego. Klepnął w ramię żołnierza i wskazał, gdzie ma celować, a ten przesunął lufę M-16 i pociągnął za spust. Kule zasypały pokład „Angela”.

– To Mercer! – Jim zanurkował z powrotem do kontenera.

– Mówiłam, że was wytropią. – Tisa ani przez chwilę nie wątpiła, że Mercer po nią wróci.

Luc wyrzwał i natychmiast ukrył się przed ostrzałem z seahawka. Chwycił krótkofalówkę z kieszeni i zawołał:

– Wszyscy na pokład! To atak!

Sięgnął do kabury przy pasku i przeładował broń. Kiedy jego ludzie wyjdą na pokład, wspólnymi siłami zestrzelą helikopter.

Znów wyrzwał. Amerykańska maszyna wciąż zwieszała się nad rufą i latała z jednej strony na drugą, aby strzelec mógł kontrolować cały pokład.

– Paul, Pran, gdzie jesteście? – znów zawołał do mikrofonu.

– Ja na mostku – zameldował Paul Thierry. Był jego przyjacielem z czasów dzieciństwa w Paryżu, a potem razem pojechali do Rinpoche-La. – Zdejmę ich ze skrzydła mostka, poczekaj.

– Czekam przy wejściu na pokład główny przy nadbudówce
– odpowiedział Pran, kuzyn z Wietnamu. – Jestem gotów.

– Gerhard?

Młodego Niemca zrekrutowano do Zakonu, kiedy w Nepalu poszukiwał w opiumowym dymie odpowiedzi na filozoficzne pytania.

– Na bakburcie i idę w stronę rufy. Są za szalupą ratunkową. Dajcie mi chwilę. Tak, jestem gotów.

– Strzelać na mój znak. – Luc niechętnie wypalił. Tisa obdarzyła go pogardliwym uśmiechem.

– Teraz!

Znów wyrzwał zza kontenera i strzelił. Pozbył się połowy magazynka, zanim się zorientował, że helikoptera już nie ma.

– Niech to szlag. Wstrzymać ogień. Czekać, aż wrócą.

Z kryjówki za szpulą Mercer patrzył, jak Luc krzyczy do krótkofalówki. Zeskoczył niezauważony na pokład „Angela”, korzystając z chwili przerwy między powrotem Jima do kontenera a momentem, gdy Luc Nguyen po raz pierwszy rozejrzał się po pokładzie. Zabrał z Seahawka drugiego M-16 i dwa zapasowe magazynki. Nie miał pojęcia, z iloma ludźmi będzie musiał się zmierzyć.

Kiedy rozległ się rozkaz do ostrzału, Mercer wypatrzył cztery źródła ognia: Luc, jeden strzelec na skrzydle mostka, drugi na sterburcie niedaleko nadbudówki i czwarty na pokładzie wyżej, ukryty za łodzią ratunkową. Podał ich pozycje przez radio, które dostał od ratownika.

– Mogę zdjąć faceta na skrzydle mostka, nawet jeśli się schowa. Strzelec przy kontenerze zaraz będzie niewidoczny. To samo z tym przy nadbudówce. Może zdejmij tego przy szalupie. Zaczynajcie znad dziobu.

– Przyjąłem.

– No to dalej, panowie! Ognia! – Mercer odczekał sekundę, aż helikopter zanurkuje. Kiedy ratownik otworzył ogień, a Luc zniknął w kontenerze, Mercer podniósł się i rzucił naprzód. Mężczyzna za szalupą musiał się odwrócić, by nie stracić z oczu helikoptera, który po drugiej stronie statku ostrzeliwał mostek.

Seahawk krótkimi seriami trzymał Luca i jego ludzi w szachu, a Mercer wpakował dwie kulki w głowę Gerarda. Niemiec wyleciał przez barierkę, odbił się od relingu głównego pokładu i wpadł do wody. Mercer skrył się za kontenerem, gdzie wcześniej przechowywano kombinezony NewtSuit.

– Jednego mniej – poinformował.

– Dwóch – poprawił go ratownik. – I zostało nam sześć minut. Mercer zerknął na zegarek. Bomba.

– Przyjąłem, osłaniaj mnie. Muszę się dostać do nadbudówki.

– Tak jest.

Helikopter zatoczył krąg i znów opadł nad „Angela”, ogniem zmuszając porywaczy do pozostania w kontenerze.

Mercer skoczył i, trzymając się bakburty, znalazł otwarty luk. Miał doskonały widok na statek i liczył, że uda mu się zająć trzeciego strzelca, ale mężczyzna zmienił pozycję. Zamiast go szukać, Mercer pobiegł do mesy. Drzwi zabezpieczono łańcuchem obwiązany dodatkowo wokół hydrantu. Odstrzelił

kłódkę i rozejrzał uważnie, czy hałas nie przyciągnął trzeciego strzelca.

Drzwi do mesy stanęły otworem. Pierwszy wyszedł trzeci oficer, Seamus Rourke.

– Pan Mercer! Co tu się, do diabła, dzieje?

– Nie teraz. Bomba wybuchnie za cztery minuty. Ludzie, którzy przejeżdżali statek, zrobili głupio i skierowali się na wschód. Musisz nas obrócić. Kiedy ta strona wyspy się zapadnie, powstanie wielka fala, a my będziemy na jej drodze. Jeśli nie zwrócimy się dziobem do niej, jesteśmy bez szans.

– Dobra, rozumiem.

– Na zewnątrz jest dwóch ludzi z pistoletami maszynowymi. Jeden w kontenerze, razem z Jimem, a drugi nie mam pojęcia, gdzie. Jim McKenzie jest jednym z nich. Jego pomocnik pewnie też.

– Dobry Boże.

– Potrzebuję ochotników, którzy odwrócą ich uwagę.

– Zaraz wyślę kogoś na mostek. Słuchajcie! – zawołał do mesy. – Trzeba pozbyć się tych kanałii. Ochotnicy?

Odpowiedział mu zgodny chór.

Mercer poprowadził ich drogą, którą do nich przyszedł. Wciąż nie było śladu trzeciego strzelca.

– Seahawk, tu Mercer. Co się dzieje?

– Spokój – odparł pilot. – Drzwi kontenera są zamknięte, ale skoczek widział w środku przynajmniej trzy osoby. Zarzeka się, że wśród nich jest kobieta, którą opisałeś.

Mercer nie był zdziwiony. To jasne, że Luc chciał mieć siostrę blisko siebie. Trzecią osobą był Jim, co oznaczało, że Ken Bowers ciągle czał się w pobliżu.

– Przyjąłem. Zatrzymaj ich tam. Ja właśnie uwolniłem załogę. Sternik odwróci statek dziobem do fali. Reszta idzie ze mną. Musimy wykurzyć trzeciego porywacza i znaleźć bodajże jeszcze jednego.

– Mam tylko dwa magazynki. Jak się skończą, zostają pistolety. Równie dobrze mogą rzucić w nich kamieniami.

Tuzin marynarzy zgromadził się przy drzwiach, czekając na rozkaz Mercera. Wszyscy wyglądali na zewnątrz, więc nikt nie zauważył Paula Thierry'ego, skradającego się od strony schodów. Mężczyzna otworzył ogień, kładąc ludzi pokotem. Seria zakończyła się dopiero, kiedy zabrakło mu amunicji.

Czterech marynarzy nie żyło, trzech było rannych, a reszta z wściekłością ruszyła za nim. Dopadli go w połowie schodów i zrzucili głową w dół na stalowy pokład. Uderzenie rozłupało mu czaszkę, ale to ich nie zadowoliło. Kiedy z nim skończyli, zmasakrowane ciało Thierry'ego ledwie przypominało zwłoki człowieka.

Na górze Mercer spotkał Seamusa Rourke'a. Mężczyzna wyszedł z maszynowni z twarzą i dłońmi umazanymi krwią.

– Ratuj swoją kobietę i spadaj stąd. – Ton jego głosu przemawiał grozą. – Damy sobie radę sami.

– Na pewno?

– Jasne. Jeśli „Angel” może stawić czoło Morzu Północnemu, to da radę wszystkiemu.

Mercer pokręcił głową.

– Powodzenia.

Cofnął się do środka, czując cień współczucia dla Kena Bowersa, którego wkrótce miała dorwać załoga.

Centrum sterowania pośrodku pokładu stanowiło małą fortecę odporną na strzały M-16. Mercer miał dwie minuty do wybuchu i pięć do fali. I na razie brakowało mu pomysłu, jak uwolnić Tisę.

W takim razie nie będzie jej uwalniał, tylko weźmie razem z kontenerem.

– Seahawk, jaki jest twój maksymalny udźwig?

– Zapomnij – odparł pilot przed radio. – Wiem, o czym myślisz. Ten kontener waży kilka ton, i to pusty. Nie dam rady go podnieść.

Ale kiedy drzwi były szczelnie zamknięte, Luc i Jim nie mieli pojęcia, co dzieje się na zewnątrz.

– Spuść kosz ratunkowy i zejdź nad sam kontener.

– Mówię ci, że nie dam rady.

– Nie będziesz musiał.

Mercer pobiegł na rufę, do dźwigu z wysięgnikiem. Panel sterowania znajdował się przy siedzisku nad jedną ze stalowych podpór. Mercer wdrapał się na fotel i w błyskawicznym tempie opanował jego działanie. Generator zasilający dźwig obudził się do życia. Mercer zwiększył moc i opuścił wysięgnik nad statek, popuszczając linę w miarę, jak rozsuwał ramię. Zatrzymał się nad kontenerem i puścił tyle liny, by starczyło do podczepienia stalowego haka. Z helikopterem grzmiącym nad głową nie było

mowy, by ktokolwiek w centrum sterowania mógł się zorientować, co planuje.

Trzymając M-16 w pogotowiu, geolog wspiął się na kontener po drabinie. Górna pokrywa ze stali miała w czterech rogach ogniwa, by w razie potrzeby można go było przenosić. Przez jedno z nich Mercer przełożył ciężki hak.

Wrócił na pokład, przeklinając sekundy stracone przez to, że nie był w stanie zeskoczyć. Funkcjonował jedynie dzięki adrenalinie.

– Dobra, unieś się na jakiś metr, ale maksymalnie głośno.

Pociągnął dźwignię. Silnik Diesla zaryczał, a dźwиг szarpnął kontenerem. Mercer obrócił wysięgnik, unosząc centrum nad pokład. Potem zabezpieczył manipulator i zeskoczył z fotela z M-16 przy ramieniu.

Drzwi centrum sterowania odskoczyły, kiedy statek się przechylił.

Pierwszy stanął w nich Jim McKenzie. Wypadł na pokład, pewny, że helikopter lada chwila uniesie kontener ze statku. Mercer kopnął go w pierś, przerzucając na plecy i wykopując broń do morza. Chociaż miał ogromną ochotę władować mu kulkę między oczy, nie zrobił tego. Przywarł do ściany kontenera i dał znak pilotowi, by całkiem opuścił kosz ratunkowy na pokład.

Ze środka jak burza wypadł Luc Nguyen i zaczął strzelać na oślep. Zanim Mercer zdołał odpowiedzieć, Luc zniknął za obudową wyciągarki. Rozpoczęła się wymiana ognia, choć żaden z mężczyzn nie mógł oddać czystego strzału. Zaświstały rykoszety. Jeden trafił leżącego McKenziego w nogę. Jim wrzasnął,

a z uszkodzonej tętnicy trysnęła krew. Bez fachowej pomocy człowiek z taką raną wykrwawia się w ciągu kilku minut.

Trzydzieści kilometrów na zachód, kilkadziesiąt metrów pod dnem morskim, kanał pełen był już płynnej magmy. Od zewnątrz cały czas wpływała woda, zapobiegając wyciekowi stopionej skały, więc cała komora była właściwie zamknięta.

Niewyobrażalnie wysoka temperatura i rosnące ciśnienie nie naruszyły walizeczki umieszczonej we wnętrzu góry. Zegar pokazał zero.

Ładunek inicjujący bombę miał kształt kuli wykonanej z płytek materiału wybuchowego, detonowanych z dokładnością co do nanosekundy. Wewnątrz kuli znajdował się oczyszczony pluton. Ilość śmiertelnie niebezpiecznego materiału była niewystarczająca, by powstała masa krytyczna rozpoczynająca reakcję łańcuchową eksplozji nuklearnej, ale w chwili detonacji kula z plutonu była kompresowana w jądrze, by w wybuchu jasnym jak słońce przekroczyć masę krytyczną. Ta zamieniła się w energię zgodnie z teorią Einsteina.

Przez pierwszą sekundę eksplozja rozprzestrzeniła się niemal z prędkością światła, unicestwiając wszystko na swojej drodze – skałę, glebę i, co najważniejsze, ściany bazaltowych dajek wewnątrz La Palmy.

Na powierzchni pojawiło się światło, oślepiające nawet kilometry dalej. Kiedy przygasało, wyrósł grzyb atomowy; żarząca się chmura magmy i pyłu, podobna do erupcji wulkanu poprzedniego dnia. U jej podstawy dziesiątki tysięcy ton skał zamieniły się w pył, uwalniając wodę przez miliony lat gromadzącą się

wewnątrz skały. Długi i głęboki na półtora metra fragment La Palmy osunął się do morza, popychany siłą uwalniającej się wody.

Na południu wyspy wulkan Teneguia nagle przestał pluć lawą pod wpływem zmiany ciśnienia głęboko pod wyspą. Z powstałej wyrwy wylewały się jęzory magmy i wrzące wody.

Na samym przodzie wyrosła potężna fala wywołana siłą wybuchu atomowego i hektolitrow wody uwolnionych z dajek. I choć daleko jej było do rozmiarów megatsunami, które mogłyby zagrozić Stanom Zjednoczonym, fala w ciągu minuty osiągnęła wysokość dwudziestu pięciu metrów i pędziła z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Mercer i Luc zamarli wpatrzni w zabarwiony purpurą horyzont. Z przerażenia wyrwał ich dopiero ruch na pokładzie. Ruszyli w tej samej chwili. Mercer wstrzymał ogień. Luc nie. Tisie wreszcie udało się uwolnić z kontenera.

Wyskoczyła na pokład, nieświadomie stając pomiędzy bratem a Mercerem. Pocisk z broni Luca trafił ją w brzuch i rzucił na kontener. Stal zabarwiła się krwią.

Luc rzucił broń, zawył i ruszył w stronę siostry. Mercer zacisnął palce na swoim M-16 i wymierzył prosto w głowę Luca. Nacisnął spust, jednak magazynek był pusty. Luc pochwycił Tisę w ramiona.

Mercera opanowała wściekłość. Skoczył w ich stronę, kątem oka rejestrując kołyszący się kosz ratunkowy. Mercer chwycił za brzeg siatki, pociągnął i ciężkimi noszami uderzył Luca w ramię, odrzucając go od Tisy. Dziewczyna osunęła się na pokład.

Luc uniósł dłonie.

– Nie! Musimy ją ratować. Pomóż mi ją stąd zabrać.

Mercer zahaczył kosz o krawędź kontenera i zarzucił trzy zwoje liny wokół piersi Luca. Porywacz nie rozumiał; może myślał, że Mercer uratuje i jego? Geolog nie spuszczał wzroku z szaleńca, kiedy dłonią wykonał spiralę, dając pilotowi znak.

Helikopter zaczął się wznosić, zacieśniając linę, aż mężczyzna stracił oddech. Twarz Mercera zmieniła się w pozbawioną emocji maskę. Powtórzył gest.

Helikopter znów się uniósł. Lina miażdżyła ciało Luca; przecinała kości, łamała kręgosłup i w końcu oderwała nogi, wyrzucając je na środek pokładu. Nguyen przechylił się, wyciągając ręce w stronę oderwanych kończyn.

Łypnął na Mercera.

– Przynajmniej nie będzie też twoja. – Po tych słowach umarł. Mercera poczuł, jakby sam skonał. Ledwo widział przez łyzy, kiedy uwalniał kosz ratunkowy spod kontenera.

– Trzymaj się – błagał. – Trzymaj się.

Tisa jeszcze żyła. Trafiły ją trzy kule; dwie w brzuch i jedna w pierś. Z trzeciej rany płynęła spieniona krew. Płuco.

– Mercer? – szepnęła.

– Jestem, kochanie. Trzymaj się.

Była w tak wielkim szoku, że ledwie zauważyła, że kładzie ją na noszach. Przykrył ją sobą, starając się jej nie przyciskać. Nosze drgnęły i poszybowały w kierunku helikoptera.

Fala uderzyła w statek w niepohamowanym ataku szału, rozprzestrzeniając się na powierzchni morza. Seamus Rourke zwrócił „Angela” dziobem do wyspy. Ściana wody runęła przez

pokład. Była tak wysoka, że dosięgnęła jeszcze kosza z ranną. Oboje całkowicie przemokli.

„Angel” wspinał się wyżej i wyżej. Kiedy niosła go rozpedzona fala, inklinometr pokazywał wychylenie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. W końcu dziób osiągnął grzbiet fali, wbijając się klinem w jej szczyt, i statek runął w dół, szybciej niż kolejka górską. Powinien był zniknąć pod powierzchnią albo rozpaść się nad dwie części. Ale „Angel” głęboko zarył dziobem, po czym zaczął mozolić się w górę. Pokład był całkiem pusty. Pomieszczenie serwisowe, centrum sterowania, dźwigi – wszystko zostało zmyte. Nie ostał się najmniejszy kawałek szkła – od przedniej szyby do najmniejszego luku. Ale okręt dał radę, wynurzył się z wody niczym łódź podwodna. Kolejna fala była zaledwie w połowie tak wysoka jak pierwsza i statek stawiał jej czoło niemal z pogardą. „Angel” był bezpieczny.

Tisa miała otwarte oczy, kiedy byli wciągani do helikoptera i z uśmiechem patrzyła na Mercera.

– Trzymaj się – powtarzał, mimo że jego słowa ginęły wśród rykuśmigła i szumu wiatru uderzającego w nosze.

Kiedy znaleźli się w środku, silne ręce wciągnęły kosz do ładowni i zamknęły drzwi. Ratownik pomógł Mercerowi i rozciął ubranie Tisy, by ocenić rany.

– Co z nią? ! – wrzasnął Mercer.

Medyk kontynuował, jakby nie słyszał pytania.

– Pytałem, co z nią!

Minęła minuta, zanim mężczyzna się odsunął. Jego ręce pokrywała krew aż po łokcie.

– Przykro mi. Nic nie mogę zrobić.

Mercer odepchnął go i ukłęknął. Ujął jej dłoń. Była zimna. Znacznie zimniejsza niż wszystko, czego kiedykolwiek dotknął.

– Mercer? – Przysunął ucho do jej ust. – Mercer, która godzina?

Wtedy wreszcie zrozumiał. Jej pytanie było błaganiem, próbą znalezienia własnego miejsca w przyszłości, którą od zawsze znała. Żyła na samotnym skrzyżowaniu pomiędzy przeszłością a nieuchronnym. Odebrano jej obietnicę nieznanego, zachwyty nad cudem każdego nowego dnia, ponieważ wiedziała, jaki będzie, kiedy dobiegnie końca.

Nosił swój zegarek od niemal dwudziestu lat. Stał się niemal jego częścią. Teraz rozpiął go i nasunął stalową bransoletę na jej nadgarstek.

– Ty mi powiedz – zaszlochał.

Dotknęła zegarka i znów się do niego uśmiechnęła.

– To mój czas.

– Wiem.

– Chciałabym...

– Ja też.

– Powiedz to ten jeden raz – poprosiła. – Nigdy nie przekonamy się, jak to jest, ale pozwól mi przynajmniej to usłyszeć.

Mercer jej nie widział. Oczy zalewały mu łzy.

– Kocham cię, Tiso.

Nie usłyszała.

Odeszła.

Podziękowania

Na wstępie, jak zawsze, muszę podziękować swojej żonie Debbie. Ostatni rok był chyba najbardziej burzliwym w moim życiu i bez niej nie dałbym sobie rady. Chciałbym również podziękować swojemu redaktorowi w NAL, Dougowi Gradowi, za jego zrozumienie i nieskończoną cierpliwość. Po wydarzeniach z jedenastego września wielu specjalistów przestało tak chętnie jak wcześniej udzielać informacji na tematy techniczne, choć wiadomo że moje książki to fikcja. Ci, którzy zgodzili się podzielić ze mną swoją wiedzę, woleli pozostać anonimowi. Domyślałam się, że inni autorzy spotykają się z podobną postawą. Znalazło się jednak wielu ludzi, którzy zdecydowali się mi pomóc i bez ich wsparcia, tu nie mam wątpliwości, powieść w ogóle by nie powstała.

Przepowiednia ognia jest książką wyjątkową, bo pisząc ją, poszedłem w nieco innym kierunku niż przy moich poprzednich powieściach. Dlatego chciałbym wiedzieć, co Wy, Czytelnicy, o tym myślicie.

Kiedy skończycie, zapraszam na moją stronę www.jackdubrul.com. Napiszcie, jakie są Wasze odczucia. Niestety, nie będę pewnie miał możliwości, żeby każdemu odpowiedzieć, ale postaram się odpisać na tyle listów, na ile tylko będę mógł.